

DANIEL SILVA

**Ostatni szpieg
Hitlera**

**Przełożyła
Anna Maria Nowak**

PRZEDMOWA

W kwietniu 1944 roku, na sześć tygodni przed desantem aliantów na Francję, faszystowski propagandzista William Joyce, bardziej znany jako lord Haw— Haw, który to przydomek zawdzięczał swemu arystokratycznemu brytyjskiemu akcentowi, przekazał przez radio wieść, która Brytyjczykom zmroziła krew w żyłach.

Otóż oświadczył on, że Niemcy wiedzą, iż alianci przygotowują na południu Anglii olbrzymie betonowe bloki. Niemcy wiedzą również, że owe bloki mają zostać przetransportowane przez kanał La Manche w czasie szykowanej inwazji i zatopione na wybrzeżu Francji. „Cóż, pomożemy wam, chłopcy — oznajmił Joyce. — Kiedy się zjawicie, by je ustawić, zatopimy je wam”.

W brytyjskim wywiadzie i wśród alianckiej generacji rozdzwoniły się sygnały alarmowe. Te betonowe bloki, o których mówił Joyce, stanowiły składowe olbrzymiego sztucznego portu, który miano zbudować w Normandii. Cała tajna akcja nosiła kryptonim Mulberry. Jeśli szpiedzy Hitlera

rzeczywiście zdawali sobie sprawę z celu operacji, to mogli również znać najpilniej strzeżoną tajemnicę wojny: czas oraz miejsce inwazji aliantów we Francji.

Dopiero po wielu pełnych trwogi dniach obawy aliantów okazały się bezpodstawne: amerykański wywiad mianowicie przechwycił zaszyfrowaną wiadomość japońskiego ambasadora w Berlinie, generała porucznika Hiroshi Oshimy, przeznaczoną dla jego zwierzchników w Tokio. Niemcy regularnie informowali swoich japońskich sprzymierzeńców o przygotowaniach do nadchodzącej inwazji. Z raportu wynikało, że niemiecki wywiad uważał te betonowe bloki za elementy olbrzymiego bunkra przeciwlotniczego, a nie za sztuczny port.

Jak jednak mógł niemiecki wywiad aż tak się omylić? Czyżby po prostu źle zinterpretował doniesienia swoich szpiegów? A może dał się oszukać?

PODZIĘKOWANIA

Wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autora, podobnie jak i postaci, występujące na jej kartach. Powieść nie rości sobie pretensji do przedstawiania rzeczywistych zdarzeń. Jednak niezależnie od tego wiele osób zechciało poświęcić swój czas, żeby podzielić się swą wiedzą z młodym człowiekiem piszącym o rzeczach, które działy się wiele lat temu. Nie ulega wątpliwości, że ich zasługą są wszelkie rzetelne informacje. Wszelkie omyłki oraz fikcja literacka to już moje dzieło.

Winy jestem dozgonną wdzięczność zespołowi z londyńskiego wydawnictwa Weidenfeld & Nicolson — Anthony'emu Cheethamowi, Cassii Joll oraz Maureen Kristunas, za to, że nie wysiadła na swoim przystanku. Przede wszystkim pragnę jednak podziękować łonowi Trevinowi, który z anielską cierpliwością odpowiadał na wszystkie moje nawet najbardziej przyziemne pytania. Zaiste, bez jego pomocy i zachęty i bez długich weekendowych wypraw po wybrzeżu Norfolk, w których towarzyszyła mi jego żona Sue, nie powstałaby ta książka.

I wszystkim moim przyjacielom oraz współpracownikom z CNN, zwłaszcza Tomowi Johnsonowi, Edowi Turnerowi,

Frankowi Sesno, Richardowi Davisowi, którzy zwolnili mnie, żebym w spokoju mógł pracować nad powieścią, a gdy już ją ukończyłem, z powrotem przyjęli mnie do pracy.

Zespołowi z International Creative Management: Heather Schroder, Sloanowi Harrisowi oraz Jackowi Homerowi. Ale przede wszystkim mojej agentce, przyjaciółce i przewodniczce, Esther Newberg, dzięki której marzenia stały się faktem. Nie ma lepszej od niej.

Wszystkim tym, którzy udzielali mi wsparcia i rad podczas pracy: doktorowi Uwe Hedltowi oraz profesorowi Klausowi Fischerowi za ich konsultacje w dziedzinie historii nazistowskich Niemiec; doktorowi Michaelowi Badenowi za wskazówki dotyczące zawitych kwestii ran kłutych oraz rozkładu ciała; Brianowi Montgomery'emu za cierpliwy wykład na temat anatomii silnika diesla; Lisie Havlovitz za pomoc w szykowaniu ostatecznej wersji rękopisu. Poza tym za nieocenione wsparcie szczególne podziękowania składam Adrii Hillman, Kennethowi Wamerowi i Jeffreyowi Blountowi oraz profesorowi Bernardowi Jacobowi, mojemu przyjacielowi, nauczycielowi, człowiekowi, na którym mogę nieodmiennie polegać.

I w końcu wspaniałej grupie pracowników Random House: Harry'emu Evansowi, Sybil Pincus, Markowi Speerowi, Lillian Langostsky, Danowi Rembertowi, Adamowi Rothbergowi, Brianowi McLendonowi, Kirsten Raymond, Sairey Luterman, Annik LaFarge, Melissie Milsten, Jennifer Webb, Lecie Evanthes, Camille MacDuffie oraz Lynn Goldberg.

No i oczywiście Davidowi Rosenthalowi, mojemu wydawcy i genialnemu redaktorowi, który wskazywał mi drogę, delikatnie naprowadzał na trop, jeśli pobraździłem, i pomógł stworzyć z rękopisu powieść. Był prawdziwym przyjacielem — od początku do końca.

*Ten projekt jest tak ważny,
że można go nazwać jądrem całej operacji.*

Notatki Admiralicji

*Jeśli wziąć pod uwagę tysiące pracowników,
którzy przewinęli się przez to w trakcie przygotowań,
zdumiewa fakt, że wróg nie miał pojęcia, co się szykuje.*

**Guy Hartcup, uczestnik
operacji Mulberry**

*W czasie wojny prawda staje się tak bezcenna,
że nieustannie winna jej strzec armia kłamstw.*

Winston Churchill

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Suffolk, Anglia; listopad 1938

Beatrice Pymm zginęła, ponieważ spóźniła się na ostatni autobus do Ipswich.

Dwadzieścia minut przed śmiercią stała na obskurnym przystanku autobusowym i w słabym świetle jedynej w okolicy latarni czytała rozkład jazdy. Już za parę miesięcy latarnia zgaśnie ze względu na zaciemnienie. Beatrice Pymm nie zdąży tego doświadczyć.

Wtedy latarnia świeciła na tyle jasno, że Beatrice mogła odczytać wypłowiałe cyfry na tabliczce. Żeby lepiej widzieć, wspięła się na palce i wodziła ubrudzonym farbą paznokciem po cyferkach. Jej matka nieboszczka zawsze wyrzekała na te ślady farb. Jej zdaniem prawdziwa dama nigdy nie miałaby upačkanych rąk. Wolałaby, żeby Beatrice wybrała sobie schludniejsze hobby: muzykę, działalność dobroczynną, w ostateczności nawet pisanie, choć nie przepadała za pisarzami.

— Niech to licho — mruknęła Beatrice, nie odrywając wskazującego palca od rozkładu jazdy.

Zazwyczaj była bardzo punktualna. Wiodąc życie wolne od finansowych trosk, przyjaciół i rodziny, rządziła się własnymi prawami, których rygorystycznie przestrzegała. Dziś pozwoliła sobie na odstępstwo: za długo malowała i za późno ruszyła w drogę powrotną.

Oderwała palec od tabliczki i przytknęła go sobie do policzka, nadając twarzy zatroskany wyraz. „Wykapany ojciec”, wzdychała jej matka, ilekroć na nią patrzyła: szerokie, płaskie czoło, wydatny szlachetny nos, cofnięta szczęka. I włosy już przyprószone siwizną, choć dopiero ukończyła trzydzieści lat.

Beatrice zastanawiała się, co teraz zrobić. Od domu w Ipswich dzieliło ją co najmniej osiem kilometrów; za daleko, by iść pieszo. Ale wieczór był dość wczesny, powinno jeździć trochę samochodów. Może ktoś ją podrzuci.

Ciężko westchnęła. Ciepły oddech natychmiast zmienił się w biały obłoczek, na chwilę zawisł w powietrzu, a potem porwał go zimny wiatr znad moczarów. Chmury się rozstały, wyszedł zza nich jasny księżyc. Beatrice spojrzała i zobaczyła otaczającą go aureolę lodu. Wzdrygnęła się, dopiero teraz poczuła chłód.

Podniosła swoje rzeczy: skórzany plecak, obraz, podniszczone sztalugi. Cały dzień spędziła nad ujściem rzeki Orwell, malując. Malarstwo stanowiło jej największą pasję, a najbardziej upodobała sobie pejzaż wschodniej Anglii. Oczywiście przez to jej prace stały się nieco monotonne. Matka wolała obrazy przedstawiające ludzi: scenki z ulic czy zatłoczonych kafejek. Kiedyś nawet zaproponowała jej, żeby na jakiś czas wyjechała do Francji pogłębić swe studia. Beatrice odmówiła. Kochała moczary, groble, ujścia rzek i bagniste tereny na północ od Cambridge, pagórki i pastwiska Suffolk.

Niechętnie ruszyła w stronę domu, bo bagaż, który musiała dźwigać, był ciężki. Miała na sobie męską bawełnianą koszulę, poplamioną farbą tak samo jak ręce, gruby sweter, w którym czuła się jak pluszowy miś, dwurzędową kurtkę o trochę za długich rękawach i spodnie wetknięte w ocieplane gumowe buty. Kroczyła żwawo poboczem i wkrótce znalazła się poza kręgiem światła latarni. Otoczyła ją ciemność. Beatrice nie bała się chodzić w nocy po pustkowiu. Matka, którą te długie samotne wędrówki napawały strachem, nieustannie ostrzegała ją przed gwałcicielami. Ona wyśmiewała te obawy.

Zadrżała z zimna. Pomyślała o wiejskim domu na obrzeżach Ipswich, który zostawiła jej w spadku matka. Na jego tyłach zbudowała dużą, jasną pracownię, gdzie spędzała większość czasu. Bardzo często przez wiele dni nie widziała żywej duszy.

Wszystko to — i więcej — wiedział jej zabójca.

Po pięciu minutach drogi Beatrice usłyszała za sobą warkot silnika. Pewnie jakaś ciężarówka, uznała. A po odgłosie sądząc, dość stara. Spojrzała na dwa kręgi światła, które oświetliły trawę na poboczu. Usłyszała, że silnik cichnie i auto zaczyna hamować. Uderzył ją chłodny podmuch wiatru, kiedy minęła ją furgonetka. Zakrztusiła się odorem spalin.

A potem patrzyła, jak wóz zjeżdża na bok i staje.

Dłoń widoczna w jasnej poświacie księżycy wydała się Beatrice dziwna. Wysunęła się przez okienko od strony kierowcy i zamachała w jej stronę. Gruba skórzana rękawica — zauważyła Beatrice. Takie wkładają robotnicy przenoszący duże ciężary. Roboczy kombinezon — chyba ciemnoniebieski.

Dłoń ponownie ją przywołała. I znowu to samo: Beatrice coś nie pasowało w sposobie, w jaki ręka się poruszała. W końcu była malarką, a malarze znajdują się na ruchu. Jeszcze coś. Na chwilę odsłonił się kawałek skóry między rękawiczką a rękawem. Nawet w słabym świetle Beatrice dostrzegła, że nadgarstek jest blady, nieowłosiony — zupełnie inny niż przegub typowego robotnika — a do tego wyjątkowo smukły.

A mimo to nadal nie czuła niepokoju. Przyspieszyła kroku i w kilku susach dopadła klamki od strony pasażera. Otworzyła drzwiczki, postawiła swoje rzeczy przy siedzeniu, podniosła głowę i dopiero wtedy zauważyła, że kierowca zniknął.

Przez ostatnie świadome sekundy swego życia Beatrice Pymm zastanawiała się, czemu ktoś miałby wykorzystywać furgonetkę do przewożenia motocykla. A przecież stał tam, oparty o skrzynię, a obok niego leżały dwa kanistry benzyny.

Nie odsuwając się od samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i krzyknęła. Nikt nie odpowiedział.

Po paru sekundach usłyszała chrzęst skórzanych butów na żwirze.

I znowu ten sam odgłos, tym razem bliżej.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła kierowcę. Zajrzała mu w twarz, lecz zasłaniała ją czarna wełniana maska. Przez dziury na oczy zimno spoglądały na Beatrice błękitne tęczówki. Zza otworu na usta wylaniały się lekko rozchylone wargi, bardziej pasujące do kobiety niż mężczyzny.

Beatrice już chciała krzyknąć o pomoc, ale napastnik zdławił jej krzyk, wpychając jej pięść w usta. Osłonięte rękawicą palce wbiły się w miękkie gardło. Rękawiczka smakowała jak kurz, benzyna i zjełczały smar samochodowy. Beatrice zakrztusiła się i z wymiotowała resztki lunchu, który zjadła na świeżym powietrzu: piezzonego kurczaka, ser stilton i czerwone wino.

W tej samej chwili poczuła w okolicach lewej piersi drugą rękę napastnika. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że oto w końcu sprawdziły się przepowiednie matki. Lecz ten człowiek nie obmacywał jej jak lubieżnik czy gwałciciel. Bardziej przypominało to badanie lekarskie, sprawne, delikatne. Dłoń przesunęła się z piersi na żebra i tam mocno nacisnęła. Beatrice szarpnęła się, wciągnęła powietrze i mocniej ugryzła, ale kierowca najwyraźniej nic

nie poczuł przez grubą rękawicę.

Dłoń dotarła do najniższego żebra i badała miękkie ciało nad brzuchem ofiary. Nie przesunęła się niżej. Palec zatrzymał się w jednym miejscu. Beatrice usłyszała suchy trzask.

Przeszywający ból, nagły błysk oślepiająco białego światła.

I wreszcie miłosierna ciemność.

Morderca bez końca trenował, szykując się do dzisiejszego występu, ale to był pierwszy raz. Wyjął dłoń z ust kobiety, odwrócił się i wymiotował. Nie pora na uczucia. Zabójca był żołnierzem — majorem wywiadu — a Beatrice Pymm niedługo stałaby się wrogiem. Szczerze żałował, lecz ta kobieta musiała zginąć.

Starł wymiociny z maski i zabrał się do pracy. Chwycił rękojeść i szarpnął. Ciało zacisnęło się wokół ostrza, ale morderca pociągnął mocniej i sztylet wysunął się z rany.

Doskonały cios: czyściutki, zaledwie odrobina krwi.

Vogel byłby dumny.

Zabójca wytarł krew, zatrzasnął ostrze i schował sztylet do kieszeni kombinezonu. Następnie chwycił ciało pod pachy, zaciągnął je na tył furgonetki i upuścił na zwirowane pobocze.

Otworzył tylne drzwi. Ciałem ofiary wstrząsnęły drgawki.

Porządnie się narobił, wciągając je do środka, ale w końcu się udało. Silnik zacharczał, ale po chwili zaskoczył. Furgonetka ruszyła w dalszą drogę, minęła ciemną wioskę i skręciła w opuszczony trakt.

Morderca, opanowany mimo trupa za plecami, dla zabicia czasu nucił piosenkę z dzieciństwa. Czekala go

długa podróż, co najmniej czterogodzinna. W czasie przygotowań przejechał tę trasę motocyklem, tym samym, który teraz leżał obok Beatrice Pymm. Furgonetką to potrwa jeszcze dłużej. Silnik jest słaby, hamulce do niczego, do tego wóz ścigał na prawo.

Zabójca poprzysiągł sobie, że następnym razem ukradnie lepszy.

Cios zadany sztyletem w serce zwykle nie od razu zabija. Nawet jeśli ostrze przeszyje komorę, serce jeszcze jakiś czas bije, dopóki ofiara nie wykrwawi się na śmierć.

Podczas gdy furgonetka toczyła się po drodze, pierś Beatrice Pymm błyskawicznie napelniała się krwią. Beatrice miała wrażenie, że zapada w stan śpiączki. I że zaraz umrze.

Przypomniła sobie ostrzeżenia matki przed samotnymi powrotami po zmierzchu. Czowała swoją krew — wilgotną i lepłą — wypływającą z ciała i plamiącą koszulę. Zastanawiała się, czy obrazowi nic się nie stało.

A potem usłyszała śpiew. Piękny. Minęła chwila, nim sobie uświadomiła, że kierowca nie śpiewa po angielsku. Piosenka była niemiecka, a śpiewała ją kobieta.

W tej chwili Beatrice Pymm umarła.

Pierwszy przystanek, dziesięć minut później, nad rzeką Orwell, w tym samym miejscu, gdzie Beatrice Pymm dziś cały dzień malowała. Morderczyni wysiadła, nie wyłączając silnika. Przeszła na stronę pasażera, otworzyła drzwiczki, wyjęła obraz, sztalugi i plecak.

Rozstawiła sztalugi tuż nad brzegiem wolno płynącej rzeki, umieściła na nich obraz. Otworzyła plecak, wyjęła

farby, paletę i położyła je na wilgotnej ziemi. Zerknęła na nie dokończony obraz, wyglądał na całkiem niezły. Szkoda, że nie mogła zabić kogoś mniej utalentowanego.

Następnie wzięła opróżnioną do połowy butelkę wina, wylała resztę trunku do rzeki i rzuciła ją obok sztalug. Biedna Beatrice. Za dużo wina, nieostrożny krok, lądowanie w lodowatej wodzie, powolna podróż na otwarte morze.

Przyczyna zgonu: najprawdopodobniej utonięcie, zapewne na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Sprawa zamknięta.

Sześć godzin później furgonetka minęła Whitchurch, wioskę w West Midlands, i skręciła w piaszczystą drogę wiodącą wzdłuż pola jęczmienia. Zabójczyni wykopała grób poprzedniego wieczoru — na tyle głęboki, by ukryć w nim ciało, choć nie na tyle, by nigdy nie znaleziono zwłok.

Wyciągnęła ciało Beatrice Pymm z samochodu i rozebrała do naga. Złapała nieboszczkę za nogi i dowlokła do grobu. Potem przyniosła trzy rzeczy z furgonetki: młotek, cegłę i niewielką łopatę.

Tej części zadania najbardziej się obawiała; było to dla niej gorsze niż samo zabójstwo. Położyła trzy przedmioty przy ciele ofiary i zebrała się w sobie. Zmagając się z kolejną falą mdłości, wzięła do osłoniętej rękawiczką dłoni młotek i zmiażdżyła nos Beatrice Pymm.

Kiedy skończyła, z trudem zmusiła się do spojrzenia na miazgę, która niegdyś była twarzą Beatrice Pymm. Ciosami młotka, a potem uderzeniami cegły zmieniła ją w papkę z krwi, mózgu, rozbitej czaszki i potłuczonych zębów.

Udało jej się osiągnąć zamierzony cel: głowa została zniszczona, twarzy nigdy nikt nie zdoła rozpoznać.

Zrobiła dokładnie tak, jak jej rozkazano. Przeznaczono ją do wyjątkowych zadań. Przeszła wielomiesięczne szkolenie w specjalnym obozie, znacznie dłuższe niż pozostali agenci. Zakonspiruje się o wiele głębiej niż inni. Właśnie dlatego musiała zabić Beatrice Pymm. Nie będzie marnować czasu na robienie tego, do czego przeznaczono innych, mniej utalentowanych szpiegów: na liczenie oddziałów, obserwowanie linii kolejowych, szacowanie szkód wyrządzonych przez bomby. To łatwizna. Ją zachowano do ważniejszych zadań. Stanie się bombą zegarową, tykającą w samym sercu Anglii, czekającą na sygnał, by wybuchnąć.

Oparła nogę na klatce piersiowej trupa i pchnęła. Ciało zważyło się do grobu. Zasypała je ziemią. Zebrała zakrwawione ubrania i wrzuciła na tył furgonetki. Sięgnęła na siedzenie po niewielką torebkę z holenderskim paszportem i portfelem. W portfelu znajdowały się dokumenty tożsamości, wydane w Amsterdamie prawo jazdy oraz zdjęcia spasionej, roześmianej holenderskiej rodziny.

Wszystko to przygotowała w Berlinie Abwehra.

Rzuciła torebkę w krzaki na skraju pola jęczmienia, parę metrów od grobu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka miesięcy ktoś znajdzie rozkładające się zniekształcone ciało i torebkę. Policja uzna, że nieboszczka to Christa Kunst, holenderska turystka, która pojawiła się w Anglii w październiku 1938 roku, a której wypoczynek zakończył się tak tragicznie.

Przed odjazdem ostatni raz spojrzała na grób. Żal się jej zrobiło Beatrice Pymm. Śmierć pozbawiła ją nie tylko twarzy, ale i nazwiska.

I coś jeszcze: sama morderczyni właśnie straciła tożsamość. Przez pół roku mieszkała w Holandii, gdyż holenderski był kolejnym ze znanych jej języków. Starannie opracowała własną przeszłość, zagłosowała w wyborach do władz miejskich Amsterdamu, a nawet pozwoliła sobie na młodego kochanka, nienasyconego dziesięcioletnia, chętnego do nauki. Teraz Christa Kunst spoczywała w płytkim grobie tuż przy polu jęczmienia w Anglii.

**Rankiem zabójczyni przywdzieje nową tożsamość.
Ale na razie jest nikim.**

Zatankowała i jechała przez dwadzieścia minut. Miasteczko Alderton — podobnie jak Beatrice Pymm — zostało starannie wybrane, jako że tam nie od razu ktoś zauważy furgonetkę, która w środku nocy płonie na skraju drogi.

Wyciągnęła motocykl z paki — zadanie trudne nawet dla silnego mężczyzny. Zmagala się z motocyklem, wreszcie poddała się, kiedy był jakiś metr nad ziemią. Runął z łoskotem — jedyny błąd, jaki popełniła tej nocy.

Podniosła go i odciągnęła o pięćdziesiąt metrów. Potem wróciła do samochodu. W jednym z baniaków zostało jeszcze trochę benzyny. Ochlapała nią wnętrze furgonetki, szczególnie obficie skrapiając zakrwawione ubrania Beatrice Pymm.

Kiedy nastąpiła eksplozja, morderczyni już uruchomiła motocykl. Przez chwilę przyglądała się płonącemu wozowi, pomarańczowym płomieniom oświetlającym rzysko i nieco odleglejszą linię lasu.

Potem skierowała motocykl na południe i ruszyła do Londynu.

Rozdział drugi

Oyster Bay, stan Nowy Jork; sierpień 1939

Dorothy Lauterbach uważała swoją szacowną, zbudowaną z kamienia rezydencję za najpiękniejszą budowlę na całym północnym wybrzeżu Long Island. Większość przyjaciół się z nią zgadzała, a to dlatego, że Dorothy była od nich bogatsza i chcieli bywać na dwóch przyjęciach, które rokrocznie latem wydawali Lauterbachowie: wielkie pijaństwo w czerwcu oraz bardziej cywilizowaną, refleksyjną imprezę pod koniec sierpnia, kiedy kończące się lato wprowadza człowieka w nieco melancholijny nastrój.

Z tyłu domu rozciągał się widok na zatokę. Na plaży leżał miękki biały piasek przywieziony ciężarówkami z Massachusetts. Od plaży aż do rezydencji biegł pas starannie pielęgnowanej trawy, która tu i ówdzie ustępowała miejsca cudownie zadbanym klombom, ceglastemu kortowi tenisowemu albo intensywnie błękitnemu basenowi.

Służba wstawiała wcześniej, by przygotować wszystko na dzień zasłużonego nieróbstwa rodziny: rozstawiano bramki do krokieta, zakładano siatkę do badmintonu, choć nikt nawet nie zajrzy na boiska, zdejmowano plandeki z drewnianej motorówki, której nikt nie odcumuje od przystani. Raz któryś z odważnych służących zwrócił pani Lauterbach uwagę na bezsens tych codziennych rytuałów. Pani Lauterbach ostro go skarciła i nikt więcej już nie kwestionował jej rozkazów. Co rano ustawiano te same zabawki, które tkwiły smutno — niczym bożonarodzeniowe dekoracje w maju — tylko po to, by o zachodzie słońca służba z nabożeństwem je zbierała i chowała.

Na parter obszernego domostwa składały się: pokój słoneczny, salonik, jadalnia oraz pokój zwany Florydą, choć żaden z Lauterbachów nie pojmował, czemu Dorothy upiera się, by go tak nazywać.

Majątkość kupiono przed trzydziestu laty, kiedy młodzi Lauterbachowie zakładali, że dochowają się sporej trzódki. Tymczasem jednak skończyło się na dwóch córkach, nieszczególnie przepadających za sobą nawzajem: Margaret, pięknej, bardzo lubianej „duszy towarzystwa” oraz Jane. Dom stał się spokojnym miejscem pełnym słońca i ciepłych barw, w którym ciszę przerywało jedynie łopotanie białych zasłon, poruszanych przez morską bryzę i nieustanne dążenie Dorothy Lauterbach do perfekcji we wszystkim.

Dzisiaj — rankiem po drugim wakacyjnym przyjęciu Lauterbachów — zasłony wisiały bez ruchu, czekając na wietrzyk, który nie zamierzał się pojawić. Słońce paliło, nad zatoką drżało rozgrzane powietrze. Było parno.

W sypialni na górze Margaret Lauterbach— Jordan zdjęła koszulę nocną i usiadła przed toaletką. Szybko rozczesała popielatoblond włosy z pasemkami rozjaśnionymi przez słońce. Nosila niemodną, krótką fryzurkę, która za to była wygodna i łatwa do ułożenia. Poza tym Margaret podobał się sposób, w jaki włosy okalały jej twarz, podkreślając długą, smukłą szyję.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Wreszcie zgubiła te parę upartych funtów, których nie mogła się pozbyć po ciąży. Rozstępów już prawie nie widać, brzuch miała opalony na brąz. Tego lata moda nakazywała odsłaniać brzuch i wszyscy zdumiewali się, jak szczupło Margaret wygląda. Tylko piersi jej się powiększyły, ale Peterowi to się podobało.

Ubrała się w białe bawełniane spodnie, bluzkę bez

rękawów zawiązała nad pępkiem, na nogi wsunęła sandały na płaskim obcasie. Ostatni raz przejrzała się w lustrze. Była piękna — wiedziała o tym — choć nie tą ostentacyjną urodą, która sprawia, że dziewczyna nie może przejść spokojnie po ulicach Manhattanu. Nie, Margaret była piękna subtelną urodą — wymarzoną dla kogoś obracającego się w sferach, w których przyszła na świat.

I niedługo znowu będę wyglądać jak baryła! — pomyślała.

Odwróciła się od lustra i odsłoniła okna. Do pokoju wpadły ostre promienie słońca. Na trawniku panowało zamieszanie. Właśnie zwijano namiot, ludzie pakowali stoliki i krzesła, deska po desce rozbierali parkiet. Trawa, jeszcze wczoraj bujna i gęsta, teraz była zdeptana. Margaret otworzyła okno i wciągnęła w nozdrza mdlawy zapach rozlanego szampana. To wszystko dziwnie ją przygnębiło. „Może Hitler się szykuje do zaanektowania Polski, ale wszyscy, którzy pojawili się w sobotę na dorocznej sierpniowej feście, wydanej przez Brattona i Dorothy Lauterbachów, bawili się świetnie”. Margaret mogłaby sama pisać artykuły do kolumny towarzyskiej.

Włączyła radio, które stało na jej szafce nocnej, poszukała nowojorskiej stacji WNYC. Rozległy się ciche dźwięki melodii „I'll Never Smile Again”. Peter poruszył się przez sen. W ostrych promieniach słońca jego porcelanowa cera prawie nie odcinała się od białej satynowej pościeli. Kiedyś Margaret uważała, że wszyscy inżynierowie gładko zczesują włosy, na nosie noszą grube okulary, a z kieszeni sterczą im niezliczone ołówki. Peter wcale nie wyglądał na inżyniera z jej wyobrażeń — wyraziste kości policzkowe, silna broda, łagodne zielone oczy, niemal czarne włosy. Kiedy tak leżał z odsłoniętym torsem, kojarzył się Margaret z postaciami z obrazów

Michała Anioła. W niczym nie przypominał mieszkańców północnej części Long Island, w niczym nie przypominał jasnowłosych młodzieńców, którzy urodzili się w bogactwie i zamierzali spędzić życie w leżakach. Peter był inteligentny, ambitny i błyskotliwy. Wszystkich ich przerastał o głowę.

Spojrzała na niewyraźne niebo i zmarszczyła brwi. Peter nie znosił takiej sierpniowej pogody. Będzie rozdrażniony i czepliwy. Prawdopodobnie rozpęta się burza, która zrujnuje przyjemność powrotu do miasta.

Może powinnam poczekać, nie mówić mu dzisiaj — rozważała w duchu.

— Wstawaj, Peter, albo to się nigdy nie skończy — odezwała się, szturchając męża palcem u nogi.

— Jeszcze pięć minut.

— Nie mamy pięciu minut, kochanie. Peter nawet się nie ruszył.

— Kawy — błagał.

Pokojówki zostawiły kawę pod drzwiami sypialni. Dorothy Lauterbach nie znosiła tego obyczaju; uważała, że korytarz na górze upodabnia się wtedy do hotelu Plaża. Ale tolerowała go pod warunkiem, że dzieci podporządkują się jednemu weekendowemu obowiązkowi i zejda na śniadanie punktualnie o dziewiątej.

Margaret nalala kawy do filiżanki i podała Peterowi. Przekręcił się na bok i wypił odrobinę. Potem usiadł i spojrzał na żonę.

— Jak ty to robisz, że wyglądasz tak cudownie w dwie minuty po wyjściu z łóżka?

Margaret odetchnęła z ulgą.

— Widzę, że dopisuje ci humor. Bałam się, że będziesz miał kaca i będziesz się zachowywał jak zwierzak.

— Owszem, mam kaca. Benny Goodman gra mi w

czasze, a język mam taki chropowaty, że trzeba by go ogolić. Ale bynajmniej nie zamierzam się zachowywać jak... — Zawahał się. — Jak to powiedziałaś?

— Jak zwierzak. — Przysiadła na brzegu łóżka. — Musimy coś omówić, a wydaje mi się, że ten moment jest równie dobry jak każdy inny.

— Hmm. To brzmi groźnie, Margaret.

— Zobaczymy. — Popatrzyła na niego z rozbawieniem, po czym udała irytację. — Lepiej wstań i ubierz się. A może nie potrafisz równocześnie się ubierać i słuchać?

— Jestem wszechstronnie wykształconym i wysoce poważanym inżynierem. — Peter zmusił się do wstania i jęknął z bólu. — Może mi się uda.

— Chodzi o ten wczorajszy telefon.

— Ten, co to byłaś taka tajemnicza?

— Właśnie o niego chodzi. Dzwonił doktor Shipman. Peter znieruchomiał.

— Jestem w ciąży. Będziemy mieli drugie dziecko. — Margaret spuściła wzrok i bawiła się supełem bluzki. — Nie planowałam tego. Po prostu tak wyszło. Moje ciało wreszcie doszło do siebie po Billym i... Cóż, natura zajęła się resztą. — Spojrzała mężowi w oczy. — Już od jakiegoś czasu to podejrzewałam, ale bałam się powiedzieć.

— Wielkie nieba, dlaczego się bałaś?

Ale sam znalazł odpowiedź na swoje pytanie. Już dawno oświadczył Margaret, że nie życzy sobie więcej dzieci, dopóki nie zrealizuje marzenia swego życia i nie założy własnej firmy inżynierskiej. Teraz, mając zaledwie trzydzieści trzy lata, cieszył się reputacją jednego z najlepszych inżynierów w kraju. Zdobywszy, jako najlepszy na roku, dyplom prestiżowej Politechniki Rensselaera, rozpoczął pracę w Northeast Bridge Company, największej specjalizującej się w budowie

mostów firmie konstruktorskiej na Wschodnim Wybrzeżu. Po pięciu latach awansował na naczelnego inżyniera, dopuszczono go do spółki i postawiono na czele stuosobowego zespołu. W 1938 roku Amerykańskie Towarzystwo Inżynierii Cywilnej przyznało mu tytuł inżyniera roku za jego innowacyjne rozwiązanie, wykorzystane przy konstrukcji mostu wiszącego nad Hudsonem w Nowym Jorku. W *Scientific American* pojawił się artykuł o Peterze. Nazywano go tam „najbardziej obiecującym inżynierem swego pokolenia”. Jednak on chciał czegoś więcej: chciał założyć własną firmę. Bratton Lauterbach obiecał w stosownej chwili, może za rok, wesprzeć zięcia finansowo, lecz widmo nadchodzącej wojny przyhamowało te plany. Jeśli Stany Zjednoczone zostaną wciągnięte w wojnę, w jednej chwili wszystkie pieniądze przeznaczone na inwestycje publiczne pójdą na wydatki wojenne. Firma Petera padnie, zanim jeszcze zdąży wystartować.

— Który to miesiąc? — spytał.

— Koniec drugiego.

Twarz Petera rozjaśnił uśmiech.

— Nie jesteś na mnie zły?

— Oczywiście, że nie!

— A co z twoją firmą i wstrzymaniem się z dziećmi?

Pocałował ją.

— To się nie liczy. To wszystko jest bez znaczenia.

— Ambicja to cudowna rzecz, byle nie w nadmiarze.

Peter, od czasu do czasu musisz się odprężyć, cieszyć się życiem. W końcu życie to nie próba generalna.

Peter skończył się ubierać.

— Kiedy zamierzasz powiedzieć o tym matce?

— W swoim czasie. Pamiętasz, co wyprawiała, kiedy się spodziewałam Billy'ego. Szalu można było dostać. Jeszcze

zdążę jej powiedzieć.

Peter usiadł obok żony.

— Chodźmy jeszcze do łóżka przed śniadaniem.

— Peter, nie możemy. Mama nas zabije, jeśli się nie zjawimy na czas.

Pocałował ją w kark.

— A kto to przed chwilą głosił, że życie to nie próba generalna? Przymknęła oczy, wygięła szyję.

— To nieuczciwe. Przekręcasz moje słowa.

— Wcale. Całuję cię.

— Tak...

— Margaret! — rozległo się z dołu wołanie Dorothy Lauterbach.

— Już idziemy, mamo.

— No tak — mruknął Peter, ruszając za żoną.

Walker Hardegen przyłączył się do lunchu, który jedli przy basenie. Siedzieli pod parasolem: Bratton z Dorothy, Margaret z Peterem i Jane z Hardegenem. Znad zatoki powiał wilgotny, zmienny wiatr. Hardegen był prawą ręką Brattona Lauterbacha w banku. Wysoki, postawny, o szerokich barach, wielu kobietom kojarzył się z Tyrone'em Powerem. Skończył Harvard, grał w reprezentacji uczelni i na ostatnim roku jemu drużyna zawdzięczała zwycięstwo nad Yale. Jako pamiątka po grze w futbol zostało mu kontuzjowane kolano i lekkie utykanie, które jeszcze bardziej przyciągało do niego kobiety. Mówił z charakterystycznym za— śpiewem z Nowej Anglii i często się uśmiechał.

Wkrótce po tym, jak zaczął pracować w banku, zaprosił Margaret i wtedy często się spotykali. On chciał pogłębić ten związek, Margaret nie. Zerwała z nim, ale nadal

widywali się na przyjęciach i zostali przyjaciółmi. Pół roku później poznała Petera i zakochała się w nim po uszy. Walker nie mógł znaleźć sobie miejsca. Pewnego wieczoru w Copacabanie, wstawiony i straszliwie zazdrosny, dopadł Margaret, błagając, by się z nim spotkała. Kiedy odmówiła, chwycił ją za ramię i szarpnął. Margaret zmierzyła go lodowatym wzrokiem, jasno dając mu do zrozumienia, że jeśli nie przestanie się zachowywać jak szczeniak, zrujnuje mu karierę.

Incydent pozostał ich tajemnicą. Nawet Peter o nim nie wiedział. Hardegen szybko awansował, w końcu stał się najbardziej zaufanym pracownikiem Brattona. Margaret wyczuwała w stosunkach między Hardegenem a Peterem skrywane napięcie. Obaj byli młodymi, inteligentnymi i przystojnymi mężczyznami, obaj robili karierę. Sytuacja pogorszyła się na początku tych wakacji, kiedy Peter odkrył, że Hardegen jest przeciwny pożyczce na stworzenie jego firmy.

— Nie należę do tych, którzy na złamanie karku lecą na Wagnera, zwłaszcza w obecnym klimacie — Hardegen przerwał i wypił łyk schłodzonego białego wina, podczas gdy wszyscy przy stole parsknęli śmiechem — ale naprawdę musicie się wybrać do Metropolitan i zobaczyć Herberta Janssen w „Tannhäuserze”. Coś wspaniałego.

— Słyszałam o tym same dobre rzeczy — zgodziła się Dorothy. Przepadała za dyskusjami o operze, teatrze, nowych książkach i filmach. Z prawdziwą przyjemnością rozmawiała z Hardegenem, który mimo nawału pracy w banku potrafił wszystko obejrzeć i przeczytać. Sztuka stanowiła bezpieczny temat, w przeciwieństwie do kwestii rodzinnych i plotek, których Dorothy nie znosiła.

— Widzieliśmy Ethel Merman w nowym musicalu Cole Portera — podjęła rozmowę Dorothy, kiedy podawano

pierwsze danie, zimną sałatkę z krewetek. — Zapomniałam tytułu.

— „Dubarry Was a Lady” — podrzucił Hardegen. — Świetna rzecz.

Hardegen dalej prowadził konwersację. Wczoraj po południu wybrał się na korty Forest Hills i oglądał mecz Bobby'ego Riggsa. Jego zdaniem Riggs to pewny kandydat na zwycięzcę tegorocznego US Open. Margaret przyglądała się matce, która nie odrywała wzroku od Hardegena. Dorothy uwielbiała Walkera, traktowała go jak członka rodziny. Jasno kiedyś dała jej do zrozumienia, że wolałaby jego zamiast Petera na zięcia. Hardegen wywodził się z zamożnej konserwatywnej rodziny z Maine, nie tak bogatej jak Lauterbachowie, ale mieszczącej się w tej kategorii. Peter pochodził z rodziny irlandzkiej, niezbyt zamożnej, i wychował się na West Side w Manhattanie. Inżynierem może i jest genialnym, mówiła matka, ale nigdy nie stanie się „jednym z nas”. Ta rozmowa groziła zerwaniem stosunków między Margaret a matką, ale położył jej kres Bratton, który stwierdził, że podważanie słuszności wyboru narzeczonego, którego dokonała córka, jest niedopuszczalne. Margaret poślubiła Petera w czerwcu 1935 roku. Zgoła bajkowy ślub odbył się w episkopalnym kościele Świętego Jakuba. Hardegen znajdował się wśród prawie sześciuset gości zaproszonych na wesele. Tańczył z Margaret i zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Zdobył się nawet na to, by wraz z innymi pomachać młodej parze wyruszającej na dwumiesięczną podróż poślubną do Europy. Jakby incydent w Copa w ogóle się nie zdarzył.

Służba przyniosła danie główne — nadziewanego łososia na zimno — a rozmowa, co było nieuniknione, zesłała na wojnę szykującą się w Europie.

— Czy jest jeszcze jakiś sposób powstrzymania Hitlera,

czy też Polska stanie się najbardziej wysuniętą na wschód prowincją Trzeciej Rzeszy? — odezwał się Brätton.

Hardegenowi — nie tylko inteligentnemu inwestorowi, ale i prawnikowi — powierzono zadanie wycofania banku z niemieckich oraz innych ryzykownych europejskich inwestycji. W banku, ze względu na jego nazwisko, świetny niemiecki i częste podróże do Berlina, żartobliwie nazywano go „naszym własnym nazistą”. Stworzył też sieć doskonałych kontaktów w Waszyngtonie i pełnił rolę szej'a wywiadu banku.

— Dziś rano rozmawiałem z przyjacielem, współpracownikiem Henry'ego Stimsona w Departamencie Wojny — powiedział Hardegen. — Po powrocie Roosevelta z rejsu na „Tuscaloosie”,

Stimson powitał prezydenta na Union Station i razem pojechali do Białego Domu. Pytany przez Roosevelta o sytuację w Europie Stimson odparł, że na palcach obu rąk można policzyć dni pokoju.

— Roosevelt wrócił do Waszyngtonu tydzień temu — zauważyła Margaret.

— Zgadza się. Sama sobie policz. A moim zdaniem Stimson to optymista. Ja uważam, że wybuch wojny to kwestia godzin.

— A co z komunikatem, o którym czytałem w dzisiejszym *Timesie*? — wtrącił Peter.

Ubiegłego wieczoru Hitler wysłał do Wielkiej Brytanii notę i *Times* sugerował, że może to pierwszy krok wynegocjowania sposobu uporania się z problemem Polski.

— Moim zdaniem gra na zwłokę — stwierdził Hardegen. — Niemcy mają wzdłuż polskiej granicy sześćdziesiąt dywizji, które tylko czekają na rozkaz.

— W takim razie na co Hitler czeka? — spytała Margaret.

— Na pretekst.

— Przecież Polacy nie dostarczą mu pretekstu do ataku.

— Oczywiście że nie. Ale to nie powstrzyma Hitlera.

— Co masz na myśli, Walkerze? — chciał wiedział Bratton.

— Hitler wymyśli powód usprawiedliwiający atak, prowokację, która pozwoli mu zaatakować bez wypowiedzenia wojny.

— A Anglicy i Francuzi? — zastanawiał się Peter. — Czy dotrzymają zobowiązań i w razie agresji na Polskę wypowiedzą Niemcom wojnę?

— Sądzę, że tak.

— Nie powstrzymali Hitlera w Nadrenii, Austrii czy w Czechosłowacji — zauważył Peter.

— Tak, ale z Polską rzecz ma się inaczej. Wielka Brytania i Francja już zdają sobie sprawę, że Hitlerem trzeba się zająć.

— A co z nami? — zapytała Margaret. — Czy możemy się trzymać od tego z daleka?

— Roosevelt twierdzi, że nie zamierza się w to mieszać — odparł Bratton — ale ja mu nie wierzę. Jeśli całą Europę ogarnie wojna, chyba nie będziemy mogli długo pozostać na uboczu.

— Jak to wpłynie na bank? — niepokoila się Margaret.

— Likwidujemy wszystkie nasze kontakty z Niemcami — wyjaśnił Hardegen. — Jeśli wybuchnie wojna, znajdzie się mnóstwo innych sposobów inwestowania. Może się okazać, że ta wojna to właśnie to, czego potrzebowaliśmy, by wreszcie się otrząsnąć z wielkiego kryzysu.

— Ach, nie ma jak zarabianie na śmierci i zniszczeniu — odezwała się Jane.

Na słowa młodszej siostry Margaret ściągnęła brwi.

Cała Jane. Jane chętnie pozowała na obrazoburczynię; mroczną, ponurą intelektualistkę, krytyczną wobec swojej klasy i wszystkiego, co ona reprezentuje. Równocześnie prowadziła bujne życie towarzyskie i szastała ojcowskimi pieniędzmi, jakby się bała, że lada chwila źródelko wyschnie. W wieku trzydziestu lat ani sama się nie utrzymywała, ani nie myślała o małżeństwie.

— Och, Jane, czyżbyś znowu czytała Marksa? — spytała z lekką kpina Margaret.

— Margaret, proszę — mitygowała Dorothy.

— Parę lat temu Jane mieszkała jakiś czas w Anglii — ciągnęła Margaret, jakby nie słyszała prośby matki. — Od tamtej pory zrobiła się z niej prawdziwa komunistka, prawda, Jane?

— Mam prawo do swoich opinii, Margaret — warknęła Jane. — Hitler jeszcze nie rządzi w tym domu.

— Myślę, że chyba też zostanę komunistka. Wakacje były takie nudne, wszyscy gadali o wojnie. Przerzucenie się na komunizm przynajmniej zapewni nowy temat rozmów. W przyszłym tygodniu Huttonowie urządzą bal kostiumowy. Mogłybyśmy się przebrać za Lenina i Stalina, siostrzyczko. A po przyjęciu wyruszymy na North Fork skolektywizować wszystkie farmy. Świetna zabawa.

Bratton, Peter i Hardegen wybuchnęli śmiechem.

— Dziękuję, Margaret — odezwała się surowo Dorothy. — Dość nas zabawiłaś na dzisiaj.

Za długo już trwała ta rozmowa o wojnie. Dorothy wyciągnęła rękę i musnęła ramię Hardegena.

— Walkerze, wielka szkoda, że nie mogłeś przyjść wczoraj na przyjęcie. Było cudowne. Zaraz ci wszystko opowiem.

Luksusowe mieszkanie przy Piątej Alei z widokiem na Central Park było ślubnym prezentem od Brattona Lauterbacha. Tego wieczoru o siódmej Peter Jordan stał przy oknie. Burza dotarła do miasta. Nad ciemnozielonymi czubkami drzew mignęła błyskawica. Wiatr siekł strugami deszczu o okna. Peter wrócił sam do domu, ponieważ Dorothy uparła się, że Margaret musi się zjawić na garden party u Edith Blakemore. Szofer Lauterbachów, Wiggins, miał ją potem odwieźć. I teraz dorwie ich ulewa.

Peter wyciągnął rękę i piąty raz w ciągu ostatnich pięciu minut spojrzął na zegarek. O wpół do ósmej mieli się spotkać na kolacji w Stork Club z przewodniczącym komisji do spraw dróg i mostów z Pensylwanii. Pensylwania przyjmowała zgłoszenia na projekt nowego mostu nad rzeką Allegheny. Szef chciał, żeby Jordan dziś dobił targu. Petera często delegowano do podejmowania klientów, ponieważ był młody i inteligentny, a do tego żonaty ze śliczną dziewczyną, córką jednego z najbardziej wpływowych bankierów w kraju. Stanowili wspaniałą parę.

Gdzie, u licha, ona się podziewa? — pomyślał.

Zadzwoił do rezydencji w Oyster Bay i rozmawiał z teściową.

— Sama nie wiem, co powiedzieć, Peterze. Wyjechała już dawno, z dużym zapasem. Może to przez pogodę? Znasz Wigginsa, byle deszczyk, a człapie jak żółw.

— Daję jej jeszcze kwadrans. Potem muszę iść.

Peter wiedział, że Dorothy nie wyrazi ubolewania, więc odłożył słuchawkę, by uniknąć niezręcznego milczenia. Nalał sobie ginu z tonikiem i wypił go jednym haustem. Piętnaście po siódmej zjechał windą na dół i czekał w holu, podczas gdy portier wybiegł na dwór i w strugach deszczu polował na taksówkę.

— Kiedy zjawi się moja żona, proszę jej powiedzieć,

żeby pojechała prosto do Stork Club.

— Tak jest, proszę pana.

Kolacja się udała, mimo że Peter trzykrotnie odchodził od stolika i dzwonił to do domu, to do Oyster Bay. O wpół do dziewiątej nie był już zły, tylko śmiertelnie przerażony.

Za piętnaście dziewiąta Paul Delano, szef sali, stanął przy stoliku Petera.

— Jest do pana telefon. Przy barze.

— Dzięki, Paul.

Peter przeprosił gości. Przy barze musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć stukanie kieliszków i szmer rozmów.

— Peter, mówi Jane. Usłyszał, że głos jej drży.

— Co się stało?

— Obawiam się, że doszło do wypadku.

— Gdzie jesteś?

— Na komisariacie w Nassau.

— Co się stało?

— Samochód zajechał im drogę na autostradzie.

Wiggins nie widział go w deszczu. A gdy już zauważył, było za późno.

— O Boże!

— Wiggins jest w fatalnym stanie. Lekarze nie dają mu większych szans.

— Ale co z Margaret, do cholery!

Lauterbachowie nie płaczą na pogrzebach. Cierpi się w zaciszu swego domu. Nabożeństwo odbyło się w kościele Świętego Jakuba, tym samym, gdzie cztery lata wcześniej Peter i Margaret brali ślub. Prezydent Roosevelt przysłał kondolencje i wyraził żal, że nie może wziąć udziału w ceremonii. Stawiła się za to większość nowojorskiej śmietanki. Podobnie jak większość finansjery, choć na

rynkach światowych panował chaos. Niemcy najechały Polskę i świat czekał na wybuch wojny w całej Europie.

W czasie pogrzebu Billy stał obok Petera. Chłopczyk był w krótkich spodenkach, marynarce i krawacie. Kiedy rodzina wychodziła z kościoła, wyciągnął rączkę i pociągnął za rąbek czarnej sukienki cioci Jane.

— Czy mamusia kiedyś wróci do domu?

— Nie, Billy, nie. Odeszła od nas.

Edith Blakemore usłyszała pytanie dziecka i wybuchnęła płaczem.

— Co za tragedia — szlochała. — Jaka niepotrzebna śmierć! Margaret chowano w rodzinnym grobie na Long Island, na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Gdy wielebny Pugh wypowiadał ostatnie słowa obrządku, wśród żałobników przebiegł szmer, który szybko zamarł.

Po ceremonii Peter wracał do limuzyny ze swym serdecznym przyjacielem, Shepherdem Ramseyem. To Shepherd przedstawił go Margaret. Nawet w ciemnym garniturze wyglądał, jakby zszedł prosto z pokładu swego jachtu.

— O czym ludzie tak gadali? — spytał Peter. — Co za brak przyzwoitości!

— Ktoś się spóźnił. W drodze słuchał wiadomości radiowych — wyjaśnił Shepherd. — Wielka Brytania i Francja właśnie wypowiedziały Niemcom wojnę.

Rozdział trzeci

Londyn; maj 1940

Trzeciego piątku maja 1940 roku profesor Alfred Vicary w tajemniczy sposób zniknął z Uniwersytetu Londyńskiego. Jako ostatnia widziała go tam sekretarka, niejaka Lillian Walford. W przyływie rzadkiej u niej niedyskrecji wyjawiała innym wykładowcom, że ostatnim telefonem, jaki odebrał Vicary, był telefon od nowego premiera. Co więcej, ona sama rozmawiała z panem Churchillem.

— To samo było z Mastermanem i Cheneyem w Oksfordzie — stwierdził Tom Perrington, egiptolog, wpatrując się we wpis w rejestrze rozmów telefonicznych. — Tajemnicze rozmowy, faceci w ciemnych garniturach. Podejrzewam, że nasz drogi przyjaciel Alfred zniknął za zasłoną. — Po czym dorzucił *sotto voce*: — Udał się na tajny Akropol.

Mimo uśmiechu Perringtonowi nie udało się ukryć rozczarowania — pomyślała później panna Walford. Prawdziwa szkoda, że Anglia nie toczy wojny ze starożytnymi Egipcjanami. Wtedy może i Perringtona by wybrano.

Vicary spędził ostatnie godziny w małym zaśmieconym gabinecie z widokiem na Gordon Square, nanosząc poprawki do artykułu dla *Sunday Timesa*. Sugerował w nim, że można by uniknąć obecnego kryzysu, gdyby Wielka Brytania i Francja zaatakowały Niemcy w 1939 roku, kiedy Hitler całą uwagę skoncentrował na Polsce. Vicary zdawał sobie sprawę, że przy obecnych nastrojach jego artykuł

spotka się z powszechną krytyką; ostatni jego tekst pronazistowska skrajna prawica uznała za „churchillowskie podżeganie do wojny”. W głębi ducha Vicary liczył, że najnowsza publikacja spotka się z podobnym echem).

Był cudowny wiosenny dzień — słońce świeciło jasno, ale mimo to na dworze panował podstępny chłód. Vicary, świetny, choć niechętnie zasiadający do stolika szachista, doceniał znaczenie dezorientacji. Wstał, włożył sweter i wrócił do pracy.

Śliczna pogoda fałszowała obraz. Brytyjczycy stali się narodem obleżonym: bezbronnym, przerażonym, pogrążonym w chaosie. Szykowano plany ewakuowania rodziny królewskiej do Kanady. Rząd zwrócił się z apelem, by drugi narodowy skarb Wielkiej Brytanii — dzieci — wywieźć na wieś, gdzie nie dosięgną ich niemieckie bomby.

Dzięki doskonałej akcji propagandowej rząd nadzwyczajnie wyczulił społeczeństwo na zagrożenie, jakie stanowią szpiedzy i piąta kolumna. Teraz zbierał tego owoce. Policjanci tonęli w doniesieniach o „obcych, podejrzanych osobnikach” lub „dżentelmenach wyglądających na Niemców”. Obywatele podsłuchiwali rozmowy w pubach, przyjmując do wiadomości tylko to, co im odpowiadało, a następnie biegli z tym na policję. Informowali o sygnałach dymnych, mrugających światłach nadbrzeżnych, szpiegach na spadochronach. Po kraju rozniosła się plotka, że w czasie inwazji na Niderlandy szpiedzy podszywali się pod zakonnice, i oto nagle zakonnice stały się podejrzane. Większość opuszczała bezpieczne zacisze klasztoru jedynie wtedy, gdy naprawdę musiała.

Milion mężczyzn za młodych, za starych albo za słabych, by znaleźć się w siłach zbrojnych, hurmem

przystępowało do Straży Obywatelskiej. A ponieważ zabrakło strzelb dla wszystkich, zbroili się, w co mogli: dubeltówki, miecze, kije do szczotek, średniowieczne pałki, finki, a nawet kije golfowe. Tym, którym mimo wszystko nie udało się znaleźć stosownego oręża, zalecono noszenie przy sobie pieprzu, by nim sypnąć w oczy najeźdźcy.

Vicary, ceniony historyk, te nieskładne przygotowania narodu do wojny obserwował z niezwykłą dumą z domieszką cichej rozpacz. Przez całe lata trzydzieste w swoich artykułach prasowych i na prelekcjach ostrzegał, że Hitler stanowi poważne zagrożenie dla Anglii i reszty świata. Lecz Wielka Brytania, która jeszcze nie otrząsnęła się po ostatniej wojnie z Niemcami, nie chciała słuchać o kolejnej. Teraz niemiecka armia maszerowała przez Francję z taką łatwością, jakby to była weekendowa wycieczka. Już wkrótce Adolf Hitler stanie na czele imperium rozciągającego się od koła polarnego po Morze Śródziemne. A przeciwko niemu stanie tylko słabo uzbrojona, źle przygotowana Wielka Brytania.

Vicary skończył artykuł, odłożył ołówek i przeczytał tekst od początku. Na dworze słońce zalewało Londyn pomarańczową luną. Przez okno wionął zapach wiosennych krzewów, kwitnących na Gordon Square. Popołudnie było dość chłodne, pyłki pewnie wywołają atak kataru siennego. Ale tak przyjemnie czuć orzeźwiający powiew na twarzy, nawet herbata jakoś lepiej wtedy smakuje. Vicary nie zamknął okna, rozkoszował się pogodą.

Wojna — to przez nią inaczej myśli i działa. Przez nią z większą sympatią spogląda na swoich rodaków, którzy na ogół budzili w nim coś bliskiego desperacji. Zdumiewał się, że potrafią żartować w chwili, gdy biegną do metra schronić się przed bombami, z zachwytem patrzył, jak

śpiewają w pubach, ukrywając strach. Długo trwało, nim znalazł właściwe słowo na nazwanie tego zjawiska: patriotyzm. Spędził całe lata na badaniu historii i doszedł do wniosku, że to najbardziej destrukcyjna siła na świecie. Teraz jednak w jego piersi budziła się miłość do ojczyzny i wcale nie czuł się tym zażenowany. My stoimy po dobrej stronie, oni po złej. Nasz nacjonalizm jest uzasadniony.

Vicary uznał, że chce się do tego przyłączyć. Chce coś zrobić, a nie tylko obserwować świat przez swoje dobrze strzeżone okno.

O szóstej Lillian Walford weszła bez pukania. Była wysoką kobietą o masywnych nogach, nosiła okrągłe szkła, które uwyrażniały jej niechętnie spojrzenie. Cicho, z wprawą pielęgniarki z nocnego dyżuru, zaczęła porządkować papiery i zamykać książki.

Zasadniczo panna Walford miała zajmować się wszystkimi wykładowcami na wydziale. Uważała jednak, że Bóg w swej nieskończonej mądrości powierzył każdemu z nas jedną duszę, nad którą mamy sprawować opiekę. A żadna dusza nie potrzebowała opieki tak bardzo jak profesor Vicary. Panna Walford od dziesięciu lat z wojskową precyzją doglądała szczegółów prostego życia profesora. Dbala, by w jego mieszkaniu przy Draycott Place w Chelsea nie zabrakło jedzenia. Pilnowała, by prano jego koszule i dodawano do płukania odpowiednią ilość krochmalu: nie za dużo, by nie podrażnić delikatnej skóry na karku. Doglądała jego rachunków i regularnie wygłaszała mu kazania na temat stanu miernie zarządzanego konta w banku. Systematycznie najmowała dla niego gosposie, gdyż jego wybuchy gniewu nieustannie odstraszały pracownice. A choć tak blisko ze sobą współpracowali, nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu. Ona pozostawała panną Walford, on zaś profesorem

Vicarym. Wolą, by nazywać ją osobistą asystentką i, co było u niego niezwykle, profesor zadośćuczynił jej prośbie.

Sekretarka przemknęła obok Vicary'ego i zamknęła okno, spoglądając na niego z wyrzutem.

— Jeśli panu to nie przeszkadza, profesorze, pójdę już do domu.

— Oczywiście, panno Walford.

Podniósł na nią wzrok. Był drobnym mężczyzną, typowym molem książkowym, łysiejącym, z kilkoma niesfornymi pasmami siwych włosów po bokach. Na czubku nosa spoczywały zniszczone okulary konferencyjne. Na szklach nieustannie widniały ślady palców, gdyż w chwilach zdenerwowania profesor zakładał je i zdejmował. Nosił przetartą tweedową marynarkę i pierwszy lepszy krawat, przeważnie poplamiony herbatą. Jego chód stanowił przedmiot kpin na wydziale, i wielu studentów nauczyło się go doskonale naśladować, choć Vicary nawet się tego nie domyślał. Zraniony w kolano — pamiątka z ostatniej wojny — wyraźnie kulał. Zepsuty, już nieprzydatny ołowiany żołnierz, myślała panna Walford. Miał tendencję do pochylania głowy, by popatrzeć nad połówkami szkieł, i stale wyglądał tak, jakby się spieszył gdzieś, gdzie nie miał ochoty się znaleźć.

— Pan Ashworth przyniósł panu dwa ładne kawałki jagnięciny — informowała panna Walford, ze zmarszczonymi brwiami spoglądając na stertę nie uporządkowanych papierów, jakby wykładowca był nieposłusznym dzieckiem. — Powiedział, że to mogą być ostatnie kawałki na długi czas.

— Bardzo prawdopodobne — przyznał Vicary. — Nie pamiętam, kiedy ostatnio w jadłospisie Connaught widziałem mięso.

— Nie sądzi pan, profesorze, że to już zaczyna

zakrawać na absurd? Wczoraj rząd ogłosił, że góra autobusów ma być pomalowana na kolor khaki. Ich zdaniem dzięki temu Luftwaffe trudniej będzie je zbombardować.

— Niemcy są bezwzględni, panno Walford, ale nawet oni nie będą marnować czasu na próby bombardowania pasażerów autobusów.

— Zakazano też strzelania do gołębi pocztowych. Może mi pan wyjaśnić, jakim cudem mam odróżnić gołębia pocztowego od zwyczajnego?

— Nie uwierzyłaby pani, ile razy sam mam ochotę strzelać do gołębi.

— A właśnie, pozwoliłam sobie też zamówić dla pana sos miętowy. Wiem, że żeberka jagnięce bez sosu miętowego potrafią panu zepsuć humor na cały tydzień.

— Dziękuję, panno Walford.

— Wczoraj dzwonił pański wydawca, szczotki najnowszej książki są już gotowe, może je pan przejrzeć.

— Zaledwie z czterotygodniowym opóźnieniem. To prawdziwy rekord Cagleya. Proszę mi przypomnieć, żebym sobie poszukał nowego wydawcy, panno Walford.

— Dobrze, panie profesorze. Dzwoniła też panna Simpson. Musi odwołać dzisiejszą kolację z panem. Jej matka zachorowała. Prosiła, żeby pana uspokoić, że to nic poważnego.

— Niech to licho — mruknął Vicary. Wyglądał tej randki z Alice Simpson. Od bardzo dawna o nikim nie myślał tak poważnie jak o niej.

— Czy to wszystko?

— Nie. Dzwonił pan premier.

— Co! Dlaczego mnie pani nie połączyła?

— Przecież sam pan wyraźnie powiedział, że nie wolno panu przeszkadzać. Pan Churchill zrozumiał, kiedy mu to

przekazałam. Stwierdził, że nic bardziej mu nie działa na nerwy, jak kiedy mu się przeszkadza przy pisaniu.

Vicary zmarszczył brwi.

— Od tej pory, panno Walford, udzielam pani pozwolenia na przerywanie mi, gdy dzwoni pan Churchill.

— Tak, panie profesorze Vicary — odparła, nadal przekonana, że postąpiła słusznie.

— Co powiedział premier?

— Że oczekuje pana jutro na lunchu w Chartwell.

Vicary, zależnie od nastroju, wracał do domu różnymi drogami. Czasem wybierał ruchliwą promenadę sklepową albo zatłoczone uliczki Soho, innym razem omijał hałaśliwe okolice i spacerował przez dzielnicę willową, od czasu do czasu przystając, by zachwycić się jakimś cudownym przykładem osiemnastowiecznej architektury, albo zwalniając, by posłuchać odgłosów muzyki, śmiechu i dźwięku szkła krążącego gdzieś wśród rozbawionych gości.

Dziś, w zapadającym zmierzchu, wybrał wędrowkę po cichej ulicy.

Przed wojną wieczory na ogół spędzał w bibliotece, czytając, do późnej pory krążąc między regałami niczym duch. Czasem zasypiał nad książką. Panna Walford udzieliła nocnym stróżom instrukcji, żeby, jeśli natkną się na śpiącego profesora, obudzili go, opatulili w płaszcz i odesłali do domu.

Wszystko to zmieniło się wraz z zaciemnieniem. Co noc nad miastem zapadała nieprzenikniona ciemność. Rodowici londyńczycy gubili się na ulicach, którymi chodzili od lat. Dla Vicary'ego zaś, cierpiącego na kurzą ślepotę, nocne wyprawy po mieście stały się praktycznie niemożliwe. Wyobrażał sobie, że właśnie tak musiało to wyglądać przed

dwoma tysiącami lat, kiedy cały Londyn składał się z chat przycupniętych nad brzegami Tamizy. Czas się cofnął, stulecia nagle się rozplynęły, niewątpliwy postęp ludzkości zahamowała groźba bombowców Göringa. Codziennie po południu Vicary wyrywał się z uczelni i spieszył do domu, by nie ugrzęznąć w zaciemnionych bocznych uliczkach Chelsea. Wylądowawszy bezpiecznie w domu, wypijał dwa nieodzowne kieliszki burgunda i zjadał porcję żeberek z groszkiem, które gospościa zostawiała mu w ciepłym piekarniku. Gdyby nie przygotowywano mu posiłków, zagłodziłby się na śmierć, ponieważ ciągle jeszcze nie potrafił sobie poradzić ze złożonością nowoczesnej angielskiej kuchni.

Po kolacji trochę muzyki, jakaś sztuka nadawana przez radio, może nawet kryminał, cicha namiętność, do której nikomu się nie przyznawał. Vicary lubił tajemnice; lubił zagadki. Sprawiało mu przyjemność korzystanie z własnej umiejętności logicznego myślenia oraz zdolności do dedukcji i rozwiązywanie łamigłówek na długo przed tym, nim zrobił to autor. Podobały mu się też studia charakterologiczne; często odnajdował tu zbieżności ze swoją pracą: dlaczego dobrzy z natury ludzie czasem uciekają się do okrucieństwa.

Zasypianie też stanowiło cały rytuał. Najpierw drzemał w swoim ulubionym fotelu przy lampce do czytania. Potem przenosił się na kozetkę. Następnie, zwykle parę godzin przed świtem, szedł na górę do sypialni. Czasem wskutek koncentracji, jakiej wymagało rozebranie się, wybijał się ze snu i leżał, rozmyślając, czekając na świt i skrzek starej sroki, która co rano chlapała się w ogrodzie.

Vicary wątpił, czy dzisiejszej nocy porządnie się wyśpi — nie po wezwaniu od Churchilla.

To nie fakt, że Churchill zadzwonił do niego do pracy,

go poruszył — dość często kontaktowali się telefonicznie — lecz moment, w jakim to się stało. Przyjaźnili się od jesieni 1935 roku, kiedy to profesor wybrał się na prelekcję Churchilla. Churchill, na ogół lekceważony, należał do niewielkiej grupki Anglików dostrzegających zagrożenie, jakie niesie ze sobą Hitler oraz jego zwolennicy. Tamtego wieczoru twierdził, że Niemcy gorączkowo się zbroją, że Hitler dąży do jak najszybszego wybuchu wojny. Wielka Brytania musi natychmiast zacząć się do tego szykować, tłumaczył, inaczej grozi jej okupacja faszystowska. Słuchacze uważali, że Churchill postradał zmysły i bezlitośnie go wyśmiali. Prelegent skrócił wykład i upokorzony wrócił do Chartwell.

Vicary stał wtedy w głębi sali, obserwując przedstawienie. On również od momentu dojścia Hitlera do władzy bacznie się przyglądał Niemcom. Przepowiadał swoim kolegom — historykom, że wkrótce Anglia znajdzie się w stanie wojny z Niemcami, może nawet przed końcem tego dziesięciolecia. Nikt go nie słuchał. Zdaniem wielu Hitler stanowił doskonałą przeciwwagę dla Związku Radzieckiego i należało go wspierać. Vicary uważał to za skrajny idiotyzm. Podobnie jak reszta rodaków sądził, że Churchill to swego rodzaju awanturnik, odrobinę zbyt zadziorny. W kwestii nazizmu przyznawał mu całkowitą rację.

Po powrocie do domu siadł przy biurku i skreślił jednozdaniową notkę: „Byłem na pańskiej prelekcji w Londynie i zgadzam się z każdym pańskim słowem”. Pięć dni później przyszedł do niego list od Churchilla: „Dobry Boże, więc jednak nie jestem sam! Wielki Vicary jest po mojej stronie! Proszę uczynić mi ten zaszczyt i przyjechać w niedzielę na lunch do Chartwell”.

Pierwsze spotkanie okazało się sukcesem. Vicary

natychmiast znalazł się w kręgu naukowców, dziennikarzy, oficerów i urzędników państwowych, którzy przez całe lata trzydzieste służyli Churchillowi radą i wiedzą o Niemczech. Winston zmuszał Vicary'ego do wysłuchiwanie swoich teorii na temat Niemiec, a wygłaszał je, krążąc po zabytkowej bibliotece swej rezydencji. Czasem Vicary był innego zdania i zmuszał Churchilla do bliższego wyjaśnienia jego poglądów. Zdarzało się, że Churchill wpadał w gniew i odmawiał dalszej dyskusji. Vicary uparcie trwał przy swoim. I tak cementowała się ich przyjaźń.

Teraz, krocząc o zmierzchu londyńskimi uliczkami, Vicary rozważał, co oznacza zaproszenie Churchilla do Chartwell. Z pewnością nie chodziło wyłącznie o przyjacielską pogawędkę.

Skręcił w ulicę zabudowaną białymi georgiańskimi domami, które teraz tonęły w różowawym blasku zachodzącego wiosennego słońca. Szedł wolno, zatopiony w myślach, w jednej ręce ściskając ciężką teczkę, drugą wepchnąwszy w kieszeń płaszcza. W progu jednego z domów pojawiła się szykowna kobieta, mniej więcej w jego wieku. Za nią wynurzył się przystojny mężczyzna o znużonej twarzy. Nawet z tej odległości — i mimo kurzej ślepoty — Vicary poznał Helen. Rozpoznałby ją wszędzie: prosta sylwetka, smukła szyja, wyniosłe ruchy, jakby miała ominąć coś obrzydliwego. Vicary patrzył, jak tych dwoje wsiada do limuzyny z szoferem. Samochód ruszył z chodnika i jechał w jego stronę.

Odwróć się, skończony kretynie! Nie patrz na nią!

Ale nie potrafił posłuchać własnej rady. Kiedy limuzyna przejeżdżała obok, odwrócił się i zerknął do środka. Zauważyła go — to był ułamek sekundy, ale wystarczyło. Zażenowana szybko spuściła wzrok. Potem przez tylną szybę Vicary widział, jak pochyla się i mówi coś do męża, a

ten wybuchu śmiechem.

Idiota! Przeklęty kretyn! Idiota!

Vicary ruszył dalej. Podniósł głowę i odprowadził wzrokiem samochód znikający za rogiem. Zastanawiał się, gdzie mogli jechać — na kolejne przyjęcie, może do teatru.

Dlaczego nie potrafię o niej zapomnieć? Na miłość boską, toż to już dwadzieścia pięć lat! A potem pomyślał: I dlaczego serce ci wali, jakbyś po raz pierwszy ją widział?

Tak przyspieszył kroku, że wkrótce się zmęczył. Myślał o wszystkim, żeby nie myśleć o niej. Dotarł do placu zabaw, stanął przy bramie z kutego żelaza i przez sztachety przyglądał się dzieciom. Były za ciepło ubrane jak na maj i obijały się o siebie niczym tłuściutkie pingwiny. Byle niemiecki szpieg, gdyby czaił się w okolicy, bez wątpienia zauważyłby, że wielu londyńczyków lekceważy ostrzeżenia rządu i nie ewakuuje pociech z miasta. Vicary, w którym dzieci zazwyczaj nie budziły szczególnej czułości, tkwił dalej przy placu zasluchany, zahipnotyzowany, myśląc, że nie ma nic równie pocieszającego, jak odgłosy zabaw maluchów.

Samochód Churchilla czekał na niego na stacji. Pomknęli przez miasto, potem wśród zielonych pagórków południowo— wschodniej Anglii. Dzień był chłodny, wietrzny, wszystko dokoła kwitło. Vicary siedział z tyłu, jedną ręką zaciskając polity płaszcza, drugą przytrzymując kapelusz. Wiatr hulał po odkrytym samochodzie. Vicary zastanawiał się, czyby nie poprosić szofera, żeby przystanął i rozłożył dach. I wtedy zaczął się nieunikniony atak kataru siennego: najpierw pojedyncze kichnięcia niczym próbne wystrzały, a potem regularna seria z karabinu maszynowego. Nie wiedział, czy puścić kapelusz czy

płaszcz, żeby zasłaniać usta przy kaszlu. Raz za razem odwracał głowę, by obłoczki wilgoci i zarazków po każdym kichnięciu szły z wiatrem.

Kierowca dostrzegł w lusterku, że pasażerowi coś dolega.

— Chce pan, żebym się zatrzymał, profesorze Vicary?
 — spytał zaniepokojony, zjeżdżając na pobocze.

Atak kataru ustąpił i Vicary wreszcie mógł się rozkoszować przejażdżką. Właściwie nie przepadał za wsią. Był londyńczykiem z krwi i kości. Lubił tłum, hałas, ruch; na otwartych przestrzeniach często się gubił. Poza tym nie znosił ciszy nocy. Nie potrafił wtedy zapanować nad myślami, w wyobraźni widział czających się w mroku myśliwych. Teraz jednak zachwycał się naturalnym pięknem przyrody Anglii.

Wóz skręcił w podjazd prowadzący do Chartwell. Kiedy Vicary wysiadał, serce zabiło mu mocniej. Ledwo podszedł do wejścia, drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Inches, pokojowiec Churchilla.

— Dzień dobry, profesorze Vicary. Pan premier bardzo niecierpliwie wygląda pańskiego przybycia.

Vicary dał służącemu płaszcz i kapelusz i wszedł do środka. W salonie krzątało się kilkunastu mężczyzn i parę młodych dziewcząt, część w mundurach, część w cywilu, tak jak on. Rozmawiali przyciszonymi głosami, poufnie, jakby przekazywali sobie wyłącznie złe wieści. Zadzwieczał jeden telefon, potem drugi. Słuchawkę podnoszono po pierwszym sygnale.

— Mam nadzieję, że miał pan udaną podróż — mówił Inches.

— Doskonałą — skłamał uprzejmie Vicary.

— Jak zwykle pan Churchill jest dziś nieco spóźniony — uprzedził Inches i dodał konfidencjonalnie: — Narzuca

zabójcze tempo, a my cały dzień spędzamy, próbując temu sprostać.

— Rozumiem, Inches. Gdzie mam poczekać?

— Szczerze mówiąc, premier bardzo chce się z panem spotkać jeszcze przed południem. Poprosił, żebym, kiedy tylko pan się zjawi, wprowadził pana na górę.

— Na górę?

Inches delikatnie zapukał do drzwi łazienki, potem je otworzył. Churchill leżał w wannie, w dłoni trzymał cygaro. Na stoliku w zasięgu ręki stała szklaneczka z drugą tego dnia porcją whisky. Inches zapowiedział Vicary'ego i zniknął.

— Vicary, mój druhu — rzekł Churchill, potem pochylił nieco głowę i zdmuchnął parę mydlanych baniek. — Jak miło z pana strony, że zechciał pan przyjechać.

Vicary gotował się w dusznej łazience. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu na widok olbrzymiego, zaróżowionego mężczyzny, który chlapie się w wannie jak dzieciak. Zdjął tweedową marynarkę i z ociąganiem przysiadł na muszli.

— Chciałem zamienić z panem słowo na osobności. Właśnie dlatego zaprosiłem pana tutaj, do mego leża. — Churchill zacisnął wargi. — Vicary, na początek muszę oświadczyć, że jestem na ciebie zły.

Vicary znieruchomiał. Churchill już otwierał usta, by podjąć wątek, ale nic nie powiedział. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i troska.

— Inches! — ryknął.

Wsunął się lokaj.

— Tak, proszę pana?

— Inches, zdaje się, że temperatura wody spadła poniżej czterdziestu stopni. Byłbyś łaskaw to sprawdzić?

Podwijając rękaw, Inches wyciągnął termometr.

Przyjrzał mu się bacznie, niczym archeolog badający fragment jakiejś starożytnej kości.

— Rzeczywiście, ma pan rację. Temperatura pańskiej kąpieli spadła do trzydziestu dziewięciu stopni. Czy mam dolać gorącej wody?

— Oczywiście.

Inches odkręcił kran z gorącą wodą. Churchill uśmiechnął się, kiedy kąpiel osiągnęła pożądaną temperaturę.

— Znacznie lepiej, Inches.

Przekręcił się w wannie. Woda przelała się przez krawędź, zmoczyła nogawkę spodni Vicary'ego.

— Mówił pan, panie premierze...?

— A tak, mówiłem, Vicary, że jestem na ciebie zły. Ani słówkiem nie wspomniałeś, że za swoich młodych lat całkiem nieźle sobie radziłeś z szachami. Ponoć biłeś na głowę wszystkich w Cambridge.

— Przepraszam, panie premierze — odparł zmieszany Vicary — ale w żadnej z naszych rozmów nie pojawił się temat szachów.

— Błyskotliwa, bezwzględna, ryzykancka, tak ludzie opisywali mi twoją grę. — Churchill zawiesił głos. — W czasie pierwszej wojny służyłeś też w wywiadzie wojskowym.

— Byłem tylko w oddziale motocyklistów, pełniłem rolę kuriera, nic więcej.

Churchill odwrócił wzrok od rozmówcy i zapatrzył się w sufit.

— W tysiąc dwieście pięćdziesiątym roku przed naszą erą Bóg kazał Mojżeszowi wysłać zwiadowców, żeby zbadali ziemię Kanaan. W swojej łaskawości dał mu też pewne wskazówki, jak należy wybrać szpiegów. Do tak odpowiedzialnego zadania, rzekł Pan, nadają się wyłącznie

najlepsi i najinteligentniejsi, a Mojżesz wziął sobie te słowa do serca.

**— To prawda, panie premierze — zgodził się Vicary.
— Ale prawdą jest też to, że nędznie spożytkowano informacje dostarczone przez wywiadowców. I w wyniku tego Izraelici przez kolejne czterdzieści lat blakali się po pustyni.**

Churchill się uśmiechnął.

— Już dawno powinienem był się nauczyć, że nie ma sensu się z tobą sprzeczać, Alfredzie. Zawsze podziwiałem twoją błyskotliwą inteligencję.

— Czego pan ode mnie oczekuje?

— Chcę, żebyś podjął pracę w wywiadzie wojskowym.

— Ależ, panie premierze, brak mi kwalifikacji do tego rodzaju...

— Nikt tutaj nie wie, co robi — wpadł mu w słowo Churchill. — Zwłaszcza zawodowi oficerowie.

— Co się stanie z moimi studentami? Moimi badaniami?

**— Twoi studenci już niedługo będą walczyć na froncie. A twoje badania mogą poczekać. — Churchill zawiesił głos.
— Znasz Johna Mastermana i Christophera Cheney'a z Oksfordu?**

— Proszę mi nie mówić, że ich wciągnięto.

— A i owszem. I nie myśl sobie, że znajdziesz teraz na którymś z uniwersytetów choć jednego wybitnego matematyka. Wszystkich ich zabrano z uczelni i ulokowano w Bletchley Park.

— Co, u licha, oni tam robią?

— Próbują złamać niemieckie szyfry. Vicary przez chwilę udawał namysł.

— Wygląda na to, że przyjmuję pańską propozycję.

— Dobrze. — Churchill rąbnął pięścią w krawędź

wanny. — W poniedziałek z samego rana masz się zgłosić do generała Basila Boothby'ego. Kieruje on wydziałem, do którego będziesz wyznaczony. A poza tym jest typowym dupkiem z angielskich wyższych sfer. Wysiadałby mnie, gdyby tylko mógł, ale jest na to za głupi. Taki typek jak on potrafiłby przejechać nawet pocisk.

— Z opisu sądząc, czarujący.

— Wie, że się przyjaźnimy, i dlatego będzie wobec ciebie wrogo nastawiony. Nie daj się mu sterroryzować. Jasne?

— Tak, panie premierze.

— Potrzebny mi ktoś zaufany w tamtym departamencie. Pora, żeby w wywiadzie zaczęli znowu pracować ludzie z głową. Poza tym tobie też wyjdzie to na dobre. Najwyższy czas wygrzebać się z tej zakurzonej biblioteki i przyłączyć do świata żywych.

Churchill zaskoczył go tą nieoczekiwaną nutą serdeczności. Vicary przypomniał sobie ubiegły wieczór, spacer do domu, zagłądanie do samochodu Helen.

— Tak, panie premierze, rzeczywiście, chyba już czas. Tylko co ja właściwie będę robił w wywiadzie wojskowym? Ale Churchill zanurzył się i zniknął pod wodą.

Rozdział czwarty

Kętrzyn, Niemcy; styczeń 1944

Kontradmirał Wilhelm Franz Canaris był drobnym nerwowym mężczyzną, którego charakteryzowało lekkie seplenienie oraz sarkastyczny dowcip, choć to ostatnie okazywał tylko, jeśli miał ochotę. Siwy, o przenikliwych, intensywnie błękitnych oczach, siedział teraz z tyłu służbowego mercedesa, który toczył się z lotniska w

Kętrzynie do tajnego bunkra Hitlera, znajdującego się kilkanaście kilometrów dalej. Zazwyczaj Canaris unikał jakichkolwiek mundurów i chodził w ciemnym cywilnym garniturze. Ponieważ jednak dziś miał spotkać się z Adolfem Hitlerem i najwyższymi wojskowymi Trzeciej Rzeszy, pod eleganckim płaszczem miał mundur marynarki wojennej.

Canaris nazywany był przez przyjaciół i wrogów Szczwanym Lisem. Wyniosła, chłodna osobowość predysponowała go do bezwzględnego świata wywiadu. Oprócz żony Eriki i córek kochał wyłącznie dwa jamniki, które teraz spały u jego stóp. Jeśli zajęcia wymagały noclegu poza Berlinem, wynajmował dla psów osobny pokój z podwójnym łóżkiem, by wygodnie im się spało. A jeśli już musiał zostawić je w Berlinie, nieustannie kontaktował się ze stolicą i upewniał się, czy zwierzaki zjadły i wypróżniły się jak należy. Pracownikom Abwehry, którzy ośmielili się źle wyrazić o ulubieńcach kontradmirała, groziło realne niebezpieczeństwo złamania kariery, gdyby do jego uszu dotarło choć jedno słowo o ich przენiewierstwie.

Wychowany w otoczonej murem willi w Dortmundzie, na przedmieściach Alperbeck, Wilhelm Canaris należał do niemieckiej elity, tak znienawidzonej przez Adolfa Hitlera, syna gryzióórka i potomkini Włochów, którzy w XVI wieku wyemigrowali do Niemiec. Canaris władał językami przyjaciół Niemiec i ich wrogów: mówił po włosku, hiszpańsku, angielsku, francusku i rosyjsku, regularnie uczestniczył też w koncertach muzyki kameralnej, organizowanych w jego rezydencji w Berlinie. Służył jako dowódca bazy morskiej w Świnoujściu, kiedy to w 1933 roku Hitler nieoczekiwanie postawił go na czele Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego oraz sztabu

generalnego. Hitler nakazał swojemu nowemu przywódcy wywiadu stworzyć tajne służby na wzór brytyjski — „porządek, żarliwe wykonywanie zadań” — i Canaris oficjalnie stanął na czele tej agencji w 1934, w dniu Nowego Roku, a zarazem swoich czterdziestych siódmych urodzin.

Czas pokazał, że Hitler popełnił w tym momencie jeden z największych swoich błędów. Z chwilą objęcia dowództwa nad Abwehrą Wilhelm Canaris prowadził podwójną grę na olbrzymią skalę: dostarczając sztabowi informacji, których potrzebowali do podbicia większości Europy, a równocześnie wykorzystując tajne służby jako narzędzie do zniszczenia Hitlera. Stał na czele tajnego ruchu oporu nazywanego przez gestapo Czarną Orkiestrą — *Schwarze Kapelle*. To wąskie grono oficerów, urzędników państwowych i przywódców ludowych bez powodzenia usiłowało obalić führera i negocjować z aliantami warunki układu pokojowego. Canaris nie raz dopuścił się zdrady. W 1939 roku, dowiedziawszy się o planach inwazji na Polskę, ostrzegł o tym Brytyjczyków, ludząc się, że w ten sposób sprowokuje ich do działania. To samo zrobił też w 1940 roku, kiedy Hitler zapowiedział, że szykuje się do zajęcia Niderlandów i Francji.

Canaris odwrócił się i przez okno samochodu spoglądał na gęsty, cichy i mroczny las, przypominający scenerię baśni braci Grimm. Jadąc wśród oproszonych śniegiem drzew, admirał myślał o ostatnich zamachach na życie führera. Dwa miesiące temu, w listopadzie, młody kapitan, niejaki Axel von dem Bussche zgłosił się na ochotnika, że zabije Hitlera podczas prezentacji nowych strojów zimowych Wehrmachtu. Bussche zamierzał ukryć pod swoim płaszczem kilkanaście granatów i potem detonując je w czasie pokazu, zabić siebie i führera. Jednak na dzień przed próbą zamachu alianckie bombowce zniszczyły

magazyn, w którym przechowywano mundury. Prezentację przesunięto, a potem już nie wyznaczono nowego terminu.

Canaris wiedział, że dojdzie do kolejnych takich prób — wielu jest dzielnych Niemców, gotowych poświęcić życie, byle wyzwolić ojczyznę od Hitlera — ale równocześnie uświadamiał sobie, że czas ucieka. Angielsko—amerykańska inwazja na Europę stała się nieunikniona. Roosevelt jasno dał do zrozumienia, że nie zadowoli go nic z wyjątkiem bezwarunkowej kapitulacji. Niemcy legną w gruzach — czyli dojdzie do tego, czego Canaris się obawiał już w 1933 roku, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z mesjanistycznych zapędów Hitlera. Czuł też, jak Abwehra coraz bardziej wymyka mu się ze słabych rąk. Gestapo aresztowało i oskarżyło o zdradę licznych pracowników kwatery głównej Abwehry w Berlinie. Wrogowie knuli spisek, którego celem było przejęcie kontroli nad wywiadem oraz zaciśnięcie na szyi Canarisa pętli ze struny fortepianowej. Zdawał sobie sprawę, że jego dni są policzone, a wieloletnia podwójna działalność dobiega kresu. Samochód mijał kolejne bramy i punkty kontrolne, następnie skręcił do Wilczego Szańca Hitlera. Jamniki ocknęły się, zaczęły nerwowo popiskiwać i wskoczyły panu na kolana. Spotkanie miało się odbyć w zamkniętym, dusznym pomieszczeniu sztabowym w podziemnym bunkrze. Canaris wysiadł z wozu i posępnym krokiem zmierzał przez teren warowni. U stóp schodów stał byczkowaty strażnik SS. Wyciągnął rękę po broń Canarisa. Admirał, który brzydził się bronią i nie znosił przemocy, potrząsnął głową i minął esesmana.

— W listopadzie wydałem dyrektywę numer pięćdziesiąt jeden — przystąpił od razu do rzeczy Hitler.

Krażył po pokoju z założonymi na plecach rękami. Ubrany był w jasnoszarą górę od munduru, czarne spodnie i imponujące buty do konnej jazdy. Na kieszonce na lewej piersi nosił Żelazny Krzyż, który zdobył w czasie I wojny pod Ypres, gdzie jako poborowy służył w piechocie.

— W dyrektywie pięćdziesiąt jeden dałem wyraz swemu przekonaniu, że Anglosasi będą próbować ataku na północno— zachodnią część Francji nie później niż na wiosnę, a może nawet wcześniej. Wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy w niczym nie zmieniły mego przekonania.

Siedzący przy stole konferencyjnym Canaris obserwował miotającego się po sali führera. Przygarbiona sylwetka — skutek kifozy kręgosłupa — ostatnio jeszcze bardziej pochyliła się do przodu. Ciekawe, czy wreszcie zaczął czuć presję? — zastanawiał się w duchu Canaris. Powinien. Czy to nie Fryderyk Wielki powiedział „Kto broni wszystkiego, nie broni nic”? Hitler powinien był pójść za radą swego duchowego przewodnika, gdyż Niemcy znalazły się w tej samej sytuacji co podczas tamtej wojny światowej. Podbiły zbyt wiele terenów, by zdołać ich teraz bronić. Hitler urządził się tak na własną prośbę. Cholerny głupek!

Canaris zerknął na mapę. Na wschodzie niemieckie oddziały walczyły na froncie liczącym sobie dwa tysiące kilometrów. Jakiegokolwiek nadzieje na zwycięstwo militarne nad Rosjanami wzięły w łeb w lipcu, pod Kurskiem, gdzie Armia Czerwona odparła ofensywę Wehrmachtu, a wojska niemieckie poniosły olbrzymie straty w ludziach. Teraz armia hitlerowska usiłowała utrzymać linię ciągnącą się od Leningradu po Morze Czarne. Nad Morzem Śródziemnym Niemcy bronili trzech tysięcy kilometrów linii brzegowej. Na zachodzie zaś, pomyślał Canaris — Wielki Boże! — sześć tysięcy kilometrów terytorium rozciągającego się od

Niderlandów do południowego końca Zatoki Biskajskiej. Hitlerowska *Festung Europa* — Twierdza Europa — była zbyt rozległa, a wszystkie jej krańce osłabione.

Canaris omiółtł wzrokiem zgromadzonych wokół stołu mężczyzn. Feldmarszałek Gerd von Rundstedt, naczelny dowódca niemieckich sił zbrojnych na zachodzie; feldmarszałek Erwin Rommel, dowódca Grupy Armii B w północno— zachodniej Francji; reichsführer Heinrich Himmler, przywódca SS i niemieckiej policji. Kilku najbardziej lojalnych i bezwzględnych ludzi Himmlera obserwowało zebranych, ot, na wszelki wypadek, gdyby któremuś z największych szczyh Trzeciej Rzeszy zachciało się dokonać zamachu na życie führera.

Hitler przestał krążyć po sali.

— W zarządzeniu tym wyraziłem również przekonanie, że nie możemy dalej usprawiedliwiać osłabiania oddziałów na zachodzie, żeby wspierać nasze siły zmagające się z bolszewikami. Na wschodzie są rozległe połacie ziemi, będzie można w ostateczności oddawać znaczne tereny, zanim wróg bezpośrednio zagrozi naszej ojczyźnie. Na zachodzie już nie. Jeśli anglosaska inwazja się powiedzie, skutki będą niewyobrażalne. Dlatego też właśnie tu, w północno— zachodniej Francji, rozegra się decydująca bitwa tej wojny. — Zawiesił głos, dając zebrany czas na przetrwanie tych słów. — Na inwazję odpowiemy zmasowanym atakiem, skierujemy przeciwko niej wszystkie siły, tak że wróg nie wyjdzie poza plażę. Gdyby to się nie powiodło i gdyby Anglosasom udało się odnieść chwilowy sukces, musimy być gotowi do błyskawicznego przegrupowania naszych sił, zorganizowania potężnej kontrofensywy i ciśnięcia najeźdźców w morze. — Hitler zaplótł ramiona na piersiach. — Jednak dla osiągnięcia tego celu musimy poznać plany wroga. Musimy wiedzieć,

kiedy zamierza uderzyć. I, co najważniejsze, gdzie. Panie feldmarszałku?

Feldmarszałek Gerd von Rundstedt wstał i znużonym krokiem podszedł do mapy, w prawej dłoni kurczowo ściskając ozdobioną cennymi kamieniami buławę marszałkowską, z którą nigdy się nie rozstawał. Znany jako „ostatni z niemieckich rycerzy”, tyle razy był odwoływany i ponownie mianowany przez Hitlera, że i Canaris, i nawet podwładni stracili rachubę. Nienawidził nazistowskiego fanatyzmu i to właśnie on ochrzcił Hitlera mianem „małego cygańskiego kaprała”. Na szczupłej arystokratycznej twarzy zaczynało się wreszcie odbijać napięcie ostatnich pięciu lat. Zniknęła służbistość i skupienie, które charakteryzowały oficerów sztabu głównego z czasów cesarstwa. Canaris wiedział, że Rundstedt nadużywał szampana, a wieczorem potrzebował wielu kolejek whisky, żeby zasnąć. Regularnie wstawał o zgoła niewojskowej porze, dziesiątej rano; jego współpracownicy w St Germainen— Laye rzadko ustalali z nim spotkania na wcześniej niż południe.

Mimo podeszłego wieku i moralnego upadku Rundstedt pozostał najlepszym żołnierzem Rzeszy — błyskotliwym taktykiem i strategiem, o czym w 1939 roku przekonali się Polacy, a w roku 1940 Francuzi i Brytyjczycy. Canaris nie zazdrościł Rundstedtowi. Na papierze dowodził olbrzymią i potężną armią na zachodzie: półtora miliona ludzi, w tym trzysta pięćdziesiąt tysięcy oddziałów Waffen— SS, dziesięć dywizji pancernych oraz dwie elitarne dywizje Fallschirmjäger. Szybko i we właściwy sposób wykorzystane jednostki te nadal mogłyby skutecznie stawić czoło druzgocącym siłom aliantów. Gdyby jednak stary germański rycerz popełnił błąd — niewłaściwie rzucił wojsko albo pozwolił sobie na taktyczną omyłkę w czasie

bitwy — alianci zdobyliby bezcenny punkt oparcia na kontynencie i wojnę na zachodzie można by z góry uznać za przegraną.

— Moim zdaniem równanie jest proste — zaczął Rundstedt. — Na wschód od Sekwany, w Pas— de— Calais, albo na zachód od Sekwany, w Normandii. Oba rozwiązania mają swoje dobre i złe strony.

— Proszę kontynuować, panie feldmarszałku.

— Calais stanowi punkt strategiczny wybrzeża kanału La Manche — podjął Rundstedt monotonnym głosem. — Jeśli wróg zapewni sobie zaplecze w Calais, może skierować się na wschód, gdzie tylko parę dni marszu dzieli go od Zagłębia Ruhry, naszego ośrodka przemysłowego. Amerykanie chcą zakończyć wojnę przed

Bożym Narodzeniem. Jeśli uda im się wylądować w Calais, może im się też udać zrealizować to pragnienie. — Rundstedt zawiesił głos, by we wszystkich zapadło znaczenie tych słów, po czym podjął: — Jest jeszcze inny powód, dla którego z militarnego punktu widzenia Calais wydaje się wyborem logicznym: kanał jest tam najwęższy. Wróg będzie mógł dostarczyć do Calais ludzi oraz sprzęt cztery razy szybciej niż do Bretanii czy Normandii. Należy pamiętać, że wraz z rozpoczęciem inwazji zegar przeciwnika zaczyna tykać. Alianci muszą w błyskawicznym tempie zgromadzić w tym miejscu jednostki, broń oraz zaplecze. W okolicach Pas— de— Calais leżą trzy dogodne porty morskie — feldmarszałek wskazał je wszystkie końcem buławy, obrysowując linię wybrzeża — Boulogne, Calais i Dunkierka. Wrogowi będzie potrzebna broń. Moim zdaniem najeźdźcy przede wszystkim skoncentrują się na zdobyciu oraz otwarciu jakiegoś znaczącego portu, i to szybkim jego otwarciu, gdyż bez tego nie będą mogli wprowadzić na kontynent

oddziałów. A brak oddziałów to dla nich śmierć.

— To robi wrażenie, panie feldmarszałku — przyznał Hitler. — Ale dlaczego nie Normandia?

— Normandia stawia przed przeciwnikiem mnóstwo problemów. Znacznie dalej stamtąd na Wyspę. W niektórych miejscach wysokie klify utrudniają dostęp z morza na stały ląd. Najbliższy port to Cherbourg, na końcu doskonale bronionego półwyspu. Odbicie go nam zajęłoby wiele dni. Zresztą, nawet gdyby wrogowi to się udało, zdaje sobie sprawę, że zniszczylibyśmy port, zanim — byśmy go oddali. Jednak moim zdaniem najbardziej logicznym argumentem przemawiającym przeciwko atakowi w Normandii jest jej położenie geograficzne. Za daleko na zachodzie. Nawet gdyby przeciwnikowi udało się wylądować w Normandii, nadal grozi mu niebezpieczeństwo przygniecenia i strategicznej izolacji. Zanim dotrze do Niemiec, będzie musiał przejść i zdobyć całą Francję.

— Pańskie zdanie, panie feldmarszałku? — warknął Hitler.

— Nie można wykluczyć, że alianci będą próbowali nas zmylić — powiedział ostrożnie Rundstedt, bawiąc się buławą. — Na przykład jakieś dywersyjne lądowanie, na przykład właśnie w Normandii, jak to pan podsunął, wodzu. Ale prawdziwy atak nastąpi tu. — Dźgnął mapę. — W Calais.

— Admirale Canaris? — spytał Hitler. — Jak się mają do tej teorii doniesienia naszego wywiadu?

Canaris, który nigdy nie lubił przedstawień przed mapą, nie ruszył się z miejsca. Sięgnął do kieszeni na piersi, gdzie trzymał papierosy. Esesmani drgnęli nerwowo. Kręcąc głową, Canaris wolno wyjął papierosy i pokazał wojskowym. Starannie zapalił jednego i dmuchnął dymem

w stronę Himmlera, doskonale wiedząc, że pieszczołek Hitlera nie znosi tytoniu. Himmler zmierzył go wzrokiem przez siwy dym; z jego oczu nie dało się niczego wyczytać, tylko policzek wykrzywił nerwowy grymas.

Canaris wyjaśnił, że Abwehra gromadzi i analizuje trzy rodzaje raportów związanych z przygotowaniem aliantów: fotografie lotnicze jednostek wroga z południowej Anglii, komunikaty radiowe przechwycone przez podsłuch oraz doniesienia agentów działających w Wielkiej Brytanii.

— I cóż wynika z tych przekazów, panie admirale? — warknął Hitler.

— Wstępne doniesienia na ogół potwierdzają tezę feldmarszałka: że alianci zamierzają uderzyć na Calais. Wedle naszych agentów zintensyfikowały się ruchy wroga w południowo—wschodniej Anglii, dokładnie naprzeciwko Pas—de—Calais. Przechwyciliśmy też transmisje radiowe mówiące o nowej formacji nazywanej Pierwszą Grupą Armii Stanów Zjednoczonych. Analizowaliśmy także działania lotnicze przeciwnika nad północno—zachodnią Francją. Znacznie bardziej koncentruje się on na bombardowaniu i rekonesansie okolic Calais niż Normandii czy Bretanii. Mam również do przekazania inną, świeżą wiadomość. Jeden z naszych agentów w Anglii ma źródło wśród najwyższych wojskowych aliantów. Wczoraj wieczorem agent ten przesłał raport. General Eisenhower przybył do Londynu. Na razie Amerykanie i Brytyjczycy starają się utrzymać ten fakt w tajemnicy.

Na Hitlerze informacja szpiega najwyraźniej zrobiła wrażenie.

Gdyby tylko Hitler znał prawdę — pomyślał Canaris. — Gdyby wiedział, że dziś, zaledwie na kilka miesięcy przed chyba najbardziej decydującym zwarem tej wojny, siatka wywiadowców Abwehry w Anglii

najprawdopodobniej jest w całkowitej rozsypce. Canaris winą obciążał Hitlera. W trakcie przygotowań do operacji *Seelöwe* — zarzuconej próby inwazji na Wielką Brytanię — Canaris i jego pracownicy zalali Wielką Brytanię strumieniem szpiegów. Nie myśleli wtedy o ostrożności, gdyż desperacko potrzebowali informacji o obronie wybrzeża oraz rozmieszczeniu angielskich wojsk. Agentów werbowano w pośpiechu, przygotowywano byle jak, a jeszcze gorzej wyposażano. Canaris podejrzewał, że większość tych ludzi wpadła prosto w ręce MI— 5, co doprowadziło do trwałego uszkodzenia siatki, którą przez tyle lat i z takim wysiłkiem budowali. Teraz się do tego nie przyzna; równałoby się to wydaniu wyroku śmierci na samego siebie.

Adolf Hitler podjął wędrówkę po pokoju. Canaris wiedział, że führer nie obawia się nadchodzącej inwazji. Przeciwnie, wygląda jej. Dysponował milionową armią i przemysłem zbrojeniowym, który mimo bezustannych bombardowań aliantów oraz braków siły roboczej i surowców, nadal produkował zdumiewające ilości broni oraz amunicji. Hitler nie wątpił, że zdoła odepchnąć atak i ostatecznie zdruzgotać przeciwnika. Podobnie jak Rundstedt uważał, że ze strategicznego punktu widzenia alianci powinni wybrać Pas— de— Calais i właśnie tam Wał Atlantycki najbardziej zbliżał się do jego ideału niezdobytej twierdzy. Dlatego, chcąc sprowokować przeciwników do ruszenia na Calais, rozkazał, by umieszczono tam wyrzutnie rakiet V— 1 i V— 2. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że Anglicy i Amerykanie obrali taktykę dezorientacji i że przy inwazji na Francję także będą próbowali go zwieść.

— Zamieńmy się rolami — odezwał się w końcu Hitler.
— Gdybym to ja zamierzał ruszyć na Francję z Anglii, to co

bym zrobił? Czy zjawilibym się tam, gdzie wszyscy się mnie spodziewają? Czy zarządziłbym frontalny atak na najmocniej strzeżoną część wybrzeża? A może wybrałbym inną drogę i próbował zaskoczyć wroga? Nadawał fałszywe komunikaty radiowe, wysyłał przez szpiegów nieprawdziwe raporty? Przekazywał prasie mylące informacje? Na te pytania jest jedna odpowiedź: tak. Musimy się spodziewać, że Brytyjczycy będą próbować nas oszukać i uciekną się nawet do olbrzymiego desantu, którego celem będzie zmylić naszą czujność. I choć gorąco bym pragnął, żeby zdecydowali się na atak Calais, musimy się przygotować na możliwość inwazji w Normandii albo Bretanii. Dlatego też najlepiej jednostki pancerne pozostawić w głębi kraju, póki się nie zorientujemy, jakie są intencje wroga. Dopiero wtedy zgromadzimy nasze siły w głównym punkcie ataku i zepchniemy przeciwnika w morze.

— Jeszcze jedna rzecz może świadczyć o słuszności tych założeń — wtrącił feldmarszałek Rommel.

Hitler obrócił się na pięcie i stanął twarzą do niego.

— Proszę mówić, panie feldmarszałku.

Rommel ruchem ręki wskazał zajmującą całą ścianę olbrzymią mapę za Hitlerem.

— Jeśli można, chciałbym to pokazać na mapie, *mein Führer*.

— Oczywiście.

Rommel sięgnął do teczki, wyjął z niej cyrkiel, potem wstał i podszedł do mapy. W grudniu Hitler przekazał mu dowództwo nad Grupą Armii „B” strzegącej wybrzeża kanału La Manche. W skład Grupy Armii „B” wchodziła 7. Armia okupująca Normandię, 15. Armia zajmująca ujście Sekwany i Zuider Zee oraz Armia Niderlandzka. Otrząsnąwszy się emocjonalnie i fizycznie z porażki w Afryce Północnej, słynny Lis Pustyni ze zdumiewającą

energiją przejął nowe obowiązki, nieustannie przemierzając francuskie wybrzeże swoim kabrioletem, mercedesem 230, sprawdzając gotowość jednostek. Obiecał, że zmieni francuskie wybrzeże w „ogród szatana”, krajobraz pełen artylerii, pól minowych, betonowych umocnień i drutu kolczastego, z którego napastnik nigdy się nie wynurzy. Mimo to w głębi ducha Rommel wiedział, że każde fortyfikacje stworzone przez człowieka człowiek też potrafi przelamać.

Stając przy mapie, rozłożył cyrkiel i oznajmił:

— Oto zasięg nieprzyjacielskich myśliwców Spitfire i Mustang. A oto największe lądowiska myśliwców na południu Anglii.

Rommel wbił nóżkę cyrkla w każde z miast, które wskazywał, i szybko zakreślił łuki.

— Jak sam pan widzi, *mein Führer*, tak Normandia, jak i Calais doskonale mieszczą się w zasięgu nieprzyjacielskich myśliwców. Dlatego też oba obszary musimy uznać za prawdopodobne miejsce inwazji.

Hitler przytaknął, przekonany argumentacją Rommla.

— A teraz proszę na chwilę wczuć się w sytuację wroga, panie feldmarszałku. Gdyby pan planował inwazję na Francję z Anglii, gdzie by pan zaatakował?

Rommel przez chwilę udawał głęboki namysł.

— Muszę przyznać, *mein Führer*, że wszystkie znaki wskazują na Pas— de— Calais. Nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że wróg nigdy by się nie poważzył na atak na nasz najsilniej strzeżony przyczółek. Poza tym wyniosłem lekcję z Afryki. Brytyjczycy zmylili nas przed bitwą pod El— Alamein i tego samego będą próbować przed inwazją na Francję.

— A co się dzieje z Linją Zygfryda? Czy prace się posuwają? — Wiele jeszcze pozostało do zrobienia, *mein*

Führer. Ale czynimy postępy.

— I dokończycie budowy Wału Zachodniego przed wiosną?

— Tak mi się zdaje. Ale same fortyfikacje na wybrzeżu nie powstrzymają nieprzyjaciela. Musimy odpowiednio zgromadzić wojska. A do tego, niestety, musimy wiedzieć, gdzie alianci uderzą. I to dokładnie. Jeśli uda im się nas zaskoczyć, grozi nam przegrana wojny.

— Bzdury — wpadł mu w słowo Heinrich Himmler. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pod dowództwem Adolfa Hitlera Niemcy odniosą ostateczne zwycięstwo. Plaże Francji staną się grobem Anglików i Amerykanów.

— Nie — Hitler uciszył go machnięciem ręki. — Rommel ma rację. Jeśli nieprzyjacielowi uda się zdobyć przyczółek, to wojnę możemy uznać za przegraną. Ale jeśli uniemożliwimy inwazję, zanim jeszcze się zacznie — odchylił głowę, w jego oczach płonął ogień — przygotowanie następnej zajęłoby aliantom całe miesiące. Wróg nigdy więcej nie ośmieli się stawić nam czoła! Roosevelt przegra kolejne wybory. Może nawet wyląduje w więzieniu! Morale Anglików załamie się nieodwracalnie. Churchill, ten zapasiony szaleniec, zostanie zdruzgotany. A kiedy już sparalizujemy Anglików i Amerykanów, tak że będą siedzieli, liżąc rany, wszystkich ludzi i sprzęt przerzucimy na wschód. Stalin będzie zdany na naszą łaskę i niełaskę. Będzie zebrał o pokój. Co do tego nie mam cienia wątpliwości. — Hitler zrobił efektowną pauzę. — Ale żeby powstrzymać wroga, musimy znać miejsce inwazji. Moi generałowie uważają, że nastąpi ona w Calais. Ja nie jestem całkowicie przekonany. — Obrócił się na pięcie i wbił wzrok w Canarisa. — Panie admirale, chcę, żeby pan rozstrzygnął ten spór.

— To może się okazać niemożliwe — ostrożnie

zastrzegł się Canaris.

— Czyż zdobywanie informacji wojskowych nie należy do zadań Abwehry?

— Oczywiście, *mein Führer*.

— Macie szpiegów w Anglii, najlepiej świadczy o tym raport o przybyciu Eisenhowera do Londynu.

— To nie ulega wątpliwości, *mein Führer*.

— W takim razie radziłbym zakasać rękawy, panie admirale. Żądam dowodów świadczących o zamierzeniach wroga. Ma mi pan dostarczyć tajemnicę inwazji. I to szybko. Zapewniam, admirale, ma pan niewiele czasu.

Hitler pobladł, nagle wyraźnie osłabł.

— A teraz, panowie, o ile nie macie dla mnie żadnych kolejnych złych wieści, pozwolicie, że prześpię się kilka godzin. To była długa noc.

Wszyscy wstali, a Hitler ruszył schodami na górę.

Rozdział piąty

Północna Hiszpania; sierpień 1936

Stoi przed drzwiami, przez które wpada ciepłe powietrze nocy. W rękę trzyma butelkę lodowatego białego wina. Nalewa sobie kolejny kieliszek, nawet nie proponując jej trunku. Ona leży w łóżku, paląc papierosa, słuchając głosu mężczyzny. Słucha też ciepłego wiatru, który szeleści w gałęziach drzew za werandą. Niebo nad doliną rozcina błyskawica. Nad jego doliną, jak zawsze powtarza Emilio. Jego pieprzoną doliną. A jeśli ci pierdoleni lojaliści kiedykolwiek spróbują mi ją odebrać, odetnę im jaja i rzucę psom na pożarcie.

— Kto cię nauczył tak strzelać? — pyta.

Rano wybrali się na polowanie i trafiła cztery bażanty, on jednego.

— Ojciec.

— Strzelasz lepiej ode mnie.

— Zauważyłam.

Kolejna błyskawica rozjaśnia pokój i przez chwilę widzi wyraźnie twarz kochanka. Emilio jest od niej trzydzieści lat starszy, ale ona i tak uważa go za pięknego. Ma popielatoblond włosy, słońce spaliło mu twarz na ciemny brąz. Długi i ostry nos przypomina ostrze siekiery. Chciałaby, żeby ją całował, tymczasem on wolał pierwszy raz wziąć ją szybko i brutalnie, ale Emilio zawsze, kurwa, stawia na swoim, kiciu.

— Świetnie mówisz po angielsku — informuje ją, jakby sama nie wiedziała. — Jak rodowita Angielka. Ja nigdy nie zdołałem się pozbyć hiszpańskiego akcentu.

— Moja matka była Angielką.

— Co się z nią teraz dzieje?

- Zmarła wiele lat temu.
- Znasz też francuski?
- Tak — odpowiada.
- Włoski?
- Tak, znam również włoski.
- Ale twój hiszpański nie jest zachwycający.
- Mnie wystarcza.

Rozmawiając z nią, bawi się swoim członkiem. Uwielbia to robić, tak samo jak uwielbia pieniądze i swoją ziemię. Mówi o nim, jakby opowiadał o swoim najlepszym rumaku. Odnosi się wrażenie, jakby było ich troje w łóżku.

— Pokładasz się z Marią przy strumieniu, a potem nocą wpuszczasz mnie do swojego łóżka i dajesz się pieprzyć — mówi Emilio.

— Można by to i tak ująć — odpowiada. — Chcesz, żebym zerwała z Marią?

— Dajesz jej szczęście — stwierdza, jakby to wszystko usprawiedliwiał.

— To ona daje mi szczęście.

— Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety takiej jak ty. — Wkłada papierosa w kącik ust, zapala go, dłońmi zasłaniając ogień przed wiatrem. — Bez zmruczenia oka, tego samego dnia pieprzysz mnie i moją córkę.

— Nie uznaję trwałych związków. On parska cichym śmiechem.

— To cudownie — powiada i znowu cicho się śmieje. — Nie uznajesz trwałych związków. Doskonale. Współczuję temu biednemu sukinsynowi, który robi ten błąd, że się w tobie zakocha.

— Ja też.

— Czy ty w ogóle masz jakieś uczucia?

— Nie, chyba żadnych.

— A kochasz coś albo kogoś?

— Kocham mego ojca. I leżeć z Marią przy strumieniu. Maria to jedyna kobieta, której uroda stanowi dla niej zagrożenie.

Neutralizuje je, kradnąc urodę Marii wyłącznie dla siebie. Kaskady jej ciemnych kręconych włosów. Nieskazitelną oliwkową cerę. Doskonałe piersi, które smakują niczym dojrzałe letnie gruszki. Usta — najdelikatniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek dotykała.

— Przyjeźdź na wakacje do Hiszpanii i zamieszkać ze mną w *estancia* mojej rodziny — zaprasza Maria któregoś deszczowego popołudnia w Paryżu, gdzie obie studiują na Sorbonie.

Ojciec będzie rozczarowany, lecz ona nie ma szczególnej ochoty spędzać wakacji w Niemczech i patrzeć na zasranych faszystów, defilujących po ulicach. Nie wiedziała jeszcze, że w Hiszpanii wpakuje się w sam środek wojny domowej.

Jednak wojna nie zakłóca enklawy Emilia, jego raju u stóp Pirenejów. To najcudowniejsze lato w jej życiu. Rankiem we trójkę polują albo spacerują z psami, popołudniem zaś ona z Marią jadą konno w górę strumienia, pływają w lodowatej wodzie, opalają się na nagranych skałach. Maria najbardziej lubi to robić na świeżym powietrzu. Największą rozkosz sprawia jej równoczesna pieszczota słońca na piersiach i Anny między nogami.

— Wiesz, mój ojciec też cię pragnie — oznajmia pewnego popołudnia Maria, kiedy leżą razem w cieniu eukaliptusa. — Możesz go wziąć. Tylko się w nim nie zakochuj. Wszyscy się w nim zakochują.

Emilio znowu coś mówi.

— Chciałbym, żebyś się z kimś spotkała, kiedy za miesiąc wrócisz do Paryża. Zrobisz to dla mnie?

— Zależy.

— Od czego?

— Od tego, kto to jest.

— Sam się z tobą skontaktuje. Będzie ogromnie zainteresowany, gdy mu o tobie opowiem.

— Nie będę z nim spać.

— Jemu nie będzie chodziło o to, żeby z tobą spać. To rodzinny człowiek. Tak samo jak ja — dorzuca i znowu śmieje się cicho.

— Jak się nazywa?

— Nazwiska się dla niego nie liczą.

— Ale powiedz, jak on się nazywa.

— Nie wiem, jakie imię ostatnio przybrał.

— A co robi twój przyjaciel?

— Handluje informacjami.

Emilio wraca do łóżka. Rozmowa go podnieciła. Ptaszek mu już stoi i chce wziąć Annę natychmiast. Rozsuwa jej nogi i próbuje się dostać do środka. Ona bierze w ręce jego członek, by go poprowadzić, i w tej samej chwili wbija w niego paznokcie.

— Aaaaau! Anno, na Boga! Nie tak mocno!

— Jak on się nazywa?

— To wbrew uzgodnieniom. Nie mogę!

— Powiedz — nalega i jeszcze mocniej ściska mu członek.

— Vogel — mamrocze. — Nazywa się Kurt Vogel. Chryste Panie.

Berlin; styczeń 1944

Szpiegów Abwehry, działających w Anglii, dzielono na dwie podstawowe grupy: Łańcuch S, na którą składali się agenci mieszkający w Wielkiej Brytanii pod przybranymi nazwiskami i zdobywający informacje, oraz Łańcuch R, czyli najczęściej osoby innych narodowości, które od czasu do czasu legalnie przekraczały granicę, odbierały raporty i przekazywały swoim mocodawcom w Berlinie. Do tego należy dodać też trzecią, mniejszą i bardzo zakonspirowaną siatkę szpiegowską, określaną mianem Łańcucha V — garstkę doskonale wyszkolonych agentów, którzy wniknęli głęboko w społeczność Anglików i czekali, nieraz latami, na wezwanie do akcji. Nazywano ją tak od nazwiska jej twórcy i jedynego zwierzchnika, Kurta Vogla.

Skromne imperium Vogla składało się z dwóch pomieszczeń na czwartym piętrze siedziby Abwehry mieszczącej się w ponurych kamienicach pod numerami 74—76 przy Tirpitz Ufer. Okna wychodziły na Tiergarten, dwustupięćdziesięciohektarowy park w sercu Berlina. Dawniej był to cudowny widok, ale po wielomiesięcznych bombardowaniach aliantów zostały olbrzymie leje na środku ścieżek, a większość kasztanowców i lip bomby zmieniły w osmalone kikuty. Prawie całą powierzchnię gabinetu Vogla pochłaniał rząd zamykanych na klucz stalowych szafek oraz masywny sejf. Vogel podejrzewał, że urzędnicy w centralnym rejestrze Abwehry pracują dla gestapo, dlatego nie chciał tam trzymać swoich akt. Jego jedyny asystent, odznaczony za odwagę porucznik Wehrmachtu niejaki Werner Ulbricht, trwale okaleczony w walkach z Rosjanami, pracował w przyległym pokoiku. W górnej szufladzie biurka trzymał parę lugerów, a Vogel nakazał mu strzelać do każdego, kto wchodzi bez

pozwolenia. Ulbrichta po nocach dręczyły koszmary, że przypadkowo zabija Wilhelma Canarisa.

Vogel miał rangę kapitana marynarki wojennej, lecz była to wyłącznie formalność; ta ranga zapewniała odpowiednio wysoką pozycję, umożliwiającą działanie na pewnych odcinkach. Podobnie jak jego mistrz, Canaris, rzadko nosił mundur. Ubierał się stale tak samo: grafitowy garnitur kojarzący się z przedsiębiorcą pogrzebowym, biała koszula, ciemny krawat. Miał szpakowate włosy, które wyglądały, jakby sam się strzygł, oraz przenikliwe spojrzenie kawiarnianego rewolucjonisty. Jego głos przywodził na myśl skrzypiące zawiasy, a po dziesiątkach lat, które Vogel spędził na potajemnych rozmowach w kawiarniach, pokojach hotelowych i gabinetach z podsłuchem, rzadko brzmiał głośniejszym niż kościelny szmer. Głuchy na jedno ucho Ulbricht wiecznie miał problemy z dosłyszeniem, co mówi jego szef.

Vogel do granic absurdu posuwał swoje dążenie do anonimowości. W gabinecie trzymał tylko jeden osobisty drobiazg: fotografię żony Gertrudy i córek bliźniaczek. Od kiedy zaczęły się naloty, kazał im się przenieść do domu teściowej w Bawarii i rzadko je widywał. Ilekroć wychodził z gabinetu, choćby na chwilę, chował zdjęcie w zamykanej na klucz szufladzie. Nawet jego identyfikator stanowił podróbkę. Nie widniało na nim zdjęcie — Vogel od lat nie pozwalał się fotografować — a i nazwisko było fałszywe. Vogel zajmował niewielkie mieszkanie w pobliżu siedziby Abwehry i w te rzadkie wieczory, kiedy pozwalał sobie na odpoczynek, szedł do niego pieszo, wzdłuż porośniętych krzewami brzegów kanału Landwehr. Właścicielka kamienicy sądziła, że jej lokator jest profesorem, a z liczby odwiedzających go pań wywnioskowała, że to kobieciarz.

Nawet w samej Abwehrze niewiele więcej o nim

wiedziano.

Kurt Vogel urodził się w Düsseldorfie. Jego ojciec pełnił funkcję dyrektora gimnazjum, matka, która dla męża i rodziny poświęciła dobrze się zapowiadającą karierę pianistyczną, udzielała lekcji muzyki. Vogel zdobył doktorat na wydziale prawa uniwersytetu w Lipsku, gdzie u dwóch najwybitniejszych niemieckich znawców przedmiotu, Hermana Hellera oraz Leona Resenberga, studiował prawo cywilne i polityczne. Był utalentowanym studentem, najlepszym na swoim roku i jego profesorowie szeptali między sobą, że pewnego dnia Vogel zasiądzie w sądzie najwyższym.

Wszystko to zmieniło się wraz z dojściem do władzy Hitlera. Hitler wyznawał zasadę panowania człowieka, nie prawa. Wystarczyło mu parę miesięcy u steru, by postawić na głowie cały system prawny Niemiec. *Führergewalt* — władza Führera — stała się jedynym obowiązującym prawem i każdy kaprys, każde urojenie Hitlera błyskawicznie przekładano na język kodeksów i regulaminów. Vogel pamiętał część idiotycznych maksym stworzonych przez architektów legalnego przejęcia Niemiec przez Hitlera. „Prawem jest to, co służy narodowi niemieckiemu! Prawo należy interpretować poprzez zdrowe odczucia obywatela!“. A gdy normalny system sądowniczy stanął nazistom na drodze, ustanowili własne sądy, *Volksgerichtshof*, Sądy Ludowe. Zdaniem Vogla najmroczniejszą chwilą w historii prawa niemieckiego był pewien październikowy dzień w 1933 roku, kiedy to dziesięć tysięcy prawników z rękami wyciągniętymi w geście faszystowskiego pozdrowienia stało w Lipsku na stopniach gmachu sądu i przysięgało „po kres swoich dni iść drogą wyznaczoną przez Führera“. Wśród nich znajdował się i Vogel. Tamtego wieczoru po powrocie do

małego mieszkanka, w którym mieszkali z Gertrudą, spalił wszystkie swoje podręczniki prawa i spił się do nieprzytomności.

Parę ładnych miesięcy potem, zimą 1934 roku, nawiązał z nim kontakt zgorzkniały drobny mężczyzna z parą jamników — Wilhelm Canaris, nowy zwierzchnik wywiadu wojskowego, i spytał, czy Vogel nie zgodziłby się pracować dla Abwehry. Vogel przyjął propozycję, ale pod jednym warunkiem: że nie będzie musiał wstąpić do partii faszystowskiej, i już po tygodniu zniknął w świecie niemieckiego wywiadu wojskowego. Oficjalnie pełnił funkcję radcy prawnego Canarisa. Nieoficjalnie powierzono mu zadanie szykowania się do wojny z Wielką Brytanią, której nadejście Canaris uważał za nieuniknione.

Teraz Vogel siedział za biurkiem i pochylony, z kciukami wbitymi w skronie, czytał pismo. Usiłował się skupić, lecz rozpraszały go hałasy: skrzypienie starej windy, która przejeżdżała tuż za ścianą jego gabinetu, dudnienie deszczu o szyby, kakofonia klaksonów samochodowych, nieodłącznego elementu wieczornych godzin szczytu w Berlinie. Przesunął dłonie ze skroni na uszy, zatkał je, żeby wreszcie niczego nie słyszeć.

Notkę wręczył mu dziś Canaris, parę godzin po powrocie ze spotkania z Hitlerem w Kętrzynie. Zdaniem Szczwanego Lisa wyglądało to obiecująco i Vogel musiał się z tym zgodzić.

— Hitler oczekuje wyników, Kurt — powiedział zza swego podniszczonego zabytkowego biurka Canaris niczym średniowieczny pan i władca, wodząc wzrokiem po wypchanych książkami półkach, jakby szukał tam ukochanego, dawno zaginionego tomu. — Żąda dowodów, że atak nastąpi na Calais albo Normandię. Chyba nadszedł czas, żebyś zapędził do roboty swoich pieścioszków w

Anglii.

Vogel już raz przebiegł wzrokiem tekst. Teraz przeczytał notatkę uważniej. Szczerze mówiąc, to było więcej niż obiecujące — było wręcz idealne. Właśnie na taką okazję czekał. Skończywszy, podniósł wzrok i kilkakrotnie cicho wypowiedział nazwisko Ulbrichta, jakby miał przed sobą jego ucho. W końcu, kiedy nie doczekał się reakcji, wstał i przeszedł do poczekalni. Ulbricht czyścił broń.

— Werner, wołam cię od pięciu minut — odezwał się prawie niedosłyszalnie Vogel.

— Przepraszam, kapitanie, nie słyszałem.

— Jutro z samego rana chcę się spotkać z Müllerem. Umów mnie z nim.

— Tak jest.

— I zrobię coś z tym twoim słuchem, Werner. Omal sobie gardła nie zdarłem, tak musiałem krzyżeć.

Nalot zaczął się o północy, gdy Vogel czujnie drzemał na łóżku polowym w gabinecie. Zsunął nogi na podłogę, wstał i podszedł do okna. Zobaczył nurkujący samolot. Berlin zadrżał, kiedy pierwsze bomby wybuchły w dzielnicach Pankow i Weissensee. Vogel zastanawiał się, ile cierpień miasto zdoła jeszcze znieść. Znaczna część stolicy tysiącletniej Rzeszy już obróciła się w gruzy. Większość najsłynniejszych zakątków przypominała wąwozy roztrzaskanych cegieł i pociętej stali. Lipy z Unter den Linden spłonęły, podobnie jak mnóstwo niegdyś tak pięknych, przyciągających wzrok sklepów i banków, stojących po obu stronach szerokiego bulwaru. Odnowiony zegar na wieży Kaiser— Wilhelm od listopada, kiedy to bomby aliantów jednej nocy zniszczyły prawie pięćset

hektarów Berlina, zatrzymał się na wpół do ósmej.

Obserwując nocny nalot, w myślach odtwarzał notatkę.

ABWEHRA/BERLIN XFU0465848261

DO: CANARISA

OD: MÜLLERA

DNIA: 2 LIST. 43

21 PAŹDZIERNIKA KAPITAN DIETRICH Z MISJI ASCUNCION SKONTAKTOWAŁ SIĘ W PANAMIE Z NASZĄ AMERYKAŃSKĄ WTYCZKĄ, SKORPIONEM. JAK PANU WIADOMO SKORPION TO JEDEN Z NASZYCH NAJLEPSZYCH AGENTÓW W AMERYCE. OBRACA SIĘ W KRĘGACH WIELKIEJ NOWOJORSKIEJ FINANSJERY I POSIADA DOSKONAŁE ZNAJOMOŚCI W WASZYNGTONIE. PRZYJAŹNI SIĘ Z WIELOMA PRZEDSTAWICIELAMI KADRY WOJSKOWEJ W DEPARTAMENTACH WOJNY I STANU. OSOBIŚCIE ZETKNAŁ SIĘ Z ROOSEVELTEM. PRZEZ CAŁĄ WOJNĘ DOSTARCZAŁ

NAM BARDZO WAŻNYCH I CENNYCH INFORMACJI. DOŚĆ PRZYPOMNIEĆ O PRZEKAZANEJ PRZEZ NIEGO WIADOMOŚCI O AMERYKAŃSKICH DOSTAWACH BRONI DLA BRYTYJCZYKÓW.

WEDLE SKORPIONA W UBIEGLYM MIESIĄCU AMERYKAŃSKA MARYNARKA WOJENNA ZWERBOWAŁA JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH AMERYKAŃSKICH INŻYNIERÓW, NIEJAKIEGO PETERA JORDANA I WYSŁAŁA DO LONDYNU, GDZIE MA PRACOWAĆ NAD WYKONANIEM JAKIEJS SUPER TAJNEJ KONSTRUKCJI. JORDAN

NIGDY PRZEDTEM NIE PRACOWAŁ DLA WOJSKA. SKORPION OSOBIŚCIE ZNA JORDANA I ROZMAWIAŁ Z NIM PRZED JEGO WYJAZDEM DO LONDYNU. SKORPION TWIERDZI, ŻE TO ZADANIE Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ BEZPOŚREDNIO WIĄŻE SIĘ Z NIEPRZYJACIELSKIMI PLANAMI INWAZJI NA FRANCJĘ.

JORDAN NAJBARDZIEJ SIĘ WSŁAWIŁ PROJEKTAMI I WYKONANIEM WIELU POTĘŻNYCH AMERYKAŃSKICH MOSTÓW. JEST WADOWCEM, ŻONA, CÓRKA AMERYKAŃSKIEGO BANKIERA BRATTONA LAUTERBACHA, ZGINEŁA W WYPADKU SAMOCHODOWYM W SIERPNIU 1939 ROKU. ZDANIEM SKORPIONA DO PODEJŚCIA JORDANA NAJLEPIEJ NADAJE SIĘ KOBIETA.

OBECNIE JORDAN MIESZKA SAMOTNIE W DZIELNICY LONDYNU KENSINGTON. SKORPION DOSTARCZYŁ NAM ADRES DOMU I KOMBINACJĘ SEJFU MIESZCZĄCEGO SIĘ W GABINECIE.

WSKAZANE DZIAŁANIE.

Vogel przez szparę w drzwiach dostrzegł promień światła, usłyszał szuranie drewnianej nogi Ulbrichta. Naloty budziły w Ulbrichcie straszliwy niepokój, którego nie potrafił wyrazić słowami a którego Vogel w ogóle nie rozumiał. Kapitan wyjął z szuflady kółka z kluczami i podszedł do jednej z metalowych szafek. Dokumenty leżały w czarnej, nie podpisanej teczce. Wróciwszy do biurka, nalał sobie solidną porcję koniaku i zajrzał do teczki. Było w niej wszystko: zdjęcia, informacje o pochodzeniu, raporty. Nie musiał ich czytać. Sam je napisał, a podobnie jak osoba, której one dotyczyły, został naznaczony, niby

przekleństwem, niezawodną pamięcią.

Przerzucił kilka stron i znalazł notatki z ich pierwszego spotkania w Paryżu. Pod nimi znajdowała się kopia telegramu od człowieka, który ją odkrył, Emilia Romero, Hiszpana, bogatego ziemianina, faszysty, łowcy talentów dla Abwehry.

„Właśnie takiego człowieka jak ona potrzebujesz. Wolalbym ją zatrzymać dla siebie, ale ponieważ jestem twoim przyjacielem, przekazuję ci ją. Oczywiście, za rozsądną cenę”.

W pokoju nagle zrobiło się przenikliwie zimno. Vogel położył się na twardym łóżku polowym i przykrył kocem.

„Hitler oczekuje wyników, Kurt. Chyba nadszedł czas, żebyś zapędził do roboty swoich pieszczoszków w Anglii”.

Czasem marzył, że zostawi ją tam, nie uruchamiając, dopóki nie będzie po wszystkim. A wtedy znajdzie sposób, by ją wydobyć. Ale cóż, ona idealnie się nadaje do tego zadania. Jest piękna, inteligentna, a jej angielszczyźnie oraz znajomości angielskiego społeczeństwa nie można nic zarzucić. Zerknął na zdjęcie Gertrudy i córek. I pomyśleć, że zastanawiał się, czyby ich dla niej nie porzucić. Jakiż z niego głupiec! Zgasił światło. Nalot się skończył. W mieście wyły syreny. Próbował zasnąć. Na próżno. Znowu go opętała.

„Biedny Vogel, przeze mnie z twojego serca zostały tylko okruchy, prawda?”.

Oczy z fotografii przeszywały go na wylot. To było niemal obsceniczne — patrzeć na nie, wspominać jej. Wstał, podszedł do biurka i zamknął teczkę w szufladzie.

— Na miłość boską, Kurt! — wykrzyknął Müller, kiedy następnego ranka Vogel wszedł do jego gabinetu. —

Kto ci obcina włosy, przyjacielu? Pozwól, że dam ci namiar na moją fryzjerkę, może ona coś z tym zrobi.

Wyczerpany po prawie bezsennej nocy Vogel usiadł i w milczeniu przyglądał się rozmówcy. Paul Müller odpowiadał za wywiadowczą siatkę Abwehry w Stanach Zjednoczonych. Niski, jowialny, miał na sobie błyszczący francuski garnitur. Rzadkie, przylizane włosy zaczesywał do tyłu, podkreślając pucołowatość twarzy. Małe, pełne usta były krwistoczerwone jak u dziecka, które właśnie zjadło wisienkę.

— Nie do wiary, wielki Kurt Vogel we własnej osobie nawiedził mój gabinet — prychnął Müller. — Czemuż zawdzięczam ten zaszczyt?

Vogel przywykł do zawiści innych kolegów z wywiadu. Ze względu na szczególne znacznie Łańcucha V otrzymywał wyższą pensję i więcej przywilejów niż inni oficerowie. Pozwalano mu również wtykać nos do ich spraw, dzięki czemu cieszył się wyjątkowo małą popularnością w Abwehrze.

Vogel z kieszonki na piersi wyjął kopię notatki i pomachał Müllerowi przed nosem.

— Opowiedz mi o Skorpionie.

— Czyli do starego w końcu dotarła moja wiadomość. Spójrz na datę na tym draństwie. Dałem mu to ponad półtora miesiąca temu. Leżało na jego biurku i obrastało kurzem. A ta informacja to prawdziwe złoto. Ale wpada w czeluście gabinetu Lisa i już się stamtąd nie wydostaje. — Müller umilkł, zapalił papierosa i dmuchnął w sufit obłokiem dymu. — Wiesz, Kurt, czasem się zastanawiam, po czyjej właściwie stronie stoi Canaris.

Ostatnimi czasy coraz częściej słyszało się tego rodzaju uwagi. Od czasu aresztowań licznych wysokich urzędników Abwehry i oskarżeń o zdradę morale przy Tirpitz Ufer

znacznie spadło. Vogel wyczuwał, że niemiecki wywiad wojskowy niebezpiecznie się rozłązi. Dotarły do niego pogłoski, że Canaris traci swoją pozycję u Hitlera. Wśród pracowników krążyły nawet plotki, że Himmler knuje spisek, by obalić Canarisa i przekazać Abwehre pod kontrolę SS.

— Opowiedz mi o Skorpionie — powtórzył Vogel.

— Spotkałem się z nim przy kolacji w domu pewnego amerykańskiego dyplomaty. — Müller odchylił okrągłą głowę i zapatrzył się w sufit. — Jeszcze przed wojną, chyba w trzydziestym siódmym. Sprawdzę w teczce, żeby się upewnić. Typek lepiej ode mnie mówił po niemiecku. Uważał, że naziści to wspaniała paczka, która robi dla Niemiec same dobre rzeczy. Bardziej od Żydów nienawidził chyba tylko bolszewików. Wszystko poszło koncertowo. Następnego dnia osobiście go wciągnąłem. Najłatwiejszy połów w mojej karierze.

— Jakież szczegóły? Müller się uśmiechnął.

— Zajmuje się inwestycjami bankowymi. Jest w Bluszczowej Lidze, ma dobre kontakty w środowisku przemysłowym, przyjaźni się z połową Waszyngtonu. Dostarczył nam doskonałych informacji na temat produkcji zbrojeniowej.

Vogel składał kartkę i wsuwał ją z powrotem do kieszeni.

— Nazwisko?

— Daj spokój, Kurt. To jeden z moich najlepszych agentów.

— Chcę mieć jego nazwisko.

— To miejsce to wylęgarnia plotek, sam o tym wiesz. Powiedzieć jednej osobie to jakby ogłosić to wszystkim.

— Za godzinę na moim biurku ma leżeć jegoteczka. — Głos Vogla nie podniósł się ponad szept. — I wszystko, co

masz o tym inżynierze.

— Informacje o Jordanie mogę ci dać.

— Chcę dostać je wszystkie. I nie cofnę się przed pójściem do Canarisa.

— Och, na litość boską, Kurt, chyba nie polecisz od razu do wujcia Wilusia?

Vogel wstał i zapiął marynarkę.

— Chcę znać jego nazwisko i mieć jego teczkę. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Kurt, wracaj! — zawołał za nim Müller. — Pogadajmy. O Chryste!

— Jeśli chcesz pogadać, to czekam w gabinecie starego — oświadczył Vogel już prawie z korytarza.

— No, dobra, wygrałeś. — Müller zanurzył pulchne ręce w szafce i gwałtownie czegoś poszukiwał. — Masz tę pieprzoną teczkę. Nie musisz znowu gnać do wujka Wilusia. Chryste Panie, czasem jesteś gorszy od pieprzonych nazistów.

Vogel do południa czytał akta Petera Jordana. Potem z jednej z szafek wyjął dwie teckę, położył je na biurku i dokładnie przestudiował.

W pierwszej znajdowały się dokumenty na temat pewnego Irlandczyka, który dość krótko pracował jako szpieg, ale został wycofany, gdyż nie dostarczał wartościowych informacji. Vogel przejął jego dossier i umieścił go na liście płac Łańcucha V. Nie martwił się złą opinią, jaką wystawiono w przeszłości agentowi. Nie szukał szpiega. Ten Irlandczyk miał inne zalety, które Voglowi bardzo odpowiadały. Był mianowicie właścicielem niewielkiego gospodarstwa w dość odludnej części wybrzeża w okolicach Norfolk. Idealny punkt do

przetrzymania szpiega: stosunkowo blisko Londynu, bo tylko o trzy godziny jazdy pociągiem, a na tyle daleko, by nie roilo się tam od wywiadowców MI— 5.

Druga teczka zawierała dossier byłego spadochroniarza Wehrmachtu, któremu zabroniono skakać po tym, jak odniósł ranę w głowę. Mężczyzna miał wszystkie te zalety, których potrzebował Vogel: doskonałą znajomość angielskiego, oko do szczegółów i chłodną inteligencję. Ulbricht znalazł go wśród radiotelegrafistów Abwehry w północnej Francji. Vogel wciągnął go na listę płac Łańcucha V i trzymał w gotowości do innych, wyższych celów.

Odłożył teczki i nabazgrał dwie notatki. Podał rodzaj szyfru, częstotliwość, na której należy je nadać, oraz procedurę. Wreszcie podniósł wzrok i zawołał Ulbrichta.

— Tak jest, panie kapitanie — Ulbricht pojawił się w gabinecie, głośno stukając drewnianym kikutem.

Vogel zmierzył go wzrokiem, zastanawiając się, czy ten człowiek podola obowiązkom, które pociąga za sobą właśnie rozpoczęta operacja. Ulbricht miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał na co najmniej czterdzieści. Krótko przystrzyżone włosy przyprószyła siwizna. Głębokie bruzdy, które wyźłobiło cierpienie, biegły od kącika zdrowego oka. Drugie stracił w czasie wybuchu. Pusty oczodół zasłaniała czarna przepaska. Na szyi Ulbrichta wisiał krzyż rycerski. Górny guzik munduru zawsze nosił rozpięty, gdyż wykonanie najprostszycch czynności sprawiało mu wiele trudu. Szybko się męczył i pocił. Choć tak długo pracowali razem, Vogel ani razu nie usłyszał z ust podwładnego skargi.

— Jutro wieczorem pojedziesz do Hamburga. — Vogel wręczył

Ulbrichtowi transkrypcję obu wiadomości. — Stój za

radiooperatorem, kiedy będzie je nadawał. Dopilnuj, żeby się nie pomylił. Upewnij się, czy odpowiedzi agentów zgadzają się z procedurą. Gdyby cokolwiek nie pasowało, masz mi o tym powiedzieć. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie.

— A przed wyjazdem odszukaj Horsta Neumanna.

— O ile mi wiadomo, jest w Berlinie.

— Gdzie się zatrzymał?

— Nie jestem pewny — odparł Ulbricht. — Ale zdaje się, że to ma związek z jakąś kobietą.

— Jak zwykle. — Vogel podszedł do okna i wyjrzał na dwór. — Skontaktuj się z ludźmi na farmie Dahlem. Powiedz, że mają się nas spodziewać dziś wieczorem. I jutro, po powrocie z Hamburga, przyłącz się do nas. Powiedz, że spędzimy tam tydzień. Mamy mnóstwo roboty. I niech przygotują w stodole platformę do skoków. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz Neumann skakał z samolotu. Będzie musiał potrenować.

— Tak jest, panie kapitanie.

Ulbricht wyszedł. Vogel został w gabinecie sam. Długo tkwił w oknie, jeszcze raz od początku przebiegając w myślach całą operację. Najpilniej strzeżona tajemnica wojny, a on zamierza ją wykraść przy współudziale kobiety, kaleki, zwolnionego ze służby spadochroniarza i amerykańskiego zdrajcy.

Ładnąś ekipę zgromadził, staruszkę — pogratulował sobie w duchu. Gdyby gra nie szła o jego własny tyłek, może by to go i rozśmieszyło. Tymczasem stał jak posąg, patrząc na śnieg, który padał cicho na Tiergarten, i zamartwiając się na śmierć.

Rozdział szósty

Londyn

Kontrwywiad i Służby Bezpieczeństwa Imperium — lepiej znane pod nazwą nadaną jej wojskowej agencji jako MI— 5 — mieściły się w niewielkim, ciasnym budynku przy St James's Street pod numerem 58. Zadaniem MI— 5 był kontrwywiad. W słowniku szpiegowskim kontrwywiad oznacza strzeżenie swoich sekretów, a także, w razie konieczności, chwywanie szpiegów. W ciągu czterdziestoletniego istnienia służby bezpieczeństwa ginęły w cieniu swego bardziej imponującego krewniaka, służb wywiadowczych, czyli MI— 6. Te wewnętrzne rozgrywki nie miały dla profesora Alfreda Vicary'ego szczególnego znaczenia. Właśnie do MI— 5 wstąpił w maju 1940 roku i tam właśnie można go było znaleźć pewnego ponurego deszczowego wieczoru, w pięć dni po tajnej konferencji Hitlera w Kętrzynie.

Na ostatnim piętrze znajdowały się pokoje najwyższych zwierzchników: gabinet dyrektora generalnego, jego sekretariat, pokoje zastępców dyrektora oraz szefów poszczególnych wydziałów. Tam też rezydował generał brygady, sir Basil Boothby, skrywający się za imponującymi dębowymi drzwiami. Nad drzwiami paliły się dwa światła: czerwone oznaczało, że w pokoju jest zbyt niebezpiecznie, by tam zaglądać; zielone, że można wejść, ale na własne ryzyko. Vicary jak zwykle zawahał się, nim nacisnął brzęczyk.

Otrzymał wezwanie o dziewiątej, kiedy zamykał swoje rzeczy w stalowoszarej szafce i porządkował norę, jak określał swój maleńki gabinet. Kiedy wraz z wybuchem wojny liczba pracowników MI— 5 gwałtownie wzrosła,

przestrzeń stała się luksusem. Vicary'emu przyznano cele bez okien wielkości szafy na szczotki. Na podłodze leżała wytarta zielona wykładzina, prawie cały pokój zajmowało niewielkie biurko. Współpracownik Vicary'ego, były policjant, niejaki Harry Dalton, wraz z innymi niższymi urzędnikami, miał wyznaczone miejsce na wspólnej sali. Panował w niej taki hałas i rozgardiasz, że Vicary chodził tam wyłącznie, jeśli musiał.

Oficjalnie Vicary'emu przyznano w wywiadzie rangę majora, choć wojskowe tytuły w samym departamencie nie znaczyły właściwie nic. Większość pracowników z rozpędu zwracała się do niego „profesorze”, a mundur miał na sobie tylko dwa razy. Ale sposób ubierania Vicary'ego uległ zmianie. Zrzucił uniwersyteckie tweedowe marynarki i nosił szare garnitury, które kupił, zanim odzież, podobnie jak wszystko inne, zaczęto racjonować. Od czasu do czasu wpadał na znajomego albo dawnego kolegę z Uniwersytetu Londyńskiego. Mimo nieustannych ostrzeżeń rządu przed luźnymi pogawędkami, zawsze dopytywali się, co tak naprawdę Vicary robi. Zwykle uśmiechał się wtedy słabo, wzruszał ramionami i udzielał dyżurnej odpowiedzi: pracuje w strasznie nudnym departamencie Ministerstwa Wojny.

Rzeczywiście, bywało nudno, ale rzadko. Churchill się nie mylił: nadszedł czas, by przyłączyć się do świata żywych. Rozpoczynając pracę w MI—5 w maju 1940 roku, Vicary na nowo się narodził. Rozkwitał w atmosferze wywiadu wojennego. Wszystko mu odpowiadało: długie godziny pracy, kryzysy, nawet obrzydliwa kawa w kantynie. Wrócił też do palenia, które uroczyście rzucił na ostatnim roku studiów w Cambridge. Przepadał za grą w teatrze rzeczywistości. Poważnie się zastanawiał, czy umiałby znowu znaleźć zadowolenie w zaciszu biblioteki

uniwersyteckiej.

Oczywiście, długie godziny pracy i napięcie wywarły na nim swe piętno, ale nigdy przedtem nie czuł się równie dobrze. Mógł dłużej pracować i mniej spać. A kiedy kładł się do łóżka, natychmiast zapadał w sen. Podobnie jak wielu innych oficerów, często nocował w biurze na polowym łóżku, które, złożone, trzymał przy biurku.

Jedyną cechą, która przeżyła tę katharsis Vicary'ego, było znęcanie się nad okularami — tak samo poplamionymi jak dawniej — które stanowiły przedmiot żartów w departamencie. W chwilach rozterki profesor nadal obmacywał kieszenie w poszukiwaniu szkieł i wciskał je sobie na nos dla pociechy.

Właśnie to zrobił teraz, kiedy nad drzwiami gabinetu Boothby'ego nagle zabłysło zielone światło. Z ponurą miną człowieka, który wybiera się na pogrzeb przyjaciela z dzieciństwa, nacisnął brzeczyc. Ten zahuczał cicho, dębowe drzwi się otworzyły i profesor wszedł do środka.

Gabinet Boothby'ego był przestronny i długi, na ścianach wisiały dobre obrazy, w gazowym kominku płonął ogień, na podłodze leżał mięsisty perski dywan, a z wysokich okien rozciągał się imponujący widok. Sir Basil Boothby kazał Vicary'emu odczekać obowiązkowe dziesięć minut, nim wreszcie pojawił się w pokoju, wchodząc przez drzwi łączące jego gabinet z sekretariatem dyrektora generalnego.

General brygady, sir Basil Boothby, wyglądał jak rasowy Anglik: wysoki, dobrze zbudowany. Swoboda, z jaką jego dłonie trzymały szklaneczkę, wyprostowane ramiona, uniesiona głowa, szczuple biodra, na których spotykały się spodnie, kamizelka i marynarka,

podkreślając pełną gracji doskonałość jego sylwetki — wszystko to przypominało o predyspozycjach lekkoatletycznych i sukcesach sportowych w latach szkolnych. Cechowała go surowa uroda, która ogromnie się podoba pewnej grupie młodych kobiet. Gęstym popielatoblond włosom i krzaczastym brwiom zawdzięczał przydomek „szczoty z piątego piętra”, jakim ochrzcili go dowcipnisie z wydziału.

Oficjalnie niewiele wiadano o losach Boothby'ego. Tylko to, że całą swoją karierę zawodową związał z brytyjskim wywiadem i walką z organizacjami powstańczymi w Imperium. Vicary uważał, że plotki i pogłoski otaczające daną osobę częściej więcej o niej mówią niż życiorys. A z plotek krążących w departamencie na temat Boothby'ego można by spisać całą księgę. Wieść niosła, że podczas pierwszej wojny światowej kierował siatką szpiegowską, która przeniknęła aż do niemieckiego sztabu głównego. W Delhi osobiście wykonał wyrok śmierci na Hindusie oskarżonym o zabójstwo brytyjskiego obywatela. W Irlandii kolbą pistoletu zatłukł na śmierć człowieka, który nie chciał zdradzić miejsca ukrycia broni. Doskonale opanował sztuki walki i w wolnym czasie trenował, by nie stracić formy. Był oburęczny, równie dobrze pisał, palił, trzymał kieliszek i szklankę albo mógł skrócić ci kark tak prawą, jak i lewą ręką. W tenisa grał tak świetnie, że mógłby zwyciężyć w turnieju wimbledońskim. Jego grę najczęściej określano mianem zwodniczej, a umiejętność zmiany ręki w połowie meczu nadal wybijała przeciwników z uderzenia. Mnóstwo czasu i spekulacji poświęcano jego życiu seksualnemu; uważano go za kobieciarza, który zaciągnął do łóżka połowę maszynistek i dziewcząt z archiwum, za homoseksualistę.

Zdaniem Vicary'ego sir Basil Boothby uosabiał

wszystko co złe w brytyjskim wywiadzie okresu międzywojennego: dobrze urodzony Anglik, absolwent Eton i Oksfordu, który uważał, że tajemna siła ducha przypisana mu jest z urodzenia, dokładnie tak samo jak majątek rodowy czy licząca sobie wiele stuleci rezydencja w Hampshire. Surowy, leniwy, ortodoksyjny, gliniarz w skórzanych półbutach i najlepszym garniturze. Nowi rekruci, wciągnięci do MI— 5 na początku wojny, intelektem znacznie górowali nad Boothbym. W końcu stanowili najlepszą kadrę uniwersytecką, byli najlepszymi prawnikami z najbardziej prestiżowych londyńskich kancelarii. Teraz Boothby znalazł się w sytuacji nie do po zazdroszczenia — miał dowodzić mężczyznami inteligentniejszymi od siebie, a równocześnie sobie przypisywać wszelkie ich osiągnięcia.

— Przepraszam, że pana przetrzymałem, Alfredzie. Spotkanie w podziemnej kwaterze wojennej z Churchillem, Menziesem i Ismayem. Zdaje się, że zanoszi się na poważne kłopoty. Ja piję brandy z sodą. Co panu nalać?

— Whisky — odparł Vicary, obserwując generała.

Choć Boothby był jednym z najwyżej postawionych oficerów MI— 5, nadal nie mógł się powstrzymać od dziecinnego przechwalania się nazwiskami ważnych person, z którymi na co dzień się spotykał. Grupa mężczyzn, którzy się zebrali w podziemnej fortecy premiera, stanowiła elitę angielskiej wspólnoty wywiadu czasu wojny: dyrektor generalny MI— 5, sir David Petrie; dyrektor generalny MI— 6, sir Stewart Menzies; dowódca sztabu Churchilla, generał sir Hastings Ismay. Boothby nacisnął guzik na biurku i poprosił sekretarkę, by przyniosła drinka dla Vicary'ego. Podeszedł do okna, podniósł zasłonę zaciemniającą i wyjrzał.

— Oby tylko cholerna Luftwaffe dziś dała nam spokój.

W czterdziestym było inaczej: to było nowe, a na swój sposób podniecające. Chodzenie z kaskiem pod pachą na kolację. Bieganina w poszukiwaniu schronu. Obserwowanie z dachów, gdzie wybuchł pożar. Nie sędzę jednak, żeby Londyn wytrzymał kolejną zimę nalotu za nalotem. Ludzie są zbyt zmęczeni. Zmęczeni, głodni, źle ubrani, a do tego powyżej uszu mają drobnych upokorzeń, które towarzyszą wojnie. Nie wiem, ile jeszcze naród zniesie.

Sekretarka przyniosła Vicary'emu drinka na srebrnej tacy. Whisky stała na białej papierowej serwetce. Boothby miał obsesję na punkcie krążków, jakie zostawiały na meblach wilgotne szklanki. Teraz usiadł w fotelu obok Vicary'ego i zaplótł długie nogi, czubkiem wypolerowanego buta niczym lufą rewolweru szturchając go w rzepkę.

— Mam dla pana nowe zadanie, Alfredzie. Żeby pan jednak naprawdę zrozumiał jego znaczenie, postanowiliśmy nieco wyżej podnieść kurtynę i pokazać panu coś więcej, niż widział pan do tej pory. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Chyba tak.

— Jest pan historykiem. Co pan wie o Sun Tzu?

— Chiny, czwarty wiek przed Chrystusem to naprawdę nie moja specjalność, sir Basilu. Ale czytałem go.

— Wie pan, co Sun Tzu napisał o intrygach wojskowych?

— Twierdził, że cała wojna opiera się na intrydze i oszustwie. Głosił, że każdą bitwę wygrywa się lub przegrywa jeszcze przed jej rozpoczęciem. Jego rada brzmiała prosto: atakuj wroga, kiedy nie jest gotów, i pojawiaj się tam, gdzie się ciebie nie spodziewa. Dodawał też, że bardzo ważne jest podkopać się pod wroga, przekupić go, posiać ziarno niezgody między przywódcami

i tak zniszczyć go bez walki.

— Doskonale, Alfredzie — oświadczył Boothby, wyraźnie pod wrażeniem. — Niestety, Hitlera nie zniszczymy bez walki. Aby jednak móc go pokonać w bitwie, musimy najpierw go oszukać. Musimy pójść za roztroprnymi wskazówkami Sun Tzu. Pojawić się tam, gdzie się nas nie spodziewa.

Wstał, podszedł do biurka i przyniósł metalową skrzynkę koloru polerowanego srebra, z przykutymi do rączki kajdankami.

— Od tej chwili stanie się pan BIGOTEM, Alfredzie — oznajmił, otwierając skrzynkę.

— Przepraszam... kim?

— BIGOTEM. To supertajna komórka stworzona specjalnie do zajmowania się inwazją. Nazwa wzięła się ze stempla, który umieszczaliśmy na dokumentach przewożonych przez brytyjskich oficerów do Gibraltaru, a dotyczących inwazji na Afrykę Północną. *To Gib* — do Gibraltaru. Po prostu odczytaliśmy to na wspak. *To Gib* zamieniło się w BIGOT.

— Rozumiem — powiedział Vicary.

Po czterech latach pracy w MI—5 część kryptonimów i haseł nadal uważał za idiotyczne.

— Teraz BIGOT to osoba, która została dopuszczona do największej tajemnicy operacji Overlord — czasu oraz miejsca inwazji we Francji. Z chwilą gdy pozna pan sekret, staje się pan BIGOTEM. Wszelkie dokumenty dotyczące inwazji noszą stempel

BIGOT.

Boothby otworzył skrzynkę, sięgnął do środka i wyjął beżową teczkę. Ostrożnie położył ją na stoliku. Vicary spojrział na okładkę, a potem na Boothby'ego. Na teźce widniał miecz i tarcza SHAEF — Kwatera Główna

Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych Koalicji — oraz stempel BIGOT. Poniżej słowa: *Plan Bodyguard*, dalej nazwisko Boothby'ego oraz numer sprawy.

— Za moment zostanie pan dopuszczony do bardzo ekskluzywnego bractwa — podjął Boothby — choć niektórzy członkowie uważają, że i tak jest nas zbyt wielu. Dodam też, że skrupulatnie przebadano pana życiorys oraz przebieg kariery. Nie pominięto najmniejszego szczegółu. Z przyjemnością stwierdzam, że nie doszukano się u pana związku z żadną faszystowską ani komunistyczną organizacją, że nie nadużywa pan trunków, przynajmniej w miejscach publicznych, że nie wiąże się pan z kobietami lekkich obyczajów, nie jest pan homoseksualistą ani nie wykazuje żadnych innych dewiacji seksualnych.

— Miło mi wiedzieć.

— Muszę panu również uświadomić, że w każdej chwili może pan stać się obiektem jeszcze bardziej wnikliwej kontroli. Jak zresztą każdy z nas. Nawet generał Eisenhower.

— Rozumiem to, sir Basilu.

— Świetnie. Najpierw chciałbym panu zadać kilka pytań. Część pana zadań wiązała się z inwazją, tak że mógł pan się co nieco zapoznać z przygotowaniem. Jak pan sądzi, gdzie zamierzamy uderzyć?

— Opierając się na tych okruchach wiadomości, jakie zdobyłem, obstawiałbym Normandię.

— A jak pan ocenia nasze szanse powodzenia w razie ataku na Normandię?

— Desant jest z założenia skomplikowany. To najtrudniejsza z wojskowych operacji — odparł Vicary. — Zwłaszcza jeśli dotyczy kanału La Manche. Juliuszowi Cezarowi i Wilhelmowi Zdobywcy się powiodło. Napoleonowi i Hiszpanom nie. Hitler w czterdziestym roku

ostatecznie odstąpił od tego pomysłu. Moim zdaniem szansę powodzenia takiego ataku wynoszą pół na pół.

— Gdyby aż tyle, Alfredzie! — prychnął Boothby. — Gdyby można liczyć na aż tyle. — Wstał i zaczął krążyć po gabinecie. — Na razie powiodły nam się trzy takie operacje: w Afryce Północnej, na Sycylii i w Salerno. Jednak ani razu nie musieliśmy atakować wybrzeża ufortyfikowanego. Boothby zatrzymał się i popatrzył na Vicary'ego.

— A przy okazji, ma pan rację. To będzie Normandia. Inwazję planujemy na koniec wiosny. I jeśli chcemy zyskać przynajmniej pańskie pół na pół szansy powodzenia, Hitler i jego generalicja muszą myśleć, że zaatakujemy gdzie indziej. — Siadł i wziął do ręki teczkę. — Właśnie dlatego stworzyliśmy to: plan *Bodyguard*. Sądzę, że jako historyk potrafi pan go docenić. To fortel wojenny na nigdy przedtem niespotykaną skalę.

Kryptonim nic Vicary'emu nie mówił. Boothby kontynuował swój wykład.

— W ogóle *Bodyguard* miał się nazywać planem Jaeli, ale zmieniliśmy to po ogromnie celnym oświadczeniu, jakie pan premier wygłosił do Stalina w Teheranie. Powiedział on wtedy mianowicie: „W czasie wojny prawda staje się tak bezcenna, że nieustannie winna jej strzec armia kłamstw”. Stary potrafi trafić w sedno, to mu muszę przyznać. *Bodyguard* nie stanowi operacji jako takiej. Pod tym kryptonimem kryje się ochrona strategiczna oraz działania dezorientujące, dokonywane na olbrzymią skalę, które mają wprowadzić Hitlera i sztab generalny w błąd co do naszych planów inwazyjnych.

Boothby wziął teczkę do ręki i szybko przerzucał kartki.

— Najważniejszym elementem *Bodyguard* jest

operacja *Fortitude*. Jej celem jest maksymalne opóźnienie reakcji Wehrmachtu na inwazję, poprzez zasugerowanie im, że w innych częściach północno— zachodniej Europy występuje groźba bezpośredniego ataku, zwłaszcza na Norwegię i Pas— de— Calais. Norweska intryga nosi kryptonim *Fortitude North*. Chcemy zmusić Hitlera do zostawienia na Półwyspie Skandynawskim dwudziestu siedmiu dywizji. Ma on być przekonany, że zamierzamy ruszyć na Norwegię przed, a nawet i po dniu rozpoczęcia inwazji. *Fortitude South* ma jeszcze bardziej kluczowe znaczenie i jest bardziej niebezpieczna.

Boothby przewrócił kolejną kartkę i głęboko zaczerpnął tchu.

— Celem *Fortitude South* jest powolne przekonywanie Hitlera, jego generałów oraz wywiadowców, że zamierzamy dokonać nie jednej, ale dwóch inwazji na Francję. Wedle *Fortitude South* pierwszy atak, dywersyjny, ma nastąpić w Zatoce Sekwany, w Normandii. Drugie, już główne uderzenie, przyjdzie z Dover na Calais. Z Calais nasze siły będą mogły bezpośrednio ruszyć na wschód i po paru tygodniach dotrzeć do Niemiec.

Boothby przerwał, by łyknąć brandy z sodą i dać Vicary'emu czas na przetrawienie jego słów.

— *Fortitude* będzie miała przekonać wroga, że celem pierwszego ataku jest zmuszenie Rommla i von Rundstedta do ściągnięcia wojsk pancernych Piętnastej Armii do Normandii i osłabienie w ten sposób Calais, które pozostanie bezbronne w obliczu prawdziwej inwazji. Oczywiście chcemy, by stało się coś zgoła odwrotnego. Wojska pancerne Piętnastej Armii mają pozostać w Calais i tam czekać na właściwy atak, sparaliżowane, nie wiedząc, jaką decyzję podjąć, podczas gdy my pojawimy się na wybrzeżu Normandii.

— Genialne w swej prostocie.

— Owszem — przytaknął Boothby. — Jest tylko jeden słaby punkt. Nie mamy dość ludzi, by zrealizować ten plan. Późną wiosną w Wielkiej Brytanii będzie stacjonować trzydzieści siedem dywizji — amerykańskich, angielskich i kanadyjskich — czyli ledwie tyle, ile potrzeba na jedno uderzenie na Francję. Gdzież tu marzyć o dwóch. Jeśli *Fortitude* ma mieć jakiegokolwiek szansę powodzenia, musimy przekonać Hitlera i jego generałów, że posiadamy dość wojska do ataku w dwóch miejscach.

— Jak, na miłość boską, to zrobimy?

— Cóż, po prostu stworzymy milionową armię. Wyczarujemy ją. Chyba z rękawa, należy się obawiać.

Vicary popijał whisky, ze zdumieniem wpatrując się w zwierchnika.

— To jakiś żart.

— Skąd, wcale. Alfredzie, my jesteśmy śmiertelnie poważni. Żeby inwazja zyskała tę jedną na dwie szansę powodzenia, musimy przekonać Hitlera, Rommla i von Rundstedta, że za klifami Dover skrywamy potężną, niezliczoną armię, która tylko czeka, by ruszyć przez kanał na Calais. Oczywiście, wcale jej nie będziemy mieć. Ale kiedy zrealizujemy nasz plan, Niemcy będą święcie przekonani, że stawiają czoło prawdziwej żywej armii, złożonej z jakichś trzydziestu dywizji. Jeśli zaś nie uwierzą w jej istnienie, jeśli nam się nie powiedzie i odkryją naszą grę, to istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że szansa naszego powrotu do Europy, jak to określa Churchill, zakończy się druzgocącą klęską.

— Czy ta armia cieni ma jakąś nazwę? — spytał Vicary.

— A i owszem: Pierwsza Grupa Armii Stanów Zjednoczonych, w skrócie FUSAG. Posiada nawet

dowódcę, samego Pattona. Niemcy uważają Pattona za naszego najwybitniejszego stratega i ich zdaniem bylibyśmy głupcami, podejmując inwazję i nie wyznaczając mu w niej kluczowej roli. Pod Pattonem będzie służyć prawie milion żołnierzy, armia złożona przede wszystkim z dziewięciu dywizji Trzeciej Armii Stanów Zjednoczonych, dwóch dywizji kanadyjskich Pierwszej Armii. Niech pan sobie wyobrazi, że główna kwatera FUSAG może się nawet pochwalić adresem w Londynie, przy Bryanston Square.

Vicary mrugał powiekami, próbując ogarnąć zdumiewające fakty, które mu przedstawiono. Niewiarygodne, stworzyć milionową armię z niczego. Boothby miał rację: to rzeczywiście fortel wojenny na niewyobrażalną skalę. W porównaniu z nią koń trojański Odyseusza to zwykła zabawa uczniów.

— Hitler nie jest idiotą, jego generałowie też. Wychowali się na podręcznikach Clausewitza, a Clausewitz umieścił w nich kilka cennych uwag na temat wywiadu wojennego. „Znaczna część informacji zdobytych podczas wojny wzajemnie się wyklucza, jeszcze większa to kłamstwa, a największa jest co najmniej wątpliwa”. Niemcy nie uwierzą, że w Kencie stacjonuje milionowa armia, tylko dlatego że im o tym powiemy.

Boothby uśmiechnął się, sięgnął do skrzynki i wyjął kolejny oprawiony notes.

— Zgadza się, Alfredzie. Właśnie dlatego wymyśliliśmy to. *Quicksilver*. Celem *Quicksilver* jest tchnięcie życia w naszą drogą armię cieni. W ciągu najbliższych tygodni, kiedy to nie istniejące siły FUSAG zaczną napływać do Brytanii, na falach radiowych zaroi się od informacji. Część z nich podamy w kodach, które Niemcy już złamali, a część bez szyfru. Wszystko musi być dopracowane w najmniejszym szczególe, tak jakbyśmy rzeczywiście

lokowali w Kencie milionową armię. Kwatermistrzowie będą wyrzekać na brak namiotów. Kucharze będą jęczeć, że brak im jedzenia i opału. Pogawędki radiotelegrafistów podczas ćwiczeń. Od teraz do chwili inwazji zbombardujemy niemieckie stanowiska podsłuchowe w północnej Francji prawie milionem rozmów. Część dostarczy Niemcom pożywki do domysłów, okruchów informacji o lokalizacji jednostek oraz stanie ich uzbrojenia. Oczywiście, życzymy sobie, żeby Niemcy wychycili te drobiazgi i rzucili się na nie jak sępy.

— Milion rozmów radiowych? Jak to możliwe?

— Dzięki Trzytysięcznemu i trzeciemu Amerykańskiemu Batalionowi Służb Nadawczych. Przywożą ze sobą imponującą ekipę: aktorów z Broadwayu, gwiazdy radiowe, specjalistów od naśladowania głosów. Będą papugować akcent Żyda z Brooklynu, a za chwilę zaczną się belkot rodowitego Teksasńczyka. Nagrają to wszystko w studiu na siedemnastocalowych płytach, a potem będą nadawać z ciężarówek krążących po Kencie.

— Nie do wiary — mruknął pod nosem Vicary.

— Owszem. A to tylko drobna część operacji. *Quicksilver* odpowiada za to, co Niemcy usłyszą przez radio. Ale musimy się też zająć tym, co zobaczą z powietrza. Musimy stworzyć wrażenie, że w południowo—wschodniej części wyspy powoli, metodycznie rozbija się armia. Tyle namiotów, by pomieścić milion żołnierzy, imponująca flotylla lotnicza, czołgi, amfibie. Poszerzymy drogi. A w Dover wybudujemy nawet cholerny magazyn paliw.

— Sir Basilu, przecież nie dysponujemy takimi ilościami czołgów ani amfibii, żeby je marnować na wprowadzanie przeciwnika w błąd.

— Oczywiście, że nie. Zbudujemy je. Ze sklejki i

plótna. Z ziemi będą wyglądały na to, czym będą: niedopracowane makiety. Ale z powietrza, przez obiektywy kamer Luftwaffe będą wyglądały jak prawdziwy sprzęt.

— Skąd wiemy, że samoloty wywiadowcze je zobaczą? Boothby uśmiechnął się promiennie, dopił drinka i wolno zapalił papierosa.

— Trafił pan w dziesiątkę, Alfredzie. Wiemy, że je zobaczą, bo je wpuścimy. Nie wszystkie, to jasne, boby się domyślili, że coś tu śmierdzi. RAF i amerykańskie lotnictwo nieustannie będą patrolować niebo nad FUSAG. I odgonią większość wścibskich intruzów. Ale niektórych, tylko tych, którzy polecą na wysokości powyżej trzydziestu tysięcy stóp, dodajmy, puszcza. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wywiadowcy powietrzni Hitlera potwierdzą to, czego dowie się od swoich podsłuchiowaczy w północnej Francji: że naprzeciwko Pas— de— Calais zgromadzono ogromne siły aliantów.

Vicary kręcił głową.

— Sygnały radiowe, zdjęcia lotnicze, dwa sposoby gromadzenia o nas informacji. A trzeci, oczywiście, przez szpiegów.

Ale czy właściwie zostali jeszcze jacyś szpiedzy? We wrześniu 1939, z chwilą wybuchu wojny, MI— 5 i Scotland Yard rozpoczęły zakrojoną na szeroką skalę akcję wylapywania szpiegów. Wszystkich uwięziono, po czym zmieniono w podwójnych agentów albo zabito. W maju 1940 roku, kiedy Vicary rozpoczął pracę w wywiadzie, MI— 5 właśnie wylapywało nowych szpiegów Canarisa, przysłanych, by zdobyć informacje potrzebne do szykowanej inwazji. Spotkał ich ten sam los, co pierwszą grupę.

Polowanie na szpiegów nie do końca określało zakres obowiązków Vicary'ego w MI— 5. Profesor zajmował się

organizowaniem działalności podwójnych agentów. To on miał pilnować, by Abwehra wierzyła, że jej ludzie nadal pracują, nadal zbierają informacje i przesyłają je do swoich zwierzchników w Berlinie. Taka działalność miała same zalety. MI— 5 mogło od samego początku wojny manipulować Niemcami, kontrolując przepływ informacji z Wysp Brytyjskich. Poza tym Abwehra nie przysyłała nowych szpiegów, ponieważ Canaris i jego współpracownicy żyli w przekonaniu, że ich agenci pracują pełną parą.

— Właśnie, Alfredzie. Trzecie źródło informacji Hitlera o inwazji stanowią jego szpiegzy. Powinienem chyba powiedzieć: szpiegzy Canarisa. I obaj wiemy, jak są skuteczni. Przechwyceni przez nas niemieccy agenci wniosą ogromny wkład w naszą operację *Bodyguard*, gdyż potwierdzą to, co Hitler zobaczy z powietrza i usłyszy przez radio. Co więcej, jeden z naszych podwójnych agentów, Tate, już rozpoczął grę.

Tate swój pseudonim zawdzięczał uderzającemu podobieństwu do popularnego aktora rewiewego Harry'ego Tate'a. Naprawdę nazywał się Wulf Schmidt, był agentem Abwehry, którego nocą 19 września 1940 roku zrzucono z heinkla 111 w hrabstwie Cambridge. Vicary, choć nie zajmował się sprawą Tate'a, znał z grubsza całą historię. Spędziwszy noc pod gołym niebem, Schmidt zakopał spadochron i radiostację, po czym udał się do pobliskiego miasteczka. Na dzień dobry skierował się do golarza Wilfreda Searle'a, gdzie nabył zegarek kieszonkowy, by nim zastąpić swój, stłuczony podczas skoku. Następnie w kiosku pani Field zaopatrzył się w *The Times*, przy ulicznej pompie obmył skręconą kostkę, po czym zjadł śniadanie w małej kafejce. Wreszcie, o dziesiątej przed południem, został aresztowany przez szeregowca

Toma Cousina z lokalnej Straży Obywatelskiej. Następnego dnia dostarczono go do MI— 5 w Ham Common w Surrey, gdzie po trzynastu dniach przesłuchań Tate przystał na współpracę i zgodził się nadawać fałszywe komunikaty.

— A przy okazji, Eisenhower jest w Londynie. Tylko paru wybrańców z naszej strony o tym wie. Za to Canaris też. Teraz pewnie już i Hitler. Co więcej, Niemcy wiedzieli o przyjeździe Eisenhowera, zanim ten zdążył rozpakować rzeczy w Hayes Lodge. A stało się tak dlatego, że Tate ich o tym powiadomił. Uznaliśmy to za idealną okazję. Pozornie bardzo ważna informacja, choć zupełnie bez znaczenia. Za to Abwehra żyje teraz w przekonaniu, że Tate posiada doskonale i wiarygodne dojście w SHAEF. Owo dojście stanie się nieocenione w miarę zbliżania się terminu inwazji. Tate będzie przekazywał swoim mocodawcom ważne kłamstwa. A przy odrobinie szczęścia Abwehra da się na nie nabrać. Już za parę tygodni szpiedzy Canarisa wykryją w południowo— wschodniej Anglii ogromne zbiorowiska ludzi i materiałów. Wypatrzą amerykańskie i kanadyjskie oddziały. Zobaczą namioty i całą tę scenografię. Usłyszą wyrzekania angielskiej opinii publicznej na ciężar, jaki stanowi tak olbrzymie skupisko ludzi na tak małej przestrzeni. W miasteczkach wschodniej Anglii będą widzieli generała Pattona, przemykającego przez nie w swoich charakterystycznych błyszczących butach i z rewolwerem z kolbą z kości słoniowej. Najlepsi poznają nawet nazwiska dowódców tej armii i prześlą je do Berlina. I pana sieć podwójnych agentów odegra w tym wszystkim kluczową rolę.

Boothby przerwał, zgniótł papierosa i natychmiast zapalił następnego.

— Kręci pan głową, Alfredzie? Domyślam się, że

dostrzegł pan jakąś piętę achillesową w naszym przedsięwzięciu.

Vicary uśmiechnął się ostrożnie. Może Boothby, który wiedział o namiętności, jaką profesor darzył historię i kulturę antycznej Grecji, domyślił, że słuchając zarysu operacji *Fortitude*, Vicary natychmiast pomyśli o wojnie trojańskiej.

— Mogę? — spytał Vicary, wskazując na paczkę papierosów Players. — Swoje, niestety, zostawiłem na dole.

— Oczywiście — Boothby poczęstował go, a potem przytrzymał mu ogień.

— Achilles zmarł, gdy strzała trafiła go w jego czuły punkt, piętę — podjął Vicary. — Piętą achillesową *Fortitude* jest fakt, że do jej zdruzgotania wystarczy jeden prawdziwy raport ze źródła, któremu Hitler ufa. Dlatego operacja wymaga całkowitego manipulowania każdym źródłem informacji, jakim dysponuje Hitler i jego wywiad. Aby plan się powiódł, wszystkie donosy muszą być skażone. Jeśli przeciśnie się choć gram prawdy, wszystko może się zawalić. — Przerwawszy, żeby się zaciągnąć papierosem, Vicary nie mógł się powstrzymać od historycznego porównania: — Gdy unieszkodliwiono Achilleusa, jego zbroję otrzymał Odyseusz. Naszą zbroję, obawiam się, otrzyma Hitler.

Boothby ujął pustą szklanę i w zadumie obracał ją w dużej dłoni.

— To ryzyko nieodłącznie związane z każdą intrygą, nieprawdaż? Niemal zawsze wskazuje drogę do prawdy. General Morgan, który zaplanował inwazję, ujął to najtrafniej: wystarczy, żeby tylko jeden przyzwoity niemiecki szpieg przewędrował sobie angielskim wybrzeżem od Kornwalii po Kent, a cały plan runie. A wraz z nim nadzieje Europy. Właśnie dlatego cały wieczór

przesiedzieliśmy z premierem i dlatego pan tu teraz jest, Alfredzie.

Boothby wstał i wolno przeszedł się po gabinecie.

— W tym momencie mamy dość mocne podstawy sądzić, że skaziliśmy wszystkie źródła informacji Hitlera. Tak samo mamy dość mocne podstawy sądzić, że wylapaliśmy wszystkich szpiegów Canarisa w Wielkiej Brytanii i że żaden z nich nie działa poza naszą kontrolą. Gdyby tak nie było, w ogóle byśmy się nie wazyli na taką akcję. Powiadam: dość mocne podstawy, gdyż tego nigdy nie można twierdzić z całkowitą pewnością. Dwustu sześćdziesięciu szpiegów: wszyscy aresztowani, przeciągnięci na naszą stronę albo powieszeni.

Boothby minął słaby krąg światła lampy i zniknął w ciemnym rogu pokoju.

— W ubiegłym tygodniu Hitler zwołał w Kętrzynie konferencję. Zebrała się tam cała góra: Rommel, von Rundstedt, Canaris i Himmler. Rozmawiano o inwazji, a przede wszystkim rozważano jej czas i miejsce. Hitler przyłożył Canarisowi pistolet do głowy, oczywiście w przerośni, nie naprawdę, i kazał mu odkryć prawdę albo spodziewać się dość nieprzyjemnych konsekwencji. W odpowiedzi Canaris przekazał to zadanie jednemu ze swoich podwładnych, niejakiemu Voglowi, Kurtowi Voglowi. Do tej pory uważaliśmy Vogla za radcę prawnego Canarisa. Najwyraźniej się myliliśmy. Pana zadaniem jest dopilnować, żeby Vogel nie poznał prawdy. Nie miałem okazji zapoznać się z jego aktami. Przypuszczam, że w archiwum coś o nim mają.

— Dobrze — odparł Vicary.

Boothby znowu wynurzył się z kręgu przyćmionego światła. Na jego czole pojawiła się zmarszczka, jakby dosłyszał coś nieprzyjemnego w pokoju obok; potem zapadł

w długie, pełne zadumy milczenie.

— Alfredzie, chciałbym na samym początku postawić pewną sprawę jasno. Premier nalegał, by właśnie panu powierzono to zadanie, mimo silnego sprzeciwu ze strony dyrektora generalnego i mojej.

Vicary przez chwilę wytrzymał spojrzenie Boothby'ego, potem zażenowany uwagą, odwrócił wzrok. Rozglądał się po gabinecie. Patrzył na tuziny zdjęć sir Basila z ważnymi personami. Na stare wiosło, które wisiało na ścianie, zupełnie nie pasując do tego oficjalnego pomieszczenia. Może to pamiątka radośniejszych, mniej skomplikowanych czasów — pomyślał. Lśniącei powierzchni wody o wschodzie słońca. Zawodów Oksford kontra Cambridge. Albo powrotów do domu w zimne jesienne popołudnia.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię tę uwagę, Alfredzie. Spisuje się pan doskonale. Pana siatka Beckera okazała się prawdziwym sukcesem. Ale tak dyrektor, jak i ja uważaliśmy, że do tego zadania należałoby wyznaczyć kogoś wyższego rangą.

— Rozumiem — odparł Vicary. Ktoś wyższy rangą, czyli stary oficer, a niejeden z nowych ludzi, których Boothby tak nie znosił.

— Ale jak widać — podjął Boothby — nie zdołaliśmy przekonać premiera, że nie jest pan najlepszym człowiekiem do tego zadania. Dlatego jest teraz pana. Proszę mnie informować na bieżąco o postępach. I życzę panu dużo szczęścia, Alfredzie. Podejrzewam, że będzie panu potrzebne.

Rozdział siódmy

Londyn

W styczniu 1944 roku pogoda zajęła w opinii publicznej należne jej miejsce głównej obsesji Brytyjczyków. Po wyjątkowo suchych oraz upalnych lecie i jesieni nadeszła zima — i to niezwykle mroźna. Lodowata mgła unosiła się znad rzeki, oszraśniała Westminster i Belgravię, niczym dym wisiała nad ruinami Battersea i Southwark. Naloty stały się odległym wspomnieniem. Wróciły dzieci. Roilo się od nich w sklepach z zabawkami i domach towarowych, gdzie matki wymieniały niepożądane prezenty gwiazdkowe na bardziej przydatne. W ostatni dzień starego roku tłumy wyległy na Piccadilly Circus. Mogłoby się to wydać zupełnie normalne, gdyby nie fakt, że Nowy Rok, ze względu na zaciemnienie, witano w kompletnych ciemnościach. W parę dni później zresztą Luftwaffe po długiej i mile widzianej przerwie znów powróciła na niebo nad Londynem.

Tego wieczoru, o ósmej, Catherine Blake szła szybkim krokiem przez most westminsterski. W East Endzie i Dokach szalały pożary, szperacze ochrony przeciwlotniczej przeszukiwały nocne niebo. Catherine słyszała monotonne dudnienie pocisków przeciwlotniczych, wystrzeliwanych z baterii w Hyde Parku i znad brzegów Tamizy, w powietrzu czuła gryzący dym. Wiedziała, że czeka ją długa, męcząca noc.

Skręciła w Lambeth Palace Road i nagle uderzyła ją bezsensowna myśl: wręcz konała z głodu. Jedzenia brakowało jeszcze bardziej niż zwykle. Sucha jesień i mroźna zima sprawiły, że z wyspy niemal zupełnie zniknęły świeże warzywa. Ziemniaki i brukselka stanowiły

prawdziwy luksus. Tylko rzepy było w bród. Zabiję się, jeśli będę musiała zjeść jeszcze jedną rzepę — pomyślała Catherine. Choć, z drugiej strony, w Berlinie zapewne sytuacja była znacznie gorsza.

Policjant — niski, pulchny mężczyzna, który wyglądał na zbyt starego, żeby iść do wojska — trzymał straż przy wejściu na ulicę. Podniósł rękę i przekrzykując zawroźnienie syren alarmowych, zażądał dokumentów.

Jak zwykle serce jej na chwilę zamarło.

Podawała kartę, w której widniało, że pracuje tu jako wolontariuszka. Policjant zerknął do dokumentu, potem jej się przyjrzał. Musnęła jego ramię i pochyliła się nad nim, by czuć na uchu jej oddech, kiedy mówiła. Od lat w ten właśnie sposób rozbierała mężczyzn.

— Jestem pielęgniarką— wolontariuszką w szpitalu Świętego Tomasza.

Policjant podniósł wzrok. Po jego twarzy Catherine poznała, że przestał stanowić dla niej zagrożenie. Uśmiechał się szeroko, wpatrując się w nią, jakby się zakochał. Catherine to wcale nie zaskoczyło. Była uderzająco piękna i przez całe życie posługiwała się swą urodą jako bronią.

Policjant oddał jej dokumenty.

— Bardzo jest źle? — spytała.

— Bardzo. Niech pani uważa i chroni głowę.

Krażące po Londynie karetki nawet w części nie zaspokajały potrzeb. Władze zagarniały wszystko, co im wpadło w ręce: ciężarówki, furgonetki rozwożące mleko, wszystko co miało kółka, nawet motocykle, byle z tyłu się mieścił ranny i lekarz. Na jednej z karetek, która właśnie podjechała pod salę przyjęć, Catherine pod czerwonym krzyżem dostrzegła zamalowaną nazwę tutejszej znanej piekarni.

Przyspieszyła kroku, ominęła karetkę i weszła do środka. Pogotowie przypominało dom wariatów. Aż roilo się od rannych. Byli wszędzie: na podłodze, w korytarzach, nawet w pokoju pielęgniarek. Wielu płakało. Inni tkwili bez ruchu, zbyt oszołomieni, by pojąć, co się z nimi dzieje. Mnóstwo pacjentów czekało, by obejrzał ich lekarz albo pielęgniarka. A nowych ciągle przybywało.

Ktoś dotknął ramienia Catherine.

— Nie pora stać i się gapić, panno Blake.

Catherine obejrzała się i zobaczyła surową twarz Enid Pritt. Przed wojną Enid była dobroduszną, czasem roztargnioną kobietą, przyzwyczajoną do przypadków nagłej grypy, a od czasu do czasu ofiar jakiejś bójki na noże w sobotni wieczór pod pubem. Lecz wojna to zmieniła. Teraz Enid chodziła wyprostowana, mówiła jasnym, wyraźnym głosem, nigdy nie marnując słów. Kierowany przez nią jeden z najbardziej ruchliwych punktów pogotowia działał bez zarzutu. Rok temu, po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa, jej mąż zginął podczas nalotu. Enid Pritt nie pograżyła się w żałobie. To może poczekać, dopóki nie pokonają Niemców.

— Nie wolno im się domyślać, co pani myśli, panno Blake — skarciła Catherine przełożona — bo jeszcze bardziej się wystraszą. Niech pani zdejmuje płaszcz i bierze się do roboty. Mamy tutaj co najmniej stu pięćdziesięciu rannych, a z każdą minutą ich przybywa. Mówili, że będzie jeszcze więcej.

— Nie widziałam tylu rannych od września czterdziestego roku.

— I dlatego pani potrzebują. A teraz do roboty, młoda damo, raz— dwa.

Enid Pritt krążyła po sali niczym dowódca przemierzający pole bitwy. Catherine patrzyła, jak udziela

reprimendy innej młodej pielęgniarki za niestarannie założony opatrunek. Enid Pritt nie miała ulubienic, wszystkie pielęgniarki i wolontariuszki traktowała równie surowo. Catherine odwiesiła płaszcz i ruszyła do pracy. Zaczęła od dziewczuszki, która ścisnęła wytartego pluszowego misia.

— Gdzie boli, maleńka?

— Rączka.

Catherine podwinęła rękaw swetra dziewczynki, odsłaniając ramię — z całą pewnością złamane. Dziecko było w szoku i nie uświadamiało sobie bólu. Catherine zagadywała, żeby odsunąć myśli małej od rany.

— Jak się nazywasz, kochanie?

— Ellen.

— Gdzie mieszkasz?

— W Stepney, ale naszego domu już nie ma. — Mówiła spokojnie, rzeczowo.

— A gdzie są twoi rodzice? Czy przyjechali tu z tobą?

— Strażak powiedział, że są teraz u Bozi.

Catherine nic już nie powiedziała, tylko uścisnęła rączkę dziecka.

— Zaraz przyjdzie cię zbadać lekarz. A na razie siedź i postaraj się nie ruszać ręką. Zgoda, Ellen?

— Tak. Jest pani bardzo ładna. Catherine się uśmiechnęła.

— Dziękuję. Wiesz co?

— Co?

— Ty też jesteś ładna.

Catherine przeszła dalej korytarzem. Starszy mężczyzna z raną na czubku łysej głowy podniósł wzrok, kiedy chciała go opatrzeć.

— To nic wielkiego, młoda damo. Jest wiele osób w znacznie

gorszym stanie niż ja. Niech się pani nimi zajmie najpierw.

Przyglądała mu resztki siwych włosów i zrobiła, co kazał. Nieustannie spotykała się u Anglików z taką postawą. Ci w Berlinie chyba postradali rozum, że podejmują naloty. Szkoda, że nie może im tego powiedzieć.

Catherine ruszyła dalej, opatrywała rannych, przysłuchując się opowieściom pacjentów.

— Właściem stał w kuchni i nalewał se zasmarkanej herbaty, kiedy nagle jak łupnęło! Tysiącfunтова bomba wylądowała na samiuśkim progu. Anim się obejrzał, jak leżałem na plecach w czymś, co jeszcze przed chwilą było moim ogródkiem i patrzyłem na kupę zasmarkanego śmiecia, która jeszcze przed chwilą była moim domem.

— Nie przeklinaj, George. To nieładnie. Zresztą są tu dzieci.

— To nie miałeś aż tak źle, druhu. Na ulicy obok mnie rąbnęło w sam dom. Czwórka ludzi, przyzwoita rodzina, wszystkich zdmuchnęło.

Niedaleko spadła bomba. Szpital się zatrzęsł. Ciężko ranna zakonnica przeżegnała się i zainicjowała Modlitwę Pańską.

— Dziś w nocy będzie trzeba czegoś więcej niż ojczenaszek, żeby wygnać Luftwaffe, siostrzyczko.

— ...Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja...

— W czterdziestym w nalocie zginęła moja żona. Dziś chyba straciłem naszą jedyną córkę.

— ...jako w niebie tak i na ziemi...

— Co za wojna. Siostro, co za przeklęta wojna.

— ...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

— Wiesz, Mervin, mam wrażenie, że Hitler za nami nie przepada.

— Też to zauważyłem. Sala wybuchła śmiechem.

Dziesięć minut potem, kiedy zakonnica uznała, że wyczerpała się norma modlitw na dziś, zaczęło się zbiorowe śpiewanie.

— „Wytoczcie beczuchnę...”. Catherine pokręciła głową.

— „Będziemy mieć beczkę śmiechu”.

Ale po chwili, sama nie wiedząc kiedy, zaczęła śpiewać wraz z nimi.

Dopiero o ósmej następnego ranka Catherine wróciła do siebie. Przyszła już ranna poczta. Właścicielka domu, pani Hodges, zawsze wsuwała ją pod drzwi. Catherine schyliła się, zebrała ją, podarła i natychmiast wrzuciła trzy koperty do kosza na śmiecie w kuchni. Nie musiała czytać tych listów, gdyż sama je napisała i wysłała z trzech różnych punktów Londynu. W innych okolicznościach nie otrzymywałaby żadnej prywatnej korespondencji, gdyż nie miała w Anglii ani przyjaciół, ani rodziny. Ponieważ jednak dziwnie by wyglądało, gdyby młoda, śliczna i wykształcona kobieta w ogóle z nikim nie korespondowała, a pani Hodges była dość wścibska, Catherine wdała się w te skomplikowane manewry.

Przeszła do łazienki i odkręciła kurki nad wanną. Ciśnienie było niskie, woda więc płynęła słabiutkim strumieniem. Dobrze, że chociaż gorąca. Po suchym lecie i jesieni odczuwało się brak wody; rząd groził, że i ona będzie racjonowana. Parę ładnych minut potrwa, nim wanna się napelni.

W chwili angażu Catherine Blake właściwie nie mogła stawiać żadnych warunków, ale w jednej sprawie nie ustąpiła: zażądała sum, które jej umożliwią wygodne życie. Wychowała się w dużych, przestronnych domach i wiejskich rezydencjach, oboje jej rodzice pochodzili z wyższych sfer. Dlatego też z góry wykluczała, że miałyby

przemieszczać czas wojny w jakimś obskurnym pensjonacie, dzieląc łazienkę z szóstką innych gości. Oficjalnie podawała się za wojenną wdowę z porządnej rodziny o przyzwoitych dochodach i mieszkanie doskonale odzwierciedlało ten wizerunek: skromne acz wygodne pokoje w wiktoriańskiej kamienicy w Earl's Court.

Salon, skromnie urządzony, był przytulny, choć postronną osobę uderzyłby całkowity brak elementów osobistych. Nie stały tu żadne fotografie, żadne pamiątki. Poza tym oddzielna sypialnia z wygodnym podwójnym łóżkiem, kuchnia wyposażona we wszystkie nowoczesne udogodnienia i łazienka z dużą wanną.

Mieszkanie miało też inne zalety, których nie brałaby pod uwagę przeciętna Angielka. Znajdowało się na najwyższym piętrze, skąd walizkowe radio stosunkowo dobrze odbierało komunikaty z Hamburga. A z dużego wiktoriańskiego okna rozciągał się widok na ulicę.

Catherine przeszła do kuchni i wstawiła wodę na kuchenkę. Praca w szpitalu pochłaniała mnóstwo czasu i sił, lecz była niezbędna dla utrzymania pozorów. Każdy starał się choćby w minimalnym stopniu wspierać ojczyznę. Podejrzanie by wyglądało, gdyby młoda, zdrowa kobieta bez rodziny nie wspomagała wysiłków wojennych. Podjęcie pracy w fabryce zbrojeniowej było ryzykowne: jej sfabrykowana tożsamość mogłaby nie wytrzymać zbyt wnikliwego sprawdzania, a wstąpienie do żeńskiej formacji wojskowej w ogóle nie wchodziło w rachubę. Działalność wolontariuszki stanowiła idealne rozwiązanie. Szpitale rozpaczliwie potrzebowały pomocy. We wrześniu 1940 roku Catherine zgłosiła się do pogotowia i jeszcze tego samego wieczoru rozpoczęła pracę. Zajmowała się rannymi w szpitalu Świętego Tomasza, a podczas nalotów rozdawała w kolejce podziemnej książki i herbatniki. Z pozoru

wydawała się uosobieniem młodej Angielki, włączanej w patriotyczne dzieło.

Czasem chciało jej się śmiać.

Czajnik zagwizdał. Wróciła do kuchni przyszykować herbatę. Jak wszyscy londyńczycy uzależniła się od herbaty i papierosów. Odnosiło się wrażenie, że cały kraj żyje taniną oraz tytoniem, a Catherine pod tym względem nie odbiegała od normy. Wykorzystała już swój przydział mleka w proszku i cukru, więc wypła herbatę bez dodatków. W takich chwilach jak ta marzyła o mocnej, gorzkiej kawie z rodzinnych stron i o kawałku słodkiego berlińskiego ciasta.

Dopiła pierwszą filiżankę i nalala sobie następną. Marzyła jej się kąpiel, łóżko i sen całą dobę, ale czekała ją praca i nie mogła sobie na to pozwolić. Gdyby poruszała się po Londynie jak zwykła kobieta, wróciłaby do domu godzinę wcześniej. Przejechałaby metrem przez cały Londyn i wysiadła na przystanku Earl's Court. Ale Catherine nie poruszała się po Londynie jak zwykła kobieta. Pojechała kolejką, następnie autobusem, potem taksówką i znowu autobusem. Z autobusu wysiadła przed swoim przystankiem i ostatnie kilkaset metrów przeszła pieszo, nieustannie sprawdzając, czy ktoś jej nie śledzi. Kiedy wreszcie znalazła się w domu, była przemoczona do nitki, ale pewna, że nikt za nią nie podążał. Po ponad pięciu latach niektórych agentów może by i ogarnęło lenistwo. Nie Catherine. Między innymi dlatego przeżyła, podczas gdy innych aresztowano i stracono.

Przeszła do łazienki i przebrała się przed lustrem. Była wysoka i umięśniona. Latem intensywnej jazdy konnej i polowania zawdzięczała znacznie lepszą kondycję od kondycji większości kobiet i wielu mężczyzn. Miała szerokie ramiona, ręce gładkie i silne, niczym u posągu.

Piersi pełne i kształtne, brzuch płaski i jędrny. Jak prawie wszyscy podczas wojny straciła na wadze. Rozpięta spinkę, która przytrzymywała gładki pielęgniarzki koczek i włosy kaskadą rozsypały się jej na ramiona, okalając twarz i podkreślając intensywnie niebieskie oczy — oczy koloru pruskiego jeziora, jak często mawiał jej ojciec — i wyraziste kości policzkowe, dziedzictwo po niemieckich, nie angielskich przodkach. Urody dopełniał smukły nos i pełne, zmysłowe wargi.

Jak tak popatrzeć — pomyślała — ciągle jeszcze jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Catherine Blake.

Położyła się w wannie, nagle czując się ogromnie samotna. Vogel ją przed tym ostrzegwał, ale nigdy sobie nie wyobrażała, że samotność okaże się tak dotkliwa. Czasem nawet nękała ją bardziej niż strach. Pomyślała, że może by było lepiej rzeczywiście *znaleźć* się całkiem samej na bezludnej wyspie czy szczycie góry niż być zmuszoną tak żyć w otoczeniu ludzi.

Od czasu tamtego chłopca w Holandii nie pozwoliła sobie na kochanka. Brakowało jej mężczyzn, tęskniła za seksem, ale potrafiła się obejść bez jednego i drugiego. Podobnie jak każde inne uczucie, pożądanie umiała włączyć lub wyłączyć, jakby zapalała lub gasiła lampkę. Poza tym w jej zawodzie mężczyźni stanowili utrudnienie. Często popadali w obsesję na jej punkcie. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś chory z miłości typek grzebał w jej przeszłości.

Catherine wykąpała się i wyszła z wanny. Szybko rozczesała wilgotne włosy i włożyła szlafrok. Przeszła do kuchni i otworzyła drzwi do spiżarni. Na półkach nie stało nic, tylko radio walizkowe na samej górze w głębi. Zdjęła je, przeniosła do salonu i postawiła przy oknie, gdzie był najlepszy odbiór. Otworzyła pokrywę i włączyła

radiostację.

Jeszcze z jednego powodu Catherine nigdy nie wpadła — trzymała się z dala od fal radiowych. Co tydzień włączała odbiornik na dziesięć minut. Jeśli Berlin ma dla niej jakieś rozkazy, to je prześle.

Od pięciu lat nie było nic, tylko szum.

Sama skontaktowała się z Berlinem zaledwie raz, po tamtej nocy, gdy zabiła kobietę w Suffolk i przyjęła nową tożsamość. Beatrice Pymm... Przypomniała sobie ją teraz, ale nie czuła wyrzutów sumienia. Catherine służyła w wojsku, a w czasie wojny żołnierze muszą zabijać. Poza tym nie zamordowała dla przyjemności— to zabójstwo było niezbędne.

Tylko na dwa sposoby szpieg mógł się dostać do Wielkiej Brytanii: nielegalnie — spadochronem albo na łódce; legalnie — jako pasażer statku lub samolotu. Każda z tych metod miała swoje wady. Próba wniknięcia do kraju drogą powietrzną albo morską pociągała za sobą ryzyko. Agent mógł zostać dostrzeżony albo zranić się przy skoku; sama nauka skoku na spadochronie pochłonęłaby dodatkowe miesiące i tak bardzo długiego szkolenia Catherine. Drugiemu sposobowi — legalnemu przekroczeniu granicy — towarzyszyły inne niebezpieczeństwa. Konieczność kontroli paszportowej; jej data i miejsce są odnotowywane. Założono, że po wybuchu wojny MI— 5 z całą pewnością oprze się na tej ewidencji przy szukaniu wywiadowców. Jeśli obcokrajowiec znajdzie się na terenie Wielkiej Brytanii, ale jej nie opuści, MI— 5 spokojnie założy, że to niemiecki agent. Vogel wymyślił na to sposób: przypląć do Anglii bezpiecznie statkiem, potem pozbyć się problemu ewidencji przekroczenia granicy, pozbywając się osoby, która ją przekroczyła. Proste, choć kryła się tu jedna trudność: wymagało to ciała.

Beatrice Pymm po śmierci stała się Christa Kunst. MI— 5 nie odkryła Catherine, ponieważ wcale jej nie szukała. Angielski wywiad w ogóle nie miał pojęcia o jej istnieniu.

Catherine dołała sobie herbaty, nałożyła słuchawki i czekała.

Omam nie wylała jej na siebie, kiedy po pięciu minutach radio ożyło.

Nadawca w Hamburgu błyskawicznie wytrząsał hasło. Niemieccy radiotelegrafiści cieszyli się reputacją najdokładniejszych na świecie. A zarazem najszybszych. Catherine z trudem nadała. Kiedy operator w Hamburgu skończył, poprosiła o powtórzenie informacji.

Zrobił to, tym razem wolniej.

Catherine potwierdziła i rozłączyła się.

Długo trwało, nim znalazła książkę szyfrów i jeszcze dłużej, nim rozszyfrowała wiadomość. Skończywszy, wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

Wykonać spotkanie alfa...

Kurt Vogel wreszcie chce, by się spotkała z innym agentem.

Rozdział ósmy

Hampton Sands, Norfolk

Deszcz siekł nad wybrzeżem Norfolk, kiedy Sean Dogherty, po pięciu dużych kuflach cienkiego piwa, próbował wsiąść na rower pod pubem Hampton Arms. Udało mu się za trzecim razem i tak wstawiony, ruszył do domu. Metodycznie pedałując, prawie nie zwracał uwagi na wioskę. Bo też i było to obrzydliwe miejsce: parę domków przy jedynej ulicy, sklepik i pub. Szyldu nie malowano od 1938 roku; farbę, jak niemal wszystko, racjonowano. Na wschodnim krańcu wyrastał kościół Świętego Jana, za nim leżał cmentarz. Dogherty automatycznie się przeżegnał, mijając cmentarne wrota, potem skierował się na drewniany mostek łączący brzegi nadmorskiej rzeczki. W chwilę później wieś zniknęła za jego plecami.

Zapadła ciemność. Dogherty zmagał się z rowerem, usiłując utrzymać go w pionie na wyboistej drodze. Był drobnym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o zielonych, bardzo głęboko osadzonych oczach i rzadkiej siwej brodzie. Krzywy, zdeformowany nos tyle razy mu łamano podczas krótkiej kariery bokserkiej i licznych bójek ulicznych w Dublinie, że już stracił rachubę. Dogherty miał na sobie sztormiak i wełnianą czapkę. Zimne powietrze siekło odsłoniętą skórę twarzy: w przenikliwym powiewie znad Morza Północnego czuło się góry lodowe Arktyki i fiordy Norwegii, które wiatr mijał, nim dotarł na wybrzeże Norfolk.

Plachty deszczu się rozstały i odsłonił się krajobraz: rozległe szmaragdowe pola, szare połacie błota, słone moczary porośnięte trzcina i trawą. Po lewej stronie długa,

zdawać by się mogło, ciągnąca się w nieskończoność plaża schodziła na brzeg morza. Po prawej, stosunkowo niedaleko, wyrastały zielone wzgórza, zasłonięte przez niską chmurę.

Znad mokradel zerwała się para dzikich gęsi, które przyleciały tu z Syberii przezimować, i z łopotem skrzydeł pofrunęła nad wodą. To wybrzeże, idealne schronienie dla wielu gatunków ptaków, niegdyś chętnie odwiedzali turyści. Ale wojna całkowicie uniemożliwiła obserwowanie ptaków. Większość regionu zaanektowała armia, a racjonowanie benzyny sprawiło, że tylko garstka obywateli mogłaby się wybrać w ten odległy zakątek kraju. A nawet gdyby tu dotarli, trudno by im się było nie zgubić. Wiosną czterdziestego roku, kiedy to wszystkich ogarnęła panika przed inwazją, rząd usunął wszelkie znaki drogowe.

Sean Dogherty zwracał na takie rzeczy baczniejszą uwagę, pilniej je obserwował niż inni mieszkańcy wybrzeża Norfolk. W 1940 roku został wciągnięty na listę szpiegów Abwehry i otrzymał pseudonim Szmaragd.

W oddali pojawił się niewielki domek. Z komina unosił się dym, który natychmiast porywał wiatr, znosząc nad rozległą łąkę. Niewielkie gospodarstwo na dzierzawionej ziemi, ale zapewniało jakie takie życie: stadko owiec dające wełnę i mięso, kurczaki, grządki warzyw, za które nieźle płacono na targu. Dogherty miał nawet rozklekotaną furgonetkę, którą przewoził towar sąsiadów na targ w King's Lynn. Dzięki temu otrzymywał rolniczą rację paliwa, większą niż racja przeciętnego obywatela.

Skręcił, zsiadł z roweru i brukowaną ścieżką podprowadził go pod stodołę. Nad jego głową zahuczały bombowce startujące z baz w Norfolk. Pamiętał czasy, gdy

samoloty nadlatywały z innej strony: ciężkie heinkle Luftwaffe śmigaly znad Morza Północnego ku przemysłowym ośrodkom Birmingham i Manchesteru. Teraz alianci zawładnęli niebem i heinkle rzadko się zapuszczały nad Norfolk. Najwyraźniej Dogherty postawił na złego konia.

Podniósł głowę i zauważył, że zasłonki w kuchni lekko się poruszyły. W zalanym deszczem oknie dostrzegł zarys twarzy Mary.

Nie dziś, Mary — pomyślał, mimowolnie odwracając wzrok. Proszę, daruj mi to dziś.

Nietrudno było Abwehrze przekonać Seana Dogherty'ego do zdrady Anglii i pracy dla hitlerowskich Niemiec. W 1921 roku Brytyjczycy aresztowali i powiesili jego starszego brata, Daniela, za to, że dowodził lotną kolumną Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

W stodole Dogherty otworzył kluczem szafkę na narzędzia i wyjął z niej swój odbiornik walizkowy, który dała mu Abwehra, książkę kodową, notes i ołówek. Włączył radio i dla zabicia czasu zapalił papierosa. Instrukcje otrzymał proste: raz w tygodniu włączaj radio i oczekuj instrukcji z Hamburga. Ostatnio Abwehra zleciła mu zadanie ponad trzy lata temu. Mimo to karnie włączał radio o ustalonej porze i czekał dziesięć minut.

Zostały jeszcze dwie minuty. Dogherty odłożył książkę i notes do szafki. Na minutę przed upływem umówionego czasu sięgnął do gałki. Już miał wyłączyć radio, kiedy nagle ożyło. Rzucił się po notes i w szaleńczym pośpiechu notował, póki nie ucichło. Szybko wystukał potwierdzenie i rozłączył się.

Dziesięć minut zajęło mu odszyfrowanie wiadomości.

**A gdy skończył, nie wierzył własnym oczom.
Rozpocznij procedurę przyjęcia numer jeden...
Niemcy chcieli, żeby przyjął agenta.**

Minęło już piętnaście minut, od kiedy Mary Dogherty stojąca w kuchennym oknie zobaczyła, że mąż wchodzi do stodoły. Zastanawiała się, czemu tak długo tam tkwi. Jeśli się nie pośpieszy, kolacja mu wystygnie. Wytarła ręce w fartuch i przyniosła kubek parującej herbaty do frontowego okna. Deszcz się rozpadał na dobre, nad wodą szalał wiatr znad Morza Północnego.

Straszna noc, żeby wychodzić na dwór, Seanie Dogherty — pomyślała.

Otoczyła dłońmi wyszczerbiony emaliowany kubek, parą ogrzewając sobie twarz. Wiedziała, co Sean robi w stodole: kontaktuje się przez radio z Niemcami.

Mary musiała przyznać, że szpiegowanie dla Niemców odmłodziło Seana. Wiosną 1940 roku objechał olbrzymie połacie Norfolk. Mary ze zdumieniem obserwowała, jak dzięki zadaniu mąż powraca do życia, przemierza na rowerze wiele kilometrów dziennie, szukając śladów działań wojskowych, robiąc zdjęcia umocnień obronnych wybrzeża. Informacje przekazywał łącznikowi Abwehry w Londynie, a ten z kolei przesyłał je do Berlina. Sean uważał to wszystko za ogromnie niebezpieczne i rozkoszował się każdą chwilą swej misji.

Mary za to jej nienawidziła. Lękała się, że Sean wpadnie. Wszyscy polowali na szpiegów; stało się to narodową obsesją. Jedno nieostrożne słowo, jeden błąd, a Seana aresztują. Ustawa z 1940 roku przewidywała tylko jedną karę za szpiegostwo: śmierć. Mary czytała w prasie relacje z wykonania wyroków przez powieszenie w

Wandsworth i Pentonville i krew jej zastygała w żyłach. Bała się, że pewnego dnia przeczyta o egzekucji Seana.

Deszcz zaciął coraz mocniej, a wiatr tak wściekle szarpał małym, przysadzistym domkiem, że ogarnął ją strach; a nuż budynek się zawali. Wyobraziła sobie, że zostanie sama na starym, zapuszczonym gospodarstwie. Okropność. Wzdrygnęła się, odsunęła od okna i podeszła do ognia.

Może inaczej by to wyglądało, gdyby mogła mu dać dzieci. Otrząsnęła się z tej myśli. I tak za długo już bezsensownie się zadrecza. Po co wywlekać rzeczy, na które nic nie poradzi? Sean był, jaki był, i teraz już go nie zmieni.

Seanie — pomyślała Mary — co się, na Boga, z tobą stało?

Łomot do drzwi tak zaskoczył Mary, że wylała sobie herbatę na fartuch. Sean na ogół sam sobie otwierał. Odstawiła kubek i pobiegła wpuścić męża. Już chciała huknąć, żeby brał klucz, kiedy gdzieś wychodzi, gdy w drzwiach zobaczyła Jenny Colville, dziewczynę, która mieszkała po drugiej stronie wsi. Stała w deszczu, na kościstych ramionach wisiał błyszczący sztormiak. Niczym nie osłoniła głowy i włosy przylepiły jej się do czaszki, okalając nie ukształtowane rysy, które pewnego dnia mogły zmienić się w śliczną twarz.

Mary spostrzegła, że dziewczyna musiała płakać.

— Co się stało, Jenny? Czyżby ojciec znowu cię bił? Pił? Jenny skinęła głową i wybuchnęła płaczem.

— Uciekaj z tego deszczu — rozkazała Mary. — Zaziębisz się na śmierć, jeśli będziesz sterczała na tej zawierusze.

Kiedy Jenny wchodziła, Mary rozejrzała się za

rowerem, który dziewczyna zwykle zostawiała przy ogródku od frontu. Nie było go: przeszła pieszo całą drogę z domu, dwa kilometry.

Zamknęła drzwi.

— Rozbierz się. Przemokłaś na wskroś. Przyniosę ci szlafrok, owiniesz się, póki twoje rzeczy nie wyschną.

Zniknęła w sypialni, a Jenny zrobiła, co jej kazano. Zmordowana rozpięła sztormiak, zsunął się jej z ramion na podłogę. Potem ściągnęła gruby wełniany sweter i upuściła na podłogę obok kurtki.

Pojawiła się Mary ze szlafrokiem.

— Ściągaj resztę, moja panno — powiedziała z udawanym gniewem.

— Ale co z Seanem?

— Naprawia dziurę w jednym z tych swoich zakichanych płotów — skłamała Mary.

— W taką pogodę? — spytała Jenny z charakterystycznym dla mieszkańców Norfolk zaśpiewem, nieco odzyskując swą wrodzoną pogodę. Mary zdumiewała odporność dziewczyny. — Zglupiał, czy co?

— Zawsze wiedziałam, że spostrzegawcze z ciebie dziecko. A teraz jazda z tymi mokrymi łachami.

Jenny zdjęła spodnie i podkoszulek. Jak wiele wiejskich dziewcząt ubierała się po chłopięcemu, choć u niej to było jeszcze wyraźniejsze. Jej mlecznobiałe ramiona pokrywała gęsia skórka. Będzie miała szczęście, jeśli nie złapie solidnego przeziębienia. Mary podała dziewczynie szlafrok i szczelnie ją nim owinęła.

— I jak, lepiej?

— Tak, dziękuję, Mary. — Jenny znowu wybuchnęła płaczem. — Nie wiem, co bym bez ciebie poczęła.

Mary przyciągnęła Jenny do siebie.

— Zawsze będę przy tobie, Jenny, obiecuję.

Jenny skuliła się w starym fotelu przy ogniu i otuliła się stęchłym kocem. Podkurczyła nogi i po chwili drżenie ustało; zrobiło jej się ciepło, ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa. Mary krzątała się przy kuchni, nucać.

Wkrótce gulasz zabulgotał, napelniając mieszkanie cudownym aromatem. Jenny przymknęła powieki, znużony umysł przeskakiwał od jednego przyjemnego odczucia do drugiego: ciepły zapach gulaszu jagnięcego, żar ognia, rozkoszna słodycz głosu Mary. W okno tuż za jej głową siekł deszcz, wiatr hulał. Jak cudownie w taką burzę siedzieć bezpiecznie w spokojnym domu. Żałowała, że tak nie może być wiecznie.

W parę minut później Mary przyniosła tacę z gulaszem, bochenkiem twardego chleba i parującym kubkiem herbaty.

— Usiądź prosto, Jenny — powiedziała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Odstawiła tacę, przykryła dziewczynę jeszcze jednym kocem i pozwoliła jej spać.

Mary czytała przy kominku, kiedy Dogherty wrócił do domu. Bez słowa zmierzyła go wzrokiem. Machnął ręką w stronę fotela, w którym spała Jenny, i spytał:

— Skąd tu się wzięła? Ojciec znowu ją pobił?

Mary wstała i zaprowadziła męża do kuchni. Dogherty nalał sobie herbaty i usiadł.

— Wiesz, Martinowi Colville'owi przydałaby się odrobina jego własnego lekarstwa. A ja jestem odpowiednim człowiekiem, który może mu je dać.

— Uspokój się, Sean, on jest od ciebie o połowę młodszy, za to dwa razy większy.

— Co to ma znaczyć, Mary?

— To znaczy, że mógłby ci zrobić krzywdę. Tylko tego ci trzeba, żeby zwrócić na siebie uwagę policji przez jakąś idiotyczną bójkę. A teraz dojedź kolację i siedź cicho. Obudzisz małą.

Dogherty posłuchał i zajął się jedzeniem. Wziął do ust łyżkę z gulaszem, skosztował i skrzywił się.

— Jezu, toż to zimne jak lód.

— Nie byłoby, gdybyś wrócił do domu o przyzwoitej porze. Gdzie się włóczyleś, Sean?

Nie podnosząc głowy znad talerza, Dogherty lypnął koso na żonę.

— Byłem w stodole — odparł zimno.

— I przy radiu czekałeś na instrukcje z Berlina? — szepnęła kpiąco Mary.

— Później, kobieto — warknął Sean.

— Nie rozumiesz, że tylko marnujesz tam czas, Sean? A do tego ryzykujesz swoją i moją głowę?

— Powiedziałem: później, kobieto!

— Stary durny cap!

— Dość tego, Mary!

— Może pewnego dnia chłopcy z Berlina wyznaczą ci prawdziwe zadanie, Sean. Wtedy pozbędziesz się tej nienawiści, która cię spala od środka, i jakoś uda nam się uratować resztki tego, co zostało z naszego życia. — Wstała i popatrzyła na niego, kręcąc głową. — Jestem zmęczona, Sean. Idę spać. Dorzuć do ognia, żeby Jenny nie zmarzła. I uważaj, żeby jej nie zbudzić. Ma za sobą ciężki wieczór.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Kiedy zniknęła, Dogherty wyjął z szafki butelkę Bushmills. Ostatnio whisky sprzedawano na wagę złota, ale to była wyjątkowa noc,

więc nalał sobie hojną ręką.

— Może chłopcy z Berlina zrobią dokładnie to, co powiedziałaś, Mary Dogherty — powiedział, podnosząc szklaneczkę w geście toastu. — Co więcej, chyba właśnie zrobili.

Rozdział dziewiąty

London

Właściwie w czasie I wojny Alfred Vicary posłużył się podstępem, by znaleźć się w wywiadzie. Miał dwadzieścia jeden lat, kończył studia w Cambridge i był przekonany, że Anglia rozpaczliwie potrzebuje wszystkich młodzińców, których zdoła dopaść. Nie chciał dać się zaciągnąć do piechoty. Wystarczająco dobrze znał historię, by wiedzieć, że nie znajdzie się tam chwały, tylko nudę i biedę oraz, co bardzo prawdopodobne, śmierć lub poważne rany.

Jego najlepszy przyjaciel, błyskotliwy student filozofii, niejaki Brendan Evans wpadł na genialne rozwiązanie. Brendanowi obilo się o uszy, że w armii powstaje jakaś nowa formacja, Korpus Wywiadowczy. Aby się tam dostać, należało jedynie mówić płynnie po niemiecku i francusku, doskonale znać Europę, umieć obsługiwać i naprawiać motocykl, mieć doskonały wzrok. Brendan skontaktował się z Ministerstwem Wojny i wyznaczono mu rozmowę na następnego dzień rano.

Vicary był zdruzgotany: nie spełniał przecież warunków. Niezle mówił po niemiecku, na upartego dogadywał się po francusku i wiele podróżował po Europie, znał również Niemcy. Ale nie miał pojęcia, jak prowadzić motocykl — co więcej, sama ta machina śmiertelnie go przerażała — a o wzroku lepiej nie wspominać.

Brendan Evans posiadał wszystkie te cechy, których Vicary'emu brakowało: wysoki, jasnowłosy, zabójczo przystojny, był obdarzony chłopięcą namiętnością do przygód, a kobiety łączyły do niego jak do miodu. Tylko jedno łączyło obu mężczyzn: niezawodna pamięć.

Vicary wymyślił plan.

Pewnego chłodnego sierpniowego dnia o zmierzchu Brendan na nie uczęszczanej dróżce w Fens nauczył go jeździć na motorze. Vicary wielokrotnie omal obu ich nie pozabijał, ale w końcu pędził z rykiem silnika po drogach, doświadczając dreszczu podniecenia i euforii, jakich nigdy przedtem nie doświadczał. Nazajutrz, w czasie jazdy pociągiem z Cambridge do Londynu, Brendan wbił mu do głowy budowę motocykla.

W Londynie Brendan udał się do ministerstwa, podczas gdy on czekał, wygrzewając się w ciepłym słońcu. Po godzinie przyjaciel wynurzył się z budynku z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Przyjęli mnie — oznajmił. — A teraz twoja kolej. Słuchaj uważnie.

Po czym wyrecytował mu z pamięci cały układ tablicy do badania wzroku, nawet te niewiarygodnie maleńkie literki na dole.

Vicary zdjął okulary, dał je Brendanowi i na ślepo wszedł do ciemnego, groźnego budynku. Zdał śpiewająco. Tylko raz się pomylił, odczytując B zamiast D, ale to z winy Brednana, nie własnej. Natychmiast przyznano mu rangę podporucznika w sekcji motocyklistów służb wywiadowczych, dano kwit na mundur i oprzyrządowanie, kazano ostrzyć włosy, które przez lato odrosły i zaczęły się kręcić. Następnego dnia miał się stawić na Euston Station i odebrać motor: błyszczącego, nowiuteńkiego Rudge'a, zapakowanego w drewnianej skrzyni. Po tygodniu Brendan i Vicary wraz z wehikułami wsiedli na transportowiec i popłynęli do Francji.

Wtedy to było takie proste. Wywiadowcy przemykali się na tyły wroga, liczyli oddziały, obserwowali tory kolejowe. Mieli nawet gołębie pocztowe do przesyłania tajnych informacji. Teraz wszystko się skomplikowało,

przypominało pojedynki umysłów na falach radiowych, pojedynki wymagający olbrzymiej koncentracji i dbałości o szczegóły.

Podwójni agenci.

Karl Becker był doskonałym przykładem takiego agenta. W czasie gorących dni 1940 roku, kiedy inwazja wydawała się nieunikniona, został przysłany do Anglii przez Canarisa. Podając się za szwajcarskiego biznesmena, rozgościł się w Kensington i zaczął kolekcjonować wszystkie podejrzane sekrety, jakie mu wpadły w ręce. Dopiero puszczanie w obieg fałszywych funtów zwróciło nań uwagę Vicary'ego, i w ciągu paru tygodni Beckera otoczyła pajęczyna MI— 5. Obserwatorzy Vicary'ego podążali za Beckerem wszędzie: na przyjęcia, gdzie wymieniał się plotkami i upijał czarnorynkowym szampanem; na spotkania z prawdziwymi agentami; na spotkania ze spalonymi; do sypialni, gdzie sprowadzał kobiety, mężczyzn, dzieci i Bóg jeden wie, co jeszcze. Po miesiącu Vicary zadał cios. Aresztował Beckera — wyciągnął go z ramion młodej dziewczyny, którą ten pił szampanem — i zniszczył całą siatkę niemieckich agentów.

Teraz przed Vicarym stało trudne zadanie. Zamiast powiesić Beckera, Vicary przekabacił go i namówił, żeby współpracował z MI— 5 jako podwójny agent. Następnego wieczora Becker włączył radio w swej celi i wystukał umówione hasło do radiotelegrafisty w Hamburgu. Ten kazał Beckerowi się nie rozłączać i czekać na instrukcje z Berlina. Beckerowi polecono określić dokładne położenie i wielkość bazy myśliwców RAF w Kencie. Becker potwierdził odbiór informacji i zakończył rozmowę.

To Vicary pojechał następnego dnia do bazy. Mógłby zadzwonić do RAF— u, otrzymać współrzędne i wysłać je do Abwehry. Ale szpiegowi to by nie przyszło tak łatwo.

Aby przydać raportowi autentyzmu, Vicary wybrał się na rekonosans tak samo, jakby to zrobił agent obcego wywiadu. Pojechał pociągiem z Londynu i — na skutek spóźnienia — na miejscu znalazł się dopiero o zmierzchu. Na stoku w pobliżu bazy dopadł go strażnik i zażądał okazania dokumentów. Vicary na równinie poniżej widział bazę — dokładnie z takiej samej perspektywy, z jakiej patrzyłby szpieg. Zobaczył hangary i parę samolotów na trawiastym pasie. W drodze powrotnej do Londynu ułożył krótki raport ze swej wyprawy. Zaznaczył, że już się zmierzchało, bo pociąg się spóźnił, i dodał, że bliżej nie mógł podejść, gdyż uniemożliwił mu to żandarm. Tej samej nocy Vicary zmusił Beckera, by własną ręką nadał raport, ponieważ każdy szpieg ma swój charakterystyczny sposób nadawania, który niemieccy radiotelegrafiści rozpoznają. Hamburg pogratulował Beckerowi i przerwał połączenie.

Vicary skontaktował się z RAF— em i wyjaśnił sytuację. Prawdziwe spitfire'y przeniesiono gdzie indziej, personel ewakuowano, a nadające się na złom myśliwce napełniono paliwem i ustawiono na pasach. Jeszcze tej nocy nadleciały samoloty Luftwaffe. Makiety wybuchły jak fajerwerki; z pewnością załoga niemieckich bombowców uznała, że trafili w samą bazę. Nazajutrz Abwehra kazała Beckerowi pojechać do Kentu i oszacować straty. I znowu to Vicary tam pojechał, spisał raport z tego, co zobaczył, i zmusił Beckera do nadania i tej informacji.

Abwehra nie posiadała się ze szczęścia. Becker był gwiazdą, superszpiegiem, a cała ta akcja kosztowała RAF tylko wysiłek przy wyrównywaniu zniszczonych pasów startowych i zebraniu zwęglonych szkieletów fałszywych spitfire'ow.

Na zwierzchnikach wyczyn Beckera zrobił takie wrażenie, że polecili mu skaptować grupę agentów — co

też uczynił, a właściwie uczynił za niego Vicary. Pod koniec czterdziestego roku Karl Becker posiadał siatkę dwunastu agentów, z których część meldowała się u niego, a część kontaktowała bezpośrednio z Hamburgiem. Wszyscy oni byli fikcją, tworem wyobraźni Vicary'ego. Vicary zajmował się wszystkimi aspektami ich życia: zakochiwali się, romansowali, narzekali na brak pieniędzy, tracili domy i przyjaciół podczas nalotów. Vicary pozwolił sobie nawet część z nich aresztować; każda siatka działająca na terenie wroga musiała ponosić jakieś straty i Abwehra nigdy by nie uwierzyła, że nie stracono żadnego agenta. Była to ciężka, żmudna praca, wymagająca ogromnej dbałości o najdrobniejsze szczegóły. Dla Vicary'ego wszystko to stanowiło doskonałą zabawę i rozkoszował się każdą minutą gry.

Winda znowu padła, więc Vicary musiał z gabinetu Boothby'ego do archiwum w piwnicy zejść na piechotę. Kiedy otworzył drzwi, uderzyła go woń tego miejsca: woń papieru, kurzu, stęchlizny i wilgoci, która przenikała przez ściany; kojarzyła się z wonią biblioteki uniwersyteckiej. Na półkach leżały akta, w szafkach leżały akta, na zimnej kamiennej posadzce leżały akta i sterty papieru, które czekały, by uczynić z nich akta. Trio ślicznych dziewcząt — praktykantek z nocnej zmiany — poruszało się cicho wśród dokumentów, rozmawiając archiwistycznym żargonem, z którego Vicary nic nie rozumiał. Dziewczęta, znane jako królowe archiwum, zupełnie nie pasowały do tych zwałów papieru i ponurego wnętrza. Vicary podskórnie oczekiwał, że wypatrzy w kącie mnichów ślęczących przy świeczce nad jakimiś prastarymi manuskryptami.

Wzdrygnął się. Boże, toż tu zimno jak w grobowcu. Żałował, że nie włożył swetra albo nie przyniósł czegoś ciepłego do picia. Właśnie tutaj mieściła się cała tajna

historia wywiadu. Błądząc wśród stert papieru, Vicary nagle uświadomił sobie, że odejdzie z MI— 5, a w tej piwnicy pozostanie na zawsze ślad jego każdego ruchu. Sam nie wiedział, czy ma to go napawać otuchą, czy obrzydzeniem.

Przypomniawszy sobie uszczypliwe uwagi Boothby'ego na swój temat i przeszył go zimny dreszcz gniewu. Był cholernie dobrym oficerem prowadzącym, nawet Boothby nie mógł temu zaprzeczyć. Właśnie swojemu wykształceniu historycznemu zawdzięczał to, że tak doskonale sprawdzał się w tej konkretnej pracy. Historyk często też musi uciekać się do domysłów, z garści drobnych, pozornie nic nie znaczących wskazówek wysnuwać wnioski. Wprowadzanie w błąd przeciwnika bardzo przypominało tę metodę badawczą, tyle że od tyłu. Zadaniem Vicary'ego i innych pracowników MI— 5 było dostarczanie Niemcom takich drobnych wskazówek, by doszli do pożądanых wniosków. Należało ostrożnie i skrupulatnie dobierać wyjawiane informacje. Starannie mieszać w nich fakty i zmyślenia, prawdę i zawołowane kłamstwa. Stworzeni przez Vicary'ego agenci musieli nieźle się napracować, żeby zdobyć informację. Wiadomości należało przekazywać Niemcom w niewielkich dawkach. Musiały pasować do obranej przez szpiega tożsamości. W końcu nikt nie uwierzy, że kierowca ciężarówki z Bristolu wszedł w posiadanie dokumentów skradzionych w Londynie. I Niemcy żadnej informacji nie mogli uznać za zbyt piękną, by mogła być prawdziwą. Zbyt łatwo zdobyte dane się lekcewały.

Teczki pracowników Abwehry przechowywano na zajmujących całą ścianę półkach w niewielkim pokoju w głębi piwnicy. Litera V zaczynała się na najniższej półce, potem przeskakiwała na samą górę. Vicary musiał

najpierw uklęknąć i przegiąć kark, jakby szukał cennego drobiazgu, który wpadł pod mebel. Cholera! Oczywiście teczka leżała na najwyższej półce. Dźwignął się na nogi, zadarł głowę i przez okulary odczytywał nazwiska. Beznadzieja. Akta były dwa metry wyżej — zemsta Boothby'ego na wszystkich, którzy nie osiągnęli wymaganego regulaminem wzrostu.

Jedna z królowych archiwum zauważyła, jak Vicary wpatruje się w górę na półki i zaproponowała, że przyniesie mu drabinkę. — W zeszłym tygodniu Claymoore próbował szukać z krzesła i omal nie skręcił sobie karku — zaświergotała.

W chwilę potem wróciła, ciągnąc drabinę. Jeszcze raz przyjrzała się Vicary'emu, uśmiechnęła do niego, jakby był stetryczalym wujkiem, i powiedziała, że może mu poszukać teczki. Vicary zapewnił, że sobie poradzi.

Wszedł na drabinę i wodząc po grzbietach palcem, czytał nazwiska. Znalazł teczkę z czerwoną naklejką: VOGEL, KURT — ABWEHRA, BERLIN. Wysunął ją, otworzył i zajrzał do środka.

Teczka Vogla była pusta.

Miesiąc po rozpoczęciu pracy w MI— 5 zaskoczony Vicary spotkał tam Nicholasa Jago. Jago był kierownikiem archiwum na Uniwersytecie Londyńskim i został wciągnięty do wywiadu w tym samym czasie co Vicary. Przydzielono go do archiwum i zlecono wprowadzenie dyscypliny do, bywało, dość zawodnej pamięci oddziału. Jago, podobnie jak archiwum, był przykurzony, denerwujący i trudny w kontakcie. Ale kiedy człowiek już się przedarł przez tę szorstką skorupę, odkrywał dobrego, serdecznego człowieka, nieocenione źródło informacji. Jago

posiadał jedną bezcenną cechę: równie skutecznie potrafił zgubić dokumentację, jak ją odnaleźć.

Mimo późnej pory Vicary zastał go pochylonego nad biurkiem w małym kantorku za szkłem. W przeciwieństwie do pomieszczeń archiwum, gabinet był przybytkiem schludności i porządku. Kiedy Vicary zastukał w oszklone drzwi, Jago podniósł wzrok, uśmiechnął się i gestem zaprosił go do środka. Vicary zauważył, że uśmiech nie rozjaśnił mu oczu; archiwista wyglądał na wyczerpanego; właściwie tu mieszkał. I coś jeszcze: w 1940 roku jego żona zginęła podczas nalotu. Jej śmierć go zdruzgotała. Poprzysiął sobie, że pokona nazistów — nie bronią, lecz organizacją i precyzją.

Vicary usiadł i odmówił, gdy Jago wydyszał propozycję herbaty „porządnej, jeszcze z zapasów przedwojennych”, w przeciwieństwie do obrzydliwego wojennego tytoniu, który ubijał w fajce i zapalał. Paskudny swąd palonych liści unosił się w klitce, kiedy mężczyźni prowadzili nieobowiązującą pogawędkę o tym, jak to, kiedy już będzie po wszystkim, wrócą na uniwersytet.

Przejsie do rzeczy Vicary zasygnalizował lekkim chrząknięciem.

— Szukam akt pewnego mało znanego oficera Abwehry — zaczął. — Ze zdziwieniem stwierdziłem, że zniknęły. Teczka stała na półce, ale zawartość się ulotniła.

— Jak się nazywał ten gość? — spytał Jago.

— Kurt Vogel.

Twarz archiwisty pociemniała.

— Chryste! Pójdę się za nią rozejrzeć. Poczekaj, Alfredzie, za moment wrócę.

— Pójdę z tobą — zaoferował się Vicary. — Może ci się przydam.

— Nie, nie, nie ma mowy. Ja ci nie pomagam w

szukaniu szpiegów, a ty mi nie pomagaj w szukaniu akt. — Roześmiał się ze swego dowcipu. — Poczekaj tutaj, rozgość się. Za moment wrócę.

Drugi raz to powtórzyłeś — pomyślał Vicary. „Za moment wrócę”... Vicary wiedział, że Jago ma obsesję na punkcie akt, ale brak jednej teczki jakiegoś oficera Abwehry to nie powód do ogłaszania alarmu. Akta nieustannie ginęły albo wstawiano je nie tam, gdzie trzeba. Kiedyś Boothby urządził piekło, bo zgubił teczkę pełną ważnych dokumentów. Legenda wydziału głosiła, że tydzień później znaleziono ją w mieszkaniu jego kochanki.

Po chwili Jago wpadł z powrotem do gabinetu. Za nim, niczym dym z lokomotywy, ciągnęła się smuga smrodliwego tytoniu. Dał Vicary'emu teczkę i usiadł za biurkiem.

— Tak jak myślałem — oświadczył dumny jak paw. — Leżała na półce. Któraś z dziewcząt musiała przez pomyłkę włożyć akta nie do tej okładki. Ciągłe się to zdarza.

Vicary wysłuchał tej wątpliwej wymówki i zmarszczył brwi.

— Ciekawe, mnie nigdy jeszcze to się nie przytrafiło.

— Cóż, widać dopisywało ci szczęście. W ciągu tygodnia obracamy tutaj tysiącami akt. Przydałoby się nam więcej pracowników. Rozmawiałem z dyrektorem generalnym, ale twierdzi, że wykorzystaliśmy cały limit i więcej nam nie przysługuje.

Fajka mu zgasła i zaczął z pietyzmem ją rozpalać, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Vicary'emu łzy napłynęły do oczu, kiedy gabinet wypełnił się znów dymem. Nicholas Jago był na wskroś dobrym i uczciwym człowiekiem, ale on nie wierzył ani jednemu słowu z tej historii. Jego zdaniem teczkę niedawno ktoś miał w ręku i akta nie wróciły na półkę. A mina Jago, gdy usłyszał pytanie o dokumenty, świadczyła, że ten ktoś musiał być

jakąś cholernie grubą rybą.

Vicary powachlował się teczką, by rozpędzić trochę dym.

— Kto ostatnio brał akta Vogla?

— Daj spokój, Alfredzie, wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

To prawda. Zwykli śmiertelnicy, tacy jak Vicary, musieli potwierdzać podpisem korzystanie z akt. Prowadzono ewidencję kto i kiedy brał teczkę. Dostęp do niej mieli tylko pracownicy archiwum i kierownicy wydziałów. Swobodnie wnosić dokumentację mogła tylko garstka najwyżej postawionych oficerów. Vicary podejrzewał, że dossier Vogla zniknęło za sprawą jednego z tych ludzi.

— Wystarczy, że poproszę Boothby'ego o pozwolenie na wgląd w listę i mi je da — powiedział. — Więc dlaczego sam mi jej nie pokażesz? Oszczędzimy sobie czasu.

— Da ci albo i nie.

— Co masz na myśli, Nicholasie?

— Słuchaj, stary, ostatnie, czego chcę, to znowu dostać się między ciebie a Boothby'ego.

Całą uwagę Jago ponownie pochłonęła fajka, nabijanie jej i wyciąganie zapalki z pudełka. Trzymał cybuch między zębami, tak że główka podskakiwała, ilekroć rzucał słowo.

— Pogadaj z Boothbym. Jeśli powie, że możesz obejrzeć listę mających dostęp do teczki, proszę uprzejmie, jest do twojej dyspozycji.

Vicary zostawił go w zadymionym szklanym pokoiku, jak próbował rozpalić tani tytoń. Przy każdym zaciągnięciu z fajki buchał ogień. Idąc z teczką Vogla pod pachą, obejrzał się jeszcze raz i pomyślał, że Jago wygląda jak latarnia morska spowita mgłą.

W drodze na górę Vicary wstąpił do kantyny. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł. Głód zmienił się w tępy ból. Już nie tęsknił za wytwornymi daniami. Jedzenie stało się czynnością praktyczną, wykonywaną z konieczności, nie dla przyjemności. Tak samo jak nocne spacery po Londynie: uporać się ze sprawą jak najszybciej i postarać się wyjść z tego cało. Przypomnił sobie majowe popołudnie 1940 roku, kiedy po niego przyszli. „Pan Ashworth przyniósł panu dwa ładne kawałki jagnięciny”. Cóż za marnowanie cennego czasu.

Było późno i wybór gorszy niż zwykle: kawałek ciemnego chleba, jakiś podejrzany ser, bulgocąca brunatna ciecz. Ktoś wykreślił z jadłospisu słowa „rosół wołowy” i wpisał „zupa na ścierce”. Vicary minął ser i obwąchał rosół. Wydawał się w miarę bezpieczny. Ostrożnie nalał sobie na talerz. Chleb był twardy jak kamień. Ukroił kawałek tęnym nożem. Postawiwszy to wszystko na teczce Vogla jak na tacy, lawirował między krzesłami i stolikami. John Masterman siedział pochylony nad łacińskim tomem. Przy stoliku w kącie para słynnych prawników podjęła jakiś stary pojedynek z sal sądowych. Znany autor kryminalów bazgrał w zniszczonym notesie. Vicary pokręcił głową. MI—5 rekrutowała najdziwniejsze talenty.

Ostrożnie szedł do siebie na górę, bo nie chciał wychłapać zupy na teczkę. Jeszcze tego brakowało, żeby poplamiał akta. Jago wystosowywał niezliczone gniewne okólniki, w których apelował do oficerów o lepsze obchodzenie się z dokumentami.

„Jak się nazywał ten gość?”.

„Kurt Vogel”.

„Chryste! Pójdę się za nią rozejrzeć”.

Coś tu nie pasuje, to nie ulega wątpliwości. Ale nic na

siłę. Niech się uleży i podświadomość nad tym popracuje.

Postawił teczkę z talerzem na biurku i zapalił lampkę. Przejrzał akta, popijając zupę. Rosół smakował jak wygotowany but. Jediną przyprawą, której kucharzom nie brakowało, była sól, więc hojnie nią szafowali. Kiedy Vicary po raz drugi przeczytał dossier, nękało go pragnienie, a palce zaczęły mu puchnąć. Podniósł wzrok i powiedział:

— Harry, chyba mamy problem.

Harry Dalton, który półdrzemał przy biurku we wspólnej sali obok biura Vicary'ego, wstał i wszedł do środka. We dwójkę stanowili zabawną parę; w wydziale mówiono o nich „Spółka Mięśnie i Mózg”. Harry był wysoki, wysportowany, odziany jak spod igły, włosy wybrylantynowane, bystre błękitne oczy i zawsze obecny dyżurny uśmiech. Przed wojną pracował jako inspektor — detektyw w elitarnym wydziale zabójstw londyńskiej policji. Urodził się i wychował w Battersea i w jego miłym, spokojnym głosie nadal dawało się wychwycić akcent klasy robotniczej z południowego Londynu.

— Inteligencji nie sposób mu odmówić — odezwał się Vicary. — Spójrz na to: doktorat z prawa na uniwersytecie w Lipsku, uczeń Hellera i Rosenberga. Nie wygląda mi to na życiorys typowego nazisty. Naziści pogwałcili prawa Niemiec. Człowiek z takim wykształceniem nie byłby nimi zachwycony. I oto w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku nagle postanawia rzucić praktykę i pracuje dla Canarisa jako jego osobisty prawnik, swego rodzaju radca prawny Abwehry. Nie do wiary. Moim zdaniem jest szpiegiem, a doradztwo prawne dla Canarisa stanowi wyłącznie kolejną przykrywkę.

Vicary znowu przerzucał strony.

— Masz jakąś teorię? — spytał Harry.

— Szczerze mówiąc, nawet trzy.

— Wal.

— Pierwsza: Canaris stracił wiarę w swoje brytyjskie siatki wywiadowcze i zlecił Voglowi przeprowadzenie dochodzenia. Ktoś z życiorysem i przygotowaniem Vogla to idealny człowiek do sprawdzenia wszystkich teczek i raportów agentów i wyszperania rozbieżności. Cholernie uważaliśmy, Harry, ale prowadzić podwójną grę to wyjątkowo skomplikowane zadanie. Założę się, że palnęliśmy kilka błędów. A jeśli odpowiednia osoba się za nimi rozejrzy, na przykład ktoś o przenikliwości Kurta Vogla, może je znaleźć.

— Druga teoria?

— Druga teoria: Canaris zlecił Voglowi stworzenie nowej siatki. Właściwie za późno już na tego rodzaju przedsięwzięcie. Trzeba znaleźć agentów, skaptować ich, przeszkolić i wprowadzić do kraju przeciwnika. Jeśli chce się to zrobić porządnie, potrzeba na to miesięcy. Wątpię, żeby się do tego brali, ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

— A trzecia teoria?

— Trzecia teoria: Kurt Vogel jest przełożonym jakiejś siatki szpiegowskiej, o której nie wiemy.

— Cała siatka agentów i my byśmy o niej nie wiedzieli? Czy to możliwe?

— Musimy założyć, że tak.

— Jeśli tak, nasze struktury znajdują się w niebezpieczeństwie.

— To domek z kart, Harry. Wystarczy jeden dobry agent, a wszystko runie.

Vicary zapalił papierosa. Tytoń usunął z ust resztki smaku rosółu.

— Canaris jest pod strasznym ciśnieniem, koniecznie

musi zabłysnąć. Pewnie wybrałby swojego najlepszego człowieka do tej operacji.

— Co oznacza, że Kurt Vogel to człowiek pracujący w szybkowarze.

— Zgadza się.

— Więc może być niebezpieczny.

— A także nieostrożny. Musi wykonać ruch. Nadać komunikat radiowy albo wysłać do nas agenta. A kiedy to zrobi, siądziemy mu na kark.

Przez chwilę milczeli, Vicary palił, Harry przerzucał akta. Potem Vicary zrelacjonował mu, co się stało w archiwum.

— Bardzo często akta się zawieruszają, Alfredzie.

— Tak, ale dlaczego właśnie te? I co ważniejsze, dlaczego teraz?

— Słuszne pytania, ale podejrzewam, że odpowiedzi są bardzo proste. W trakcie dochodzenia najlepiej skupiać się na najważniejszym, nie dawać się rozpraszać drobiazgom.

— Wiem, Harry — Vicary zmarszczył brwi. — Ale to mi nie daje spokoju.

— Znam jedną królową archiwum.

— Nie wątpię.

— Powieszę trochę, popytam.

— Byle dyskretnie.

— Inaczej się nie da, Alfredzie.

— Jago kłamie, coś ukrywa.

— Czemu miałby kłamać?

— Nie wiem — powiedział Vicary, rozgniatając papierosa — ale płaci mi się za to, żeby mi przychodziły do głowy najgorsze myśli.

Rozdział dziesiąty

Bletchley Park, Anglia

Oficjalnie nosiło to nazwę Rządowej Szkoły Kodowania i Szyfrowania. Tak naprawdę jednak wcale nie było szkołą. Wyglądało jakby mogło nią być — duża, brzydka, wiktoriańska rezydencja otoczona wysokim płotem — ale większość mieszkańców Bletchley, niewielkiego miasteczka o wąskich uliczkach, zdawała sobie sprawę, że dzieje się tam coś ważnego. Na rozległych trawnikach stały tuziny baraków. Cały zdeptany teren wokół pokrywały ścieżki zamarznietego błota. Klomby zarosły i zdziczały niczym małe dżungle. Pracowała tu przedziwna mieszanina ludzi: najwybitniejsi matematycy, mistrzowie szachowi, krzyżówkowi geniusze, a wszystkich ich zebrano w jednym celu: łamanie niemieckich szyfrów.

Choć Bletchley Park stanowiło zbieraninę ekscentryków, Denholma Saundersa uważano tu za wyjątkowego dziwaka. Przed wojną był on najlepszym matematykiem w Cambridge. Teraz należał do najlepszych na świecie łamaczy kodów. Mieszkał na obrzeżach Bletchley wraz z matką i kotami syjamskimi, Platonem i Tomaszem Akwinatą.

Było późne popołudnie. Saunders siedział przy biurku w rezydencji, rozpracowując dwa komunikaty nadane przez Abwehre w Hamburgu do niemieckich agentów w Wielkiej Brytanii. Przechwycili je angielscy radiowcy, uznali za podejrzane i przekazali do Bletchley Park.

Saunders gwizdał fałszywie, skrzypiąc ołówkiem po kartce — zwyczaj, który okropnie irytował jego kolegów. Zajmował się łamaniem zaszyfrowanych komunikatów radiowych, pracował więc w zatłoczonym i obskurnym

pomieszczeniu, ale przynajmniej było tu stosunkowo ciepło. Zawsze to lepiej, niż siedzieć jak

Eskimosi w igloo, w jednym z baraków, gdzie analitycy mordowali się nad morskimi i wojskowymi kodami Niemców.

Po dwóch godzinach skrzypienie i gwizdanie umilkło. Saunders słyszał tylko kapanie topniejącego śniegu, który dudnił w rynnach starego budynku. Dzisiejsza praca nie przyniosła mu satysfakcji: wiadomości nadano szyfrem, który Saunders osobiście rozgryzł już w 1940 roku.

**— Wielkie nieba, robią się nieco monotoni, prawda?
— rzucił w powietrze.**

Jego zwierzchnikiem był Szkot, niejaki Richardson. Saunders zastukał, wszedł do gabinetu i położył na biurku obie rozszyfrowane wiadomości. Richardson przeczytał je i zmarszczył brwi. Właśnie wczoraj pewien oficer z MI— 5, Alfred Vicary, kazał ze szczególną uwagą polować na tego rodzaju komunikaty.

Richardson wezwał motocyklistę— kuriera.

— Jest jedna rzecz — odezwał się Saunders. — O co chodzi?

— O pierwszą wiadomość. Agent chyba miał problemy ze z Morse'em. Co więcej, poprosił radiotelegrafistę, żeby powtórzył komunikat. Oni lubią takie kawałki. Może to i bez znaczenia. Może ktoś przeszkodził w odbiorze. Ale chyba warto by wspomnieć o tym chłopcom z MI— 5.

Rzeczywiście, warto by — pomyślał Richardson.

Kiedy Saunders zniknął, napisał na maszynie krótką notkę, w której relacjonował, że agent zdawał się mieć trudności z alfabetem Morse'a. Po pięciu minutach rozszyfrowane wiadomości i informacja Richardсона wyruszyły w skórzanej torbie w podróż do Londynu.

Rozdział jedenasty

Selsey, Anglia

— W życiu nie widział czegoś takiego, Mabel — opowiadał Arthur Barnes żonie przy śniadaniu.

Tego ranka, jak co dzień, wyprowadził swojego ulubionego owczarka walijskiego, Fionnę, na spacer po molo. Część była jeszcze otwarta dla cywilów; większość zamknięto i oznakowano jako strefę ściśle militarną. Wszyscy zachodzili w głowę, co wojsko tam robi. Nikt o tym nie rozmawiał. Świt się dziś spóźnił, szare chmury zaciągały niebo, popadywał deszcz. Fionna biegała bez smyczy, buszując nad brzegiem morza.

Fionna jako pierwsza zauważyła tę rzecz, dopiero potem Barnes.

— Jakiś cholerny betonowy potwór, Mabel. Wyglądało to jak wielki kloc przewrócony na bok.

Dwa holowniki ciągnęły to do morza. Barnes nosił pod płaszczem lornetkę: jego przyjaciel wypatrzył kiedyś sterczący komin niemieckiego U—boota i Arthur marzył, by i jemu trafiła się taka gratka. Wyjął lornetkę i przyłożył do oczu.

Betonowy dziwoląg miał do siebie przyczepioną łódź z szeroką, płaską tratwą, przedzierającą się przez wzburzone morze. Barnes namierzył lewą burtę („Choć, słowo daję, Mabel, trudno odróżnić prawą od lewej”) i zauważył też niewielką łódź przybrzeżną z grupką jakichś wojskowych na pokładzie.

— Nie wierzyłem własnym oczom, Mabel — relacjonował, dojadając tosta. — Klaskali, wiwatowali, ściskali się i klepali po plecach. — Pokręcił głową. — Dasz wiarę, Hitler ma już w garści prawie cały świat, a nasi się

podniecają, bo udało im się zmusić do pływania kawał betonu.

Ta olbrzymia, pływająca betonowa konstrukcja, którą zauważył Arthur Barnes w ów nieprzyjemny styczniowy poranek, nosiła nazwę Phoenix. Miała około siedemdziesiąt metrów długości, około piętnaście szerokości i wypierała ponad sześć tysięcy ton wody. Zamierzano zrobić dwieście takich konstrukcji. Wnętrze bloku — niewidoczne z punktu obserwacyjnego Barnes'a nad zatoką — składało się z labiryntu pustych i nierównych komór, ponieważ Phoenix nie miał długo pozostać na powierzchni. Zamierzano go przeciągnąć przez kanał La Manche i zatopić przy wybrzeżu Normandii. Phoenix był jednym z mnóstwa elementów olbrzymiego planu skonstruowania w Anglii sztucznego portu i przeciągnięcia go do Francji w dniu rozpoczęcia inwazji. Cała operacja nosiła kryptonim *Mulberry*.

To z Dieppe wyciągnęli nauczkę; z Dieppe i desantu nad Morzem Śródziemnym. W Dieppe, miejscu zakończonego klęską ataku aliantów na Francję w sierpniu 1942 roku, Niemcy uniemożliwiali aliantom dostęp do portu. Nad Morzem Śródziemnym, zanim oddali porty, niszczyli je, tak że na dłuższy czas stawały się nieużyteczne. Twórcy planów inwazji stwierdzili, że nie ma co liczyć na zdobycie jakiegokolwiek w pełni funkcjonującego portu. Uznali, że ludzi i sprzęt sprowadzi się na plażę Normandii tą samą drogą.

Problem tkwił w pogodzie. Badania układów pogodowych nad francuskim wybrzeżem wykazały, że na sprzyjające warunki można liczyć najwyżej przez cztery kolejne dni. Dlatego też musiano założyć, że sprzęt będzie

trzeba dostarczyć na brzeg podczas burzy.

W lipcu 1943 roku premier Winston Churchill wraz z trzystuosobową delegacją popłynęli na pokładzie „Queen Mary” do Kanady. Churchill w sierpniu spotykał się w Quebecu z Rooseveltem w celu zatwierdzenia planów inwazji na Normandię. W czasie podróży profesor J. D. Bernal, ceniony fizyk, dokonał dramatycznego pokazu w jednej z luksusowych łazienek statku. Nalał do wanny trochę wody — płytszy koniec wanny przedstawiał plażę Normandii, głębszy Zatokę Sekwany. Następnie umieścił na wodzie dwadzieścia papierowych łódeczek i szczotką do mycia pleców imitował warunki burzowe. Łódki błyskawicznie zatonięły. Teraz Bernal nadmuchał kamizelkę ratunkową i rzucił ją na wodę, by udawała falochron. I znowu szczotka do mycia pleców wywołała sztorm, lecz tym razem wszystkie łódki ocalały. Bernal wyjaśnił, że to samo się stanie w Normandii. Sztorm spowoduje spustoszenie, potrzebny jest sztuczny port.

W Quebecu Anglicy i Amerykanie uzgodnili, że zbudują dwa sztuczne porty na potrzeby inwazji, każdy zdolny przyjąć tyle statków co wielki port w Dover. Dover wybudowano w siedem lat. Brytyjczycy i Amerykanie mieli na to jakieś osiem miesięcy. Było to przedsięwzięcie na niewyobrażalną skalę. Każdy taki blok kosztował dwadzieścia milionów funtów. Brytyjska gospodarka, zniszczona po czterech latach wojny, musiała dostarczyć cztery miliony ton cementu i stali. Przedsięwzięcie wymagało zatrudnienia elity inżynierskiej i mniej więcej dziesięciu tysięcy wyszkolonych pracowników. Do przetransportowania *Mulberrych* z Anglii do Francji w dniu inwazji trzeba było zgromadzić wszystkie holowniki z Anglii i wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Jedyną rzeczą, która skalą trudności dorównywała

zbudowaniu betonowych płyt, było utrzymanie tego w tajemnicy — o czym świadczył fakt, że Arthur Barnes i jego owczarek walijski Fiona nadal stali przy moło, kiedy łódź wioząca angielsko— amerykańską ekipę inżynierów dopłynęła do przystani. Wszyscy wysiedli i przeszli do czekającego autobusu. Jeden z mężczyzn odłączył się od grupy i skierował do limuzyny, która miała go odwieźć do Londynu. Wyskoczył z niej szofer, błyskawicznie otworzył tylne drzwiczki i komandor porucznik Peter Jordan wsiadł do środka.

Nowy Jork; październik 1943

Przyszli po niego w piątek. W myślach zawsze będzie ich nazywał Laurel i Hardy: przysadzisty Amerykanin, pachnący tanią wodą kolońską i piwem z parówką, które zjadł na lunch, oraz wysoki, szczupły Anglik, który podał Jordanowi rękę, jakby mu chciał zbadać puls. W rzeczywistości nazywali się Leamann i Brum — przynajmniej takie nazwiska widniały na legitymacjach, którymi mu zamachali przed nosem. Leamann oświadczył, że pracuje w Departamencie Wojny, Brum, sztywny Anglik, bąknął coś o związkach z Ministerstwem Spraw Wojskowych. Żaden nie miał munduru: Leamann był w wytartym brązowym ubraniu, które opinało mu się na brzuchu i wrzynało w krok; Brum zaś w wytwornie skrojonym grafitowym garniturze, nieco za ciężkim jak na amerykańską jesienną aurę.

Jordan przyjął ich w swoim imponującym gabinecie na dolnym

Manhattanie. Leamann tłumił beknięcia, zachwycając się cudownym widokiem na mosty East River: most Brooklyński, most Manhattan i most Williamsburga.

Brum, który prawie nie wykazywał zainteresowania tworamia rąk ludzkich, skupił się na pogodzie: wymarzony jesienny dzień, przejrzyste błękitne niebo, cudowne pomarańczowe słońce. W takie popołudnie rzeczywiście można uwierzyć, że Manhattan to najwspanialsze miejsce na ziemi. Podeszli do południowego okna i gawędzili, obserwując frachtowce wpływające i wypływające z portu.

— Proszę nam powiedzieć, nad czym pan teraz pracuje, panie Jordan — w głosie Leamanna był leciutki ślad akcentu z południowego Bostonu.

Dotknął drażliwej kwestii. Jordan nadal zajmował stanowisko głównego inżyniera Northeast Bridge Company, która nadal pozostawała największą firmą na wschodnim wybrzeżu budującą mosty, ale tak jak się obawiał, jego marzenie o założeniu własnego przedsiębiorstwa inżynierskiego umarło wraz z wybuchem wojny. Wyglądało na to, że Leamann dobrze się przygotował do spotkania, gdyż teraz recytował listę osiągnięć Jordana, jakby się znajdowali na ceremonii wręczenia nagród.

— Najlepszy z rocznika w Instytucie Politechnicznym Rensselaera. Inżynier roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. „Scientific American” nazywa pana najgenialniejszym człowiekiem od czasów wynalezienia koła. Jest pan na fali, panie Jordan. Powiększona kopia artykułu ze „Scientific American” wisiała na ścianie, oprawiona w czarne ramki. Na zdjęciu, które wtedy mu zrobiono, wyglądał jak zupełnie inny mężczyzna. Teraz zeszcupiał — niektórzy twierdzili, że i wyprzystojniał — a choć nie skończył jeszcze czterdziestu lat, na jego skroniach pojawiły się siwe pasemka.

Brum, szczupły Anglik, krążył po gabinecie, przyglądając się zdjęciom i modelom mostów, które firma

zaprojektowała i wykonała.

— Zatrudniacie tu wielu Niemców — stwierdził, jakby Jordan o tym nie wiedział.

Rzeczywiście, zatrudniali niemieckich inżynierów, Niemcy pracowali też wśród urzędników. Nawet sekretarka Jordana nazywała się Hofer i jako dziecko wraz z rodziną przybyła do Ameryki ze Stuttgartu. Do tej pory mówiła po angielsku z niemieckim akcentem. W tej samej chwili, jakby dla potwierdzenia oświadczenia Bruma, obok pokoju Jordana przeszło dwóch chłopców na posyłki, trzepiących coś między sobą po niemiecku z typową berlińską wymową.

— Kto ich sprawdził?

To znowu Leamann przejął pałeczkę. Jordan założyłby się, że to gliniarz albo że w swym wcześniejszym wcieleniu był gliniarzem. Świadczył o tym źle dopasowany, tandetny garnitur i wyraz ponurej determinacji na jego twarzy. Dla Leamanna świat składał się z kryminalistów, a on jeden bronił porządku przed anarchią.

— Nie sprawdzamy ich. Tu się buduje mosty, nie bomby.

— Skąd wiadomo, że nie sympatyzują z drugą stroną?

— Leamann. To chyba niemieckie nazwisko?

Na mięsistej twarzy Leamanna pojawiła się zmarszczka.

— Właściwie irlandzkie.

Brum oderwał się od modeli mostów i parsknął śmiechem.

— Zna pan niejakiego Walkera Hardegena? — zapytał. Jordana ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że jest poddawany przesłuchaniu.

— Sądzę, że sam pan zna odpowiedź na to pytanie. I owszem, jego rodzina pochodzi z Niemiec. Walker mówi po niemiecku i dobrze zna ten kraj. Jest prawą ręką mojego

teścia.

— **Ma pan na myśli swojego byłego teścia? — sprostował Brum.**

— **Po śmierci Margaret utrzymaliśmy bliską więź. Brum pochylił się nad kolejnym modelem.**

— **Czy to wiszący most?**

— **Nie, to projekt wspornika. Nie jest pan inżynierem? Brum spojrział na niego i uśmiechnął się, jakby uznał to pytanie za nieco obraźliwe.**

— **Nie, oczywiście że nie. Jordan usiadł za biurkiem.**

— **No dobrze, panowie, może byście mi powiedzieli, o co tutaj chodzi.**

— **Wiąże się to z inwazją na Europę — wyjaśnił Brum.**

— **Niewykluczone, że będzie nam potrzebna pańska pomoc.**

Jordan się uśmiechnął.

— **Chcecie wybudować most między Anglią a Francją?**

— **Coś w tym rodzaju — odparł Leamann.**

Brum zapalał papierosa. Jednym dmuchnięciem wypuścił w stronę rzeki elegancką smużkę dymu.

— **Szczerze powiedziawszy, panie Jordan, to coś zgoła innego.**

Rozdział dwunasty

Londyn

Chlusnęło, kiedy Alfred Vicary biegł przez Parliament Square do głównej kwatery Winstona Churchilla, mieszczącej się w podziemiach pod chodnikami Westminsteru. Premier osobiście zadzwonił do Vicary'ego i poprosił, by natychmiast się u niego stawił. Vicary szybko przebrał się w mundur i w pośpiechu wypadł z budynku MI— 5, nie zabierając parasola. Teraz jedynym sposobem obrony przed lodowatymi strugami ulewnego deszczu było przyspieszenie kroku, przytrzymanie płaszcz przy szyi i zasłonięcie głowy plikiem dokumentów. Vicary przebiegł obok zadumanego pomnika Lincolna i Beaconsfielda, po czym, przemoczony do nitki, zameldował się strażnikowi Królewskiej Marynarki, który stał przy zasłoniętych workami z piaskiem drzwiach pod numerem 2 Great George Street.

W MI— 5 wybuchła panika. Ubiegłego wieczoru kurier z Bletchley Park przywiózł dwa rozszyfrowane komunikaty Abwehry. Potwierdziły one najgorsze obawy Vicary'ego — na terenie Wielkiej Brytanii działało co najmniej dwóch szpiegów, o których MI— 5 nie miało pojęcia, a wyglądało na to, że Niemcy zamierzają przysłać jeszcze jednego. Prawdziwa klęska. Przeczytawszy ze ściśniętym sercem oba teksty, Vicary zadzwonił do domu sir Basila, by mu przekazać tę wiadomość. Sir Basil skontaktował się z dyrektorem generalnym oraz innymi wysokimi oficerami, zajmującymi się podwójnymi agentami. O północy na piątym piętrze paliły się światła; w tym momencie Vicary kierował jedną z najważniejszych spraw całej wojny. Spał niecałą godzinę. Głowa go bolała, oczy szczypały, myśli

chaotycznie kłębiły mu się w głowie.

Strażnik obejrzał legitymację Vicary'ego i wpuścił go do środka. Vicary zszedł po schodach i znalazł się w niewielkim korytarzu, jak na ironię Neville Chamberlain nakazał rozpoczęcie budowy podziemnych pomieszczeń w dniu powrotu z Monachium, kiedy to ogłosił „pokój za naszych czasów”. Vicary zawsze widział w tym schronie pomnik upadku polityki ugodowej. Oddzielony od powierzchni ponad metrem betonu uzbrojonego starymi londyńskim szynami tramwajowymi, podziemny labirynt uważano za całkowicie odporny na bomby wroga. Oprócz osobistego stanowiska dowodzenia Churchilla mieściły się tu najbardziej newralgiczne i tajne komórki angielskiego rządu.

Vicary szedł korytarzem. Ze wszystkich stron dobiegał terkot maszyn do pisania i sygnały tuzina nie odbieranych telefonów. Niski sufit wspierał się na wręgach jednego z nelsonowskich okrętów bojowych. Napis ostrzegał: **UWAGA NISKI STROP**. Vicary, który miał niespełna metr sześćdziesiąt, nie musiał się nawet schylać. Ściany, niegdyś pomalowane na kremowo, teraz spłwiałały i przypominały stare, pożółkłe gazety. Posadzki przykrywało brzydkie brązowe linoleum. Nad głową w rurach ściekowych słychać było bulgotanie nieczystości z położonych nad nimi budynków. Choć specjalny system wentylacyjny filtrował powietrze, woniało nie mytymi ciałami i stęchłym dymem papierosowym. Vicary podszedł do drzwi, których strzegł kolejny żołnierz Królewskiej Marynarki. Kiedy Vicary go mijał, strażnik stanął na baczność i zasalutował. Trzask obcasów wytłumiała guma.

Vicary powiódł wzrokiem po twarzach ludzi, którzy żyli, pracowali, jedli i spali w tej podziemnej fortecy premiera. Słowo bladość nie oddawało stanu ich cery;

przypominali woskowobiałych jaskiniowców, rojących się w swym podziemnym mrowisku. Nagle pozbawiona okna nora przy St James's Street przestała się wydawać Vicary'emu taka zła. Przynajmniej znajdowała się ponad ziemią. Przynajmniej docierało do niej coś na kształt świeżego powietrza.

Churchill rezydował w pokoju 65A, tuż obok pomieszczenia sztabowego i naprzeciwko sali z transatlantyckimi połączeniami telefonicznymi. Adiutant natychmiast wprowadził Vicary'ego do środka. Grupka urzędników, którzy wyglądali, jakby tkwili tu od ostatniej wojny, odprowadziła go zawistnym wzrokiem. Pokoik był maleńki, większość powierzchni zajmowało niewielkie łóżko, zasłane szarymi wojskowymi kocami. U stóp łóżka stał stolik z butelką i dwoma szklankami. BBC zamontowała tu na stałe mikrofon, aby Churchill mógł wygłaszać radiowe wystąpienia z bezpiecznego zacisza swej podziemnej twierdzy. Vicary zauważył niewielki, teraz zgaszony napis: **CISZA — NAGRYWANIE**. W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden przedmiot zbytku: skrzynka na Romeo y Julieta, ulubione cygara premiera.

Ubrany w zielony jedwabny szlafrok, z pierwszym tego dnia cygarem w ręku, Churchill siedział przy małym biurku. Nie ruszył się od niego, kiedy Vicary wszedł do pokoju. Vicary usiadł na brzegu łóżka i przyjrzał się premierowi. To nie był ten sam Churchill, z którym rozmawiał w majowe popołudnie czterdziestego roku. W niczym też nie przypominał zwawego, pewnego siebie mężczyzny z kroniki filmowej i filmów propagandowych. Miał przed sobą człowieka, który najwyraźniej za dużo pracował i za mało spał. Churchill właśnie wrócił do Anglii z kilkudniowego pobytu w Afryce Północnej, gdzie dochodził do siebie po łagodnym ataku serca i zapaleniu

pluc. Oczy miał przekrwione, policzki zapuchnięte i blade. Na widok starego przyjaciela zmusił się do słabego uśmiechu.

— Witaj, Alfredzie, jak się miewasz? — odezwał się, kiedy strażnik zamknął za sobą drzwi.

— Dobrze, choć ja powinienem zadać to pytanie. To pana premiera dopadło choróbsko.

— Jak nowo narodzony — zapewnił Churchill. — Wprowadź mnie w sprawę.

— Przechwyciliśmy dwie wiadomości z Hamburga do niemieckich agentów działających w Anglii. — Vicary podał je premierowi. — Jak pan wie, zakładaliśmy, że aresztowaliśmy, powiesili albo przeciągnęli na swoją stronę wszystkich niemieckich szpiegów w Wielkiej Brytanii. Jeśli agenci przekażą jakąkolwiek informację, która zaprzeczy temu, co wysyłamy przez podwójnych agentów, Berlin wszystkiego się domyśli. Sądzymy również, że Abwehra zamierza wprowadzić do kraju nowego agenta.

— Jak chcecie temu zapobiec?

Vicary przedstawił Churchillowi kroki, które już podjęto.

— Ale niestety, panie premierze, są nikle szansę natychmiastowego schwytania agenta. Wcześniej, na przykład latem czterdziestego roku, kiedy Niemcy przysyłali szpiegów w związku z planowaną inwazją, mogliśmy na bieżąco ich wylapywać, gdyż często dokładnie informowali starych agentów działających w Anglii, gdzie, kiedy i jak pojawią się następni.

— A ci starzy agenci byli już i waszymi agentami.

— Albo siedzieli w więziennej celi, zgadza, się. Jednak w tym wypadku wiadomość przekazana tutejszemu szpiegowi była bardzo niejasna, składała się tylko z jednego zdania: „Rozpocznij procedurę przyjęcia numer jeden”.

Jemu to powiedziało wszystko, nam, niestety, nic. Możemy się tylko domyślać, jak nowy szpieg zamierza się dostać do kraju. A jeśli nie dopisze nam szczęście, szansę jego schwytania równają się właściwie zeru.

— Niech to szlag — zaklął Churchill, waląc ręką w oparcie fotela. Wstał i nalał im obu brandy. Zapatrzył się w szklankę i mamrotał pod nosem, jakby zapomniał o obecności Vicary'ego.

— Pamiętasz tamto popołudnie, kiedy prosiłem cię, żebyś przeszedł do MI— 5?

— Oczywiście, panie premierze.

— Miałem rację, prawda?

— Co ma pan na myśli?

— Bawisz się, jak nigdy w życiu, co? Spójrz na siebie, Alfredzie, jesteś zupełnie innym człowiekiem. Wielkie nieba, jakżebym chciał wyglądać tak dobrze jak ty.

— Dziękuję, panie premierze.

— I świetnie się spisywałeś. Ale to wszystko nie będzie nic znaczyć, jeśli ci niemieccy szpiedzy znajdą to, czego szukają. Zdajesz sobie z tego sprawę, Alfredzie?

Vicary ciężko westchnął.

— Zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, panie premierze.

— Trzeba ich zatrzymać. Zgnieść.

Vicary szybko mrugał powiekami i automatycznie sięgnął do kieszeni na piersi w poszukiwaniu okularów do czytania. Churchillowi cygaro zgasło w dłoni. Zapaliwszy je ponownie, przez chwilę rozkoszował się jego smakiem.

— Co słyhać u Boothby'ego? — spytał w końcu. Vicary westchnął.

— Nic nowego, panie premierze.

— Udziela ci wsparcia?

— Chce, żebym go na bieżąco informował o każdym

ruchu.

— I to zapewne na piśmie. Boothby uwielbia mieć na wszystko podkładkę. Jego biuro zużywa więcej papieru niż *The Times*.

Vicary pozwolił sobie na cichy chichot.

— Nigdy ci o tym nie wspominałem, Alfredzie, ale miałem pewne wątpliwości, czy ci się powiedzie. Czy posiadasz cechy niezbędne do poruszania się w świecie kontrwywiadu. Och, nigdy nie wątpiłem w twój umysł i inteligencję. Nie wiedziałem tylko, czy masz chytrość niezbędną, by zostać dobrym oficerem wywiadu. I wątpiłem, czy będziesz się umiał zdobyć na bezwzględność.

Jego słowa zdumiały Vicary'ego.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz, Alfredzie? Jesteś jednym z najprzyzwoitszych ludzi, jakich znam. W tym zawodzie najczęściej sukces odnoszą osobnicy pokroju Boothby'ego. Aresztowałyby własną matkę, gdyby uważał, że dzięki temu awansuje, albo dźgnąłby przeciwnika w plecy.

— Ależ ja się zmieniłem, panie premierze. Zrobiłem rzeczy, których nigdy się po sobie nie spodziewałem. A także rzeczy, których się wstydzę.

Churchill wyglądał na zmieszanego.

— Wstydzisz?

— Skoro się czyści kominy, należy się spodziewać, że na palcach pozostanie sadza — odparł sentencjonalnie Vicary.

— Te słowa napisał sir James Harris, gdy służył jako minister w tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym roku. Nie mógł się pogodzić, że musi dawać łapówki szpiegom i informatorom. Czasem mi się marzy, żeby to nadal było takie proste.

Vicary przypomniał sobie noc z września czterdziestego roku. Razem ze swoim oddziałem ukrywał się wśród

wrzosów na klifie nad kamienistą plażą Kornwalii, chroniąc się przed deszczem pod czarną nieprzemakalną peleryną. Wiedział, że tej nocy zjawi się Niemiec; Abwehra kazała Karłowi Beckerowi przygotować się na jego przyjęcie. Vicary pamiętał, że agent okazał się prawie chłopcem, a gdy dotarł na brzeg w dmuchanym pontonie, niemal zamarł na śmierć. Wpadł prosto w ramiona gości z wydziału specjalnego, bełkocząc po niemiecku, szczęśliwy, że w ogóle żyje. Papiery miał fatalne, dwieście funtów w kiepsko sfalszowanych banknotach, a jego znajomość angielskiego ograniczała się do kilku komunałów. Mówił tak źle, że Vicary musiał prowadzić przesłuchanie po niemiecku. Szpieg miał gromadzić informacje o uzbrojeniu wybrzeża, a w chwili inwazji zająć się sabotażem. Vicary uznał, że chłopak do niczego się nie nadaje. Zastanawiał się, ilu jeszcze takich jak on wyśle Canaris — nie przygotowanych, słabo wyposażonych, prawie bez pieniędzy, właściwie bez szans przeżycia. Podtrzymanie skomplikowanej intrygi MI— 5 wymagało, by część szpiegów skazać na śmierć, Vicary więc polecił stracić chłopaka. Uczestniczył w egzekucji w więzieniu Wandsworth i nigdy nie zapomni spojrzenia szpiega, kiedy kat wsuwał mu kaptur na głowę.

— Musisz zmienić swoje serce w kamień, Alfredzie — odezwał się Churchill chrapliwym szeptem. — Nie mamy czasu na takie uczucia, jak wstyd czy współczucie, żaden z nas. Nie teraz. Musisz zapomnieć o moralności, odłożyć wszelkie ludzkie uczucia, jakie jeszcze posiadasz, i robić tylko to, co prowadzi do zwycięstwa. Czy jasno się wyraziłem?

— Tak, panie premierze.

Churchill pochylił się ku niemu i powiedział tonem zwierzenia:

— Niestety, na wojnie obowiązuje jedno nieprzyjemne prawo. Wprawdzie to, żeby jeden człowiek wojnę wygrał, jest praktycznie niemożliwe, ale jest bardzo możliwe, że jeden człowiek ją przegra. — Zawiesił głos. — Przez wzgląd na naszą przyjaźń, Alfredzie, nie bądź tym człowiekiem.

Do głębi poruszony Vicary wziął swoje rzeczy i skierował się do drzwi. Gdy je otworzył i był już jedną nogą na korytarzu, wpadł mu w oko napis na ścianie z aktualizowaną co godzina prognozą: DESZCZOWO. Za jego plecami Churchill mamrotał coś pod nosem. Dopiero po chwili do Vicary'ego dotarło, co mówił premier.

— Zakichana angielska pogoda — mruczał Churchill.
— Zakichana angielska pogoda.

Vicary instynktownie szukał śladów w przeszłości. Raz za razem studiował rozszyfrowane komunikaty przesłane z Hamburga do agentów z Anglii. Zamknięte sprawy, nawet te, w które był zaangażowany. Przejrzał raport końcowy jednego ze swoich pierwszych zleceń, epizod, który zakończył się na północy Szkocji, w miejscu o bardzo odpowiedniej nazwie: Przylądek Gniewu. Przeczytał dołączoną do jego akt pochwałę, niechętnie skreśloną przez sir Basila Boothby'ego, której kopię dostarczono premierowi, Winstonowi Churchillowi. Znowu zalała go fala dumy.

Harry Dalton, niczym średniowieczny giermek, krążył między gabinetem Vicary'ego a archiwum, przynosząc jedne dokumenty i odnosząc drugie. Pozostali oficerowie, wyczuwając napięcie narastające w wydziale Vicary'ego, dwójkami i trójkami mijali drzwi jego gabinetu niby motocykliści, którzy przejeżdżają obok wypadku: odwracając wzrok i rzucając szybkie, spłoszone spojrzenia przez ramię.

Kiedy Vicary uporał się z jedną stertą papierzysk,

Harry pytał:

— **Masz coś?**

A Vicary tylko marszczył brwi i odpowiadał: — Nie, nic, niech to licho!

O drugiej po południu ściany zaczęły się na niego walić. Wypalił za dużo papierosów i wypił za dużo spleśniałej burej herbaty.

— **Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, Harry.**

— **Wyrwij się stąd na parę godzin. Dobrze ci to zrobi.**

— **Przejdę się, może zjem lunch.**

— **Masz ochotę na towarzystwo?**

— **Nie, dzięki.**

Lodowata mżawka, niczym dym z pobliskiego pola bitwy, unosiła się nad Westminsterem, kiedy Vicary spacerował wzdłuż brzegów Tamizy. Znad rzeki dał przenikliwy zimny wiatr, szarpał zniszczonymi tymczasowymi znakami drogowymi, gwizdał wśród połamanych belek stropowych i cegieł, jedynych pozostałości po niegdyś imponujących budynkach. Vicary z rękami w kieszeniach płaszcza, ze spuszczoną głową szedł szybkim, mechanicznym krokiem, utykając na chorą nogę. Z wyrazu jego twarzy mijający go przechodzień wydedukowałby, że albo się spóźnił na jakieś ważne spotkanie, albo ucieka po jakiejś niemiłej rozmowie.

Abwehra miała wprost niezliczone sposoby przemycania agentów do Anglii. Wielu przyplęwało na wyspę w łódkach wysyłanych z okrętów podwodnych. Właśnie przeczytał stare raporty z aresztowania podwójnych agentów o pseudonimach Mutt i Jeff; wylądowali na brzegu z hydroplanu Arado tuż przy wiosce MacDuff w zatoce Moray, której mieszkańcy żyli z polowu

śledzi. Już poprosił straż przybrzeżną i marynarkę królewską o szczególną uwagę. Ale brytyjska linia brzegowa liczy sobie tysiące kilometrów, nie sposób całej jej strzec. Prawdopodobieństwo schwytania szpiega na mrocznej plaży jest nikłe.

Abwehra zrzucała też szpiegów z samolotów. Nie da się dopilnować każdego centymetra kwadratowego nieba, ale Vicary uczulił RAF, by szczególną uwagę zwracano na pojedyncze samoloty.

Abwehra wysyłała agentów do Wandii i Ulsteru. Stamtąd dostawali się do Anglii promem. Vicary zwrócił się z prośbą do pracowników linii promowych w Liverpoolu, by rozglądali się za podejrzanymi pasażerami, ludźmi nie zaznajomionymi z rutyną podróży na promie, mających kłopoty z językiem albo posługiwaniem się gotówką. Nie mógł im dać rysopisu, gdyż sam nim nie dysponował.

Zgłodniał od szybkiego marszu i z zimna. Wszedł do pubu w pobliżu Victoria Station i zamówił zapiekankę warzywną i małe piwo.

„Musisz zmienić swe serce w kamień”.

Niestety, to zrobił już dawno temu. Helen. Była śliczną rozpieszczoną córką bogatego przemysłowca, a on, wbrew głosowi rozsądku, zakochał się w niej nieprzytomnie. Związek został skazany na rozpad tego samego dnia, kiedy pierwszy raz się kochali. W niepojęty sposób ojciec Helen prawidłowo zinterpretował symptomy: to, jak Helen i Alfred trzymali się za ręce w drodze znad jeziora, pieśczoła, z jaką córka muskała już rzadniejące włosy Vicary'ego. Tego wieczoru ojciec wezwał córkę na pogawędkę w cztery oczy. Nie pozwoli jej wyjść za syna pośledniego urzędnika bankowego, który studiuje dzięki stypendium, nie ma mowy. Nakazał jej natychmiast i dyskretnie zerwać z ukochanym, co też uczyniła. Po prostu

już taka była. Vicary nigdy jej za to nie winił i nadal ją kochał. Ale tamtego dnia coś w nim umarło. Chyba ufność. Sam był ciekaw, czy kiedykolwiek ją odzyska.

„To, żeby jeden człowiek wojnę wygrał, jest praktycznie niemożliwe”. Niech лихо porwie starego, że mi to wrzucił na głowę.

Przy stoliku stanęła kelnerka.

— Aż takie złe, kochaniutki? — wskazała brodą na jego porcję.

Vicary podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Marchewka i ziemniaki leżały na obrzeżu talerza, a on bezmyślnie wodził czubkiem noża po gęstym sosie. Uważniej przyjrzał się posiłkowi i spostrzegł, że naszkicował w burej mazi mapę Anglii.

Gdzie ten cholerny szpieg wylądował? — pomyślał.

— Było pyszne — odparł grzecznie, oddając talerz. — Chyba jednak nie byłem aż tak głodny.

Wyszedł, podniósł kołnierz płaszcza i ruszył w stronę biura.

„Jest bardzo możliwe, że jeden człowiek ją przegra”.

Zwiędłe liście szeleściły mu pod nogami, kiedy szybkim krokiem przemierzał Bridcage Walk. Ostatnie promienie dnia znikwały bez walki. W zapadającym zmierzchu widział grube zasłony, zamykające się niczym powieki w oknach domów naprzeciwko parku St James' s. Wyobraził sobie Helen, która stoi w jednym z nich i patrzy, jak on energicznie sunie chodnikiem. Przez chwilę w marzeniach widział, jak rozwiązuje sprawę, aresztuje szpiegów i wygrywa wojnę, w ten sposób udowadniając, że jest godny Helen, a ona z powrotem go przyjmuje.

„Nie bądź tym człowiekiem”.

I jeszcze coś Churchill powiedział: narzekał na bezustanny deszcz. Premier, ukryty w swej bezpiecznej

podziemnej twierdzy, narzeka na pogodę... Nie pokazując przepustki, Vicary minął strażnika pilnującego wejścia do budynku MI— 5 i wkrótce znalazł się w swoim gabinecie.

— I jak, natchnęło cię? — spytał go Harry, ledwie wszedł.

— Może. Gdybyś musiał błyskawicznie umieścić szpiega w kraju, z której strony byś to zrobił?

— Chyba od wschodu: Kent, wschodnia Anglia, a nawet wschodnia Szkocja.

— Identycznie jak ja.

— Więc?

— Gdybyś musiał szybko przeprowadzić akcję, jaki środek transportu byś wybrał?

— To zależy.

— Szybko, Harry!

— Myślę, że wybrałbym samolot.

— A dlaczego nie okręt podwodny? Żeby szpieg dopłynął do brzegu tratwą?

— Bo w krótkim czasie łatwiej zorganizować mały samolot niż cenny okręt podwodny.

— Właśnie, Harry. A czego potrzeba, żeby zrzucić szpiega do Anglii z samolotu?

— Przede wszystkim przyzwoitej pogody.

— I znowu trafione, Harry.

Vicary złapał słuchawkę i czekał, aż odezwie się centrala.

— Tu Vicary. Połącz mnie ze służbą meteorologiczną RAF— u. Natychmiast.

Po chwili telefon odebrała młoda kobieta.

— Słucham.

— Mówi Vicary z Ministerstwa Wojny. Potrzebuje informacji na temat pogody.

— Paskudnie się zrobiło, prawda?

— Tak, tak — niecierpliwie przyznał Vicary. — A kiedy się przejaśni na wschodzie?

— Spodziewamy się, że te masy powietrza przesuną się znad wybrzeża jutro po południu.

— I niebo się przejaśni?

— Będzie czyste jak lza.

— Cholera!

— Ale nie na długo. Szykuje się następny front i szybko przesuwa się nad krajem w kierunku południowo—wschodnim.

— Jak szybko?

— Trudno powiedzieć. Pewnie przyjdzie po jakichś dwunastu, osiemnastu godzinach od rozpogodzenia.

— A potem?

— Przez następny tydzień cały kraj będzie tonął w chmurach, bez przerwy opady śniegu lub deszczu.

— Dziękuję.

Vicary odłożył słuchawkę i popatrzył na Harry'ego.

— Jeśli nasza teoria się sprawdzi, nasz agent jutro w nocy będzie próbował zeskoczyć na teren Wielkiej Brytanii.

Rozdział trzynasty

Hampton Sands, Norfolk

Rowerem do plaży zwykle jechało się około pięciu minut. Późnym popołudniem Sean Dogherty sprawdzał to jeszcze; musiał być pewny. Pedałował spokojnie, niespiesznie, wystawiając twarz na odświeżający podmuch wiatru od morza. Żałował, że rower jest w tak kiepskim stanie. Tak samo jak wojenna Anglia był zniszczony, poobijany i na gwałt potrzebował naprawy. Łańcuch skrzypiał przy każdym obrocie pedałów, ale brakowało smaru, a opony tak się starły i Dogherty tyle razy je latał, że równie dobrze mógłby jeździć na obręczach.

Deszcz ustał koło południa. Puchate pojedyncze chmury przefruwały nad głową Dogherty'ego jak balony, które zerwały się ze sznurka. Za jego plecami słońce, niczym kula ognia, płonęło na horyzoncie. Moczary i stoki wzgórz załala pomarańczowa luna.

Dogherty czuł narastające, rozsadzające mu pierś podniecenie. Niczego takiego nie doznał od czasu, kiedy po raz pierwszy, w początkach wojny, spotkał w Londynie swojego łącznika z Abwehrą.

Droga kończyła się wśród sosen u stóp wydmy. Zniszczony znak ostrzegał przed minami na plaży. Dogherty, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Hampton Sands, wiedział, że nie ma tam żadnych min. W koszyku wiózł dobrze zabezpieczony słoik bezcennej benzyny. Wyjął go teraz, wepchnął rower w zarośla i starannie oparł go o drzewo.

Sprawdził godzinę. Dokładnie pięć minut.

Ruszył ścieżką między drzewami na wydmy, czując pod nogami piasek i kolki; słyhać już było łoskot rozbijających

się fal.

Przed nim rozciągało się morze. Dwie godziny temu przyływ osiągnął najwyższy poziom. Fale uderzały mocno i twardo. O północy, kiedy przewidywano zrzucenie szpiega, wzdłuż krawędzi wody pojawi się szeroki pas piachu. Idealne lądowisko dla spadochroniarza.

Dogherty miał plażę wyłącznie dla siebie. Wrócił do sosnowego zagajnika i przez następne pięć minut zbierał drewno na trzy małe ogniska sygnalizacyjne. Cztery razy musiał zawracać, by je przenieść na plażę. Sprawdził wiatr: północno— wschodni, jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę. Dogherty ułożył drewno w trzy kupki oddalone od siebie o parę metrów.

Światło dnia gasło. Otworzył słoik i polał drewno benzyną. Dziś wieczorem miał czekać przy odbiorniku, dopóki nie otrzyma z Hamburga sygnału, że samolot już leci. Wtedy tu wróci, zapali ogniska i przejmie agenta. Proste, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Obejrzał się i na szczycie wydmy zauważył Mary. Jej sylwetka ostro się rysowała w promieniach zachodzącego słońca. Stała z założonymi rękami. Wiatr zarzucał jej włosy na twarz. Powiedział jej wczoraj w nocy, że Abwehra kazała mu przyjąć agenta. I że ma wyjechać z Hampton Sands i zamieszkać u przyjaciół albo rodziny w Londynie, aż będzie po wszystkim. Odmówiła. A od tej pory nie odezwała się do niego słowem. Obijali się o siebie w ciasnym domku, trwając w zaciętym milczeniu, nie patrząc sobie w oczy. Napięcie Mary objawiało się grzechotaniem garnkami na kuchni, tłuczeniem talerzami i kubkami. Tak jakby została, żeby go ukarać swą obecnością.

Zanim wspiął się na wierzchołek wydmy, Mary zniknęła. Szedł ścieżką do miejsca, gdzie zostawił rower. Zabrała go Mary.

Kolejna runda naszej cichej wojny — pomyślał Dohgerty. Podniósł kołnierz, zasłaniając się przed wiatrem, i na piechotę wrócił do domu.

Jenny Colville znalazła to miejsce, kiedy miała dziesięć lat — małe zagłębienie wśród sosen, kilkaset metrów od drogi, zasłonięte od wiatru przez dwie duże skały. Idealna kryjówka.

Ułożyła krąg z kamieni i umieściła na nich mały metalowy ruszt; w ten sposób powstała prymitywna obozowa kuchenka. Przygotowała ognisko: podsypała kolek, suchej trawy, szczapy z połamanymi gałęzi drzew, potem przyłożyła zapalnik. Delikatnie rozdmuchała ogień i po chwili zapłonął z trzaskiem.

Pod skałami trzymała małą skrzynkę pod osłoną warstwy igliwia. Teraz rozgarnęła kolki i wydobyla skrzynkę. Otworzyła pokrywę i wyjęła z niej zawartość: zniszczony wełniany koc, metalowy garnuszek, obity emaliowany kubek i puszkę suchej zakurzonej herbaty. Rozłożyła koc przy ogniu. Siadła i grzała dłonie nad płomieniami.

Dwa lata temu jakiś mieszkaniec wioski odkrył jej kryjówkę i doszedł do wniosku, że na plaży mieszka włóczęga. Od czasu pożaru kościoła w 1912 roku wioska nie miała podobnej sensacji. Przez pewien czas Jenny omijała swoje miejsce. Ale skandal szybko przycichł i teraz mogła tu wracać.

Płomienie przygasły, ognisko tylko się żarzyło. Jenny nalala do garnka wody z manierki, którą przyniosła z domu. Postawiła garnek na ruszcie i czekała, aż woda się zagotuje, wsłuchana w szum morza i świstanie wiatru w sosnach.

Jak zwykle schronienie uruchomiło swe czary.

Zaczęła zapominać o swoich problemach — o ojcu.

Dziś, kiedy wróciła ze szkoły, siedział przy kuchennym stole pijany. Wiedziała, że lada chwila zrobi się wojowniczy, potem się rozzłości, a w końcu zacznie bić. Wyżyje się na kimś, kto akurat mu wejdzie pod rękę; nieodmiennie tym kimś okazywała się Jenny. Postanowiła uciec przed biciem, zanim do niego dojdzie. Przygotowała ojcu talerz skromnych kanapek i czajnik herbaty i zostawiła to na stole. Nic nie powiedział ani się nie zaniepokoił, gdzie idzie, gdy włożyła płaszcz i wymknęła się za drzwi.

Woda zawrzała. Jenny nasypała do garnka herbaty, przykryła i zdjęła go z ognia. Pomyślała o innych dziewczętach z wioski. One teraz są w domu, siadają z rodzicami do kolacji, rozprawiają o wydarzeniach dnia, zamiast ukrywać się wśród drzew przy plaży, a za całe towarzystwo nie musi im wystarczać huk fal i kubek herbaty. Toteż była inna niż one: starsza, mądrzejsza. Odarto ją z dzieciństwa, czasu niewinności, zmuszono, by u progu życia uświadomiła sobie, że świat może przypominać piekło.

Boże, dlaczego on mnie tak nienawidzi? Przecież nic mu nie zrobiłam.

Mary jak umiała, starała się jej wytłumaczyć postępowanie Martina Colville'a. On cię kocha — powtarzała tysiące razy — ale jest zraniony, zły i nieszczęśliwy i odbija sobie na tym, kogo najbardziej kocha.

Jenny starała się postawić na miejscu ojca. Jak przez mgłę pamiętała dzień, gdy matka spakowała się i odeszła. Pamiętała, jak ojciec błagał i zaklinał ją, by została. I pamiętała wyraz jego twarzy, gdy matka odmówiła, brzęk

pękającego szkła, trzask tłuczonych talerzy, straszliwe rzeczy, jakie oboje wygadali. Przez wiele lat nie wiedziała, dokąd odeszła jej matka. Po prostu nie poruszano tego tematu. Kiedy pytała ojca, odchodził wściekły bez słowa. To w końcu Mary jej powiedziała: matka zakochała się w mężczyźnie z Birmingham, miała z nim romans i teraz z nim mieszka. Na pytanie Jenny, dlaczego matka nigdy nie próbowała się z nią skontaktować, Mary nie znalazła odpowiedzi. A co gorsza, dodała, że Jenny jest podobna do niej jak dwie krople wody. Jenny brakowało na to dowodów. Kobieta, którą wtedy widziała, była zdesperowana, zrozpaczona, miała zapuchnięte, czerwone od łez oczy, a ojciec dawno zniszczył wszystkie zdjęcia żony.

Jenny nalala sobie herbaty i tuliła w dłoniach emaliowany kubeczek, żeby się rozgrzać. Wiatr powiał mocniej, kołysał sosnowym baldachimem nad jej głową. Na niebie pojawił się księżyc, za nim pierwsze gwiazdy. Jenny czuła, że zanosi się na bardzo zimną noc. Długo tu nie wysiedzi. Dorzuciła dwa większe kawałki drewna do ognia i obserwowała taniec cieni na skałach. Dopija herbatę, zwinęła się w kłębek, podkładając ręce pod policzek.

Wyobraziła sobie, że jest gdzie indziej, z dala od Hampton Sands. Chciała zrobić coś wielkiego i więcej nie wrócić. Miała szesnaście lat. Niektóre dziewczęta z okolicznych wiosek wyjechały do Londynu lub innych wielkich miast, by zająć stanowiska zwolnione przez mężczyzn. Znalazłaby zajęcie w fabryce, została kelnerką, cokolwiek.

Zapadała w sen, kiedy wydało jej się, że gdzieś znad wody dobiega jakiś odgłos. Przez chwilę myślała, że może rzeczywiście na plaży mieszkają włóczędzy. Wybita ze snu zerwała się na nogi. Sosny kończyły się na wydmach.

Ostrożnie wyszła z zagajnika, bo szybko zapadały ciemności, i ruszyła w górę po piaszczystym zboczu. Zatrzymała się na szczycie. Wokół jej nóg tańczyła na wietrze wysoka trawa. Jenny popatrzyła w kierunku, z którego dobiegały odgłosy. Zobaczyła człowieka w sztormiaku i gumiakach.

Sean Dogherty.

Układał w kupki drewno, chodził, odmierzał jakąś odległość. Może Mary ma rację. Może Seanowi padło na głowę.

Wtedy Jenny dostrzegła inną postać na wydmach. Mary. Po prostu stała na wietrze z założonymi rękami, wpatrując się w Seana. Potem się odwróciła i spokojnie odeszła, nie czekając na męża.

Kiedy Sean zniknął jej z oczu, Jenny schowała swoje rzeczy, zalała żar i wróciła rowerem do wioski. W domu było pusto, zimno i ciemno. Ogień już dawno zgasł, ojciec gdzieś zniknął, nie zostawił wiadomości, gdzie się podziewa. Przez pewien czas Jenny leżała w łóżku, wsłuchując się w wiatr, odtwarzając w pamięci scenę na plaży. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Coś zupełnie jej nie pasowało.

— Przecież chyba jest jeszcze coś, co moglibyśmy zrobić, Harry — powiedział Vicary, krążąc po gabinecie.

— Zrobiliśmy już wszystko, co w naszej mocy, Alfredzie.

— Może powinniśmy jeszcze raz skontaktować się z RAF—em?

— Właśnie z nimi rozmawiałem.

— I co?

— Nic.

— W takim razie zadzwoń do marynarki...

— W tym momencie skończyłem rozmawiać z Cytadelą.

— I?

— Nic.

— Chryste!

— Po prostu musisz się uzbroić w cierpliwość.

— Nie zostałem obdarzony wrodzoną cierpliwością, Harry.

— Zauważyłem.

— A co...

— Dzwoniłem do portu promowego w Liverpoolu.

— No i?

— Zamknięty z powodu złych warunków atmosferycznych.

— Więc dziś nie przyłyną z Irlandii.

— Zero szans.

— A może zabraliśmy się do sprawy ze złej strony, Harry?

— Jak to?

— Może powinniśmy skupić się na dwójce agentów już działających w Anglii.

— Słucham.

— Przynies znowu ewidencję urzędu imigracyjnego z numerami paszportów.

— Chryste, Alfredzie, od czterdziestego roku nic się w nich nie zmieniło. Wylapaliśmy wszystkich, których podejrzewaliśmy o szpiegostwo, i przebadaliśmy tych, co do których mieliśmy wątpliwości.

— Wiem, Harry, ale może coś przeoczyliśmy.

— Mianowicie?

— Skąd, do cholery, mam wiedzieć!

— Przyniosę ewidencję. To nie zaszkodzi.

— A może przestało nam dopisywać szczęście, Harry.

— Alfredzie, w swoim czasie znałem mnóstwo gliniarzy, którym sprzyjało szczęście.

— Tak, Harry?

— Ale żaden z tych szczęściarzy nie był przy okazji leniem.

— Do czego zmierzasz, Harry?

— Przyniosę akta i zaparzę czajnik herbaty.

Sean Dogherty wyszedł z domu tylnymi drzwiami i skierował się do stodoły. Miał na sobie gruby sweter, sztormiak, w rękę niósł lampę karbidową. Ostatnie chmury się rozproszyły. Na granatowym niebie mrugały gwiazdy i świecił jasny księżyc. Powietrze było przenikliwie zimne.

Kiedy pchnął wrota i wszedł do stodoły, powitało go beczenie owcy. Zaplątała się dziś w ogrodzeniu. Próbując się wyrwać, nie tylko zraniła sobie nogę, ale zrobiła też dziurę w płocie. Teraz leżała na sianie w kącie stodoły.

Dogherty włączył radio i zaczął zmieniać owcy opatrunek, nucąc cicho, żeby i siebie, i ją uspokoić. Zdjął zakrwawioną gazę, nałożył świeżą i przykleił plaster.

Właśnie podziwiał swe dzieło, kiedy radio ożyło. Rzucił się do niego i nałożył słuchawki. Wiadomość była krótka. Nadał potwierdzenie odbioru i wypadł na dwór.

Na plażę dojechał w niecałe trzy minuty.

Na końcu drogi zeskoczył z roweru i ukrył go wśród drzew. Wspiął się na wydmy, przelaził na drugą stronę i popędził przez plażę. Ogniska sygnalizacyjne były na swoim miejscu, nikt ich nie ruszył. Z oddali dobiegał warkot samolotu.

Wielki Boże — pomyślał. Więc on rzeczywiście przyleci.

Zapalił ogniska. W kilka sekund plażę rozjaśniły płomienie.

Przycupnięty w trawie Dogherty czekał. Po chwili samolot zszedł nad plażę i moment później z tyłu wyskoczył czarny kształt. Spadochron otworzył się z trzaskiem i maszyna zawróciła nad morze.

Dogherty wynurzył się z trawy i popędził nad wodę. Zanim dobiegł, Niemiec już bezbłędnie wylądował, przetoczył się i zaczął zbierać czarny spadochron.

— Ty zapewne nazywasz się Sean Dogherty — odezwał się doskonałą angielszczyzną absolwenta ekskluzywnej szkoły.

— Zgadza się — odparł Sean zaskoczony. — A ty zapewne jesteś niemieckim szpiegiem.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Coś w tym stylu. Słuchaj, staruszk, poradzę sobie. Może byś zgasił te cholerne ogniska, zanim cały świat się dowie, że tu jesteśmy.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

Prusy Wschodnie; grudzień 1927

Tej zimy jelenie głodują. Wychodzą z lasu i grzebią na łąkach w poszukiwaniu jedzenia. Właśnie stoi tam — olbrzymi jelen, w promieniach ostrego słońca, z nosem wetkniętym w ziemię szuka odrobiny zmarzniętej trawy. Kryją się za pagórkiem. Anna leży na brzuchu, papa przykucnął tuż przy niej. Szepcze jej do ucha instrukcje, lecz ona nie słucha. Nie potrzebuje wskazówek. Czekala na ten dzień. Wyobrażała go sobie. Szykowała się.

Wsuwa łuski do lufy strzelby. Strzelba jest nowa, gładziutka, bez najmniejszego zadraśnięcia, pachnie świeżym smarem. To jej prezent urodzinowy. Dziś kończy piętnaście lat.

Jeleń to również jej prezent urodzinowy.

Już wcześniej chciała zastrzelić duże zwierzę, ale papa się nie zgadzał.

— Zabicie jelenia to ogromne przeżycie — wyjaśniał. — Trudno je opisać. Trzeba tego doświadczyć, i nie pozwolę, żebyś przez to przeszła, zanim będziesz na tyle dojrzała, żeby to pojąć.

Strzał będzie trudny: od ofiary dzieli ją sto pięćdziesiąt metrów, z boku wieje silny, lodowaty wiatr. Mróz szczypie dziewczynkę w policzki, cała się trzęsie z zimna, palce zdrętwiały mimo rękawiczek. W wyobraźni układa sobie strzał: delikatnie naciśnij spust, tak by kula trafiła dokładnie tam, gdzie chcesz. Tak jak uczył ją papa.

Wiatr mocniej szarpnął. Anna czeka.

Dźwiga się na jedno kolano, ustawia broń w pozycji do strzału. Jeleń, spłoszony chrzęstem śniegu, podnosi olbrzymi łeb i odwraca się w kierunku, skąd dobiegł

dźwięk.

Szybko celuje w łeb zwierzęcia, bierze poprawkę na wiatr i strzela. Kula przeszywa oko, jeleni wali się na zaśnieżoną łąkę.

Opuszcza broń, odwraca się do papy. Spodziewa się promiennego uśmiechu, okrzyków radości, otwartych ramion i pochwały. Tymczasem kiedy papa wodzi wzrokiem od martwego zwierzęcia do niej, z jego nieruchomej twarzy niczego nie można wyczytać.

— Twój ojciec zawsze marzył o synu, ale mu go nie dałam — mówiła jej matka, kiedy konała na gruźlicę w sypialni na końcu korytarza. — Bądź tym, kim chce, żebyś była. Pomóż mu, Anno. Zaopiekuj się nim zamiast mnie.

Zrobiła wszystko, o co prosiła matka. Nauczyła się jeździć konno, strzelać i wykonywać zajęcia chłopców — tyle że była od nich lepsza. Towarzyszyła papie na wszystkich jego placówkach dyplomatycznych. W poniedziałek wyruszają do Ameryki, gdzie papa zostanie pierwszym konsulem.

Anna słyszała, że w Ameryce grasują gangsterzy, rozbijają się po ulicach olbrzymimi czarnymi wozami i strzelają do każdego, kto im wejdzie w drogę. Jeśli gangsterzy spróbują skrzywdzić papę, strzeli im prosto w oczy ze swej nowej broni.

Tej nocy leżą przytuleni w obszernym łóżku papy. W kominku płoną polana. Na dworze szaleje zawierucha. Wyje wiatr, a gałęzie drzew uderzają w ściany domu. Anna zawsze myśli, że próbują się dostać do środka, bo im zimno. Płomienie strzelają, zapach dymu jest ciepły, cudowny.

Ona wtula twarz w policzek papy, kładzie mu rękę na torsie.

— Bardzo przeżywałem zabicie swego pierwszego jelenia — mówi papa, jakby się przyznawał do klęski. — Omal nie odłożyłem broni. Dlaczego tobie to przyszło bez trudu, Anno, kochanie?

— Nie wiem, papo, po prostu przyszło.

— Widziałem tylko wpatrzone w siebie ślepią tego cholernika. Olbrzymie brązowe ślepią. Piękne. A gdy zobaczyłem, jak ucieka z nich życie, poczułem się strasznie. Jeszcze przez tydzień nie mogłem o tym zapomnieć.

— Ja nie widziałam ślepi. Odwraca się do niej w mroku.

— A co widziałaś? Waha się.

— Widziałam jego twarz.

— Czyją twarz, kochanie? — Nie rozumie. — Jelenia?

— Nie, papo, nie jelenia.

— Anno, kochanie, o czym, na Boga, ty mówisz? Rozpaczliwie pragnie mu powiedzieć, powiedzieć komukolwiek.

Gdyby matka żyła, może jej zdołałaby wyznać. Ale nie może się zmusić, by o tym opowiedzieć papie. Oszałałby. To by nie było wobec niego w porządku.

— Nic, papo. Jestem zmęczona. — Całuje go w policzek. — Dobranoc, papo. Miłych snów.

Londyn; styczeń 1944

Minęło sześć dni, od kiedy Catherine Blake otrzymała wiadomość z Hamburga. W tym czasie wielokrotnie i bardzo poważnie zastanawiała się, czyby jej nie zignorować.

Pod kryptonimem alfa kryło się spotkanie w Hyde

Parku, na ścieżce wiodącej przez zagajnik. Catherine nie mogła zapanować nad niepokojem. Od 1940 roku MI— 5 aresztowała tuziny agentów. Niewątpliwie przynajmniej część z nich sypała przed spotkaniem z katem.

Teoretycznie nie miało to żadnego wpływu na jej sytuację. Vogel obiecał, że w jej przypadku wszystko będzie wyglądać inaczej. Inne będą hasła radiowe, inne ustalone spotkania, inne szyfry. Nawet jeśli Anglicy dopadli i powiesili wszystkich niemieckich szpiegów, żaden ślad nie doprowadzi do niej.

Catherine chciałaby posiadać pewność siebie Vogla. Siedział setki mil stąd, odcięty od Wielkiej Brytanii kanałem La Manche, poruszał się na ślepo. Najmniejszy jego błąd może doprowadzić do jej aresztowania lub śmierci. Weźmy chociażby miejsce spotkania. Noc była lodowata; każdy blakający się bez celu po Hyde Parku automatycznie może wzbudzić podejrzenia. Idiotyczny błąd, zgoła nie w stylu Vogla. Widocznie żyje pod ogromną presją. To zrozumiałe. Szykuje się inwazja, wszyscy o tym mówią. Pytanie tylko kiedy i gdzie.

Jeszcze z jednego powodu nie wyglądała tego spotkania: bała się wciągnięcia w grę. Przyzwyczaiła się do obecnego stanu rzeczy, może nawet za bardzo. Życie nabrało już pewnego rytmu i tempa. Miała swoje wygodne mieszkanie, pracę wolontariuszki, pieniądze Vogla, z których się utrzymywała. Nie chciało jej się, już niemal u kresu wojny, narażać na niebezpieczeństwo. Bynajmniej nie myślała o sobie jako o niemieckiej patriotce. Przybrana tożsamość wydawała się całkiem bezpieczna. Mogła przeczekać wojnę, a potem wrócić do Hiszpanii. Z powrotem znaleźć się w wielkiej *estancia* u stóp gór. I z Marią.

Catherine skręciła do Hyde Parku. Odgłosy

wieczornego szczytu w Kensingtonie zmieniły się w przyjemny szum.

Z dwóch powodów stawiała się na spotkanie.

Po pierwsze, ze względu na bezpieczeństwo ojca. Catherine nie zgłosiła się do Abwehry na szpiega, zmuszono ją do współpracy. Instrumentem nacisku Vogla stał się jej ojciec. Vogel jasno dał jej do zrozumienia, że jeśli nie zgodzi się pojechać do Anglii, ojcu stanie się krzywda. Będzie aresztowany, osadzony w obozie koncentracyjnym, a może nawet zabity. Jeśli teraz nie zgodzi się wypełnić zadania, życie jej ojca z pewnością zawiśnie na włosku.

Drugi powód był prostszy: czuła się rozpaczliwie samotna. Przez sześć lat egzystowała odcięta od wszystkiego, w izolacji. Normalnym agentom pozwalano korzystać z radia. Utrzymywali przynajmniej minimalną więź z Niemcami. Jej tymczasem nie pozwolono naprawie żaden kontakt. Zżerała ją ciekawość. Chciała porozmawiać z kimś od siebie. Chciała choć na chwilę wyzwolić się z narzuconej roli. Móc zapomnieć o Catherine Blake.

Boże, toż ja prawie już nie pamiętam swojego prawdziwego imienia — pomyślała.

Ostatecznie postanowiła jednak spotkać się z agentem.

Szła brzegiem stawu, obserwując kaczki, które polowały w wykutych w lodzie przeręblach, potem ruszyła ścieżką w stronę drzew. Gasły już ostatnie promienie dnia; niebo pokryło się kobiercem mrugających gwiazd.

Przynajmniej jedna pozytywna strona zaciemnienia: nocą widać gwiazdy, nawet w samym środku West Endu — pomyślała.

Sięgnęła do torebki i dotknęła kolby swego automatycznego mauzera 6.35 z tłumikiem. Był na miejscu. Jeśli stanie się coś nieoczekiwanego, skorzysta z niego. Jedno sobie poprzysięgła: nigdy nie da się zaaresztować. Na

samą myśl, że miałyby siedzieć zamknięta w jakimś cuchnącym angielskim więzieniu, robiło jej się niedobrze. Nocami nękały ją koszmary o własnej egzekucji. Widziała kpiące twarze Anglików, którzy patrzą, jak kat zakłada jej kaptur na głowę i zarzuca pętlę na szyję. Skorzysta ze swojej kapsułki z trucizną albo zginie w walce. Nigdy nie pozwoli im się tknąć.

Minął ją amerykański żołnierz. U jego ramienia uwiesiła się prostytutka, macała go w kroku i lizała w ucho. To był zwyczajny widok. Dziewczyny pracowały na Piccadilly. Mało komu chciało się trwonić pieniądze na pokój hotelowy. Robota przy ścianie, tak to nazywali żołnierze. Dziewczyny po prostu prowadziły klientów w jakieś boczne uliczki czy do parku i podnosiły spódnicę. Niektóre, co bardziej naiwne, myślały, że stojąc nie zajdą w ciążę.

Głupie Angieleczki — pomyślała Catherine.

Weszła między drzewa i czekała, aż pokaże się agent Vogla.

Popołudniowy pociąg z Hunstanton przyjechał na stację Liverpool Street z półgodzinnym opóźnieniem. Horst Neumann zabrał swoją skórzaną torbę z pojemnika na bagaże i czekał w kolejce do wyjścia z wagonu. Na stacji panował nieopisany chaos. Grupki znużonych podróżnych o nieprzytomnych twarzach i wyglądzie ofiar kataklizmu błąkały się po poczekalni, czekając na niewyobrażalnie spóźnione pociągi. Żołnierze spali, gdzie popadło, z głowami na chlebakach. Wśród tej ciżby krążyło paru umundurowanych funkcjonariuszy żandarmerii kolejowej, próbując zaprowadzić jaki taki ład. Bagażowymi były kobiety. Neumann wkroczył na peron. Drobny, ruchliwy i

bystry przeciskał się przez gęsty tłum.

Ubrani w pomięte garnitury i oprychówki mężczyźni przy wyjściu mieli niemal wypisane na twarzach: „władza”. Zastanawiał się, czy to jego szukają. Przecież nie mogli dostać jego rysopisu. Instynktownie sięgnął pod marynarkę i namacał kolbę pistoletu. Tkwił bezpiecznie, zatknięty za pasek spodni. Sprawdził też, czy ma w kieszeni na piersi portfel. Dowód tożsamości wystawiono mu na nazwisko James Porter. James Porter pracował jako akwizytor firmy farmaceutycznej. Neumann minął dwóch mężczyzn i wtopił się w tłum przelewający się przez Bishopsgate.

Podróż, jeśli nie liczyć nieuniknionego spóźnienia, upłynęła gładko. Neumann znalazł się w przedziale z grupką młodych żołnierzy. Przez pewien czas łypali na niego koso, gdy czytał gazetę. Domyślał się, że każdy zdrowo wyglądający młody mężczyzna musiał budzić pogardę. Powiedział, że był ranny w Dunkierce i na wpół żywego dowieziono go do Anglii na pokładzie oceanicznego holownika — jednego ze „stateczków”. Żołnierze zaproponowali mu przyłączenie się do gry, a on ich niemiłosiernie złupił.

Na ulicy panowały egipskie ciemności, jedyne źródło światła stanowiły ocienione światła samochodów i blade, zaciemnieniowe latarki w rękach niektórych przechodniów. Neumann miał wrażenie, że ni z tego, ni z owego wciągnięto go w jakąś dziecinną grę i ma wykonać prościutkie zadanie z zawiązanymi oczami. Dwukrotnie zderzył się z pieszym idącym z przeciwka. Raz trafił na coś zimnego i twardego i już zaczął przeproszać, kiedy uświadomił sobie, że to latarnia.

Śmiać mu się chciało. Niewątpliwie Anglia ogromnie się zmieniła, odkąd był tu po raz ostatni.

Urodził się jako Nigel Fox w 1919 roku w Londynie. Jego matka była Niemką, ojciec Anglikiem. Po śmierci ojca w 1927 roku matka wróciła do Niemiec i osiadła w Düsseldorfie. Rok później ponownie wyszła za mąż, za bogatego fabrykanta, niejakiego Ericha Neumanna, wyznawcę surowej dyscypliny, który nie życzył sobie pasierba o imieniu Nigel, w dodatku mówiącego po niemiecku z angielskim akcentem. Natychmiast zmienił imię chłopca na Horst, oferował mu swoje nazwisko i zapisał do jednej z najsurowszych szkół wojskowych w kraju. Horst był nieszczęśliwy. Inni chłopcy naśmiewali się z jego słabej niemczyzny. Drobny, łatwo dający się zahukać, niemal co sobota wracał do domu z podbitym okiem albo przeciętą wargą. Matka coraz bardziej się niepokoiła: Horst stał się cichy, zamknięty w sobie. Erich uważał, że to dobrze.

Ledwo jednak Horst skończył czternaście lat, jego życie się zmieniło. Podczas otwartych zawodów lekkoatletycznych wziął udział w biegu na tysiąc pięćset metrów boso, w szkolnych spodenkach. Dystans pokonał w niecałe pięć minut — zdumiewający wynik jak na chłopca, który nie trenował. Zawodom przyglądał się trener z krajowej federacji lekkoatletycznej. Zachęcił Horsta do treningów i przekonał szkołę, by stworzyła mu po temu warunki.

Horst ożył. Wyzwolony z nudy szkolnych zajęć z wychowania fizycznego, całymi popołudniami biegał po polach i górach. Nie lubił przebywać z kolegami, przepadał za samotnością. Wtedy był najszczęśliwszy. Szybko stał się jednym z najlepszych młodych biegaczy w kraju i chlubą swej szkoły. Wstąpił do Hitlerjugend. Chłopcy, którzy parę

lat temu się na nim wyżywali, teraz zaczęli szukać jego towarzystwa. W 1936 roku zaproszono go na igrzyska olimpijskie w Berlinie. Widział, jak Amerykanin Jesse Owens zdumiał świat, zdobywając cztery złote medale. Na przyjęciu dla członków Hitlerjugend spotkał Adolfa Hitlera, a nawet uścisnął mu dłoń. Był taki podniecony, że zadzwonił do domu, by opowiedzieć o tym matce. Erich szczyił się teraz pasierbem. Siedząc na trybunach, Horst marzył o 1944 roku, kiedy to będzie już na tyle dorosły i szybki, by wystąpić w barwach Niemiec.

Wszystko to zmieniła wojna.

Na początku 1939 roku wstąpił do Wehrmachtu. Jego sprawność fizyczna i natura wilka— samotnika zwróciły uwagę Fallschirmjäger, spadochroniarzy. Wysłano go do szkoły spadochroniarzy w Stendhalu i w pierwszym dniu wojny zeskokczył na teren Polski. Potem przyszła kolej na Francję, Kretę i Rosję. Pod koniec roku 1942 otrzymał krzyż rycerski.

Jego kariera spadochroniarska zakończyła się w Paryżu. Któregoś dnia, późnym wieczorem wstąpił do małego baru na koniak. Grupa oficerów SS zajęła salkę na tyłach i tam urządzili sobie własne przyjęcie. W połowie drinka Neumanna dobiegł stamtąd przeraźliwy krzyk. Francuz za barem znieruchomiał, zbyt przerażony, by sprawdzić, co się stało. Wyręczył go Neumann. Pchnął drzwi i zobaczył rozkrzyżowaną na stole młodziutką Francuzkę; jej ręce i nogi przytrzymywali esesmani. Jeden major ją gwałcił, a drugi bił pasem. Neumann wpadł do środka i z całej siły rąbnął majora w twarz. Ten głową uderzył o kant stołu i nie odzyskał już przytomności.

Pozostali esesmani wywlekli Neumanna w boczną uliczkę, straszliwie skatowali i zostawili, by tam skonał. Przez trzy miesiące leczył się w szpitalu. Rany głowy

okazały się tak poważne, że uznano go za niezdolnego do skakania. Ponieważ płynnie znał angielski, wyznaczono go do wywiadu. Całymi dniami tkwił w klaustrofobicznej chacie na północy Francji i słuchał komunikatów radiowych napływających z drugiej strony kanału. Koszmar.

I wtedy zjawił się człowiek z Abwehry, Kurt Vogel. Miał pobrużdżoną, znużoną twarz i w innych okolicznościach Neumann mógłby go wziąć za artystę albo intelektualistę. Vogel powiedział, że szuka wykwalifikowanych ludzi, gotowych udać się do Anglii i tam prowadzić działalność szpiegowską. Obiecał, że zapłaci dwa razy tyle, ile wynosił żołd Neumanna w Wehrmachcie. Neumanna nie interesowały pieniądze — nudził się tu jak mops. Od razu przyjął propozycję. Tej samej nocy opuścił Francję i razem z Voglem wrócił do Berlina.

Na tydzień przed wyjazdem do Anglii zabrano go do budynku na farmie w okręgu Dahlem, tuż pod Berlinem, na tygodniowe przygotowanie i intensywne szkolenie. Ranki spędzał w wysokiej stodole, gdzie Vogel przygotował platformę, z której Neumann skakał. Ze względów bezpieczeństwa nie mogło być mowy o prawdziwych skokach z samolotu. Udoskonalił się w strzelaniu z pistoletu, w czym od zawsze był świetny, i przeszedł kurs bezgłośnego zabijania. Popołudnia poświęcał na trening w terenie: gubienie ogona, postępowanie podczas spotkania, kody i obsługa radia. Czasem szkolenie prowadził sam Vogel, czasem sprowadzał asystenta, Wenera Ulbrichta. Neumann żartobliwie nazywał go Watsonem i Ulbricht przyjmował to przezwisko z niezwykłym u niego zadowoleniem. Późnym popołudniem, kiedy zimowe słońce znikало nad zaśnieżoną farmą, Neumannowi pozwalano na czterdziestopięciominutową przebieżkę. Przez pierwsze

trzy dni biegał sam, ale czwartego, gdy w głowie już mu kipiało od tajemnic Vogla, z pewnej odległości towarzyszył mu wóz terenowy.

Wieczory należały w pełni do Vogla. Po wspólnej kolacji w kuchni Vogel zabierał Neumanna do gabinetu i tu przy kominku urządzał mu wykład. Nigdy nie korzystał z notatek, gdyż — co Neumann szybko zauważył — posiadał pamięć doskonałą. Vogel powiedział mu o Seanie Doghertym i planowanym zrzucie, a potem o agentce, niejkiej Catherine Blake. I o amerykańskim oficerze nazwiskiem Peter Jordan.

Co wieczór Vogel powtarzał wcześniejsze lekcje, nim dorzucił kolejne szczegóły. Chociaż byli na wsi, zawsze ubierał się tak samo: w ciemny garnitur, białą koszulę i stonowany krawat. Mówił denerwującym szeleszczącym szeptem, a mimo to Neumann słuchał go jak zahipnotyzowany. Szóstego wieczoru, zadowolony z postępów podopiecznego, Vogel pozwolił sobie nawet na przelotny uśmiech, który szybko zasłonił ręką, zażenowany fatalnym stanem swego uzębienia.

Wejść do Hyde Parku od strony północnej, napominał go Vogel podczas ostatniego spotkania. Od Bayswater Road. Właśnie to robił teraz Neumann. Idź ścieżką w stronę zagajnika nad stawem. Obejdź go raz i upewnij się, że miejsce jest czyste. Podejdź do agentki za drugim razem. Niech ona zadecyduje, czy nawiązać kontakt. Będzie wiedziała, czy nic wam nie grozi. Jest świetna.

Na ścieżce pojawił się drobny jegomość. Był ubrany w wełniany płaszcz i kapelusz. Minał ją szybkim krokiem, nawet na nią nie spojrzawszy. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie straciła swojej siły przyciągania

mężczyzn.

Stała wśród drzew, czekając. Zasady spotkania były ściśle określone. Jeśli agent nie stawi się punktualnie, idź i wróć następnego dnia. Postanowiła odczekać jeszcze minutę i wracać.

Usłyszała kroki. Ten sam mężczyzna, który minął ją przed chwilą. Omal na nią nie wpadł w ciemności.

— Ojejku, rzeczywiście chyba się trochę zgubiłem — odezwał się z akcentem, którego nie potrafiła bliżej określić. — Czy mogłaby mi pani wskazać drogę do Park Lane?

Catherine przyjrzała mu się uważnie. Uśmiechał się serdecznie, spod randa błyskały modre oczy. Wskazała na zachód.

— Tam.

— Dziękuję. — Ruszył w swoją stronę, ale nagle się odwrócił. — „Kto wstąpi na górę Pana? Kto stanie w Jego świętym miejscu?”.

— „Człowiek rąk nieskalanych i czystego serca; który nie skłonił swej duszy ku marnościom i nie przysięgał fałszywie”^{*}.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Catherine Blake, niech mnie kule biją. Może byśmy poszli w jakieś ciepłe miejsce, gdzie można by porozmawiać?

Catherine sięgnęła do torebki i wyjęła swoją latareczkę.

— Masz taką? — spytała.

— Niestety nie.

— Głupi błąd. A taki głupi błąd może oboje nas kosztować życie.

^{*} Psalm 23, 3—4, wg Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).

Rozdział drugi

Londyn

Kiedy Harry Dalton pracował jeszcze w stołecznej policji, cieszył się opinią skrupulatnego, sprytnego i niestrudzonego detektywa, który uważa, że nie wolno lekceważyć żadnego, nawet najdrobniejszego śladu. Jego wielka chwila nadeszła w 1936 roku. Dwie dziewczynki zniknęły z placu zabaw w East Endzie i Harry'ego przydzielono do grupy oficerów badających sprawę. Po trzech bezsennych dniach i nocach poszukiwań Harry aresztował zboczeńca, niejakiego Spencera Thomasa. To Harry prowadził przesłuchanie. O świcie zaprowadził szukających do ustronnego zaułka w pobliżu ujścia Tamizy, gdzie, zgodnie z zeznaniami Thomasa, znajdowały się ciała maltretowanych dziewczynek. W ciągu następnych dni znalazł ciała prostytutki z Gravesend, kelnerki z Bristolu i gospodyni domowej z Sheffield. Spencera Thomasa zamknięto w więziennym szpitalu psychiatrycznym. Harry awansował na detektywa—inspektora.

Nic jednak w karierze zawodowej nie przygotowało go na tak frustrujące dni jak ten. Szukał niemieckiego agenta, ale nie dysponował najmniejszą wskazówką ani śladem. Jedyne, co mu pozostało, to dzwonić do małych posterunków policji w całym kraju i prosić o raporty o jakichś anomaliach, jakichkolwiek przestępstwach, które mogą towarzyszyć działalności szpiega. Nie mógł powiedzieć, że szuka agenta, bo złamałby reguły bezpieczeństwa. Błądził po omacku, a Harry Dalton nienawidził błądzić po omacku.

Rozmowa z policjantem z Evesham niczym się nie

różniła od innych tego rodzaju konwersacji.

— Że jak się pan nazywa?

— Harry Dalton.

— I skąd pan dzwoni?

— Z Ministerstwa Wojny w Londynie.

— Rozumiem. I czego pan chciałby się ode mnie dowiedzieć?

— Chciałbym się dowiedzieć, czy zgłoszono panu przestępstwa, które mógłby popełnić człowiek uciekający.

— Na przykład?

— Na przykład skradzione samochody, skradzione rowery, skradzione kartki, paliwo. Niech pan wysili wyobraźnię.

— Rozumiem.

— Więc?

— Rzeczywiście, zgłoszono kradzież roweru.

— Naprawdę? Kiedy?

— Dziś rano.

— To może być coś.

— Rowery stały się teraz towarem na wagę złota. Miałem w szopie przeżartego rdzą gruchota. Wziąłem go, odczyściłem i sprzedałem jankeskiemu kapralowi za dychę. Dychę! Dasz pan wiarę? A rzech nie był wart nawet dziesięć szylingów.

— To ciekawe. A wracając do skradzionego roweru?...

— Chwileczkę. Mówiłeś, że jak ci na imię?

— Harry.

— Harry, poczekaj chwilkę... George, czy słyszeliśmy coś więcej o tym skradzionym rowerze z Sheep Street? Tak, tym... Jak to znalazł? Gdzie, do cholery, się podziewał?... Na środku pastwiska? Jakim cudem tam wylądował?... Sam go tam zostawił? Chryste Panie! Harry, jesteś tam?

— Tak, jestem.

- Przykro mi, fałszywy alarm.
- Nic się nie stało. Dzięki, że sprawdziłeś.
- Nic takiego.
- Gdybyś usłyszał o czymś...
- Dowiesz się jako pierwszy, Harry.
- Cześć.

Późnym popołudniem odebrał dziesiątki telefonów od policjantów z prowincji, jeden dziwniejszy od drugiego. Policjant z Bridgewater zgłosił stłuczenie szyby.

- Wygląda na włamanie? — spytał Harry.
- Właściwie to nie.
- Dlaczego?
- Bo to był witraż w kościele.
- Dobrze. Miej oczy otwarte.

Policja w Skegness doniosła, że ktoś próbował po godzinach dostać się do pubu.

— Człowiek, którego szukam, może się nie orientować, że puby zamyka się o określonej porze — powiedział Harry.

- Zbadam sprawę dokładniej.
- Dobrze, bądź w kontakcie. Oddzwonił po dwudziestu minutach.
- To tylko tamtejsza mieszkanka, która szukała męża. Zdaje się, że straszny pijak.

— Cholera!

— Przykro mi, Harry, nie chciałem ci robić próżnych nadziei.

- Ale zrobiłeś. Cóż, dzięki za sprawdzenie.

Harry zerknął na zegarek: czwarta, w archiwum przedpołudniowa zmiana kończy pracę. Czyli Grace już powinna przyjść.

Może choć tyle uszczknę z tego dnia — pomyślał.

Zjechał windą na dół i rzeczywiście zastał tam Grace,

która pchała metalowy wózek wyładowany teczkami. Grace miała krótkie platynowoblond włosy, a tania wojenna, krwistoczerwona szminka nadawała jej wygląd prostytutki polującej na klienta. Ubrana była w szary chłopięcy sweter i czarną, nieco za kusą spódnicę. Grube pończochy nie zdołały ukryć zgrabnych, długich nóg.

Zauważyła Harry'ego i uśmiechnęła się ciepło. W środowisku archiwum stanowiła wyjątek. Vernon Kell, założyciel wydziału, uważał, że tylko arystokracji i krewnym pracowników MI— 5 można powierzyć tak delikatną dziedzinę. W rezultacie w archiwum zawsze kręciło się mnóstwo ślicznych panienek z dobrych domów, które właśnie miały wkroczyć w wielki świat. Tymczasem Grace wywodziła się z klasy średniej, była córką nauczyciela. Zauważyła Harry'ego i uśmiechnęła się ciepło. Potem szybkim spojrzeniem pięknych zielonych oczu powiedziała mu, żeby na nią poczekał w jednym z bocznych pokoi. Po chwili też się tam zjawiała, zamknęła drzwi i pocałowała go w policzek.

— Harry, kochany, witaj. Co u ciebie słychać?

— W porządku, Grace. Miło cię widzieć.

Ich romans zaczął się w 1940 roku podczas nocnego nalotu na Londyn. Razem schronili się w metrze, a rankiem, kiedy zabrzmiała syrena odwołująca alarm, Grace zaprosiła Harry'ego do siebie i do swego łóżka. Obdarzona oryginalną urodą okazała się namiętą, niepohamowaną kochanką — dla niego przyjemnym, wygodnym sposobem odreagowania napięć z pracy. Grace zaś widziała w Harrym kogoś dobrego i czulego, z kim dobrze zabijać czas do powrotu męża z wojny.

Mogliby ciągnąć tak ten związek do końca wojny. Ale trzy miesiące później Harry'ego nagle ogarnęło poczucie winy. „Ten biedak walczy o życie w Afryce Północnej,

podczas gdy ja siedzę w Londynie i uwodzę mu żonę". To nie dawało mu spokoju; jest młody, może powinien służyć w wojsku ryzykując życie, a nie oddawać się stosunkowo bezpiecznemu zajęciu, czyli uganianiu po kraju za szpiegami. Powtarzał sobie, że to, co robi w MI— 5 odgrywa ogromną, niezastąpioną rolę w walce o zwycięstwo, lecz raz zrodzone wątpliwości nie przestawały go nękać. Jak bym się zachował na polu walki? Czy schwyciłbym broń i walczył, czy też zaszył się w lisiej norze? Następnego wieczoru, kiedy zrywał z Grace, opowiedział jej o swoich uczuciach. Kochali się po raz ostatni, jej pocałunki były słone od łez. Cholerna wojna, powtarzała raz za razem. Zawszona, przeklęta, obrzydliwa wojna.

— Potrzebuję przysługi, Grace — rzekł teraz przyciszonym głosem.

— Ładnie to tak, Harry? Nie dzwonisz, nie piszesz, nie przynosisz mi kwiatów. Nagle zjawiasz się niespodzianie i oświadczasz, że potrzebujesz przysługi. — Uśmiechnęła się i znowu go pocałowała. — Dobra, czego chcesz?

— Muszę zobaczyć listę osób, które brały pewną teczkę. Twarz jej pociemniała.

— Daj spokój, Harry, wiesz, że nie mogę.

— Człowieka z Abwehry, Vogla, Kurta Vogla.

Błysk przypomnienia przemknął po jej twarzy, potem zgasł.

— Grace, nie muszę ci mówić, że pracujemy nad strasznie ważną sprawą.

— Wiem, że pracujecie nad strasznie ważną sprawą. W całym wydziale tylko o tym się mówi.

— Kiedy Vicary chciał przejrzeć teczkę Vogla, okazało się, że zniknęła. Przyszedł do Jago, a ten w dwie minuty później przyniósł mu to cholerstwo. I próbował wmówić

Vicary'emu, że po prostu ktoś nie odłożył akt na swoje miejsce.

Ze złością grzebała w dokumentach na wózku. Złapała garść i zaczęła je odkładać na miejsce.

— Dobrze o tym wiem, Harry.

— A skąd miałybyś wiedzieć?

— Bo zwałił winę na mnie. Napisał naganę i dołączył ją do moich akt, lajdak.

— Kto zwałił na ciebie winę?

— Jago! — syknęła.

— Dlaczego?

— Żeby ochronić własny tyłek. Dlatego.

Znowu pochłonęło ją grzebanie w teczkach. Harry schwycił ją za rękę, zmuszając do przerwania pracy.

— Grace, muszę zobaczyć tę listę.

— To ci nic nie da. Ten, kto wziął teczkę przed Vicarym, nie zostawia po sobie śladów.

— Grace, proszę. Błagam.

— Lubię, kiedy błagasz, Harry.

— Taa, pamiętam.

— A może byś wpadł któregoś wieczoru na kolację? — Przeciągnęła palcem po grzbiecie jego dłoni. Opuszkę miała przyczernioną od sortowania papierzyk. — Brak mi twojego towarzystwa. Pogadamy, pośmiejemy się, nic więcej.

— Z przyjemnością, Grace. — Nie kłamał; bardzo za nią tęsknił.

— Jeśli komukolwiek powiesz, skąd to dostałeś, Harry, klnę się na Boga...

— To zostanie między tobą a mną.

— Nawet Vicary'emu — nalegała. Harry położył rękę na sercu.

— Nawet Vicary'emu.

Grace wzięła kolejną stertę dokumentów, potem spojrzała na Harry'ego. Krwistoczerwone usta ułożyły się w inicjał: B.B.

— Jak to możliwe, że nie ma pan ani jednego śladu? — spytał Basil Boothby, kiedy Vicary zapadł w głęboką, miękką kanapę.

Sir Basil co wieczór żądał relacji z postępów w śledztwie. Znając namiętność zwierzchnika do podkładek na piśmie, Vicary zaproponował, że będzie przysyłał krótkie notki, ale sir Basil chciał być informowany osobiście.

Dziś Boothby z kimś się spotykał. Kiedy Vicary'ego wpuszczono do gabinetu, wymamrotał coś o Amerykanach, by usprawiedliwić strój wieczorowy. W trakcie rozmowy wielką łapą próbował precyzyjnie przesuwać złotą spinkę przez rozcięcie wykrochmalonego mankietu. W domu w tego rodzaju niewdzięcznych zadaniach wyręczał go pokojowiec. Sir Basil na chwilę przerwał sprawozdanie Vicary'ego i wezwał na pomoc swoją śliczną sekretarkę.

Dzięki temu Vicary mógł przez moment przetrwać wiadomość uzyskaną od Harry'ego: to właśnie sir Basil wyciągnął teczkę

Vogla. Profesor odtwarzał w pamięci ich pierwszą rozmowę. Jak to Boothby ujął? „Przypuszczam, że w archiwum coś o nim mają”. Sekretarka bezszelestnie zniknęła. Vicary podjął relację. Ich ludzie pilnowali wszystkich stacji kolejowych w Londynie. Ręce mieli związane, gdyż nie dysponowali rysopisem żadnego z agentów, których kazano im szukać. Harry Dalton opracował listę wszystkich dotychczasowych punktów spotkań niemieckich szpiegów. Vicary tam również postawił swoich

ludzi.

— Chętnie przydzielilibym panu jeszcze kogoś, ale nie mamy ludzi — powiedział Boothby. — Obserwatorzy i tak harują po dwie, trzy zmiany. Ich szef narzeka, że wpędza ich pan do grobu. Marzną na kość. Połowa padła na gripę.

— Rozumiem ich skargi, sir Basilu. Staram się ich wykorzystywać tylko wtedy, gdy to niezbędne.

Boothby zapalił papierosa i chodził po pokoju, popijając gin.

— Gdzieś w kraju, zupełnie poza naszą kontrolą krąży trzech niemieckich szpiegów. Nie musi mi pan udowadniać, w jak poważnej znaleźliśmy się sytuacji. Jeśli któryś z nich będzie się próbował skontaktować z jednym z naszych podwójnych agentów, znajdziemy się w prawdziwych tarapatach. Cała stworzona przez nas siatka będzie wystawiona na niebezpieczeństwo.

— Sądzę, że nie będą próbowali się skontaktować z innymi agentami.

— Dlaczego?

— Dlatego że, moim zdaniem, Vogel prowadzi swoją własną grę. Przypuszczam, że mamy tu do czynienia z odrębną siatką agentów, której istnienia nawet się nie domyślaliśmy.

— To tylko przypuszczenia, Alfredzie. Musimy zajmować się faktami.

— A czytał pan w ogóle teczkę Vogla? — spytał Vicary, starając się nadać tonowi swobodne brzmienie.

— Nie.

Do tego kłamiesz — dodał w duchu Vicary.

— Sądząc po tym, jak sprawa się układa, twierdziłbym, że Vogel trzymał w Anglii sieć nie uaktywnionych szpiegów, których wprowadził jeszcze przed wojną. Założyłbym się, że agent działa w Londynie, a drugorzędny gdzieś na

provincji, gdzie może w każdej chwili przyjąć szpiega. Ten, który przyleciał ubiegłej nocy, prawie na pewno otrzymał zadanie wprowadzenia głównego agenta w tajniki sprawy. I równie dobrze właśnie w tej chwili mogą mieć spotkanie. My zaś coraz bardziej przegrywamy i zostajemy w tyle.

— Ciekawe, Alfredzie, ale to wszystko domysły.

— Bardzo prawdopodobne domysły, sir Basilu. W braku solidnych, niepodważalnych faktów, to, obawiam się, jedyny mój punkt zaczepienia. — Vicary zawahał się, wiedząc, jaka zapewne będzie reakcja na sugestię, która zaraz padnie: — Na razie zaś sądzę, że powinniśmy ustalić termin spotkania z generałem Bettsem i poinformować go o rozwoju wypadków.

Na twarzy Boothby'ego pojawiła się gniewna zmarszczka. Generał brygady Thomas Betts pełnił rolę zastępcy szefa wywiadu w SHAEF. Wysoki, niedźwiedziowaty Betts miał jedną z najbardziej niewdzięcznych funkcji w Londynie: pilnował, by żaden z setek amerykańskich i brytyjskich oficerów, którzy znali tajemnicę operacji Overlord, nie zdradził jej — ani nieumyślnie, ani umyślnie — wrogowi.

— To przedwczesne, Alfredzie.

— Przedwczesne? Sam pan przed chwilą powiedział, sir Basilu, że mamy na wolności trzech niemieckich szpiegów.

— Zaraz idę do dyrektora generalnego zdać mu sprawozdanie. Jeśli choć słowem pisnę, że mamy się pochwalić naszymi kłeskami Amerykanom, wyskoczy na mnie z bardzo wielką paszczą.

— Jestem przekonany, że generał nie potraktowałby pana zbyt surowo, sir Basilu. — Vicary wiedział, że Boothby przekonał zwierzchnika, jakoby był niezastąpiony. — Zresztą, trudno to nazwać klęską.

Boothby zatrzymał się w pół kroku.

— A jak by pan to nazwał?

— Przejściowymi trudnościami. Boothby prychnął i zgniótł papierosa.

— Nie dopuszczę, żeby pan niszczył opinię wydziału, Alfredzie. Nie pozwolę panu na to.

— A może powinien pan wziąć po uwagę coś ważniejszego od opinii wydziału, sir Basilu?

— Mianowicie?

Vicary z trudem wy dźwignął się z przepastnej kanapy.

— Jeśli szpiegom uda się akcja, możemy przegrać wojnę.

— Cóż, w takim razie niech pan coś zrobi, Alfredzie.

— Dziękuję, sir Basilu. To niewątpliwie bardzo roztropna rada.

Rozdział trzeci

Londyn

Z Hyde Parku wzięli taksówkę do Earl's Court. Zapłacili kierowcy o pięćset metrów od mieszkania Catherine. W czasie krótkiego spaceru dwukrotnie znikali w bramach, a Catherine udawała, że dzwoni z budki. Nikt ich nie śledził. Kiedy się zjawili, właścicielka mieszkania, pani Hodges, stała w holu. Catherine wsunęła Neumannowi rękę pod ramię. Pani Hodges odprowadziła ich pełnym dezaprobaty wzrokiem, gdy szli na górę.

Catherine nie miała ochoty zabierać Neumanna do siebie. Zazdrośnie strzegła swego lokum i nie podała Berlinowi adresu w Londynie. Nie życzyła sobie, żeby w środku nocy w jej drzwi łomotał jakiś agent, uciekający przed MI— 5. Ale miejsce publiczne nie wchodziło w rachubę: zbyt wiele musieli omówić, a rozmowa w kawiarni czy na stacji kolejowej była zbyt niebezpieczna.

Obserwowała Neumanna, który obszedł jej mieszkanie. Równy krok i skąpe gesty kazały się w nim domyślać wojskowego. Jego angielski był bez zarzutu. Najwyraźniej Vogel starannie go wybrał. No, przynajmniej nie przysłał jakiegoś amatorzyny. Neumann podszedł do okna w salonie, rozchylił zasłony i wyjrzał na ulicę.

— Nawet jeśli tam są, i tak ich nie zauważysz — ostudziła go Catherine, siadając.

— Wiem, ale człowiek lepiej się czuje, jeśli sprawdzi. — Odsunął się od okna. — Mam za sobą długi dzień. Filiżanka herbaty dobrze by mi zrobiła.

— Wszystko jest w kuchni. Możesz się obsłużyć. Neumann wstawił wodę na kuchenkę i wrócił do pokoju.

— Jak się nazywasz? — spytała Catherine. — Ale

naprawdę.

— Horst Neumann.

— Jesteś żołnierzem. A przynajmniej byłeś. W jakim stopniu?

— Porucznika. Uśmiechnęła się.

— A przy okazji, jestem od ciebie starsza rangą.

— Tak, wiem... majorze.

— Pod jakim nazwiskiem tu występujesz?

— James Porter.

— Pokaż swoje dokumenty.

Podał jej. Obejrzała je uważnie. Doskonale podrobione.

— Są dobre — oświadczyła. — Ale pokazuj je tylko, kiedy to absolutnie konieczne. Za kogo się podajesz?

— Byłem ranny w Dunkierce i zwolniono mnie z wojska. Teraz jestem akwizytorem.

— Gdzie mieszkasz?

— Na wybrzeżu Norfolk, w wiosce Hampton Sands. Vogel ma tam wtyczkę, niejakiego Seana Dogherty'ego. To sympatyk IRA, prowadzi małe gospodarstwo.

— Jak się dostałeś do Anglii?

— Spadochron.

— Imponujące — powiedziała bez kpiny. — A Dogherty wziął cię do siebie? Czekał na ciebie?

— Tak.

— Vogel skontaktował się z nim przez radio?

— Sądzę że tak.

— To znaczy, że MI— 5 cię szuka.

— Zdaje mi się, że wypatrzyłem paru jej ludzi na Liverpool Street.

— To się trzyma kupy. Z całą pewnością obserwowaliby stacje. — Zapaliła papierosa. — Twój angielski jest doskonały. Gdzie się go nauczyłeś?

Podczas gdy on opowiadał swoje dzieje, Catherine

bacznie mu się przyjrzała. Był drobny, ale dobrze zbudowany: kiedyś może nawet uprawiał sport, grał w piłkę nożną albo biegał na długie dystanse. Ciemne włosy, intensywnie niebieskie oczy. Niewątpliwie inteligentny — w przeciwieństwie do niektórych kretynów ze szkoły szpiegowskiej w Berlinie. Przypuszczała, że to jego pierwsza akcja na terenie wroga, a mimo to nie okazywał cienia zdenerwowania. Zada mu jeszcze kilka pytań, zanim wysłucha, co ma jej do powiedzenia.

— Jak zostałeś szpiegiem?

Neumann zrelacjonował przebieg swej kariery wojskowej: jak był spadochroniarzem, jak uczestniczył w niezliczonych akcjach w najróżniejszych miejscach. Opowiedział o Paryżu. O przeniesieniu do jednostek radiowych w północnej Francji. I o tym, jak Kurt Vogel go wciągnął.

— Nasz Kurt potrafi znaleźć robotę dla niespokojnych duchów — stwierdziła Catherine, gdy skończył. — Cóż więc takiego Vogel przygotował dla mnie?

— Jedno zadanie, a potem ucieczka. Z powrotem do Niemiec. Czajnik zagwizdał. Neumann poszedł do kuchni i zajął się parzeniem herbaty. „Jedno zadanie, a potem ucieczka. Z powrotem do Niemiec”. A ma jej w tym pomóc doskonale wyszkolony były spadochroniarz. Była pod wrażeniem. Zawsze zakładała najgorszy scenariusz: że po zakończeniu wojny zostanie zdana na własne siły w Londynie i utknie w Anglii. Gdy nadejdzie nieuniknione zwycięstwo, Brytyjczycy i Amerykanie dokładnie przestudiują zdobyte akta Abwehry. Znajdą jej nazwisko, zobaczą, że nie została aresztowana, i dopadną ją. Między innymi dlatego tak wiele informacji ukryła przed Voglem; nie chciała zostawić w Berlinie śladów, po których trafiliby na nią jej wrogowie. Lecz Vogel najwyraźniej chciał, by

wróciła do Niemiec, i podjął kroki, które miały do tego doprowadzić.

Neumann wszedł do pokoju z imbrykiem i dwoma kubkami. Postawił je na stole i znowu usiadł.

— Jakie masz rozkazy? Poza wprowadzeniem mnie w sprawę?

— Ogólnie we wszystkim ci pomagać. Jestem twoim kurierem, twoim wsparciem, twoim radiotelegrafistą. Vogel kazał ci dalej trzymać się z dala od fal radiowych. Uważa, że to niebezpieczne. Z radia masz korzystać tylko wtedy, gdy będziesz potrzebować mnie. Wtedy skontaktujesz się z Voglem w ustalony wcześniej sposób, a on przekaże mi wiadomość.

Skinęła głową.

— A gdy już będzie po wszystkim? — spytała. — Jak mamy się wydostać z Anglii? I proszę, nie wyskakuj z niczym bohaterskim, jak zdobywanie łodzi i popłynięcie do Francji, bo to wykluczone.

— Oczywiście. Vogel załatwił dla ciebie luksusową podróż do kraju na pokładzie U— boota.

— Jakiego?

— U— 509.

— Gdzie?

— Z Morza Północnego.

— Morze Północne jest dość duże.

— Ze Spurn Head, na północy hrabstwa Lincoln.

— Mieszkam tu od pięciu lat, poruczniku Neumann. Wiem, gdzie jest Spurn Head. A jak się mamy dostać na U— boota?

— Vogel ma łódź i skippera, który czeka w porcie przy ujściu rzeki Humber. Kiedy przyjdzie opuścić Anglię, mam się z nim skontaktować, a on nas odstawi na łódź podwodną.

Więc Vogel opracował trasę ucieczki, o której nawet słowem mi nie wspomniał — pomyślała.

Popijała herbatę, obserwując znad kubka Neumanna. Istniało nikłe prawdopodobieństwo, że to człowiek MI— 5 podszywający się pod niemieckiego agenta. Mogłaby się bawić w głupie sztuczki: sprawdzić jego niemiecki albo spytać o jakieś mało znane berlińskie kafejki, ale jeśli naprawdę jest agentem MI— 5, miałby dość rozumu, by unikać oczywistych pułapek. Znał schemat, dużo wiedział o Voglu, a jego historia brzmiała dość prawdopodobnie. Dlatego postanowiła iść dalej. W chwili gdy Neumann chciał podjąć rozmowę, zawył sygnał alarmu przeciwlotniczego.

— Czy musimy potraktować to poważnie? — spytał Neumann. — Widziałeś budynek za tą kamienicą?

Owszem, Neumann go widział: gruzowisko pokruszonych cegieł i zawałonych stropów.

— Gdzie jest najbliższy schron?

— Tuż za rogiem. — Uśmiechnęła się. — Witamy z powrotem w Londynie, poruczniku Neumann.

Wczesnym wieczorem następnego dnia Neumann wysiadł z pociągu na stacji Hunstanton. Na peronie czekał na niego Dogherty niespokojnie palący papierosa.

— Jak poszło? — spytał go w drodze do furgonetki. — Bez najmniejszych problemów.

Dogherty jechał z nadmierną szybkością po krętej, wyboistej, jednopasmowej drodze. Sądząc po odgłosach, samochodowi przydałby się gruntowny remont. Smuga bladego światła na próżno usiłowała rozjaśnić ciemności. Neumann czuł się, jakby tylko z jedną zapaloną zapalką krążył po obcym, pograżonym w mroku domu. Mijali

ciemne wioski — Holme, Thoerham, Titchwell — w których okna sklepów i domów tak szczelnie zasłonięte, że nie sposób było dostrzec śladów ludzkiej obecności. Dogherty opowiadał Neumannowi, jak mu upłynął dzień, ale on nie podjął rozmowy. Wspominał ubiegłą noc.

Razem z innymi pobiegli na stację metra i przez trzy godziny czekali na peronie na sygnał odwołania alarmu. Catherine przysnęła, oparłszy mu głowę na ramieniu. Zastanawiał się, czy dziś po raz pierwszy od sześciu lat poczuła się bezpieczna. Zdumiewająco piękna kobieta, ale krył się w niej jakiś smutek, może rana z dzieciństwa, zadana przez nieuważnego dorosłego. Drgnęła przez sen, musiało jej się przyśnić coś złego. Musnął gęste loki rozsypane na jego ramieniu. Na dźwięk syreny ocknęła się niczym żołnierz na wrogim terytorium: szybko, szeroko otwierając oczy, ręką szukając jakiejś broni. W tym wypadku okazała się nią torebka, gdzie musiała pewnie trzymać pistolet albo nóż.

Rozmawiali do świtu. A właściwie to on mówił, ona słuchała. Odzywała się tylko, by go poprawić, jeśli się pomylił, albo sprostować jakąś nieścisłość w jego opowiadaniu. Nie ulegało wątpliwości, że to kobieta obdarzona wybitnym umysłem, zdolnym przechowywać całe pokłady informacji. Nic dziwnego, że Vogel z takim szacunkiem się wyrażał o jej zdolnościach.

Nad Londynem wstawał szary świt, kiedy Neumann wyślizgnął się z jej mieszkania. Zachowywał się jak kochanek, opuszczający lubą: oglądał się przez ramię, w twarzach przechodniów szukał śladów podejrzliwości. Przez trzy godziny błąkał się po Londynie w zimnej mżawce, raz za razem nagle skręcając, zmieniając autobusy, obserwując odbicia w szybach. Uznał, że nikt go nie śledzi i ruszył z powrotem na Liverpool Street.

W pociągu ułożył głowę na rękach i próbował zasnąć. Nie daj się jej oczarować, żartobliwie ostrzegał Vogel ostatniego dnia na farmie pod Berlinem. Trzymaj się od niej w bezpiecznej odległości. Są w niej mroczne miejsca, w których wolałbyś się nie znaleźć. Neumann przywołał przed oczy jej obraz: jak w słabym świetle słucha relacji o Peterze Jordanie i o tym, czego się od niej oczekuje. Właśnie ten denerwujący bezruch najbardziej go uderzył; jej dłonie spoczywały na kolanach, a głowa i ramiona nawet nie drgnęły. Tylko oczy błędziły po pokoju, zahaczając o jego twarz, prześlizgując się po jego ciele. Niczym szperacze. Przez moment nawet dopuścił do siebie myśl, że Catherine go pragnie. Jednak teraz, kiedy Hampton Sands zniknęła w mroku za samochodem, a przed nimi wyrósł dom Dogherty'ego, Neumann doszedł do bardzo niepokojącego wniosku. Catherine tak bacznie mu się przyglądała nie dlatego, że jej wpadł w oko, ale dlatego, że zastanawiała się, jak najlepiej go zabić, gdyby pojawiła się taka konieczność.

Wychodząc rankiem, Neumann wręczył jej list. Odłożyła go na bok, zbyt przerażona, by czytać. Teraz, leżąc w łóżku, otworzyła kopertę drżącymi dłońmi i przeczytała:

*Moja najdroższa Anno,
cieszę się, że jesteś zdrowa i bezpieczna. Od kiedy odeszłaś,
wszelkie światło zniknęło z mego życia. Modłę się, żeby ta
wojna jak najrychlej się skończyła i żebyśmy znowu mogli
być razem. Dobranoc, słodkich snów, maleńka.
Twój uwielbiający cię ojciec*

Przeczytawszy list, wyszła do kuchni i przyłożyła go do

płomienia kuchenki gazowej, a potem wrzuciła do zlewu. Zapłonął na chwilę i szybko zgasł. Odkręciła kran i spłukała czarny popiół. Podejrzewała, że list został podrobiony — Vogel sprokurował go, żeby utrzymać ją na smyczy. Obawiała się, że ojciec już nie żyje. Wróciła do łóżka i leżała bezsennie w delikatnym świetle poranka, wsłuchana w bębnienie deszczu o szybę. Myślała o ojcu, myślała o Voglu.

Rozdział czwarty

Hrabstwo Gloucester, Anglia

— Gratulacje, Alfredzie. Wejdz do środka. Przykro mi, że to się stało właśnie w ten sposób, ale od tej pory jesteś wcale bogatym człowiekiem.

Martin Kenton z impetem wyciągnął rękę, jakby oczekiwał, że Vicary się na nią entuzjastycznie rzuci. Tymczasem profesor tylko lekko ją uścisnął i minął Kentona, kierując się prosto do salonu ciotki.

— Co za cholerny mróz — narzekał Kenton, gdy Vicary oglądał pokój. Nie widział go od początku wojny, ale nic się tu nie zmieniło. — Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale pozwoliłem sobie rozpaść ogień. Zimno było jak w psiarni. Przygotowałem też herbatę. Z prawdziwym mlekiem. Wątpię, czy je ostatnio w Londynie często pijacie.

Vicary zdjął płaszcz, a prawnik przeszedł do kuchni. Domeczek — bo tak Matylda uparcie go nazywała — tak naprawdę był sporą budowlą z wapienia z Cotswolds, otoczoną cudownym ogrodem i wysokim murem. Tej nocy, kiedy Boothby przekazywał Vicary'emu najnowszą sprawę, ciotka umarła na zawał serca. Vicary wybierał się na pogrzeb, ale właśnie tego ranka wezwał go Churchill, bo ludzie z Bletchley Park rozszyfrowali nadane przez Niemców wiadomości. Matylda właściwie wychowała Vicary'ego, zaopiekowała się nim po śmierci matki, gdy miał dwanaście lat. Pozostali najlepszymi przyjaciółmi. Tylko jej się przyznał do pracy w MI— 5. „Co właściwie robisz, Alfredzie? Łapię niemieckich szpiegów, ciociu. Och, to wspaniale, Alfredzie!”.

Z oszklonych drzwi na taras rozciągał się widok na

martwy, zimowy ogród.

Czasem łapię szpiegów, ciociu — pomyślał Vicary. — Czasem oni mają nade mną przewagę.

Tego ranka z Bletchley Park dotarła kolejna rozszyfrowana wiadomość. Szpieg donosił z Wielkiej Brytanii, że doszło do spotkania i agent przyjął zadanie. Vicary z coraz większym sceptycyzmem myślał o szansach dopadnięcia tych ludzi. Dzisiejszego ranka sytuacja jeszcze się pogorszyła. Zatrzymano i sprowadzono na przesłuchanie dwóch mężczyzn, którzy spotkali się na Leicester Square. Starszy okazał się wyższym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, młodszy był jego kochankiem. Boothby'ego omal szlag nie trafił.

— Jak minęła podróż? — zawołał Kenton z kuchni, przekrzykując brzęk porcelany i szum wody.

— Dobrze — odparł Vicary.

Boothby łaskawie pozwolił mu pożyczyć rovera z wydziału transportu.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wybrałem się na miłą przejażdżkę samochodową poza miasto — powiedział Kenton, wchodząc do pokoju z tacą. — Ale przypuszczam, że dostęp do paliwa i wozów stanowi jedną z ubocznych korzyści twojej nowej pracy.

Kenton był wysoki — tak samo wysoki jak Boothby — ale figurą ani sprawnością fizyczną się do niego nie umywał. Nosił okrągłe okulary, które ginęły na jego pulchnej twarzy, i cienki wąsik, który wyglądał, jakby go narysowano kredką do oczu. Postawił tacę na stoliku przy kanapie z pietyzmem, jakby to było płynne złoto, nalał do filiżanek mleka, po czym dodał herbaty.

— Wielkie nieba, Alfredzie, ileż to już lat? Dwadzieścia pięć — odpowiedział w duchu Vicary. Martin

Kenton przyjaźnił się z Helen. Parę razy się nawet

spotkali po tym, jak Helen zerwała z Alfredem. Za sprawą czystego przypadku dziesięć lat temu został prawnikiem Matyldy. Przez ostatnie kilka lat, kiedy Matylda się zestarzała i sama nie mogła prowadzić swoich spraw, często rozmawiali przez telefon, lecz dopiero dziś spotkali się twarzą w twarz. Vicary wolałby załatwić sprawy ciotki bez cienia Helen wiszącego w powietrzu.

— Podobno skierowano cię do Ministerstwa Wojny.

— Zgadza się — przytaknął Vicary i wychylił pół filiżanki herbaty. Była pyszna, o niebo lepsza niż lura, którą podawali w kantynie.

— A czym dokładnie się zajmujesz?

— Och, pracuję w bardzo nudnym wydziale, robię to to, to owo. — Vicary usiadł. — Przepraszam, Martin. Głupio mi, że cię poganiam, ale naprawdę muszę lecieć z powrotem do Londynu.

Kenton zajął miejsce naprzeciwko Vicary'ego i z czarnej skórzanej walizeczki wyciągnął plik dokumentów. Liżąc czubek palca, starannie odszukał właściwą stronę.

— A, tutaj jest. Sam spisywałem ten testament pięć lat temu — stwierdził. — Część pieniędzy i majątku rozdysponowała między twoich krewnych, ale gros przekazała tobie.

— Nie miałem pojęcia.

— Zostawiła ci dom i znaczną sumkę pieniędzy. Była gospodarna. Ostrożnie wydawała, roztropnie inwestowała. — Kenton podsunął kartki Vicary'emu, by sam mógł je przeczytać. — Oto, co na ciebie przechodzi.

Vicary był oszłomiony. Nawet mu się nie śniło... Teraz opuszczenie jej pogrzebu dla pary niemieckich szpiegów wydało mu się jeszcze bardziej obrzydliwym postępkiem. Część tych uczuć musiała się odmalować na jego twarzy, bo Kenton powiedział:

— Szkoda, że nie udało ci się przyjechać na pogrzeb, Alfredzie. To była" naprawdę cudowna uroczystość. Zebrała się połowa okolicy.

— Chciałem, ale coś mi wyskoczyło.

— Przygotowałem papiery, które musisz podpisać, żeby objąć w posiadanie dom i pieniądze. Jeśli dasz mi swój numer konta w Londynie, będę mógł przelać pieniądze i zamknąć jej rachunki.

Przez następne parę minut Vicary w milczeniu podpisywał się na różnych prawniczych dokumentach. W końcu Kenton podniósł wzrok i oznajmił:

— Załatwione.

— Czy telefon jeszcze działa?

— Tak, korzystałem z niego przed twoim przyjazdem. Aparat stał na biurczku Matyldy w salonie. Vicary podniósł słuchawkę i popatrzył na Kentona.

— Martin, daruj, ale to rozmowa służbowa. Kenton zmusił się do uśmiechu.

— Nie musisz już nic dodawać, Alfredzie. Pójdę sprzątnąć naczynia.

Coś w tej wymianie zdań ogrzało żadne zemsty kąciki serca Vicary'ego. Zgłosiła się telefonistka, podał jej numer centrali MI— 5 w Londynie. Po dłuższej chwili otrzymał połączenie. Telefonistka z wydziału przełączyła Vicary'ego do Harry'ego Daltona.

Harry odebrał telefon, przelżykając jedzenie.

— Cóż to dzisiaj dają? — spytał Vicary.

— Twierdzą, jakoby gulasz jarzynowy.

— Jakież wiadomości?

— Chyba tak.

Vicary'emu mocniej zabiło serce.

— Jeszcze raz przeglądałem ewidencję osób, które przekroczyły granicę, żeby się upewnić, czy na pewno

niczego nie przeoczyliśmy.

Listy te w największym stopniu przyczyniły się do sukcesu MI— 5 w wyłapywaniu niemieckich szpiegów. We wrześniu 1939 roku, kiedy Vicary jeszcze pracował na uniwersytecie, MI— 5 skorzystała z ewidencji ludności wjeżdżającej na teren Wielkiej Brytanii, żeby urządzić potężną łapankę szpiegów i sympatyków nazistów. Obcokrajowców podzielono na trzy grupy. Przedstawicielom pierwszej, kategorii C, dano całkowitą wolność. Przedstawicielom drugiej, kategorii B, narzucono pewne ograniczenia: niektórym nie wolno było posiadać samochodów ani łodzi, nie wolno im też się było poruszać po pewnych regionach kraju. Obcokrajowców z kategorii A, którzy stanowili zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju, internowano. Każdego, kto znalazł się przed wojną w Anglii, a nie mógł dostarczyć przekonujących powodów, uznawano za szpiega i ścigano. I tak, właściwie z dnia na dzień, przechwycono i zniszczono niemiecką siatkę wywiadowczą.

— W listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Dover przekroczyła granicę Holenderka, niejaka Christa Kunst — ciągnął Harry. — Rok później jej ciało znaleziono w płytkim grobie w pobliżu wioski Whitchurch.

— I co w tym niezwykłego, Harry?

— Coś mi tutaj po prostu śmierdzi. Kiedy natrafiono na ciało, było już w stanie głębokiego rozkładu. Twarz i czaszka zmiażdżone. Brakowało wszystkich zębów. Identyfikacji dokonano na podstawie paszportu. Tak się ładnie złożyło, że pochowano go wraz z ciałem. Jak dla mnie, wygląda to aż nadto poręcznie.

— Gdzie teraz jest paszport?

— W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Posłałem

po niego kuriera. Zachowała się fotografia. Powiadają, że nieco podniszczona od leżenia w ziemi, ale chyba i tak warto na nią zerknąć.

— Dobrze, Harry. Nie jestem pewny, czy śmierć tej kobiety ma jakikolwiek związek ze sprawą, ale zawsze to jakiś ślad.

— Zgadza się, Alfredzie. A przy okazji, jak poszło spotkanie z prawnikiem?

— Och, musiałem podpisać parę papierów — skłamał Vicary.

Nagle zrobiło mu się niezręcznie na myśl o świeżo zdobytej niezależności finansowej. — Zaraz wyjeżdżam. Powinienem wrócić późnym popołudniem.

Odkładał słuchawkę, kiedy w pokoju zjawił się Kenton.

— Cóż, sądzę, że to załatwia sprawę. — Podał Vicary'emu dużą brązową kopertę. — Są tu wszystkie papiery i klucze. Dołączyłem nazwisko ogrodnika i jego adres. Z przyjemnością zajmie się domem pod twoją nieobecność.

Włożyli płaszcze, zamknęli dom i wyszli na dwór. Samochód Vicary'ego czekał na podjeździe.

— Podrzucić cię gdzieś, Martin?

Vicary był zadowolony, kiedy prawnik odmówił.

— Rozmawiałem parę dni temu z Helen — odezwał się nagle Kenton.

O Boże.

— Mówiła, że od czasu do czasu widuje cię w Chelsea.

Vicary zastanawiał się, czy mu opowiedziała o tamtym popołudniu, kiedy on jak głupi szczeniak zaglądał do przejeżdżającego wozu. Upokorzony otworzył drzwiczki, automatycznie szukając po kieszeniach okularów.

— Prosiła, żeby cię pozdrowić, więc to niniejszym czynię. Pozdrowienia.

— Dziękuję. — Vicary wsiadł do samochodu.

— Wspomniała też, że chętnie by się kiedyś z tobą spotkała. Poplotkowała o dawnych czasach.

— Doskonały pomysł — skłamał Vicary.

— Cóż, to wspaniale. W przyszłym tygodniu przyjeżdża do Londynu. Z przyjemnością zjadłaby z tobą lunch.

Vicary poczuł, że żołądek mu się ściska.

— O pierwszej w Connaught, od jutra za tydzień — zakończył Kenton. — Dziś wieczorem pewnie będę z nią rozmawiać. Powiedzieć, że przyjdiesz?

Tył rovera był wychłodzony niczym lodówka. Vicary rozsiadł się na wielkim skórzanym siedzeniu, nogi przykrył kocem i oglądał widoki przez okno. Rudy lis przemknął przed drogę i schował się pod żywopłotem. Senny opasły bażant grzebał w zamrożonym rżysku kukurydzy, strosząc pióra, żeby ochronić się przed zimnem. Nagie gałęzie drzew rysowały się ostro na błękitnie nieba. Wjechali w niewielką dolinkę. Wokół, niczym pomięty patchwork, rozciągały się pola. Słońce znikło za horyzontem pomalowanym na pastelowe odcienie fioletu i pomarańczy.

Vicary był zły na Helen. Jego podejrzliwa połowa wniosowała, że to praca w brytyjskim kontrwywiadzie uczyniła go bardziej interesującym znajomym. Rozsądna połowa zaś argumentowała, że wszak rozstali się z Helen w przyjaźni i miły, spokojny lunch może się okazać bardzo przyjemny. A on w każdym razie przynajmniej na jakiś czas odpręży się i zapomni o pracy.

Czego tak się boisz? — pomyślał. Że mógłbyś sobie przypomnieć te dwa lata, kiedy to stanowiła część twego życia i byłeś zwyczajnie szczęśliwy?

Otrząsnął się z myśli o Helen. Intrygowało go odkrycie Harry'ego. Instynktownie popatrzył na ten problem, jakby rozważał jakąś zagadkę historyczną. Specjalizował się w historii dziewiętnastowiecznej Europy — krytycy ogromnie chwalili jego książkę o załamaniu równowagi władzy po Kongresie Wiedeńskim — lecz w głębi ducha pasjonowały go dzieje oraz mity starożytnej Grecji. Pociągało go to, że tyle prac na temat tej epoki opierało się na domysłach i przypuszczeniach. Na przykład dlaczego Perykles wdał się ze Spartą w wojnę peloponeską, która w końcu doprowadziła do upadku Aten? Czemu nie przystał na żądania potężniejszego przeciwnika i nie wycofał się z dekretu Megary? Czy lękał się lepszej armii spartańskiej? Czy uważał wojnę za nieuniknioną? Czy rozpoczął tę katastrofalną w skutkach wojnę, by uciec przed napięciem w domu?

Teraz Vicary zadawał sobie te same pytania, tyle że na temat swego berlińskiego rywala, Kurta Vogla.

Co przyświeca Voglowi? Zdaniem Vicary'ego, gdy zanosilo się na wojnę, Vogel postanowił umieścić w Anglii agentów, których nie uruchamiał aż do szczytowego momentu konfrontacji. Żeby jego akcja zakończyła się powodzeniem, musiano nadzwyczaj ostrożnie wprowadzić agenta do kraju. To najwyraźniej Voglowi się udało. MI—5 aż do tej pory nie miała pojęcia o istnieniu szpiega. Vogel musiał założyć, że agentów będzie się wylapywać między innymi na podstawie ewidencji urzędu imigracyjnego i punktów granicznych — Vicary z całą pewnością by to zrobił, gdyby znajdował się na jego miejscu. Co by się jednak stało, gdyby obcokrajowiec, który znalazł się na terenie Wielkiej Brytanii, zmarł? Nikt by go nie szukał. Genialne rozwiązanie. Tyle że pojawiał się jeden problem: potrzebne było ciało. Czy to możliwe, że posunęli się do

zabicia kogoś w celu zdobycia ciała niejakej Christy Kunst?

Zasadniczo niemieccy szpiedzy nie mordowali. Na ogół rekrutowali się spośród pazernych na pieniądze awanturników i fanatycznych faszystów, słabo wyszkolonych i nędznie finansowanych. Ale jeśli Kurt Vogel stworzył siatkę elitarnych agentów, ich motywacje na pewno były silniejsze, byliby bardziej zdyscyplinowani i prawie na pewno bardziej bezwzględni. A czy jednym z owych świetnie wyszkolonych, pozbawionych skrupułów agentów mogła zostać kobieta? Vicary miał do tej pory tylko raz do czynienia ze sprawą, w której pojawiła się kobieta: młoda Niemka, której udało się zdobyć posadę pokojówki u brytyjskiego admirała.

— Proszę się zatrzymać w najbliższej wiosce — zwrócił się do wrenki prowadzącej samochód.

Najbliższa wioska nazywała się Aston Magna — była to właściwie osada. Żadnych sklepów, kilka nędznych chałupin, między którymi biegło parę wąskich drózek. Przy drodze stał staruszek z psem.

Vicary opuścił szybę i zagaił:

— Dzień dobry. — Dzień dobry.

Starzec miał na sobie kalosze, jego obszerny tweedowy płaszcz wyglądał, jakby liczył sobie co najmniej sto lat. Psu brakowało jednej łapy.

— Czy jest w wiosce telefon? — spytał Vicary. Mężczyzna pokręcił głową. Vicary przysięgłby, że pies też potrzęsął łbem.

— Nikomu się jeszcze nie zachciało zakładać. Mówił tak silną gwarą, że Vicary z trudem go rozumiał.

— A gdzie jest najbliższy telefon?

— Pewnikiem w Moreton.

— To znaczy gdzie?

— Jedźcie tą drogą za stodołą. Skręćcie w lewo przy domu i jedźcie tam, gdzie drzewa, do najbliższej wioski. To będzie Moreton.

— Dziękuję.

Pies obszczekał odjeżdżający samochód.

Vicary skorzystał z telefonu w piekarni. Czekając na połączenie z biurem, zjadł kanapkę z serem. Chciał się podzielić swoim świeżo zdobytym bogactwem, więc zamówił dwa tuziny słodkich bułek dla maszynistek i dziewcząt z archiwum.

Zgłosił się Harry.

— Nie sądzę, żeby ta kobieta z grobu w Whitchurch była Christa Kunst.

— Więc kim była?

— Ty się tego dowiedz, Harry. Siadaj do telefonu i dzwoń do Scotland Yardu. Sprawdź, czy w tym samym czasie nie zaginęła jakaś kobieta. Najpierw w najbliższych okolicach Whitchurch, a jeśli będzie trzeba, w większym promieniu. Po powrocie do Londynu przekażę wszystko Boothby'emu.

— Co mu powiesz?

— Że szukamy nieżyjącej Holenderki. Będzie zachwycony.

Rozdział piąty

Wschodni Londyn

Znaleźć Petera Jordana to żaden problem. Ale znaleźć go we właściwy sposób — to owszem, był problem.

Informacje Vogla okazały się dobre. Berlin wiedział, że Jordan pracował przy Grosvenor Square w Kwaterze Głównej Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych Koalicji, lepiej znanej jako SHAEF. Plac był pilnie strzeżony przez żandarmerię wojskową, tak że nie mógł się tam dostać nikt z zewnątrz. Berlin miał adres domu Jordana w Kensington i zgromadził ogromne ilości informacji na temat jego pochodzenia. Brakowało tylko szczegółowego planu dnia Jordana w Londynie. A bez tego Catherine mogła się tylko domyślać, jak najlepiej go podejść.

To, by osobiście śledzić Jordana, absolutnie nie wchodziło w grę, i to z wielu powodów. Po pierwsze, liczyło się jej własne bezpieczeństwo. Snuć się za amerykańskim oficerem po West Endzie to ogromne ryzyko. Wypatrzyłby ją ktoś z żandarmerii albo sam Jordan. A gdyby wzbudziła podejrzenia, wzięto by ją na przesłuchanie. I zapewne dość szybko by się doszukano, że prawdziwa Catherine Blake zmarła trzydzieści lat temu, gdy miała osiem miesięcy, a ona jest niemieckim szpiegiem.

Poza tym nie zamierzała śledzić sama Jordana z powodów czysto praktycznych. Z całą pewnością by temu nie podolała. Nawet z pomocą Neumanna byłoby to trudne. Wystarczyłoby, żeby Jordan wsiadł do wojskowego służbowego samochodu, a wszystko wzięłoby w łeb. Przecież nie wskoczy do taksówki i nie oświadczy: „Jedź za tym amerykańskim wozem wojskowym”. Taksówkarze zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zagraża

amerykańskim oficerom ze strony szpiegów. Mogłaby trafić prosto na najbliższy posterunek. Potrzebowała nie rzucających się w oczy samochodów, które by jechały za Jordanem, nie rzucających się w oczy ludzi, którzy by za nim szli, nie rzucających się w oczy ludzi, którzy by pilnowali domu.

Potrzebowała pomocy.

Potrzebowała Vernona Pope'a.

Vernon Pope był jedną z najbarwniejszych i najpotężniejszych postaci londyńskiego półświatka. Razem z bratem, Robertem, prowadził nielegalne jaskinie gry, ściągał haracze, kontrolował środowiska prostytutek oraz kwitnący czarny rynek. Na początku wojny Vernon Pope przywiózł do szpitala Świętego Tomasza ciężko rannego w głowę podczas nalotu brata. Catherine szybko go zbadała, a stwierdziwszy wstrząs mózgu, podejrzewała też możliwość pęknięcia czaszki. Dopilnowała, by jak najszybciej zobaczył go lekarz. Wdzięczny Veronon Pope zostawił jej kartkę: „Jeśli mogę się pani w jakikolwiek sposób odplacić, proszę tylko powiedzieć, w jaki sposób”.

Catherine zatrzymała liścik. Spoczywał w jej torebce.

Jakimś cudem magazyn Vernona Pope'a ocalał. Stał nietknięty niczym bezczelna wyspa w ogrodzie zniszczeń. Catherine od niemal czterech lat nie zapuściła się w ulice wschodniej części Londynu. Przeraził ją ogrom spustoszeń. Trudno się było upewnić, czy nikt jej nie śledzi. Niewiele zostało bram, w których można by się schronić, brakowało budek, w których można by udawać, że się dzwoni, sklepów, do których można by wstąpić po jakiś drobiazg — wszędzie tylko zwały gruzów.

Stała po drugiej stronie ulicy i obserwowała budynek. Siąpił zimny deszczyk. Miała na sobie spodnie, sweter i skórzany płaszcz. Drzwi magazynu się otworzyły, na ulicę

wyjechały z dudnieniem trzy ciężarówki. Dwóch dobrze ubranych mężczyzn błyskawicznie zatrzasnęło wrota, ale nie na tyle szybko, by Catherine nie zdążyła zobaczyć, co się wewnątrz dzieje. W środku aż wrzało od roboty.

Minęła ją grupka robotników portowych, wracających ze zmiany. Ruszyła za nimi i skierowała się w stronę kwatery Pope'a.

Prowadził do niej niewielki wjazd, którym dostarczano towar. Nacisnęła dzwonek, ale nikt nie odpowiedział, więc spróbowała jeszcze raz. Czowała się obserwowana. W końcu drzwi się uchylły. — Czym możemy ci służyć, kochanieńka?

Przyjemny głos z cockneyowskim akcentem nie pasował do właściciela. Mężczyzna mierzył sobie dobrze ponad metr osiemdziesiąt, miał czarne, przystrzyżone tuż przy skórze włosy i małe okulary. Ubrany był w drogi szary garnitur, białą koszulę i srebrzysty krawat. Muskularyzowane rękawy marynarki.

— Chciałabym się widzieć z panem Pope'em.

Catherine podała byczkowi list. Przeczytał szybko, jakby wiele już takich widział.

— Spytałem szefa, czy będzie miał dla ciebie chwilkę. Wejdz. Catherine przeszła przez bramę, zatrzasnął za nią drzwi.

— Ręce nad głowę, kochaniutka, bądź grzeczną dziewczynką. Nie trzeba się obrażać. Pan Pope od wszystkich tego wymaga.

Człowiek Pope'a obmacał ją w poszukiwaniu broni. Zrobił to szybko i niezbyt profesjonalnie. Skuliła się, gdy powiódł dłońmi po jej piersiach. Z trudem się pohamowała, żeby nie rozbić mu nosa łokciem. Otworzył jej torebkę, zerknął do środka i oddał. Catherine spodziewała się tego, nie zabrała więc pistoletu. Bez broni czowała się naga,

wystawiona na cios. Następnym razem weźmie sztylet.

Poprowadził ją przez magazyn. Mężczyźni w kombinezonach ładowali skrzynie z towarem do kilku ciężarówek. W głębi, na drewnianych paletach, aż pod sufit piętrzyły się pudła: kawa, papierosy, cukier i baryłki paliwa. Zobaczyła też zgrabny rząd błyszczących motocykli. Nie ulegało wątpliwości, że Vernon Pope nie zasypia gruszek w popiele.

— Tędy, kochanieńka — odezwał się strażnik. — A przy okazji, nazywam się Dicky.

Zaprowadził ją do windy towarowej, zamknął drzwi i wcisnął guzik. Catherine wyjęła z torebki papierosa i włożyła go między wargi.

— Przykro mi, kochaniutka — powiedział Dicky, karcąco kiwając palcem. — Szef nie znosi fajek. Powiada, że pewnego dnia się okaże, że to nas zabija. Zresztą, leży tu tyle benzyny i amunicji, że wysadziłoby nas aż do Glasgow.

— To duża rzecz — powiedział Vernon Pope.

Wstał z wygodnej skórzanej kanapy i krążył po gabinecie. Właściwie był to nie tyle gabinet, co raczej mieszkanie z miejscem do wypoczynku i nowocześnie urządzonej kuchnią. Za czarnymi tekowymi drzwiami kryła się sypialnia. Drzwi na moment się uchylily i Catherine zauważyła za nimi zaspaną blondynkę, która niecierpliwie czekała na koniec spotkania. Pope nalał sobie kolejną whisky. Był wysoki, przystojny, miał jasną cerę, brylantynowane blond włosy i szare oczy. Uszyty na miarę, doskonale skrojony garnitur bardziej pasowałby do prezesa prosperującej firmy lub kogoś z wyższych sfer.

— Dasz wiarę, Robercie? Catherine chce, żebyśmy przez trzy dni uganiiali się po West Endzie za jakimś

oficerem amerykańskiej marynarki.

Robert Pope trzymał się na uboczu, krążąc po pokoju niczym nerwowy wilk.

— Właściwie nie robimy takich rzeczy, droga Catherine — stwierdził Veron Pope. — Zresztą, co by było, gdyby angielscy albo amerykańscy chłopcy od bezpieczeństwa nas przyłapali? Ja mam układy z londyńską policją. MI— 5 to inna para kaloszy.

Catherine wyjęła papierosa.

— Mogę?

— Jeśli musisz. Dicky, daj jej popielniczkę. Catherine zapaliła i przez chwilę się zaciągała.

— Widziałam sprzęt, który macie na dole. Spokojnie wystarczy na przeprowadzenie takiej obserwacji, o jaką mi chodzi.

— A czemuż to wolontariuszka ze szpitala Świętego Tomasza chciałaby obserwować amerykańskiego oficera, nie wiesz przypadkiem, Robercie?

Robert Pope wiedział, że nie oczekuje się od niego odpowiedzi. Vernon Pope ze szklanką w dłoniach podszedł do okna. Grube zasłony były podniesione, mógł obserwować statki płynące w górę i w dół rzeki.

— Patrzcie, co Niemcy zrobili z tym miastem — odezwał się w końcu. — Kiedyś to był pępek świata, największy port na tej półkuli. A teraz cholerne zgliszcza. Nigdy już tu nie będzie jak dawniej. Chyba nie pracujesz dla Niemców, Catherine, co?

— Oczywiście, że nie — odparła spokojnie. — Kierują mną wyłącznie osobiste pobudki.

— To dobrze. Jestem złodziejem, ale także i patriotą. — Umilkł na chwilę. — Więc dlaczego chcesz, żebyśmy go śledzili?

— Daję panu zlecenie, panie Pope. Szczerze mówiąc,

powody to moja prywatna sprawa.

Pope obrócił się twarzą do niej.

— Doskonale, Catherine. Masz odwagę. To mi się podoba. Poza tym byłabyś skończoną idiotką, gdybyś mi powiedziała.

Drzwi od sypialni się uchylily i pojawiła się blondynka w męskim jedwabnym szlafroku, niedbale związanym w pasie, tak że odsłaniał parę zgrabnych nóg i drobnych, jędrnych piersi.

— Vivie, jeszcze nie skończyliśmy — skarcił ją Pope.

— Zachciało mi się pić. — Nalewając sobie ginu z tonikiem, blondynka zerknęła na Catherine. — Ile to jeszcze potrwa, Vernon?

— Niedługo. Interesy, kochanie. Wracaj do sypialni.

Vivie zniknęła w sypialni, kołysząc biodrami. Nim zamknęła drzwi, jeszcze raz obejrzała się na Catherine.

— Śliczna dziewczyna — powiedziała Catherine. — Szczęściarz z pana.

Vernon Pope roześmiał się cicho i pokręcił głową.

— Czasem wołałbym część tego szczęścia przelać na innego mężczyznę.

Zapadło długie milczenie. Pope krążył po pokoju.

— Jestem zamieszany w wiele podejrzanych interesów, Catherine, ale ten mi się nie podoba. Wcale a wcale.

Catherine zapaliła następnego papierosa. Może popełniła błąd, zwracając się z tą sprawą do Pope'a.

— Ale zrobię to. Pomogłaś mojemu bratu i dałem ci słowo. A ja dotrzymuję słowa. — Przerwał i zmierzył ją wzrokiem. — Poza tym jest w tobie coś, co mi się podoba. Bardzo.

— Cieszę się, że możemy ubić interes, panie Pope.

— To cię będzie sporo kosztować, kochaniutka. Mam furę roboty. Muszę płacić swoim ludziom. A tego rodzaju

robota będzie wymagać zatrudnienia mnóstwa ludzi.

— Dlatego do pana przyszłam. — Catherine wyjęła z torebki kopertę. — Co by pan powiedział na dwieście funtów? Sto funtów teraz, sto po dostarczeniu informacji? Chcę, żeby przez siedemdziesiąt dwie godziny śledzono komandora Jordana. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. I oczekuję drobiazgowego, co do minuty, sprawozdania z każdego jego ruchu. Chcę wiedzieć, gdzie je, z kim się widuje, o czym rozmawia. I czy się spotyka z jakąś kobietą. Poradzi pan sobie z tym, panie Pope?

— Oczywiście.

— Świetnie. W takim razie odezwę się w sobotę.

— Jak mogę się z tobą skontaktować?

— Szczerze mówiąc, nie może pan.

Catherine położyła kopertę i wstała. Vernon Pope uśmiechnął się mile.

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Dicky, odprowadź Catherine do wyjścia. Przygotuj dla niej torbę zjedzeniem. Trochę kawy, cukru, może parę konserw wołowych z tego najświeższego transportu. Coś dobrego, Dicky.

— Mam złe przeczucia co do tej sprawy, Vernon — powiedział Robert Pope. — Może powinniśmy odpuścić.

Vernon Pope nie znosił, kiedy młodszy brat podawał w wątpliwość jego postanowienia. To on tutaj podejmował decyzje, a Robert zajmował się wykonaniem.

— Poradzimy sobie. Kazaleś ją śledzić?

— Dicky z chłopcami siedli jej na ogonie, kiedy wyszła.

— Dobrze. Chcę się dowiedzieć, co to za kobieta i w co się bawi.

— Może udałoby nam się to rozegrać na naszą

korzyść? Zrobilibyśmy sobie przody w policji, gdybyśmy dyskretnie powiedzieli, co panienka knuje.

— Nic takiego nie zrobimy. Czy to jasne?

— Może powinieneś bardziej się skupić na interesach, a nie na swoim kutasie.

Vernon rzucił się na brata i złapał go za szyję.

— Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Zresztą, moje zabawy są o niebo lepsze niż twoje igraszki z Dickym.

Robert poczerwieniał.

— Czego się tak na mnie gapisz, Robert? Myślisz, że nie wiem, co tu się dzieje?

Vernon rozluźnił uścisk.

— A teraz jazda na ulicę, gdzie twoje miejsce, i dopilnuj, żeby Dicky nie zgubił dziewczyny.

Catherine zauważyła obstawę w dwie minuty po wyjściu z magazynu. Spodziewała się jej. Tacy ludzie jak Vernon Pope nie osiagają swojej pozycji, jeśli nie cechuje ich ostrożność i podejrzliwość. Ale obstawa była niezręczna i amatorska. W końcu to Dicky ją wpuścił, przeszukał i wprowadził. Znała jego twarz. Co za głupota właśnie jego wysłać, żeby ją śledził. Łatwo będzie go zgubić.

Dała nura w stację metra, wtapiając się w wieczorny tłum. Przeszła przez tunel i pojawiła się po drugiej stronie ulicy. Stał tam autobus. Wsiadła i zajęła miejsce obok starszej pani. Przez zaparowaną szybę patrzyła, jak Dicky z przerażoną miną pędzi po schodach i wypada na ulicę.

Zrobiło jej się go trochę żal. Biedaczysko, gdzież mu do zawodowca. A Vernon Pope się wścieknie. Ona nie będzie ryzykować. Weźmie taksówkę, dwie, trzy przesiadki autobusowe, spacer po West Endzie, dopiero potem powrót do domu.

Na razie jednak umościła się wygodniej na siedzeniu i rozkoszowała przejażdżką.

W sypialni było ciemno, kiedy Vernon Pope wszedł i cicho zamknął drzwi. Vivie wyprostowała się na kolanach. Vernon podszedł do łóżka i mocno ją pocałował. Bardziej bezwzględnie niż zwykle. Vivie podejrzewała, że wie dlaczego. Przesunęła ręką po jego spodniach.

— O Boże, Vernon. Czy to dla mnie, czy dla tej suki? Vernon rozchylił poły jej szlafroka i zsunął z ramion.

— Obawiam się, że i jedno, i drugie — przyznał, znowu ją całując.

— Chciałeś jej tam, w gabinecie. Poznałam to po twojej twarzy.

— Zawsze była z ciebie spostrzegawcza dziewczynka. Jeszcze raz go pocałowała.

— Kiedy wraca?

— Pod koniec tygodnia.

— Jak się nazywa?

— Podobno Catherine.

— Catherine — powtórzyła Vivie. — Śliczne imię. Jest piękna.

— Tak — odparł Pope zamyślony.

— A jaką miała do ciebie sprawę?

Pope zrelacjonował jej spotkanie. Nie było między nimi tajemnic.

— Drażliwa sprawa. Myślę, że chyba mocno ją przyciśniemy.

— Sprytna z ciebie dziewczynka.

— Nie, tylko bardzo niegrzeczna.

— Vivie, zawsze wiem, kiedy twoja główka knuje podstępne plany.

Zaśmiała się dziko.

— Mam trzy dni na wymyślenie wszystkich

cudowności, które zrobimy tej kobiecie, gdy znowu się pojawi. A teraz zdejmuj te portki, ulżę ci.

Vernon Pope zrobił, co kazała.

Po chwili rozległo się ciche pukanie. Robert Pope wszedł, nie czekając na odpowiedź. Promień światła padł na parę kochanków. Vivie spojrzała bez skrępowania na Roberta i uśmiechnęła się.

— Ile razy ci powtarzałem, żebyś nie wchodził, kiedy drzwi są zamknięte! — wybuchnął Vernon Pope.

— To ważne. Zwiłała nam.

— Jak to się stało, do cholery?

— Dicky zaklina się, że w jednej chwili ją miał, a w moment później zniknęła. Po prostu się rozplynęła.

— Na miłość boską!

— Nikt się nie zrywa Dicky'emu. Ta kobieta to bez wątpienia profesjonalistka. Powinniśmy się trzymać od niej z daleka.

Vivie ogarnęła nagle panika.

— Wynoś się i zamknij za sobą drzwi, Robert. Kiedy zniknął, Vivie żartobliwie polizła Vernona.

— Chyba nie posłuchasz rady tej małej cioty, Vernon?
— Oczywiście, że nie.

— To dobrze. A teraz... na czym to myśmy stanęli?

— O Boże — jęknął Vernon.

Rozdział szósty

Londyn

Wczesnym rankiem następnego dnia Robert Pope i Richard „Dicky” Dobbs z dużą niechęcią zadebiutowali w świecie wojennego wywiadu i rozpoczęli improwizowaną obserwację komandora porucznika Petera Jordana, na widok której obserwatorzy MI— 5 pozielenieliby z zazdrości.

Zaczęli, zanim wstał wilgotny, lodowaty poranek. Czarną furgonetką, z paką załadowaną jedzeniem w puszkach i z nazwą lokalnego sklepu kolonialnego z boku, podjechali we dwóch pod osiemnastowieczny dom Jordana w dzielnicy Kensington. Czekali prawie do ósmej, Pope przydrzemując, Dicky nerwowo żując gąbczastą bułkę i popijając kawę z papierowego kubka. Vernon Pope zagroził mu poważnym uszczerbkiem na ciele za wczorajszą wpadkę z tą babą. Niech go lichy porwie, jeśli zgubi dziś Petera Jordana. Dicky, uważany za najlepszego kierowcę w kryminalnym światku Londynu, poprzysiął sobie w duchu, że jak będzie trzeba, gotów przejechać w pogoni za Jordanem nawet przez środek Green Parku.

Nie musiał się jednak zdobywać na aż tak heroiczne wyczyny, gdyż o siódmej pięćdziesiąt pięć pod mieszkaniem Jordana zatrzymała się amerykańska limuzyna i zatrąbiła. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna średniego wzrostu. Był w mundurze marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, białej czapce i ciemnym płaszczu. W rękę trzymał cienką skórzaną teczkę. Zniknął w samochodzie i zatrzasnął drzwiczki. Dicky tak się na nim koncentrował, że zapomniał uruchomić silnik. A gdy teraz to zrobił, silnik zarzęził i zgasł. Dicky przeklął go,

zwymyślał, zagroził najstraszniejszymi konsekwencjami i dopiero potem znowu spróbował. Tym razem silnik zapalił z rykiem i rozpoczęła się ich cicha obserwacja Petera Jordana.

Pierwszy problem pojawił się na Grosvenor Square. Roilo się tam od taksówek, limuzyn generalicji i wojskowych pędzących we wszystkie strony. Wóz Jordana minął plac, wjechał w boczną uliczkę i zahamował przed niewielkim, nie oznakowanym budynkiem. Nie było mowy o zatrzymaniu się na ulicy. Po obu stronach stały zaparkowane samochody, wolne dla ruchu było tylko jedno pasmo, a amerykański żandarm wojskowy w białym hełmie patrolował okolicę, leniwie machając pałką. Pope wyskoczył z furgonetki i niecierpliwie spacerował po ulicy, podczas gdy Dicky krążył w pobliżu. Po dziesięciu minutach Jordan wynurzył się z budynku; do nadgarstka miał przykutą ciężką walizeczkę.

Dicky zgarnął Pope'a i zawrócił. Na Grosvenor Square przyjechali akurat w chwili, gdy Jordan zniknął w wejściu do SHAEF. Dicky znalazł miejsce do parkowania na placu z dobrym widokiem na budynek i wyłączył silnik. Kilka minut później mignął im generał Eisenhower, który błysnął jednym ze swych słynnych uśmiechów, zanim wszedł do środka.

Nawet gdyby Pope przeszedł trening w samej MI— 5, nie mógłby lepiej rozegrać następnych ruchów. Uznał, że nie mogą obserwować budynku tylko z jednego punktu. To olbrzymi kompleks z najróżniejszymi wejściami i wyjściami. Z budki zadzwonił do Vernona i zażądał trzech ludzi. Kiedy się zjawili, ustawił jednego za kamienicą na Blackburn Street, drugiego ulokował na Upper Brook Street, trzeciego zaś na Upper Grosvenor Street. Po dwóch godzinach znowu zadzwonił do brata i zażyczył sobie trzech

nowych twarzy; podejrzliwie tu spoglądano na cywili kręcących się w pobliżu amerykańskich instytucji. Gdyby Vicary i Boothby mogli słyszeć ich rozmowę, ogarnąłby ich pusty śmiech, gdyż podobnie jak każdy przyzwoity biurokrata i funkcjonariusz terenowy Vernon i Robert wyklócali się o ludzi. Ich jednak problem leżał w czym innym: Vernon potrzebował mięśni do odebrania transportu kradzionej kawy i pogonienia sklepikarza, który zalegał z haraczem.

W południe zmienili samochody. Furgonetkę sklepu kolonialnego zastąpiła identyczna, tyle że z nazwą nie istniejącej pralni. Szykowano ją w takim pośpiechu, że zamiast słowa pralnia napisano „pralnja”, a białe worki wypchano nie ubraniami, lecz pomiętymi gazetami. O drugiej obserwatorzy dostali termos z herbatą i torbę kanapek. Po godzinie Pope, który już zjadł swój przydział i wypalił kilka papierosów, zaczął się niepokoić. Jordan siedział w budynku już prawie siedem godzin. Robiło się późno. Wszystkie strony gmachu mieli obstawione. Ale jeśli Jordan opuści budynek po zapadnięciu zmroku, w zaciemnionym mieście prawie na pewno go przegapią. Na szczęście o czwartej, kiedy już się ściemniało, Jordan wyszedł głównymi drzwiami.

Powtórzył tę samą trasę co rano, tyle że w odwrotnej kolejności. Przeszedł przez plac do mniejszego budynku, z tą samą ciężką walizeczką przykutą do ręki, i zniknął w środku. Po jakimś czasie ponownie się wynurzył z mniejszą teczką, tą, którą niósł rano. Deszcz ustał i Jordan najwyraźniej uznał, że spacer dobrze mu robi. Skierował się na zachód, potem skręcił na południe w Park Lane. Śledzenie go z ciężarówki nie wchodziło w rachubę. Pope wyskoczył i postanowił ruszyć za Jordanem, trzymając się parę ładnych metrów za nim.

Okazało się to o wiele trudniejsze niż Pope przypuszczał. Duży hotel Grosvenor House przy Park Lane przejęli Amerykanie i urządzili w nim kasyno oficerskie. Dziesiątki ludzi kręciły się po chodniku na zewnątrz. Pope zbliżył się do Jordana, upewniając się, czy nie pomylił go z innym oficerem. Na Pope'a, przemykającego w tłumie za komandorem, zerknął żandarm. Na niektórych ulicach West Endu Anglik tak samo wyróżniał się w tłumie jak w Teksasie. Pope znieruchomiał. Potem uświadomił sobie, że nie robi nic złego. Po prostu idzie ulicą w swoim własnym kraju. Odprężył się i żandarm odwrócił wzrok. Jordan minął Grosvenor House. Pope ostrożnie szedł za nim.

Zgubił go na Hyde Park Corner.

Jordan wtopił się w grupę wojskowych i cywilów czekających na przejściu. Kiedy zmieniło się światło, Pope ruszył na Grosvenor Place za oficerem amerykańskiej marynarki mniej więcej wzrostu Jordana. Dopiero kiedy zerknął w dół, zauważył, że oficer nie trzyma aktówki. Zatrzymał się, obejrzał, mając nadzieję, że Jordan jest za nim. Ale Jordan zniknął.

Pope usłyszał trąbienie samochodu i podniósł wzrok. To był Dicky.

— Poszedł na Knightsbridge — powiedział. — Wskakuj.

Dicky wykonał genialny zwrot na zatłoczonej ulicy. Po chwili Pope namierzył Jordana i westchnął z ulgą. Dicky podjechał do krawężnika i Pope wrócił na ulicę. Obiecawszy sobie w duchu, że więcej nie zgubi Amerykanina, szedł za nim w mniejszej odległości.

Vandyke Club był klubem amerykańskich oficerów z Kensington, niedostępnym dla brytyjskich cywili. Jordan wszedł do środka.

Pope ruszył za nim, ale zaraz się wycofał. Dicky

zaparkował po drugiej stronie ulicy. Przemarznięty, przewiany do cna Pope wszedł do furgonetki i zamknął drzwi.

— Następnym razem, kiedy komandor Jordan postanowi przeleźć przez pół Londynu, to ty wychodzisz i go śledzisz, Dicky — oświadczył.

Jordan wyszedł po czterdziestu pięciu minutach.

Proszę, Panie Boże, byle nie kolejny spacer — modlił się w duchu Pope.

Jordan stanął przy krawężniku i zatrzymał taksówkę.

Dicky ostrożnie włączył się do ruchu. Jazda za taksówką była łatwiejsza. Jordan pojechał na wschód, minął Trafalgar Square, Strand, a po chwili skręcił w prawo.

— No, to już bardziej mi się podoba — oświadczył Pope. Patrzyli, jak Jordan płaci taksówkarzowi i wchodzi do hotelu Savoy.

Większość angielskich cywili przebiedowała wojnę na minimalnych racjach żywnościowych: paru uncjach mięsa i sera tygodniowo, a przy odrobinie szczęścia kilku szklankach mleka i jajku. Delikatesy w rodzaju brzoskwiń i pomidorów z puszki jadano od wielkiego dzwonu. Nikt nie głodował, ale tylko garstka ludzi przybrała na wadze. Równocześnie jednak istniał drugi Londyn: Londyn wytwornych restauracji i luksusowych hoteli, które regularnie zaopatrywały się na czarnym rynku w mięso, ryby, warzywa, wino i kawę, a potem żądały niewiarygodnych pieniędzy za przywilej stolowania się właśnie u nich. Do takich miejsc należał hotel Savoy.

Portier był ubrany w zielony płaszcz ze srebrnymi lamówkami i cylinder. Pope minął go i wszedł do środka.

Przemierzył hali i za Jordanem skierował się do sali, gdzie w wygodnych fotelach spoczywali bogaci biznesmeni i piękne kobiety w najmodniejszych strojach wieczorowych, kilkunastu amerykańskich i angielskich oficerów w mundurach oraz odziani w tweedy ziemianie, którzy wpadli na kilka dni do stolicy. Na widok tego bogactwa i dobrobytu Pope'em szarpały mieszane uczucia — bogacze z West Endu żyją tu sobie w luksusie, podczas gdy biedacy z East Endu cierpią głód, a ponieśli największe straty podczas nalotów. Z drugiej jednak strony on i Vernon zbili fortunę na czarnym rynku. Uznał te dysproporcje za jeden z niefortunnych skutków wojny.

Pope poszedł za Jordanem do baru przy restauracji Grill. Komandor stał samotnie w ciżbie, na próżno próbując zwrócić na siebie uwagę barmana i zamówić drinka. Pope zajął stanowisko o dwa metry od niego. Pochwycił spojrzenie barmana i zamówił whisky. Kiedy się obejrzał, przy Jordanie stał już wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy i pogodnym uśmiechu, oficer amerykańskiej marynarki wojennej. Pope przysunął się o krok, żeby posłuchać ich rozmowy.

— Hitler powinien tutaj przyjechać i spróbować dostać drinka w piątkowy wieczór. Jestem przekonany, że poważnie by się zastanowił, czy naprawdę chce podbić ten kraj — mówił wysoki mężczyzna.

— Chcesz spróbować szczęścia w Grosvenor House? — spytał Jordan.

— Czyś ty zmysły postradał? Francuski kucharz dał wczoraj wymówienie. Kazali mu szykować posiłki z racji kartkowych i odmówił.

— Chyba ostatni rozsądny człowiek w Londynie.

— Święte słowa.

— Co trzeba zrobić, żeby tu dostać drinka?

— To zwykle skutkuje: dwa martini, u licha ciężkiego! Barman podniósł wzrok, uśmiechnął się szeroko i sięgnął po butelkę Beefeaters.

— Dobry wieczór, panie Ramsey.

— Dobry wieczór, Williamie.

Pope zanotował w pamięci: przyjaciel Jordana nazywa się Ramsey.

— Dobra robota, Shepherd.

Shepherd Ramsey — uzupełnił w myślach Pope.

— Czasem się przydaje być trochę wyższym od innych.

— Zarezerwowałeś stół? Nie dostaniemy się do Grilla bez rezerwacji.

— Jasne, że tak. Gdzieś ty się w ogóle podziewał? Próbowałem się z tobą skontaktować w ubiegłym tygodniu. Wydzwaniałem, aż twój telefon dostał chryпки. W biurze też nic. Twierdzili, że nie możesz podejść do aparatu. Zadzwoń następnego dnia, to samo. Co, do cholery, porabiałeś, że przez dwa dni nie mogłeś podejść do telefonu?

— Nie twój interes.

— A, nadal harujesz nad tym swoim projektem?

— Odczep się, Shepherd, albo skopię ci tyłek, tu, w tym barze.

— Chyba w swoich snach, staruszk. Zresztą, jeśli urządzisz tu przedstawienie, to gdzie, do cholery, będziemy pić? W żadnym porządnym lokalu nie przyjmują takich typków jak ty.

— Słuszna uwaga.

— Więc kiedy mi powiesz, nad czym pracujesz?

— Kiedy się skończy wojna.

— Coś ważnego, he?

— Taa...

— Cóż, przynajmniej jeden z nas robi coś ważnego. —

Shepherd Ramsey wychylił drinka. — William, jeszcze dwie proszę.

— Zamierzasz się upić przed kolacją?

— Chciałem tylko, żebyś ty się rozluźnił.

— Już bardziej się rozluźnić nie potrafię. Co ty knujesz, Shepherd? Znam ten ton.

— Nic, Peter. Chryste, odczep się.

— Powiedz. Wiesz, że nie znoszę niespodzianek.

— Zaprosiłem jeszcze parę osób na dzisiejszą kolację.

— Osób?

— Właściwie to dziewcząt. Tak naprawdę to już są.

Pope poszedł za wzrokiem Jordana. W wejściu do baru pojawiły się dwie kobiety. Obie młode i bardzo atrakcyjne. Zauważyły obu mężczyzn i przyłączyły się do nich.

— Peter, to Barbara. Ale wszyscy mówią na nią Baby.

— To zrozumiałe. Miło cię poznać, Barbaro. Barbara spojrzała na Shepherd'a.

— Rany, miałeś rację! On jest słodki! — Mówiła z akcentem londyńskiego środowiska robotniczego. — Jemy w Grillu?

— Tak, a nasz stolik powinien już być gotów.

Maître d'hôtel zaprowadził ich na miejsce. Z baru Pope żadnym sposobem nie zdołałby podsłuchać ich rozmowy. Musi zdobyć miejsce przy stoliku obok. Zajrzawszy do części restauracyjnej, zauważył, że strategiczny punkt jest wolny. Na stoliku widniała tabliczka „zarezerwowany”.

To nie problem — pomyślał Pope.

Szybko zawrócił i wyszedł na ulicę. Dicky czekał w szoferce. Pope przywołał go ruchem ręki. Dicky wyskoczył z samochodu i przebiegł przez ulicę.

— Co się stało?

— Idziemy na kolację. Musisz zarezerwować stolik.

Pope wysłał Dicky'ego, żeby porozmawiał z

kierownikiem sali. Kiedy Dicky pierwszy raz spytał, *maître d'hôtel* pokręcił głową, zmarszczył brwi i rozłożywszy ręce pokazał, że nie ma wolnych stolików. Wtedy Dicky pochylił się nad nim i szepnął coś takiego, że biedak pobladł i zaczął się trząść jak osika. Po chwili Dicky z Robertem zasiedli przy stoliku obok Petera Jordana i Shepherd Ramseya.

— Co mu powiedziałaś, Dicky?

— Że jeśli nie da nam stolika, wyrwę mu jabłko Adama i rzucę na tę płonącą patelnię.

— Cóż, klient nasz pan, zawsze to powtarzam. Otworzyli jadłospisy.

— Zacziesz od wędzonego łososia czy *pâté de foie gras*!
— spytał Pope.

— Pewnie wezmę jedno i drugie. Konam z głodu. Chyba nie dają tu parowy z ziemniakami, co?

— Nijak. Spróbuj *coq au vin*. A teraz siedź cicho, żebym usłyszał, o czym gadają ci jankesi.

To Dicky ruszył za nimi po kolacji. Obserwował, jak zapakowali obie towarzyszki do taksówki, a sami poszli pieszo Stranem.

— Mogłeś przynajmniej zdobyć się na uprzejmość — skarcił Jordana Shepherd Ramsey.

— Przepraszam, Shepherd. Nie mieliśmy zbyt wielu tematów do rozmowy.

— A o czym tu rozmawiać? Wypić parę drinków, pośmiać się, zabrać ją do domu i spędzić bombowy wieczór w łóżku. Nie trzeba

o nic pytać.

— Trudno mi było się przyzwyczaić, że co chwila nożem sprawdzała, czy szminka nie zeszła jej z ust.

— A wiesz, co mogłaby ci tymi ustami zrobić? A

spojrzałeś, co się kryje pod tą sukienką? Wielki Boże, Peter, ta dziewczyna cieszy się chyba najgorszą reputacją w Londynie.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem, Shepherd. Po prostu nie pociąga mnie to.

— A kiedy cię zaczniesz pociągać?

— O co ci chodzi?

— Pół roku temu obiecałeś, że zaczniesz się umawiać.

— Chciałbym spotkać inteligentną, ciekawą, dojrzałą kobietę. Nie musisz mi wyszukiwać dziewcząt. — Jordan zapalił papierosa i ze złością odrzucił zapalniczkę. — Słuchaj, Shep, przykro mi, ale naprawdę...

— Nie, masz rację. To nie mój interes. Tylko że matka zmarła, kiedy ojciec miał czterdzieści lat. Nigdy powtórnie się nie ożenił. I dlatego umarł jako samotny, zgorzkniały starzec. Nie chcę, żeby i tobie się coś takiego przytrafiło.

— Dzięki, Shepherd, ale mnie się to nie przytrafi.

— Nie znajdziesz drugiej Margaret.

— Jakbym sam o tym nie wiedział. — Jordan przywołał taksówkę i wszedł do środka. — Podrzucić cię?

— Szczerze mówiąc, to mam jeszcze spotkanie.

— Shepherd.

— Spotykam się z nią za pół godziny w moim pokoju. Nie mogłem się oprzeć. Daruj, lecz ciało jest słabe.

— Nie tylko ciało. Baw się dobrze, Shep.

Taksówka odjechała. Dicky odsunął się na bok i rozejrzał za furgonetką. W parę sekund później Pope zatrzymał się przy krawężniku. Pojechali za taksówką do Kensington, zobaczyli, jak Peter Jordan wchodzi do domu i jeszcze pół godziny czekali, aż się pojawi nocna zmiana.

Rozdział siódmy

Londyn

Alfred Vicary zmiażdżył sobie kolano, ponieważ nie potrafił naprawić motocykla. Stało się to cudownego jesiennego dnia na północy Francji, a dzień ten bez wątpienia okazał się najgorszym dniem w jego życiu.

Vicary właśnie zakończył spotkanie ze szpiegiem; zakradł się on za linie wroga do sektora, który Brytyjczycy zamierzali następnego dnia o świcie zaatakować, i odkrył tam duże zgrupowanie niemieckich żołnierzy. Gdyby atak skierowano na wprost, tak jak planowano, napotkano by silny opór. Szpieg przyniósł ręcznie sporządzoną notatkę o liczbie niemieckich oddziałów i artylerii. Dał też Vicary'emu mapkę, na której dokładnie zaznaczył obozowisko. Vicary włożył obie kartki do skórzanej torby i ruszył z powrotem do kwatery.

Wiedział, że wiezie informacje o kluczowym znaczeniu, na szali leżało życie żołnierzy. Całkowicie otworzył przepustnicę i jak wiatr pędził po wąskiej ścieżce. Po obu stronach rosły duże drzewa, ich wierzchołki tworzyły baldachim, przez który wpadały promienie słońce, tak że tunel zdawał się płonąć. Vicary'ego przeszywał dreszcz podniecenia, gdy czuł, jak jego rudge przez sekundę czy dwie frunie w powietrzu.

Silnik zaczął trzeszczeć kilkanaście kilometrów przed metą. Vicary zwolnił. Teraz trzaski zamieniły się w głośnie klekotanie. Kilometr później rozległ się odgłos pękającego metalu i mocne puknięcie. Silnik nagle stracił moc i zgasł.

Nagła cisza aż dźwięczała w uszach. Vicary schylił się i obejrzał motor. Gorący, pokryty smarem metal i poplątane przewody nic mu nie mówiły. Pamiętał, że kopnął motocykl

i zastanawiał się, czy zostawić go przy drodze, czy też wleć aż do siedziby dowództwa. Chwycił za kierownicę i szybkim krokiem zaczął pchać pojazd.

Światło popołudnia ustępowało delikatnie zaróżowionemu zmierzchowi. Od punktu docelowego nadal dzieliły go całe kilometry. Przy odrobinie szczęścia mógł natrafić na swojaka, który by go podrzucił na miejsce. Gdyby szczęście się od niego odwróciło, mógł stanąć twarzą w twarz z patrolem niemieckich skautów.

Kiedy zgasło ostatnie światło dnia, zaczął się ostrzał. Pierwsze kule doleciały blisko, spadły na pole i nikomu nie zrobiły krzywdy. Następne przefrunęły na wysokości ludzkiej głowy i walnęły we wzgórze. Trzecia seria wylądowała na drodze tuż przed Vicarym.

Nawet nie usłyszał tej, która go zraniła.

Odzyskał przytomność wieczorem; trząśnięty z zimna w rowie. Spojrzał w dół i omal nie zemdlął na widok swojego kolana: papki ze strzaskanej kości i krwi. Z wysiłkiem wygrzebał się z dołu i wrócił na drogę. Znalazł motocykl i zemdlął.

Oprzytomniał następnego ranka w szpitalu. Wiedział, że atak poszedł na wprost, gdyż napływały kolejne fale rannych. Cały dzień przeleżał w łóżku, w głowie mu szumiało od morfiny, zewsząd dobiegały jęki rannych. O zmierzchu chłopiec na sąsiednim łóżku zmarł. Vicary zamknął oczy, bezskutecznie próbując nie dopuszczać do siebie rżenia konających.

Następnego ranka odwiedził go Brendan Evans, przyjaciel z Cambridge, który pomógł mu dostać się do wywiadu. Wojna go zmieniła. Zniknęła chłopięca uroda. Wyglądał teraz na twardego, wręcz bezwzględного mężczyznę. Brendan przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku.

— To wszystko moja wina — odezwał się Vicary. — Wiedziałem, że Niemcy czekają. Ale motocykl się zepsuł i nie potrafiłem cholerstwa naprawić. A potem zaczął się ostrzał.

— Wiem. Znaleźli papiery w twojej torbie. Nikt cię nie wini. To po prostu cholerny pech. Pewnie i tak nie mógłbyś naprawić tego motoru.

Jeszcze teraz, trzydzieści lat później, Vicary czasem słyszał we śnie krzyki konających. Ale ostatnio w jego snach pojawił się nowy element: śniło mu się, że to Basil Boothby uszkodził mu motocykl.

„A w ogóle czytał pan akta Vogla?”.

„Nie”.

Oszust. Skończony kłamca.

Vicary próbował się powstrzymać od narzucających się porównań wczoraj z dziś, lecz trudno było tego uniknąć. Nie wierzył w przeznaczenie, ale ktoś lub coś dał mu drugą szansę, szansę zadośćuczynienia za błąd z owego jesiennego dnia 1916 roku.

Liczył na to, że przyjęcie, które odbywało się w pubie naprzeciwko kwatery MI— 5, pomoże mu oderwać myśli od sprawy. Mylił się. Trzymał się z boku, zapatrzony w piwo wspominał Francję albo obserwował, jak koledzy flirtują z ładnymi maszynistkami. Przy fortepianie Nicholas Jago dawał całkiem niezły popis gry.

Z transu wyrwał go głos jednej z królowych archiwum, która zaczęła śpiewać „I'll Be Seeing You”. Była to przystojna blondynka o krwistoczerwonych ustach, Grace Clarendon. Vicary wiedział, że na początku wojny otwarcie romansowała z Harrym. Bystra, dowcipna i inteligentna różniła się od większości dziewcząt z archiwum. Ale była mężatką i Vicary nie pochwalał tego związku. Nie powiedział o tym Harry'emu; w końcu to nie jego sprawa.

Zresztą, kim jestem, by pouczać w sprawach sercowych — pomyślał teraz.

Przypuszczał, że to Grace powiedziała Harry'emu, że Boothby miał w ręku teczkę Vogla.

Wszedł Harry opatulony w płaszcz. Puścił oko do Grace, potem ruszył w stronę Vicary'ego.

— Wracajmy do biura. Musimy pogadać.

— Nazywała się Beatrice Pymm. Mieszkała samotnie w niewielkim domku nieopodal Ipswich — zaczął Harry, kiedy szli do gabinetu Vicary'ego. Dziś rano spędził wiele godzin w Ipswich, grzebiąc w przeszłości Beatrice Pymm. — Żadnych przyjaciół, żadnej rodziny. Jej matka zmarła w trzydziestym szóstym. Zostawiła jej dom i przyzwoity dochód. Beatrice nie pracowała. Nie miała chłopaków, kochanków, nawet kota. Zajmowała się wyłącznie malowaniem.

— Malowaniem? — powtórzył Vicary.

— Tak, malowaniem. Ludzie, z którymi rozmawiałem, mówili, że malowała prawie codziennie. Wychodziła wczesnym rankiem, wybierała jakiś punkt w okolicy i cały dzień malowała. Policjant z posterunku w Ipswich pokazał mi parę jej obrazów. Krajobrazy. Całkiem niezłe.

Vicary zmarszczył brwi.

— Nie wiedziałem, że znasz się na sztuce, Harry.

— Sądysz, że chłopcy z Battersea nie potrafią docenić sztuki? W takim razie wiedz, że moja świętej pamięci matka regularnie wlokła mnie do National Gallery.

— Przepraszam, Harry. Proszę, mów dalej.

— Beatrice nie miała samochodu. Albo jeździła rowerem, albo szła pieszo, albo łapała autobus. Często za długo malowała, zwłaszcza latem, kiedy było dobre światło,

i spóźniała się na ostatni autobus. Sąsiedzi nieraz widzieli, jak przychodziła w środku nocy, dźwigając cały swój sprzęt malarski. Powiadali, że przesyiała nocę w jakichś zakazanych miejscach, byleby złapać wschód słońca.

— I co, ich zdaniem, jej się stało?

— Oficjalna wersja wydarzeń: przypadkowe zatonięcie. Jej rzeczy znaleziono nad brzegiem Orwell, obok pustą butelkę po winie. Policja sądzi, że Beatrice musiała za dużo wypić, straciła równowagę, ześlizgnęła się do wody i utonęła. Ciała nie znaleziono. Przez pewien czas kontynuowali śledztwo, ale nie wpadli na żaden inny trop. Uznali, że kobieta utopiła się na skutek nieszczęśliwego wypadku i zamknięto sprawę.

— Brzmi bardzo prawdopodobnie.

— Oczywiście, mogło się stać i tak. Ale wątpię. Beatrice Pymm doskonale znała okolicę. Dlaczego akurat tego dnia wypija odrobinę za dużo i wpadła do rzeki?

— A druga teoria?

— Druga teoria wygląda następująco: gdy zapadł zmrok, nasz szpieg zabrał ją samochodem, zasztyletował i załadował jej ciało do ciężarówki. Rzeczy zostawił nad brzegiem rzeki, żeby to wyglądało na przypadkowe zatonięcie. Tymczasem zaś ciało przewiózł przez pół kraju, zmasakrował i zakopał pod Whitchurch.

Dotarli do gabinetu Vicary'ego i usiedli. Vicary za biurkiem, Harry naprzeciwko. Harry rozparł się na krześle i wyciągnął nogi.

— Czy to wyłącznie domysły, czy też masz fakty na poparcie twojej teorii?

— Pół na pół, ale wszystkie pasują do twojego przypuszczenia, że Beatrice Pymm zabito, aby ukryć wejście szpiega na teren kraju.

— Wal.

— Zacznę od trupa. Ciało znaleziono w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku. Rozmawiałem z patologiem, który je badał. Sądząc po stopniu rozkładu, szacował, że musiało leżeć w ziemi jakieś sześć, dziewięć miesięcy. Tak na marginesie, to pokrywa się z czasem zniknięcia Beatrice Pymm. Kości twarzy niemal zupełnie strzaskane. Nie było zębów, żeby można porównać z kartoteką dentystyczną. Odcisków palców też nie można było pobrać, bo dłonie zbytnio się już rozłożyły. Lekarz nie mógł określić przyczyny zgonu. Ale znalazł jedną interesującą wskazówkę: zadraśnięcie na najniższym żebrze po lewej stronie. Zwykle towarzyszy ono dźgnięciu nożem w serce.

— Powiadasz, że morderczyni mogła skorzystać z ciężarówki. Jakie masz dowody?

— Poprosiłem tamtejszą policję, żeby sprawdzili, czy w noc zabójstwa Beatrice Pymm odnotowano jakieś przestępstwa albo coś niepokojącego. Tak się złożyło, że w okolicach wioski Alderton ktoś porzucił i umyślnie podpalił furgonetkę. Sprawdzono, co to za wóz.

— I?

— Ukradziony dwa dni wcześniej w Londynie. Vicary wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Więc nasza agentka wyrasta ni z tego, ni z owego w środku kraju, zostawiając za sobą płonąca furgonetkę. Gdzie teraz jedzie? Co robi?

— Załóżmy, że wraca do Londynu. Łapie okazję i jedzie ciężarówką albo samochodem. Albo idzie na najbliższą stację i wsiada w pierwszy pociąg do Londynu.

— Zbyt ryzykowne — stwierdził Vicary. — Na prowincji samotna kobieta w środku nocy to rzecz bardzo niezwykła. Nie zapominajmy, że to listopad i jest zimno. Mogłaby ją zauważyć policja. Morderstwo Beatrice Pymm precyzyjnie zaplanowano i wykonano. Zabójczyni niczego

nie pozostawiła przypadkowi.

— A co byś powiedział na motocykl ukryty w skrzyni ciężarówki?

— Dobry pomysł. Sprawdź, czy w tamtym okresie nie skradziono jakiegoś motocykla.

— Wraca do Londynu i porzuca motor.

— Zgadza się — potwierdził Vicary. — A w chwili wybuchu wojny nie szukamy Holenderki Christy Kunst, ponieważ mylnie zakładamy, że nie żyje.

— Cholera, sprytne.

— Bardziej bezwzględne niż sprytne. Wyobraź sobie: zabić niewinną Angielkę, żeby ukryć obecność szpiega. To nie jest zwykła agentka, a Kurt Vogel to nie jest zwykły oficer Abwehry. Co do tego nie mam wątpliwości. — Vicary przerwał, by zapalić papierosa. — Czy fotografia dała nam jakiś ślad?

— Żadnego.

— W takim razie nasze dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

— Obawiam się, że tak. Zadzwoń jeszcze w parę miejsc. Vicary potrząsnął głową.

— Skończ już na dzisiaj z robotą. Idź na przyjęcie. Spędź trochę czasu z Grace — dorzucił.

Harry spojrział na niego zaskoczony.

— Skąd wiedziałeś?

— Może nie zauważyłeś, ale roi się tu od oficerów wywiadu. Plotka się rozchodzi, ludzie gadają. Zresztą niezbyt się z tym kryłeś. Telefonistkom z nocnej zmiany zostawiałeś numer Grace, gdyby musiano się z tobą nagle skontaktować.

Harry poczerwieniał.

— Idź do niej, Harry. Ona za tobą tęskni. Ślepy by to zauważył.

— Ja też za nią tęsknię. Ale jest mężatką. Zerwałem z nią, bo czułem się jak ostatnia szuja.

— Dzięki tobie jest szczęśliwa, dzięki niej ty jesteś szczęśliwy. Kiedy jej mąż wróci z wojny, o ile wróci, sytuacja sama się rozwiąże.

— I co ja mam wtedy zrobić?

— To już ty zdecydujesz.

— Zostanę ze złamanym sercem, ot co. Mam hyzia na jej punkcie.

— W takim razie bądź z nią i ciesz się nią.

— Jest jeszcze coś.

Harry powiedział Vicary'emu, skąd się bierze jego poczucie winy: oto on siedzi bezpiecznie w Londynie, łapiąc szpiegów, podczas gdy mąż Grace i inni mężczyźni ryzykują życie na linii frontu.

— Nie wiem, jak bym się zachował podczas walki, jak bym postąpił. Czy okazałbym się bohaterem, czy tchórzem. Poza tym nie wiem, czy tutaj w ogóle robię coś przydatnego. Mogę wyliczyć stu innych detektywów równie dobrych jak ja. Czasem mam ochotę zrezygnować z tego i zaciągnąć się do wojska.

— Nie opowiadaj bzdur, Harry. Robiąc to, co do ciebie należy, ratujesz życie żołnierzom z linii frontu. Inwazję na Francję wygramy albo przegramy, jeszcze zanim pierwszy żołnierz postawi stopę na francuskiej ziemi. Od tego, co robisz, może zależeć życie tysięcy ludzi. Kiedy ogarniają cię wątpliwości, spójrz na to z tej strony. Zresztą, w tym momencie jesteś mi potrzebny. Tylko tobie mogę tutaj zaufać.

Przez chwilę siedzieli w pełnym zażenowania niezręcznym milczeniu, jak to zwykle bywa u Anglików, gdy wypowiedzą na głos swe najskrytsze myśli. W końcu Harry wstał i ruszył do drzwi. Zatrzymał się jednak i

obejrzał.

— A co z tobą, Alfredzie? Dlaczego nie ma nikogo w twoim życiu? Dlaczego nie zejdziesz na dół i nie poszukasz jakiejś milej kobiety, z którą mógłbyś spędzić czas?

Vicary zaczął się obmacywać po kieszeniach w poszukiwaniu okularów, wreszcie wsadził je sobie na nos.

— Dobranoc, Harry — oświadczył nieco za bardzo zdecydowanie, przerzucając stertę papierów na biurku. — Baw się dobrze na przyjęciu. Do zobaczenia rano.

Po wyjściu kolegi sięgnął po telefon i wykręcił numer Boothby'ego. Był zaskoczony, kiedy zwierzchnik sam odebrał. Na pytanie Vicary'ego, czy sir Basil ma chwilę czasu, spytał sucho, czy to nie może poczekać do poniedziałku. Vicary odrzekł, że to ważne. Sir Basil obiecał mu poświęcić pięć minut i kazał natychmiast przyjść na górę.

— Napisałem notatkę dla generała Eisenhowera, generała Bettsa i premiera — powiedział Vicary, zapoznawszy Boothby'ego z najnowszymi odkryciami Harry'ego.

Wręczył kartkę zwierzchnikowi, który dalej stał lekko rozkraczony, jakby dla utrzymania równowagi. Spieszył się; chciał jak najszybciej wyjechać na wieś. Sekretarka przygotowała mu już aktówkę z tajnymi dokumentami, z którymi miał się zapoznać podczas weekendu, i małą skórzaną torbę z rzeczami osobistymi. Boothby miał zarzucony na ramiona płaszcz, rękawy zwisały po obu bokach.

— Moim zdaniem dalsze utrzymywanie sprawy w tajemnicy przed nimi stanowiłoby zaniedbanie obowiązków, sir Basilu.

Boothby dalej czytał, Vicary poznawał to po ruchu warg. Sir Basil tak mocno mrużył oczy, że prawie zupełnie zniknęły pod krzaczastymi brwiami. Starał się udawać, że nadal cieszy się doskonałym wzrokiem, i nie chciał w obecności podwładnych nosić okularów do czytania.

— Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy, Alfredzie — stwierdził teraz, wymachując kartką.

Problem, raz omówiony, nigdy więcej nie powinien wracać — to była jedna z maksym sir Basila, tak na gruncie prywatnym, jak i zawodowym. Często wpadał w rozdrażnienie, jeśli podwładni na nowo poruszali kwestię raz zamkniętą. Namysł i powracanie do sprawy charakteryzowały słabsze umysły. Sir Basil nade wszystko cenił szybką decyzję. Vicary zerknął na biurko generała. Czyste, wypolerowane, bez żadnej kartki czy notatek: symbol sposobu kierowania Boothby'ego.

— Rzeczywiście, już o tym rozmawialiśmy, sir Basilu — odparł Vicary cierpliwie — ale sytuacja się zmieniła. Wygląda na to, że Niemcom udało się wprowadzić do kraju szpiega i że ten szpieg spotkał się z agentką już tu mieszkającą. Należy się spodziewać, że ich operacja, a może to być każda operacja, już się rozpoczęła. Przetrzymywać taką informację zamiast puścić ją w obieg to igranie z ogniem.

— Bzdura — warknął Boothby.

— Dlaczego bzdura?

— Ponieważ ten wydział za nic nie powiadomi Amerykanów i premiera, że nie potrafi się wywiązać ze swych obowiązków. Że nie potrafi zapanować nad zagrożeniem, jakie stanowią dla przygotowań do inwazji niemieccy szpiegowie.

— To nie jest wystarczająco mocny argument. Nie usprawiedliwia ukrywania tej informacji.

— Jest wystarczająco mocny, Alfredzie, jeśli ja tak mówię. Rozmowy z Boothbym często przypominały kota uginającego się za własnym ogonem: niekonsekwencje, blef, odwracanie uwagi, próby, kto kogo przegada. Vicary sędziowskim gestem oparł brodę na dłoniach i udawał, że podziwia wzór na drogim dywanie Boothby'ego. W pokoju zapadła cisza, przerywana skrzypem podłogi uginającej się pod masywną postacią generała.

— Czy przekaże pan moją notatkę dyrektorowi generalnemu? — spytał Vicary, uważając, by w jego głosie nie zabrzmiała pogróżka.

— Absolutnie nie.

— W takim razie jestem gotów sam się udać do dyrektora. Boothby schylił się, tak że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Vicary'ego. Siedzący na głębokiej kanapie Vicary poczuł zapach dżinu i papierosów.

— A ja jestem gotów pana zmiażdżyć, Alfredzie.

— Sir Basilu...

— Pozwoli pan, że mu przypomnę, jak działa ten system. Pan melduje się u mnie, a ja u dyrektora generalnego. Złożył mi pan sprawozdanie i uznałem, że w tym momencie nie należy jeszcze kierować sprawy do najwyższych władz.

— Istnieje jeszcze inne rozwiązanie.

Boothby poderwał głowę, jakby dostał pięścią w twarz. Szybko zapanował nad sobą, gniewnie zaciskając zęby.

— Nie składam raportów premierowi i nie jestem na jego usługi. Jeśli jednak pominie pan drogę służbową i skontaktuje się bezpośrednio z Churchillem, postawię pana przed komisją kontroli wewnętrznej. A kiedy oni z panem skończą, będzie już tylko potrzebna pana kartoteka dentystyczna do identyfikacji zwłok.

— To skrajna nieuczciwość.

— Czyżby? Od kiedy przejął pan tę sprawę, klęska goni klęskę. Na Boga, Alfredzie, jeszcze paru takich niemieckich szpiegów na wolności, a będą mogli założyć drużynę rugby.

Vicary nie dał się zastraszyć.

— Jeśli nie przekaże pan mojego raportu dyrektorowi generalnemu, to chcę, by w aktach tej sprawy odnotowano, że wyszedłem z taką sugestią, a pan ją odrzucił — powiedział.

Kąciki ust Boothby'ego uniosły się w lekkim uśmiešku. Asekurowanie się — rozumiał to i doceniał.

— Już teraz zabiega pan o swoje miejsce w historii, Alfredzie?

— Jest pan skończonym łajdakiem, sir Basilu. A do tego niekompetentnym.

— Zwracacie się do starszego rangą, majorze Vicary!

— Proszę mi wierzyć, ironia tego nie umknęła mej uwagi. Boothby chwycił teczkę i torbę, po czym zmierzył Vicary'ego wzrokiem.

— Wiele się pan jeszcze musi nauczyć.

— Sądzę, że mógłbym się nauczyć od pana.

— A cóż to, na miłosierdzie boskie, ma znowu znaczyć? Vicary wstał.

— Że powinien pan zacząć się bardziej przejmować bezpieczeństwem ojczyzny, a mniej budowaniem kariery w Whitehall.

Boothby uśmiechnął się leniwie, jakby chciał uwieść dzierlatkę.

— Ależ mój drogi Alfredzie — odparł — zawsze uważałem, że obie te rzeczy ściśle się ze sobą wiążą.

Rozdział ósmy

Wschodni Londyn

Następnego wieczoru, szybkim krokiem zdążając do magazynu Pope'a, Catherine Blake niosła w torebce sztylet. Zażądała spotkania sam na sam z Vernonem Pope'em i teraz, zbliżając się do budynku, nie dostrzegła żadnego z jego ludzi. Zatrzymała się przy bramie i podniosła rygiel. Tak jak obiecał Pope, nie był zablokowany. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

W magazynie panował półmrok, rozjaśniony jedynie lampą wiszącą w głębi pomieszczenia. Catherine ruszyła w stronę światła i windy towarowej. Weszła do niej, zasunęła kratę i nacisnęła guzik. Winda sieknęła, drgnęła i uniosła ją do gabinetu Pope'a.

Catherine wysiadła na niewielkim podeście przed czarnymi podwójnymi drzwiami. Zastukała i usłyszała z drugiej strony zaproszenie Pope'a. Stał przy wózku z trunkami, w jednej ręce trzymał butelkę szampana, w drugiej kieliszki. Kiedy podeszła, wyciągnął ku niej kieliszek.

— Nie, dziękuję — odparła. — Przyszłam tylko na chwilę.

— Nalegam. Rozstaliśmy się w nieco napiętej atmosferze. Chcę ci to teraz zrekompensować.

— To dlatego kazał mnie pan śledzić? — spytała, przyjmując szampana.

— Każdego każe śledzić, kochanie. Dzięki temu funkcjonuję. Moi chłopcy są w tym niezli, o czym sama się przekonasz, czytając ten raport. — Podał Catherine kopertę, ale cofnął ją, gdy wyciągnęła rękę. — Właśnie dlatego byłem taki zaskoczony, że udało ci się uciec

Dicky'emu. Sprytnie pomyślane: wejść do metra, a potem wskoczyć do autobusu.

— Po prostu zmieniłam plany.

Spróbowała szampana. Był doskonale schłodzony i pyszny.

Pope wyciągnął rękę z kopertą i tym razem pozwolił Catherine ją wziąć. Odstawiła kieliszek i zajrzała do środka.

Właśnie czegoś takiego potrzebowała. Była to rozpisana niemal co do minuty relacja z ruchów Jordana: gdzie pracował, w jakich godzinach, gdzie jadał i chodził na drinki, nawet imię jego przyjaciela.

Kiedy skończyła czytać, Pope wyjął szampana z wiaderka i nalał sobie kolejną porcję. Catherine sięgnęła do torebki i położyła pieniądze na stole.

— Proszę, oto druga połowa. Sądzę, że na tym zakończyliśmy nasze sprawy. Bardzo panu dziękuję.

Wkładała raport o Peterze Jordanie do portfela, kiedy Pope przysunął się do niej i schwycił ją za rękę.

— Właściwie, moja droga Catherine, to dopiero je zaczęliśmy.

— Jeśli chce pan więcej pieniędzy...

— Och, na pewno chcę więcej. A jeśli nie chcesz, żebym zadzwonił na policję, to mi je dasz. — Przysunął się jeszcze o krok, napierając na nią ciałem i przeciągnął ręką po jej biuście. — Ale chcę od ciebie jeszcze czegoś.

Drzwi sypialni się otworzyły i pojawiła się w nich Vivie ubrana tylko w jedną z koszul Vernona, rozpiętą do pasa.

— Vivie, poznaj Catherine — przedstawił Pope. — Czarująca Catherine zgodziła się z nami spędzić wieczór.

Berlińska szkoła dla szpiegów Abwehry nie

przygotowała ją na taką sytuację. Uczyli ją, jak liczyć oddziały, jak oszacować siły wroga, korzystać z radia, rozpoznawać rodzaj wojska i twarze wyższych oficerów. Ale ani słowem nie wspomnieli, jak sobie poradzić z londyńskim gangsterem i jego zboczoną dziewczyną, którzy zamierzali dzielić się jej ciałem. Catherine miała wrażenie, że znalazła się w jakimś dziwnym śnie erotycznym nastolatki.

To nie może się dzieć naprawdę — pomyślała. Ale to się działo i Catherine nie mogła sobie przypomnieć żadnego elementu szkolenia, które pomogłoby jej wybrnąć z tej sytuacji.

Vernon Pope zaprowadził ją do sypialni. Pchnął ją na łóżko, a sam zajął miejsce w fotelu w rogu. Vivie stanęła przed Catherine, rozpinając dwa ostatnie guziki koszuli. Miała drobne, jędrne piersi i białą skórę, która jaśniała w przyciemnionym pokoju. Chwyciła Catherine za głowę i przyciągnęła ją sobie do piersi. Catherine włączyła się do perwersyjnej gry i wzięła do ust brodawkę dziewczyny, równocześnie zastanawiając się, jak najsprawniej ich oboje zabić.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli raz ulegnie szantażowi, nigdy się nie wyzwoli. Jej zasoby finansowe nie były nieograniczone. Vernon Pope bardzo szybko by ją wydoił. Bez pieniędzy zaś stałaby się bezużyteczna. Uznała, że ryzyko jest niewielkie. Będzie tylko musiała starannie zatrzeć ślady. Żaden z braci Pope ani ich ludzi nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Wiedzieli tylko, że pracowała jako wolontariuszka w szpitalu Świętego Tomasza, a Catherine podawała tam fałszywy adres. Na policję też nie pójdą zbyt chętnie. Policja zaczęłaby zadawać pytania — a szczerze odpowiedzi równałyby się przyznaniu, że za pieniądze śledzili oficera amerykańskiej marynarki wojennej.

Wszystko to przemawiało za jak najszybszym i jak najdyskretniejszym zabiciem Vernona Pope'a.

Catherine wzięła do ust drugą pierś Vivie i ssła ją, póki nie nabrzmiała. Vivie odrzuciła głowę, jęknęła. Chwyła rękę Catherine i poprowadziła między swoje nogi. Już była rozpalona i wilgotna. Catherine wyłączyła wszelkie uczucia. Po prostu mechanicznie wykonywała czynności dające rozkosz tej kobiecie. Nie czuła strachu ani obrzydzenia, po prostu starała się zachować spokój i jasność myślenia. Vivie zaczęła, się mocniej ocierać o palce Catherine, a po chwili jej ciało przeszył spazm rozkoszy.

Pchnęła Catherine na łóżko, siadła na niej okrakiem i rozpinała guziki jej swetra. Wyswobodziła ze stanika jej piersi, pieścąc je. Catherine dostrzegła, że Vernon wstaje z miejsca i zaczyna się rozbierać. Dopiero teraz ogarnął ją niepokój. Nie chciała go na sobie ani w sobie. Może się okazać okrutnym i sadystycznym kochankiem. Może ją skrzywdzić. Na plecach, rozkrzyżowana, będzie bezbronna wobec jego ciała i siły. Wszystkie techniki walki, których nauczyła się w szkole Abwehry, opierały się na szybkości i gibkości. Przygnieciona ciężkim ciałem Vernona Pope'a będzie bezbronna.

Musi się włączyć do ich gry. Co więcej, musi ją kontrolować.

Wyciągnęła ręce i objęła pieścotliwie dłońmi piersi Vivie. Vernon pochłaniał je wzrokiem, rozkoszując się widokiem dwóch kochających się kobiet. Przyciągnęła do siebie Vivie, poprowadziła jej usta do swoich piersi. Pomyślała, że teraz byłoby łatwo schwycić głowę Vivie i przekręcać, aż usłyszy trzask pękającego kręgosłupa. Ale to byłby błąd. Najpierw musi zabić Pope'a. Potem bez trudu sobie poradzi z Vivie.

Nim Vernon zdążył się na niej położyć, siadła i

pocałowała go. Wstała, podczas gdy jego język szalał w jej ustach. Zapanowała nad odruchem wymiotnym. Przez chwilę zastanawiała się, czyby mu nie pozwolić się z nią kochać i zabić go po wszystkim, gdy ogarnie go senność i rozleniwienie. Nie chciała jednak, by gra posunęła się o krok dalej, niż to konieczne.

Pogładziła jego członek. Jęknął i mocniej ją pocałował.

W tym momencie był bezbronny. Pchnęła go na łóżko, leżał teraz na plecach.

I w tej samej chwili bezlitośnie wbiła mu kolano w jądra.

Pope zwinął się z bólu, chwytając się za bolące miejsce i próbując schwytać powietrze. Vivie wrzasnęła.

Catherine błyskawicznie się odwróciła i wycelowała łokciem w nos Pope'a. Usłyszała trzask pękającej kości. Pope runął na podłogę, z nosa lała mu się krew. Vivie klęczała na łóżku, nie przestając piszczeć. W tym momencie nie stanowiła dla Catherine zagrożenia.

Catherine odwróciła się i błyskawicznie rzuciła do drzwi. Pope, ciągle leżący na podłodze, zamachnął się nogą.

Trafił ją w prawą kostkę, tak że sama się podcięła. Runęła na podłogę z takim impetem, że dech jej zaparło. Przez moment widziała gwiazdy i łzy napłynęły jej do oczu. Bała się, że straci przytomność.

Dźwignęła się na ręce i kolana i już miała się podnieść, kiedy Pope chwycił ją za kostkę i zaczął wlec do siebie. Szybko przetoczyła się na bok i obcasem uderzyła prosto w jego złamany nos.

Pope zawył rozpaczliwie, ale mocniej zacisnął rękę na jej kostce.

Kopnęła drugi raz, trzeci.

W końcu puścił.

Z trudem wstała, dobiegła do kanapy, gdzie Pope kazał

jej zostawić torebkę. Otworzyła ją i odsunęła suwak bocznej kieszonki. Sztylet był na miejscu. Ujęła rękojeść i nacisnęła dźwignię. Ostrze wyskoczyło na miejsce.

Pope już był na nogach, wyciągnął ręce, po omacku próbując schwytać Catherine. Zawiirowała i z całej siły zamierzyła się sztyletem. Czubek rozdarł skórę na prawym ramieniu Pope'a.

Lewą ręką osłonił ranę, wrzasnął z bólu, kiedy zaczęła z niej tryskać krew. Abwehra nauczyła Catherine jeszcze jednego sposobu zabijania. Na samą myśl o tym aż się kurczyła. Ale teraz będzie musiała się nim posłużyć. Nie ma innego wyjścia.

Podeszła krok bliżej, zamachnęła się i wbiła sztylet Vernonowi Pope'owi prosto w oko.

Vivie leżała zwinięta w kłębek w kącie i szlochala histerycznie. Catherine wzięła ją pod rękę, podciągnęła i pchnęła na ścianę.

— Proszę... Nie rób mi krzywdy.

— Nie zrobię ci krzywdy.

— Nie rób mi krzywdy.

— Nie zrobię ci krzywdy.

— Obiecuję, że nikomu nie powiem, nawet Robertowi.

Przysięgam.

— Ani policji?

— Nie powiem policji.

— Dobrze. Wiedziałam, że mogę ci ufać.

Catherine gładziła ją po włosach, twarzy. Vivie się odprężała. Zwiotczała, i Catherine musiała ją przytrzymać, żeby nie upadła na podłogę.

— Kim jesteś? — spytała Vivie. — Jak mogłaś mu to zrobić? Catherine nie odpowiedziała. Głaskała Vivie po głowie, drugą ręką delikatnie szukając miękkiego zagłębienia pod żebrami. Vivie szeroko otworzyła oczy,

kiedy sztylet przebił jej serce. Z jej ust wyrwał się okrzyk bólu, zmienił się w cichy bulgot. Umarła szybko i cicho, niewidzącymi oczami wpatrując się w Catherine.

Catherine puściła ciało. Zsunęło się po ścianie, ten ruch wypchnął sztylet z serca. Catherine popatrzyła na trupy, krew.

Dobry Boże, co oni ze mnie zrobili?

A potem osunęła się na klęczki obok martwej Vivie i z wymiotowała.

Ze zdumiewającym spokojem przygotowywała się do wyjścia. W łazience oplukała krew z rąk, twarzy i ostrza sztyletu. Nic nie mogła poradzić na plamy na swetrze — jedynie ukryć je pod skórzanym płaszczem. Przeszła przez sypialnię, omijając ciało Vivie, potem do drugiego pokoju. Stała przy oknie i wyjrzała na ulicę. Pope chyba dotrzymał słowa. Przed magazynem nie było nikogo. Ale jutro z pewnością znajdą ciało szefa, a wtedy ruszą na poszukiwanie. Na razie jednak nic jej nie grozi. Wzięła torebkę i zabrała ze stolika sto funtów, które wręczyła Pope'owi. Windą zjechała na dół i wtopiła się w mrok nocy.

Rozdział dziewiąty

Wschodni Londyn

W przeciwieństwie do większości przedstawicieli swej profesji inspektor Andrew Kidlington jak ognia unikał oglądania nieboszczyków. Dawno już stracił zainteresowanie dla co bardziej obrzydliwych aspektów swego zawodu, zwłaszcza od kiedy zaczął nauczać w swej parafii jako świecki kaznodzieja. Otoczył się grupą profesjonalistów i wolał im dawać wolną rękę. Krążyły legendy o tym, jak to więcej odkryje w sprawie morderstwa na podstawie dobrego raportu, niż wizyty w miejscu zbrodni i jak dba, by każdy świstek papieru z wydziału trafił na jego biurko. Nie co dzień zdarzało się jednak, by zadźgano nożem człowieka pokroju Vernona Pope'a. To inspektor musiał obejrzeć osobiście.

Umundurowany policjant, trzymający straż przed drzwiami magazynu, odsunął się, robiąc Kidlingtonowi przejście.

— Winda jest na drugim końcu magazynu, panie inspektorze. Proszę pojechać na pierwsze piętro. Na podeście stoi nasz człowiek. On wskaże panu drogę.

Kidlington wolno wszedł do środka. Był wysokim, masywnym mężczyzną, z kręconymi szpakowatymi włosami i miną człowieka, który właśnie ma przekazać złe wieści. W rezultacie jego ludzie chodzili wokół niego na paluszkach.

Młody sierżant nazwiskiem Meadows czekał na niego na podeście. Meadows był zbyt ostentacyjny jak na gust inspektora i zanadto się zadawał z kobietami. To jednak nie umniejszało jego umiejętności dochodzeniowych i chłopak szykował się do awansu.

— Niezły tu bałagan, panie inspektorze — powiedział Meadows, wpuszczając inspektora do pokoju.

Kidlington poczuł w powietrzu woń krwi. Vernon Pope leżał na orientalnym dywanie przy kanapie. Ciemna plama rozciągała się poza szare prześcieradło, którym go przykryto. Inspektor trzydzieści lat przepracował w stołecznej policji, ale w gardle wyrosła mu kula, gdy Meadows przyklął przy ciele i odsłonił nieboszczyka.

— Dobry Boże! — rzekł stłumionym głosem. Skrzywił się i na chwilę odwrócił, by odzyskać panowanie nad sobą.

— Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego — przytaknął Meadows.

Vernon Pope leżał w kałuży czarnej, skrzeplej krwi, nagi, twarzą do góry. Kidlington na pierwszy rzut oka dostrzegł, że śmiertelną ranę zadano gangsterowi dopiero po gwałtownej walce. Duża, poszarpana rana rozcinała ramię. Nos był solidnie złamany. Krew z dziurek spłynęła do otwartych ust, jakby ułożonych do ostatniego krzyku. No i oko. Kidlington z trudem się zmusił, by na nie spojrzeć. Krew i płyn oczny spłynęły na policzek. Gałka była zniszczona, nie widział źrenicy. Dopiero sekcja wykaże, jak głęboko sięgnęło ostrze, ale to ten cios wyglądał na śmiertelny. Ktoś wbił coś w oko Vernona Pope'a, sięgając aż do mózgu.

— Przybliżona pora zgonu? — przerwał milczenie Kidlington.

— Ubiegła noc, może wczesny wieczór.

— Narzędzie zbrodni?

— Trudno powiedzieć. Z pewnością nie był to zwyczajny nóż.. Niech pan spojrzy na ranę na ramieniu. Brzegi są poszarpane.

— Wniosek?

— Coś ostrego. Śrubokręt, może szczypce do lodu.

Kidlington rozejrzał się po pokoju.

— **Szczypce Pope'a nadal leżą na wózku z trunkami. Raczej trzeba je wykluczyć, no, chyba że morderca chodzi po mieście z własnymi. — Kidlington znowu skupił się na nieboszczyku. — Moim zdaniem to sztylet. Sztyletem się kłuje, nie siecze. W ten sposób dałoby się wytłumaczyć poszarpaną ranę barku i czyste przebicie oka.**

— **Zgadza się, panie inspektorze.**

Kidlington dość się już napatrzył. Wstał i gestem nakazał Meadowsowi zakryć ciało.

— **Kobieta?**

— **W sypialni. Tędy, panie inspektorze.**

Blady, głęboko wstrząśnięty Robert Pope siedział na miejscu pasażera, gdy z Dickim Dobbsem mknęli w stronę szpitala Świętego Tomasza. To Robert dziś rano znalazł ciała brata i jego kochanki. Czekał na Vernona w kafejce, w której co rano jedli śniadanie, i zaniepokoił się, gdy brat się nie pojawił. Ściągnął Dicky'ego i razem poszli do magazynu. Na widok ciał wrzasnął i wdepnął w szklany stolik.

Robert i Vernon byli realistami. Zdawali sobie sprawę, że pracują w niebezpiecznej branży i obaj mogą młodo umrzeć. Jak każde rodzeństwo czasem się kłócili, ale Robert Pope kochał swojego starszego brata jak nikogo innego. Vernon zastępował mu ojca — bezrobotnego, wybuchowego pijusa, który pewnego dnia odszedł i więcej się nie pojawił. Roberta przeraziła nie tyle śmierć Vernona, co jej rodzaj: zabity ciosem w oko, zostawiony nagi na podłodze. I niewinna Vivie trafiona w samo serce.

Możliwe, że morderstwo było sprawką ich przeciwników. Interesy braci Pope w czasie wojny kwitły,

więc zapuścili się na nowe terytoria. Ale gangsterzy inaczej likwidowali swoich wrogów. Robert podejrzewał, że to się wiązało z tą kobietą, Catherine, czy jak jej tam. Zadzwoił na policję, nie podając nazwiska — i tak kiedyś musiano by ją zawiadomić — ale nie liczył, że odnajdą mordercę jego brata. Tym musiał się zająć sam.

Dicky zaparkował nad brzegiem rzeki i wejściem służbowym wszedł do szpitala. Wrócił po pięciu minutach.

— Był na miejscu? — zapytał Pope.

— Taa. Sądzi, że uda mu się go zdobyć.

— Ile to potrwa?

— Dwadzieścia minut.

Po półgodzinie ze szpitala wynurzył się chudy mężczyzna w stroju sanitariusza, o zapadniętej twarzy. Przydreptał do furgonetki. Dicky opuścił szybę.

— Mam, panie Pope — odezwał się mężczyzna. — Dała mi go dziewczyna z biura. Powiedziała, że to wbrew przepisom, ale jakoś ją ugadałem. Obiecałem, że dostanie piąta. Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa.

Dicky wyciągnął rękę i sanitariusz podał mu kawałek papieru. Dicky wręczył go Pope'owi.

— Dobra robota, Sammy — pochwalił Pope, zerknąwszy na kartkę. — Zapłać mu, Dicky.

Sanitariusz wziął pieniądze. Na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie.

— Co się stało, Sammy? Dycha, tak jak obiecałem.

— A co z piątkiem dla dziewczyny?

— To twoje koszta — odparł Robert.

— Ale panie Pope...

— Sammy, lepiej ze mną teraz nie zadzieraj. Dicky wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

— Gdzie to jest? — spytał.

— W Islington. Jazda!

Pani Eunice Wright, właścicielka domu przy Norton Lane 23 w Islington, bardzo przypominała swoją posiadłość: wysoka, chuda, gdzieś między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, cała bardzo wiktoriańska w postawie i zachowaniu. Nie wiedziała — ani nigdy się nie dowie, nawet po zakończeniu całego nieprzyjemnego incydentu — że jej adres jako swoje miejsce zamieszkania podała agentka niemieckiego wywiadu, ukrywająca się pod nazwiskiem Catherine Blake. Od dwóch tygodni Eunice Wright czekała na fachowca, który miał naprawić pęknięty zbiornik z wodą. Przed wojną lokatorami jej dobrze prowadzonego pensjonatu byli przede wszystkim młodzi panowie, którzy chętnie pomagali, gdy coś się popsuło w rurach albo kuchni. Teraz wszyscy młodzieńcy poszli na wojnę. Jej syn — zawsze żywo obecny w jej myślach — walczył gdzieś w Afryce Północnej. Nie przepadała za swoimi terażniejszymi lokatorami: dwóch staruszków, którzy przeważnie wspominali ostatnią wojnę, dwie dość tępe panny, które opuściły obrzydliwą wioskę we wschodnich Midlandach, by pracować w fabryce w Londynie. Jak żył Leonard, to on doglądał wszelkich napraw, ale Leonard zmarł przed dziesięciu laty.

Stała w oknie salonu, popijając herbatę. W domu było cicho. Mężczyźni na górze grali w warcaby. Kazała im cicho przesuwac pionki, żeby nie obudzili dziewcząt, które właśnie wróciły z nocnej zmiany. Znudzona włączyła radio i słuchała wiadomości w BBC. Furgonetka, która zatrzymała się przed domem, wydała jej się dziwna. Nie zauważyła na niej żadnych napisów — żadnej nazwy firmy — a dwaj mężczyźni w szoferce zgoła nie przypominali hydraulików. Ten za kierownicą był wysoki i gruby, miał

króciutko przystrzyżone włosy, a kark tak masywny, że odnosiło się wrażenie, jakby mu głowę przyczepiono bezpośrednio do ramion. Drugi, drobniejszy, ciemnowłosy, toczył wściekłym spojrzeniem. I ubrania mieli jakieś dziwne. Zamiast kombinezonów garnitury — i to chyba dość drogie.

Otworzyli drzwiczki i wysiedli. Eunice zauważyła, że nie wzięli narzędzi. Może najpierw chcieli obejrzyć uszkodzenie, a dopiero potem przywlec sprzęt do domu. Przyjrzała im się baczniej, kiedy szli w stronę drzwi. Wyglądali na całkiem zdrowych. Dlaczego nie służą w wojsku? Co chwila zerkali przez ramię, jakby nie chcieli, by ktoś ich dostrzegł. Pani Wright nagle pożałowała, że nie ma tu Leonarda.

Stukanie wcale nie było uprzejme. Wyobrażała sobie, że właśnie w ten sposób walą do drzwi policjanci, gdy się spodziewają zastać po drugiej stronie kryminalistę. Kolejne łomotanie, tak mocne, że zadźwięczały szyby w salonie.

Na górze partyjka warcabów nagle przycichła.

Eunice podeszła do drzwi. Powtarzała sobie, że nie ma się czego bać, po prostu tej dwójce brak dobrego wychowania, typowego dla większości angielskich fachowców. Jest wojna. Doświadczeni rzemieślnicy służą przy naprawie sprzętu wojskowego. Słabi — tacy jak ta parka u jej drzwi — obsługują cywili.

Wolno uchyliła drzwi. Chciała poprosić, by zachowali ciszę i nie pobudzili dziewcząt. Ale nawet nie dobyła z siebie słowa. Duży — ten bez karku — ramieniem pchnął drzwi i łapą zatkał jej usta. Eunice próbowała krzyknąć, lecz głos nagle ugrzązł jej w gardle.

Drobniejszy przysunął usta do jej ucha i szepnął ze spokojem, który jeszcze bardziej ją przeraził:

— Tylko nam daj to, czego chcemy, kochaniutka, a

nikomu nic się nie stanie.

A potem minął ją i popędził na górę.

Sierżant Meadows uważał się za swego rodzaju autorytet od gangu Pope'a. Wiedział, jak zarabiają — legalnie i nielegalnie — z imienia i twarzy znał większość członków grupy. Dlatego kiedy usłyszał rysopis dwóch mężczyzn, którzy właśnie najechali pensjonat w Islington, zwinął interes na miejscu zabójstwa i ruszył osobiście zbadać sprawę. Opis jednego mężczyzny pasował do Richarda „Dicky'ego” Dobbsa, pierwszego ochroniarza i faceta od mokrej roboty Pope'a. Opis drugiego zaś do samego Roberta Pope'a.

Meadows, jak to miał w zwyczaju, krążył po salonie, podczas gdy Eunice Wright, sztywno wyprostowana w krześle, cierpliwie po raz kolejny relacjonowała przebieg wydarzeń, choć robiła to już dwukrotnie. Filiżankę herbaty zastąpił kieliszek słabej sherry. Na twarzy kobiety został odcisk dłoni napastnika, miała też guza po pchnięciu na podłogę. Poza tym nie odniosła większych obrażeń.

— I nie powiedzieli pani, kogo albo czego szukają? — dopytywał się Meadows, zatrzymując się na moment.

— Nie.

— W rozmowie między sobą rzucali jakieś imiona?

— Nie, chyba nie.

— Może przypadkowo zauważyła pani numer rejestracyjny furgonetki?

— Nie, ale opisałam samochód jednemu z policjantów.

— To bardzo popularny model, pani Wright. Niestety, sam opis wozu nie na wiele nam się zda. Jeden z moich ludzi popyta sąsiadów.

— Przykro mi — powiedziała, masując głowę.

— Dobrze się pani czuje?

— Nabił mi wielkiego guza, bandyta!

— Może powinna pani pójść do lekarza. Każę któremuś z policjantów, by panią podwiózł, kiedy już skończymy.

— Dziękuję. To bardzo miło z pana strony. Meadows włożył płaszcz przeciwdeszczowy.

— Może przypomina sobie pani coś, co jeszcze im się wymknęło?

— Cóż, było jeszcze coś. — Eunice Wright zawahała się i pokraśniała. — Przykro mi, ale użyli dość nieprzyzwoitego języka.

— Zapewniam, że nie poczuję się urażony.

— Ten mniejszy powiedział: „Jak dopadnę...” — zawahała się, zniżając głos, zażenowana. — „Jak dopadnę tę pieprzoną sukę, osobiście ją zabiję”.

Meadows zmarszczył brwi.

— Jest pani pewna?

— O tak. Człowiekowi nieprzywykłemu do takiego słownictwa trudno to zapomnieć.

— Rzeczywiście. — Podał jej wizytówkę. — Gdyby przyszło pani jeszcze coś do głowy, proszę koniecznie zadzwonić. Miłego dnia, pani Wright.

— Miłego dnia, inspektorze.

Meadows włożył czapkę. Więc szukają kobiety. Może to jednak nie ludzie Pope'a. Może po prostu dwóch typków szukających jakiejś dziewczyny. Może ta zbieżność rysopisów jest przypadkowa. Meadows nie wierzył w zbiegi okoliczności. Przejedzie się jeszcze raz do magazynu Pope'ow i popyta, czy ostatnio nie kręciła się tam jakaś kobieta.

Rozdział dziesiąty

Londyn

Catherine Blake przyjęła, że oficerom alianckim dopuszczonym do ważnych sekretów wojennych uświadomiono, jakie niebezpieczeństwo stanowią szpiegzy. Bo z jakiego innego powodu komandor porucznik Peter Jordan przykuwałby do ręki teczkę na krótki odcinek drogi dzielący go od Grosvenor Square? Założyła też, że ostrzeżono ich przed niebezpieczeństwem kontaktów z kobietami. Na początku wojny przed klubem często odwiedzanym przez brytyjskich oficerów widziała plakat. Przedstawiał on wspaniałą biuściastą blondynkę w wydekoltowanej sukni wieczorowej i oficera, który podawał jej ogień. Niżej biegł napis: „Buzia na kłódkę, ta ślicznotka ma główkę”. Catherine wydawało się to strasznie głupie. Nawet jeśli istniały takie kobiety — dziwki kręcące się po klubach i na przyjęciach, polujące na plotki i tajemnice — nic o nich nie słyszała. Ale przypuszczała, że ostrzeżenia mogą wyczulić Petera Jordana na piękną kobietę, która nagle stara się przykuć jego uwagę. Poza tym był bardzo inteligentnym, przystojnym mężczyzną o znacznej pozycji. Musiał starannie sobie dobrać towarzystwo. Świadczyła o tym tamta scena w Sa— voyu. Rozgniewał się na swojego przyjaciela Shepherd Ramseya, który umówił go z młodą, głupią pannicą. Będzie musiała bardzo ostrożnie go podejść.

Właśnie dlatego stała na rogu w pobliżu Vandyke Club, trzymając w ramionach torbę z jedzeniem.

Dochodziła szósta. Londyn był spowity mrokiem zaciemnienia. Światła samochodów dawały tę odrobinę światła, dzięki której Catherine mogła zobaczyć drzwi

klubu. Po kilku minutach wynurzył się z nich mężczyzna średniego wzrostu i o średniej budowie ciała. To był Peter Jordan. Zatrzymał się na chwilę, żeby zapiąć płaszcz. Jeśli będzie się trzymał ustalonego rytuału, przejdzie pieszo krótki odcinek dzielący go od domu. Jeśli od niego odstąpi i weźmie taksówkę, Catherine nie dopisze szczęście. Jutro wieczorem będzie musiała tu znowu wrócić i czekać z torbą pełną zakupów.

Jordan postawił kołnierz płaszcza i ruszył w jej stronę. Catherine Blake odczekała chwilę i nagle wyrosła tuż przed nim.

Ich zderzeniu towarzyszył trzask pękającej papierowej torby i grzechot puszek toczących się po chodniku.

— Przepraszam, nie zauważyłem pani. Proszę pozwolić sobie pomóc.

— Nie, to moja wina. Zapomniałam latarki i błąkałam się tu po omacku. Czuje się jak skończona kretynka.

— Nie, to moja wina. Próbowałam sobie udowodnić, że trafię do domu po ciemku. Proszę, tu jest latarka. Zaraz pani poświecę.

— Mógłby pan poświecić na chodnik? Zdaje się, że moje kartkowe jedzenie właśnie się toczy do Hyde Parku.

— Niech mnie pani weźmie za rękę.

— Dziękuję. A przy okazji, może już pan przestać mi świecić prosto w twarz.

— Przepraszam, ale jest pani taka...

— Jaka?

— Nic takiego. Ta torba z mąką chyba nie przeżyła.

— Nic się nie stało.

— Pomogę pani pozbierać rzeczy.

— Poradzę sobie, dziękuję.

— Nie, nalegam. I muszę pani oddać mąkę. W domu mam furię jedzenia. Problem w tym, że nie wiem, co z nim zrobić.

— To marynarka pana nie karmi?

— Skąd pani...

— Cóż, mundur i akcent pana zdradził. Zresztą, tylko amerykański oficer byłby na tyle nierozsądny, żeby specjalnie chodzić po Londynie bez latarki. Mieszkam tu od dziecka, a i tak po ciemku się gubię.

— Proszę, muszę pani oddać to, co się zniszczyło.

— Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, ale nie musi pan. Miło było na pana wpaść.

— Tak... Tak, bardzo miło.

— Czy byłby pan tak łaskaw i wskazał, którędy do Brompton Road?

— Tędy.

Odwróciła się i ruszyła w swoją stronę.

— Chwileczkę. Mam inną propozycję. Zatrzymała się i obejrzała.

— Jaką mianowicie?

— Może zgodziłaby się pani umówić ze mną kiedyś na drinka? Zawahała się i odparła:

— Wątpię, czy mam ochotę pić z obrzydliwym Amerykaninem, który upiera się chodzić po Londynie bez latarki. Ale wygląda pan w miarę nieszkodliwie. Dlatego odpowiedź brzmi: tak.

I znowu ruszyła w swoją stronę.

— Zaraz, niech pani poczeka. Nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

— Catherine — odparła. — Catherine Blake.

— Nie mam pani numeru telefonu! — zawołał bezradnie Jordan. Ale ona rozplynęła się w mroku i zniknęła.

Po powrocie do domu Peter Jordan poszedł prosto do gabinetu, chwycił za słuchawkę i wykręcił numer. Przedstawił się, a miły kobiecy głos kazał mu zostać na linii. Po chwili usłyszał drugi, charakterystyczny, z angielskim akcentem. Głos mężczyzny, którego znał jako Bruma.

Rozdział jedenasty

Kent, Anglia

Alfred Vicary żył w stanie skrajnego napięcia. Mimo olbrzymiej presji i wysiłku, który wiązał się z najnowszą sprawą, nie zaprzestał swojej podstawowej działalności — kontroli nad siatką Beckera. Brał pod uwagę prośbę o zwolnienie go z tego obowiązku do czasu, aż aresztuje szpiegów. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Siatka Beckera od początku do końca była jego dziełem. Jej stworzenie pochłonęło niezliczone godziny pracy, a jej podtrzymanie jeszcze więcej. Będzie nadal ją kontrolować, a równocześnie będzie próbował schwycić agentów. Straszliwe obciążenie. Czuł, że prawa powieka zaczyna mu drgać tak samo jak w czasie końcowych egzaminów w Cambridge; dostrzegał u siebie pierwsze objawy wyczerpania nerwowego.

Przepiórka — pod tym pseudonimem krył się zdemoralizowany kierowca ciężarówki, którego trasa — tak się składało — często wiodła przez zastrzeżone wojskowe obszary w Suffolk, Kencie i wschodnim Sussex. Jego poglądy były zgodne z poglądami sir Oswalda Mosleya, angielskiego faszysty, a zarobione na szpiegostwie pieniądze przepuszczał na dziwki. Czasem w drogę zabierał dziewczynę, żeby go zaspokajała w trakcie podróży. Lubił Karla Beckera, gdyż Becker zawsze trzymał w zapasie jakąś młodą panienkę i chętnie się nią dzielił, nawet z kimś takim jak Przepiórka.

Ale Przepiórka istniał tylko w wyobraźni Vicary'ego, na falach radiowych oraz w umysłach niemieckich oficerów wywiadu w Hamburgu. Ostatnie zdjęcia, jakie Luftwaffe zrobiła nad południowo— wschodnią Anglią, świadczyły o

jakimś ożywieniu na tym terenie, Berlin więc nakazał Beckerowi sprawdzić, co się tam dzieje, i za tydzień przekazać raport. Becker zlecił to Przepiórcie — a właściwie zrobił to za niego Vicary. Właśnie na tę okazję profesor czekał — żeby Abwehra sama poprosiła o fałszywe informacje o erzacu Pierwszej Grupy Armii Stanów Zjednoczonych rozbijającej się na południowym wschodzie Anglii.

Wedle ukutego przez Vicary'ego scenariusza Przepiórka przejechał w ciągu dnia przez Kent. W rzeczywistości zrobił to tego ranka sam Vicary na tylnym siedzeniu służbowego rovera. Z zagłębienia skórzanego fotela, osłonięty derką, Vicary wyobrażał sobie, jakie świadectwa obecności wojskowej wypatrzyłby agent pokroju Przepiórki. Mógł widzieć na drogach ciężarówki wojskowe. W pubie, w którym jadł lunch, mógł zauważyć grupkę amerykańskich wojskowych. Przy stacji, gdzie się zatrzymał, żeby zatankować, mogły mu wpaść w ucho pogłoski, że w pobliżu poszerza się drogi. Okruchy informacji, szczegóły bez znaczenia, ale doskonale się pokrywające z osobowością Przepiórki. Vicary nie mógł mu pozwolić wpaść na coś wyjątkowego, na przykład kwaterę generała Pattona; mocodawcy z Abwehry nigdy by nie uwierzyli, że agent pokroju Przepiórki byłby zdolny do takich odkryć. Ale te wskazówki Przepiórki wpasowywały się w cały plan dezorientacji wroga, uzupełniały obraz, który brytyjski kontrwywiad chciał odmalować przed oczami Niemców: olbrzymie siły aliantów, szykujące się do uderzenia przez La Manche na Calais.

W drodze powrotnej do Londynu Vicary sporządzał raport Przepiórki. Raport zostanie przełożony na szyfr Abwehry, a następnie, dziś późnym wieczorem, Karl Becker nada go do Hamburga. Vicary wyobraził sobie

kolejną nie dospaną albo całkiem bezsenną noc. Skończywszy sprawozdanie, przymknął oczy i oparł głowę o szybę, zamiast poduszki podkładając zrolowany płaszcz. Kolebanie samochodu i cichy pomruk silnika ukołysały go do lekkiej drzemki. Śniła mu się Francja, tyle że tym razem do jego łóżka w szpitalu polowym podszedł Boothby, a nie Brendan Evans. „Zginęło tysiące ludzi, Alfredzie, a wszystko to przez ciebie! Gdybyś złapał szpiegów, ci ludzie by dziś żyli!”. Vicary zmusił się do otwarcia powiek, przed oczami mignęły mu lasy i łąki. Znowu przysnął.

Tym razem śniło mu się, że leży w łóżku w piękny wiosenny poranek sprzed dwudziestu pięciu laty, poranek, gdy po raz pierwszy kochał się z Helen. Spędza weekend w posiadłości ojca Helen. Przez okno sypialni widzi poranne słońce, rzucające różowy blask na wzgórze. Właśnie dziś zamierzają z Helen powiadomić jej ojca o swoich planach małżeńskich. Słyszy ciche stukanie do drzwi — we śnie brzmi dokładnie tak samo jak wtedy — i odwróciwszy głowę dostrzega Helen, śliczną, rozespaną, która w samej koszuli nocnej wślizguje się do jego pokoju. Kładzie się obok niego i całuje go w usta. „Ukochany, myślałam o tobie cały ranek”. Sięga pod koc, rozpina mu piżamę i smukłymi, pięknymi palcami gładzi go leciutko. „Helen, myślałem, że chcesz poczekać, aż się po...”. Ucisza go pocałunkiem w usta. „Nie chcę o tym więcej rozmawiać. Ale musimy się spieszyć. Jeśli tato nas nakryje, zabije nas”. Ostrożnie, by nie urazić go w kolano, siada na nim. Podnosi koszulę i sama prowadzi go w głąb siebie. Alfred natyka się na przeszkodę. Helen mocniej napiera ciałem, głośno wciąga powietrze z bólu i oto kochanek już w niej jest. Przyciąga sobie do piersi jego dłonie. Już wcześniej ich dotykał, ale tylko przez ubranie i sztywną bieliznę. Teraz kołyszą się swobodnie pod koszulą, miękkie, wspaniałe. Próbuje

rozpiąć koszulę Helen, ale ona mu nie pozwala. „Szybko, kochanie, szybko”. Po wszystkim on chce, żeby została — chce ją obejmować, zrobić to jeszcze raz — lecz ona tylko poprawia koszulę nocną, całuje go i natychmiast wraca do siebie.

Obudził się na wschodnich obrzeżach Londynu z lekkim uśmiechem na twarzy. Pierwszy raz z Helen nie rozczarował go — tyle że okazał się inny, niż się spodziewał. W swoich młodzieńczych fantazjach zawsze kochał się z kobietami o olbrzymich piersiach, a one krzyczały i szlochały z rozkoszy. Tymczasem z Helen wszystko odbyło się powoli i spokojnie, a zamiast krzyczeć, uśmiechnęła się i ucałowała go czule. Brakowało namiętności, ale było cudownie. Dlatego cudownie, że kochał ją aż do bólu.

Tak samo to wyglądało z Alice Simpson, choć z innego powodu. Vicary ogromnie ją lubił, podejrzewał wręcz, że może być w niej zakochany — cokolwiek by to znaczyło. A przede wszystkim cenił jej towarzystwo. Była inteligentna, dowcipna, i podobnie jak Helen, odrobinę wyniosła. Wykładała literaturę w szkole dla dziewcząt i pisała nienadzwyczajne sztuki o bogaczach, którzy zawsze wiedli dogłębne spory o podstawowych problemach egzystencji przy kieliszku jasnej sherry i filizance herbaty Earl Grey w ładnie urządzonej saloniku. Pisała też, pod pseudonimem, romanse, które Vicary, choć nie przepadał za tym gatunkiem powieści, uważał za całkiem niezłe. Kiedyś Lillian Walford, jego sekretarka na uniwersytecie, przyłapała go na lekturze jednej z książek Alice Simpson. Następnego dnia przyniosła mu stertę powieści Barbary Cartland. Vicary z trudem je zmógł. Kiedy bohaterowie z romansów Alice się kochali, słyszeli huk fal i czuli, jak otwiera się nad nimi niebo. Tymczasem prawdziwa Alice była czuła, nieśmiała, nieco purytańska i zawsze nalegała,

by się kochali przy zgaszonym świetle. Niejednokrotnie Vicary przymykał oczy i pod powiekami widział Helen w białej koszuli nocnej, skąpaną w świetle poranka.

Wraz z wybuchem wojny jego związek z Alice Simpson rozluźnił się. Nadal przynajmniej raz w tygodniu rozmawiali przez telefon. W jednym z pierwszych nalotów straciła mieszkanie i na pewien czas przeniosła się do Vicary'ego. Okazjonalnie umawiali się na kolację, ale nie kochali się już od wielu miesięcy. Nagle Vicary zdał sobie sprawę, że pomyślał o Alice Simpson po raz pierwszy od dnia, kiedy Edward Kenton na podjeździe domku ciotki Matyldy wymówił imię Helen.

Ham Common, Surrey

Dużą, niezbyt zgrabną, trzypiętrową wiktoriańską rezydencję otaczała podwójna siatka i płot, chroniąc ją przed światem zewnętrznym. Na dziesięciu akrach rozstawiono hangary, w których mieszkała większość załogi. Po pierwszej wojnie teren ten znano jako Latchmere House: szpital psychiatryczny i ośrodek rehabilitacyjny dla ofiar nerwicy wojennej. Ale w 1939 roku przekształcono go w główny punkt przesłuchań oraz więzienie MI— 5, nadając wojskową nazwę Obóz 020.

W pomieszczeniu, do którego wprowadzono Vicary'ego, pachniało pleśnią, środkiem dezynfekcyjnym i jeszcze czymś, jakby gotowaną kapustą. Vicary nie miał na czym powiesić płaszcza — strażnicy wywiadu starannie dbali, by nie stworzyć więźniom okazji do samobójstwa — więc go nie zdjął. Zresztą było tu jak w średniowiecznych lochach: mokro i wilgotno, idealne środowisko dla infekcji. Cella posiadała tylko jedną rzecz, dzięki której stawała się nadzwyczaj użyteczna: wąską szparę, zastępującą okno,

przez którą doprowadzono antenę. Vicary otworzył pokrywę walizkowego radia Abwehry — przyniósł je ze sobą — tego samego, które w 1940 roku odebrał Beckerowi. Podłączył antenę i przekręcił gałkę. Na podświetlonej na złoto skali szukał odpowiedniej częstotliwości.

Ziewnął, przeciągnął się. Była za piętnaście dwunasta. Becker miał nadać komunikat o północy.

Czemu ta cholerna Abwehra wybiera takie dzikie godziny na transmisję? — pomyślał.

Karl Becker był oszustem, złodziejem, dewiantem — człowiekiem bez skrupułów i poczucia lojalności. A mimo to potrafił oczarować, błyszczeć inteligencją i w ciągu tych kilku lat między nim a Vicarym zrodziło się coś bliskiego przyjaźni zawodowej. Wszedł teraz do salki skuty, ściśnięty między dwoma potężnymi strażnikami. Strażnicy zdjęli mu kajdanki i zniknęli bez słowa. Becker uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Vicary uściśnął ją: była zimna jak piwniczny kamień.

W celi stał kiepsko wyheblowany stół i dwa stare, podniszczone krzesła. Vicary i Becker usiedli naprzeciwko siebie, jakby szykowali się do partii szachowej. Brzegi stołu były poprzypalane zapomnianymi papierosami. Vicary podał Beckerowi paczkę, a on, jak dziecko, natychmiast ją otworzył. Wewnątrz był karton papierosów i pudełko szwajcarskich czekoladek.

Becker spojrział na zawartość, potem na Vicary'ego.

— Papierosy i czekolada. Chyba nie zamierzasz mnie uwieść, Alfredzie?

Zachichotał lekko, ale życie więzienne go zmieniło. Szykowny francuski garnitur został zastąpiony burym, starannie wyprasowanym kombinezonem, który zdumiewająco dobrze na nim leżał. Oficjalnie Becker znajdował się na liście potencjalnych samobójców — co

Vicary uważał za absurdalne — i dlatego nosił rozczłapane klapki bez sznurówek. Cera — niegdyś opalona — pobladła do ziemistego, więziennego koloru. Drobną figurką nagle nabrała dyscypliny, którą narzuca pobyt w ciasnych miejscach: zniknęło gdzieś wymachiwanie ramionami i szaleńczy uśmiech, które Vicary znał z dawnych fotografii. Teraz Becker tkwił sztywno wyprostowany, jakby ktoś przykładał mu broń do pleców, i układał czekoladę, papierosy i zapalki, jakby ustanawiał granicę, za którą Vicary miał się nie zapuszczać.

Becker otworzył paczkę papierosów i wysunął dwa, jednym częstując Vicary'ego, drugiego zachowując dla siebie. Potarł zapalkę i podał ogień Vicary'emu, dopiero potem sobie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każdy ze wzrokiem wbitym w swój ulubiony punkt celi, niczym starzy druhowie, którzy już opowiedzieli sobie wszystkie dykteryjki, a teraz po prostu cieszą się swoim towarzystwem. Becker rozkoszował się papierosem, zatrzymując dym na języku, jakby kosztował doskonałego bordeaux; dopiero po chwili wypuszczał delikatny obłoczek i wydmuchiwał go ku niskiemu kamiennemu sufitowi. W małym pomieszczeniu dym zbierał im się nad głowami jak burzowe chmury.

— Proszę, uściskaj ode mnie Harry'ego — przemówił w końcu

Becker.

— Obiecuję.

— Poczciwy z niego człowiek. Może trochę zawzięty, jak każdy policjant. Ale nie jest zły.

— Zginąłbym bez niego.

— Co słyhać u braciszka Boothby'ego? Vicary westchnął przeciągle.

— Bez zmian.

— Wszyscy mamy swoich nazistów, Alfredzie.

— Zastanawiamy się nad wysłaniem go na drugą stronę. Becker ze śmiechem przypalił drugiego papierosa od niedopalka. — Widzę, że przyniosłeś moje radio. Jakichż to heroiczych czynów dokonałem teraz dla Trzeciej Rzeszy?

— Włamałeś się do siedziby premiera i wykradłeś wszystkie jego notatki.

Becker odrzucił głowę i roześmiał się krótko, ostro.

— Mam nadzieję, że żądam większej forsy od tych tanich drani! I nie fałszywek, które ostatnio wpakowały mnie w takie tarapaty.

— Oczywiście.

Becker zerknął na radio, potem na Vicary'ego.

— Za dawnych dobrych czasów położyłbyś rewolwer na stole i pozwolił samemu zakończyć sprawę. Teraz przynosisz mi radio, wyprodukowane przez jakąś świetną niemiecką firmę i muszę się zabijać kropkami i kreskami.

— Żyjemy w okropnym świecie, Karl. Ale nikt cię nie zmuszał, żebyś został szpiegiem.

— Lepsze to niż Wehrmacht — odparł Becker. — Jestem już stary, tak samo jak ty, Alfredzie. Zaciągnięto by mnie i wysłano gdzieś na wschód, żebym walczył z pieprzonymi Iwanami. Wielkie dzięki. Przeczekam wojnę tutaj, w moim miłym, przytulnym, angielskim wariatkowie.

Vicary sprawdził godzinę — dziesięć minut do rozpoczęcia transmisji. Wyjął z kieszeni zaszyfrowaną wiadomość, którą miał przesłać Becker. Następnie pokazał mu zdjęcie z paszportu Holenderki, Christy Kunst. Na twarzy Beckera coś błysnęło, potem zgasło.

— Wiesz, kto to jest, prawda, Karl?

— Znaleźliście Annę — powiedział z uśmiechem. — Dobra robota, Alfredzie. Naprawdę świetna robota. Brawo!

Vicary siedział jak człowiek nasłuchujący odległej melodii, dłonie oparł na stole, niczego nie notował. Wiedział, że najlepiej zadawać jak najmniej pytań, niech Becker sam go prowadzi. Tkwił nieruchomo, niby myśliwy, trzymając się wiatru. Nietknięty papieros wypalił się na metalowej popielniczce przy jego łokciu. Przez szczelinę w ścianie słyszał ulewę, siekącą w plac ćwiczeń. Becker jak zwykle zaczął opowieść od środka i od siebie. Przez pewien czas zachowywał wojskową postawę, ale w miarę jak rozwijała się opowieść, zaczął gestykulować, tkać ją przed oczami Vicary'ego. Jak we wszystkich monologach Beckera pojawiły się ślepe uliczki, powracające przechwałki o odwadze, zarobkach i podbojach seksualnych. Czasem popadał w dłuższe, pełne zadumy milczenie; kiedy indziej mówił tak szybko, że chwycił go kaszel.

— Ta cholerna wilgoć w mojej celi — wyjaśnił. — To jedno wy, Anglicy, potraficie robić doskonale.

— Ludzie tacy jak ja — podjął — właściwie nie przechodzili szkolenia. Jasne, mieliśmy parę wykładów, prowadzonych przez jakichś kretynów z Berlina, którzy Anglię znali wyłącznie z mapy. „Tak macie oszacować wielkość armii, mówią ci, tak korzystać z radia, a tak rozgryzać swoją kapsułkę z trucizną w razie, co mało prawdopodobne, gdyby do waszych drzwi zastukało MI—5”. Po czym statkiem albo samolotem ekspediują cię do Anglii, żebyś wygrał wojnę dla führera. Umilkł, zapalił kolejnego papierosa i otworzył bombonierkę.

— Mnie dopisało szczęście. Przekroczyłem granicę legalnie, samolotem, ze szwajcarskim paszportem. Wiesz, co zrobili z jednym kumplem? Wysadzili go w Sussex na gumowym pontonie. Ale U—boot wypłynął z Francji bez specjalnych, pozbawionych oznaczeń pontonów Abwehry. Musieli więc skorzystać ze swoich tratw ratunkowych z

emblemem Kriegsmarine. Dałbyś wiarę?

Vicary dałby wiarę. Abwehra odwalala straszną tandetę podczas przygotowań i umieszczania agentów w Anglii. Pamiętał chłopaka, który we wrześniu czterdziestego roku wylądował na kornwalijskiej plaży. Ludzie z Wydziału Specjalnego znaleźli przy nim zapalki z popularnego berlińskiego nocnego klubu. Albo sprawa Gösty Caroli, szwedzkiego obywatela, który wylądował na spadochronie w hrabstwie Northampton, w pobliżu wioski Denton. Nakrył go irlandzki wieśniak, Paddy Daly: agent spał pod żywopłotem. Był ubrany w porządny garnitur z szarej flaneli, miał elegancko zawiązany krawat. Caroli przyznał, że został zrzucony do Anglii i oddał swój pistolet automatyczny oraz trzysta funtów w gotówce.

Władze lokalne przekazały go MI— 5, ta zaś błyskawicznie umieściła go w Obozie 020.

Becker włożył do ust czekoladkę i podsunął Vicary'emu bombonierkę.

— Wy, Brytyjczycy, znacznie poważniej podchodzicie do szpiegowania niż my. Musicie, bo jesteście słabi. Musicie podierać się intrygą i podstępem, aby ukryć słabość. Teraz jednak złapaliście Abwehre za same jaja.

— Ale byli też tacy, którzy poważniej podchodzili do sprawy — wtrącił Vicary.

— Tak, byli.

— Agenci innego rodzaju.

— Święta prawda — przytaknął Becker, sięgając po kolejną czekoladkę. — Są pyszne, Alfredzie. Na pewno się nie poczęstujesz?

Becker był zdumiewająco dobrym radiotelegrafistą — dokładnym i bardzo szybkim. Vicary przypisywał to

faktowi, że zanim Karl wszedł na drogę, która zaprowadziła go do angielskiego więzienia, grał zawodowo na skrzypcach. Dzięki drugiej parze słuchawek Vicary kontrolował, jak Becker się przedstawia i czeka na sygnał potwierdzający z Hamburga. Jak zwykle poczuł przelotny dreszczyk. To, że oszukuje wroga, że tak błyskotliwie go okłamuje, sprawiało mu ogromną satysfakcję. Podobał mu się ten bezpośredni kontakt: słuchanie głosu wroga, nawet jeśli przybierał on postać elektronicznych sygnałów wśród trzasków i zakłóceń. Wyobrażał sobie, jak strasznie by się czuł, gdyby to jego oszukano. Z niewiadomych powodów przyszła mu na myśl Helen.

Radiotelegrafista z Hamburga kazał Beckerowi nadawać. Becker spojrział na notatkę Vicary'ego i szybko ją wystukał. Skończywszy, poczekał na potwierdzenie odbioru z Hamburga i rozłączył się. Vicary zdjął słuchawki i wyłączył radio. Becker przez jakiś czas będzie nadęty, zawsze się chmurzył po wysłaniu kolejnego fałszywego raportu. Jak mężczyzna, którego zalewa gorąca fala poczucia winy po spółkowaniu z kochanką i który chce na chwilę zostać sam ze swoimi niespokojnymi myślami. Vicary podejrzewał, że Becker wstydzi się przeniwierstwa — wyrzekając na partactwo Abwehry, próbuje ukryć gorycz, że się nie sprawdził i okazał tchórzem. Co prawda nie pozostawiono mu większego wyboru: jeśliby odmówił nadania komunikatu Vicary'ego, natychmiast poprowadzono by go do więzienia Wandsworth na spotkanie z katem.

Vicary obawiał się, że przegrał. Becker palił, zjadł jeszcze parę czekoladek, żadną nie częstując rozmówcy. Vicary powoli zapakował radiostację.

— Widziałem ją kiedyś w Berlinie — odezwał się nagle Niemiec. — Natychmiast oddzielono ją od nas, zwykłych

śmiertelników. Nie polegaj zbyt na tym, co ci powiem, Alfredzie, powtórzę ci tylko, co słyszałem. Plotki, pogłoski. W razie gdyby coś się nie zgadzało, nie chcę, żeby zjawił się tu Stephens i zaczął mną ciskać po ścianach.

Vicary potaknął współczująco. Stephens był to pułkownik R. W. G. Stephens, komendant Obozu 020, powszechniej znany jako Cynowe Oko. Były oficer indyjski, nosił monokl, maniakalnie dbał o ład, zawsze w nieskazitelnej furażerce i mundurze Strzelb Peszawaru. Był pół— Niemcem i płynnie posługiwał się językiem niemieckim. Był również w jednakowym stopniu znienawidzony tak przez więźniów jak i funkcjonariuszy MI— 5. Kiedyś publicznie zlął Vicary'ego za to, że o pięć minut spóźnił się na przesłuchanie. Nawet wyżsi oficerowie, jak Boothby, lękali się jego tyrad i napadów wściekłości.

— Masz moje słowo, Karl — zapewnił Vicary, ponownie siadając za stołem.

— Podobno nazywała się Anna Steiner, a jej ojciec pochodził z arystokracji. Prusak, bogaty drań ze szramą po pojedynku na policzku, bawił się w dyplomację. Znasz ten typ człowieka, prawda, Alfredzie? — Becker nie czekał na odpowiedź. — Chryste, była śliczna. A wysoka jak choroba. Mówiła po angielsku jak rodowita Brytyjka. Ponoć matka była Angielką. Tamtego lata, w trzydziestym szóstym, mieszkała w Hiszpanii, jebiąc hiszpańskiego faszystę, łajdusa, niejakiego Romero. Okazało się, że *senor* Romero pracował dla Abwehry jako łowca głów. Dzwoni do Berlina, bierze kasę i przekazuje panienkę. Abwehra przyciska ją do muru. Tłumaczy Annie, że ojczyzna jej potrzebuje, a jeśli nie zgodzi się współpracować, papcio von Steiner wyląduje w obozie koncentracyjnym.

— Kto był jej bezpośrednim zwierzchnikiem?

— Nie znałem jego nazwiska. Ponurak. Tak samo

inteligentny jak ty, tyle że bezwzględny.

— Nazywał się Vogel? — Nie wiem, możliwe.

— Nigdy więcej jej nie widziałeś?

— Nie, tylko raz.

— I co się z nią stało?

Beckera chwycił kolejny atak kaszlu, który najwyraźniej mógł być uleczony tylko przez kolejnego papierosa. — Mówię ci, co słyszałem, a nie co wiem. Czujesz różnicę?

— Czuję różnicę, Karl.

— Słyszeliśmy, że gdzieś w górach, na południe od Monachium, jest obóz. Zupełnie odizolowany od świata, wszystkie drogi dojazdowe zamknięte. Dla autochtonów istne piekło. Wieść niosła, że wysyłają tam wyjątkowych agentów. Tych, których zamierzają głęboko zakopać.

— I ona była jednym z tych agentów?

— Tak, Alfredzie. To już przerobiliśmy. Bądź łaskaw nadażać. — Becker znowu grzebał w czekoladkach. — To tak, jakby z nieba spadła angielska wioska i wylądowała w samym środku Bawarii. Był tam pub, hotelik, typowo— .brytyjska zabudowa, nawet kościół anglikański. Każdy agent mieszkał tam co najmniej pół roku. Rano, przy herbacie i bułeczkach, czytali angielską prasę. Robili zakupy'po angielsku, słuchali popularnych audycji radiowych w BBC. Ja dopiero w Londynie usłyszałem „It's That Man Again”.

— Mów dalej, Karl.

— Mieli specjalne szyfry i specjalne procedury spotkań. Staranniej ich przeszkolono w korzystaniu z broni. Nauczono zabijać. A chłopcom przysyłano nawet angielskojęzyczne dziwki, żeby pieprzyli po angielsku.

— A ta kobieta?

— Podobno jebała swojego zwierzchnika. Jak,

mówiłeś, się nazywał? Vogel? Ale to też tylko pogłoski, Alfredzie.

— Czy spotkałeś ją w Anglii?

— Nie.

— Mów prawdę, Karl ! — ryknął Vicary tak głośno, że jeden ze strażników zajrzał do środka, by się upewnić, czy nic się nie stało.

— Mówię prawdę. Jezu Chryste, rozmawia sobie człowiek z normalnym Alfredem Vicarym, a tu nagle wydziera się na niego Heinrich Himmler. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Vicary przeszedł na niemiecki. Nie chciał, żeby strażnicy podsłuchali rozmowę.

— Wiesz, pod jakim nazwiskiem występowała?

— Nie — odparł Becker w tym samym języku.

— Znasz jej adres?

— Nie.

— Wiesz, czy działa w Londynie?

— Nie mam pojęcia, równie dobrze może działać i na Księżycu, Alfredzie.

Vicary głośno westchnął, zgnębiony. Wszystko to interesujące wiadomości, ale — podobnie jak odkrycie morderstwa Beatrice Pymm — donikąd nie prowadzi.

— Powiedziałeś wszystko, co o niej wiesz, Karl? Becker się uśmiechnął.

— Ponoć jest genialna w łóżku. — Zauważył zaczerwienione policzki Vicary'ego. — Przepraszam, Alfredzie. Chryste Panie, ależ z ciebie czasem świętoszek.

— Dlaczego wcześniej nam o nich nie wspomniałeś? O tych specjalnych agentach? — spytał Vicary, nadal posługując się niemieckim.

— Powiedziałem, a jakże, drogi staruszk.

— Komu? Mnie nie.

— Boothby'emu.

Vicary poczuł napływającą do policzków krew, serce dudniło mu jak młotem. Boothby? Czemu, na Boga, Boothby miałby przesłuchiwać Karla Beckera? I dlaczego nie zrobił tego w jego obecności? On go aresztował. To on go namówił do współpracy. On nim kierował.

— Kiedy rozmawiałeś z Boothbym? — spytał Vicary ze spokojną twarzą.

— Nie wiem. Trudno tu o rachubę czasu. Parę miesięcy temu. Może we wrześniu. Nie, to chyba był październik. Tak, raczej październik.

— A co właściwie mu powiedziałeś?

— O agentach. I o obozie.

— Powiedziałeś mu o tej kobiecie?

— Tak, Alfredzie, powiedziałem mu o wszystkim. To kawał drania. Nie lubię go. Na twoim miejscu uważałbym na niego.

— Był z nim ktoś?

— Tak, wysoki jegomość. Przystojny jak aktor filmowy. Blondyn, niebieskie oczy. Uosobienie niemieckiego typu urody. Ale chudy jak patyk.

— Czy ten patyk jakoś się nazywał?

Becker odchylił głowę i udawał głęboki namysł.

— Rany, jakoś tak śmiesznie. Coś związanego z samochodem. — Karl skubał się po nosie. — Nie, jakby odgłos. Pyrkosz?

Charkot? Nie, Brum! Tak! Brum. Wyobrażasz sobie, elegancik jak z żurnala i do tego ten Brum. Wy, Anglicy, miewacie czasem niesamowite poczucie humoru. Vicary już zabrał radio i stuknął do drzwi.

— Dlaczego mi nie zostawisz radia, Alfredzie? Człowiekowi czasem doskwiera tu samotność.

— Przykro mi, Karl.

Drzwi się otworzyły i Vicary wyszedł.

— Słuchaj, Alfredzie, papierosy i czekoladki, wszystko świetnie, ale następnym razem przyprowadź dziewczynę, dobra?

Vicary udał się do biura szefa strażników i poprosił o rejestr gości z października oraz listopada. Trochę to potrwało, ale znalazł wpis, którego szukał.

5— 10— 43, WIĘZIEŃ: BECKER K.

LICZBA GOŚCI: 2

NAZWISKO/WYDZIAŁ: NIE, DZIĘKUJĘ.

Rozdział dwunasty

Berlin

— Boże, ależ zimny ranek — powiedział brigadenführer Walter Schellenberg.

— Przynajmniej masz dach nad głową — odparł kontradmirał Wilhelm Canaris. — Wczorajszej nocy halifaksy i lancastery nieźle się nauwijały. Setki zabitych, tysiące bezdomnych. Oto przykład na niezniszczalność naszej cudownej tysiącletniej Rzeszy.

Zerknął na Schellenberga, ciekaw jego reakcji. I jak zwykle uderzyła młodość brigadenführera. Zaledwie trzydzieści trzy lata, a już dowodzi szóstą sekcją *Sicherheitsdienst* — lepiej znanej jako SD — służby wywiadowczej i bezpieczeństwa SS. Sekcja VI odpowiadała za gromadzenie informacji o wrogach Rzeszy w innych państwach, czyli miała zadanie podobne do Abwehry. W rezultacie ci dwaj mężczyźni zostali skazani na nieustanną konkurencję.

Stanowili dziwną parę: niski, lakoniczny, siwowłosy generał, który odrobinę sepleniał, i przystojny, energiczny, bezwzględny młody brigadenführer. Tego syna producenta fortepianów z Saary osobiście wciągnął do hitlerowskiego aparatu bezpieczeństwa Reinhard Heydrich, szef SD, zamordowany w maju czterdziestego drugiego roku przez czechosłowacki ruch oporu. Schellenberg, jeden z najbardziej wybitnych członków partii nazistowskiej, rozkwitał w tej niebezpiecznej, paranoidalnej atmosferze. W swoim olbrzymim gabinecie kazał zamontować mnóstwo podsłuchów, a dzięki wbudowanym w biurko karabinom maszynowym za naciśnięciem guzika mógł zabić niebezpiecznego gościa. Rzadkie chwile odprężenia

Schellenberg spędzał wśród eksponatów swej wyrafinowanej kolekcji pornograficznej. Kiedyś nawet pokazał fotografie Canarisowi i z dumą ojca chwającego się zdjęciami rodzinnymi zwracał uwagę na ujęcia, które sam zaaranżował dla zaspokojenia swych dziwacznych gustów seksualnych. Na palcu nosił sygnet z siarczanem miedzi, pod którym ukrywała się kapsułka z cyjankiem. Wstawiono mu również sztuczny ząb ze śmiertelną dawką trucizny.

W tym momencie Schellenbergowi przyświecały dwa cele: zniszczyć Canarisa i Abwehre oraz dostarczyć Adolfowi Hitlerowi najważniejszą tajemnicę wojny: czas i miejsce angielsko— amerykańskiej inwazji na Francję. Schellenberg miał w głębokiej pogardzie Abwehre i garstkę starych oficerów otaczających Canarisa, których obraźliwie nazywał świętymi Mikołajami. Canaris doskonale zdawał sobie sprawę, że Schellenberg na niego poluje, a mimo to między obu mężczyznami istniało niezręczne zawieszenie broni. Schellenberg odnosił się do starego admirała z szacunkiem i poważaniem; Canaris zaś szczerze podziwiał ostrego, błyskotliwego młodego oficera i chętnie bywał w jego towarzystwie.

Właśnie dlatego większość poranków spędzali w ten sam sposób: na wspólnej przejażdżce konnej w Tiergarten. Dzięki temu każdy z nich mógł sprawdzić, co drugi robi, mogli wysondować się wzajemnie i zapolować na słabe punkty. Canaris lubił te przejażdżki jeszcze z innego powodu. Dzięki nim miał pewność, że przynajmniej jedną godzinę dziennie młody generał nie spiskuje przeciwko niemu.

— I znowu pańska typowa postawa, panie admirale — odparł Schellenberg. — Zawsze widzi pan wszystko w ciemnych barwach. Przypuszczam, że właśnie dlatego jest

pan cynikiem, prawda?

— Nie jestem cynikiem, *Herr Brigadenführer*. Tylko sceptykiem. A to znaczna różnica.

Schellenberg parsknął śmiechem.

— Taka sama jak między nami, ludźmi z SD, a wami, starą szkołą z Abwehry. My widzimy przed sobą wyłącznie nieskończone możliwości. Wy tylko niebezpieczeństwo. My jesteśmy otwarci, nie lękamy się ryzyka. Wy wolicie chować głowę w piasek. Bez urazy, panie admirale.

— Nie czuję się dotknięty, młody przyjacielu. Ma pan prawo do swojego zdania, nawet jeśli oparł je pan na niewłaściwych przesłankach.

Koń Canarisa szarpnął się i parsknął. Obłoczek dymu zmienił się w chmurkę i odpłynął, porwany przez lekki wietrzyk. Canaris rozejrzał się wokół po zniszczonym parku. Większość lip i kasztanowców zniknęła w płomieniach alianckich bomb. Przed nimi na środku drogi pojawił się olbrzymi lej. A były tu jeszcze tysiące innych. Canaris szarpnął cugle i przeprowadził konia obok dołu. Za nimi bezszelestnie sunęło dwóch ochroniarzy Schellenberga. A tuż przed dowódcami szedł jeden, uważnie rozglądając się na boki. Canaris wiedział, że człowiek, nawet najlepiej wyszkolony, więcej przegapi niż dostrzeże.

— Wczoraj na moim biurku wylądowało coś nader interesującego — odezwał się Schellenberg.

— Doprawdy? Jak się nazywała?

Schellenberg ze śmiechem dźgnął konia i przeszli w lekki trucht.

— Mam swojego człowieka w Londynie. Dawno temu pracował trochę dla NKWD, między innym rekrutując studenta Oksfordu, który teraz pracuje w MI— 5. Nadal od czasu do czasu się spotykają i mój człowiek dowiaduje się

pewnych rzeczy. A potem przekazuje je mnie. Ten oficer z MI— 5 to rosyjski agent, ale mnie przy okazji też skapuje co nieco.

— Godne podziwu — stwierdził sucho Canaris.

— Churchill i Roosevelt nie ufają Stalinowi. Trzymają go w niewiedzy. Nie chcieli mu podać ani czasu, ani miejsca inwazji. Boją się, że Stalin mógłby nam to przekazać i alianci ponieśliby we Francji klęskę. A podczas gdy Brytyjczycy i Amerykanie będą zajęci walką, Stalin spróbowałby sam nas wykończyć i zagarnąć dla siebie całą Europę.

— Słyszałem o tej teorii. Nie jestem przekonany, czy kryje się za nią wiele prawdy.

— W każdym razie mój informator powiada, że w MI— 5 rozpętało się piekło. Twierdzi, że pański człowiek, Vogel, zorganizował operację, przez którą wszyscy tam teraz trzęsą portkami ze strachu. Dochodzenie prowadzi niejaki Vicary. Słyszał pan o nim?

— Alfred Vicary — odparł Canaris. — Były wykładowca Uniwersytetu Londyńskiego.

— Imponujące — przyznał szczerze Schellenberg.

— Częścią sukcesu oficera wywiadu jest znajomość przeciwnika, *Herr Brigadenführer*. — Canaris zawiesił głos, żeby rozmówca zdążył poczuć ukłucie. — Cieszę się, że Kurt narobił tam zamieszania.

— Sytuacja jest tak napięta, że Vicary osobiście rozmawiał z Churchillem, żeby go powiadomić o przebiegu sprawy.

— Nic w tym dziwnego, *Herr Brigadenführer*. Vicary i Churchill to starzy przyjaciele. — Canaris kątem oka zerknął na Schellenberga, by sprawdzić, czy na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Ich rozmowy często przybierały postać słownych utarczek; każdy chciał zaskoczyć drugiego

nieznanymi tamtemu informacjami. — Vicary jest cenionym historykiem. Czytałem jego książki. Dziwne, że panu one nie wpadły do ręki. To człowiek o przenikliwym umyśle. Ma poglądy zbliżone do Churchilla. Jeszcze nim ktokolwiek zwrócił na was uwagę, ostrzegał świat przed panem i jego przyjaciółmi.

— Co takiego knuje Vogel? Może potrzebujecie pomocy ze strony SD?

Canaris pozwolił sobie na rzadki u niego, ale też i krótki wybuch śmiechu.

— Proszę, *Herr Brigadenführer* Schellenberg. Jeśli porzuci pan resztki dyplomacji, nasze poranne przejażdżki bardzo szybko stracą swój urok. Poza tym jeśli chce pan wiedzieć, co robi Vogel, wystarczy spytać hodowcę drobiu. Wiem, że ma na podsłuchu wszystkie nasze telefony i umieścił swoich szpiegów na Tirpitz Ufer.

— Ciekawe, co pan powiada. Właśnie o to samo spytałem reichsführera Himmlera wczoraj przy kolacji. Wygląda na to, że Vogel jest wyjątkowo ostrożny. I tajemniczy. Ponoć nawet nie trzyma swoich akt w archiwum Abwehry.

— Vogel to istny paranoik, strasznie czujny. Wszystko trzyma w swoim gabinecie. I nie radziłbym z nim zaczynać. Jego asystent, Werner Ulbricht, widział wszystko, co w wojnie najgorsze. Nieustannie czyści swoje lugery. Nawet ja nie zbliżam się do gabinetu Vogla.

Schellenberg ściągnął cugle i zatrzymał konia. Ranek nadal był cichy i spokojny. Z oddali dobiegał warkot pierwszych samochodów jadących po Wilhelmstrasse.

— Vogel reprezentuje typ człowieka, który my, w SD, cenimy: inteligentny, pełen zapału.

— Jest tylko jeden problem — odparował Canaris. — Vogel to istota ludzka. Ma serce i sumienie. Coś mi mówi, że

nie pasowałby do waszej ekipy.

— Dlaczego nie pozwala pan, żebym się z nim spotkał? Może udałoby się nam połączyć nasze źródła dla dobra Rzeszy? Nie ma powodów, by SD i Abwehra nieustannie rzucały się sobie do gardeł.

— Rzucamy się sobie do gardeł, *Herr Brigadenführer* Schellenberg — uśmiechnął się Canaris — ponieważ pan uważa mnie za zdrajcę Rzeszy i próbował mnie pan aresztować.

Tak rzeczywiście było. Schellenberg zebrał dokumentację z mnóstwem dowodów na zdradę, której jakoby miał się dopuścić Canaris. W 1942 roku przekazał akta Heinrichowi Himmlerowi, ale ten nie wszczął żadnych kroków. Canaris również przechowywał różne teczki i Schellenberg podejrzewał, że w dossier Himmlera znajdującym się w dyspozycji Abwehry są rzeczy, których ujawnienia reichsführer sobie nie życzył.

— To dawna sprawa, panie admirale. Przeszłość.

Canaris dźgnął konia obcasem i znowu ruszyli. W oddali zamajaczyły stajnie.

— Czy mogę wyłożyć karty na stół i pozwolić sobie na interpretację pańskiej oferty pomocy ze strony SD, *Herr Brigadenführer*?

— Oczywiście.

— Chciałby pan uczestniczyć w tej operacji z jednego z dwóch powodów. Albo żeby zniszczyć ją i pognać opinię Abwehry, albo też przechwyciłby pan odkrycia Vogla i całą zasługę przypisał sobie, za nas zbierając laury.

Schellenberg wolno pokręcił głową.

— Ten brak zaufania między nami! Jaka szkoda. Jakież to bolesne.

— Istotnie, prawda?

Dojechali do stajni, zsiadli z koni. Podskoczyło dwóch

stajennych, odprowadzili wierzchowce.

— Jak zwykle było mi ogromnie miło — odezwał się Canaris. — Zjemy razem śniadanie?

— Z prawdziwą rozkoszą przyjąłby m zaproszenie, ale niestety, obowiązek wzywa.

— O?

— Spotkanie z Himmlerem i Hitlerem, punkt o ósmej.

— Szczęściarz z pana. Na jaki temat?

Walter Schellenberg uśmiechnął się i położył dłoń w rękawiczce na ramieniu towarzysza.

— Chciałoby się wiedzieć.

— Jak się miewa dziś rano Szczwany Lis? — spytał Adolf Hitler, kiedy punktualnie o ósmej pojawił się w drzwiach Walter Schellenberg.

Himmler już czekał, siedział na miękkiej kanapie i popijał kawę. Właśnie taki wizerunek Schellenberg chętnie prezentował swoim zwierzchnikom: człowieka zbyt zajętego, by pojawić się choć chwilę przed czasem i zajmować towarzyską pogawędką, a równocześnie na tyle zdyscyplinowanego, by stawić się punktualnie.

— Jak zwykle czujny — odparł Schellenberg, nalewając sobie gorącej kawy. Obok stał dzbanuszek z prawdziwym mlekiem. Nawet szefostwu SD ostatnio z trudem przychodziło zapewnienie sobie stałych dostaw żywności. — Nie chciał nic powiedzieć o operacji Vogla. Twierdzi, jakoby nic o niej nie wiedział. Pozwolił mu działać na własną rękę, podejmować jakieś bardzo tajemnicze ruchy i nie wnikał w szczegóły akcji.

— Może to i lepiej — stwierdził Himmler. Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać. — Im mniej nasz dobry admirał wie, tym mniej zdradzi nieprzyjacielowi.

— Zrobiłem sam drobne dochodzenie — podjął Schellenberg. — Wiem, że Vogel wysłał do Anglii przynajmniej jednego nowego agenta. Musiał skorzystać z samolotu Luftwaffe do zrzutu i pilot, który z nim leciał, okazał się nadzwyczaj chętny do współpracy. — Schellenberg otworzył teczkę i wyjąwszy dwie kopie tego samego dokumentu, jedną podał Hitlerowi, drugą Himmlerowi. — Agent nazywa się Horst Neumann. Reichsführer może pamiętać incydent z Paryża. W paryskim barze zginął esesman. Neumann to człowiek, który się do tego przyczynił.

Himmler upuścił kartkę na niski stolik, wokół którego wszyscy trzej siedzieli.

— Wykorzystanie przez Abwehre tego człowieka to policzek wymierzony w SS i pamięć oficera, którego zabił! Świadczy o pogardzie Vogla wobec partii i führera.

Hitler nadal czytał dokument i najwyraźniej go on zaniepokoił.

— A może Neumann to po prostu idealny kandydat do tej akcji. Proszę spojrzeć na jego dossier: urodzony w Anglii, odznaczony spadochroniarz, krzyż rycerski, liście dębu. Sądząc z tego, co tu napisano, wyjątkowy żołnierz.

Schellenberg od dawna nie widział u Hitlera tak spokojnego i rozsądnego zachowania.

— Zgadza się — przytaknął Schellenberg. — Z wyjątkiem tego jednego przykrego epizodu, Neumann wydaje się wzorowym żołnierzem.

Himmler ponuro łypnął na Schellenberga. Nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano w obecności führera, nawet jeśli to robił ktoś tak błyskotliwy jak Schellenberg.

— Może nadeszła pora, by zaatakować Canari sa — podsunął Himmler. — Zdjąć go, przekazać władzę brigadenführerowi Schellenbergowi i łącząc Abwehre z SD,

stworzyć jedną potężną agencję wywiadowczą. W ten sposób brigadenführer Schellenberg będzie mógł osobiście nadzorować operację Vogla. Tam, gdzie pojawia się admirał Canaris, sprawy dziwnie się wymykają z rąk.

I znowu Hitler nie zgodził się ze swoim najbardziej zaufanym poplecznikiem.

— Jeśli rosyjski informator Schellenberga ma rację, ten cały Vogel najwyraźniej dał się Anglikom we znaki. Wkroczenie teraz byłoby błędem. Nie, *Herr Reichsführer*, Canaris na razie utrzyma stanowisko. Może choć raz, dla odmiany, robi coś dobrego.

Hitler wstał.

— A teraz darujcie panowie, ale mam inne sprawy, którym muszę poświęcić uwagę.

Dwa służbowe mercedesy z warkotem silników czekały w zatoczce. Nastąpił niezręczny moment, kiedy trzeba było wybrać pojazd, ale Schellenberg ustąpił i wsiadł do wozu reichsführera. Źle się czuł, kiedy nie towarzyszyli mu jego ludzie, nawet jeśli był z Himmlerem. Podczas krótkiej jazdy kuloodporny mercedes Schellenberga ani na chwilę nie odstąpił tylnego zderzaka limuzyny Himmlera.

— Jak zwykle wspaniałe przedstawienie, *Herr Brigadenführer* — odezwał się Himmler.

Schellenberg na tyle dobrze poznał zwierzchnika, by wiedzieć, że to nie był komplement. Himmler, drugi najpotężniejszy człowiek w Niemczech, gotował się ze złości, gdy ktoś w obecności Hitlera wyraził przeciwną niż jego opinię.

— Dziękuję, *Herr Reichsführer*.

— Führer tak gorączkowo pragnie poznać tajemnicę inwazji, że to zaciemnia jego osąd — oświadczył spokojnie

Himmler. — Naszym zadaniem jest go chronić. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Całkowicie.

— Chcę wiedzieć, jaką grę prowadzi Vogel. Skoro führer nie pozwoli nam tego zrobić od środka, będziemy musieli to zrobić od zewnątrz. Zorganizuj Voglowi i jego asystentowi Ulbrichtowi dwudziestoczworgodziną obstawę. Wykorzystaj wszystkie środki, jakimi dysponujesz, do przeniknięcia na Tirpitz Ufer. I znajdź sposób dotarcia do ośrodka radiowego w Hamburgu. Vogel musi się kontaktować z agentami. Niech ktoś słucha, co tam się mówi.

— Tak jest, *Herr Reichsführer*.

— I nie miej takiej ponurej miny, Walterze. Już niedługo dorwiemy się do Abwehry. Nie przejmuj się. Będzie nasza.

— Dziękuję, *Herr' Reichsführer*.

— No, chyba że znowu będziesz mi się sprzeciwiał przy führerze.

Himmler leciutko, prawie niedosłyszalnie zastukał w szybkę dzielącą ich od szofera. Samochód zjechał na bok, a tuż za nim wóz Schellenberga. Młody generał czekał bez ruchu, póki przy drzwiczkach nie pojawił się jeden z jego ludzi, by osłaniać go przez te kilka kroków, które dzieliły go od własnego mercedesa.

Rozdział trzynasty

Londyn

Catherine Blake serdecznie żałowała swej decyzji o zwróceniu się do Pope'ow o pomoc. Owszem, dali jej skrupulatny opis życia Petera Jordana w Londynie. Ale przyszło jej za to zapłacić ogromną cenę. Grożono jej wydaniem, wciągnięto w dziwną grę seksualną, zmuszono do zabicia dwojga ludzi. Teraz w sprawę wplątała się policja. Zabójstwo króla czarnego rynku i półświatka, człowieka takiego jak Vernon Pope, znalazło się na pierwszych stronach londyńskich gazet. Ale policja szukała dziennikarzy: twierdziła, że ofiary znaleziono z poderżniętymi gardłami. Ani słowa o ranie w oko i w serce. Najwyraźniej nie chciano ujawniać prawdy. A może już wchodziła się do tego MI— 5? Wedle informacji prasowych policja chciała przesłuchać Roberta Pope'a, lecz nie mogła go znaleźć. Catherine mogłaby im służyć pomocą. Pope siedział dwadzieścia stóp od niej w barze hotelu Savoy, ze wściekłą miną popijając whisky.

Co Pope tutaj robił? Catherine podejrzewała, że zna odpowiedź. Pope siedział tu, ponieważ sądził, że Catherine ma związek z morderstwem jego brata. Znalezienie jej nie było trudne. Wiedział, że szukała Petera Jordana. Wystarczyło, żeby zajrzał do miejsc uczęszczanych przez Amerykanina. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ona się tam pojawi.

Odwróciła się do niego plecami. Nie bała się Roberta Pope'a — bardziej ją drażnił niż stanowił realne zagrożenie. Dopóki będzie wśród ludzi, nie odważy się jej zaatakować. Spodziewała się tego. Na wszelki wypadek nie rozstawiała się z mauzerem. Było to niezbędne, acz

denerwujące. Musiała nosić większe torebki, ciężki pistolet obijał jej się o udo. A poza tym, jak na ironię, było to niebezpieczne dla niej. Spróbuj wyjaśnić londyńskiemu policjantowi, po co ci w torebce niemiecki mauzer z tłumikiem.

Decyzja, czy zabić Roberta Pope'a, nie była największym zmartwieniem Catherine Blake, gdyż w tym momencie do baru w Savoyu wszedł Peter Jordan z Shepherdem Ramseyem.

Catherine zastanawiała się, który mężczyzna wykona pierwszy krok. Robiło się ciekawie.

— Jeden jest pożytek z tej wojny — stwierdził Shepherd Ramsey, gdy z Peterem Jordanem siadali przy stoliku w kącie sali. — Cudownie wpłynęła na moje dochody. Od kiedy tu siedzę, odgrywając bohatera, moje akcje pną się w górę jak szalone. W ciągu ostatniego półrocza zarobiłem więcej niż po dziesięciu latach harówki w firmie ubezpieczeniowej ojca.

— Dlaczego nie powiesz ojcu, żeby się wypchał?

— Beze mnie by zginął.

Shepherd przywołał kelnera i zamówił martini. Jordan wybrał podwójną szkocką.

— Ciężki dzień w robocie, co?

— Morderczy.

— Wieść gminna niesie, że pracujecie nad jakąś nową, szatańską bronią.

— Jestem inżynierem, Shep. Stawiam mosty i drogi.

— To każdy głupek potrafi. Nie przyjechałeś tu budować jakiejś zasmarkanej autostrady.

— Nie, nie po to.

— To kiedy mi wreszcie powiesz, nad czym pracujesz?

— Nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

— Przecież to ja. Stary, poczciwy Shep. Mnie możesz wszystko powiedzieć.

— Bardzo bym chciał, ale gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić, a wtedy Sally by owdowiała, a Kippy nie miałby ojca.

— Kippy znowu wpadł w tarapaty w Buckley. Ten okropny dzieciak rozrabia bardziej niż ja.

— To rzeczywiście coś.

— Dyrektor grozi, że go wyleje. Sally musiała tam pojechać i wysłuchać kazania o tym, że Kippy potrzebuje silnej, męskiej ręki.

— A kiedyś w ogóle ją miał?

— Strasznie zabawne, dupku. Sally ma problemy z wozem. Mówi, że trzeba by zmienić opony, ale nie może ich kupić, bo są racjonowane. A świąt nie mogli obchodzić w domu w Oyster Bay, bo brakowało mazutu, żeby ogrzać to cholerstwo.

Shepherd zauważył, że przyjaciel wpatruje się w swój trunek.

— Przepraszam, Peter, nudzę cię?

— Nie bardziej niż zwykle.

— Pomyślałem sobie, że wiadomości z domu podniosą cię na duchu.

— A kto mówił, że potrzebuję podniesienia na duchu?

— Peterze Jordanie, od bardzo dawna nie widziałem u ciebie takiego wyrazu twarzy. Kim ona jest?

— Nie mam pojęcia.

— Mógłbyś to wyjaśnić?

— Wpadłem na nią wieczorem na ulicy. Dosłownie. Wytraciłem jej z rąk zakupy. Strasznie głupio się czułem. Ale ta kobieta coś w sobie miała.

— Wyciągnąłeś z niej numer telefonu?

— Nie.

— A nazwisko?

— Tak, nazwisko znam.

— No, to już coś. Chryste Panie! Rzeczywiście wyszedłeś z wprawy. Powiedz, jak wyglądała.

Peter Jordan ją opisał: wysoka, ciemne włosy opadające na ramiona, pełne wargi, cudowne kości policzkowe i najwspanialsze oczy, jakie kiedykolwiek widział.

— To interesujące — oświadczył Shepherd.

— Dlaczego?

— Bo właśnie ta kobieta tam stoi, o, tam.

Zwykle na widok umundurowanego mężczyzny Catherine Blake czuła się niezręcznie. Ale kiedy Peter Jordan ruszył w jej stronę, pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała nikogo tak wspaniale się prezentującego w granatowym mundurze amerykańskiej marynarki wojennej. Peter Jordan był niesamowicie przystojny — wczorajszego wieczoru nie zauważyła, że aż tak. Mundur idealnie na nim leżał, podkreślając proste ramiona i tors. Szczupły w pasie, poruszał się z wdziękiem i pewnością siebie charakterystyczną dla mężczyzn, którzy osiągnęli w życiu sukces. Ciemne, niemal czarne włosy kontrastowały z jasną cerą. Oczy miał w niezwykłym odcieniu zieleni — jasnozielone, niemal kocie — wargi pełne i zmysłowe. Rozciągnęły się w uśmiechu, gdy spostrzegł, że na niego patrzy. — Zdaje się, że wpadłem na panią wczoraj w nocy — odezwał się, wyciągając rękę. — Nazywam się Peter Jordan.

Ujęła jego dłoń i niby to nieumyślnie pociągnęła palcami po jej wnętrzu, gdy cofała rękę.

— Nazywam się Catherine Blake.

— Tak, pamiętam. Wygląda pani, jakby na kogoś czekała. — Owszem, ale zdaje się, że mój partner wystawił mnie do wiatru.

— W takim razie jest skończonym idiotą.

— Właściwie to mój stary przyjaciel.

— Czy w takim razie mogę teraz postawić pani drinka?

— spytał Jordan.

Popatrzyła na niego z uśmiechem i zerknęła w stronę Roberta Pope'a, który z napięciem ich obserwował.

— Szczerze mówiąc, wolałabym pójść w jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie można by porozmawiać. Nadal ma pan w domu te fury jedzenia?

— Parę jajek, trochę sera, może puszkę pomidorów. I całe mnóstwo wina.

— To mi brzmi jak przepis na cudowny omlet.

— Pozwoli pani, że wezmę jej płaszcz.

Robert Pope patrzył z baru, jak wtapiają się w tłum i znikają w szatni. Spokojnie dopił drinka, odczekał parę sekund, nim wyszedł z baru i powoli ruszył ich śladem. Przed hotelem portier zaprowadził ich do taksówki. Pope szybko przeszedł przez ulicę i odprowadził wzrokiem odjeżdżającą taksówkę. Dicky Dobbs siedział za kierownicą furgonetki. Uruchomił silnik, kiedy Pope wskakiwał do środka. Samochód włączył się do ruchu. Nie ma pośpiechu, uspokoił Pope Dicky'ego. Wiedział, dokąd tamci jadą. Odchylił głowę i przymknął oczy, podczas gdy Dicky zdążał na zachód w stronę domu Jordana w Kensington.

W drodze do mieszkania Petera Jordana Catherine Blake, zaskoczona, nagle zdała sobie sprawę, że ogarnął ją

niepokój. Bynajmniej nie dlatego, że obok niej siedział mężczyzna znający największą tajemnicę wojny. Po prostu kiepsko się czuła w tej roli — nie nadawała się do zalotów ani randek. Pierwszy raz od bardzo dawna pomyślała o swoim wyglądzie. Nie ulegało wątpliwości, że jest kobietą pociągającą — piękną kobietą. Wiedziała, że większość mężczyzn jej pożąda. Ale od kiedy zamieszkała w Londynie, robiła co było w jej mocy, by ukryć swą urodę, wtopić się w tłum. Narzuciła sobie styl wojennej wdowy: grube ciemne pończochy, ukrywające kształt nóg, nie dopasowane spódnice, maskujące zaokrąglenie bioder, luźne, męskie swetry zasłaniające pełny biust. Dziś ubrała się we wspaniałą kreację, kupioną jeszcze przed wojną, która idealnie się nadawała na drinka w Savoyu. A mimo to pierwszy raz w życiu ogarniał ją niepokój, czy okaże się wystarczająco ładna.

Coś jeszcze nękało Catherine. Dlaczego dopiero w takich okolicznościach los wreszcie zetknął ją z człowiekiem typu Petera Jordana? Inteligentnym, przystojnym, zamożnym i... cóż, najwyraźniej normalnym. Większość mężczyzn, z którymi do tej pory miała do czynienia, w tej chwili zachowywałaby się zgoła inaczej. Przypomniała sobie pierwszy raz z ojcem Marii Romero, Emiliem. Nie zawracał sobie głowy kwiatami ani umizgami. Nawet jej nie pocałował. Po prostu pchnął ją na łóżko i przeleciał. I Catherine to nie przeszkadzało. Szczerze powiedziawszy, właściwie wręcz odpowiadało. Seksu nie uprawia się z miłości czy szacunku. Nawet podbój jej nie interesował. Dla niej stanowił wyłącznie akt zaspokojenia fizycznych potrzeb. Emilio Romero to wyczuł; niestety, Emilio wyczuwał zbyt wiele rzeczy, których sobie nie życzyła.

Już dawno porzuciła myśl o tym, że mogłaby się

zakochać, wyjść za mąż, urodzić dzieci. Obsesyjne dążenie do niezależności i wszczepiona nieufność nigdy by jej nie pozwoliły na głębokie zaangażowanie emocjonalne, niezbędne w małżeństwie. Egoizm i dogadzanie własnym zachciankom wykluczały opiekuńcze macierzyństwo. Catherine nigdy nie czuła się bezpieczna z mężczyzną, o ile całkowicie — tak emocjonalnie jak i fizycznie — nie panowała nad sytuacją. Przejawiało się to także w samym akcie miłosnym. Catherine już dawno się przekonała, że nie osiąga orgazmu, jeśli nie jest na górze.

W wyobraźni stworzyła sobie obraz życia, jakie pragnęłaby wieść. Po zakończeniu wojny wyjedzie gdzieś, gdzie jest ciepło: na Costa del Sol, południe Francji albo do Włoch. I kupi sobie niewielką willę z widokiem na morze. Będzie mieszkać sama, obetnie włosy i będzie się wylegiwać na plaży tak długo, aż jej skóra stanie się ciemnobrązowa, a jeśli zapragnie mężczyzny, sprowadzi go do siebie i będzie wykorzystywać, póki jej nie zadowoli. Wtedy wyrzuci go na zbity pysk i będzie siedziała samotnie przy ogniu, a za całe towarzystwo wystarczy jej szum morza. Może od czasu do czasu zaprosi do siebie Marię. Tylko Maria ją rozumiała. Dlatego tak bardzo Catherine zabolalo, gdy ją zdradziła.

Catherine nie nienawidziła siebie ani też szczególnie siebie nie kochała. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy zastanawiała się nad swoją psychę, dochodziła do wniosku, że stanowi dość interesującą osobowość. Uświadomiła sobie również, że doskonale nadaje się na szpiega — tak pod względem emocjonalnym, jak fizycznym i intelektualnym. Vogel to dostrzegł, podobnie jak Emilio. Nie znosiła obu tych mężczyzn, lecz nie mogła ich winić za wnioski, które wyciągnęli. Teraz, gdy spoglądała w lusterko, tylko jedno słowo przychodziło jej na myśl: szpieg.

Taksówka zatrzymała się przed domem Jordana. Peter

pomógł Catherine wysiąść z samochodu i zapłacił kierowcy. Otworzył drzwi frontowe i wprowadził gościa do środka. Zanim zapalił światło, zamknął drzwi — reguły zaciemnienia. Przez moment Catherine czuła się zdezorientowana i wystawiona na niebezpieczeństwo. Nie lubiła się znajdować w mroku, w obcym miejscu, z nieznanym mężczyzną. Jordan szybko włączył lampę i światło zalało pomieszczenie.

— Wielkie nieba — powiedziała Catherine. — Jakim cudem zdobyłeś taką kwaterę? Sądziłam, że wszyscy amerykańscy oficerowie gnieźdzą się w hotelach i pensjonatach.

Oczywiście, знаła odpowiedź. Ale musiała spytać. Rzadko się spotykało amerykańskiego wojskowego, który mieszkałby sam w takim luksusie.

— Mój teść kupił ten dom wieki temu. Bardzo często przyjeżdżał do Londynu i w interesach, i dla przyjemności, więc uznał, że warto tu mieć własny kąt. Szczerze mówiąc, cieszę się, że go kupił. Niezbyt mi się uśmiechała perspektywa spędzenia wojny ściśniętym jak sardynka w Grosvenor House. Pozwól, że zdejmę ci płaszcz.

Pomógł jej zdjąć płaszcz i poszedł odwiesić go w szafie. Catherine oglądała salon. Przyjemne wnętrze, umeblowane wygodnymi skórzanymi fotelami i kanapami z rodzaju tych, jakie się spotyka w londyńskich klubach. Boazeria, drewniana podłoga bejcowana na ciemny brąz i wypolerowana na błysk. Porozrzucane tu i ówdzie dywany były doskonałej jakości. Jedno nadawało temu pokojowi oryginalny rys: na wszystkich ścianach wisiały zdjęcia mostów.

— Czyli jesteś żonaty — powiedziała Catherine, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiała nutka rozczarowania.

— Słucham? — spytał, wracając do salonu.
— Mówileś, że to dom twojego teścia.
— Chyba powinienem był powiedzieć: byłego teścia.
Moja żona zginęła w wypadku samochodowym tuż przed wojną.

— Przepraszam, Peter, nie chciałam...
— Daj spokój, nic się nie stało. Było, minęło. Ruchem głowy wskazała zdjęcia.

— Lubisz mosty.
— Można tak powiedzieć. Buduję je.
Catherine podeszła do ściany i z bliska przyjrzała się jednej z fotografii. Przedstawiała most na rzece Hudson, za który Jordan otrzymał w 1938 tytuł inżyniera roku.

— Projektujesz mosty?
— Nie, projekty wykonują architekci. Ja jestem inżynierem. Rysują swój pomysł, a ja mówię, czy to ustoi czy nie. Czasem każę im zmienić projekt. Czasem, jeśli jest genialny jak ten, staram się znaleźć sposób, by móc go zrealizować.

— Czyli stawiasz czoło olbrzymim wyzwaniom.
— Bywa i tak. Ale czasem to strasznie żmudne i pracochłonne zajęcie, wymagające nudnych rozmów na przyjęciach.

— Nie wiedziałam, że marynarka potrzebuje mostów.
— Bo nie potrzebuje. — Jordan się zawahał. — Przykro mi, ale nie mogę rozmawiać o mojej...

— Oczywiście. Wierz mi, rozumiem zasady.
— Mógłbym się zająć gotowaniem, ale nie rękę, czy jedzenie nadawałoby się do spożycia.

— Po prostu pokaż mi, gdzie jest kuchnia.
— Za tamtymi drzwiami. Przebiorę się, jeśli się nie obrazisz. Ciągle nie mogę się przyzwycząić to tego diabelnego munduru.

— Proszę bardzo.

Czujnie obserwowała jego następne ruchy. Wyjął klucze z kieszeni spodni i otworzył drzwi. Czyli tam ma gabinet. Zapalił światło i zniknął w środku na niecałą minutę. Gdy wrócił, już nie trzymał teczki. Pewnie schował ją w sejfie. Poszedł na górę. Sypialnia mieści się na piętrze. Idealnie. Kiedy on będzie spał na górze, ona się włamie do sejfu i sfotografuje zawartość teczki. Neumann dopilnuje, żeby zdjęcia dotarły do Berlina, a specje z Abwehry przeanalizują je i zorientują się, na czym polega zadanie Petera Jordana.

Ruszyła do kuchni i nagle ogarnęła ją panika. Dlaczego Jordan raptem postanowił się przebrać? Czyżby popełniła jakiś błąd? Zrobiła fałszywy krok? Czy Jordan właśnie dzwoni do MI— 5?

A MI— 5 wzywa wydział specjalny? Czy zejdzie na dół, żeby ją zagadać, aż tamci wyłamią drzwi i ją aresztują?

Zmusiła się do zachowania spokoju. Toż to idiotyczne.

Otworzywszy drzwiczki lodówki, uprzytomniła sobie nagle, że nie ma bladego pojęcia, jak zrobić omlet. Maria smażyła pyszne omlety — po prostu powtórzy każdy jej ruch, jak papuga. Wyjęła trzy jajka, osełkę masła i kawałek cheddara. W małej spizarce natknęła się na puszkę pomidorów i butelkę wina. Otworzyła wino, znalazła kieliszki i naląła dla dwojga. Nie czekała na powrót Jordana ze skosztowaniem trunku: był pyszny. Czula w nim dzikie kwiaty, lawendę i morele, przywodził jej na myśl wymarzoną willę. Najpierw podsmaż pomidory — tak robiła Maria w Paryżu, tyle że wtedy kupowało się świeże jarzyny, a nie to paskudztwo z puszki.

Otworzyła puszkę, odsączyła i pokroiła pomidory i wrzuciła je na rozgrzaną patelnię. W kuchni natychmiast rozniosła się ich woń. Catherine łyknęła odrobinę wina,

zanim rozbiła jajka i rozbełtała je w misce wraz ze startym serem. Aż się uśmiechnęła pod nosem, tak dziwne jej się wydawało to typowo kobiece zadanie — szykowanie kolacji dla mężczyzny.

Może Kurt Vogel powinien dodać do treningu kurs gotowania — pomyślała sobie.

Podczas gdy Catherine szykowała omlet, Jordan nakrył do stołu w jadalni. Przebrał się w bawełniane szare spodnie i sweter. Catherine po raz kolejny uderzyła jego uroda. Miała ochotę rozpuścić włosy — zrobić coś, by jeszcze bardziej mu się spodobać — lecz pozostała przy typie osobowości, jaki wcześniej obrała. Omlet okazał się zdumiewająco dobry i oboje błyskawicznie się z nim uporali, popijając danie winem, przedwojennym Bordeaux, które Jordan przywiózł z Nowego Jorku. Pod koniec posiłku Catherine siedziała zadowolona, odprężona. Wyglądało na to, że Jordan czuje się podobnie. Chyba niczego nie podejrzewał i chyba uznał ich spotkanie wyłącznie za dzieło przypadku.

— Byłaś kiedyś w Stanach? — spytał, gdy sprząтали po kolacji i przenieśli się do kuchni.

— Cóż, jako dziecko dwa lata mieszkałam w Waszyngtonie.

— Naprawdę?

— Tak, ojciec był dyplomatą. Na początku lat dwudziestych, po wojnie, mianowano go na stanowisko w Waszyngtonie. Ogromnie mi się tam podobało. Oczywiście, z wyjątkiem upałów. Wielkie nieba, nie sposób tam wytrzymać latem! Ojciec na wakacje wynajmował dla nas domek w Chesapeake Bay. Bardzo mile wspominam tamte lata.

Wszystko to prawda, tyle że jej ojciec pracował dla niemieckiego, nie angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Catherine uznała, że najlepiej podać jak najwięcej szczegółów ze swego życia.

— Ojciec nadal służy w dyplomacji?

— Nie, umarł przed wojną.

— A matka?

— Matka zmarła, kiedy byłam dzieckiem. — Catherine wstawiła brudne naczynia do zlewu. — Ja pozmywam, ty powycieraj.

— Daj sobie spokój. Parę razy w tygodniu przychodzi tu sprzątaczką. Będzie jutro. Co byś powiedziała na kieliszek koniaku?

— Bardzo chętnie.

Nad kominkiem wisiały zdjęcia w srebrnych ramkach. Oglądała je, kiedy Jordan zajął się koniakiem. Stał przy niej i podał jej kieliszek.

— Twoja żona była bardzo piękna.

— Tak, to prawda. Ciężko przeżyłem jej śmierć.

— A syn? Kto się nim teraz opiekuje?

— Siostra Margaret, Jane. Spróbowała koniaku i uśmiechnęła się.

— Nie wyglądasz na szczególnie tym zachwyconego.

— Dobry Boże, to aż tak się rzuca w oczy?

— Owszem.

— Nigdy z Jane szczególnie za sobą nie przepadaliśmy. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby kto inny zajmował się Billym. Jane jest samolubna, leniwa i rozpuszczona jak dziadowski bicz, i boję się, że ulepi Billy'ego na swój obraz i podobieństwo. Ale cóż, nie miałem wyboru. W dzień po tym, jak wstąpiłem do marynarki, wysłano mnie do Waszyngtonu, a po dwóch tygodniach poleciałem do Londynu.

— Billy to wykapany ojciec — uspokoiła go Catherine.
— Jestem pewna, że nie musisz się obawiać.

Jordan się uśmiechnął.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Proszę, usiądź.

— Jesteś pewny? Nie chciałabym ci zajmować...

— Od bardzo dawna nie spędziłem równie miłego wieczoru. Proszę, zostań jeszcze trochę.

Usiedli obok siebie na dużej kanapie.

— A teraz wytłumacz mi, jak to się stało, że tak piękna kobieta jak ty nie wyszła za męża.

Twarz Catherine pokryła się rumieńcem.

— Wielkie nieba, ty się czerwienisz. Nie mów, że nikt nigdy nie nazwał cię piękną.

— Nie, ale to było tak dawno temu — odparła z uśmiechem.

— Cóż, w takim razie możemy założyć klub. Ja też od bardzo dawna nie nazwałem żadnej kobiety piękną. Nawet pamiętam ostatni raz. To było w dniu śmierci Margaret, kiedy po przebudzeniu zobaczyłem jej twarz. Nie sądziłem, że spotkam jeszcze kobietę, która wyda mi się piękna. Dopóki nie zrobiłem z siebie idioty, wpadając na ciebie na ulicy. Catherine, byłaś tak piękna, że aż zaparło mi dech w piersi.

— Dziękuję. Zapewniam, że nie tylko ty byłeś pod wrażeniem.

— I dlatego nie dałaś mi numeru telefonu?

— Nie chciałam, żebyś mnie uznał za rozwiązłą.

— Do licha, miałem nadzieję, że jesteś rozwiązłą.

— Peter — skarciła go, szturchając palcem w nogę.

— Odpowiesz mi wreszcie na pytanie? Dlaczego nie wyszłaś za męża?

Catherine zapatrzyła się w ogień.

— Wyszłam za męża. Mój mąż, Michael, został

zestrzelony nad La Manche w pierwszym tygodniu bitwy o Anglię. Jego ciała nie odnaleziono. Spodziewałam się wtedy dziecka i poroniłam. Lekarze powiedzieli, że to na skutek wstrząsu. — Catherine odwróciła wzrok od ognia i spojrzała na Jordana. — Był przystojny, odważny, poza nim nie widziałam świata. Po jego śmierci bardzo, bardzo długo nawet nie spojrzałam na mężczyznę. Jakiś czas temu zaczęłam się z różnymi umawiać, ale nic poważnego z tego nie wynikło. Aż do dnia, kiedy jakiś niemądry Amerykanin, chodzący bez latarki, wpadł na mnie na chodniku w Kensington i...

Zapadło długie, trochę niezręczne milczenie. Ogień przygasał. Catherine usłyszała dudnienie deszczu na chodniku pod oknem. Uświadomiła sobie, że chętnie by tak dłużej posiedziała: przy ogniu, z kieliszkiem koniaku, w towarzystwie tego dobrego, czulego mężczyzny.

Na Boga, Catherine, co cię opętało?

Przez chwilę zmuszała się, by go znienawidzić, ale nie mogła. Miała nadzieję, że Peter nigdy nie zrobi nic, co mogłoby jej zagrozić, nic, co by ją zmusiło do zabicia go.

Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

— Wielkie nieba, jak późno! Dochodzi jedenasta. Za długo ci się narzucalam, naprawdę powinnam już iść...

— O czym teraz myślałaś? — spytał Jordan, jakby nie słyszał jej ostatnich słów.

O czym myślała? Bardzo trafne pytanie.

— Zdaję sobie sprawę, że nie możesz mówić o swojej pracy, ale zadam ci jedno pytanie i chcę, żebyś szczerze odpowiedział.

— Z ręką na sercu.

— Nigdzie nie wyjedziesz i nie dasz się zabić, prawda?

— Nie, nie dam się zabić, obiecuję.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Nie zareagował.

Cofnęła się. Czyżbym popełniła błąd? Może jeszcze nie dojrzał?

— Przepraszam. Po prostu bardzo dawno tego nie robiłem.

— Ani ja.

— Może powinniśmy jeszcze raz spróbować. Uśmiechnęła się i znowu go pocałowała. Tym razem jego usta odpowiedziały. Przyciągnął ją do siebie. Podobał jej się nacisk jego ciała na jej piersiach. Po chwili się odsunęła.

— Jeśli teraz nie wyjdę, to już pewnie nigdy.

— Nie wiem, czy chcę cię puścić. Pocałowała go po raz ostatni i spytała:

— Kiedy znowu się spotkamy?

— Mogę cię zaprosić jutro na kolację? W jakimś porządnym miejscu? Gdzie moglibyśmy potańczyć?

— Z rozkoszą.

— Co powiesz na Savoy, koło ósmej?

— Doskonale.

Przywróciły ją do rzeczywistości strugi lodowatego deszczu i widok Pope'a z Dickim tkwiących w zaparkowanej furgonetce. Przynajmniej się nie wtręcali. Może na razie wystarczała im obserwacja z daleka.

O tej porze nie jeździło już wiele samochodów. Szybko złapała taksówkę na Brompton Road. Wsiadła i kazała się zawieźć na dworzec Victoria. Obejrząwszy się, dostrzegła za sobą wóz Pope'a i Dicky'ego.

Przy dworcu zapłaciła taksówkarzowi i weszła na stację, wtapiając się w tłum pasażerów, którzy wysiadali z nocnego pociągu do Londynu. Zerknęła za siebie i kątem oka zauważyła Dicky'ego Dobbsa, jak wpada na peron i rozgląda się na wszystkie strony.

Wyszła innymi drzwiami i rozplynęła się w mroku.

Rozdział czternasty

Bawaria, Niemcy; marzec 1938

Jej dom w sekretnej wiosce Vogla ma kruche ściany, hulają w nim przeciągi, nigdzie tak nie marzła jak tu. Na szczęście jest w nim kominek i po południu, kiedy uczy się szyfrów i połączeń radiowych, przychodzi pracownik Abwehry, który układa szczapy i świerkowe bale na noc. Teraz ogień się wypalił, chłód wkrada się do środka, więc ona wstaje i dorzuca do popiołu duże polano. Vogel leży cicho na podłodze za nią. Jako kochanek zupełnie się nie sprawdził: nudny, egoistyczny, składa się wyłącznie z łokci i kolan. A nawet kiedy próbuje ją zaspokoić, okazuje się niezręczny, twardy i zbyt sobą zajęty. Istny cud, że w ogóle udało jej się go uwieść. Ma swoje powody. Jeśli Vogel się w niej zakocha albo popadnie w obsesję na jej punkcie, nie wyśle jej do Anglii. Na razie jej metoda się sprawdza. Przed chwilą, poruszając się w niej, wyznał jej miłość. Teraz zaś, leżąc na dywanie, wpatrzony w sufit, najwyraźniej żałuje swoich słów.

— Czasem wolałbym, żebyś nie jechała — powiada.

— Nie jechała gdzie?

— Do Anglii.

Podchodzi, kładzie się obok niego na dywanie i całuje go. Z ust cuchnie mu papierosami, kawą i zepsutymi zębami.

— Biedny Vogel. Doszczętnie zламаłam ci serce, prawda?

— Tak, chyba tak. Czasem się zastanawiam, czyby cię nie zabrać ze sobą do Berlina. Mógłbym ci kupić mieszkanie.

— Jakież czarujący pomysł — mówi, a równocześnie

myśli, że chyba wolałaby wpaść w ręce MI— 5, niż spędzić wojnę w charakterze metresy Kurta Vogla w jakiejś nędznej norze w Berlinie.

— Niestety, jesteś zbyt cenna dla Niemiec, żeby cię zatrzymać w Berlinie. Musisz się znaleźć poza linią wroga, w Anglii. —

Zawiesza głos i zapala papierosa. — I pozostaje jeszcze coś. Zadaję sobie pytanie: czemu taka piękna kobieta miałaby się zakochać w kimś takim jak ja? Po czym sam udzielam sobie odpowiedzi. Sądzi, że jeśli ją pokocha, nie wyśle jej do Anglii.

— Nie jestem na tyle sprytna ani podstępna, żeby na coś takiego wpaść.

— Oczywiście, że jesteś. Dlatego cię wybrałem. Narasta w niej złość.

— Ale przyjemnie spędziłem ten czas z tobą. Emilio mówił, że jesteś świetna w łóżku. Najlepsza dupa w całej mojej pieprzonej karierze — tak to ujął. Ale cóż, Emilio bywa dość wulgarny. Twierdził, że przewyższasz nawet najdroższe dziwki. Chciał cię zatrzymać w Hiszpanii jako metresę. Musiałem mu zapłacić podwójną stawkę. Ale wierz mi, okazałaś się warta tych pieniędzy.

Ona zrywa się na nogi.

— Wynoś się stąd, ale już! Rano wyjeżdżam! Mam dość tego zadupia!

— O, tak, wyjeżdżasz rano. Ale nie tam, gdzie sądzisz. Pozostaje tylko jeden problem. Twoi szkoleniowcy wspominali, że nadal masz opory przed zabiciem nożem. Mówią, że doskonale strzelasz — lepiej od chłopców. Ale sztyletem jeszcze słabo się posługujesz.

Nie odpowiada, tylko mierzy wzrokiem mężczyznę rozciągniętego na dywanie.

— Coś ci proponuję. Jeśli będziesz musiała

skorzystać ze sztyletu, pomyśl o tym mężczyźnie, który skrzywdził cię w dzieciństwie.

Przerażona szeroko otwiera usta. Tylko jednej, jedynej osobie się z tego zwierzyła. Marii. Ale Maria musiała powtórzyć ojcu, a on, łajdak, przekazał to Voglowi.

— Nie wiem, o czym mówisz — zaprzecza, ale bez przekonania.

— Oczywiście, że wiesz. Właśnie dlatego stałaś się taką pozbawioną serca, pieprzoną suką.

Reaguje instynktownie. Podchodzi bliżej i wymierza mu złośliwego kopniaka w brodę. Vogel uderza głową o podłogę. Leży bez ruchu, możliwe że stracił przytomność. Jej sztylet jest na podłodze, przy kominku — nauczono ją trzymać go przy sobie bez przerwy. Podnosi go, otwiera lśniące ostrze. W blasku ognia wydaje się czerwone jak krew. Przysuwa się do Vogla. Chce go zabić, zanurzyć sztylet w śmiertelne miejsca, których ją nauczono: serce, nerki, ucho lub oko. Ale Vogel już się podparł na łokciu, mierzy z pistoletu prosto w jej głowę.

— Doskonale — chwali. Krew spływa mu z wargi. — Sądzę, że już jesteś gotowa. Odlóż sztylet i siadaj. Musimy porozmawiać. I bardzo proszę, ubierz się. Dziwacznie wyglądasz.

Wkłada szlafrok i poprawia ogień, podczas gdy Vogel ubiera się i opatruje skaleczenie.

— Jesteś skończonym draniem, Vogel. Musiałabym postradać zmysły, żeby dla ciebie pracować.

— Nawet nie próbuj myśleć, żeby się teraz wycofać. Dostarczyłbym gestapo bardzo przekonujących dowodów, że twój ojciec zdradził führera. A jeśli choć raz mi podpadniesz w czasie pobytu w Wielkiej Brytanii, dam cię Anglikom na srebrnej tacy. Sądziś, że tamten typek cię zranił? To sobie wyobraź, że raz za razem będzie cię

gwałcić banda angielskich strażników. Zapewniam cię, byłabyś ich ulubioną więźniarką. Pewnie by sobie nie zawracali głowy wieszaniem cię.

Nieruchomieje w mroku. Zastanawia się, jak by mu rozbić czaszkę żelaznym pogrzebaczem, ale Vogel nadal trzyma broń. Uświadamia sobie, że to on nią manipulował. Sądziła, że udało jej się go przechytrzyć, że panuje nad sytuacją, a to Vogel wszystkim kierował. Chciał zaszczepić w niej chęć zabijania. I przyznaje, że doskonale się spisał.

— A przy okazji — odzywa się znowu Vogel — kiedy dawałaś mi się jebać, uśmierciłem cię. Anna Katerina von Steiner, lat dwadzieścia siedem, zginęła godzinę temu w nieszczęśliwym wypadku samochodowym na obrzeżach Berlina. Straszna szkoda. Taki talent zmarnowany.

Vogel już się ubrał, przykładła do wargi wilgotną szmatkę. Zostają na niej ślady krwi.

— Rano, tak jak zaplanowaliśmy, jedziesz do Holandii. Zostajesz tam przez pół roku, mocno ustalasz swoją tożsamość. Następnie ruszasz do Anglii. To twoje dokumenty na Holandię, pieniądze, bilet kolejowy. Mam w Amsterdamie ludzi, którzy się z tobą skontaktują i cię poprowadzą.

Zbliża się i staje tuż przy niej.

— Anna zmarnowała sobie życie. Ale Catherine Blake może zdziałać coś naprawdę wielkiego.

Słyszy zamykające się za nim drzwi, skrzypienie butów na śniegu. W głuchej ciszy rozlega się jedynie trzask ognia i zawodzenie wiatru szarpiącego świerkami. Przez chwilę stoi nieruchomo; potem zaczyna się trząść. Nogi się pod nią uginają. Pada na kolana przy ogniu i wybucha niepohamowanym płaczem.

Berlin

Kurt Vogel spał w gabinecie na polowym łóżku, kiedy usłyszał jakiś hałas. Poderwał się na nogi.

— Kto tam?

— To tylko ja, panie kapitanie.

— Werner, na miłość boską! Śmiertelnie mnie przeraziłeś tym szuraniem drewnianej nogi. Myślałem, że to Frankenstein chce mnie zamordować.

— Przepraszam, panie kapitanie. Pomyślałem tylko, że chciałby pan to od razu zobaczyć. — Ulbricht podał mu wydruk sygnału. — Właśnie przyszło z Hamburga. Wiadomość od Catherine Blake z Londynu.

Vogel przeczytał jednym tchem. Serce biło mu jak młotem.

— Spotkała się z Jordanem. Chce, żeby Neumann jak najszybciej zaczął regularnie od niej odbierać przesyłki. Na Boga, Werner, więc udało jej się!

— Nie ulega wątpliwości, że to wyjątkowa agentka. I wyjątkowa kobieta.

— Tak — odparł automatycznie Vogel. — Jak najszybciej skontaktuj się z Neumannem w Hampton Sands. Każ mu rozpocząć ustaloną wcześniej procedurę przekazywania filmów.

— Tak jest.

— I zostaw wiadomość w biurze admirała Canarisa. Jutro z samego rana chcę go poinformować o przebiegu wydarzeń.

— Tak jest, panie kapitanie.

Ulbricht wyszedł, a Vogel został sam w ciemnościach. Zastanawiał się, jak Catherine to osiągnęła. Miał nadzieję, że pewnego dnia wróci i będzie mógł ją spytać.

Przestań się oszukiwać, stary.

Chciał, żeby przyjechała, bo mógłby się z nią. jeszcze

raz spotkać i wyjaśnić, dlaczego tak strasznie się z nią obszedł tamtej ostatniej nocy. Wyłącznie dla jej dobra. Wtedy tego nie rozumiała, ale może teraz, po tak długim czasie, to dostrzegła. Myślał o niej.

Czy się boi? Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

Oczywiście, że grozi. W końcu próbowała z samego serca Londynu wykraść tajemnicę Amerykanów. Jeden nieostrożny ruch, a wpadnie prosto w ręce MI— 5. Ale jeśli już komuś miałoby się powieść, to tylko jej. Na dowód Vogel mógł przedstawić swe złamane serce i szczękę.

Heinrich Himmler przeglądał dokumenty leżące na jego biurku w gabinecie przy Prinz Albrechtstrasse, gdy połączono go z Walterem Schellenbergiem.

— Dobry wieczór, *Herr Brigadenführer*. A może raczej: dzień dobry.

— Jest druga nad ranem. Nie sądziłem, że będzie pan jeszcze w biurze.

— Nie masz dla mnie spoczynku. W czym mogę ci pomóc?

— Chodzi o sprawę Vogla. Udało mi się przekonać jednego z radiotelegrafistów Abwehry, że współpraca z nami wyjdzie mu tylko na dobre.

— Doskonale, generale.

Schellenberg powiedział Himmlerowi o wiadomości od agenta Vogla w Londynie.

— Czyli twój przyjaciel, Horst Neumann, wkrótce przyłączy się do gry — stwierdził Himmler.

— Na to wygląda, *Herr Reichsführer*.

— Rano poinformuję führera o najnowszych wydarzeniach. Z pewnością będzie bardzo zadowolony. Ten cały Vogel okazuje się doskonałym oficerem. Jeśli

wykradnie najważniejszą tajemnicę wojny, to wcale bym się nie dziwił, gdyby führer mianował go następcą Canarisa.

— Mnie przychodzą na myśl bardziej godni kandydaci na to stanowisko, *Herr Reichsführer* — odparł Schellenberg.

— Lepiej znajdź jakiś sposób zapanowania nad sytuacją. Inaczej wypadniesz z gry.

— Tak jest, *Herr Reichsführer*.

— Wybierasz się na poranną przejażdżkę konną po Tiergarten z admirałem Canaristem?

— Jak zwykle.

— To może dla odmiany uda ci się zdobyć jakąś pożyteczną informację. I przekaz Szczwanemu Lisowi pozdrowienia. Dobranoc, *Herr Brigadenführer*.

Himmler delikatnie odłożył słuchawkę na widelki i wrócił do papierkowej roboty.

Rozdział piętnasty

Hampton Sands, Norfolk

Szary świt przedzierał się przez grubą powłokę chmur, kiedy Horst Neumann przebiegł przez sosnowy zagajnik i wspiął się na wydmy. Przed nim rozciągało się morze — szare i nieruchome w ten bezwietrzny ranek. Niewielkie fale uderzały o brzeg plaży, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Neumann miał na sobie szary dres, pod nim golf, żeby nie zmarznąć, i parę miękkich czarnych butów do biegania. Głęboko wdychał chłodne, rześkie powietrze, potem zszedł z wydm i spacerował po miękkim piasku. Trwał odpływ i pojawiła się połać twardego, równego piachu, idealnego do biegania. Rozprostował nogi, zrobił kilka wymachów i ruszył lekkim truchtem. Mewy i rybitwy zaskrzeczały obrażone, po czym odfrunęły.

Dziś rano otrzymał wiadomość z Hamburga: nakazano mu odbieranie materiałów od Catherine Blake. Miało się to odbywać wedle procedury, której Vogel nauczył go na farmie pod Berlinem. Materiał należało wsuwać do szpary w drzwiach budynku przy Cavendish Square, skąd miał go zabierać człowiek z ambasady portugalskiej i pocztą dyplomatyczną przesyłać do Lizbony. Niby proste. Ale Neumann zdawał sobie sprawę, że przez taką kurierską robotę na ulicach Londynu może wpaść prosto w szpony angielskich sił bezpieczeństwa. Będzie nosił informacje, które w razie wpadki zapewniały mu natychmiastowy bilet na szubienicę. Walcząc, zawsze wiedział, gdzie kryje się nieprzyjaciel. Ale przy tego typu zadaniach wróg mógł być wszędzie. Mógł siedzieć obok niego w kawiarni czy w autobusie, a on nawet by się tego nie domyślał.

Dopiero po kilkunastu minutach rozgrzał się i na czole

pojawiły mu się kropelki potu. Bieganie zaczęło swe czary — te same, które czyniło, gdy był jeszcze chłopcem. Czuł się lekko, swobodnie, niemal frunął w powietrzu. Oddychał równo, bez wysiłku, wszelkie napięcie się ulatniało. Wyznaczył sobie wyimaginowaną linię mety kilometr dalej i przyspieszył kroku.

Pierwsze kilkaset metrów przebiegł dobrze. Sunął po plaży, długimi susami pokonując dystans, ręce i ramiona pracowały swobodnie. Końcowy odcinek okazał się trudniejszy. Oddech Neumanna stał się chrapliwy, nierówny. Zimny powiew rozdzierał mu gardło. Miał wrażenie, że na barki ktoś mu wrzucił ołowiane ciężarki. Wymyślona linia mety widniała dwieście metrów przed nim. Ściągną ud nagle się mu naprężyły, musiał skrócić krok. Wyobraził sobie, że to końcówka finału na tysiąc pięćset metrów Igrzysk Olimpijskich — olimpiady, która go minęła, bo wysłano go zabijać Polaków, Rosjan, Greków i Francuzów! Wyobraził sobie, że przed nim biegnie jeszcze jeden zawodnik, a on ze straszliwym trudem wyrównuje dystans. Od linii mety dzieliło go pięćdziesiąt metrów. Była to kupka wodorostów, wyrzucona przez przyływ, lecz on widział prawdziwą taśmę, mężczyzn w białych marynarkach, ze stoperami, i flagę olimpijską łopoczącą nad stadionem. Zadudnił nogami o twardy piach, minął wodorosty, wyhamował i ciężko dyszał.

Głupia gra — a bawił się w nią ze sobą od dziecka — lecz spełniła swój cel. Udowodnił sobie, że znowu odzyskał siły. Wiele miesięcy upłynęło, nim doszedł do siebie po laniu esesmanów, ale wreszcie mu się udało. Czuł, że jego ciało jest gotowe do wszystkich zadań, jakie przed nim staną. Neumann szedł przez chwilę, nim znowu ruszył truchcikiem. I w tej chwili zauważył Jenny Colville, która obserwowała go z wydmy.

Neumann uśmiechnął się do nadchodzącej dziewczyny. Okazała się ładniejsza, niż zapamiętał — pełne, ruchliwe wargi, oczy duże, niebieskie, jasna cera zaróżowiona od porannego chłodu. Miała na sobie gruby wełniany sweter, wełnianą czapkę, sztormiak, nogawki spodni wepchnięte byle jak w kalosze. Za nią, nad wydmami, Neumann dostrzegł biały dym z ogniska, unoszący się znad sosen. Jenny podeszła bliżej. Wyglądała na zmęczoną, jej odzież była wymięta, jakby w niej spała. A mimo to, stając przed nim, uśmiechnęła się wdzięcznie i bacznie mu się przyjrzała.

— Imponujące, panie Porter — odezwała się. Neumannowi trudno było zrozumieć jej rozwleką, śpiewną gwarę z Norfolk. —

Gdybym pana nie znała, powiedziałabym, że pan trenuje przed wyścigiem.

— Trudno zerwać ze starymi nawykami. Zresztą, bieg służy ciału i duszy. Powinnaś sama czasem pobiegać. Straciłabyś te parę zbędnych funtów.

— Ach! — odepchnęła go żartobliwie. — I tak już jestem zbyt koścista. Wszyscy chłopcy w wiosce tak powiadają. Lubią Eleanor Carrick, bo ma duże... no, sam pan wie. Chodzi z nimi na plażę i płacą jej, żeby rozpięła bluzkę.

— Widziałem ją wczoraj w wiosce — odparł Neumann.
— Spasiona bela. Jesteś dwa razy ładniejsza od Eleanor Carrick.

— Tak pan sądzi?

— A i owszem. — Neumann rozmasował ramiona i tupnął. — Muszę się przejść. Inaczej zeszywnieję.

— Ma pan ochotę na towarzystwo?

Skinął głową. To nie była prawda, ale nie widział w tym nic groźnego. Jenny Colville zadurzyła się w nim po uszy, to nie ulegało wątpliwości. Codziennie wyszukiwała preteksty, żeby wpaść do Doghertych i nigdy nie odmówiła zaproszeniu Mary na podwieczorek albo kolację. Neumann starał się okazywać dziewczynie właściwą dozę zainteresowania i zawsze starannie unikał zostania z nią sam na sam. Aż do dziś. Postara się wykorzystać rozmowę do swoich celów — przekonać się, czy wioska kupiła historyjkę o jego pobycie u Doghertych. Szli w milczeniu, Jenny wpatrywała się w morze. Neumann wziął garść kamieni i puszczał kaczki.

— Czy mogę pana spytać o wojnę? — odezwała się dziewczyna.

— Oczywiście.

— Czy te pańskie rany były bardzo ciężkie?

— Na tyle ciężkie, żeby skrócić moje dni w armii i zapewnić bilet do domu.

— Gdzie był pan ranny?

— W głowę. Kiedyś, jak już cię lepiej poznam, odsłonię włosy i pokażę ci blizny.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Pana głowa wygląda zupełnie dobrze.

— Co chciałaś przez to powiedzieć, Jenny Colville?

— Że jest pan przystojny. I inteligentny. Ja to widzę. Wiatr zarzucił jej na twarz kosmyk włosów. Wsunęła go z powrotem pod czapkę.

— Po prostu nie rozumiem, co pan robi w takiej dziurze jak Hampton Sands.

Czyli jego historyjka wzbudziła podejrzenia w wiosce!

— Potrzebowałem miejsca, w którym mógłbym odpocząć i wydobrzeć. Dogherty z żoną mnie zaprosili, a ja skorzystałem z okazji.

— A dlaczego ja w to nie wierzę?

— Powinnaś wierzyć, Jenny. To prawda.

— Ojciec powiada, że jest pan kryminalistą albo członkiem IRA. Mówił, że Sean też kiedyś był w IRA.

— Jenny, naprawdę potrafisz sobie wyobrazić Seana Dogherty'ego jako żołnierza Irlandzkiej Armii Republikańskiej? Zresztą, twój ojciec boryka się z własnymi poważnymi problemami.

Twarz dziewczyny pociemniała. Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

— A to co ma znaczyć?

Neumann wystraszył się, że się posunął za daleko. Może powinien zbagatelizować sprawę, znaleźć wykręt, zmienić temat. Ale coś mu kazało skończyć, skoro już zaczął.

Czemu nie potrafię trzymać języka za zębami i wynieść się z tej plaży? — pomyślał. Oczywiście znał odpowiedź. Jego ojczym był starym łajdakiem, który za byle co walił go na odlew w twarz i racył bezlitosnymi uwagami, które wywoływały łzy. Neumann nie miał wątpliwości, że Jenny Colville znacznie więcej wycierpiała od swego ojca. Chciał jej powiedzieć coś, co by jej uświadomiło, że nie zawsze tak musi być. Chciał jej powiedzieć, że nie jest sama. Chciał jej pomóc.

— To ma znaczyć, że za dużo pije. — Neumann łagodnie musnął jej twarz. — I że źle traktuje śliczną, inteligentną pannę, która niczym sobie na to nie zasłużyła.

— Naprawdę pan tak uważa?

— Uważam, że co?

— Że jestem piękna i inteligentna. Nikt nigdy mi tego nie powiedział.

— Oczywiście, że tak uważam. Wzięła go za rękę i ruszyli dalej.

— Ma pan dziewczynę? — zapytała.

— Nie.

— Dlaczego?

Właśnie, dlaczego? Wojna. To prosta odpowiedź. Ale właściwie nigdy nie miał czasu na dziewczynę. Jego życie było pasmem ciągłych obsesji: obsesji wyparcia się swej angielskości i stania się dobrym Niemcem, obsesji zdobycia medalu olimpijskiego, obsesji posiadania największej liczby odznaczeń w Fallschirmjäger.

Jego ostatnią kochanką była gruba francuska wieśniaczka z wioski niedaleko miejsca, gdzie stacjonowali. Okazywała mu czułość, a on rozpaczliwie potrzebował czułości. Przez miesiąc noc w noc wpuszczała go tylnymi drzwiami do domu i potajemnie brała do łóżka. Teraz wystarczyło zamknąć oczy, a znowu widział jej ciało wyciągające się ku niemu w migotliwym blasku świeczki. Poprzysięgła sobie, że co noc będzie całować jego głowę, póki ostatecznie nie wydobrzeje. W końcu Neumanna ogarnęły wyrzuty sumienia okupanta i zerwał związek. Teraz bał się, co będzie z dziewczyną, gdy wojna się skończy.

— Posmutniał pan — odezwała się Jenny.

— Myślałem o czymś.

— A ja bym powiedziała, że o kimś. A sądząc po wyrazie pańskiej twarzy, to była kobieta.

— Spostrzegawcza z ciebie dziewczyna.

— Ładna była?

— Była Francuzką i była bardzo ładna.

— Czy zламаła panu serce?

— Można tak powiedzieć.

— Ale zostawił ją pan.

— Tak, chyba tak.

— Dlaczego?

— Bo za bardzo ją kochałem.

— **Jak to?**

— **Kiedyś pojdziesz.**

— **Co pan przez to rozumie?**

— **Że jesteś o wiele za młoda, żeby przestawać z takimi jak ja. Pobiegam jeszcze trochę. A ty lepiej wróć do domu i przebierz się w czyste ubrania. Wyglądasz, jakbyś spędziła noc na plaży.**

Popatrzyli na siebie. Oboje wiedzieli, że tak było. Jenny już się odwróciła, by odejść, ale zawahała się.

— **Nigdy mnie nie skrzywdzisz, prawda, James?**

— **Oczywiście że nie.**

— **Obiecujesz?**

— **Obiecuję.**

Podeszła, szybko pocałowała go w usta, odwróciła się i pobiegła po piasku. Neumann potrząsnął głową i ruszył z powrotem plażą.

Rozdział szesnasty

London

Alfred Vicary miał wrażenie, że pogrąża się w piachu. Im bardziej z nim walczył, tym bardziej piach go zasypywał. Na jakikolwiek trafiał ślad, w jakimkolwiek podążał kierunku — zawsze wydawało mu się, że zostaje w tyle. Zaczynał wątpić, czy w ogóle uda mu się schwytać szpiegów.

Źródłem jego desperacji stały się dwa rozszyfrowane niemieckie komunikaty, które dziś rano przyjechały z Bletchley Park. Pierwszy pochodził od niemieckiego agenta w Anglii — prosił Berlin, by zaczął regularnie odbierać materiały. W drugim Hamburg właśnie to nakazywał swojemu agentowi w Wielkiej Brytanii. Skoro wywiadowca potrzebuje kuriera, nasuwa się logiczny wniosek, że coś ukradł. Vicary'ego ogarnęło przerażenie, że nawet jeśli kiedyś dopadnie szpiegów, może już być za późno.

Nad drzwiami Boothby'ego paliło się czerwone światło. Vicary nacisnął dzwonek i czekał. Upłynęła minuta, a światło nadal było czerwone. Dokładnie w stylu Boothby'ego: żądać natychmiastowego stawienia się, a potem przetrzymywać ofiarę.

„Dlaczego wcześniej nam o nich nie wspomniałeś?”

„Ależ powiedziałem, drogi staruszk... Boothby'emu”.

Vicary ponownie nacisnął guzik. Czy to możliwe, żeby Boothby naprawdę wiedział o istnieniu siatki Vogla i zataił ten fakt przed nim? Przecież to nonsens. Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie. Boothby gwałtownie się sprzeciwiał przekazaniu jemu tej sprawy i od samego początku jasno dał mu to do zrozumienia. Ale czy niechęć Boothby'ego sięgałaby tak daleko, by utrudniać z premedytacją pracę

podwładnemu? Niewykluczone. Gdyby Vicary nie poradził sobie z problemem, Boothby miałby podstawy do zwolnienia go i mógłby powierzyć sprawę jakiemuś zaufanemu koledze sprzed wojny, a nie jednemu z nowych, których tak serdecznie nie znosił.

Wreszcie zapłonęło zielone światło. Wślizgując się przez olbrzymie podwójne drzwi, Vicary poprzysiął sobie, że nie ruszy się stąd, dopóki nie oczyści atmosfery.

Boothby siedział za biurkiem.

— Wal, Alfredzie.

Vicary przekazał mu treść obu wiadomości oraz swoje podejrzenia co do ich znaczenia. Boothby słuchał, bawiąc się palcami i wiercąc w fotelu.

— Na miłość boską! — wybuchnął. — Wiadomości robią się z dnia na dzień gorsze.

Kolejna budująca uwaga, sir Basilu — pomyślał Vicary.

— Poczyniliśmy pewne postępy w rozpracowywaniu kobiety. Karl Becker zidentyfikował ją jako Annę von Steiner. Urodziła się w Londynie w dzień Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Jej ojciec, Peter von Steiner, był dyplomatą i bogatym arystokratą z Prus. Matka była Angielką, nazywała się Daphne Harrison. Rodzina aż do wybuchu wojny mieszkała w Londynie, potem przenieśli się do Niemiec. Ze względu na pozycję Steinera Daphne Harrison nie internowano, jak to uczyniono z wieloma brytyjskimi obywatelami. W dziewięćset osiemnastym roku zmarła na gruźlicę w majątku Steinera w zachodnich Prusach. Następnie von Steiner wraz z córką przenosił się z jednej placówki na drugą, między innymi przez krótki czas na początku lat dwudziestych przebywał w Londynie. Steiner pracował również w Rzymie i Waszyngtonie.

— Wygląda mi na szpiega — skomentował Boothby. — Ale mów dalej, Alfredzie.

— W trzydziestym siódmym roku Anna Steiner zniknęła. Od tego momentu możemy wyłącznie snuć spekulacje. Przechodzi szkolenie w Abwehrze, jest wysłana do Niderlandów, gdzie występuje jako Christa Kunst, następnie przekracza granicę Wielkiej Brytanii. A przy okazji: oficjalnie Anna Steiner zginęła w wypadku samochodowym w marcu trzydziestego ósmego roku. Niewątpliwie sfabrykował to Vogel.

Boothby wstał i zaczął krążyć po gabinecie.

— Wszystko to bardzo ciekawe, Alfredzie, ale ma jedną wielką wadę. Opiera się na informacjach Karla Beckera. A on zrobiłby wszystko, byle się wkupić w nasze łaski.

— Becker nie miał powodów kłamać w tej sprawie, sir Basilu.

A jego opowieść doskonale się zgadza z tymi szczegółami, które udało nam się ustalić.

— Powiadam tylko, Alfredzie, że bardzo wątpię w prawdziwość słów tego człowieka.

— W takim razie dlaczego poświęcił mu pan tak wiele czasu w październiku? — odparował Vicary.

Sir Basil stał w oknie, spoglądając na ostatnie promienie dnia. Poderwał głowę, ale zapanował nad sobą i wolno odwrócił się do Vicary'ego.

— To, dlaczego rozmawiałem z Beckerem, pana w ogóle nie dotyczy.

— Becker jest moim agentem. — Do głosu Vicary'ego zaczął się wkradać gniew. — Ja go aresztowałem, ja go przeciągnąłem na naszą stronę. Ja nim kieruję. Przekazał panu informacje, które mogły się okazać użyteczne w tej sprawie, a mimo to zataił je pan przede mną. Chciałbym

wiedzieć, dlaczego.

Boothby już całkowicie się uspokoił.

— Becker powiedział mi to samo, co panu: specjaliści agencji, sekretny obóz w Bawarii, specjalne szyfry, procedury. I jeśli mam być z panem szczerzy, Alfredzie, nie uwierzyłem mu. Żadne dowody nie potwierdzały jego zeznań. Teraz już wierzymy.

Całkiem logiczne wyjaśnienie, przynajmniej z pozoru.

— Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

— To było dawno temu.

— Kto to jest Brum?

— Przykro mi, Alfredzie.

— Chcę wiedzieć, kim jest Brum.

— A ja staram się bardzo kurtuazyjnie dać panu do zrozumienia, że nie upoważniono mnie do poinformowania pana, kim jest Brum. — Boothby pokręcił głową. — Na Boga! Wszak to nie klub dyskusyjny, gdzie sobie siedzimy i wymieniamy poglądy. Pracuje pan w kontrwywiadzie. A tu wszystko się opiera na jednej, bardzo prostej zasadzie: wiesz tylko to, co musisz wiedzieć. Nie musi pan wiedzieć, kim jest Brum, ponieważ to w żaden sposób nie dotyczy żadnej z prowadzonych przez pana spraw. Dlatego też to nie pana interes.

— Czy w regule: „Wiesz tylko to, co musisz wiedzieć” mieści się też zwodzenie współpracowników?

— Nie użyłbym tu słowa „zwodzenie”. — Boothby wymówił ten wyraz tak, jakby był wulgaryzmem. — Po prostu oznacza to, że ze względów bezpieczeństwa pracownik musi wiedzieć wyłącznie to, co mu pomoże w wykonaniu zadania.

— A co pan powie na wyraz „kłamstwo”? Czy tego słowa już by pan użył?

Rozmowa zdawała się sprawiać Boothby'emu fizyczny

ból.

— Moim zdaniem czasem trzeba być nie do końca szczerym ze swym podwładnym i w ten sposób osłaniać akcję, którą prowadzi ktoś inny. To pana chyba nie dziwi, prawda?

— Oczywiście, że nie, sir Basilu. — Vicary zawahał się, zastanawiając się, czy utrzymać ten ton rozmowy czy też go zmienić. — Po prostu ciekawiło mnie, dlaczego pan mnie oszukał, twierdząc, że nie czytał akt Kurta Vogla.

Krew odplynęła Boothby'emu z twarzy. Vicary widział, jak generał zaciska i otwiera w kieszeniach pięści. Cóż, obrał ryzykowną taktykę, ryzykował, że polecą głowa Grace Clarendon. Po jego wyjściu Boothby może zadzwonić do Nicholasa Jago z archiwum i zażądać wyjaśnień. Jago z pewnością się domyśli, że źródłem przecieku była Grace Clarendon. To poważne oskarżenie, kobieta może stracić pracę. Ale Vicary założyłby się, że nie tkną Grace, bo w ten sposób by potwierdzili prawdziwość jej informacji. Modlił się w duchu, by się nie okazało, że się pomylił.

— Szuka pan kozła ofiarnego, co, Alfredzie? Kogoś, na kogo pan zrzuciłby winę za swoją nieudolność w rozwiązaniu sprawy? Kto jak kto, ale pan powinien zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiej postawy. W historii aż się roi od słabeuszy, którzy musieli koniecznie znaleźć sobie kozła ofiarnego.

A ty nie odpowiadasz na moje pytanie — pomyślał Vicary. Wstał.

— Dobranoc, sir Basilu.

Boothby milczał. Vicary ruszył do drzwi.

— Jeszcze jedno — odezwał się w końcu generał. — Nie wydaje mi się, żebym musiał panu przypominać, ale na wszelki wypadek to zrobię. Nie dysponujemy nieograniczonym czasem. Wkrótce, jeśli nadal nie będzie

postępów w poszukiwaniach, będziemy zmuszeni... no, do zmian. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda, Alfredzie?

Rozdział siedemnasty

Londyn

Kiedy weszli do restauracji Grill w Savoyu, orkiestra zaczęła grać „And a Nightingale Sang on Berkeley Square”. Była to dość kiepska wersja — za mało płynna, trochę za szybka — ale melodia i tak się obroniła. Jordan bez słowa wziął Catherine za rękę i ruszyli na parkiet. Okazał się doskonałym tancerzem — wyrobionym, pewnym — i mocno ją tulił do siebie. Jako że zjawił się prosto z pracy, miał na sobie mundur. Przyniósł również teczkę, ale widać nie było w niej nic ważnego, bo zostawił ją przy stoliku. Mimo to nie spuszczał jej prawie z oka.

Po pewnym czasie Catherine coś zauważyła: wszyscy w sali im się przyglądali. Fatalnie to na nią działało. Od sześciu lat robiła, co było w jej mocy, by nikt nie zwracał na nią uwagi. A teraz tańczy z oszalamiająco przystojnym amerykańskim oficerem w najlepszym londyńskim hotelu. Miała wrażenie, że jest naga, wystawiona na cios, a jednocześnie czerpała dziwną satysfakcję z tego, że wreszcie robi coś zupełnie normalnego.

Niewątpliwie jej wygląd miał pewien związek z uwagą, jaką na siebie zwracali. Zobaczyła to przed kilku minutami w oczach Jordana, gdy weszli do baru. Dziś wieczorem wyglądała olśniewająco. Ubrała się w sukienkę z czarnej krepy, z głębokim wycięciem na plecach i dekoltem odsłaniającym linię biustu. Rozpuszczone włosy spięła z tyłu elegancką cenną klamerką, na szyi zawiesiła dwa sznury pereł. Starannie się umalowała. Jakość wojennych kosmetyków pozostawiała wiele do życzenia, ale ona nie potrzebowała dużo: odrobina szminki do podkreślenia pełnych warg, nieco różu do zaakcentowania wyrazistych

kości policzkowych, troszeczkę tuszu na oczy. Nie czerpała szczególnej satysfakcji ze swego wyglądu. O swojej urodzie zawsze myślała beznamiętnie, tak jak się myśli o ulubionej porcelanowej zastawie i starym, cennym kobiercu. Ale istotnie od bardzo dawna nie weszła do lokalu z poczuciem, że wszyscy się za nią oglądają. Bo zauważali ją i mężczyźni, i kobiety. Mężczyźni z trudem nad sobą panowali, by nie rozdziawić ust, kobiety powściągały gniewny grymas.

— Zauważyłaś, że wszyscy w tej sali się na nas gapią?
— odezwał się Jordan.

— Owszem, zauważyłam. Przeszkadza ci to?

— Skądże. — Przyciągnął ją jeszcze bliżej, by móc jej spojrzeć w oczy. — Od bardzo dawna tak się nie czułem, Catherine. I pomyśleć, że musiałem przyjechać aż do Londynu, by cię znaleźć.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— Mogę się do czegoś przyznać?

— Jak najbardziej.

— Wczoraj po twoim odejściu prawie nie zmrużyłem oka. Uśmiechnęła się i przytuliła do niego, tak że jej usta znalazły się tuż przy jego uchu.

— Ja też się do czegoś przyznam. Wcale wczoraj nie spałam.

— O czym myślałaś?

— Ty najpierw powiedz.

— Myślałem, jak bardzo żałuję, że sobie poszłaś.

— Mnie nękały podobne myśli.

— Myślałem, że chciałbym cię pocałować.

— Wydawało mi się, że cię pocałowałam.

— Nie odchodź dziś w nocy.

— Musiałbyś mnie chyba siłą wyrzucić, sarna nie wyjdę.

— Tego nie musisz się obawiać.

— Wiesz, chciałabym, żebyś mnie pocałował. Tu, teraz, Peterze.

— A co z tymi ludźmi, którzy się na nas patrzą. Co sobie pomyślą?

— Nie jestem pewna. Ale to Londyn, czterdziesty czwarty rok. Wszystko się może zdarzyć.

— Z gratulacjami od dżentelmena przy barze — powiedział kelner, otwierając butelkę szampana, ledwo siedli przy stoliku.

— Czy ten dżentelmen się jakoś przedstawił? — spytał Jordan. — Nie był łaskaw, proszę pana.

— A jak wyglądał?

— Jak opalony rugbista, proszę pana.

— Oficer amerykańskiej marynarki wojennej?

— Zgadza się.

— Shepherd Ramsey.

— Ów dżentelmen pragnie się do państwa przyłączyć na kieliszek.

— Proszę mu powiedzieć, że dziękujemy za szampana, a resztę niech sobie wybije z głowy.

— Oczywiście, proszę pana.

— Co to za Shepherd Ramsey? — spytała Catherine po odejściu kelnera.

— Shepherd Ramsey to mój najstarszy, najukochańszy przyjaciel na świecie. Kocham go jak brata.

— To dlaczego nie chcesz, żeby się do nas przyłączył?

— Bo po raz pierwszy w dorosłym życiu chciałbym zrobić coś bez niego. Zresztą, nie chcę się tobą dzielić.

— To dobrze, bo ja nie chcę się dzielić tobą. — Catherine uniosła kieliszek. — Za nieobecność Shepherda.

Jordan się roześmiał.

— Za nieobecność Shepherd'a. Stuknęli się kieliszkami.

— I za zaciemnienie, bez którego bym na ciebie nie wpadła — dodała Catherine.

— Za zaciemnienie. — Jordan się zawahał. — Wiem, że to prawdopodobnie zabrzmiało jak frazes, ale nie mogę od ciebie oderwać wzroku.

Catherine uśmiechnęła się i pochyliła nad stolikiem.

— Nie chcę, żebyś ode mnie odrywał wzrok, Peterze. Jak sądzisz, dlaczego włożyłam tę sukienkę?

— Mam lekką treść.

— Ja też, Peterze.

— Wyglądasz tak pięknie, leżąc w blasku księżyca.

— Ty też wyglądasz pięknie.

— Nie. Moja żona...

— Przepraszam. Ale po prostu nigdy nie widziałam mężczyzny równie pięknego jak ty. Postaraj się na chwilę zapomnieć o swojej żonie.

— To bardzo trudne, ale dzięki tobie staje się odrobinę łatwiejsze.

— Wyglądasz jak posąg, klęcząc tak przy mnie.

— Bardzo stary, rozpadający się posąg.

— Cudowny posąg.

— Nie mogę przestać cię dotykać... ich dotykać. Są takie piękne. Marzyłem, żeby ich dotknąć, od kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem.

— Możesz je pieścić mocniej. To nie boli.

— Tak?

— O, Boże! Tak, Peterze, właśnie tak. Ale ja też chcę cię pieścić.

— Co za wspaniałe uczucie, gdy tak robisz.

- Naprawdę?
- Aaach, tak, naprawdę.
- Jest taki twardy. Cudownie się go dotyka. I chcę z nim zrobić jeszcze coś.
- Co?
- Nie mogę powiedzieć na głos. Tylko się przybliź.
- Catherine...
- Po prostu zrób to, kochanie. Obiecuję, że nie pożałujesz.
- O, Boże, toż to niewiarygodne.
- Więc nie przerywać?
- Wyglądasz przy tym tak pięknie.
- Chcę, żeby ci było dobrze.
- Chcę, żeby tobie było dobrze.
- Pokażę ci jak.
- Chyba sam wiem.
- Aaach, Peterze, twój język czyni cuda. Och, proszę, pieść równocześnie moje piersi.
- Chcę wejść w ciebie.
- Pospiesz się, Peterze.
- Oooh, jak tam cudownie, jak miękko. Och, Boże, Catherine, zaraz...
- Poczekaj! Jeszcze nie teraz, kochanie. Bądź taki dobry i połóż się na plecach. Resztę zostaw mnie.

Zrobił, co kazała. Objęła ręką jego członek i wprowadziła go w głąb siebie. Mogłaby po prostu leżeć i dać mu skończyć, ale chciała, żeby to się odbyło właśnie tak. Od początku wiedziała, że Vogel jej to zrobi. Bo po cóż innego chciałby mieć agentkę, jak nie po to, by uwodziła oficerów alianckich i wykradała im sekrety? Zawsze sobie wyobrażała, że jej ofiara będzie tłustym, owłosionym obleśnym starcem, nie kimś takim jak Peter. Skoro została kurwą Kurta Vogla, to przynajmniej niech coś z tego ma.

Boże, Catherine, nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś tracić panowania nad sytuacją.

Ale nic na to nie mogła poradzić. To jej sprawiało przyjemność. I traciła panowanie nad sytuacją. Kręciła głową, ręce same się podniosły do piersi, palcami gładziła brodawki, a po chwili poczuła w sobie ciepłe nasienie Petera i zalała ją fala cudownej rozkoszy.

Było późno, nie wcześniej niż czwarta nad ranem, choć Catherine nie mogła tego wiedzieć na pewno, gdyż gęsty mrok uniemożliwiał sprawdzenie godziny na zegarku przy łóżku. Nieważne. Najważniejsze, że Peter Jordan leżał głęboko uśpiony u jej boku. Oddychał spokojnie, regularnie. Zjedli sutą kolację, sporo wypili i dwa razy się kochali. Zapewne przespałby teraz i nalot Luftwaffe, no, chyba że ma wyjątkowo lekki sen. Catherine wysunęła się spod kołdry, włożyła jedwabny szlafrok, który dał jej Jordan, i cicho przeszła przez sypialnię. Drzwi były uchylone. Otworzyła je szerzej, wyślizgnęła się z pokoju i zamknęła za sobą.

Cisza dźwięczała jej w uszach. Słyszała dudnienie swego serca. Zmusiła się do spokoju. Zbyt ciężko pracowała, zbyt wiele zaryzykowała, by dotrzeć do tego właśnie punktu. Jeden głupi błąd zrujnowałby cały jej wysiłek. Szybko ruszyła w dół po wąskich schodach. Zaskrzypiał jeden stopień. Znieruchomiała, nasłuchując, czy Jordan się nie obudził. Na dworze jakiś samochód przejechał po kałuży. Gdzieś ujadał pies. Z oddali dobiegło trąbienie ciężarówki. Uświadomiła sobie, że to po prostu zwykle odgłosy nocy, na które śpiący w ogóle nie reagują. Szybko zbiegła po schodach, do holu. Na stoliku, obok swojej torebki, znalazła klucze Jordana. Wzięła jedno i drugie, po czym zabrała się

do pracy.

Na dziś wyznaczyła sobie skromne zadanie. Chciała sobie zapewnić regularny dostęp do gabinetu Jordana i jego osobistych dokumentów. A więc musiała mieć własny komplet kluczy do drzwi wejściowych, gabinetu i walizki Petera. Na kółku Jordana wisiało ich sporo. Nie miała problemów z wyborem klucza do drzwi wejściowych — to ten największy. Z torebki wyjęła blok miękkiej brązowej masy plastycznej. Wybrała klucz, odcisnęła go w masie. Kluczyk do walizki też błyskawicznie rozpoznała — to ten najmniejszy. Gorzej z gabinetem; tu już niemal każdy się nadawał. Tylko w jeden sposób mogła to sprawdzić. Wzięła torebkę, teczkę Jordana i przeniosła się z tym wszystkim pod zamknięty gabinet. Tam zaczęła wypróbowywać wszystkie klucze. Trafiła za czwartym razem. Zdjęła go z kółka i odcisnęła w masie.

Mogła na tym poprzestać. I tak bardzo dużo dziś osiągnęła. Zrobi duplikaty kluczy i wróci, kiedy Jordana nie będzie. Wtedy spokojnie sfotografuje to, co znajdzie w gabinecie. Mogłaby tak zrobić. Ale ona chciała więcej. Udowodni Voglowi, że jest utalentowaną agentką. Wedle swoich szacunków wyslizgnęła się z łóżka przed niecałymi dwoma minutami. Stać ją na jeszcze dwie.

Otworzyła drzwi gabinetu, weszła do środka i zapaliła światło. Pokój był ładny, umeblowany podobnie jak salon, po męsku. Stało w nim duże biurko, skórzany fotel, deska kreślarska, a przy niej wysoki drewniany stółek. Catherine sięgnęła do torebki i wyjęła dwie rzeczy: aparat fotograficzny i swojego mauzera z tłumikiem. Położyła broń na biurku. Przysunęła aparat do oka i pstryknęła dwa zdjęcia pokoju. Potem otworzyła aktówkę Jordana. Niewiele tam znalazła: portfel, etui na okulary i mały kalendarz w skórkowej okładce.

Zawsze to coś — pomyślała. Może są w nim nazwiska ważnych osobistości, z którymi spotyka się Jordan. Jeśli Abwehra będzie wiedziała, z kim się widuje, może się domyśli, nad czym pracuje.

Ile razy robiła to w czasie szkolenia? Boże, sama już nie zliczy; ze sto razy na pewno. I ten Vogel, który wiecznie wisiał nad nią z cholernym stoperem. „Za długo! Za głośno! Za dużo światła! Za mało! Zaraz cię dopadną! Już cię mają! I co teraz zrobisz?”. Położyła kalendarzyk na biurku i zapaliła lampkę. Wygięła ją, żeby światło padało wprost na kartki — idealne warunki do fotografowania dokumentów.

Trzy minuty. Bierz się ostro do roboty, Catherine.

Otworzyła notatnik, poprawiła lampkę. Jeśli światło będzie padać pod złym kątem albo ze zbyt bliska, zniszczą się negatywy. Zrobiła dokładnie tak, jak uczył ją Vogel, i zaczęła robić zdjęcia. Nazwiska, daty, krótkie, nabazgrane notatki. Po kilku stronach natknęła się na coś bardzo interesującego: szkic czegoś w rodzaju pudełka. Z boku widniały liczby, zapewne wymiary. Fotografując tę kartkę, dbała, by zachował się rysunek.

Cztery minuty.

Jeszcze jedna rzecz. Sejf. Stał na podłodze, obok biurka. Vogel przekazał Catherine kombinację, która miała go otwierać. Przyklękła i obróciła gałkę. Sześć cyfr. Po ostatniej usłyszała, jak zamek się otwiera. Pchnęła rygiel. Odskoczył. Czyli podali jej dobrą kombinację. Pociągnęła drzwiczki i zajrzała do środka: dwie teczki papierzysk, sporo notatników z pojedynczymi kartkami. Sfotografowanie tego zajmie jej godziny. Poczekaj. Skierowała obiektyw na wnętrze sejfu i zrobiła zdjęcie. pięć minut.

Pora odłożyć wszystko na miejsce. Zamknęła sejf,

zatrzasnęła zamek i obróciła gałkę. Ostrożnie włożyła do torebki masę, żeby nie zniszczyć odcisków. Potem wrzuciła do niej aparat i mauzera. Odłożyła kalendarzyk Jordana z powrotem do teczki i zamknęła ją. Zgasiła światło i wyszła z gabinetu. Przekręciła klucz w zamku.

Sześć minut. Za długo.

Odniosła klucze, walizkę i torebkę z powrotem na miejsce. Gotowe! Potrzebuje wymówki. Chciało jej się pić. To była prawda: w ustach jej zaschło z napięcia. Poszła do kuchni, wyjęła z szafki szklankę i napełniła zimną wodą z kranu. Wychyliła ją jednym haustem, znowu naląła i wróciła ze szklanką do sypialni.

Ogarnęła ją ulga, a równocześnie rozsadzało zdumiewające poczucie władzy i triumfu. Wreszcie, po miesiącach treningu i latach wyczekiwania, coś zrobiła. Nagle zdała sobie sprawę, że odpowiada jej szpiegostwo — satysfakcja, jaką daje drobiazgowo opracowanie planu, wykonanie zadania, dziecinna radość odkrycia sekretu, poznanie czegoś, czego ktoś nie chce zdradzić. Oczywiście, Vogel od samego początku miał rację. Pod każdym względem nadawała się do tego zawodu.

Otworzyła drzwi i wsunęła się do pokoju.

Peter Jordan siedział na łóżku.

— Gdzie się podziewałaś? Martwiłem się o ciebie. —
Konałam z pragnienia.

Nie wierzyła, że ten spokojny, opanowany głos rzeczywiście należy do niej.

— Mam nadzieję, że i dla mnie trochę przyniosłaś. Och, dzięki Bogu. Znowu mogła oddychać normalnie.

— Oczywiście.

Dała mu szklankę, wypił.

— Która godzina? — spytała Catherine.

— Piąta. Muszę za godzinę wstać, żeby zdążyć na

spotkanie o ósmej.

Pocałowała go.

— Więc została nam jeszcze godzina.

— Catherine, przecież nie dam...

— Och, założę się, że dasz.

Zsunęła z ramion jedwabny szlafrok i przyciągnęła Jordana do swoich piersi.

Kiedy później tego samego dnia Catherine Blake szła Chelsea Embankment, nad rzeką siąpiła zimna mżawka. W trakcie przygotowań Vogel przekazał jej kombinację dwudziestu różnych spotkań, każde w innym punkcie centrum Londynu, każde o nieco innej porze. Kazał wbić je sobie do głowy i zakładała, że to samo zrobił z Horstem Neumannem, zanim go wysłał do Anglii. Ustalono, że to Catherine zdecyduje, czy ma dojść do spotkania. Jeśli zauważy coś, co jej się nie spodoba — podejrzaną twarz, mężczyzn w zaparkowanym samochodzie — nie nawiąże kontaktu, i wtedy mają spróbować w kolejnym miejscu z listy, o określonej porze.

Catherine nie zauważyła niczego niezwykłego. Zerknęła na zegarek. Przyszła o dwie minuty za wcześnie. Spacerowała i, co zrozumiałe, wróciła myślami do wydarzeń ubiegłej nocy. Bała się, czy nie posunęła się za daleko, czy to się nie stało za szybko. Miała nadzieję, że Jordana nie szokowały jej pieszczoty ani pieszczoty, których zażądała. Może angielska mieszcza tak by się nie zachowała.

Teraz już za późno na wątpliwości, Catherine.

Ranek upłynął jak we śnie. Czowała się, jakby w tajemniczy sposób zmieniono ją w kogoś innego i wrzucono do innego świata. Ubrała się i przygotowała kawę, podczas

gdy Jordan się golił i brał prysznic; zwyczajna domowa scenka wydawała jej się dziwaczna. Strach ją ogarnął, kiedy Jordan otworzył drzwi gabinetu i wszedł do środka.

Czy nie zostawiłam jakichś śladów? Czy domyśla się, że tam wczoraj byłam?

Razem jechali taksówką. W czasie krótkiej przejażdżki do Grosvenor Square uderzyła ją kolejna obawa: a jeśli nie będzie chciał się z nią więcej spotkać? Aż do tej chwili nawet jej to nie przeszło przez myśl. Wszystko by poszło na marne. Chyba że naprawdę ją pokochał. Jej niepokój okazał się bezpodstawny. Kiedy samochód zatrzymał się przy Grosvenor Square, Jordan zaprosił Catherine na wieczór na kolację we włoskiej restauracji przy Charlotte Street.

Zawróciła i znów ruszyła wzdłuż rzeki. Neumann już tam był, szedł w jej stronę, z rękami w kieszeniach płaszcza, z kołnierzem postawionym dla ochrony przed deszczem i kapeluszem nasuniętym na oczy. Nadawał się na agenta terenowego: drobny, nie rzucający się w oczy, a równocześnie emanujący czymś groźnym. Ubrać go w garnitur, a mógłby się pokazać w najlepszym towarzystwie. W tym stroju, który teraz miał na sobie, mógłby przejść po najgorszych dzielnicach doków i nikt nie odważyłby się dwa razy na niego spojrzeć. Ciekawe, czy studiował aktorstwo, tak jak ja? — pomyślała przelotnie Catherine.

— Wyglądasz, jakbyś potrzebowała filiżanki kawy — odezwał się Neumann. — Tu w pobliżu jest przyjemna kafejka.

Podał jej ramię. Przyjęła je i ruszyli brzegiem Tamizy. Panował przenikliwy chłód. Dała Horstowi negatyw, beztrąsko wrzucił go do kieszeni, jakby to były drobniaki. Vogel dobrze go wyszkolił.

— Rozumiem, że wiesz, gdzie to dostarczyć? — spytała

Catherine.

— Na Cavendish Square. Pracownik ambasady portugalskiej, niejaki Hernandez, odbierze to dziś o trzeciej i dołączy do poczty dyplomatycznej. Dziś wieczorem przesyłka pojedzie do Lizbony, a w Berlinie wyląduje rano.

— Doskonale.

— A propos, co tam jest?

— Jego kalendarzyk, zdjęcia gabinetu. Niewiele, ale to dopiero początek.

— Imponujące — powiedział Neumann. — Jak je zdobyłaś?

— Dałam się zaprosić na kolację, a potem wziąć do łóżka. Wstałam w środku nocy i wślizgnęłam do jego gabinetu. A przy okazji, kombinacja okazała się właściwa. Obejrzałam też wnętrze sejfu.

Neumann pokręcił głową.

— Ryzykowne jak cholera. Jeśli zejdziesz na dół, będziesz w kłopotach.

— Wiem. Dlatego potrzebuję tego. — Z torebki wyjęła odciski kluczy. — Znajdź kogoś, kto mi zrobi klucze i dostarcz dzisiaj do mojego mieszkania. Jutro, jak pójdzie do pracy, zakradnę się do jego domu i sfotografuję wszystko, co tam trzyma.

Neumann schował masę do kieszeni.

— Dobrze. Coś jeszcze?

— Tak. Od tej pory koniec takich pogawędek. Wpadamy na siebie, daję ci film, ty idziesz swoją drogą, dostarczasz go Portugalczykowi. Jeśli będziesz miał dla mnie jakąś wiadomość, napisz i wsuń mi do ręki. Jasne?

— Jasne.

Zatrzymali się.

— Cóż, czeka pana ciężki dzień, panie Porter. — Pocałowała go w policzek i szepnęła: — Nadstawiałam

karku dla tych *rzeczy*. Nie spieprz teraz sprawy.

Po czym odwróciła się i odeszła w swoją stronę.

Pierwszym problemem, jaki stanął przed Horstem Neumannem tego ranka, było znalezienie kogoś, kto zrobi kopie kluczy Petera Jordana. Żaden porządny ślusarz z West Endu nie wykonałby duplikatu na podstawie formy odcisniętej w masie. Co więcej, pewnie ściągnąłby policję i aresztował Neumanna. Trzeba udać się w okolice, gdzie łatwiej o rzemieślnika gotowego wykonać tę usługę za odpowiednią sumkę. Neumann szedł dalej nad Tamizą, przekroczył ją na moście Battersea i skierował się do południowych dzielnic Londynu.

Dość szybko znalazł to, czego szukał. Szyby w oknie warsztatu były wybite, otwór zasłaniała dykta. Neumann wszedł do środka. Nie było klientów, za kontuarem siedział tylko starszy mężczyzna w grubej granatowej koszuli i przybrudzonego fartuchu.

— Dorabiacie klucze, człowieku? — spytał Neumann. Rzemieślnik ruchem głowy wskazał maszynę. Neumann wyjął z kieszeni masę.

— Umielibyście dorobić na podstawie czegoś takiego?

— Jasne, tylko że to będzie kosztować.

— Co byście powiedzieli na dziesięć szylingów? Mężczyzna się uśmiechnął. Brakowało mu połowy zębów.

— Że to brzmi jak anielska muzyka. — Wziął masę. — Zrobi się na jutro w południe.

— Ja muszę je mieć zaraz.

Tamten jeszcze bardziej wyszczerzył resztki uzębienia.

— W takim razie to będzie kosztować dychę więcej. Neumann położył pieniądze na ladzie.

— Jeśli to wam nie przeszkadza, poczekam tu, aż

zrobicie.

— Proszę bardzo.

Po południu deszcz ustał. Neumann chodził do upadłego. Jeśli nie chodził, to wskakiwał i wyskakiwał z autobusów, znikał i pojawiał się w metrze. Z dzieciennych lat zachował bardzo mgliste wspomnienia o Londynie i teraz z dużą przyjemnością krążył po mieście. Cóż za odprężenie po nudzie Hampton Sands, gdzie mógł tylko biegać po plaży czytać albo pomagać Seanowi przy owcach. Gdy wyszedł z warsztatu, wrzucił dorobione klucze do kieszeni, na moście Battersea wyjął masę Catherine, zgniótł ją, żeby usunąć ślady, i wrzucił do rzeki. Wpadła do wody z głośnym chlupnięciem i zniknęła w wirach.

Neumann błąkał się po Chelsea, Kensingtonie, w końcu dotarł na Earl's Court. Włożył klucze do koperty, a kopertę wsunął do skrzynki na listy Catherine. Następnie zjadł w zatłoczonej kawiarni lunch przy stoliku obok okna. Jakaś kobieta, siedząca dwa stoliki dalej, puszczała do niego oko, ale on wcześniej zaopatrzył się w gazetę i tylko od czasu do czasu podnosił wzrok, uśmiechając się do niej. To było kuszące. Kobieta wyglądała całkiem niezłe i to mógł być całkiem niezły sposób na zabicie popołudnia; w dodatku mógłby wreszcie przestać krążyć po mieście. Ale równocześnie było ryzykowne. Zapłacił rachunek, mrugnął do kobiety i wyszedł.

Piętnaście minut później zatrzymał się w budce telefonicznej, podniósł słuchawkę i wykręcił londyński numer. Odebrał mężczyzna mówiący z silnym obcym akcentem. Neumann uprzejmie poprosił pana Smythe'a. Jegomość z drugiej strony odrobinę zbyt gorliwie odrzekł, że nie mieszka tu nikt o nazwisku Smythe i cisnął

sluchawką. Neumann się uśmiechnął i odłożył sluchawkę. Rozmowa stanowiła szyfr. Mężczyzna był Portugalczykiem, kurierem, nazywał się Carlos Hernandez. Miał, ilekroć Neumann zadzwoni i poprosi kogoś o nazwisku zaczynającym się na „S”, udać się na Cavendish Square i odebrać przesyłkę.

Musiał jakoś zabić czas przez godzinę. Spacerował po Kensingtonie, przeciął Hyde Park i wylądował przy Marble Arch. Chmury pogęstniały, zaczęło padać — najpierw parę zimnych, grubych kropli, potem rześisty deszcz. Schował się w księgarni przy małej uliczce odchodzącej od Portman Square. Poszperał w książkach, odrzucając propozycję pomocy ciemnowłosej dziewczyny, która stała na drabinie, układając książki na najwyższych półkach. Wybrał tomik T. S. Eliota i ostatnią powieść Grahama Greene'a „Ministerstwo strachu”. Kiedy płacił, dziewczyna oświadczyła, że przepada za Eliotem i zaprosiła go na kawę w przerwie o czwartej. Odmówił, ale powiedział, że często bywa w tych okolicach i jeszcze zajrzy. Dziewczyna się uśmiechnęła, włożyła książki do papierowej torby i oświadczyła, że byłoby jej miło. Neumann wyszedł, został po nim tylko dźwięk dzwoneczka zaczepionego nad drzwiami.

Dotarł na Cavendish Square. Deszcz przeszedł w lodowatą mżawkę. Było za zimno, by czekać na ławce, więc kręcił się po placu, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z drzwi budynku w południowo— zachodnim rogu placu.

Po dwudziestu minutach wyczekiwania zjawił się grubas.

Był ubrany w szary garnitur, szary płaszcz i kapelusz, a zachowywał się jak człowiek, który lada chwila ma napaść na bank. Wsunął klucz do zamka, jakby wchodził na terytorium wroga, i zniknął w środku. Ledwo drzwi się

zamknęły, Neumann przeciął plac, wyjął z kieszeni film i wrzucił go przez szparę na listy. Zza drzwi dobiegło sieknięcie, kiedy grubas się schylił po przesyłkę. Neumann odszedł i krążył po placu, nadal nie odrywając wzroku od budynku. Po pięciu minutach portugalski dyplomata wynurzył się zza drzwi, szybko złapał taksówkę i odjechał.

Neumann spojrział na zegarek. Bitą godziną do pociągu. Zastanowił się, czyby nie wrócić do księgarni i nie spotkać się z dziewczyną. Miło by było wypić kawę i porozmawiać z kimś inteligentnym. Ale nawet niewinna pogawędka stanowiła istne pole minowe. Posługiwanie się językiem a znajomość kultury to dwie różne sprawy. Mógłby popełnić jakiś głupi błąd, wzbudzić podejrzliwość. Nie warto ryzykować.

Z książkami pod pachą opuścił Cavendish Square, wsiadł do kolejki metra jadącej na wschód, do Liverpool Street, gdzie złapał popołudniowy pociąg do Hunstanton.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Berlin

— Nosi to nazwę operacji *Mulberry* — zaczął admirał Canaris — i jak do tej pory, nie mamy pojęcia, o co w niej chodzi.

Uśmiech błysnął na twarzy brigadenführera Waltera Schellenberga i zniknął szybko niczym letni deszczyk. Dziś rano, podczas przejażdżki po Tiergarten, Canaris nie przekazał mu tej wiadomości. Dostrzegłszy teraz kątem oka reakcję Schellenberga, Canaris nie miał wyrzutów sumienia, że ukrył to przed młodym generałem. Ich wspólne konne wyprawy służyły jednemu podstawowemu celowi, o którym żaden głośno nie wspominał: każdy z nich zamierzał je wykorzystać ku swemu pożytkowi. Canaris przekazywał lub zatrzymywał informacje dla siebie, kierując się prostą regułą: co mu się lepiej opłaci. Otwarte kłamstwo spotykało się z niechęcią. Kłamstwo prowadziło do wyrzutów, a wyrzuty psuły pogodną atmosferę przejażdżki.

— Parę dni temu Luftwaffe zrobiła te oto fotografie. — Canaris położył dwa powiększenia na niskim, bogato rzeźbionym stoliku, przy którym siedzieli. — To Selsey Bili na południu Anglii. Jesteśmy prawie pewni, że te punkty wiążą się z projektem. — Canaris posłużył się srebrnym ołówkiem jako strzałką. — Najwyraźniej buduje się tu w pośpiechu coś dużego. Są tam olbrzymie hałdy cementu i stali zbrojeniowej. Na tym zdjęciu widać rusztowanie.

— Imponujące, admirale Canaris — przyznał Hitler. — Co jeszcze wiecie?

— Wiemy, że nad przedsięwzięciem pracują najlepsi angielscy i amerykańscy inżynierowie. Wiem też, że jest w

to bezpośrednio zaangażowany generał Eisenhower. Niestety brak nam jednego, bardzo ważnego elementu układanki — celu, jakiemu mają służyć te olbrzymie konstrukcje betonowe. — Canaris zawiesił głos. — Wystarczy znaleźć ten element, a możliwe, że otrzymamy rozwiązanie tajemnicy inwazji aliantów.

Relacja Canarisa najwyraźniej zrobiła olbrzymie wrażenie na Hitlerze.

— Mam tylko jedno pytanie, admirale — powiedział Hitler. — Skąd pochodzą pańskie informacje?

Canaris się zawahał. Himmler się skrzywił i rzucił:

— Wszak nie podejrzewa pan, admirale, że coś, co tu będzie dziś powiedziane, wyjdzie poza ściany tego pokoju?

— Oczywiście, że nie, *Herr Reichsführer*. Jeden z naszych agentów w Londynie otrzymuje informacje bezpośrednio od wysoko postawionego członka zespołu *Mulberry*. Źródło przecieków nie zdaje sobie sprawy, że dostarcza nam wiadomości. Wedle informacji brigadenführera Schellenberga brytyjski kontrwywiad wie o naszej operacji, ale nie jest w stanie jej powstrzymać.

— To prawda — potwierdził Schellenberg. — Wiem z pewnych źródeł, że w MI—5 panuje kryzys.

— No, no. Cóż za przyjemność widzieć, że choć raz SD i Abwehra ze sobą współpracują, zamiast skakać sobie do oczu. Może świadczy to o nadejściu dobrych czasów. — Hitler zwrócił się do Canarisa: — Może brigadenführer Schellenberg pomoże panu rozwiązać tajemnicę owych betonowych bloków?

Schellenberg uśmiechnął się i odparł:

— Czyta pan w moich myślach.

Rozdział drugi

Londyn

Catherine Blake rzucała czerstwy chleb gołębiom na Trafalgar Square. Co za głupie miejsce spotkania — pomyślała. Ale Voglowi najwyraźniej podobała się myśl, że jego agenci będą się spotykać pod samym nosem angielskich władz. Weszła na plac od południa, dotarłszy tam przez St James's Park i Pall Mall. Neumann miał się zjawić od północnej strony, z St Martin's Place i Soho. Catherine jak zwykle stawiała się trochę przed czasem. Chciała się upewnić, czy nikt jej nie śledzi, zanim postanowi, czy przekazać koledze materiały, czy nie. Plac błyszczał po porannym deszczu. Znad rzeki docierał zimny wiatr i świstał wśród worków z piaskiem. Znak wskazujący drogę do najbliższego schronu chwiał się, jakby sam nie wiedział, gdzie jest ta droga.

Catherine patrzyła na północ, ku St Martin's Place, gdy na placu zjawił się Neumann. Obserwowała, jak nadchodzi. Za sobą miał gęsty tłum przechodniów. Niektórzy szli dalej St Martin's Place, inni — tak jak on — wybierali drogę przez plac. Nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, czy nikt go nie śledzi. Rzuciła resztkę chleba i wstała. Zaskoczone ptaki poderwały się do lotu i niczym szwadron spitfire'ów pofrunęły ku rzece.

Catherine ruszyła w stronę Neumanna. Wyjątkowo jej zależało na bezpiecznym dostarczeniu właśnie tego negatywu. Ubiegłej nocy Jordan przyniósł do domu inny notes — nigdy przedtem go nie widziała — i zamknął go w sejfie. Tego ranka ledwie udał się do pracy, wróciła do jego domu i gdy wyszła sprzątaczką, wślizgnęła się do środka dzięki własnym kluczom i sfotografowała całą zawartość

notatnika.

Neumann był już o kilka kroków od niej. Przed spotkaniem Catherine włożyła film do małej koperty. Wyjęła ją i szykowała się, by przejść, nie zatrzymując się i wsunąć ją Neumannowi do ręki. On jednak stanął przed nią, wziął przesyłkę i dał jej świstek papieru.

— Wiadomość od naszego przyjaciela — powiedział i roztopił się w tłumie przechodniów.

Wiadomość od Vogla przeczytała, popijając lurowatą kawę w kawiarni przy Leicester Square. Jeszcze raz przebiegła ją wzrokiem, by się upewnić, czy zrozumiała. Złożyła kartkę i schowała ją w torebce. Spali ją w domu. Zostawiła pieniądze na stoliku i wyszła.

Vogel zaczął od pochwały za już wykonaną pracę. Pisał jednak, że potrzebują dokładniejszych informacji. Catherine musi na piśmie zrelacjonować całą akcję, krok po kroku: jak nawiązała znajomość z Jordanem, jak uzyskała dostęp do jego dokumentów, co Jordan jej mówił. Chyba wiedziała, co się za tym kryje: dostarczała ogromnie ważnych informacji i Vogel chciał się upewnić, czy ich źródło jest wiarygodne.

Ruszyła na północ Charing Cross Road. Od czasu do czasu przystawała i przeglądając się w witrynach, sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Skręciła w Oxford Street i stanęła w kolejce oczekujących na autobus. Przyjechał od razu, usiadła na górze z tyłu.

Już wcześniej przypuszczała, że materiały, które Jordan przynosił do domu, nie dadzą pełnego obrazu tego, nad czym pracuje. To logiczne. Za dnia Jordan krążył między dwoma budynkami: SHAEF na Grosvenor Square i drugim, mniejszym, na uboczu. Ilekroć przynosił

dokumenty, przykuwał sobie do ręki walizkę.

Catherine musi zobaczyć te papiery.

Ale jak?

Przez chwilę brała pod uwagę kolejne przypadkowe spotkanie, tym razem na Grosvenor Square. Ściągnęłaby wtedy Jordana do domu i spędziliby razem popołudnie. Ale pomysł był bardzo ryzykowny. Drugie przypadkowe spotkanie mogłoby obudzić w Jordanie podejrzliwość. Zresztą, wcale nie wiadomo, czy dałby się namówić na pójście do domu. A nawet gdyby, to i tak nie sposób wymknąć się z łóżka w środku dnia i sfotografować zawartość teczki. Zapamiętała jedno stwierdzenie Vogla ze szkolenia: „Kiedy ludzie za biurkiem przestają myśleć o niebezpieczeństwie, agenci terenowi giną”. Postanowiła zdobyć się na cierpliwość i czekać. Jeśli nadal będzie się cieszyć zaufaniem Petera Jordana, przyjdzie czas, kiedy sekrety jego pracy pojawią się w teczce. Da Voglowi ten pisemny raport, ale na razie nie zmieni obranej przez siebie taktyki.

Catherine wyjrzała przez okno. Zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest. Nadal na Oxford Street, ale na którym jej odcinku? Tak ją pochłonęły rozważania nad Voglem i Jordanem, że na chwilę zapomniała o całym świecie. Autobus przejechał Oxford Circus; uspokoiła się. I właśnie wtedy dostrzegła, że jakaś kobieta ją obserwuje. Siedziała naprzeciwko, tyle że po drugiej stronie, twarzą do Catherine, i patrzyła prosto na nią. Catherine odwróciła wzrok, udając, że wygląda przez okno, ale tamta nadal się na nią gapiała.

Co tej babie odbiło? Czemu mi się tak przygląda?

Zerknęła na nią jeszcze raz. Twarz wydała jej się jakby znajoma.

Autobus dojeżdżał do przystanku. Catherine wzięła

swoje rzeczy. Nie będzie ryzykować. Natychmiast wysiada. Autobus zwolnił, wjechał w zatoczkę. Catherine zaczęła się podnosić. Wtedy kobieta wyciągnęła rękę nad przejściem, dotknęła jej ramienia i powiedziała:

— Anno, kochanie, to naprawdę ty?

Ten koszmar śnił jej się regularnie, od kiedy zabiła Beatrice Pymm. Zawsze zaczynał się tak samo. Bawi się na podłodze w gotowalni matki. Matka siedzi przed toaletką i pudruje nieskazitelnie piękną twarz. Do pokoju wchodzi papa. Ma na sobie biały smoking z medalami na piersi. Pochyla się nad matką, całuje ją w kark i mówi, że musi się pospieszyć, bo się spóźni. Następnie zjawia się Kurt Vogel. Jest ubrany w ciemny garnitur przedsiębiorcy pogrzebowego, ma łeb wilka. Trzyma jej rzeczy: piękny srebrny sztylet z wysadzaną rubinami i brylantami swastyką na ręczce, mauzera z tłumikiem i walizkę z radiem.

— Pospiesz się — szepcze do niej. — Nie wolno nam się spóźnić. Führer nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

Jedzie przez Berlin w powozie. Vogel— wilk jedzie obok, jako strażnik. Salę zalewa blask świec. Piękne kobiety tańczą z pięknymi mężczyznami. Hitler zajmuje honorowe miejsce na środku. Vogel zachęca dziewczynkę, żeby porozmawiała z führerem. Ona przemyka się wśród wystrojonych ludzi i zauważa, że wszyscy na nią patrzą. Sądzi, że to dlatego, iż jest piękna, ale po chwili wszystkie rozmowy milkną, orkiestra cichnie i cały tłum gości gapi się na nią.

— Nie jesteś dziewczynką! Jesteś szpiegiem Abwehry!

— Nie, nie jestem!

— Właśnie że tak! Dlatego masz sztylet i to radio!

Wtedy odzywa się Hitler:

- Zabiłaś tę biedaczkę z Suffolk, Beatrice Pymm.**
- Nie! To nieprawda!**
- Aresztować ją! Na szubienicę!**

Wszyscy się z niej śmieją. Nagle okazuje się, że jest naga i śmieją się jeszcze głośniej. Odwraca się do Vogla, szukając u niego pomocy, ale on już uciekł i zostawił ją samą. W tej chwili budzi się z krzykiem, zlana potem siada na łóżku i powtarza sobie, że to tylko sen. Tylko cholerny idiotyczny sen.

Catherine Blake pojechała taksówką do Marble Arch. Incydent w autobusie głęboko nią wstrząsnął. Wyrzucała sobie, że zareagowała tak nerwowo. Gdy tamta kobieta nazwała ją prawdziwym imieniem, wypadła z autobusu przerażona. Powinna była zostać na miejscu i spokojnie wytłumaczyć tamtej, że się pomyliła. Fatalny błąd. Mnóstwo ludzi zwróciło na nią uwagę, patrzyło na nią. Spełnił się jej najgorszy koszmar.

Wzięła taksówkę, żeby się uspokoić i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Wiedziała, że zawsze istnieje pewne ryzyko wpadnięcia na kogoś, kto ją rozpozna. Po śmierci matki, kiedy ojciec pracował w niemieckiej ambasadzie, mieszkała dwa lata w Londynie. Uczęszczała do angielskiej szkoły dla panienek, ale z nikim bliżej się nie zaprzyjaźniła. Później jeszcze raz przyjechała do Anglii, na krótkie wakacje w 1935 roku, z Marią Romero. Mieszkały u przyjaciół Marii, na przyjęciach, w restauracjach i teatrach poznały mnóstwo młodych, zamożnych ludzi. Ucięła sobie przelotny romans z Anglikiem, którego imienia nawet nie pamiętała. Vogel uznał, że to się mieści w granicach ryzyka. Prawdopodobieństwo, że natknie się na którąś z tych osób,

było minimalne. A gdyby nawet, miała udzielać stałej odpowiedzi: „Przykro mi, ale chyba mnie pan z kimś pomylił”. Przez sześć lat ani razu jej się to nie przytrafiło. Przestała uważać. A gdy się przytrafiło, spanikowała.

W końcu sobie przypomniała tę kobietę. Nazywała się Rose Morely i pracowała u ojca jako kucharka. Catherine właściwie jej nie pamiętała: tylko to, że dość nędznie pichciła i zawsze niepotrzebnie wysmażała mięso. Prawie wcale nie miała z nią styczności. Zdumiewające, że tamta ją rozpoznała.

Pozostawały jej dwie rzeczy: zapomnieć o sprawie i udawać, że nic się nie stało, albo zbadać ją, starając się ocenić rozmiary szkód.

Wybrała drugie rozwiązanie.

Zapłaciła taksówkarzowi przy Marble Arch i wysiadła. Zapadał zmierzch, miasto szybko spowijał mrok. Na Marble Arch kursowało bardzo dużo autobusów, między innymi wiodła tamtędy trasa tego, z którego Catherine właśnie uciekła. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że Rose Morely będzie tu miała przesiadkę. Jeśli nie, Catherine postara się wślizgnąć do środka tak, by kucharka jej nie zauważyła.

Nadjechał autobus. Rose Morely siedziała na tym samym miejscu. Wstała, kiedy przyhamował. Stała. Wysiadła tylnymi drzwiami.

Catherine zaszła jej drogę i powiedziała:

— Jesteś Rose Morely, prawda? Kobieta otworzyła usta ze zdumienia.

— Tak... A ty naprawdę jesteś Anną. Wiedziałam, że się nie mylę. To musiałaś być ty. Ani odrobinę się nie zmieniłaś od dzieciństwa. Ale jak się tu dostałaś tak...

— Kiedy sobie uświadomiłam, że to ty, wskoczyłam do taksówki — wpadła jej w słowo Catherine.

Na dźwięk swego prawdziwego imienia, wypowiedanego w tłumie, przechodziły ją ciarki. Wzięła Rose pod rękę i poprowadziła w stronę ciemnego Hyde Parku.

— Przespacerujmy się — zaproponowała. — Tyle lat się nie widziałyśmy, Rose.

Tego wieczoru Catherine napisała na maszynie raport dla Vogla. Sfotografowała go, spaliła w umywalce w łazience, a potem spaliła również taśmę od maszyny — tak jak ją nauczył Vogel. Podniósłszy wzrok, napotkała w lustrze swe odbicie. Odwróciła się. Umywalka była czarna od tuszu i popiołu. Jej palce i ręce też.

Catherine Blake — szpieg.

Wzięła mydło i zaczęła szorować dłonie.

Decyzja przyszła łatwo. Ale wykonanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczała.

— Wyemigrowałam do Anglii przed wojną — wyjaśniła, kiedy szły ścieżką wśród gęstniejącego mroku. — Nie mogłam już dłużej żyć w kraju pod rządami Hitlera. To było naprawdę potworne, zwłaszcza to, co robił z Żydami.

Catherine Blake — oszustka.

— Musieli ci dać w kość.

— Jak to?

— No, władze, policja. — I szeptem: — Wywiad.

— Nie, nie, wcale nie było ciężko.

— Pracuję teraz u komandora Higginsa. Opiekuję się dziećmi. Jego żona zginęła podczas nalotu, biedactwo. Komandor pracuje w admiralicji. Powiada, że każdego, kto przed wojną zamieszkał w Anglii, uważano za potencjalnego szpiega.

— Och, doprawdy?

— Jestem pewna, że komandora Higginsa zaciekawia, że ciebie nie nęka.

— Przecież nie musisz w ogóle o tym wspominać komandorowi Higginsowi, prawda, Rose?

Nie mogła tego uniknąć. Angielskie społeczeństwo doskonale zdawało sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo stanowią szpiedzy. Wszędzie o tym trąbiono: w prasie, radiu, kinie. Rose nie była głupia. Wspomni komandorowi Higginsowi o tym spotkaniu, on skontaktuje się z MI— 5, ci zaś przeczeszą całe śródmieście Londynu w poszukiwaniu Catherine. Drobiazgowo przygotowania, którym zawdzięczała swoją nową tożsamość, pójdą na marne, a wszystko przez jedno przypadkowe spotkanie z gosposią, która za dużo się naczytała szpiegowskich historyjek.

Hyde Park podczas zaciemnienia. Gdyby nie szum samochodów na Bayswater Road, mogłoby się wydawać, że idą przez gęstwinę lasu Sherwood. Zapaliły swoje latarki, dwa strumienie słabego, żółtawego światła. Rose w drugiej ręce trzymała torbę z zakupami.

— Boże, jak tu wykarmić dzieci z czterech uncji mięsa na tydzień. Boję się, że nie urosną.

Przed nimi zamajaczył zagajnik, bezkształtna czarna plama rysująca się na prawie już zupełnie ciemnym niebie.

— Muszę już iść, Anno. Miło cię było spotkać.

Idą jeszcze trochę dalej. Zrób to tutaj, wśród drzew. Nikt nie zobaczy. Policja pomyśli, że to jakiś rabuś albo zbiegły więzień. Wszyscy wiedzą, jak przerażająco wraz z wybuchem wojny wzrosła liczba przestępstw w West Endzie. Zabierz jej zakupy i pieniądze. Niech to wygląda na napad rabunkowy, w którym napastnik musiał się posunąć do ostateczności.

— Tak cudownie było cię spotkać po tylu latach, Rose.

Rozstały się w zagajniku. Rose skierowała się na północ, Catherine na południe. Potem Catherine odwróciła się i ruszyła za gospodynią. Z torebki wyjęła mauzera. Musiała zabić błyskawicznie.

— Rose, o czymś zapomniałam!

Rosę zatrzymała się i obejrzała. Catherine podniosła broń i strzeliła jej prosto w oko.

Diabelny tusz, nie chce się zmyć. Ponownie namydliła dłonie i szorowała je, aż bolało. Zastanawiała się, dlaczego tym razem nie zwymiotowała. Vogel mówił, że po pewnym czasie zacznie jej to przychodzić łatwiej. Szczotką zmyła tusz. Jeszcze raz spojrzała w lustro, ale teraz wytrzymała swój wzrok. Catherine Blake — zamachowiec. Catherine Blake — morderczyni.

Rozdział trzeci

Londyn

Alfred Vicary uznał, że wieczór w domu wyjdzie mu na dobre. Miał ochotę na spacer, więc wyrwał się z pracy na godzinę przed zachodem słońca; zdąży do Chelsea, nim miasto pograży się w mroku. Popołudnie było ładne, chłodne, ale bezdeszczowe i prawie bezwietrzne. Puchate, szare chmury z brzuszkami zaróżowionymi od promieni zachodzącego słońca sunęły nad West Endem. Londyn żył. Vicary obserwował tłumy na Parliament Square, z podziwem spoglądał na działa przeciwlotnicze na Birdcage Walk, błąkał się wśród cichych, osiemnastowiecznych zakątków Belgravii. Zimowe powietrze cudownie oczyszczało mu płuca, powstrzymał się od zapalenia papierosa. Ostatnio dręczył go suchy, ostry kaszel, taki sam jak podczas egzaminów końcowych w Cambridge i poprzysiął sobie, że po zakończeniu wojny rzuci przekłete palenie.

Minął Belgrave Square i skierował się w stronę Sloane Square. Czar prysnął. Sprawa znowu zaabsorbowała jego myśli. Nigdy właściwie o niej nie zapominał. Czasami tylko udawało mu się zepchnąć ją na nieco dalszy plan. Styczeń przeszedł w luty. Wkrótce nadejdzie wiosna i inwazja. A jej powodzenie lub klęska może zależeć przede wszystkim od niego.

Myślał o ostatniej rozszyfrowanej wiadomości, którą mu przesłali chłopcy z Bletchley Park. Nadano ją ubiegłej nocy do agenta działającego w Anglii. Nie pojawił się tam żaden pseudonim, lecz Vicary zakładał, że to jeden z agentów, na których poluje. Donoszono, że przekazane dotychczas informacje są dobre, ale potrzeba dalszych.

Żądano również raportu o tym, w jaki sposób agent się skontaktował ze źródłem. Vicary próbował się dopatrzeć w tym jakichś dobrych stron. Skoro Berlin potrzebuje więcej materiału, to znaczy, że nie ma pełnego obrazu. A jeśli nie ma pełnego obrazu, to on, Vicary, zdąży jeszcze zdezorientować wroga. Cała sprawa tak go przygnębiała, że czerpał pociechę z takiej oto logiki.

Minął Sloane Square i znalazł się w Chelsea. Przypomnił sobie takie same wieczory sprzed niepamiętnych czasów — sprzed wojny i cholernego zaciemnienia — kiedy to wracał z uniwersytetu do domu, dźwigając teczkę wypchaną książkami i notatkami. Wtedy największe jego zmartwienia były o wiele prostsze. Czy uśpiłem studentów wykładem? Czy zdążę skończyć książkę na czas?

I coś jeszcze do niego doszło. Niezależnie od tego, co twierdzi Boothby, okazał się doskonałym oficerem kontrwywiadu. Sam charakter go do tego predysponował. Nie należał do próżnych. Nie potrzebował publicznych pochwał ani zachwyconych wielbicieli. Wystarczało mu w samotności rozkoszować się własnymi zwycięstwami. Podobało mu się, że nikt nie wie, co właściwie robi. Z natury był skryty i zamknięty w sobie, a praca w wywiadzie tylko pogłębiła te cechy.

Pomyślał o Boothbym. Dlaczego zabrał teczkę Vogla i wyparł się tego? Dlaczego nie chciał przekazać Eisenhowerowi ani Churchillowi ostrzeżenia Vicary'ego? Dlaczego przesłuchał Karla Beckera, ale nie przekazał mu informacji o istnieniu oddzielnej niemieckiej siatki szpiegowskiej? Vicary'emu nie nasuwało się żadne logiczne wytłumaczenie postępowania zwierzchnika. Przypominało to luźne notatki, których w żaden sposób nie mógł ułożyć w harmonijną całość.

Dotarł do swego domu przy Draycott Place. Pchnął drzwi i po stercie nie podnoszonej od wielu dni poczty przeszedł do zaciemnionego salonu. Zastanawiał się, czyby nie zaprosić na kolację Alice Simpson, ale doszedł do wniosku, że brak mu sił na uprzejmą pogawędkę. Nalał do wanny gorącej wody i moczył się, słuchając sentymentalnej muzyki w radiu. Wypił szklanekę whisky i przejrzał gazety. Od kiedy zamieszkał w świecie kontrwywiadu, nie wierzył w ani jedno drukowane w nich słowo. Wtedy zaczął dzwonić telefon. Pewnie z biura, bo ostatnio już nikt inny się do niego nie odzywał. Wyszedł z kąpieli, włożył szlafrok. Telefon stał w gabinecie. Vicary podniósł słuchawkę.

— Tak. Harry? — odezwał się.

— Twoja rozmowa z Karlem Beckerem nasunęła mi pomysł. Harry od razu przystąpił do rzeczy. Woda kapiała z Vicary'ego na papiery porozrzucane na biurku. Sprzątaczką wiedziała, że pod żadnym pozorem nie wolno jej wchodzić do gabinetu. Dzięki temu stanowił on oazę akademickiego bałaganu w sterylnie czystym domu.

— Anna Steiner na początku lat dwudziestych przez dwa lata mieszkała z ojcem na placówce dyplomatycznej w Londynie. Bogaci dyplomaci najmują służbę: kucharzy, lokai, pokojówki.

— Zgadza się, Harry. Mam nadzieję, że to dokądś doprowadzi.

— Od trzech dni sprawdzałem każdą agencję w mieście, próbując się dokopać nazwisk ludzi, którzy pracowali u tej rodziny.

— Dobry pomysł.

— Znalazłem parę osób. Większość już nie żyje, inni są starzy jak świat. Trafilem jednak na jedno obiecujące nazwisko: Rose Morely. W młodości pracowała u Steinera jako kucharka. Dziś ustaliłem, że jest zatrudniona u

komandora Higginsa i prowadzi mu dom na Marylebone.

— Dobra robota, Harry. Jutro z samego rana umów z nią spotkanie.

— Chciałem, ale właśnie ktoś strzelił jej w samo oko i zostawił ciało w środku Hyde Parku.

— Pięć minut i jestem gotowy.

— Pod twoim domem już czeka samochód.

Po pięciu minutach Vicary wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że na śmierć zapomniał o umówionym lunchu z Helen.

Samochód prowadziła ładna, młoda funkcjonariuszka WRNS, która podczas krótkiej podróży nie odezwała się ani słowem. Zatrzymała się o dwieście metrów od miejsca mordy, najbliżej jak się dało, u stóp łagodnego wzniesienia. Znowu się rozpadało, więc Vicary pożyczył od niej parasol. Wsiadł i cicho zamknął drzwiczki, jakby przyjechał na pogrzeb. Przed nim silne strumienie białego światła omiały okolicę. Przywodziły mu na myśl reflektory, próbujące wychwycić z mroków nocy niemieckiego bombowca. Jeden ze strumieni objął i jego — osłonił oczy przed światłem. Dotarcie na miejsce zajęło mu więcej czasu niż przypuszczał, gdyż wzniesienie okazało się właściwie pagórkem. Wysoka, bardzo wilgotna trawa zmoczyła mu nogawki aż do kolan. Jakby brodził po strumieniu. Ledwie się pojawił w polu widzenia funkcjonariuszy, opuścili latarki niczym miecze. Nadinspektor Jakiś tam łagodnie ujął go pod rękę i poprowadził na miejsce. Wykazał się rozsądkiem i nie wypowiedział głośno nazwiska Vicary'ego.

Ciało pospiesznie zasłonięto brezentową płachtą. Na środku zbierała się woda i wypływała bokiem niczym miniaturowy wodospad. Przykucnięty Harry pochylał się

nad roztrzaskanym mózgiem.

Harry w swoim żywiole — pomyślał Vicary.

Tak naturalnie wyglądał, taki się wydawał zrelaksowany, kiedy oglądał ciało — można by pomyśleć, że właśnie odpoczywa pod drzewem w upalny, letni dzień. Vicary przypatrzył się miejscu zbrodni. Kobieta upadła na plecy, wylądowała z rozrzuconymi rękami i nogami, jak dziecko, które bawi się na śniegu w orla. Ziemia wokół głowy była czarna od krwi. Nieboszczka w jednej ręce nadal ścisnęła siatkę, widać w niej było puszki warzyw i jakieś mięso zawinięte w papier, który przesiąkł krwią. Zawartość torebki rozsypała się przy nogach. Vicary nie dostrzegł tam pieniędzy.

Harry zauważył milczącego zwierzchnika i podszedł do niego. Przez dłuższą chwilę stali bez słowa, niczym dwóch żałobników pochylających się nad grobem, tylko Vicary obmacywał kieszenie w poszukiwaniu okularów.

— Może to zbieg okoliczności — odezwał się Harry — ale ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. Zwłaszcza jeśli to dotyczy kobiety z kulą, która przeszła oko. — Umilkł, po raz pierwszy okazując uczucia. — Chryste, nigdy nie widziałem, żeby tak kogoś wykończyć. Przeciętny rzezimieszek nie strzela w głowę. Tylko zawodowiec.

— Kto znalazł ciało?

— Przechodzień. Przesłuchaliśmy go. Jego wersja się sprawdza.

— Kiedy ją zabito?

— Zaledwie parę godzin temu. Czyli zginęła późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem.

— Ktoś słyszał strzał?

— Nie.

— Może broń była z tłumikiem?

— Niewykluczone.

Zbliżył się do nich nadinspektor.

— Niech mnie kule biją, toż to Harry Dalton, który rozgryzł sprawę Spencera Thomasa. — Policjant zerknął na Vicary'ego i znowu spojrział na Harry'ego. — Słyszałem, że ostatnio pracujesz na zlecenie.

Harry zmusił się do uśmiechu.

— Witam, nadinspektorze.

— Od tej pory sprawa należy do służb bezpieczeństwa — powiedział Vicary. — Stosowne dokumenty otrzyma pan jutro rano. Harry ma koordynować śledztwo. Wszystko powinno przechodzić przez niego. Poza tym sporządzi w pana imieniu protokół. Chcę, by opisano to jako nieudany napad rabunkowy. Opisać ranę zgodnie z prawdą. Nie wdawać się w szczegóły dotyczące miejsca. W protokole napisać, że policja szuka pary zbiegów nieznanego pochodzenia, których widziano w parku w porze zbrodni. Swoim ludziom nakazać dyskrecję. Dziękuję, nadinspektorze. Harry, spotkamy się jutro z samego rana.

Harry i nadinspektor odprowadzili wzrokiem sylwetkę kulejącego profesora, który zszedł ze wzgórza i zniknął w gęstych ciemnościach. Nadinspektor popatrzył na Harry'ego.

— Chryste, a tego co ugryzło?

Harry został w parku, dopóki nie zabrano ciała. Było już po północy. Poprosił jednego z policjantów, żeby go podrzucił do domu. Mógłby wezwać wóz służbowy, ale nie chciał, by w pracy wiedziano, dokąd jechał. Wsiadł w okolicy mieszkania Grace Clarendon i ostatni odcinek przeszedł pieszo. Z powrotem dała mu dawny klucz i wszedł bez pukania. Grace zawsze spała jak dziecko — na

brzuchu, z rozrzuconymi rękami i nogami, jasna stopa wysuwała się spod nakrycia. Harry rozebrał się cicho i nie zapalając światła, próbował się wślizgnąć do łóżka, tak by nie obudzić kochanki. Sprężyny zaskrzypiały pod jego ciężarem. Grace poruszyła się, przewróciła na bok i pocałowała go.

— Bałam się, że znowu mnie porzuciłeś, Harry.

— Nie, po prostu miałem bardzo długą i wyjątkowo obrzydliwą noc.

Oparła się na łokciu.

— Co się stało?

Harry jej powiedział. Nie mieli przed sobą tajemnic.

— Możliwe, że zabiła ją ta agentka, której szukamy.

— Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

— To było makabryczne. Strzelono jej prosto w twarz.

Taką rzecz trudno zapomnieć, Grace.

— Mogę sprawić, żebyś zapomniał?

Harry chciał wyłącznie spać. Był wykończony, a po oglądaniu trupów zawsze czuł się brudny. Lecz Grace go pocałowała, najpierw powolutku, bardzo delikatnie. Potem stopniowo sprowokowała go, żeby zdjął z niej kwiecistą koszulę nocną i zaczęło się szaleństwo. *Zawsze*, kochała się z nim jak opętana, wbijając w niego paznokcie, drapiąc, wsysając się w niego, jakby chciała wypić truciznę z rany. A kiedy w nią wszedł, szlochała i błagała, żeby już nigdy więcej jej nie opuszczał. Później zaś, gdy zasnęła u jego boku, Harry'ego dopadła najstraszniejsza myśl w jego życiu. Otóż złapał się na tym, że liczy na to, iż mąż Grace nie wróci z wojny.

Rozdział czwarty

Londyn

Następnego popołudnia w tajnym pokoju przy Grosvenor Square 47 zebrali się wokół dużego modelu portu *Mulberry* amerykańscy oraz angielscy oficerowie odpowiedzialni za projekt, osobisty szef sztabu Churchilla, generał sir Hastings Ismay i dwóch generałów ze sztabu Eisenhowera, którzy tkwili nieruchomo jak posągi.

Spotkanie zaczęło się w dość przyjaznej atmosferze, ale po paru minutach wybuchły sprzeczki. Obie strony zasypywały się zarzutami, oskarżeniami o bałagan i opieszałość, padło nawet kilka komentarzy osobistych, których bardzo szybko pożalowano.

— Brytyjscy konstruktorzy okazali się nadmiernymi optymistami.

— Bo wy, Amerykanie, jesteście zbyt niecierpliwi, zbyt... no, zbyt cholernie amerykańscy!

Wszystko to wina napięcia, zgodzili się wreszcie, i zaczęli jeszcze raz.

Wynik inwazji zależał od tego, czy sztuczne porty znajdą się na miejscu i czy zaczną funkcjonować tuż po lądowaniu pierwszych oddziałów. Tymczasem, choć od dnia inwazji dzieliło ich tylko trzy miesiące, realizacja projektu *Mulberry* straszliwie się opóźniała.

— To te cholerne Phoenixy — warknął jeden z angielskich oficerów, który, tak się złożyło, współtworzył akurat tę bardziej udaną składową akcji *Mulberry*.

Niestety, miał rację: produkcja gigantycznych betonowych bloków, jądra całego projektu, niebezpiecznie się opóźniała. Pojawiało się mnóstwo problemów, które mogłyby się wydać zabawne, gdyby gra nie szła o tak

wysoką stawkę. Ciągłe brakowało cementu i stali do zbrojeń. Ciągłe brakowało miejsc do produkcji, a południowe wybrzeże Anglii miało za mało portów, w których można by przechować bloki. Nie wspominając o niedoborach wykwalifikowanych kadr i o tym, że robotnicy byli osłabieni i niedożywieni na skutek ciągłych braków w zaopatrzeniu.

Istna klęska. Bez bloków, które pełniłyby rolę falochronów, cała operacja *Mulberry* spali na panewce. Potrzebny był ktoś, kto z samego rana ruszyłby na objazd miejsc produkcji i realistycznie oszacował, czy uda się zbudować na czas Phoenixy. Musi to być ktoś, kto nadzorował duże inwestycje i wie, jak zmodyfikować już uruchomioną produkcję.

Wybrali byłego naczelnego inżyniera Northeast Bridge Company, komandora porucznika Petera Jordana.

Rozdział piąty

Londyn

Zabójstwo w Hyde Parku znalazło się na pierwszych stronach londyńskich popołudniówek. We wszystkich powoływano się na komunikat policji. Policja uznała, że był to nieudany napad rabunkowy, który zakończył się morderstwem, i poszukiwała dwóch mężczyzn, zapewne z Europy — najprawdopodobniej Polaków — których widziano w pobliżu miejsca zbrodni na krótko przed wypadkiem. Harry wymyślił nawet dwa dość ogólne rysopisy podejrzanych. Prasa rozwodziła się nad przerażającym wzrostem przestępczości na West Endzie. Przytaczano relacje o pobiciach i rabunkach, które wydarzyły się w ciągu ostatnich miesięcy, a których dokonali zbiegowie, pijani żołnierze i dezerterzy.

Podczas przeglądania prasy, która wczesnym popołudniem wylądowała na jego biurku, Vicary poczuł ukłucie winy. Kiedyś wierzył w świętość pisanego słowa, więc ciążyło mu oszukiwanie dziennikarzy i opinii publicznej. Jednak szybko się usprawiedliwił. Nie mogli powiedzieć prawdy: że Rose Morely najprawdopodobniej padła ofiarą niemieckiego szpiega.

Po południu Harry'emu Daltonowi wraz z grupą funkcjonariuszy stołecznej policji udało się odtworzyć ostatnie godziny życia Rose Morely. Harry siedział w gabinecie Vicary'ego, długie nogi wyciągnął na biurku, racząc szefa widokiem zdartych podeszew.

— Przesłuchaliśmy pokojówkę komandora Higginsa — relacjonował. — Powiedziała, że Rose wybrała się po zakupy. Zwykle robiła je przed powrotem dzieci ze szkoły. Kwit znaleziony w jej torebce pochodził ze sklepu na

Oxford Street, w pobliżu Tottenham Court Road. Przesłuchaliśmy ekspedienta. Pamiętał ją. Co więcej, pamiętał prawie całą jej listę zakupów. Mówił, że wpadła na jakąś znajomą, też gosposię. Razem poszły na herbatę do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Rozmawialiśmy z kelnerką. Potwierdziła to. Vicary słuchał w napięciu, wpatrzony we własne dłonie.

— Kelnerka widziała, jak Rose staje w kolejce do autobusu w kierunku zachodnim. Skierowałem do autobusów tyłu funkcjonariuszy, ile się dało. Jakieś pół godziny temu trafiliśmy na konduktora z autobusu Rose. Doskonale ją zapamiętał. Mówił, że rozmawiała przez moment z bardzo wysoką, wyjątkowo atrakcyjną kobietą, która w szalonym pośpiechu wyskoczyła z autobusu. A kiedy dojechali do Marble Arch, ta sama kobieta czekała na przystanku. Twierdził, że sam by się z nami skontaktował, ale w gazecie przeczytał, że policja już ma podejrzanych, a żaden z nich nie był wysoką, piękną kobietą.

Do pokoju wsunęła głowę maszynistka.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale masz telefon, Harry. Dzwoni sierżant Colin Meadows. Twierdzi, że to ważne.

Harry odebrał telefon przy swoim biurku.

— Jest pan tym samym Harrym Daltonem, który rozgryzł sprawę Spencera Thomasa?

— We własnej osobie — odparł Harry. — Czym mogę służyć?

— Dzwonię w sprawie tego zabójstwa w Hyde Parku. Zdaje się, że mam coś dla pana.

— Walcie, sierżancie. Szczerze mówiąc, zależy nam na czasie.

— Obiło mi się o uszy, że podejrzewacie o to kobietę —

zaczął Meadows. — Wysoką, bardzo ładną, trzydzieści, trzydzieści pięć lat.

— Możliwe. Wiecie coś?

— Pracuję nad sprawą Pope'a.

— Czytałem o niej — potaknął Harry. — Wierzyć mi się nie chce, że ktoś miał dość tupetu, żeby poderżnąć gardła Vernonowi Pope'owi i jego dziewczynie.

— Właściwie to Pope dostał cios w oko.

— Naprawdę?

— Tak. A jego dziewczyna w samo serce. Jedno ułknięcie. Niemal chirurgiczna robota.

Harry przypomniał sobie, co mu powiedział patolog na temat ciała Beatrice Pymm. Na ostatnim zebrze zdraśnięcie. Możliwe, że zginęła zasztyletowana w serce.

— Ale w gazetach... — wtrącił Harry.

— Nie należy wierzyć w to, co się wyczyta w prasie, prawda, Harry? Zmieniliśmy opis ran, żeby odsiać czubków. Nie ma pan pojęcia, ile osób chciało sobie przypisać zasługę zasztyletowania Pope'a.

— Chyba mam. Był z niego kawał drania. Mówcie dalej, sierżancie.

— W noc zabójstwa Pope'a widziano, jak kobieta o podobnym rysopisie wchodzi do jego magazynu. Mam dwóch świadków.

— Chryste Panie!

— Zaraz będzie jeszcze ciekawiej. Bezpośrednio po morderstwie Robert Pope i jeden z jego chłopców wpadli do pewnego pensjonatu, szukając kobiety. Zdaje się, że mieli zły adres. Czmychnęli jak niepyszni. Ale zdążyli nastraszyć właścicielkę.

— Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? — warknął Harry. — Pope zginął prawie dwa tygodnie temu!

— Bo mój szef uważa, że uganiem się za powietrzem.

Jego zdaniem Pope'a zabił któryś z jego przeciwników. Nie chce marnować czasu na badanie, jak to określa, „alternatywnych teorii”.

— A co to za szef?

— Kidlington.

— Chryste! Święty Andrzej?

— We własnej osobie. I jeszcze coś. W ubiegłym tygodniu przesłuchiwałem Roberta Pope'a. Chcę go jeszcze raz przesłuchać, ale się przyczaił. Nie możemy go znaleźć.

— Czy Kidlington jest na miejscu?

— Stąd go widzę, jak siedzi w gabinecie i odwala swoją ukochaną papierkową robotę.

— To patrz dalej. Chyba będziesz miał zabawę.

Harry omal się nie zabił, pędząc od biurka do gabinetu Vicary'ego. Błyskawicznie streścił mu rozmowę, tak szybko przemykając nad szczegółami, że Vicary dwukrotnie go zatrzymywał i kazał sobie powtórzyć wszystko od początku. Skończywszy, Harry wykręcił numer i podał Vicary'emu słuchawkę.

— Halo, czy to nadinspektor Kidlington? Mówi Alfred Vicary z Ministerstwa Wojny. Mam się świetnie, dziękuję. Zdaje się, że będę potrzebował pańskiej pomocy w ogromnie ważnej sprawie. Chodzi o morderstwo Pope'a. Od tej pory ta sprawa przechodzi w gestię służb specjalnych. W tej chwili wysyłam do pana mojego człowieka. Nazywa się Harry Dalton. Możliwe, że pan go pamięta.

Tak? To świetnie. Chciałbym otrzymać pełną dokumentację związaną z tą sprawą. Dlaczego? Niestety,

nie mogę panu nic więcej powiedzieć, nadinspektorze. Dziękuję za współpracę. Do widzenia. Vicary się rozłączył. Otwartą dłonią palnął w biurko i popatrzył na Harry'ego, uśmiechając się po raz pierwszy od wielu tygodni.

Catherine Blake pakowała torebkę na wieczór: sztylet, mauzer, aparat fotograficzny. Umówiła się z Jordanem na kolację. Zakładała, że potem udadzą się do niego, żeby się kochać — zawsze tak robili. Zaparzyła herbatę i przejrzała popołudniówki. Morderstwo Rosy Morely w Hyde Parku stanowiło wiadomość dnia. Policja uważała, że był to napad, ale rabusiowi sytuacja wymknęła się spod kontroli i zabił ofiarę. Znaleziono nawet dwóch podejrzanych. Dokładnie tak jak zaplanowała. Idealnie. Rozebrała się i wzięła długą kąpiel. Właśnie wycierała ręcznikiem mokre włosy, kiedy zadzwonił telefon. Tylko jedna osoba w całej Wielkiej Brytanii znała jej numer: Peter Jordan. Catherine udała zaskoczenie, kiedy usłyszała po drugiej stronie jego głos.

— Niestety, chyba będę musiał odwołać naszą kolację. Przepraszam, Catherine. Po prostu wyskoczyło coś bardzo ważnego.

— Rozumiem.

— Jestem jeszcze w pracy. Dziś będę musiał długo posiedzieć.

— Peter, nie musisz mi się tłumaczyć.

— Wiem, ale chcę. Jutro z samego rana będę musiał wyjechać, a przedtem czeka mnie masa roboty.

— Nie będę kryła, że jestem rozczarowana. Bardzo chciałam się dzisiaj z tobą spotkać. Nie widzieliśmy się od dwóch dni.

— A wydaje się, jakby upłynął miesiąc. Ja też chciałem

się z tobą spotkać.

— Czy to naprawdę wykluczone?

— Wróć do domu najwcześniej o jedenastej.

— Świetnie.

— A o piątej rano będzie na mnie czekał samochód.

— To też świetnie.

— Ale, Catherine...

— Oto moja propozycja. Spotkamy się przed twoim domem o jedenastej. Upitraszę coś dla nas. Ty się odprężysz i przygotujesz do wyjazdu.

— Będę musiał się jeszcze trochę zdrzemnąć.

— Obiecuję, że dam ci zasnąć.

— Ostatnio niewiele sypialiśmy.

— Zrobię, co w mojej mocy, żeby się powstrzymać.

— To do zobaczenia o jedenastej. — Cudownie.

Nad podwójnymi drzwiami gabinetu Boothby'ego bardzo długo płonęło czerwone światło. Vicary już wyciągał rękę, żeby jeszcze raz zadzwonić — łamiąc w ten sposób jeden z edyktów Boothby'ego — ale się powstrzymał. Zza grubych drzwi dobiegły odgłosy kłótni. Jeden głos z pewnością należał do kobiety, drugi do Boothby'ego.

— Nie zrobisz mi tego!

To krzyknęła kobieta, bardzo głośno, odrobinę histerycznie. Boothby odpowiedział coś spokojniej, tonem ojca karzącego dziecko. Czując się jak skończony kretyn, Vicary przysunął ucho do futryny.

— Łajdak! Skończony drań!

Znowu kobieta. Potem łomot zatraskiwanych drzwi. Nagle zapaliło się zielone światło. Vicary nie zwrócił na to uwagi. Sir Basil miał w gabinecie również drugie, dyskretne wejście, z którego korzystał wyłącznie pan i władca oraz

dyrektor generalny. Ale nie było takie znowu dyskretne — jeśli chwilę poczeka, kobieta wyłoni się z za zakrętu korytarza i wtedy jej się przyjrzy. Słyszał już gniewne stukanie obcasów na podłodze. Wynurzyła się z za rogu. To była Grace Clarendon. Zatrzymała się i spod zmrużonych powiek zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Po policzku splywała jej łza. Otarła ją i zniknęła w głębi korytarza.

W gabinecie panował mrok, który rozjaśniała jedynie lampka na biurku Boothby'ego. Z cygara, które leżało nietknięte przy łokciu generała, unosił się bardzo silny zapach. Boothby w szelkach i koszuli przeglądał dokumenty. Nie podnosząc wzroku, dźgnięciem złotego długopisu wskazał Vicary'emu miejsce przed biurkiem.

— Słucham — powiedział.

Vicary szybko przekazał mu najnowsze doniesienia. Zrelacjonował rezultaty jednodniowego dochodzenia w sprawie morderstwa Rose Morely. Powiedział o możliwości istnienia związku między niemiecką agentką i morderstwem Vernona Pope'a. Wytłumaczył, że teraz przede wszystkim należy znaleźć Roberta Pope'a i go przesłuchać. Zażądał zaangażowania do poszukiwań jak największej liczby ludzi. Przez cały czas Boothby zachował stoickie milczenie. Wyjątkowo niczym się nie bawił, nie krążył po gabinecie, zdawał się słuchać baczniej niż zwykle.

— No — odezwał się w końcu — wreszcie jakaś dobra wiadomość w tej sprawie. Przez wzgląd na pana mam nadzieję, że nie myli się pan w kwestii związku między tymi morderstwami.

Trzeszczał coś o znaczeniu cierpliwości, wnikliwych badań i poszukiwań. Vicary myślał o Grace Clarendon. Kusilo go, żeby spytać Boothby'ego, co robiła w jego

gabinecie, ale nie zniósłby kolejnego kazania o tym, co oficer ma prawo wiedzieć lub nie. Nękały go okropne wyrzuty sumienia. Więc się pomylił. Podłożył Grace dla zdobycia głupiego punktu w przegranej dyskusji i Boothby teraz załatwił dziewczynę. Ciekawiło go, czy generał ją wyrzucił, czy jedynie udzielił surowej nagany. Była cenną pracownicą: inteligentną, oddaną. Miał nadzieję, że Boothby jej darował.

— Natychmiast dzwonię do szefa obserwatorów, niech da tylu ludzi, ilu może.

— Dziękuję, sir Basilu — powiedział Vicary, wstając z krzesła.

— Wiem, że dochodziło między nami do pewnych niezgodności w tej sprawie, Alfredzie, i szczerze powiadam: mam nadzieję, że się pan teraz nie myli. — Boothby się zawahał. — Parę minut temu rozmawiałem z dyrektorem generalnym.

— O?

— Dał panu przysłowiowe dwadzieścia cztery godziny. Jeśli nie dojdzie do przełomu w sprawie, obawiam się, że zostanie pan od niej odsunięty.

Po wyjściu Vicary'ego Boothby sięgnął po słuchawkę specjalnego telefonu. Wykręcił numer i czekał na zgłoszenie.

Jak zwykle mężczyzna z drugiej strony się nie przedstawił, tylko rzucił:

— Tak?

Boothby też się nie przedstawił.

— Zdaje się, że nasz przyjaciel zaciska pętlę — powiedział. — Lada chwila zacznie się drugi akt.

Tamten coś wymamrotał i odłożył słuchawkę.

Pięć po jedenastej taksówka zatrzymała się przed domem Petera Jordana, który czekał na chodniku przed drzwiami z latarką w ręku. Catherine wysiadła, zapłaciła kierowcy. Gdzieś w głębi ulicy zawarczał silnik. Taksówka odjechała. Catherine ruszyła właśnie w stronę Jordana, gdy rozległ się ryk silnika, pisk opon pędzących po mokrej jezdni. Odwróciła głowę i zobaczyła mknącą na siebie furgonetkę. Dzielilo ją od niej zaledwie parę metrów, za mało, by uskoczyć. Zamknęła oczy w oczekiwaniu śmierci.

Dicky Dobbs nigdy właściwie nikogo nie zabił. Jasne, wyrobił swoją działkę połamanych kości, twarzy przerobionych na papkę. Trwale okaleczył też jednego typka, który odmawiał uparcie zapłacenia haraczu. Ale nigdy przedtem nie odebrał nikomu życia.

Powinno mi sprawić przyjemność załatwienie tej suki.

Zabiła Vernona i Vivie. Urwała mu się tyle razy, że już by nie zliczył. I Bóg jeden wie, co robi z tym amerykańskim oficerem. Taksówka skręciła w ciemną ulicę. Dicky delikatnie przekręcił kluczyk, uruchamiając silnik. Odrobinę otworzył, przepustnicę, zwiększając dopływ paliwa do silnika. Taksówka odjechała. Kobieta ruszyła na drugą stronę ulicy. Dicky wrzucił bieg i ruszył z kopyta.

Otaczała ją miękka, ciepła ciemność. I odległe dzwonięcie w uszach. Próbowwała otworzyć oczy, nie mogła. Próbowowała oddychać, nie mogła. Myślała o ojcu i matce. O Marii. I wydawało jej się, że znowu znalazła się w Hiszpanii, wyleguje się na ciepłym glazie nad strumieniem. Nie było żadnej wojny. Kurt Vogel nie pojawił się w jej życiu. Potem stopniowo zaczęła odczuwać ostry ból z tyłu

czaszki i olbrzymi ciężar przygniatający jej piersi. Płuca domagały się tlenu. Zbierało jej się na mdłości, a mimo to nadal nie mogła oddychać. Widziała smugi ostrego światła, niczym komety przemykające przez wielką czarną pustkę. Coś nią potrząsało. Ktoś ją wołał po imieniu. I nagle sobie uświadomiła, że jednak nie umarła. Mdłości nagle ustąpiły, wreszcie mogła zaczerpnąć tchu. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Petera Jordana. — Catherine, słyszysz mnie, kochanie? Nic ci nie jest? Chryste Panie, on chyba chciał cię zabić! Catherine, słyszysz mnie?

Żadne z nich nie miało ochoty na jedzenie. Oboje chcieli się napić. Jordan trzymał teczkę przykutą do ręki — po raz pierwszy przyniósł tak ważne dokumenty. Przeszedł do gabinetu. Catherine słyszała, jak kręci galką sejfów, otwiera ciężkie drzwi i potem je zamyka. Wrócił do salonu. Nalał dwie solidne porcje koniaku i przyniósł kieliszki na górę do sypialni.

Wracali do siebie, popijając koniak. Catherine z trudem trzymała kieliszek. Ręce jej drżały, serce dudniło, miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zmusiła się do łyknięcia trunku. Jego ciepło rozpląnęło jej się po ciele, zaczęła się odprężyć.

Popelniła straszliwą omyłkę. Nie powinna była się zwracać do Pope'ów. Wymyśliłaby inny sposób. Ale zrobiła jeszcze inny błąd. Powinna była przy pierwszej nadarzającej się okazji zabić też Roberta Pope'a i Dicka.

Jordan usiadł przy niej na łóżku.

— Nie pojmuję, jak możesz być tak spokojna — powiedział. — W końcu przed chwilą omal nie zginęłaś. Wolno ci okazywać uczucia.

Kolejny błąd. Powinna odgrywać bardziej przerażoną. Prosić, żeby ją przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Powinna dziękować mu za ocalenie życia. Nie

myślała jasno. Sprawy wymykały się spod kontroli, czuła to. Rose Morely... Pope'owie... Pomyślała o teczce, którą Jordan właśnie zamknął w sejfie. Niósł ją przykutą do nadgarstka. Możliwe że najważniejsza tajemnica wojny — tajemnica inwazji — właśnie znajduje się w zasięgu jej ręki. A jeśli tak? Jeśli uda jej się ją ukraść? Chce skończyć z tą grą. Nie czuje się bezpiecznie. Nie ma już sił prowadzić podwójnego życia, które wiodła od sześciu lat. Ani ciągnąć romansu z Peterem Jordanem. Oddawać mu się co noc i wślizgiwać się do jego gabinetu. „Jedno zadanie i wracasz”. Vogel jej to obiecał. Będzie go trzymała za słowo.

Rozebrała się i położyła na łóżku. Jordan nadal siedział na skraju, pijąc koniak i wpatrując się w ciemności.

— To się nazywa angielska rezerwa — wyjaśniła. — Nie wolno nam okazywać uczuć, nawet jeśli omal nas nie przejedzie samochód! pędzący przez zaciemnione miasto.

— W takim razie kiedy wam wolno? — spytał, nadal na nią nie patrząc.

— Ty też mogłeś dziś zginąć, Peterze — powiedziała. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Bo kiedy zobaczyłem, jak ten przeklęty idiota szarżuje na

ciebie, coś sobie uświadomiłem. Zdałem sobie sprawę, że szaleńczo, bezgranicznie i rozpaczliwie się w tobie zakochałem. To się stało w chwili, gdy wkroczyłaś w moje życie. Myślałem, że już nigdy z nikim nie zaznam szczęścia. Tymczasem z tobą mi się to udało. I straszliwie się boję, że mogłoby znowu zniknąć.

— Peterze — odparła cicho.

Siedział plecami do niej. Wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię, próbując do siebie przyciągnąć, ale on ani drgnął.

— Zawsze się zastanawiałem, gdzie byłem w chwili, gdy ona zginęła, co dokładnie robiłem. Wiem, że to brzmi

nienormalnie, ale to najdłużej mnie nękało. Dlatego, że nie było mnie przy niej, gdy mnie potrzebowała. Dlatego, że zginęła sama na autostradzie w Long Island podczas burzy. Zawsze się zastanawiałem, czy nie mogłem jakoś temu zapobiec. I dzisiejszego wieczoru, kiedy tam stałem, zobaczyłem, jak to samo wydarza się po raz drugi. Lecz tym razem mogłem coś zrobić, mogłem temu zapobiec — więc to uczyniłem.

— Bardzo dziękuję za uratowanie mi życia, Peterze Jordanie.

— Wierz mi, kierowały mną wyłącznie egoistyczne pobudki. Bardzo długo na ciebie czekałem, Catherine Blake, a skoro już cię znalazłem, nie chcę bez ciebie żyć.

— Naprawdę tak myślisz?

— Z głębi serca.

Znowu go pociągnęła. Tym razem ustąpił. Całowała go raz za razem, wreszcie powiedziała:

— Boże, tak bardzo cię kocham, Peter.

Ją samą zaskoczyła łatwość, z jaką skłamała. Nagle Peter rozpaczliwie jej zapragnął. Położyła się na plecy i rozchyliła uda, a kiedy w nią wszedł, jej ciało samo do niego przywarło. Wygięła się w łuk i poczuła go głęboko w sobie. To się stało tak błyskawicznie, że aż głośno wciągnęła powietrze. A po wszystkim dostała nagłego ataku śmiechu.

Jordan położył głowę na jej piersiach.

— Co cię tak diabelnie ubawiło?

— Po prostu jestem z tobą szczęśliwa, Peterze. Tak bardzo szczęśliwa.

Vicary niczym niespokojny duch krążył po budynku przy St James's Street. O ósmej zszedł do kantyny coś zjeść. Wybór był jak zwykle straszny: kartoflanka i jakaś

duszona ryba, która smakowała, jakby wyskoczyła prosto z rzeki. Ku jego zaskoczeniu doskwierał mu jednak taki głód, że poprosił o dokładkę. Inny oficer, były adwokat, który wyglądał, jakby cierpiał na chronicznego kaca, zaprosił Vicary'ego na partyjkę szachów. Vicary zrazu grał miernie i bez entuzjazmu, ale udało mu się wygrać dzięki serii błyskotliwych posunięć na końcu. Miał nadzieję, że jego ostatnia sprawa zakończy się podobnie jak ta runda.

Grace Clarendon minęła go na klatce schodowej. Do piersi, niczym uczennica niosąca książki, przytulała akta. Posłała mu niechętnie spojrzenie i ze stukotem obcasów zbiegła na dół, do czeluści archiwum.

Wrócił do gabinetu i próbował pracować — zaniedbał ostatnio siatkę Beckera — ale na próżno.

„Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałaś?”.

„Powiedziałem Boothby'emu”.

Zameldował się Harry — nic.

Potrzebował godzinnej drzemki. Szmer dalekopisów, który zwykle przynosił mu ukojenie, dziś drażnił jak łomot młota pneumatycznego. Maleńka połówka, niegdyś przynosząca wyzwolenie z bezsenności, stała się symbolem tego wszystkiego, co mu się w życiu nie udało. Przez pół godziny przenosił ją po gabinecie, ustawiając to pod jedną ścianą, to pod drugą, w końcu postawił na środku pokoju. Pani Blanchard, przełożona nocnej zmiany maszynistek, zaniepokojona rumorem wsunęła głowę do środka. Naląła Vicary'emu olbrzymią szklanekę whisky, kazała wypić, po czym ustawiła połówkę z powrotem na miejsce.

Kolejny telefon od Harry'ego — nie.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Helen. Odezwał się rozdrażniony męski głos.

— Halo. Halo. Kto, u licha, dzwoni?

Vicary się rozłączył.

Harry zgłosił się po raz trzeci — nadal nic.
Pokonany Vicary napisał prośbę o dymisję.
„A w ogóle czytał pan akta Vogla?”.

„Nie”.

Podarł prośbę na kawałki i wrzucił je do kosza.
Wyciągnął się na łóżku; lampka świeciła mu prosto w
twarz, a on patrzył w sufit.

Zastanawiał się, dlaczego ta kobieta zadała się z
Pope'ami. Czy byli jej współnikami i zajmowali się nie
tylko nielegalnym handlem, wyludzaniem haraczu, ale
również szpiegostwem? Mało prawdopodobne. Może
zwróciła się do nich w poszukiwaniu usług, których mogli
dostarczyć: czarnorynkowe paliwo, broń, ludzie do
przeprowadzenia obserwacji. Nie znajdzie na to ostatecznej
odpowiedzi, dopóki nie schwyta i nie przesłucha Roberta
Pope'a. A nawet i potem trzeba przyjrzeć się bacznie
działaniom bandy Pope'a. Jeśli dopatry się choć cienia
jakichś podejrzanych ruchów, wszystkich ich oskarży o
szpiegostwo na rzecz Niemiec i na bardzo długo zapudłuje.
A co z Rose Morely? Czy to możliwe, żeby jej śmierć była
tylko strasznym zbiegiem okoliczności? Czy Rose
rozpoznała Annę Steiner i przyplaciła to życiem? Niewy-
kluczone. Ale przyjmie najgorszy scenariusz: że Rose
Morely również szpiegowała. Przeprowadzi wnikliwe
dochodzenie, sprawdzi jej życiorys, zanim uzna jej sprawę
za zamkniętą.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza w nocy. Podniósł
słuchawkę i jeszcze raz wykręcił ten sam numer. Tym
razem po drugiej stronie zabrzmiał głos Helen. Słyszał go
po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat.

— Halo. Halo. Proszę się odezwać.

Vicary chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

— Och, niech to licho!

I połączenie przerwano.

Catherine przekręciła klucz w zamku gabinetu, weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi. Zapaliła lampkę na biurku. Z torebki wyjęła aparat fotograficzny i mauzera. Ostrożnie położyła broń na blacie, kolbą do siebie, żeby w razie czego móc w każdej chwili wystrzelić. Klęknięła przy sejfie i wykręciła kombinację. Otworzyła drzwiczki. W środku leżała walizka — zamknięta. Otworzyła ją swoim kluczykiem, podniosła wieko i zajrzała do środka.

Czarny notes z napisem: ŚCIŚLE TAJNE — TYLKO DLA BIGOTÓW na okładce.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

Położyła notes na biurku i sfotografowała okładkę.

Otworzyła go na pierwszej stronie i przeczytała:

PROJEKT PHOENIX

1) SZCZEGÓŁY TECHNICZNE

2) PLAN WYKONANIA

3) ZASTOSOWANIE

Na Boga, więc jednak trafiłam! — pomyślała. Sfotografowała tę stronę i przewróciła kartkę. Strony rysunków — sfotografowała co do jednej. Strona z zadaniami załogi — sfotografowała ją. Zestawienie zapotrzebowania sprzętu — sfotografowała je. Skończył jej się film. Wyjęła negatyw i włożyła następny. Sfotografowała jeszcze dwie strony. Wtedy dobiegł ją z góry jakiś hałas. Jordan wstaje z łóżka. Przewróciła kolejną kartkę i sfotografowała ją. Usłyszała na górze kroki.

Przewróciła jeszcze jedną kartkę i sfotografowała ją. Usłyszała szum wody w toalecie.

Sfotografowała następne strony. Doskonale zdawała

sobie sprawę, że nigdy więcej nie uzyska dostępu do tego notesu. Jeśli rzeczywiście znajduje się w nim sekret inwazji, musi pracować dalej. Pstrykając zdjęcie za zdjęciem, zastanawiała się, co zrobi, jeśli Jordan ją przyłapie. Zastrzeli go. Dzięki tłumikowi nikt by niczego nie usłyszał. Sfotografowałyby resztę, uciekła, pojechała do Hampton Sands, znalazła Neumanna, ściągnęła okręt podwodny.

Nie przestawaj...

A co by się stało, gdyby kontrwywiad SHAEF znalazł ciało oficera, który znał tajemnicę inwazji? Wszczęliby natychmiastowe śledztwo. Szybko by się dowiedzieli, że ostatnio widywano Jordana z kobietą. Zaczęliby jej szukać, a nie znalazłszy, uznaliby, że to agentka. Doszliby do wniosku, że dokumenty z sejfu sfotografowano i tajemnica inwazji znalazła się w rękach Niemców.

Nie wchodź tu, Peterze Jordanie — pomyślała. — Dla swojego i mojego dobra.

Ostatnie strony. Sfotografowała je błyskawicznie. Gotowe! Zamknęła notes, włożyła z powrotem do teczki, teczkę schowała do sejfu. Cicho zamknęła drzwiczki. Chwyciła pistolet, odbezpieczyła go i zgasiła światło. Uchyliła drzwi i na palcach wymknęła się na korytarz. Jordan był jeszcze na górze. Myśl szybko, Catherine!

Poszła dalej, pchnęła drzwi salonu. Schowała mauzera do torebki, torebkę położyła na podłodze. Zapaliła światło i ruszyła w stronę wózka z trunkami.

Uspokój się. Weź głęboki oddech.

Sięgnęła po kieliszek i właśnie sobie nalewała koniaku, kiedy do pokoju wszedł Peter Jordan.

Harry Dalton czekał w policyjnym wozie przed magazynem braci Pope. Towarzyszyło mu dwóch ludzi, sierżant Meadows z londyńskiej policji i obserwator, niejaki Clive Roach. Harry siedział z przodu, na miejscu

pasażera, Roach za kierownicą. Meadows zdrzemnął się z tyłu.

Świtało. Mieli za sobą długą i przeraźliwie nudną noc. Harry był wyczerpany, ilekroć jednak próbował zasnąć, przed oczy wracał mu jeden z dwóch obrazów: ciało zabitej Rose Morely leżące w Hyde Parku albo twarz Grace Clarendon, kiedy się kochali. Najchętniej rzuciłby się do jej łóżka i przespał całą dobę. Chciał, żeby go obejmowała i nigdy nie wypuściła z objęć. Znowu go oczarowała.

Obraz Grace spłoszył warkot furgonetki, która zatrzymywała się przed magazynem. Wysoki, masywny mężczyzna wysiadł od strony kierowcy. W słabym świetle poranka Harry widział jego sylwetkę.

— Znasz go? — spytał Clive Roach.

— Taa — odparł Harry. — Nazywa się Dicky Dobbs.

— Niezły zakapiora.

— To najlepszy ochroniarz Pope'a i chłopak od mokrej roboty.

— Gdybym to ja się ukrywał, chciałbym mieć takiego do ochrony.

— I słusznie. Obudź no tę śpiącą królową z tyłu.

Dobbs otworzył furtkę w bramie i wszedł do środka. Po chwili wrota podjechały do góry. Wynurzył się Dobbs i wskoczył z powrotem do samochodu.

Roach uruchomił silnik w chwili, gdy Meadows usiadł.

Dobbs wjechał do magazynu.

Roach błyskawicznie ruszył i wpadł do środka, nim Dobbs zdążył zamknąć bramę.

Harry wyskoczył z wozu.

— Co wy tu, kurwa, robicie? — ryknął Dobbs.

— Odwrócić się, łapy, kurwa, do góry i, kurwa, zamknąć się! — odparował Meadows.

Harry przysunął się bliżej i otworzył tylne drzwi

furgonetki. Wewnątrz, na podłodze siedział Robert Pope. Podniósł wzrok, uśmiechnął się i oświadczył:

— Niech mnie kule biją, czyż to nie mój stary druh, Harry Dalton?

Catherine wróciła do siebie taksówką. Było wcześnie, słońce ledwo wzeszło, niebo barwą przypominało macicę perłową. Zostało jej sześć godzin do spotkania z Horstem Neumannem na wrzosowiskach w Hampstead. Oplukała twarz i szyję, przebrała się w koszulę nocną i szlafrok. Rozpaczliwie potrzebowała kilku godzin snu, ale przedtem musiała zrobić coś jeszcze.

Dziś w nocy była o włos od wpadki. Gdyby Jordan zszedł na dół parę sekund wcześniej, musiałyby go zabić. Wyjaśniła mu, że nie mogła zasnąć — wstrząsnęło nią otarcie się o śmierć i pomyślała, że kieliszek koniaku ją uspokoi. Jordan chyba to kupił, ale wątpiła, żeby drugi raz dał się nabrać.

Przeszła do salonu i usiadła przy stoliku. Otworzyła szufladę i wyciągnęła kartkę papieru i długopis. Napisała tylko cztery słowa: „Natychmiast mnie stąd wyciągnij!”. Położyła kartkę na biurku, odpowiednio ustawiła lampkę. Wyjęła z torebki aparat fotograficzny i przysunęła do oka. Lewą rękę przycisnęła do listu. Vogel ją pozna: przez kciuk biegła szrama, pamiątka po jednym z tych cholernych zajęć posługiwania się sztyletem. Dwukrotnie sfotografowała kartkę z dłonią, po czym spaliła list w umywalce w łazience.

Rozdział szósty

Londyn

Jeszcze chwila tego pieprzenia, a przykuję Pope'a do krzesła i zrobię mu z gęby marmoladę — pomyślał Harry Dalton.

Przesłuchanie odbywało się w kantorku oddzielnym szybą od magazynu, Pope siedział na niewygodnym drewnianym krześle, Harry krążył przed nim niczym lew w klatce. Vicary zajął miejsce w cieniu i zdawał się nieobecny duchem. Ani Harry, ani Vicary nie zdradzili swoich związków z MI— 5, Pope uważał ich po prostu za parę funkcjonariuszy stołecznej policji. Od godziny Pope wypierał się, jakoby kiedykolwiek widział kobietę, której fotografią Harry wymachiwał mu przed nosem. Tkwił ze znudzoną, bezczelną miną człowieka, który od kołyski łamie prawo, a nigdy nie zobaczył od środka więziennej celi.

Nie trafiam do niego. Wygrywa — pomyślał Harry.

— Dobra, spróbujmy jeszcze raz — powiedział na głos. Pope zerknął na zegarek.

— Nie jeszcze raz, Harry, mam ważne sprawy do załatwienia. Harry poczuł, że traci panowanie nad sobą.

— Nigdy nie widziałeś tej kobiety?

— Powtarzałem setki razy: nie!

— Mam świadka, który twierdzi, że w dniu śmierci twego brata widział, jak ta kobieta wchodzi do budynku.

— W takim razie twój świadek się myli. Daj mi z nim pogadać. Jestem pewny, że uda mi się przekonać, jak bardzo błędzi.

— To nie ulega wątpliwości! Gdzie byłeś w chwili śmierci twego brata?

— W jednym z moich klubów. Potwierdzi ci to setka świadków.

— Dlaczego się ukrywałeś przed policją?

— Wcale się nie ukrywałem. Twoi koleś jakoś mnie znaleźli. — Pope łypnął na Vicary'ego, którego pochłaniało oglądanie własnych dłoni. — Czy ten tam w ogóle się odzywa?

— Zamknij się i patrz na mnie, Pope. Ukrywałeś się przed policją, a to dlatego, że wiesz, kto zabił Vernona i chcesz sam wyrównać rachunki.

— Bzdury opowiadasz, Harry.

— W Islington mieszka bardzo miła niewiasta, która twierdzi, że dwie godziny po śmierci Vernona włamałeś się do jej pensjonatu, szukając jakiejś kobiety.

— Twoja bardzo miła niewiasta z Islington najwyraźniej się myli.

— Przestań mi tu chrzanić głupoty, Pope!

— Więcej opanowania, Harry.

— Szukasz jej od tygodni, ale nie zdołałeś znaleźć. Nie przyszło ci przypadkiem na myśl, dlaczego tak świetnie gubi ciebie i twoje wtyki?

— Nie, nie przyszło mi na myśl, bo nie wiem o czym, kurwa, gadasz.

— A czy zastanawiasz się, dlaczego nie udało wam się znaleźć jej adresu?

— Nigdy nie próbowałem, bo nie znam tej kobiety! Harry zauważył pot na twarzy Pope'a.

Wreszcie do niego trafiam — pomyślał. Vicary najwyraźniej też to dostrzegł, gdyż właśnie w tej chwili po raz pierwszy się odezwał.

— Nie jest pan z nami szczery, panie Pope — powiedział uprzejmie, nadal studiując swe dłonie, po czym podniósł wzrok i dorzucił: — Choć, cóż, my też nie byliśmy

z panem do końca szczerzy, prawda, Harry?

Doskonale wycucie czasu, Alfredzie — pomyślał Harry. Świetna robota!

— Tak, Alfredzie, nie do końca byliśmy z panem Pope'em szczerzy — potwierdził na głos.

Pope wyglądał na kompletnie zagubionego.

— O czym wy dwaj, kurwa, mówicie?

— Współpracujemy z Ministerstwem Wojny. Zajmujemy się kwestiami bezpieczeństwa.

Po twarzy Pope'a przemknął cień.

— A jaki związek ma śmierć mojego brata z wojną? Jego głos stracił na pewności.

— Będę z panem szczerzy. Wiemy, że ta kobieta to niemiecki szpieg. I wiemy, że zwróciła się do was o pomoc. Więc jeśli pan nie zacznie natychmiast mówić, będziemy zmuszeni do dość drastycznych posunięć.

Pope zwrócił się do Harry'ego, jakby ten był jego adwokatem z urzędu.

— Nie mogę mu nic powiedzieć, bo nic nie wiem. Nigdy nie widziałem tej baby.

Vicary wyglądał na rozczarowanego.

— Cóż, w takim razie jest pan aresztowany, panie Pope.

— A niby o co się mnie oskarża?

— O szpiegostwo.

— Szpiegostwo! Nie możecie tego zrobić! Nie macie dowodów!

— Posiadamy wystarczająco dużo dowodów i dość władzy, żeby cię zamknąć, a pieprzony klucz rzucić w morze. — W głosie Vicary'ego zabrzmiała niebezpieczna nuta. — Jeśli nie chcesz reszty życia spędzić w brudnym, cuchnącym pierdłu, to lepiej zacznij gadać, i to już!

Pope mrugał oczami, wodząc wzrokiem od Vicary'ego

do Harry'ego. Był pokonany.

— Zaklinałem Vernona, żeby nie brał tej roboty, ale on nie słuchał — zaczął. — Myślał tylko o tym, jak się dostać do tej cipy. Od początku wiedziałem, że coś z nią nie w porządku.

— Czego od was chciała? — spytał Vicary.

— Żebyśmy śledzili amerykańskiego oficera. Zażądała dokładnego raportu ze wszystkich jego ruchów po Londynie. Zapłaciła nam za to dwieście funtów. Od tej pory bardzo często się z nim spotyka.

— Gdzie?

— W restauracjach, u niego.

— Skąd wiesz?

— Śledziliśmy ich.

— Jak się nazywa?

— Catherine, nazwiska nie znam.

— A ten oficer?

— Komandor Peter Jordan z amerykańskiej marynarki wojennej.

Vicary natychmiast aresztował Roberta Pope'a i Dicky'ego Dobbsa. Nie miał powodu dotrzymać słowa danego złodziejowi i oszustowi. Poza tym nie mógł dopuścić, żeby szwendali się po ulicach. Ustalił, że MI— 5 przetrzyma ich w zamknięciu poza Londynem.

Harry Dalton zadzwonił do Amerykanów na Grosvenor Square i spytał, czy w siedzibie SHAEF pracuje oficer marynarki nazwiskiem Peter Jordan. Po kwadransie ktoś oddzwonił i spytał:

— A kto chce wiedzieć?

Kiedy Harry zapytał o misję Jordana, Amerykanin odparł:

— Powyżej twojej ligi, koleś. Twojej i mojej razem wziętych. Harry zrelacjonował Vicary'emu rozmowę. Vicary poczuł, jak krew mu odpływa z twarzy.

Przez półtorej godziny nikt nie potrafił znaleźć Basila Boothby'ego. Było dość wcześnie i nie dotarł do biura. Vicary dzwonił do jego mieszkania przy Cadogan Square. Rozdrażniony lokaj poinformował go, że sir Basil już wyszedł. Sekretarka twierdziła, że nic nie wie o ruchach generała, ale spodziewa się go już wkrótce. Stugębna plotka głosiła, jakoby Boothby żył w przekonaniu, że wszędzie czyhają na niego wrogowie, więc notorycznie nie udzielał konkretnych informacji, gdzie można go zastać. Wreszcie, tuż po dziewiątej, zjawił się w pracy. Wyglądał na niezwykle z siebie zadowolonego. Vicary, który od prawie dwóch dni nie kąpał się, nie spał ani nie przebrał, ruszył za nim do gabinetu i przekazał najnowsze wiadomości.

Boothby podszedł do biurka, zdjął słuchawkę zielonego aparatu. Wykręcił numer i czekał.

— Halo, generał Betts? Dzwoni Boothby z piątki. Muszę sprawdzić amerykańskiego oficera marynarki, niejakiego Petera Jordana.

Przerwa. Boothby bębnił palcami o blat. Vicary zdartym czubkiem buta wiercił dziurę w perskim kobiercu generała.

— Tak, jestem — odezwał się Boothby. — Naprawdę? Niech to cholera weźmie! Lepiej poszukajcie generała Eisenhowera. Natychmiast muszę się z nim spotkać. Osobiście skontaktuję się z biurem premiera. Obawiam się, że mamy dość poważne problemy.

Boothby wolno odłożył słuchawkę i popatrzył na Vicary'ego. Twarz miał koloru popiołu.

Zamarznięta mgła wisiała niczym dym nad wrzosowiskiem Hampstead. Siedząca na ławce wśród buków Catherine Blake zapaliła papierosa. Z jej punktu obserwacyjnego rozciągał się widok na kilkaset metrów w każdą stronę. Była pewna, że siedzi tu sama. Z mgły wynurzył się Neumann. Ręce głęboko wepchnął w kieszenie i szedł pewnym krokiem człowieka, który wie, dokąd zmierza. Kiedy od Catherine dzieliło go parę metrów, odezwała się głośno:

— Chcę z tobą porozmawiać. Wszystko w porządku. Jesteśmy sami.

Siadł przy niej na ławce, Catherine poczęstowała go papierosem, zapalił go od jej papierosa.

Dała mu kopertę z dwoma rolkami filmu.

— Jestem prawie pewna, że właśnie tego szukają — powiedziała. — Przyniósł to wczoraj ze sobą: notes ze szczegółami projektu, nad którym pracuje. Sfotografowałam całość.

Neumann wsunął kopertę do kieszeni.

— Gratulacje, Catherine. Dopilnuję, żeby bezpiecznie dotarły do rąk naszego przyjaciela z portugalskiej ambasady.

— Na jednej rolce umieściłam coś jeszcze. Proszę Vogla, żeby nas stąd wyciągnął. Coś się popsulo. Boję się, że mój kamuflaż długo nie wytrzyma.

— Chcesz o tym pogadać?

— Im mniej wiesz, tym lepiej, wierz mi.

— Ty tu rządzisz, ja jestem tylko chłopcem na posyłki.

— Pamiętaj, bądź gotowy w każdej chwili się zwijać. Wstała i odeszła.

— Wejdz, Alfredzie, i siadaj — zaprosił Boothby. —

Zdaje się, że zważyło nam się na głowę prawdziwe nieszczęście.

Boothby ruchem głowy wskazał jedno z krzeseł przy biurku. Dopiero co wrócił, na ramionach ciągle jeszcze miał zarzucony płaszcz. Zdjął go i podał sekretarce, wpatrującej się w niego wzrokiem wiernego psa, który czeka na następny rozkaz.

— Kawę, proszę. Nikt nie może nam przeszkadzać. Dziękuję.

Vicary opadł na krzesło. Czuł się fatalnie. Sir Basil zniknął na trzy godziny. Kiedy ostatni raz mu mignął, wypadł z gabinetu, mamrocząc coś o morwach*. Vicary'emu ten kryptonim nic nie mówił. Wiedział tylko, że to drzewo o słodkich owocach. Resztę czasu spędził, krążąc po swoim gabinecie i zastanawiając się, jak poważne są straty. I jeszcze coś mu nie dawało spokoju. Sprawę od początku prowadzi on, tymczasem to Boothby relacjonuje ją Eisenhowerowi i Churchillowi.

Weszła sekretarka z tacą ze srebrnym czajniczkiem z kawą oraz eleganckimi porcelanowymi filiżankami. Ostrożnie postawiła ją na biurku zwierzchnika i zniknęła. Boothby nalał kawy.

— Mleka, Alfredzie? Prawdziwe.

— Tak, chętnie.

— To, co panu teraz powiem, jest ściśle tajne — zaczął generał. — Wie o tym zaledwie garstka ludzi: autorzy projektu i ci, którzy uczestniczą w jego realizacji. Nawet ja znałem jedynie ogólniki. Aż do dziś.

Boothby sięgnął do aktówki, wyjął z niej mapę i rozłożył ją na biurku. Włożył okulary, czego nigdy nie robił w obecności Vicary'ego, i posłużył się złotym ołówkiem jako wskazówką.

* Morwa — ang. *mulberry* (przyp. tłum.).

— Oto plaże Normandii — pokazał. — A to Zatoka Sekwany. Autorzy projektu inwazji stwierdzili, że jedynym sposobem na tyle szybkiego przerzucenia ludzi i sprzętu na brzeg, żeby operacja się powiodła, jest posiadanie dużego, funkcjonującego portu. Bez niego inwazja może się zakończyć fiaskiem.

Słuchający uważnie Vicary skinął głową.

— Ale tu się pojawia problem: nie zamierzamy zdobyć żadnego portu — podjął Boothby. — W rezultacie stworzono to.

Ponownie sięgnął do walizki i wyjął inną mapę tego samego fragmentu wybrzeża Francji, tyle że tym razem znajdowały się na niej oznaczenia przedstawiające konstrukcję przy brzegu.

— Nazywa się to operacją *Mulberry*. Na miejscu, w Wielkiej Brytanii, budujemy dwa sztuczne porty i w dniu rozpoczęcia inwazji przetransportujemy je przez kanał.

— Dobry Boże — mruknął Vicary.

— Zaraz stanie się pan członkiem bardzo ekskluzywnego bractwa, Alfredzie, niech pan słucha uważnie. — Boothby znowu wskazywał ołówkiem. — Oto gigantyczne stalowe tratwy, które będą zakotwiczone parę mil od wybrzeża. Mają za zadanie spłaszczyć fale płynące do brzegu. Tutaj, jeden obok drugiego, zatopi się mnóstwo starych statków handlowych, by stworzyły falochron. Ta część operacji nosi kryptonim *Gooseberry*. To zaś są pływające drogi z pirsami z przodu. Łodzie będą cumować właśnie przy tych pirsach. Sprzęt będzie ładowany bezpośrednio na ciężarówki i transportowany na brzeg.

— Godne podziwu — wtrącił Vicary.

— Powodzenie całej akcji zależy jednak od tych tu, tu i tu — ciągnął Boothby, dźgając ołówkiem w trzech punktach mapy. — Noszą nazwę Phoenixów. One jednak

nie unoszą się na wodzie.

Toną. To olbrzymie bloki z betonu i stali, które zostaną przeciągnięte przez La Manche i zatopione w szeregu w celu stworzenia wewnętrznego falochronu. Właśnie one stanowią najważniejszą składową operacji *Mulberry*. — Boothby na moment się zawahał. — Komandorowi Peterowi Jordanowi zlecono pracę nad tym elementem operacji.

— O Boże — jęknął Vicary.

— Niestety, to nie wszystko. Projekt Phoenix boryka się z problemami. Twórcy planu inwazji zamierzają wybudować sto czterdzieści pięć takich bloków. A to są olbrzymie konstrukcje, wysokości około dwudziestu metrów. W niektórych mieszczą się pomieszczenia dla załogi i baterie przeciwlotnicze. Do zbudowania każdej potrzeba niewyobrażalnych ilości cementu, drutów zbrojeniowych i wysoko wykwalifikowanych robotników. Od samego początku prace hamował brak surowców i opóźnienia konstrukcyjne.

Boothby złożył mapy i schował je do szuflady.

— Ubiegłej nocy komandorowi Peterowi Jordanowi zlecono objechanie miejsc budowy na południu i realistyczną ocenę, czy zdąży się na czas dokończyć budowy Phoenixów. Budynek przy Grosvenor Square czterdzieści siedem opuścił z walizką przykutą do nadgarstka. W tej walizce spoczywały wszystkie informacje dotyczące Phoenixów.

— Boże wszechmogący! Czemu, do cholery, to zrobił?

— Jego rodzina ma dom w Londynie. Jordan w nim teraz mieszka. W środku jest sejf. Służby bezpieczeństwa SHAEF sprawdziły go i uznały za bezpieczny.

Nie doszłoby do tego, gdyby Boothby przekazał moje ostrzeżenie o zagrożeniu! — pomyślał Vicary, a głośno

powiedział:

— Więc jeśli komandor Jordan został kupiony, możliwe, że znaczna część planów operacji *Mulberry* trafiła w ręce Niemców.

— Obawiam się, że tak — przyznał Boothby. — A to jeszcze nie koniec złych wiadomości. *Mulberry* ze swej natury może zdradzić tajemnicę inwazji. Niemcy wiedzą, że aby nasza inwazja na kontynent się powiodła, będziemy potrzebować portów. Spodziewają się, że skierujemy wszystkie siły na zdobycie portu i postaramy się jak najszybciej ponownie go uruchomić. Jeśli się dowiedzą, że budujemy sztuczny — i nie będą nas już obchodzić silnie ufortyfikowane porty Calais — równie dobrze mogą dojść do wniosku, że ruszamy na Normandię.

— Boże! A kim, u licha ciężkiego, jest ten cały komandor Peter Jordan?

Boothby znowu pogrzebał w teczce. Wyciągnął cienkie dossier i rzucił je na biurko.

— Pracował jako główny inżynier w Northeast Bridge Company. To jedna z największych amerykańskich firm budowlanych, specjalizujących się w konstrukcji mostów. Uważa się go za swego rodzaju cudowne dziecko. Wciągnięto go do operacji *Mulberry*, gdyż ma doświadczenie w nadzorowaniu olbrzymich przedsięwzięć budowlanych.

— Gdzie on jest w tej chwili?

— Nadal na południu, dokonuje inspekcji. Spodziewają się, że na Grosvenor Square wróci około siódmej. O ósmej ma się spotkać z Eisenhowerem i przekazać mu wnioski. Pan i Harry macie go przejąć na Grosvenor Square, bardzo dyskretnie, i zawieźć do Richmond. Tam go przesłuchamy. Pan poprowadzi przesłuchanie.

— Dziękuję, sir Basilu. Vicary wstał.

— Plan minimum to zyskanie pomocy Jordana w zwinięciu pana siatki.

— Zgadza się — odparł Vicary. — Ale możliwe, że będziemy potrzebować jego ściślejszej współpracy. To zależy od rozmiaru szkód.

— Ma pan jakiś pomysł, Alfredzie?

— Coś mi się zaczyna kłuć. Przed przesłuchaniem chciałbym obejrzeć od środka dom Jordana. Jakies sprzeciwy?

— Nie — odparł Boothby. — Ale dyskretnie, Alfredzie, bardzo dyskretnie.

— Proszę się nie bać, będę bardzo dyskretny.

— Niektórzy obserwatorzy specjalizują się w tego rodzaju zadaniach... No, wie pan, włamywaniu do budynków.

— Właściwie to mam już kogoś upatrzonego.

Harry Dalton cienkim metalowym narzędziem grzebał w zamku drzwi wejściowych domu Petera Jordana. Vicary stał twarzą do ulicy, zasłaniając Harry'ego. Po chwili usłyszał ciche stuknięcie ustępującego zamka. Harry, niczym skończony zawodowiec, pewnym ruchem otworzył drzwi i wkroczył do środka, jakby był panem tego domu.

— Cholernie jesteś w tym dobry — pochwalił Vicary. — Widziałem na filmie, jak to ktoś robił.

— Dziwnie nie chce mi się w to wierzyć.

— Zawsze wiedziałem, że z ciebie inteligentny jegomość. Harry zamknął drzwi.

— Wytrzymaj buty — przypomniał.

Vicary otworzył drzwi salonu i wszedł do środka. Przebiegł wzrokiem po skórzanych meblach, dywanach,

fotografiach mostów na ścianach. Przysunął się do kominka i obejrzał zdjęcie w srebrnej ramce, które stało na półce.

— Pewnie jego żona — domyślił się Harry. — Była piękna.

— Tak — powiedział Vicary. Zdążył się zapoznać z dokumentami wojskowymi Jordana i jego życiorysem, których dostarczył mu Boothby. — Nazywała się Margaret Lauterbach— Jordan. Zginęła tuż przed wojną w wypadku samochodowym na Long Island.

Minęli hol, zajrzeli do jadalni i kuchni. Harry nacisnął klamkę kolejnego pomieszczenia. Okazało się zamknięte na klucz.

— Otwórz — polecił Vicary.

Harry przyklęknął i wsunął narzędzie do zamka. Po chwili weszli do środka. Pokój był umeblowany jak miejsce pracy, z pewnością służył mężczyźnie: biurko z ciemnego drewna, fotel obity doskonale wyprawioną skórą i jeden mebel, który bardzo wiele mówił o właścicielu — stół kreślarski ze stołkiem, z którego korzystałby inżynier albo architekt.

Vicary zapalił lampkę na biurku.

— Idealne miejsce do fotografowania dokumentów — stwierdził.

Sejf stał przy biurku. Stare urządzenie wyglądało jakby ważyło co najmniej pięćset funtów. Vicary przyjrzał się dokładniej nogom; były przymocowane do podłogi.

— Rozejrzyjmy się na górze — powiedział.

Mieściły się tam trzy sypialnie, dwie z widokiem na ulicę, trzecia, większa, w drugiej części domu. Dwie pierwsze najwyraźniej służyły jako pokoje gościnne. W szafach było pusto, brakowało jakichkolwiek elementów osobistych. Vicary z Harrym weszli do sypialni Jordana. Na podwójnym łóżku leżała rozrzucona pościel, podniesione

żaluzje odsłaniały widok na zaniedbany ogródek, otoczony murem. Vicary otworzył edwardiańską szafę i zajrzał do środka: dwa mundury amerykańskiej marynarki wojennej, liczne pary cywilnych wełnianych spodni, kupka swetrów i sporo schludnie złożonych koszul z marką sklepu na Manhattanie. Zamknął szafę i rozejrzał się po pokoju. Nawet jeśli agentka tu była, nie zostawiła po sobie śladu, najwyżej lekką smużkę perfum, która unosiła się w powietrzu i kojarzyła się Vicary'emu z zapachem, którego używała Helen.

„Proszę się odezwać? Och, niech to licho!“. Vicary spojrzał na Harry'ego i powiedział:

— Zejdź na dół, cicho otwórz drzwi od gabinetu, wejdź do środka i zamknij je za sobą.

Harry wrócił po dwóch minutach.

— Słyszałeś coś?

— Nic.

— Więc mogłaby się wyslizgnąć w nocy do jego gabinetu i fotografować dokumenty, które przynosił z pracy.

— Musimy to przyjąć, tak. Sprawdź łazienkę. Zobacz, czy nie zostawiła tam jakiegoś osobistego drobiazgu.

Vicary słyszał, jak Harry buszuje w szafce z lekarstwami. Za chwilę wrócił do sypialni.

— Nie ma tam niczego, co by należało do kobiety.

— Dobra. Na razie tyle nam wystarczy.

Wrócili na dół, zamknęli na klucz drzwi do gabinetu i wyszli na zewnątrz. Zaparkowali tuż za rogiem. Kiedy skręcili na chodnik, Vicary spojrzał w górę na rząd kamienic po drugiej stronie ulicy. Błyskawicznie spuścił wzrok. Przysięgłby, że w zacienionym oknie dostrzegł kogoś, kto patrzył na niego. Twarz mężczyzny: ciemne oczy, czarne włosy, wąskie usta. Jeszcze raz zerknął na

górze, lecz człowiek zniknął.

Żeby oczekiwanie mniej mu się dłużyło, Horst Neumann wymyślił sobie zabawę: zapamiętywał twarze. Zrobił się w tym całkiem dobry. Patrzył na twarze ludzi — w pociągu albo na zatłoczonym placu — każdą z nich zapamiętywał, a potem w duchu je odtwarzał, jakby przewracał strony albumu ze zdjęciami. Tyle już czasu spędził na trasie Hunstanton — Liverpool Street! Wydawało mu się, że cały czas widzi znajome twarze. Pyzaty sprzedawca, który zawsze pogładził nogę dziewczyny, zanim się z nią pocałował na do widzenia w Cambridge, dokąd wracał do żony. Stara panna, która wiecznie wyglądała, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. Wojenna wdowa, która bezustannie patrzyła w okno i zapewne — tak przynajmniej sobie wyobrażał Neumann — w mijanym szarozielonym krajobrazie widziała twarz męża. Na Cavendish Square poznał już wszystkich tubylców: mieszkańców domów otaczających plac, spacerowiczów, którzy lubili posiedzieć na ławce wśród śpiących roślin. Monotonne zajęcie, ale dzięki temu utrzymywał umysł w formie i zabijał czas.

Grubas zjawiał się o trzeciej — ten sam szary płaszcz, ten sam kapelusz, to samo niepewne zachowanie przyzwoitego mężczyzny, który popełnia niecny uczynek. Dyplomata otworzył drzwi domu i wszedł do środka. Neumann przeszedł przez plac i wsunął kopertę z filmem w szparę. Usłyszał znajome sieknięcie, kiedy pulchny dyplomata się po nią schylił.

Neumann wrócił na swoje stanowisko i czekał. Po kilku minutach dyplomata wyszedł, złapał taksówkę i odjechał. Neumann stał jeszcze kilka minut, żeby się upewnić, czy

nikt nie śledził samochodu.

Do pociągu zostały mu jeszcze dwie godziny. Wstał i ruszył w stronę Portman Square. Przez okno księgarni zauważył dziewczynę. W sklepie było pusto. Siedziała za kontuarem i czytała te same wiersze Eliota, których tomik mu przed tygodniem sprzedała. Poczula, że ktoś ją obserwuje, bo szybko podniosła wzrok, jakby ją coś przestraszyło. Potem rozpoznała Neumanna, uśmiechnęła się i gestem zaprosiła do środka. Otworzył drzwi i wszedł.

— Właśnie powinnam sobie zrobić przerwę — powiedziała dziewczyna. — Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia. Przyłączy się pan do mnie? A tak przy okazji, nazywam się Sara.

Ech, raz kozie śmierć — pomyślał Neumann.

— Z przyjemnością, Saro — odparł.

Deszcz cicho bębnił w dach humbera. Zimno przenikało do środka, tak że wewnątrz unosiły się obłoczki pary, gdy rozmawiali. Na Grosvenor Square panował niezwykle spokoj, w gęstych ciemnościach nie widzieli nic. Jak dla Vicary'ego, równie dobrze mogli parkować pod Reichstagem. Na plac wjechał amerykański samochód służbowy. W słabym świetle osłoniętych reflektorów widać było mokrą ulicę. Z wozu wysiadło dwóch mężczyzn; żaden z nich nie był Jordanem. Po chwili przez mrok przemknął kurier na motocyklu. Vicary'emu przypomniła się Francja.

Zacisnął powieki, żeby odpędzić tamten widok i przywołał przed oczy twarz mężczyzny w oknie na Kensingtonie. Najprawdopodobniej to tylko wścibski sąsiad — tłumaczył sobie w duchu. Ale coś go niepokoiło: to że mężczyzna stał o krok od okna, a w pokoju było ciemno.

Odtwarzał w pamięci tamtą twarz: ciemne włosy i oczy, wąskie usta, jasna cera, rysy, które nie wskazywały na żadną narodowość. Może Niemiec, może Włoch, może Grek albo Rosjanin. Albo i Anglik.

Harry ćmił papierosa, potem zapalił Vicary i po chwili tak nadymili, że wewnątrz samochodu przypominało łaźnię turecką. Vicary odrobinę uchylił okno od swojej strony. Do środka wdarło się zimno, siekąc go w twarz.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taka gwiazda, Harry. Każdy policjant w Londynie zna twoje nazwisko.

— Sprawa Spencera Thomasa — wyjaśnił Harry.

— Jak go dopadłeś?

— Skończony kretyn. Wszystko spisywał.

— Jak to?

— Chciał zapamiętać szczegóły zbrodni, ale nie ufał pamięci. Więc prowadził ten makabryczny dziennik. Znalazłem go, przeszukując jego pokój. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jakie rzeczy ludzie potrafią wypisywać.

Nie, nie zdziwiłbym się — pomyślał Vicary, przypominając sobie list od Helen.

„Udowodniłam Ci swą miłość w sposób, w jaki już żadnemu mężczyźnie nie udowodnię. Lecz nie zamierzam poświęcić mego związku z ojcem dla małżeństwa”.

— Co słyhać u Grace Clarendon? — zagadnął Vicary. Nigdy przedtem o nią nie pytał, więc zabrzmiało to nienaturalnie, jakby zagadnąć o rugby albo krykieta.

— Wszystko dobrze — odparł Harry. — Czemu pytasz?

— Wczoraj w nocy widziałem ją pod gabinetem Boothby'ego.

— Boothby zawsze prosi, żeby Grace osobiście dostarczała mu dokumenty. Jej zdaniem dlatego, że lubi patrzeć na jej nogi. Połowa ludzi w wydziale myśli, że ma z

nim romans.

Do Vicary'ego też w swoim czasie doszły te pogłoski: Boothby spał z każdą wolną panienką z wydziału, a Grace Clarendon należała do jego ulubionych zdobyczy.

„Nie zrobisz mi tego! Łajdak! Skończony drań!”.

Vicary założył, że Boothby udzielał Grace nagany za teczkę Vogla. Ale całkiem możliwe, że podsłuchiwał sprzeczkę kochanków. Postanowił więcej nie poruszać z Harrym tego tematu.

W chwilę później na plac wjechał samochód.

Ten ułamek sekundy, kiedy po raz pierwszy zobaczył Jordana, pozostał w Vicarym na bardzo długo, jak swąd przypalonego jedzenia na ubraniu. Najpierw usłyszał cichy warkot nadjeżdżającej limuzyny i odwrócił się szybko, by zobaczyć przez szybę twarz Jordana. Trwało to moment, ale ten obraz wyrył mu się w mózgu wyraziście niby na taśmie filmowej. Zobaczył oczy rozglądające się po placu, jakby szukały ukrytych nieprzyjaciół. I linię brody — zdecydowaną, ostrą — jakby Jordan szykował się do odparcia napastnika. Czapkę miał mocno nasuniętą na brwi i płaszcz zapięty po szyję.

Samochód Jordana zatrzymał się pod numerem 47. Uruchomili silnik i błyskawicznie podjechali. Harry wysiadł i ruszył chodnikiem za Jordanem.

Resztę Vicary oglądał jak pantomimę. Harry prosi Jordana, żeby poszedł z nim i wsiadł do drugiego humbera, który ni z tego, ni z owego wyrósł na ulicy. Jordan patrzy na Harry'ego, jakby ten się urwał z choinki.

Harry niezwykle uprzejmie, jak to mają w zwyczaju londyńscy policjanci, przedstawia się Jordanowi. Jordan dobitnie mówi, żeby się odwalił. Harry chwytą go za ramię, odrobinę za mocno, pochyla się i szepcze mu coś do ucha.

Krew odpływa z twarzy Jordana.

Rozdział siódmy

Richmond— upon— Thames, Anglia

Czerwonej wiktoriańskiej rezydencji z cegły nie było widać od drogi. Stała na najwyższym wzniesieniu, na końcu poszarpanej wstążki zwirowanego podjazdu. Siedzący samotnie w zimnym humberze Vicary zgasił światło, gdy znaleźli się na miejscu. W drodze przeczytał zawartość teczki Jordana. Oczy go piekły, bolała głowa. Jeśli dokument znalazł się w rękach Niemców, niewykluczone, że Abwehra zdoła dzięki niemu rozwiązać tajemnicę inwazji. I dzięki niemu przejrzą zasłonę dymną podwójnych agentów i operacji *Fortitude*. Mogą go wykorzystać do wygrania wojny! Vicary wyobraził sobie scenę w Berlinie. Hitler będzie tańczył po stole, wycinając hołubce.

A wszystko to dlatego, że nie udało mi się złapać tej przeklętej agentki !

Przetarł zaparowaną szybę. Palilo się tylko światło nad wejściem, poza tym budynek tonął w ciemnościach. MI— 5 kupiła go przed wojną od zbankrutowanych krewniaków pierwszego właściciela. Dom zamierzano wykorzystywać do tajnych spotkań i przesłuchań oraz do ukrywania delikatnych gości. Rzadko używany obracał się w ruinę i wyglądał, jakby go porzuciła armia w odwrocie. O tym, że jest zamieszkały, świadczyły jedynie limuzyny zaparkowane byle jak na zachwaszczonym podjeździe.

W mroku wyłonił się strażnik Królewskiej Marynarki i wpuścił Vicary'ego. Prowadził go długim, zaniedbanym korytarzem i przez kolejne pokoje: salon z przykrytymi pokrowcami meblami, bibliotekę z pustymi półkami, aż wreszcie dotarli do podwójnych drzwi, za którymi mieścił

się duży pokój z widokiem na teraz tonące w ciemnościach pola. Unosił się tu zapach dymu z paleniska, koniaku i słaba woń mokrego psa. Bilard odsunięto pod ścianę, jego miejsce zajął masywny dębowy stół. W olbrzymim kominku płonął ogień. Na krzesłach tuż przy ogniu, niczym para akolitów, siedziało dwóch ciemnokich Amerykanów ze służby bezpieczeństwa SHAEF. Basil Boothby wolno przechadzał się w cieniu.

Vicary znalazł swoje stanowisko przy stole. Na podłodze przy krześle postawił teczkę Jordana i wolno zaczął rozpakowywać swoją. Podniósł wzrok, napotkał spojrzenie Boothby'ego i skinął głową. Potem znów się skoncentrował na przygotowaniach. Usłyszał skrzyp otwieranых drzwi i kroki dwóch osób idących po drewnianej podłodze. W jednych rozpoznał kroki Harry'ego, drugie musiały być Petera Jordana.

Po chwili usłyszał, jak krzesło naprzeciwko niego stęka pod jego ciężarem. Mimo to nadal nie podniósł wzroku. Wyjął notatnik i żółty ołówek, starannie je ułożył, jakby nakrywał do stołu dla samego króla. Następnie wydobyl akta Jordana i umieścił je na stole. Usiadł, otworzył notes na pierwszej stronie i polizał czubek ołówka.

Dopiero wtedy podniósł głowę i po raz pierwszy spojrzal Jordanowi prosto w oczy.

- Jak ją pan poznał?
- Wpadłem na nią wieczorem.
- Jak to się odbyło?
- Szedłem chodnikiem bez latarki i zderzyliśmy się. Niosła torbę z zakupami. Rozsypały się na chodnik.
- Gdzie to się wydarzyło?
- W Kensingtonie, przed Vandyke Club.

- **Kiedy?**
- **Jakieś dwa tygodnie temu.**
- **A dokładnie?**
- **Jezu, nie pamiętam! Może w poniedziałek.**
- **O której?**
- **Koło szóstej.**
- **Jak się nazywała?**
- **Catherine Blake.**
- **Czy poznał ją pan przed tamtym wieczorem?**
- **Nie.**
- **Czy widział ją pan kiedyś przed tamtym wieczorem?**
- **Nie.**
- **Nie rozpoznał jej pan?**
- **Nie.**
- **A ile czasu spędziliście razem owego wieczoru?**
- **Niecałą minutę.**
- **Czy umówił się pan z nią jakoś?**
- **Niezupełnie. Zaproponowałem, żebyśmy się kiedyś spotkali na drinka. Powiedziała, że chętnie i odeszła.**
- **Dała panu adres?**
- **Nie.**
- **Numer telefonu?**
- **Nie.**
- **Więc jak miał się pan z nią skontaktować?**
- **Trafne pytanie. Uznałem, że nie chce się ze mną spotkać.**
- **Tymczasem kiedy się pan znowu z nią spotkał?**
- **Następnego wieczoru.**
- **Gdzie?**
- **W barze hotelu Savoy.**
- **W jakich okolicznościach?**
- **Piłem drinka z przyjacielem.**

- Jak się nazywa ten przyjaciel?
- Shepherd Ramsey.
- I zobaczył ją pan w barze?
- Tak.
- Podeszła do waszego stolika?
- Nie, ja podszedłem do niej.
- I co się wtedy stało?
- Powiedziała, że była umówiona, ale jej towarzysz wystawił ją do wiatru. Spytałem, czy mogę jej postawić drinka. Odparła, że wolałaby wyjść. Więc wyszedłem razem z nią.
- Gdzie poszliście?
- Do mnie.
- Co robiliście?
- Przyszykowała kolację, zjedliśmy. Trochę porozmawialiśmy i wróciła do domu.
- Czy kochał się pan z nią tamtej nocy?
- Proszę słuchać, nie będę...
- Owszem, będzie pan, komandorze Jordan! A teraz proszę odpowiedzieć mi na pytanie! Czy kochał się pan z nią tamtej nocy?
- Nie!
- Mówi pan prawdę?
- Co?
- Spytałem, czy mówi pan prawdę?
- Oczywiście, że tak.
- I nie zamierza mnie pan dzisiejszej nocy okłamywać, komandorze?
- Nie zamierzam.
- To dobrze, bo odradzałbym panu kłamstwo. I tak ma pan wystarczająco duże kłopoty. A teraz wróćmy do rzeczy.

Vicary gwałtownie zmienił kurs, wyprowadzając Jordana na spokojniejsze wody. Przez godzinę oprowadzał go po jego życiorysie: dzieciństwie na West Side w Manhattanie, studia w Instytucie Rensselaera, pracę w Northeast Bridge Company, małżeństwie z bogatą i piękną dziewczyną, Margaret Lauterbach, jej śmierci w wypadku samochodowym na Long Island w sierpniu 1939 roku. Vicary zadawał pytania, nie korzystając z notatek, jakby nie znał odpowiedzi, chociaż w drodze do Richmond nauczył się na pamięć wszystkiego, co się znajdowało w teczce Jordana. Uważał, żeby panować nad rytmem i tempem rozmowy. Kiedy Jordan trochę się odprężył, Vicary przykręcał śrubę. Bez przerwy gorliwie notował. Przesłuchanie było nagrywane przez ukryte mikrofony, a mimo to Vicary bazgrał, jakby notesik stanowił trwały dowód tego wieczornego posiedzenia. Każdemu słowu Jordana towarzyszyło potworne skrzypienie ołówka na kartce. Co parę minut ołówek się tępił. Vicary przeproszał, polecał Jordanowi przerwać, po czym ostentacyjnie grzebał w poszukiwaniu kolejnego ogryzka. Za każdym razem wyciągał tylko jeden ołówek. A każde kolejne poszukiwanie wydawało się dłuższe od poprzedniego. Harry, który ukryty w mroku obserwował to wszystko, zachwycał się przedstawieniem Vicary'ego. Profesor chciał, żeby Jordan uznał go za przygłupa.

Dalej, tępaku — pomyślał Harry — a jeszcze cię chwyci za jaja.

Vicary przekręcił kartkę w notesie i wyciągnął następny ołówek.

— Naprawdę nie nazywa się Catherine Blake. I

właściwie nie jest Angielką. Jej prawdziwe miano brzmi Anna Katarina von Steiner. Ale nigdy więcej już nie użyję tego nazwiska. I niech pan zapomni, że je kiedykolwiek słyszał. Za chwilę sam pan zrozumie, dlaczego tego żądam. Urodziła się w Londynie przed pierwszą wojną, jej matka była Angielką, ojciec Niemcem. W listopadzie trzydziestego ósmego roku wróciła do Wielkiej Brytanii, posługując się fałszywym holenderskim paszportem. Poznaje pan zdjęcie?

— To ona. Wygląda inaczej, ale to ona.

— Przypuszczamy, że niemiecki wywiad zwrócił na nią uwagę ze względu na jej pochodzenie i zdolności językowe. Wedle naszych informacji zwerbowano ją w trzydziestym szóstym roku i wysłano do obozu w Bawarii, gdzie przeszła szkolenie w szyfrowaniu, obsłudze radia, nauczono ją oceniać siły wroga i zabijać. Żeby ukryć swój pobyt w Anglii, w brutalny sposób zabiła mieszkankę Suffolk. Sądzymy, że zabiła również trzy inne osoby.

— Bardzo trudno w to uwierzyć.

— Cóż, lepiej niech pan uwierzy. Ona się różni od innych. Większość agentów Canarisa to beznadziejni idioci, słabo wyszkoleni, nie nadający się do szpiegostwa. Wszystkie ich siatki wychwyciliśmy już na początku wojny. Uważamy jednak, że Catherine Blake to swego rodzaju gwiazda, agentka innej kategorii. Nigdy nie nadawała komunikatów, wygląda też na to, że nigdy nie uczestniczyła w żadnej akcji. Po prostu wtopiła się w angielskie społeczeństwo i czekała na znak.

— Dlaczego wybrała właśnie mnie?

— Pozwoli pan, komandorze, że inaczej to ujmę. Czy to ona pana wybrała, czy też pan wybrał ją?

— O czym pan mówi?

— Naprawdę, to bardzo proste. Chcę wiedzieć, dlaczego pan przekazywał nasze tajemnice Niemcom.

— Nie przekazywałem!
— Chcę wiedzieć, dlaczego nas pan zdradzał.
— Nikogo nie zdradzałem!
— Chcę wiedzieć, dlaczego zachowuje się pan jak agent niemieckiego wywiadu.

— To nonsens!

— Tak? A co mamy myśleć? Romansuje pan z najlepszą niemiecką agentką. Przynosi pan do domu teczkę ze ściśle tajnymi dokumentami. Dlaczego pan to zrobił? Nie wystarczyło po prostu jej powiedzieć, na czym polega operacja *Mulberry*? Czy kazała panu przynieść dokumenty, żeby móc je sfotografować?

— Nie! To znaczy...

— Czy sam pan zaproponował, że je przyniesie?

— Nie!

— W takim razie dlaczego zabrał pan materiały do domu?

— Bo wczesnym rankiem miałem wyjechać na inspekcję na południe. Dwudziestu ludzi to potwierdzi. Pracownicy służby bezpieczeństwa sprawdzili mój dom i sejf w gabinecie. Pozwolono mi w wyjątkowych okolicznościach zabierać do siebie tajne akta, pod warunkiem, że trzymałem je w sejfie.

— Cóż, widać popełniono niewybaczalny błąd. Bowiem ja sądzę, że zabrał pan te dokumenty do domu, żeby je przekazać Catherine Blake.

— To nieprawda.

— Nie jestem tylko pewien, czy jest pan niemieckim szpiegiem, czy też został pan w to wciągnięty.

— Odpieprz się! Mam tego dość!

— Chcę wiedzieć, czy zdradził nas pan dla seksu.

— Nie!

— Chcę wiedzieć, czy zdradził nas pan dla pieniędzy.

- Nie potrzebuję pieniędzy.
- Czy współpracuje pan z kobietą znaną panu jako Catherine Blake?
- Nie.
- Czy świadomie lub dobrowolnie przekazywał pan tajemnice aliantów kobiecie, znanej panu jako Catherine Blake?
- Nie.
- Czy pracuje pan dla niemieckiego wywiadu wojskowego?
- Co za idiotyczne pytanie.
- Proszę odpowiedzieć!
- Nie, do cholery! Nie!
- Czy utrzymuje pan stosunki seksualne z kobietą, znaną panu jako Catherine Blake?
- To moja sprawa.
- Już nie, komandorze. Pytam jeszcze raz: czy utrzymuje pan stosunki seksualne z Catherine Blake?
- Tak.
- Czy zakochał się pan w Catherine Blake? Komandorze, słyszał pan pytanie? Komandorze? Komandorze Jordan, czy jest pan zakochany w Catherine Blake?
- Jeszcze parę godzin temu byłem zakochany w kobiecie, którą nazywałem Catherine Blake. Nie wiedziałem, że jest niemieckim szpiegiem i nie dostarczałem jej świadomie tajemnic aliantów. Musi mi pan uwierzyć.
- Nie jestem pewny, czy panu wierzę, komandorze Jordan. Ale idźmy dalej.
- Zaciągnął się pan do marynarki w październiku ubiegłego roku.
- Zgadza się.

- Dlaczego tak późno?
- Moja żona nie żyje. Nie chciałem zostawiać syna samego.
- Dlaczego więc pan się na to zdecydował?
- Bo zwrócono się do mnie z prośbą, żebym wstąpił do marynarki wojennej.
- Proszę opowiedzieć, jak to się odbyło.
- Do mojego biura na Manhattanie przyszło dwóch mężczyzn. Nie ulegało wątpliwości, że zapoznali się z moim życiorysem i przebiegiem kariery zawodowej. Oświadczyli, że potrzebują moich usług w realizacji projektu związanego z inwazją. Nie wyjaśnili, na czym ten projekt polega. Kazali mi pojechać do Waszyngtonu i nigdy więcej ich nie zobaczyłem.
- Jak się nazywali?
- Jeden nazywał się Leamann, nazwiska drugiego nie pamiętam.
- Obaj byli Amerykanami?
- Leamann tak. Drugi był Anglikiem.
- Ale nie pamięta pan jego nazwiska?
- Nie.
- Jak wyglądał?
- Był chudy i wysoki.
- Cóż, to odpowiada rysopisowi mniej więcej połowy Anglików. Co się stało, kiedy przyjechał pan do Waszyngtonu?
- Po sprawdzeniu mojego życiorysu wprowadzono mnie w szczegóły operacji *Mulberry* i pokazano plany.
- Do czego był pan potrzebny?
- Szukali kogoś, kto miał doświadczenie w realizacji dużych projektów. Moja firma wybudowała kilka największych mostów na wschodzie.
- I jakie było pana pierwsze wrażenie?

— Uważałem, że z technicznego punktu widzenia operacja ma szansę, natomiast sam projekt wykonania za farsę, oszacowali to zbyt optymistycznie. Z góry wiedziałem, że będą spóźnienia.

— A jakie są pana wnioski po dzisiejszej inspekcji?

— Że prace są ogromnie opóźnione i szansę ukończenia Phoenixów na czas wynoszą najwyżej jeden do trzech.

— Podzielił się pan tymi uwagami z Catherine Blake?

— Proszę, nie wracajmy już do tego.

— Nie odpowiedział pan na pytanie.

— Nie. Nie podzieliłem się tymi uwagami z Catherine Blake.

— Czy widział się pan z nią, zanim pana zgarnęliśmy z Grosvenor Square?

— Jechałem do SHAEF prosto z inspekcji.

Vicary sięgnął do teczki i położył na stole dwa zdjęcia: jedno Roberta Pope'a, drugie Dicky'ego Dobbsa.

— Widział pan kiedyś tych mężczyzn?

— Twarze wydają mi się znajome, ale nie wiem, gdzie ich widziałem.

Vicary otworzył akta Jordana i przerzucił stronę.

— Proszę mi powiedzieć, co to za dom, w którym pan mieszka.

— Mój teść kupił go przed wojną. Często przyjeżdża do Londynu w interesach i dla przyjemności, więc chciał mieć wygodne lokum, w którym mógłby się zatrzymać.

— Czy jeszcze ktoś z niego korzysta?

— Mieszkaliśmy tu z Margaret podczas wakacji w Europie.

— Czy bank pana teścia prowadził interesy w Niemczech?

— Tak, dość dużo. Ale przed wojną z większości się wycofał.

- Czy osobiście doglądał tych likwidacji?
- Większością zajął się Walker Hardegen. To prawa ręka teścia. Poza tym płynnie mówi po niemiecku i zna Niemcy na wylot.
- Czy przed wojną podróżował do Niemiec?
- Tak, wielokrotnie.
- Czy kiedykolwiek mu pan towarzyszył?
- Nie. Nie mam nic do czynienia z interesami teścia.
- Czy Walker korzystał z londyńskiego mieszkania?
- Możliwe. Nie jestem pewny.
- Jak dobrze zna pan Walkera Hardegena?
- Bardzo dobrze.
- Czyli się przyjaźnicie?
- Nie, nie powiedziałbym.
- Zna go pan dobrze, ale się nie przyjaźnicie?
- Właśnie.
- Jesteście wrogami?
- To za mocne słowo. Po prostu za sobą nie przepadamy.
- Dlaczego?
- Spotykał się z moją żoną, zanim ją poznałem. Sądzę, że nigdy nie przestał jej kochać. Na przyjęciu, które urządziłem przed wyjazdem, trochę za dużo wypił. Oskarżył mnie, że zabiłem Margaret, żeby ubić interes.
- Gdyby ktoś powiedział o mnie coś takiego, uznałbym go za wroga.
- Miałem wtedy ochotę go zatłuc.
- Czy wini się pan za śmierć żony?
- Tak, nieustannie. Gdybym wtedy nie kazał jej przyjechać do miasta na tę cholerną kolację, żyłaby.
- Co Walker Hardegen wie o pana pracy?
- Nic.
- Wie, że jest pan utalentowanym inżynierem?

- **Tak.**
- **Wie, że wysłano pana do Londynu, żeby pan pracował nad tajnym zleceniem?**
- **Mógł się tego domyślić, to fakt.**
- **Czy w listach do domu wspominał pan o operacji *Mulberry*?**
- **Nigdy. Zresztą wszystkie i tak były cenzurowane.**
- **Czy kiedykolwiek wspomniał pan komuś ze swojej rodziny o operacji *Mulberry*?**
- **Nie.**
- **A przyjaciółom?**
- **Nie.**
- **Temu jegomościowi, Shepherdowi Ramseyowi, też nie?**
- **Nie.**
- **A pytał?**
- **Nieustannie. Oczywiście żartobliwie.**
- **Czy zamierza się pan jeszcze spotkać z Catherine Blake?**
- **Nie zamierzam się z nią spotykać. Nie chcę jej więcej widzieć na oczy.**
- **Cóż, to może się okazać niewykonalne, komandorze Jordan.**
- **O co chodzi?**
- **Dowie się pan w swoim czasie. Zrobiło się późno. Myślę, że przydałoby nam się trochę snu. Rano wrócimy do przesłuchania.**

Vicary wstał i podszedł do miejsca, gdzie siedział Boothby. Pochylił się nad nim i powiedział:

— Chyba powinniśmy porozmawiać.

— Tak — odparł Boothby. — Może przejdziemy do drugiego pokoju?

Dźwignął się z fotela i ujął Vicary'ego pod rękę.

— Wspaniale się pan spisał — pochwalił. — Na Boga, Alfredzie, od kiedy stał się pan takim draniem?

Boothby pchnął drzwi i gestem ręki zaprosił Vicary'ego, by wszedł pierwszy. Profesor minął go i znalazł się w drugim pokoju.

Nie wierzył własnym oczom.

— Witaj, Alfredzie — odezwał się Winston Churchill. — Jak miło znowu cię widzieć. Żałuję tylko, że nie w innych okolicznościach. Chciałbym ci przedstawić mojego przyjaciela. Profesorze Alfredzie Vicary oto generał Eisenhower.

Dwight Eisenhower wstał z miejsca i wyciągnął dłoń.

Pokój pełnił niegdyś funkcję gabinetu. Na ścianach z góry na dół półki na książki, na środku stało biurko i dwa fotele z wysokimi oparciami, w których teraz siedzieli Churchill i Eisenhower. W kominku płonął jasno ogień, mimo to w pomieszczeniu panował chłód. Kolana Churchilla zasłaniał wełniany pled. Premier gryzł wilgotny koniec cygara i sączył czarną kawę. Na biurku stał mały głośnik, dzięki któremu słyszeli całe przesłuchanie Jordana. Vicary domyślił się tego, gdyż mikrofony nadal były włączone i słyszał z pokoju obok skrzypienie krzesel i szmer głosów. Boothby wyciągnął rękę i przyciszył odbiornik. Otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł piąty mężczyzna. Vicary rozpoznał wysoką, niedźwiedziowatą postać:

generał brygady Thomas Betts, zastępca szefa wywiadu SHAEF, człowiek, na którego barkach spoczywała odpowiedzialność za utrzymanie tajemnicy inwazji.

— Czy Jordan mówi prawdę? — spytał Churchill.

— Nie jestem pewny — odparł Vicary, stając przy barku i nalewając sobie kawy. — Chcę mu wierzyć, ale coś mi tu nie pasuje. I niech mnie licho porwie, jeśli wiem, co.

— Nic w życiorysie Jordana nie sugeruje nawet, żeby był niemieckim szpiegiem albo żeby świadomie nas zdradził. W końcu to my się do niego zwróciliśmy. Został wciągnięty do pracy nad *Mulberry*, nie zgłosił się na ochotnika. Gdyby był agentem, od samego początku wojny łomotałby do drzwi, próbując się wkręcić na jakieś znaczące stanowisko.

— Zgadza się z tym — powiedział Eisenhower.

— Poza tym jest czysty jak lza — ciągnął Boothby. — Widział pan jego akta. FBI dokładnie go sprawdziło i niczego nie znalazło. Forsy ma jak lodu. Nie jest komunistą. Nie wciąga w krzaki małych chłopczyków. Brak podstaw do twierdzenia, że sprzyja Niemcom. Jednym słowem, nie mamy powodów podejrzewać, że jest szpiegiem albo współpracuje ze szpiegami.

— Wszystko to prawda — Vicary cały czas intensywnie myślał. Od kiedyż to, do cholery, Boothby stał się takim wielbicielem Petera Jordana? — Ale co z tym drugim, Walkerem Hardegenem? Czy jego też sprawdzono przed wcieleniem Jordana do zespołu pracującego nad *Mulberry*?

— Bardzo skrupulatnie — zapewnił generał Betts. — FBI zaniepokoiły jego kontakty z Niemcami na długo przed tym, jak Departament Wojny w ogóle pomyślał o rekrutowaniu Jordana do pracy nad *Mulberry*. Wzięli pod lupę życiorys Hardegena. I nie znaleźli zupełnie nic. Hardegen jest czysty jak lza.

— Cóż, byłbym spokojniejszy, gdyby jeszcze raz go sprawdzili — odparł Vicary. — Skąd, u licha, ta kobieta wiedziała, że ma polować właśnie na Jordana? I jak zdobywa materiały? Byłem w jego mieszkaniu. Mogłaby dostać się do tych dokumentów bez jego wiedzy, ale to byłoby ogromnie ryzykowne. A co z tym przyjacielem, Shepherdem Ramseyem? Chciałbym, żeby go obserwowano, a FBI niech dokładniej się przyjrzy jego życiorysowi.

— Jestem przekonany, że załatwienie tego nie sprawi generałowi Eisenhowerowi najmniejszego kłopotu, prawda generale? — spytał Churchill.

— Prawda — potaknął Eisenhower. — Panowie, podejmijcie wszelkie kroki, jakie uważacie za niezbędne.

Churchill odchrząknął.

— Cała ta dyskusja jest ogromnie interesująca, lecz nie dotyczy naszego najbardziej palącego problemu. Wygląda na to, że ów Jordan, świadomie lub nie, dostarczył prosto w ręce Niemców znaczną porcję planów operacji *Mulberry*. Co w takiej sytuacji winniśmy uczynić? Basil?

Boothby zwrócił się do generała Bettsa.

— Czego na temat operacji *Mulberry* Niemcy mogą się dowiedzieć z tego notesu?

— Trudno powiedzieć — odparł generał. — Tamte notatki nie dają pełnego obrazu, ale jego cholernie ważny fragment. Jak sami panowie wiecie, na operację *Mulberry* składa się mnóstwo innych szczegółów. Z tego dokumentu Niemcy dowiedzą się o Phoenixach. Jeśli rzeczywiście jest on w drodze do Berlina, niemieccy analitycy rozbiorą go na czynniki pierwsze. Jeśli zdołają ustalić, do czego ma służyć Phoenix, bez trudu rozwiążą zagadkę sztucznego portu. — Betts się zawahał. Na jego twarzy malowała się powaga. — I, panowie, jeśli się zorientują, że budujemy sztuczny port,

niewykluczone, że pójdą krok dalej i dojdą do wniosku, że ruszamy na Normandię, nie Calais.

— Moim zdaniem powinniśmy założyć, że dojdą do tego wniosku, i zareagować w odpowiedni sposób — stwierdził Vicary.

— Proponuję, żebyśmy wykorzystali Jordana do zdemaskowania Catherine Blake — wpadł mu w słowo Boothby. — Aresztować ją, ostro przesłuchać i przeciągnąć na naszą stronę. Potem wykorzystać ją do zmylenia Niemców. Niech ich przekona, że *Mulberry* to cokolwiek, byle nie sztuczny port stanowiący bazę ataku na Normandię.

Vicary lekko odrzchnął i powiedział:

— W pełni się zgadzam z drugą częścią propozycji sir Basila. Podejrzewam jednak, że ta pierwsza nie okaże się tak łatwa, jakby się mogło wydawać.

— Do czego pan zmierza, Alfredzie?

— Z tego, co zdołaliśmy się dowiedzieć o tej kobiecie, wynika, że to doskonale wyszkolona, bezwzględna agentka. Wątpię, czyby nam się udało ją namówić do współpracy. Ona jest inna niż tamci agenci.

— Doświadczenie nauczyło mnie, że każdy, kto ma w perspektywie szubienicę, *zgadza* się na współpracę, Alfredzie. Ale co pan proponuje?

— Proponuję, żeby Peter Jordan nadal się z nią widywał. Tyle że od tej pory my kontrolujemy to, co znajdzie się w jego teczce i co będzie wkładał do sejfu w mieszkaniu. Niech Catherine dalej działa, a my będziemy ją obserwować. Sprawdzimy, w jaki sposób przekazuje materiały do Berlina. Odkryjemy pozostałych agentów. Dopiero wtedy ją aresztujemy. Jeśli zgrabnie zwiniemy tę siatkę, będziemy mogli dostarczać sfabrykowane przez nas materiały wprost do najwyższych sfer Abwehry. Aż do

samej inwazji.

— Basilu, co sądzisz o planie Alfreda? — spytał Churchill.

— Jest genialny — odparł Boothby. — Co jednak, jeśli obawy Alfreda co do komandora Jordana okażą się słuszne? Jeśli rzeczywiście okaże się niemieckim agentem? Jordan mógłby wyrządzić nieobliczalne szkody.

— To niebezpieczeństwo towarzyszy również pana planowi, sir Basilu. Niestety, musimy podjąć ryzyko. Ale od tej pory Jordan nie będzie ani przez chwilę sam. Czy będzie z nią, czy z kimś innym. Ma być obserwowany dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy iść za nim jak cień. Jeśli usłyszymy albo zobaczymy coś podejrzanego, natychmiast wkraczamy do akcji, aresztujemy Catherine Blake i postępujemy wedle pana scenariusza.

Boothby skinął głową.

— Sądzi pan, że komandor Jordan temu poddała? W końcu dopiero co się przyznał, że kochał tę kobietę. Zdradziła go. Moim zdaniem nie będzie w stanie kontynuować tego związku.

— Cóż, po prostu będzie musiał — uciął Vicary. — On nas wpakował w to łajno i on nas będzie musiał z niego wyciągnąć. Nie możemy zmieniać ról i podstawić na jego miejsce zawodowca. Oni wybrali właśnie jego. Nikt inny go nie zastąpi. Uwierzą tylko w to, co zobaczą w teczce Jordana.

Churchill popatrzył na Eisenhowera.

— Generale?

Eisenhower zgasił papierosa, przez chwilę się namyślał, po czym odrzekł:

— Jeśli to rzeczywiście jedyne wyjście, udzielię wsparcia planowi profesora. General Betts i ja dopilnujemy, żeby otrzymał pan wszelką pomoc ze strony

SHAEF i mógł przeprowadzić swój plan.

— W takim razie sprawa załatwiona — stwierdził Churchill. — I niech Bóg nas ma w swojej opiece, jeśli się nie uda.

— A tak przy okazji, nazywam się Vicary, Alfred Vicary. To Harry Dalton, mój współpracownik. Ten pan zaś to sir Basil Boothby. On tu wszystkim kieruje.

Był ranek następnego dnia, godzina po świcie. Szli wąską ścieżką wśród drzew — Harry parę kroków przed nimi, niczym zwiadowca, Vicary z Jordanem obok siebie, a za nimi Boothby, pilnujący tyłów. W nocy deszcz ustał, ale niebo nadal przesłaniały gęste chmury. Szare światło zimowego poranka wyprało z wszelkich barw drzewa i wzgórze. W kotlinach zebrała się mgła, w powietrzu unosiła się woń dymu z kominków płonących w domu. Jordan przelotnie popatrzył kolejno na przedstawianych mu mężczyzn, ale nie wyciągnął ręki. Obie schował w kieszeniach sztormiaka, który dostarczono mu do pokoju wraz z wełnianymi spodniami i grubym swetrem.

Przez pewien czas spacerowali w milczeniu, jak starzy szkolni kumple, umawiający się na solidne śniadanie. Chłodne powietrze niczym gwóźdź wwiercało się w kolano Vicary'ego. Szedł wolno, z dłońmi zaplecionymi z tyłu i spuszczoną głową, jakby czegoś szukał na ziemi. Drzewa się skończyły i przed nimi pojawiła się Tamiza. Na brzegu stało kilka drewnianych ławek. Harry usiadł na jednej z nich, Vicary z Jordanem na drugiej, Boothby stał.

Vicary wyjaśnił Jordanowi, czego od niego oczekują. Jordan słuchał, nie patrząc na nich. Siedział bez ruchu, z rękami w kieszeniach, z wyciągniętymi nogami, ze wzrokiem utkwionym w jakimś nieokreślonym punkcie na

rzece. Kiedy Vicary skończył, powiedział:

— Znajdźcie inny sposób. Nie dam rady. Bylibyście głupcami, gdybyście mi to zlecili.

— Proszę mi wierzyć, komandorze, że gdyby istniał inny sposób naprawienia szkody, skorzystałbym z niego. Niestety, to jedyne rozwiązanie. Pan musi to zrobić. Jest nam pan to winien. Nam i tym żołnierzom, którzy będą nadstawiać karku, próbując zdobyć plażę Normandii. — Zawiesił głos i przez chwilę wzorem Jordana zapatrzył się w wodę. — I jest pan to winien sobie, komandorze. Popenił pan straszliwy błąd. Teraz pan musi pomóc go naprawić.

— Czy to kazanie?

— Nie, nie uznaję kazań. To prawda.

— Jak długo to potrwa?

— Tak długo, jak będzie konieczne.

— Nie odpowiedział pan na pytanie.

— Zgadza się. Może parę dni, może parę miesięcy. Po prostu nie wiemy. Nie mamy do czynienia z nauką ścisłą. Skończymy najszybciej, jak się da. Ma pan na to moje słowo.

— Odniosłem wrażenie, że w pana zawodzie niewielkie się przywiązuje znaczenie do danego słowa, Vicary.

— Owszem, ale tym razem tak będzie.

— A co z moją pracą nad operacją *Mulberry*?

— Będzie pan odgrywał rolę aktywnego uczestnika wydarzeń, ale tak naprawdę zostaje pan od niej odsunięty.

— Vicary wstał. — Pora już wracać do domu, komandorze. Przed wyjazdem trzeba podpisać parę papierów.

— Jakich papierów?

— Och, na przykład zobowiązanie, że po kres swoich dni ani słowem nikomu pan o tym nie wspomni.

Jordan oderwał wzrok od rzeki i wreszcie spojrział na Vicary'ego.

— **Wiercie mi, o to nie musicie się troskać.**

Rozdział ósmy

Kętrzyn, Niemcy

Kurt Vogel poprawiał kołnierz. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak długo nosił mundur. Przed wojną dobrze na nim leżał, ale teraz Vogel, podobnie jak prawie wszyscy, schudł i bluza wisiała na nim jak więzienny pasiak.

Był piekielnie zdenerwowany. Nigdy jeszcze nie spotkał führera, nigdy nawet nie znalazł się w tym samym pomieszczeniu co on. Osobiście uważał go za szaleńca i potwora, który doprowadził Niemcy na skraj katastrofy. Mimo to, ku swemu zdziwieniu, nie mógł się doczekać tego spotkania i z niepojętych przyczyn chciał wywrzeć pozytywne wrażenie. Żałował, że nie ma przyjemniejszego brzmienia głosu. Żeby się uspokoić, palił papierosa za papierosem — i w samolocie z Berlina, i teraz, w samochodzie. W końcu Canaris poprosił, żeby zgasił to cholerstwo, bo jamniki się duszą. Leżały u stóp Vogla, dwie spalone parówki, łypiące na niego ślepiami. Vogel uchylił okno i cisnął niedopalek w wirujące płatki śniegu,

Limuzyna zatrzymała się na pierwszym punkcie kontrolnym Wilczego Szańca Hitlera. Czterech esesmanów dopadło wozu, otworzyli maskę i bagażnik, wsunęli pod spód lusterka, żeby sprawdzić podwozie. W końcu machnęli, że można jechać. Wkrótce samochód dotarł do obozu. Mimo późnego popołudnia połacie śniegu wśród drzew skrzyły się w blasku reflektorów. Strażnicy z owczarkami alzackimi patrolowali ścieżki.

Mercedes ponownie się zatrzymał i znowu opadli go esesmani. Tym razem zrewidowali pasażerów. Kazali wysiąść i przeszukali ich. Voglem wstrząsnął widok Wilhelma Canarisa, szefa niemieckiego wywiadu, który stoi

z podniesionymi rękami, podczas gdy esesman go obmacuje jak jakiegoś pospolitego pijacznę.

Strażnik zażądał teczki Vogla i kapitan niechętnie mu ją podał. Znajdowały się w niej zdjęcia dokumentu aliantów wraz ze wstępną analizą pracowników technicznych Abwehry. Esesman zanurzył rękę, sprawdzając, czy w walizce nie ma broni albo środków wybuchowych. Uspokojony oddał ją Voglowi.

Vogel przyłączył się do Canarisa i obaj bez słowa ruszyli ku schodom prowadzącym w głąb bunkra. Dwa zdjęcia Vogel zostawił w Berlinie, zamknięte w szafce: fotografie listu. To była jej dłoń. Vogel rozpoznał nierówną szramę na kciuku. Był rozdarty w sobie. Spełnić jej prośbę i wyciągnąć z Anglii czy zostawić ją na miejscu? Podejrzewał, że decyzja zostanie podjęta za niego.

Kolejny esesman czekał przy schodach, na wypadek gdyby goście führera jakimś cudem zdołali się uzbroić w trakcie krótkiego spaceru po obozie. Canaris i Vogel stanęli, poddając się kolejnej rewizji.

Canaris spojrział na Vogla.

— Witaj w obozie Paranoja — powiedział.

Canaris z Voglem przybyli jako pierwsi.

— Pal teraz, póki się nie zjawi hodowca drobiu — powiedział Canaris.

Vogel aż się skulił na tę uwagę. Pomieszczenie z pewnością było na podsłuchu. Przerzucając kartki, walczył z pragnieniem wypalenia papierosa.

Kapitan obserwował, jak jeden za drugim zjawiają się najpotężniejsi ludzie Trzeciej Rzeszy: reichsführer SS Heinrich Himmler, brigadenführer Walter Schellenberg, feldmarszałek Gerd von Rundstedt, feldmarszałek Erwin

Rommel oraz Hermann Goring.

Wszyscy wstali, kiedy do sali wkroczył Hitler, spóźniony dwadzieścia minut. Ubrany był w szare spodnie i czarną bluzę. Stał, nawet gdy wszyscy usiedli. Vogel przypatrywał mu się zafascynowany. Posiwiałe włosy, ziemista cera i zaczerwienione oczy. Cienie pod oczami rysowały się tak mocno, że wyglądały na siniaki. A mimo to promieniował niesamowitą energią. Przez dwie godziny dominował nad zebranymi, prowadząc konferencję na temat przygotowań do inwazji: badając, podważając i odrzucając informacje lub wnioski, które uważał za bezwartościowe. Dla Vogla nie ulegało wątpliwości, że Adolf Hitler wiedział równie dużo, co jego generałowie — jeśli nie więcej — o stanie swej armii na zachodzie. Zdumiewała uwaga, jaką zwracał na szczegóły. Chciał wiedzieć, czy w Calais jest o trzy mniej dział przeciwlotniczych niż w ubiegłym tygodniu. Żądał szczegółowych informacji o rodzaju cementu, z którego sporządzono Wał Atlantycki, oraz dokładnej grubości fortyfikacji.

Wreszcie, gdy konferencja dobiegała końca, zwrócił się do Canarisa:

— Mówiono mi, że Abwehra odkryła kolejne informacje, które mogą rzucić światło na zamiary wroga.

— Szczerze powiedziawszy, *mein Führer*, operacja ta od początku do końca stanowi dzieło kapitana Vogla. Niech on sam przedstawi swoje odkrycia.

— Świetnie — odparł Hitler. — Kapitanie Vogel? Vogel nie wstał z krzesła.

— *Mein Führer*, dwa dni temu jeden z naszych najlepszych agentów w Londynie wszedł w posiadanie pewnych dokumentów. Jak już wiadomo, odkryliśmy, że nieprzyjaciel rozpoczął akcję pod nazwą operacja *Mulberry*. W oparciu o te nowe dokumenty możemy bliżej

określić, na czym ona polega.

— Bliżej? — powtórzył Hitler, odchylając głowę. —
Więc nadal zgadujecie, tak, kapitanie?

— Mógłbym kontynuować, *mein Führer!*

— Owszem, ale dzisiejszego wieczoru nie grzeszę
cierpliwością.

— Dowiedzieliśmy się znacznie więcej o olbrzymich
konstrukcjach z betonu i stali, które buduje się w różnych
punktach Anglii. Wiemy już, że noszą nazwę Phoenixów.
Jak również, że z nadejściem inwazji zostaną przeciągnięte
przez kanał La Manche i zatopione na francuskim
wybrzeżu.

— Zatopione? A w jakimż to celu, kapitanie Vogel?

— Od dwudziestu czterech godzin nasi technicy tkwią
nad dokumentami skradzionymi w Londynie. W każdej z
tych podwodnych konstrukcji mieszczą się kwatery dla
załogi i duże działo przeciwlotnicze. Niewykluczone, że
nieprzyjaciel zamierza stworzyć na wybrzeżu olbrzymi
kompleks przeciwlotniczy, który dodatkowo osłoni jego
oddziały w czasie inwazji.

— Niewykluczone — powtórzył Hitler. — Ale po co
zadawać sobie tyle trudu i budować struktury
przeciwlotnicze? Wszystkie wasze raporty wykazują, że
Brytyjczykom brak surowców: stali, cementu, aluminium.
Od miesięcy mnie o tym zapewniacie. Churchill przez tę
swoją głupią wojnę doprowadził Anglików do bankructwa.
Dlaczego więc mieliby marnować bezcenne surowce na taki
projekt? — Hitler odwrócił się i zmierzył wzrokiem
Göringa. — Poza tym, obawiam się, musimy założyć, że w
czasie inwazji wróg będzie miał przewagę nad naszym
lotnictwem. — Znowu popatrzył na Vogla. — Czy macie
jeszcze jakieś teorie, kapitanie?

— Owszem, *mein Führer*. To na razie tylko pewne

przypuszczenia, tylko wstępne dane, możliwe do zinterpretowania na bardzo różne sposoby.

— Proszę je przedstawić — warknął Hitler.

— Jeden z naszych analityków uważa, że te konstrukcje mogą stanowić element swego rodzaju sztucznego portu. Budowli, które można by przygotować w Wielkiej Brytanii, przetransportować przez kanał i ustawić na francuskim wybrzeżu w ciągu pierwszych godzin inwazji.

Zaintrygowany Hitler znowu zaczął krążyć po sali.

— Sztuczny port? Czy coś takiego jest w ogóle wykonalne? Himmler delikatnie odchrząknął.

— Może pańscy ludzie niewłaściwie interpretują informacje przekazane przez agenta, kapitanie Vogel. Dla mnie ten pomysł ze sztucznym portem brzmi mało prawdopodobnie.

— Nie, *Herr Reichsführer* — wpadł mu w słowo Hitler.

— Moim zdaniem kapitan Vogel mógł trafić na dobry trop.

— Zaczął ciskać się po sali. — Sztuczny port! Wyobraźcie sobie arogancję, tupet takiego projektu! Widzę w tym rękę tego szaleńca Churchilla!

— *Mein Führer* — odezwał się z wahaniem Vogel — sztuczny port to tylko jedno z możliwych zastosowań tych betonowych konstrukcji. Ostrzegałbym przed wyciąganiem pochopnych wniosków z tych pierwszych danych.

— Nie, kapitanie Vogel, zaintrygowała mnie pańska teoria. Rozważmy ją, choćby na zasadzie sztuka dla sztuki. Jeśli nieprzyjaciel rzeczywiście zamierza budować coś tak skomplikowanego jak sztuczny port, to gdzie by go umieścił? Von Rundstedt, ty pierwszy.

Stary feldmarszałek wstał, podszedł do mapy i postukał w nią buławą.

— Z analizy nieudanego ataku wroga na Dieppe w

czterdziestym drugim roku można wyciągnąć ceną naukę. Pierwszym i głównym celem nieprzyjaciela było zdobycie, a potem jak najszybsze otwarcie portu. Oczywiście, nie udało mu się. Nieprzyjaciel wie, że będziemy się starać jak najdłużej blokować mu dostęp do portów, a gdy przyjdzie je oddać, wcześniej je zniszczymy. W takiej sytuacji przyjąłbym za całkiem możliwe, że wróg przygotowuje w Anglii konstrukcje, które umożliwiłyby mu szybsze otwarcie portów. Moim zdaniem to dość logiczne. Jeśli tak, a podkreślam, że kapitan Vogel i jego współpracownicy nie zdobyli na to jeszcze dowodów, to nadal uważam, że chodzi o Calais. Inwazja w Calais tak z militarne go, jak i ze strategicznego punktu widzenia wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Nie można tego odrzucić.

Hitler uważnie wysłuchał, po czym zwrócił się do Vogla:
— Co pan sądzi o opinii feldmarszałka, kapitanie?

Vogel podniósł wzrok. Von Rundstedt mierzył go lodowatym spojrzeniem. Kurt wiedział, że musi się popisać dyplomacją.

— Argumenty marszałka von Rundstedta są bardzo przekonujące. — Zawiesił głos, podczas gdy feldmarszałek skinął głową. — Ale z czysto teoretycznego punktu widzenia, chciałbym przedstawić również inne rozwiązanie.

— Mianowicie?

— Jak wskazał pan feldmarszałek, nieprzyjaciel potrzebuje portów, żeby móc szybko dostarczać niezbędnego do inwazji sprzętu. Szacujemy, że pierwsza faza operacji wymagałaby co najmniej dziesięciu tysięcy ton sprzętu dziennie. Wszystkie porty w Pas— de— Calais wchłonęłyby tak olbrzymie transporty, choćby Calais, Boulogne czy Dunkierka. Ale, jak zauważył feldmarszałek von Rundstedt, nieprzyjaciel zdaje sobie sprawę, że

zniszczyliśmy te porty przed oddaniem ich w jego ręce. Wie również, że na ich obronę skierujemy olbrzymie siły. Bezpośredni atak na którykolwiek z nich zbyt wiele by go kosztował.

Vogel zauważył, że Hitler się rozprasza, traci cierpliwość. Skrócił wywód.

— W Normandii jest szereg niewielkich portów rybackich, w których brak sprzętu i przestrzeni do przyjęcia tak ciężkiego i potężnego ekwipunku. Nawet Cherbourg mógłby się okazać za mały. Musimy pamiętać, że zaprojektowano go jako port pasażerski dla transoceanicznych liniowców, a nie do przeladunku towarów.

— Więc, kapitanie Vogel? — dość ostro przerwał Hitler.

— *Mein Führer*, a gdyby tak wróg mógł dostarczać sprzęt i wyposażenie na otwarte plaże zamiast do portów? Gdyby mu się to powiodło, nie musiałby atakować naszych najsilniejszych punktów obrony, wylądowałby na słabiej strzeżonych plażach

Normandii i próbował dostarczać sprzęt, wykorzystując do tego celu sztuczny port.

W oczach Hitlera pojawił się błysk. Najwyraźniej zaciekawiała go teoria Vogla.

Feldmarszałek Erwin Rommel kręcił głową.

— Scenariusz przedstawiony przez pana, kapitanie, równałby się katastrofie. Nawet wiosną lądowaniu nad kanałem La Manche towarzyszy ogromne ryzyko: deszcze, silne wiatry, duża fala. Mój sztab przeanalizował warunki pogodowe. Jeśli oprzemy się na historii, to przekonamy się, że wróg może liczyć na najwyżej trzy— , czterodniowe pasmo dobrej pogody. Gdyby próbował zgromadzić swoje wojska na otwartej plaży, bez portu, bez falochronów,

byłby zdany na łaskę i niełaskę natury. Żadne zaś przenośne urządzenia, nawet najgenialniej skonstruowane, nie wytrzymają wiosennych sztormów na kanale La Manche.

— Frapująca dyskusja, panowie — przerwał Hitler — ale dość. Nie ulega wątpliwości, że pański agent, kapitanie, musi zdobyć więcej informacji na temat tego przedsięwzięcia. Zakładam, że jest nadal na miejscu?

Vogel znowu poruszał się po słabym gruncie.

— Tu się pojawia problem, *mein Führer*. Agent czuje, że brytyjski wywiad zaczyna go osaczać. Niewykluczone, że nie będzie mógł dłużej pozostać w Anglii.

Po raz pierwszy odezwał się Walter Schellenberg:

— Kapitanie Vogel, równocześnie nasze źródło w Londynie twierdzi coś zgoła przeciwnego: że Brytyjczycy wiedzą o przecieku, lecz nie potrafią go zlokalizować. Pański agent przesadza z tym zagrożeniem.

Zarozumiały dupek! A cóż to za wspaniałe źródło SD ma w Londynie? — pomyślał Vogel.

— Rzeczony agent — powiedział na głos — jest wysoko wykwalifikowany i niezwykle inteligentny. Moim...

— Chyba nie twierdzi pan — wpadł mu w słowo Himmler — że źródło brigadenführera Schellenberga jest mniej wiarygodne od pańskiego, kapitanie?

— Z całym szacunkiem, nie mogę ocenić wiarygodności źródła brigadenführera.

— Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, kapitanie — odparł Himmler. — Ale chyba się pan zgodzi, że pański agent winien pozostać na miejscu, dopóki nie poznamy prawdy o tych betonowych konstrukcjach?

Vogel znalazł się w pułapce. Nie zgodzić się z Himmlerem równało się podpisaniu na siebie wyroku śmierci. Mogą sfabrykować dowody zdrady i udusić go

struną od fortepianu, tak jak to zrobili z innymi. Pomyślał o Gertrudzie i córkach. Barbarzyńcy i na nich by się zemścili. Ufał instynktowi Anny, ale wyciągnięcie jej teraz to samobójstwo. Nie pozostawiono mu wyboru. Anna zostanie w Londynie.

— Tak, zgodzę się, *Herr Reichsführer*.

Himmler zaprosił Vogla na spacer po obozie. Zapadła noc. Poza kręgiem światła las tonął w ciemnościach. Znak ostrzegał przed zboczeniem ze ścieżek — poza nimi teren był zaminowany. Wiatr kołysał czubkami drzew. Vogel usłyszał ujadanie psa. Trudno było określić, z jak daleka dobiegało, gdyż śnieg tłumił wszelkie odgłosy. Panował przenikliwy mróz. Podczas pełnego napięcia spotkania Vogel pocił się jak mysz. Teraz, w chłodnym powietrzu, miał wrażenie, że odzież przymarzła mu do ciała. Marzył o papierosie, ale nie chciał po raz drugi tego samego dnia rozdrażnić Himmlera. Kiedy w końcu reichsführer się odezwał, mówił prawie niesłyszalnym szeptem. Vogel zastanawiał się, czy można umieścić podsłuch w lesie.

— Imponujące osiągnięcie, kapitanie Vogel. Należy się panu pochwała.

— Jestem zaszczycony, *Herr Reichsführer*.

— Pański agent w Londynie to kobieta. Vogel milczał.

— Zawsze miałem wrażenie, że admirał Canaris nie ufa agentkom. Uważał, że kobiety zbyt łatwo ulegają uczuciom i brak im obiektywizmu niezbędnego w konspiracji.

— Zapewniam pana, *Herr Reichsführer*, że rzeczona agentka nie ma żadnej z tych wad.

— Przyznam, że i we mnie budzi pewien niesmak praktyka umieszczania agentek poza linią wroga. SOE

nalega, żeby wysyłać kobiety do Francji. Jednak aresztowane czeka ten sam los co mężczyźni. Wystawianie kobiet na takie męczarnie wydaje mi się, łagodnie mówiąc, godne pożałowania.

Umilkł. Drżał mu mięsień policzka. Głęboko wdychał mroźne powietrze.

— Pańskie osiągnięcie budzi tym większy podziw, że udało się to panu mimo obecności admirała Canarisa.

— Chyba nie rozumiem, co pan na ma myśli, *Herr Reichsführer*.

— Mam na myśli, że dni admirała w Abwehrze są policzone. Już od jakiegoś czasu nie jesteśmy zadowoleni z jego postępów. Najłagodniej rzecz ujmując, jest co najmniej niekompetentny. A jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, również zdradza führera.

— *Herr Reichsführer*, nigdy... Himmler przerwał mu machnięciem ręki.

— Wiem, że czuje pan się zobowiązany do swoistej lojalności względem admirała. W końcu to jemu pan *zawdzięcza* szybki awans w Abwehrze. Lecz nic, co pan powie, nie zmieni mego zdania na temat Canarisa. I rada dla roztropnego: lepiej uważać, jeśli się rusza z pomocą tonącemu. Można razem z nim pograć się w otchłani.

Vogel był zdumiony. Nic nie odpowiedział. Szczekanie psa najpierw się oddaliło, potem ucichło. Powiał silniejszy wiatr, strząsnął śnieg z drzew i zasypał ścieżkę, zacierając granicę z lasem. Vogel zastanawiał się, jak blisko umieszczono miny. Odwrócił się i zobaczył dwóch esesmanów, zmierzających za nimi bezszelestnie.

— Mamy teraz luty — podjął Himmler. — Z dużym prawdopodobieństwem mogę przepowiedzieć, że admirał Canaris już niedługo będzie zdymisjonowany, może nawet pod koniec miesiąca. Zamierzam skupić w swoich rękach

kontrolę nad siłami bezpieczeństwa i agencjami wywiadowczymi w Niemczech, w tym także i Abwehrą.

Abwehra pod kontrolą Himmlera? — pomyślał Vogel. Roześmiałby się, gdyby nie to, że Himmler mówił poważnie.

— Nie ulega wątpliwości, że posiada pan duży talent — ciągnął Himmler. — Chcę, żeby pan pozostał w Abwehrze. I oczywiście wysoko awansował.

— Dziękuję, *Herr Reichsführer*. — Jakby ktoś inny wypowiedział za niego te słowa.

Himmler stanął.

— Jest zimno. Powinniśmy wracać.

Minęli ochroniarzy, którzy odczekali, aż Himmler i Vogel znajdą się poza zasięgiem słuchu, nim ponownie cicho za nimi ruszyli.

— Cieszę się, że osiągnęliśmy porozumienie w kwestii pozostawienia agentki na miejscu — odezwał się po chwili Himmler. — Moim zdaniem to dość ostrożny ruch. A poza tym, panie Vogel, nie należy dopuszczać, by uczucia zaćmiewały nasz osąd.

Vogel zatrzymał się i popatrzył Himmlerowi w oczy.

— Co ma pan na myśli?

— Proszę mnie nie traktować jak głupca — odparł Himmler. — W tym tygodniu Schellenberg spędził parę dni w Madrycie, w zupełnie innej sprawie. Spotkał tam pańskiego przyjaciela, niejakiego Emilia Romero. *Senor* Romero powiedział Schellenbergowi wszystko o pańskiej najcenniejszej zdobyczy.

Bodajby Emilia szlag trafił! — pomyślał Vogel. — Po co gadał z Schellenbergiem! Czy ten Himmler musi wtykać nos w nie swoje sprawy?

Esesmani musieli wyczuć napięcie, bo bezszelestnie podeszli bliżej.

— O ile mi wiadomo, jest bardzo piękna — podjął

Himmler. — Zapewne trudno się było rozstać z taką kobietą. Zapewne kusi pana, żeby ją sprowadzić do domu i mieć tylko dla siebie. Ale ona ma zostać w Anglii, czy to jasne, kapitanie Vogel?

— Tak, *Herr Reichsführer*.

— Schellenberg ma swoje wady: arogancję, zamiłowanie do kiczu, no i ta obsesja na punkcie pornografii... — Himmler wzruszył ramionami. — Ale to inteligentny i bystry oficer wywiadu. Wiem, że dobrze wam się będzie razem pracować.

Himmler gwałtownie się odwrócił i odszedł. Vogel stał samotnie, trzęsąc się z zimna od stóp do głów.

— Źle wyglądasz — odezwał się Canaris, gdy Vogel wrócił do samochodu. — Ja też zwykle tak się czuję po rozmowach z hodowcą drobiu. Ale muszę się pochwalić, że lepiej od ciebie to ukrywam.

Przy samochodzie coś zaskrobało. Canaris otworzył drzwiczki od swojej strony, psy wskoczyły do środka i ułożyły się u stóp Vogla. Canaris zastukał w szybę dzielącą ich od szofera. Silnik zawarczał i koła samochodu zachrzęściły na śniegu. Vogel poczuł ulgę, kiedy już mieli za sobą obóz i zanurzyli się w mroczny las.

— Mały kapral był dziś z ciebie ogromnie dumny, Kurt — powiedział Canaris z pogardliwą nutką. — A co z Himmlerem? Czy podczas tej przechadzki wbiłeś mi nóż w plecy?

— Panie admirale...

Canaris pochylił się i położył Voglowi dłoń na ramieniu. W jego błękitnych oczach pojawił się wyraz, jakiego kapitan do tej pory nie widział.

— Uważaj, Kurt — ostrzegł. — Podjąłeś niebezpieczną

grę. Bardzo niebezpieczną grę.

**To powiedziawszy, Canaris ułożył głowę na oparciu,
przymknął oczy i natychmiast zasnął.**

Rozdział dziewiąty

Londyn

Operację pospiesznie ochrzczono *Kettledrum* — Kocioł. Kto i dlaczego wybrał taki kryptonim, Vicary nie wiedział. Dowodzenie nią z ciasnego pokoiku przy St James's Street byłoby zbyt skomplikowane, więc Vicary wybrał sobie na kwaterę szacowny dom na West Halkin Street. W salonie urządzono punkt dowodzenia z dodatkowymi telefonami, zestawem do podsłuchu i olbrzymią mapą Londynu na ścianie. Bibliotekę na górze przerobiono na gabinet Vicary'ego i Harry'ego. Dom miał tylne wejście dla obserwatorów i solidnie zaopatrzoną spiżarnię. Maszynistki zgłosiły się do gotowania i gdy Vicary zjawił się wczesnym wieczorem w swojej nowej kwaterze, uderzył go zapach pieczonego tosta z bekonem i gulaszu jagnięcego pyrkoczącego na ogniu.

Obserwator zaprowadził go na górę do biblioteki. W kominku płonął ogień. Powietrze było suche i ciepłe. Vicary wyplątał się z przemoczonego płaszcza, powiesił go na wieszaku, a wieszak na haku na drzwiach. Któraś z dziewcząt zostawiła dla niego pełny imbryk. Nalał sobie herbaty. Padał z nóg. Po przesłuchaniu Jordana spał krótko; nadzieje, że zdrzemnie się w drodze powrotnej, rozwiął Boothby, który zaproponował, żeby wrócili jednym samochodem i pogawędzili.

Całkowitą kontrolę nad operacją *Kettledrum* sprawował Boothby. Vicary'emu zlecono pilnowanie Jordana, odpowiadał też za obserwację Catherine Blake. Równocześnie miał spróbować znaleźć pozostałych agentów siatki i odkryć, w jaki sposób kontaktują się z Berlinem. Boothby przyjął funkcję łącznika z Komitetem

Dwadzieścia, międzywydziałową grupą, kontrolującą całą działalność i siatkę podwójnych agentów. Nazwa wzięła się stąd, że takich agentów oznaczano podwójnym X, które można odczytać też jako rzymską dwudziestkę. Boothby wraz z komitetem miał przygotowywać specjalnie opracowane dokumenty do teczki Jordana i skoordynować operację *Kettledrum* z działalnością siatki podwójnych szpiegów oraz operacją *Bodyguard*. Vicary nie pytał, jakie mylące informacje znajdują się w teczce Jordana, a Boothby go nie poinformował. Profesor wiedział, co to oznacza. Odkrył istnienie nowej niemieckiej siatki szpiegowskiej i odnalazł Jordana, źródło przecieku. Teraz jednak zepchnięto go na drugi plan. Boothby objął pełne dowodzenie.

— Niezła chatka — odezwał się Harry, wchodząc do pokoju. Nalał sobie herbaty i stanął tyłem do kominka, żeby ogrzać plecy. — Gdzie jest Jordan?

— Na górze. Śpi.

— Skończony głupek — stwierdził Harry przyciszonym głosem.

— Nie zapominaj, że od tej pory my odpowiadamy za tego skończonego głupka. Co znalazłeś?

— Odciski palców.

— Co?

— Odciski palców. Świeże odciski palców, bynajmniej nie należące do Petera Jordana, w środku sejfu. Na biurku. Na sejfie. Jordan twierdzi, że zabronił sprzątacze ruszać gabinetu. Należy więc założyć, że owe odciski zostawiła Catherine Blake.

Vicary wolno pokręcił głową.

— Już wyszykowaliśmy mieszkanie Jordana — ciągnął Harry. — Tak je nafaszerowaliśmy mikrofonami, że usłyszysz pierdzącą mysz. Eksmitowaliśmy rodzinę z

naprzeciwka i przyszykowaliśmy tam sobie punkt obserwacyjny. Widok idealny. Każdy, kto się zbliży do domu, będzie miał fotkę.

— A co z Catherine Blake?

— Na podstawie numeru telefonu znaleźliśmy adres na Earl's Court. Przejęliśmy mieszkanie w budynku vis— à— vis.

— Dobra robota, Harry.

Harry przez dłuższą chwilę przypatrywał się zwierchnikowi.

— Nie obraż się, Alfredzie, ale wyglądasz koszmarnie.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem. Co cię trzyma na nogach?

— Kilka benzedryn i niezliczone ilości herbaty.

— Przekaszę coś, a potem spróbuję zasnąć. A co z tobą?

— Cóż, wieczór mam już zajęty.

— Grace Clarendon?

— Zaprosiła mnie na kolację. Pomyślałem, że skorzystam z okazji. Podejrzewam, że w ciągu najbliższych paru tygodni nie będziemy mieli dużo wolnego czasu. Vicary wstał i nalał sobie znów herbaty.

— Harry, nie chciałbym wykorzystywać twojego związku z Grace, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym jej poprosić o przysługę. Chciałbym, żeby dyskretnie sprawdziła w archiwum parę nazwisk i zobaczyła, co z tego wyniknie.

— Poproszę ją. O jakie nazwiska ci chodzi?

Vicary wziął filiżankę, podszedł do kominka i stanął obok Harry'ego.

— Peter Jordan, Walker Hardegen i coś lub ktoś ukrywający się pod nazwiskiem Brum.

Grace nigdy nie lubiła jeść, zanim się kochali. Po wszystkim Harry leżał w jej łóżku, paląc papierosa, słuchając płyty Glenna Millera i odgłosów jej krzątania w maleńkiej kuchni. Wróciła do sypialni po dziesięciu minutach. Miała na sobie szlafrok luźno związany w szczupłej talii i niosła tacę z ich kolacją: zupą i chlebem. Harry usiadł, Grace naprzeciwko niego, między nimi leżała taca. Grace podała mu talerz. Dochodziła północ i oboje konali z głodu. Harry nie mógł oderwać oczu od kochanki. Prosty posiłek zdawał się jej sprawiać taką rozkosz! A szlafrok tak cudownie się rozchyłał, odsłaniając jędrne, doskonale ukształtowane ciało.

Zauważyła, że jej się przygląda.

— O czym pan myśli, Harry Daltonie? — spytała.

— O tym jak bardzo bym chciał, żeby to się nigdy nie skończyło. I jak bardzo bym pragnął móc w ten sposób spędzać wszystkie wieczory mego życia.

Jej twarz spoważniała; nie potrafiła ukrywać uczuć. Kiedy była szczęśliwa, cała się rozświećlała. A gdy była zła, jej zielone oczy pochmurniały. W chwilach smutku zaś — tak jak teraz — sztywniała.

— Nie wolno ci mówić takich rzeczy, Harry. To wbrew regułom gry.

— Wiem, że to wbrew regułom gry, ale to prawda.

— Czasem lepiej prawdę trzymać przy sobie. Nie wypowiedziana na głos nie boli tak bardzo.

— Grace, chyba się w tobie... Rąbnęła łyżką o tacę.

— Chryste, Harry! Nie mów takich rzeczy! Czasem tak cholera—

nie wszystko komplikujesz. Najpierw mówisz, że nie możesz się ze mną spotykać, bo czujesz się winny, a teraz, że się we mnie zakochałeś.

— Przepraszam, Grace. To po prostu prawda. Sądziłem, że zawsze możemy być wobec siebie szczerzy.

— Dobra. Więc będziesz miał prawdę. Jestem żoną cudownego człowieka, bardzo mi drogiego, którego nie chcę skrzywdzić. Ale po uszy zakochałam się w pewnym policjancie przerobionym na łowcę szpiegów, jakimś Harrym Daltonie. I gdy ta przekłeta wojna się skończy, będę musiała z nim zerwać. A ilekroć to dopuszczam do świadomości, to boli jak ciężka cholera. — Jej oczy zasnuła mgielka. — A teraz zamknij się, Harry, i dokończ zupę. Proszę. Rozmawiajmy o czymś innym. Cały dzień tkwię w tym koszmarnym archiwum, a za całe towarzystwo mam Jago z jego diabelną fajką. Chcę wiedzieć, co się dzieje w prawdziwym świecie.

— Zgoda. Chciałbym cię poprosić o przysługę.

— Jakiego rodzaju? — Zawodową.

Posłała mu szatański uśmiezek.

— Niech to szlag, miałam nadzieję, że chodzi o coś związanego z seksem.

— Chciałbym, żebyś dyskretnie przejrzała kilka nazwisk w archiwum. Zobacz, czy nie znajdziesz czegoś interesującego.

— Jasne. O kogo chodzi? Harry podał jej nazwiska.

— Dobra, zobaczę, co się da zrobić.

Dojadła zupę, oparła się o poduszki i obserwowała Harry'ego kończącego posiłek. Kiedy opróżnił talerz, zebrała naczynia i odstawiła tacę na podłogę przy łóżku. Zgasła światło i zapaliła świeczkę na szafce nocnej. Zdjęła szlafrok i kochała się z Harrym tak, jak nigdy przedtem: powoli, cierpliwie, jakby był ze szkła. Na moment nie odrywała wzroku od jego twarzy. A po wszystkim opadła na niego, zwiotczała, spocona. Czuł na szyi jej ciepły oddech.

- Chciałeś prawdy, Harry. Oto prawda.
- Muszę być z tobą szczery, Grace. Nie bolała.

Zaczął się następnego dnia, parę minut po dziesiątej, gdy z biblioteki na piętrze lokalu Vicary'ego przy West Halkin Street

Peter Jordan wykręcił numer mieszkania Catherine Blake. Przez dłuższy czas zapis tej minutowej rozmowy znajdował się na pierwszym miejscu pod względem liczby odtworzeń w historii służby wywiadowczej Imperium. Sam Vicary setki razy słuchał tego diabelstwa, dopatrując się w nim niedoskonałości niczym jubiler badający diamenty w poszukiwaniu skazy. To samo robił Boothby. Kopię nagrania kurier błyskawicznie dostarczył na St James's Street i przez godzinę nad drzwiami generała płonęło czerwone światło, podczas gdy on sam raz za razem odtwarzał rozmowę.

Za pierwszym razem Vicary słyszał tylko Jordana. Stał parę kroków od niego, grzecznie odwróciwszy się plecami, ze wzrokiem wbitym w ogień.

— Słuchaj, przepraszam, ale nie mogłem wcześniej zadzwonić. Byłem zajęty jak cholera. Wróciłem do Londynu dzień później i zupełnie nie miałem jak cię powiadomić.

Cisza, kiedy Catherine mówi, że nie musi się tłumaczyć.

— Bardzo za tobą tęskniłem. Bez przerwy o tobie myślałem. Cisza, kiedy Catherine mówi, że ona też strasznie tęskniła i nie może się doczekać, kiedy znowu się spotkają.

— I ja chcę się z tobą spotkać. Właściwie to właśnie w tej sprawie dzwonię. Zarezerwowałem stolik w „Mirabelle”. Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć czas na

lunch ze mną.

Cisza, kiedy Catherine mówi, że to wspaniały pomysł.

— Dobrze. W takim razie spotkamy się tam o pierwszej. Cisza, kiedy Catherine mówi, że bardzo go kocha.

— Ja też cię kocham, najmilsza.

Odłożywszy słuchawkę, Jordan popadł w zamyślenie. Obserwującemu go Vicary'emu przypomniał się Karl Becker i chandra, jaka go ogarniała, gdy nadał fałszywy komunikat pod jego dyktando.

Resztę ranka spędzili grając w szachy. Jordan grał z matematyczną precyzją; Vicary uciekał się do podstępów i zmyłek. W czasie gry słyszeli rozmowy obserwatorów i stukot maszynistek w pomieszczeniu na dole. Jordan bił Vicary'ego na głowę, więc profesor się poddał.

W południe Jordan przebrał się w mundur w swoim pokoju. Piętnaście po dwunastej wyszedł tylnym wejściem i wsiadł do furgonetki MI— 5. Vicary i Harry zajęli stanowiska na dole, w punkcie dowodzenia, podczas gdy Jordan mknął Park Lane niczym bardzo ważny więzień. Wprowadzono go bocznym wejściem do budynku SHAEF przy Blackburn Street. Przez następne sześć minut nikt z zespołu Vicary'ego go nie widział.

Jordan pojawił się w głównym wejściu SHAEF o 12.35. Przeszedł przez plac z teczką przykutą do ręki, po czym zniknął w drugim budynku. Tym razem nie było go dziesięć minut. Kiedy się ponownie wynurzył, już nie miał teczki. Z Grosvenor Square przeszedł do South Audley Street, a stamtąd na Curzon Street. Cały czas dyskretnie śledziła go trójka najlepszych obserwatorów Vicary'ego: Clive Roach, Tony Blair i Leonard Reeves. Żaden z nich nie zauważył, by komandora pilnował jeszcze ktoś inny.

Za pięć pierwsza Jordan dotarł do „Mirabelle”. Czekał

na chodniku, dokładnie tak jak mu kazał Vicary. Punktualnie o pierwszej przed restauracją zatrzymała się taksówka, z której wysiadła wysoka, przystojna kobieta. W czasie gdy Catherine Blake brała Jordana za rękę i całowała go w policzek, Ginger Bradshaw, najlepszy w wydziale fotograf, który przycupnął w służbowej furgonetce stojącej po drugiej stronie ulicy, pstryknął sześć zdjęć. Film natychmiast zawieszono na West Halkin Street, a zanim tamta para skończyła lunch, przed Vicarym leżało sześć odbitek.

Po wszystkim Blair winił siebie; Reeves mówił, że nie — to jego wina. Roach zaś, jako zwierzchnik, brał odpowiedzialność na swoje barki. Wszyscy trzej zgodnie twierdzili, że ta kobieta jest o niebo lepsza od wszystkich niemieckich agentów, z jakimi do tej pory mieli do czynienia: żaden nie sięgał jej do pięt. A gdyby popełnili błąd i za bardzo się zbliżyli, byliby spaleni.

Wyszedszy z „Mirabelle”, Catherine i Peter razem wrócili na Grosvenor Square. Zatrzymali się na południowo— zachodnim rogu i rozmawiali przez dwie minuty. Ginger Bradshaw zrobił kolejne zdjęcia, także i bardzo krótkiego pocałunku na do widzenia. Kiedy Jordan odszedł, Catherine wsiadła do taksówki. Blair, Roach i Reeves wskoczyli do furgonetki i jechali za taksówką do wschodniej części Regent Street. Następnie samochód skręcił na północ, w Oxford Street, gdzie Catherine zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła.

Później Roach nazwał jej marszrutę Oxford Street prawdziwą popisówką. Zatrzymała się przy co najmniej sześciu witrynach. Dwa razy schowała się w bramie, raz tak szybko, że Blair musiał czmychnąć do kawiarni, żeby na nią

nie wpaść. Przy Tottenham Court Road zeszła na stację metra, kupiła bilet do Waterloo. Roachowi i Reevesowi udało się wsiąść za nią do pociągu: Roach był parę metrów od niej w tym samym wagonie, Reeves w następnym. Kiedy drzwi się otworzyły na Leicester Square, tkwiła nieruchomo, jakby zamierzała jechać dalej. Nagle się podniosła i wysiadła zniecierpliwiona. Roach zdążył wyskoczyć przez zamykające się drzwi. Reeves utknął w pociągu: wypadł z gry.

Catherine wmieszała się w tłum na schodach i Roach na chwilę ją zgubił. Znalazłszy się na poziomie ulicy, szybko przeszła Charing Cross Road i z powrotem weszła na stację Leicester Square.

Roach przysięgłby, że widział, jak wsiadała do stojącego autobusu, i przez resztę popołudnia klął na siebie za taki głupi błąd. Popędził ulicą i wskoczył do autobusu, gdy ruszał z przystanku. Po dziesięciu sekundach Roach zorientował się, że wybrał nie tę kobietę. Wysiadł na najbliższym przystanku, zadzwonił na West Halkin Street i powiedział Vicary'emu, że zgubili Catherine.

— Clive Roach nigdy jeszcze nie zgubił żadnego niemieckiego szpiega — oświadczył Boothby, wściekłym wzrokiem mierząc raport leżący przed nim na biurku. Popatrzył na Vicary'ego. — Ten człowiek nie zgubiłby komara na bagnisku.

— Jest najlepszy. Ale ona jest po prostu cholernie dobra.

— Niech pan spojrzy: taksówka, długi spacer, żeby się upewnić, czy nie ma ogona. Wchodzi na stację, kupuje bilet do jednej, wysiada na innej.

— Jest wyjątkowo ostrożna. Dlatego wcześniej jej nie złapaliśmy.

— Istnieje również inne wytłumaczenie, Alfredzie. Możliwe, że wypatrzyła obstawę.

— Wiem. Brałem i to pod uwagę.

— A jeśli tak, to cała operacja wzięła w łeb, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. — Boothby postukał w cienką metalową walizkę, w której znajdowała się pierwsza porcja dokumentów sprokurowanych na potrzeby *Kettledrum*. — Jeśli ta kobieta wie, że ją śledzimy, a dostanie to, równie dobrze możemy opublikować tajemnicę inwazji wielkimi literami na pierwszej stronie *Daily Mail*. Będą wiedzieć, że chcemy ich wyprowadzić w pole. A jeśli będą wiedzieć, że ich oszukujemy, domyśla się, że przeciwieństwo to prawda.

— Roach jest przekonany, że Catherine go nie wypatrzyła.

— Gdzie ona teraz jest?

— U siebie.

— O której ma się spotkać z Jordanem?

— O dziesiątej, w jego mieszkaniu. Powiedział jej, że dziś długo pracuje.

— Jakie Jordan odniósł wrażenie?

— Powiedział, że nie zauważył zmiany w jej

zachowaniu, żadnego niepokoju ani napięcia. — Vicary zawiesił głos. — Dobry jest ten nasz komandor Jordan, cholernie dobry. Gdyby nie był takim doskonałym inżynierem, idealnie nadawałby się na szpiega.

Boothby grubym palcem postukał w walizeczkę.

— Jeśli zauważyła obstawę, dlaczego siedzi u siebie? Dlaczego nie włóczy ich po mieście?

— Może chce zobaczyć, co mieści się w tej walizce? — odparł Vicary.

— Jeszcze nie jest za późno, Alfredzie. Nie musimy robić tej całej akcji. Możemy zaarrestować tę kobietę już teraz i wymyślić inny sposób naprawienia szkody.

— Moim zdaniem popełnilibyśmy w ten sposób błąd. Nie znamy pozostałych agentów wplątanych w sprawę i nie wiemy, w jaki sposób kontaktują się z Berlinem.

Boothby zabębnił kostkami o walizkę.

— Nie spytał pan, co tam jest, Alfredzie.

— Nie chciałem usłyszeć kolejnego kazania o tym, co oficerowi wolno wiedzieć.

General parsknął śmiechem.

— Doskonale, uczy się pan. Rzeczywiście, nie musi pan wiedzieć, ale skoro to pan wpadł na ten błyskotliwy pomysł, powiem panu. Komitet Dwadzieścia chce przekonać Niemców, że *Mulberry* to konstrukcja przeciwlotnicza stworzona z myślą o Calais. W poszczególnych Phoenixach i tak znajdują się pomieszczenia dla załogi i działa przeciwlotnicze, więc całkiem nieźle to pasuje. Po prostu odrobinę zmienili rysunki.

— Genialne.

— Wpadli też na parę innych pomysłów, dzięki którym zdezorientują wroga i w innych kwestiach. Będzie się pan z nimi zapoznawał w miarę potrzeby.

— Rozumiem, sir Basilu.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, każdy wpatrując się w wybrany punkt w ścianie.

— Pana kolej, Alfredzie — odezwał się Boothby. — To pan kontroluje tę część operacji. Cokolwiek pan zaleci, może pan liczyć na moje poparcie.

Dlaczego się czuje, jakby mnie szykowano na ścięcie? — pomyślał Vicary. Nie ucieszyła go ta obietnica wsparcia. Wiedział, że w razie najmniejszych kłopotów Boothby błyskawicznie będzie szukał jakiejś mysiej nory. Najprościej byłoby aresztować Catherine Blake i postąpić za radą Boothby'ego: przeciągnąć ją na swoją stronę i zmusić do współpracy. Vicary nadal czuł, że to by się nie udało i że fałszywe materiały da się przesyłać przez Catherine Blake wyłącznie wówczas, gdy nie będzie tego świadoma.

— Pamiętam czasy, kiedy nie trzeba było podejmować takich decyzji — powiedział z zadumą Boothby. — A teraz jeden fałszywy krok i możemy przegrać wojnę.

— Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał — odparł Vicary. — Nie ma pan gdzieś tam w szufladzie szklanej kuli, sir Basilu?

— Niestety, nie.

— A co by pan powiedział na monetę?

— Alfredzie!

— Marna próba rozluźnienia atmosfery, sir Basilu. Boothby ponownie bębnił w teczkę.

— I jak brzmi pana decyzja, Alfredzie?

— Pozwólmy Catherine dalej działać.

— Modłę się, żeby się pan nie mylił, Alfredzie. Proszę mi podać rękę.

Vicary wysunął prawe ramię. Boothby przykuł mu do nadgarstka teczkę.

Pół godziny później Grace Clarendon stała na Northumberland Avenue, przestępując z nogi na nogę dla rozgrzewki, i patrzyła na mijające ją samochody. W końcu kiedy kierowca mrugnął ocienionymi reflektorami, zauważyła dużego, czarnego humbera Boothby'ego. Samochód podjechał do chodnika, Boothby otworzył tylne drzwiczki i Grace wskoczyła do środka.

Cała się trzęsła.

— Co za diabelny mróz! Mieliśmy się spotkać piętnaście minut temu. Nie wiem, dlaczego nie możemy tego zrobić po prostu w twoim gabinecie.

— Za dużo wścibskich nosów, Grace. Gra idzie o zbyt dużą stawkę.

Włożyła do ust papierosa, zapaliła. Boothby zamknął szybką dzielącą go od szofera.

— No i? Co dla mnie masz?

— Vicary chce, żebym poszukała w archiwum paru nazwisk.

— Dlaczego nie zwróci się wprost do mnie?

— Prawdopodobnie uważa, że mu ich nie dasz.

— Co to za nazwiska?

— Peter Jordan i Walker Hardegen.

— Sprytny łajdak — mruknął Boothby.

— Tak. Chciał, żebym poszukała czegoś o nazwie Brum.

— Gdzie?

— Gdzie się da. Wśród nazwisk twoich pracowników. Pseudonimów agentów. Niemieckich i angielskich. Kryptonimów akcji, bieżących i zamkniętych.

— Chryste Panie — powiedział Boothby. Odwrócił się i zapatrzył na jadące samochody. — Sam do ciebie z tym przyszedł czy przekazał przez Daltona?

— Przez Harry'ego.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

Boothby popatrzył na nią z uśmiechem.

— Grace, znowu byłaś niegrzeczną dziewczynką? Nie odpowiedziała, spytała tylko:

— Co mam mu powiedzieć?

— Że sprawdziłaś we wszystkich dostępnych indeksach i nie znalazłaś tam ani Jordana, ani Hardegena. To samo jeśli chodzi o Bruma. Zrozumiałaś mnie, Grace?

Skinęła głową.

— Nie miej takiej ponurej miny. Pomyśl o tym, że wnosisz olbrzymi wkład w bezpieczeństwo narodowe.

Spojrzała na niego, przymrużywszy z gniewu zielone oczy.

— Oszukuję kogoś bardzo mi drogiego. A to mi się nie podoba.

— To już niedługo się skończy. A wtedy zaproszę cię na miłą kolacyjkę, jak za dawnych dobrych czasów.

Odrobinę za mocno nacisnęła klamkę i wysunęła nogi.

— Dam ci się zabrać na bardzo drogą kolację, Basil. Ale to wszystko. Dawne dobre czasy zdecydowanie się skończyły.

Wysiadła, trzasnęła drzwiami i patrzyła, jak wóz Boothby'ego znika w mroku.

Vicary czekał w bibliotece na górze. Dziewczęta przynosiły mu kolejne raporty.

21.15 — w punkcie obserwacyjnym przy Earl's Court zauważono, jak Catherine Blake opuszcza mieszkanie. Zdjęcia w drodze.

21.17 — Catherine Blake idzie na północ, w stronę

Cromwell Road. Jeden obserwator ją śledzi. Oprócz tego pilnuje jej nasza furgonetka.

21.20 — Catherine Blake łapie taksówkę i rusza na wschód. Furgonetka zabiera obserwatora i jedzie za taksówką.

21.35 — Catherine Blake dociera do Marble Arch i wysiada z taksówki. Inny obserwator wysiada z furgonetki i rusza jej śladem.

21.40 — Catherine Blake łapie kolejną taksówkę na Oxford Street. Furgonetka omal jej nie gubi. Nie zdążyła zabrać obserwatora.

21.50 — Catherine Blake wysiada z taksówki przy Oxford Circus. Idzie na zachód, na Piccadilly. Nowy obserwator rusza jej śladem. Pilnuje jej furgonetka.

21.53 — Catherine Blake wskakuje do autobusu. Furgonetka jedzie za nim.

21.57 — Catherine Blake wysiada z autobusu. Wchodzi do Green Parku. Za nią udaje się jeden obserwator.

Po pięciu minutach do pokoju wszedł Harry.

— Zgubiliśmy ją w Green Parku — powiedział. — Dała nura w boczną alejkę, obserwator musiał iść dalej.

— W porządku, Harry, wiemy, dokąd zmierza.

Ale przez następne dwadzieścia minut nikt jej nie widział. Vicary zszedł na dół i nerwowo krążył po pokoju. Przez mikrofony słyszał, jak Jordan kręci się po mieszkaniu w oczekiwaniu na Catherine. Zauważyła obserwatorów? Dostrzegła furgonetkę? Ktoś na nią napadł w Green Parku? Spotyka się z drugim agentem? Próbuje uciec? Vicary usłyszał warkot wracającej furgonetki przed domem, potem ciche kroki pokonanych obserwatorów, którzy wchodzili do środka. Znowu ich wykiwała. W tej samej chwili zadzwonił Boothby. Kontrolował operację z gabinetu i żądał informacji, co, u licha, jest grane. Kiedy

Vicary mu powiedział, wybełkotał coś i rozłączył się.

Wreszcie zgłosił się punkt obserwacyjny przed domem Jordana.

22.25 — Catherine Blake zbliża się do drzwi mieszkania Jordana. Naciska dzwonek.

Akurat o tym nie musieli Vicary'ego informować, ponieważ w mieszkaniu Jordana umieszczono tak wiele mikrofonów, że dźwięk dzwonka zawył przez głośniki w punkcie dowodzenia niczym sygnał alarmu lotniczego.

Vicary zamknął oczy i słuchał. W miarę jak przechodzili z pokoju do pokoju, ich głosy to podnosiły się, to opadały, zależnie od zasięgu mikrofonów. Słuchającemu tych banałów Vicary'emu przypomniawszy się dialog z jednego z romansów Alice Simpson: „Jeszcze drinka? Nie, dziękuję. A może byś coś zjadł? Pewnie konasz z głodu. Nie, przekąsiłem coś wcześniej. Za to czegoś innego teraz rozpaczliwie pragnę”.

Słyszał, jak się całują. Próbował wychwycić w ich głosach fałszywą nutę. W domu po drugiej stronie ulicy umieścił grupę funkcjonariuszy, którzy tylko czekali na sygnał, w razie gdyby coś źle poszło i Vicary postanowił aresztować Catherine. Słuchał, jak Catherine mówi Jordanowi, jak bardzo go kocha, i ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że myśli o Helen. Przestali rozmawiać. Stukanie kieliszków. Szmer wody. Kroki na schodach. Cisza, kiedy przemieszczali się przez martwą strefę. Skrzyp łóżka Jordana uginającego się pod ciężarem dwojga ciał. Szelest zdejmowanych ubrań. Szepty. Vicary nasłuchiwał się dość.

— Idę na górę — zwrócił się do Harry'ego. — Zawołaj mnie, kiedy Catherine zajmie się dokumentami.

Clive Roach usłyszał to pierwszy, potem Ginger Bradshaw. Harry zasnął na kozetce, długie nogi przerzucił

przez oparcie. Roach wyciągnął rękę i uderzył go w podeszwę buta. Harry poderwał się i nasłuchiwał. Rzucił się na górę, omal nie wylamał drzwi biblioteki. Vicary przeniósł tu swoją połówkę z gabinetu. Spał, jak to miał w zwyczaju, przy zapalanej lampce, która mu świeciła prosto w twarz. Harry potrząsnął go za ramię. Vicary błyskawicznie się ocknął i spojrzał na zegarek. Druga czterdzieści pięć. Bez słowa zszedł za Harrym na dół. Już wcześniej bawił się zdobycznymi niemieckimi aparatami fotograficznymi i natychmiast rozpoznał ten dźwięk. Catherine Blake zamknęła się w gabinecie Jordana i szybko fotografowała pierwszą porcję dokumentów *Kettledrum*. Po chwili wszystko ucichło. Vicary usłyszał szelest składanych papierów i odgłos zamykania drzwiczek sejfu. Potem pstryknięcie wyłączanego światła, Catherine wróciła na górę.

Rozdział dziesiąty

Londyn

— Proszę, proszę, cóż za punktualność! — zaświergotał Boothby, otwierając tylne drzwiczki swego humbera. — Niech pan wsiada, Alfredzie, nim zamarznie tu pan na śmierć. Właśnie przedstawiłem najnowsze wydarzenia Komitetowi Dwadzieścia. Nie muszę chyba dodawać, że są uszczęśliwieni. Prosili, żebym przekazał pan gratulacje. Więc gratulacje, Alfredzie.

— Cóż, chyba wypada podziękować — odparł Vicary, równocześnie zastanawiając się, kiedy Boothby zdołał się spotkać z komitetem.

Dochodziła ledwie siódma rano, padało, było diabelnie zimno, Londyn spowijała bura poświata zimowego poranka. Samochód ruszył cichą ulicą. Vicary opadł na siedzenie, odchylił głowę i przymknął oczy, choć tylko na chwilę. Był śmiertelnie wyczerpany. Czuł zmęczenie we wszystkich kościach. Osiadło mu na piersi jak zapaśnik, ścisnęło głowę niczym obręczą. Po tym jak słuchał Catherine Blake fotografującą materiały *Kettledrum*, już nie spał. Co mu nie pozwalało zasnąć? Podniecenie, że tak genialnie oszukał wroga czy obrzydzenie, że musi to robić właśnie w ten sposób?

Vicary otworzył oczy. Kierowali się na wschód, przez Belgravia, Hyde Park Corner, Park Lane do Bayswater Road. Na ulicach było pusto, tu i ówdzie jakaś taksówka, jedna, dwie ciężarówki, samotni przechodnie, którzy przemykali chodnikiem jak niedobitki uciekające przed zarazą.

— O co tu w ogóle chodzi? — spytał Vicary, znowu przymykając oczy.

— Pamięta pan, jak mówiłem, że Komitet Dwadzieścia zastanawia się, czyby nie wykorzystać niektórych naszych podwójnych agentów do wzmocnienia wiarygodności *Kettledruml*

— Pamiętam — potwierdził Vicary.

Pamiętał też, że zdumiało go tempo, w jakim podjęto decyzję. Komitet Dwadzieścia sływał z biurokratycznej powolności. Każdy, co do jednego, komunikat przygotowany dla podwójnego agenta musiał zyskać aprobatę komitetu, nim można go było nadać do Niemiec. Czasem Vicary całymi dniami wyczekiwał na zgodę, żeby móc wysłać swój tekst przez siatkę Beckera. Skąd ta nagła mobilność?

Za bardzo był zmęczony, by szukać teraz wyjaśnienia. Ponownie zamknął oczy.

— Gdzie jedziemy?

— Na wschód. Dokładniej do Hoxton.

Vicary odrobinę uchylił powieki, po czym znowu zamknął oczy.

— Skoro udajemy do wschodniego Londynu, to dlaczego jedziemy na zachód Bayswater Road?

— Żeby się upewnić, czy nie śledzą nas funkcjonariusze innego wywiadu, wrogiego czy zaprzyjaźnionego.

— A kto może nas śledzić, sir Basilu? Amerykanie?

— Szczerze mówiąc, Alfredzie, to bardziej mnie niepokoją Rosjanie.

Vicary podniósł głowę i usiłował obrócić ją w stronę Boothby'ego, ale mu opadła na skórzane oparcie.

— Zażądałbym wyjaśnienia, ale jestem zbyt zmęczony.

— Za parę minut wszystko stanie się dla pana jasne.

— A czy tam będzie kawa? Boothby parsknął śmiechem.

— Tak, za to mogę ręczyć.

— Dobrze. Nie pogniewa się pan, jeśli skorzystam z okazji i zdrzemnę się na chwilę.

Zasnął, nim zdążył usłyszeć odpowiedź Boothby'ego.

Samochód gwałtownie zahamował. Drzemiący Vicary poczuł, jak głowa leci mu do przodu, potem znowu opada na oparcie siedzenia. Usłyszał metaliczny chrzęst otwieranych drzwiczek, uderzenie zimnego powietrza sieknęło go po twarzy. Nagle oprzytomniał. Spojrzał na lewo. Zaskoczyło go, że widzi tam Boothby'ego. Zerknął na zegarek.

Wielkie nieba, dochodzi ósma! Krążyli po ulicach Londynu przez godzinę. Kark go bolał od drzemki w niewygodnej pozycji: ze spuszczoną głową i brodą wpijającą się w mostek. W głowie mu pulsowało, potrzebował kofeiny i nikotyny. Oparł się i podciągnął do pozycji siedzącej. Wyjrzał przez okno: wschodni Londyn, Hoxton, paskudna wiktoriańska zabudowa przypominała fabrykę borykającą się z trudnymi czasami. Budynki po drugiej stronie były zniszczone przez bomby: tu dom, tam gruzowiska, znowu dom i kolejne zgliszcza — przywodziło to na myśl usta pełne zepsutych zębów.

— Niech się pan obudzi, Alfredzie — usłyszał głos Boothby'ego. — Jesteśmy na miejscu. A przy okazji, co takiego się panu śniło?

Vicary'ego ogarnął niepokój. Rzeczywiście, co mu się śniło? Czyżby mówił przez sen? Francja nie śniła mu się od... Od kiedy? Od kiedy namierzyli Catherine Blake. A może śniła mu się Helen? Wysiadając, poczuł falę zmęczenia i musiał się oprzeć o samochód. Boothby zdawał się tego nie dostrzegać, gdyż stał na chodniku, niecierpliwie spoglądając na podwładnego i brzęcząc drobnymi w

kieszeni. Deszcz rozpadał się na dobre. W tej ponurej okolicy wydawał się jeszcze zimniejszy. Podchodząc do Boothby'ego, Vicary głęboko wdychał ostre powietrze i natychmiast zrobiło mu się lepiej.

Boothby poprowadził go do wnętrza domu. Weszli na korytarz. Budynek widocznie wynajmowano, bo na jednej ze ścian wisiały metalowe skrzynki na listy. W głębi, na wprost wejścia, była klatka schodowa. Vicary puścił drzwi, które same się zamknęły, i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Wyciągnął rękę, szukając włącznika światła — gdzieś tutaj mu mignął. Namacał go, przekręcił — nic.

— Tu zaciemnienie traktuje się nieco poważniej niż w zachodnich dzielnicach Londynu — powiedział Boothby.

Vicary wyjął z kieszeni płaszcz latarkę. Dał ją Boothby'emu, który poprowadził ich na górę po drewnianych schodach.

Vicary nie widział prawie nic, tylko zarys szerokich barów zwierchnika i słabą smużkę światła latarki. Jego pozostałe zmysły natychmiast się wyostrzyły jak u ślepego. W nozdrza uderzyła go mieszanka obrzydliwych zapachów: uryny, starego piwa, środków dezynfekujących, jaj smażonych na starym tłuszczu. Potem usłyszał odgłosy: rodzic bijący dziecko, klóćca się para, inna para głośno kopulująca. Skądś dobiegł dźwięk organów i męskiego chóru. Najpierw pomyślał, że w pobliżu jest kościół, ale po chwili uświadomił sobie, że to BBC. Dopiero wtedy do niego dotarło, że dziś niedziela. *Kettledrum* i polowanie na Catherine Blake odarło go z poczucia czasu.

Dotarli na piętro. Boothby oświetlił korytarz. Światło latarki odbiło się w żółtawych ślepiach kościstego kota. Boothby ruszył w stronę głosu radia. Śpiew ucichł, zgromadzeni odmawiali Modlitwę Pańską. Boothby miał klucz. Włożył go do zamka i zanim wszedł do środka, zgasił

latarkę.

Pokoik był mały i zapuszczony: nie posłane łóżko, nie większe od połówki Vicary'ego w gabinecie MI— 5, maleńka wnęka kuchenna, gdzie na gazie pyrkotała kawa, niski stolik, przy którym nieruchomo tkwiło dwóch mężczyzn, słuchając radia. Obaj palili cuchnące gauloisy. Pomieszczenie wypełniał siny dym. Jedyne źródło światła stanowiło wąskie okno z widokiem na tył budynków z drugiej ulicy. Vicary podszedł do okna i wyjrzał na zaułek zasypany śmieciami. Dwóch chłopców podrzucało puszki i uderzało w nie kijami. Powiał wiatr, podrywając stare gazety, które załopotały w powietrzu niczym krążące mewy. Boothby nalewał przypaloną kawę do dwóch podejrzanych emaliowanych kubków. Dał jeden Vicary'emu, drugi zatrzymał dla siebie. Kawa była paskudna: gorzka, stęchła i za mocna, ale przynajmniej gorąca — i zawierała kofeinę.

Boothby skorzystał z wyszczerbionego kubka, aby przedstawić gospodarzy, najpierw wskazując nim w stronę starszego i roślejszego mężczyzny.

— Alfred Vicary, a to Pelikan. Nie nazywa się tak naprawdę, to jego pseudonim. Niestety, nie pozna pan jego prawdziwego nazwiska. Zresztą, ja sam nie wiem, czy je znam.

Ruchem kubka wskazał drugiego mężczyznę, siedzącego przy stole.

— A ten tu to Hawke. Ale to nie pseudonim, on się tak naprawdę nazywa. Hawke pracuje dla nas, prawda, Hawke?

Ale Hawke najmniejszym ruchem nie okazał, że słyszał Boothby'ego. Bardziej by do niego pasowało nazwisko

Tyczka albo Drąg, tak straszliwie był wychudzony. Tandetny wojenny garnitur wisiał na kościstych ramionach jak na wieszaku na kapelusze. Miał bladą cerę człowieka pracującego po nocach i pod ziemią. W jego blond włosach pojawiła się już siwizna, choć chłopak zapewne liczył sobie nie więcej lat niż studenci, których Vicary uczył na ostatnim semestrze. Swojego gauloisa trzymał na modłę francuską, między kciukiem i palcem wskazującym. Vicary'emu nie dawało spokoju poczucie, że już go kiedyś widział: może kiedy był w kantynie albo wychodził z archiwum z plikiem akt pod pachą? A może kiedy tajnym wejściem opuszczał gabinet Boothby'ego, tak jak Grace tamtego wieczoru? Hawke nie patrzył na Vicary'ego. Poruszył się tylko raz: gdy Boothby postąpił w jego stronę. Odchylił wtedy odrobinę głowę, zacisnął szczęki, jakby się spodziewał ciosu.

Potem Vicary przyjrzał się Pelikanowi. Pelikan mógł być pisarzem, ale równie dobrze i robotnikiem portowym; Niemcem, ale równie dobrze i Francuzem. Może to Polak — teraz było ich tu pełno. W przeciwieństwie do Hawke'a, Pelikan wytrzymał wzrok Vicary'ego, odpowiadając spokojnym, lekko rozbawionym spojrzeniem. Samych jego oczu Vicary nie mógł dostrzec: ukrywały się za bardzo grubymi szklami, odrobinę przydymionymi dla osłony przed ostrym światłem. Pod czarnym skórzanym płaszczem miał dwa swetry, szary golf i spłowiały beżowy, rozpinany, który wyglądał, jakby był udziergany przez jakąś troskliwą ciocię lub babcię o równie sokolim wzroku jak jego. Wypalił papierosa do końca, a potem złamanym paznokciem kciuka zgniótł niedopałek.

Boothby zdjął płaszcz, ściszył radio, po czym spojrział na Vicary'ego i spytał:

— I cóż? Od czego powinienem zacząć?

Hawke nie pracował „dla nas”, on pracował dla Boothby'ego.

Boothby znalazł ojca Hawke'a. Pracował z nim w Indiach. Służby bezpieczeństwa. Poznał młodego Hawke'a w Wielkiej Brytanii w 1935 roku, podczas lunchu w siedzibie rodu w Kencie. Młody Hawke pił i za dużo gadał, obrzucał obelgami dzieło ojca i Boothby'ego, cytował Marksa i Lenina, jakby to był Szekspir, pogardliwym wymachiwaniem ramion ogarniał cudowne ogrody, jakby świadczyły one o zepsuciu brytyjskiej klasy rządzącej. Po lunchu ojciec Hawke'a uśmiechnął się bezsilnie do Boothby'ego, przepaszając za oburzające zachowanie potomka. Dzisiejsza młodzież... Sam wiesz... Bzdury, których ich uczą w szkole... Pieniądze wydane na drogę szkoły wyrzucone w błoto.

Boothby też się uśmiechnął. Od bardzo dawna szukał takiego kogoś jak Hawke.

Boothby'emu zlecono nowe zadanie: mieć oko na komunistów. Zwłaszcza na uniwersytetach, szczególnie w Cambridge i Oksfordzie. Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii, miłośnie wspierana i zachęcana przez mocodawców z Rosji, działała na uczelniach w poszukiwaniu narybku. NKWD szukała szpiegów. Hawke zgodził się pracować dla Boothby'ego w Oksfordzie. Boothby uwiódł Hawke'a. Nadał kierunek jego pozbawionemu kierunkowi sercu. Boothby to potrafił. Hawke trzymał z komunistami: pił z nimi, kłócił się z nimi, grał z nimi w tenisa, cudzołożył. A kiedy zgłosiła się do niego partia, powiedział, żeby się od niego odpieprzyli.

Wtedy przyszedł do niego Pelikan.

Hawke zawiadomił Boothby'ego. Hawke był dobrym chłopcem.

Pelikan był Niemcem, żydem i komunistą. Boothby natychmiast dostrzegł korzystne strony tego faktu. Pelikan aktywnie działał w Berlinie w latach dwudziestych, ale po dojściu do władzy Hitlera doszedł do wniosku, że lepiej poszukać bezpieczniejszego łądu. W 1933 roku emigrował do Anglii. NKWD znała Pelikana z jego berlińskich czasów. Dowiedziawszy się, że osiadł w Anglii, skaptowała go jako agenta. Miał się zajmować jedynie wyszukiwaniem talentów, żadnej poważnej roboty. Pierwszym upatrzonym przez niego agentem był człowiek Boothby'ego, Hawke. W czasie następnego spotkania Hawke'a i Pelikana jak spod ziemi wyrósł Boothby i tak śmiertelnie przeraził Pelikana, że Pelikan zgodził się pracować dla Brytyjczyków.

Nadążasz, Alfredzie?

Stojący przy oknie Vicary myślał. O, tak. Co więcej, jestem już cztery ruchy przed tobą.

W sierpniu 1939 Boothby ściągnął Hawke'a do MI— 5. Na rozkaz Boothby'ego Pelikan powiadomił rosyjskich mocodawców, że jego pierwszy błyskotliwy agent pracuje w brytyjskim wywiadzie. Moskwa nie posiadała się z radości. Gwiazda Pelikana weszła wysoko. Boothby wykorzystywał Pelikana do przekazywania Rosjanom prawdziwych, lecz bezwartościowych informacji, a wszystkie one miały pochodzić od wtyczki w MI— 5, Hawke'a, wszystkie też mogły być potwierdzone przez inne źródła Rosjan. Gwiazda Pelikana płonęła pełnym blaskiem.

W listopadzie 1939 roku Boothby wysłał Pelikana do Holandii. Młody, arogancki oficer wywiadu SS, niejaki Walter Schellenberg regularnie tam podróżował pod przybranym nazwiskiem i spotykał się z dwoma agentami MI— 6.

Schellenberg udawał członka *Schwarze Kapelle* i prosił Brytyjczyków o pomoc. Tak naprawdę jednak zależało mu na uzyskaniu od Anglików nazwisk prawdziwych niemieckich zdrajców, by móc ich aresztować. Pelikan spotkał się z Schellenbergiem w kafejce w holenderskiej miejscowości przygranicznej i zaproponował, że będzie dla niego szpiegować w Anglii. Przyznał, że od czasu do czasu pracował dla NKWD, między innymi wciągnął w tę robotę chłopaka z Oksfordu, niejakiego Hawke'a, który właśnie zaczął pracować w MI— 5 i z którym utrzymuje stały kontakt. Na znak dobrej woli Pelikan ofiarował Schellenbergowi zbiór azjatyckich rysunków erotycznych. Schellenberg dał Pelikanowi tysiąc funtów, aparat fotograficzny i radio, po czym kazał mu wracać do Anglii.

W 1940 roku MI— 5 zreorganizowano. Vernon Kell, stary dyrektor generalny, który w 1909 roku założył agencję, wyleciał na rozkaz Churchilla. Jego stanowisko przejął David Petrie. Boothby, który znał go z Indii, szybko ruszył w górę. Przekazał Pelikana innemu oficerowi — „też amatorowi, jak pan, Alfredzie; tyle że ten to prawnik, nie profesor” — ale nadal mocno trzymał go w garści. Pelikan był zbyt ważny, by powierzyć go komuś, kto z trudem trafia do kantyny. Zresztą, kontakty Pelikana z Schellenbergiem stawały się diabelnie interesujące.

Na Schellenbergu pierwsze raporty Pelikana zrobiły ogromne wrażenie. Rzeczywiście dostarczał mu dobrego,

choć nieszkodliwego materiału: produkcja amunicji, ruchy wojsk, szacowanie strat. Schellenberg chciwie to spijał, choć wiedział, że wiadomości pochodzą od żydowskiego komunisty, który wylawiał talenty dla NKWD. Podobnie jak wszyscy w SS nie znosił Canarisa i zawodowych oficerów wywiadu z Abwehry. Nie ufali informacjom, przekazywanym führerowi przez Canarisa. Schellenberg dostrzegł swoją wielką szansę. Może stworzyć odrębną siatkę wywiadowczą w Wielkiej Brytanii, która będzie się kontaktować bezpośrednio z nim i Heinrichem Himmlerem, całkowicie pomijając przy tym Abwehrę.

Boothby też zwietrył okazję. Siatka Pelikana posłuży mu do dwóch celów: weryfikacji dezorientujących informacji, które Canaris otrzymywał od podwójnych agentów, a równocześnie siania ziarna nieufności między dwoma rywalizującymi agencjami wywiadowczymi w Niemczech. Balansował na cienkiej linii. MI— 5 chciała, żeby Canaris utrzymał stanowisko — w końcu jego organizacja była przez nią całkowicie kupiona i manipulowana — choć odrobina intryg pałacowych też by się przydała. Brytyjski wywiad mógł delikatnie rozdmuchiwać ogień niechęci i zdrady. Boothby za pośrednictwem Pelikana zaczął karmić Schellenberga informacjami podającymi w wątpliwość lojalność Canarisa; oczywiście nie na tyle, żeby Schellenberg mógł wbić nóż w plecy Szczwanego Lisa, ale dość, by dostarczyć mu narzędzie. W 1942 roku Boothby uznał, że gra się wymyka spod kontroli. Schellenberg opracował długą listę grzechów Canarisa i przedstawił ją Himmlerowi. Organizatorzy siatki podwójnych szpiegów postanowili podrzucić Canarisowi parę smakowitych kąsków, żeby go uchronić przed szubienicą — naprawdę wartościowych informacji, które przekonają Hitlera o skuteczności działania

Abwehry. Poskutkowało. Himmler schował teczkę Schellenberga do szuflady, a Szczwany Lis utrzymał stanowisko.

Boothby nalał sobie kolejny kubek paskudnej kawy. Vicary nie zdołał dopić pierwszego. Postawił go, na wpół opróżniony, na oknie obok zasuszonej ćmy, powoli obracającej się w proch. Wiatr wygonił chłopców z zaułka. Rozszalał się na dobre i siekł deszczem w okna. W pokoju panował mrok. Po porannym ożywieniu budynek zamarł. Ciszę przerywało jedynie skrzypienie podłogi pod stopami krążącego nieustannie Boothby'ego. Vicary odwrócił się od okna i przyjrzał generałowi. Pasował do tego zapuszczonego mieszkania jak ksiądz do zamtuza, ale najwyraźniej doskonale się bawił. Nawet szpiedzy lubią czasem zdradzać tajemnice.

Boothby sięgnął do kieszonki na piersi, wyjął kartkę i podał ją Vicary'emu. Była to notatka, którą Vicary przed tygodniami sam sporządził dla Boothby'ego, prosząc o ogłoszenie stanu zagrożenia bezpieczeństwa. Teraz spojrzął na lewy górny róg kartki; widniał tam stempel: „Wprowadzić w życie” i nagryzmołony inicjał BB. Boothby odebrał mu kartkę i podał ją Pelikanowi.

Pelikan po raz pierwszy się poruszył. Położył notatkę Vicary'ego na stole i włączył światło. Stojący nad nim Vicary widział, jak mruży oczy za przyciemnionymi szklami. Agent wyjął z kieszeni niemiecki aparat fotograficzny — ten sam, który dostał od Schellenberga w 1940 roku. Starannie zrobił dziesięć zdjęć, jak zawodowiec, za każdym razem zmieniając oświetlenie i kąt, żeby przynajmniej jedno wyszło ostro. Następnie podniósł aparat i skierował obiektyw na Hawke'a. Pstryknął dwa

razy i schował wszystko do kieszeni.

— Dziś wieczorem Pelikan jedzie do Lizbony — powiedział Boothby. — Schellenberg i przyjaciele zażądali z nim widzenia. Sądzymy, że chcą go dokładnie wypytać. Ale jeszcze przed przesłuchaniem Pelikan da im ten negatyw. Podczas następnej przejażdżki Schellenberga i Canarisa po Tiergarten, Schellenberg powie o tym admirałowi. Canaris i Vogel uznają to za dowód, że *Kettledrum* to pewny materiał. Ich agentka nie wpadła. Brytyjski wywiad wpadł w panikę. Z czego należy wnosić, że informacje, które przesyła o operacji *Mulberry*, muszą być prawdziwe. Wszystko jasne, Alfredzie?

Vicary i Boothby wyszli pierwsi, najpierw Boothby, po nim Vicary. Schodzenie po ciemnych schodach okazało się trudniejsze niż wspinaczka. Vicary dwukrotnie musiał wyciągnąć rękę i podeprzeć się o ramię generała okryte miękkim kaszmirowym płaszczem. Znowu pojawił się kot i prychnął na nich z kąta. Smród się nie zmienił, inne były tylko proporcje składowych. Dotarli na dół. Vicary słyszał, jak podeszwy jego butów skrzypią na zniszczonym linoleum w korytarzu. Boothby pchnął drzwi. Vicary poczuł na twarzy deszcz.

Nigdy jeszcze tak się nie cieszył, wychodząc z jakiegoś budynku. W drodze do samochodu obserwował Boothby'ego, który z kolei obserwował jego. Vicary miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda zza szyby. Boothby zafundował mu wycieczkę z przewodnikiem po tajnym świecie intrygi, którego istnienia nawet się nie domyślał. Wsiadł do samochodu. Zwierzchnik zajął miejsce obok niego i zamknął drzwi. Kierowca wiózł ich przez Kingsland Road, po czym skierował się na południe, w stronę Tamizy.

Vicary raz zerknął na generała, ale odwrócił wzrok. Boothby wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Nie musiał mi pan tego pokazywać — odezwał się Vicary. — Dlaczego pan to zrobił?

— Bo chciałem.

— A co z zasadą posiadania wyłącznie niezbędnych informacji? Nie musiałem tego wszystkiego wiedzieć. Mógł pan przekazać moją notatkę służbową Schellenbergowi i nawet słowem mi o tym nie pisać.

— Zgadza się.

— Więc po co pan to zrobił? Żeby wyrzeć na mnie wrażenie?

— W pewnym sensie tak — przyznał Boothby. — Swoją decyzją o pozostawieniu Catherine Blake na miejscu wywarł pan wrażenie na bardzo wielu osobach, również i na mnie. Zdałem sobie sprawę, że pana nie doceniałem, Alfredzie: pana inteligencji, pana bezwzględności. Trzeba być zimnym draniem, żeby wysłać Petera Jordana z powrotem do tej sypialni z teczką pełną fałszywych dokumentów. Chciałem panu pokazać kolejny etap gry.

— Czy tak pan to traktuje, sir Basilu? Jak jakąś grę?

— Nie jakąś grę, Alfredzie. Największą z gier.

Boothby się uśmiechnął. Uśmiech stanowił jego najpotężniejszą broń. Patrząc na twarz generała, Vicary pomyślał, że zapewne dokładnie tak samo się uśmiecha do swojej żony, Penelopy, zapewniając, że właśnie porzucił swą ostatnią miłość.

Utrzymanie wiarygodności *Kettledrum* wymagało, żeby Vicary większość dnia spędzał w gabinecie na St James's Street — w końcu usiłowali przekonać Abwehre, podobnie jak resztę wydziału, że nadal ściga niemieckiego szpiega,

mającego dostęp do supertajnych materiałów. Zamknął drzwi i usiadł przy biurku. Rozpaczliwie potrzebował snu. Położył głowę na blacie niby senny student i zamknął oczy. Ale w tej samej chwili zobaczył obskurne mieszkanie w Hoxton. Widział Pelikana i Hawke'a. I niedożywionych chłopców bawiących się na brudnej uliczce. Ćmę obracającą się w proch. Słyszał muzykę organową rozbrzmiewającą w olbrzymiej katedrze. Pomyślał o Matyldzie. Wyrzuty sumienia, że nie był na jej pogrzebie, załyły go niczym gorąca woda chłusnięta na kark.

Cholera. Czy nie mogę choć na chwilę tego wyłączyć i zasnąć?

I wtedy zobaczył Boothby'ego, jak krąży po mieszkanku, opowiada historię Hawke'a i Pelikana oraz odsłania przed nim wyszukaną intrygę, w którą wplótł Waltera Schellenberga. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie widział szefa tak szczęśliwego: Boothby w akcji, otoczony agentami, Boothby popijający obrzydliwą kawę z obitego emaliowanego kubka. Zdał sobie sprawę, że źle ocenił generała — a właściwie, że generał go omamił. Nie tylko jego, całą agencję. Boothby to mistyfikacja. Komiczny biurokrata ciskający się po wspaniałym gabinecie, idiotyczne maksymy, czerwone i zielone światło, obsesja na punkcie krążków wilgoci na bezcennych meblach — wszystko to mistyfikacja. To nie prawdziwy Basil Boothby. Basil Boothby nie był gryzipiórkiem. On kierował agentami. Kłamał. Manipulował. Zwodził. Zapadając w sen, Vicary poczuł, że trochę mniej nienawidzi przelożonego. Tylko jedno go niepokoiło. Dlaczego Boothby uchylił zasłony? I dlaczego teraz?

Zapadł w sen bez majaków. W oddali Big Ben wybił dziesiątą. Dźwięk kuranta przycichł, zastąpiło go przytłumione stukanie dalekopisów zza zamkniętych drzwi.

Vicary chciał zasnąć na bardzo długo. Chciał choć na parę minut o tym wszystkim zapomnieć. Ale już po chwili ktoś nim trząsał — najpierw delikatnie, potem mocno. I głos dziewczyny — zrazu miły, modulowany, później pełen niepokoju.

— Profesorze Vicary... Profesorze Vicary. Proszę, niech się pan obudzi. Profesorze Vicary. Czy pan mnie słyszy?

Nie podnosząc głowy ze splecionych na biurku rąk, Vicary otworzył oczy. Przez moment wydawało mu się, że to Helen. Ale to była tylko Prudencja, błękitnooki anioł z hali maszyn.

— Bardzo przepraszam, że pana budzę, profesorze, ale dzwoni Harry Dalton i mówi, że to ważne. Biedaku, zaraz panu przyniosę gorącej herbaty.

Rozdział jedenasty

Londyn

Catherine Blake wyszła z mieszkania tuż przed jedenastą rano. Siąpił chłodny deszcz. Zaciągnięte chmurami niebo zwiastowało nadejście jeszcze gorszej pogody. Od spotkania z Neumannem dzieliły ją trzy godziny. W takie obrzydliwe dni jak ten kusilo ją, żeby machnąć ręką na pielgrzymki po Londynie i ruszyć prosto na miejsce spotkania. Te wędrówki były monotonne i wyczerpujące: nieustannie zatrzymywać się i sprawdzać, czy nie ciągnie się za tobą ogon, wskakiwać do kolejnych pociągów i taksówek. Ale to było konieczne, zwłaszcza teraz.

Zatrzymała się w drzwiach, poprawiając apaszkę pod szyją i rozglądając się po ulicy. Spokojny niedzielny poranek, niewielki ruch, sklepy jeszcze zamknięte. Tylko kawiarnia po drugiej stronie była otwarta. Przy stoliku obok okna siedział łysy mężczyzna, czytając gazetę. Na moment podniósł wzrok, odwrócił stronę i znowu zajął się lekturą.

Przed kawiarnią grupka ludzi czekała na autobus. Catherine powiodła po nich wzrokiem i wydało jej się, że którąś z tych twarzy już widziała. Może na przystanku autobusowym, może gdzie indziej. Popatrzyła po oknach mieszkań po drugiej stronie ulicy. „Jeśli cię będą obserwować, to wybiorą sobie stały punkt, mieszkanie naprzeciwko albo pokój nad sklepem”. Szukała jakichś zmian, spoglądających na nią oczu. Niczego nie dostrzegła. Skończyła wiązać apaszkę, rozłożyła parasol i ruszyła w drogę.

Pierwszy autobus złapała na Cromwell Road. Był

prawie pusty: kilka starszych pań, jakiś mamroczący do siebie staruszek, niski mężczyzna czytający gazetę, słabo ogolony, w przemoczonym płaszczu. Catherine wysiadła przy Hyde Park Corner. Mężczyzna z gazetą też. Catherine skierowała się do parku. Mężczyzna z gazetą ruszył w drugą stronę, do Piccadilly. Co takiego Vogel powiedział o obserwatorach MI— 5? „Typ przeciętniaka. Minęłabyś go na ulicy i nawet nie zauważyła”. Gdyby Catherine miała wybierać kandydata na obserwatora MI— 5, to postawiłaby na mężczyznę z gazetą.

Poszła na północ, ścieżką biegnącą wzdłuż Park Lane. Na północnym skraju parku, przy Bayswater Road cofnęła się do Hyde Park Corner. Tarn znowu zawróciła i ruszyła tą samą trasą. Była pewna, że nikt za nią nie idzie. Przeszła krótki odcinek przy Bayswater Road. Zatrzymała się przy skrzynce pocztowej, wrzuciła białą kopertę, przy okazji upewniając się, czy nikt jej nie śledzi. Czysto. Chmury zgęstniały, deszcz zaczął mocniej padać. Złapała taksówkę i podała adres w Stockwell.

Siadła z tyłu, przyglądając się strugom deszczu płynącym po szybie. Kiedy wjechali na Battersea Bridge, zerwał się silny wiatr, który zatrzęsł taksówką. Nadal był niewielki ruch. Catherine odwróciła głowę i wyjrzała przez okienko z tyłu. Za nimi, może o jakieś dwieście metrów, podążała czarna furgonetka. Z przodu siedziały dwie osoby.

Siadła prosto i zauważyła, że taksówkarz przygląda jej się we wstecznym lusterku. Na chwilę spotkali się wzrokiem, po czym kierowca znowu skupił się na drodze. Instynktownie sięgnęła do torebki i dotknęła rękojeści sztyletu. Taksówka skręciła w uliczkę szczelnie zabudowaną takimi samymi nudnymi wiktoriańskimi domami. Wokół żywego ducha: ani samochodów, ani

pieszych. Catherine ponownie się obejrzała. Czarna furgonetka zniknęła.

Odprężyła się. Wyjątkowo jej zależało, by dziś się spotkać z Neumannem. Chciała się dowiedzieć, jak Vogel zareagował na jej prośbę o wyciągnięcie z Anglii. W duchu żałowała, że w ogóle ją wysłała. Z jednej strony wyraźnie czuła, że MI— 5 ją osacza; popełniła niewybaczalne błędy. Równocześnie jednak sejf Petera Jordana stanowił źródło bezcennych informacji. Ubiegłej nocy sfotografowała dokument z emblematem SHAEF — tarczą i mieczem — i stemplem ŚCIŚLE TAJNE. Niewykluczone, że właśnie wykrała najważniejszą tajemnicę inwazji. Oczywiście, nie mogła być tego pewna; wszak Peter Jordan pracował tylko nad jednym elementem olbrzymiej, skomplikowanej układanki. Ale w Berlinie, gdzie próbowano poskładać te elementy, informacje zdobyte przez nią mogą się okazać bezcenne, na wagę złota. Uświadomiła sobie, że chce to dalej robić. Dlaczego? Oczywiście, to się nie trzymało kupy. Nigdy nie chciała zostać szpiegiem, Vogel ją do tego zmusił szantażem. Nie czuła się też szczególnie związana z Niemcami.

Prawdę mówiąc, Catherine z nikim ani z niczym nie czuła się szczególnie związana. Podejrzewała, że właśnie dzięki temu jest taką dobrą agentką. Ale pod tym wszystkim kryło się jeszcze coś. Vogel zawsze nazywał to grą. Cóż, ta gra ją wciągnęła. Podobało jej się wyzwanie, jakie przed nią stawiała. I chciała wygrać. Nie chciała wykraść tajemnicy inwazji, żeby Niemcy zwyciężyli, a naziści władali Europą przez następne tysiąc lat. Chciała ją wykraść, by udowodnić, że jest najlepsza, bije na głowę tych kretynów, których Abwehra przysłała do Anglii. Chciała pokazać Voglowi, że potrafi grać w tę grę lepiej niż on sam.

Taksówka zahamowała. Szofer obejrzał się i spytał: — Na pewno tutaj pani chciała przyjechać?

Popatrzyła przez szybę. Stali przy zbombardowanych magazynach. Ulica była opuszczona. Gdyby ktokolwiek próbował ją tu śledzić, nie zdołałby się ukryć. Zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła. Samochód odjechał. Po kilku sekundach pojawiła się czarna furgonetka z dwoma mężczyznami na przedzie. Minęła ją i jechała dalej. Stacja metra Stockwell znajdowała się o parę kroków. Catherine otworzyła parasolkę i szybko ruszyła w stronę stacji, gdzie kupiła bilet na Leicester Square. W chwili gdy weszła na peron, pociąg właśnie ruszał. Wskoczyła do środka, zanim drzwi się zamknęły, i usiadła na wolnym miejscu.

Stojąc w bramie niedaleko Leicester Square, Horst Neumann jadł z torebki skróconej z gazety frytki z rybą. Dokończył rybę i zrobiło mu się niedobrze. Zauważył Catherine, która wraz z grupką pieszych wchodziła na plac. Zmiał zatłuszczony papier, wrzucił go do kosza i ruszył jej śladem. Wkrótce zrównał się z nią. Catherine patrzyła na wprost, jakby go nie widziała. Wyciągnęła rękę i wsunęła mu w dłoń negatyw. Neumann bez słowa dał jej karteczkę. Rozdzielili się. Neumann usiadł na ławce i odprowadził ją wzrokiem.

— I co potem? — spytał Alfred Vicary.

— Weszła na stację Stockwell — odparł Harry. — Wysłaliśmy tam człowieka, ale już zdążyła wsiąść do pociągu.

— Niech to szlag — mruknął Vicary.

— Wsadziliśmy do metra człowieka w Waterloo i

podjął trop.

— Jak długo była sama?

— Jakieś pięć minut.

— Spokojnie można się spotkać z dziesięcioma agentami.

— Niestety tak, Alfredzie.

— I co dalej?

— Jak zwykle. Przez prawie półtorej godziny goniła naszych ludzi po całym West Endzie. W końcu weszła do kawiarni i dała nam pół godziny oddechu. Potem ruszyła na Leicester Square. Przeszła plac i zawróciła do Earl's Court.

— Z nikim się nie kontaktowała?

— Niczego takiego nie zauważyliśmy.

— A na Leicester Square?

— Nasi ludzie nic nie zauważyli.

— Skrzynka przy Bayswater Road?

— Skonfiskowaliśmy zawartość. Na samej górze znaleźliśmy białą, nie zaadresowaną kopertę. Chodziło jej tylko o sprawdzenie ogona.

— Cholera jasna, jest dobra.

— Zawodowiec całą gębą.

Vicary połączył czubki palców, tworząc z nich dzwonicę.

— Nie sędzę, żeby urzędowała sobie takie wycieczki po mieście z miłości do świeżego powietrza, Harry. Albo gdzieś się pozbyła materiału, albo się spotkała z agentem.

— Pewnie w metrze — powiedział Harry.

— Mogło to być w każdym dowolnie wybranym miejscu. — Vicary rąbnął pięścią w oparcie fotela. — Szlag by to!

— Po prostu musimy dalej ją śledzić. Kiedyś w końcu popelni błąd.

— Nie liczyłbym na to, Harry. A im dłużej będziemy ją

obserwować, tym większe prawdopodobieństwo, że zauważy obstawę. A jeśli zauważy...

— To po nas — dokończył za Vicary'ego Harry.

— Zgadza się, Harry. Po nas.

Vicary zniszczył dzwonnice z palców, żeby zasłonić ziewnięcie.

— Rozmawiałeś z Grace?

— Tak. Szukała, gdzie mogła. Nic nie znalazła.

— A co z Brumem?

— To samo. Nie ma takiego kryptonimu ani dla akcji, ani dla agenta. — Harry posłał Vicary'emu przeciągłe spojrzenie. — Byłbyś uprzejmy mi wyjaśnić, dlaczego poprosiłeś Grace o znalezienie tych nazwisk?

Vicary podniósł wzrok i wytrzymał spojrzenie kolegi.

— Gdybym ci powiedział, wsadziłbyś mnie do czubków. To nic, po prostu wzrok płata mi figle. — Vicary spojrzął na zegarek i znowu ziewnął. — Muszę wszystko odraportować Boothby'emu i zabrać kolejną paczkę materiałów *Kettledrum*.

— Czyli gra się toczy dalej?

— O ile Boothby wszystkiego nie odwoła, to tak.

— Zaplanowałeś już coś na dzisiejszy wieczór? Vicary dźwignął się na nogi i włożył płaszcz.

— Pomyślałem, że kolacja i dancing w „Four Hundred Club” stanowiłyby miłą odmianę. Potrzebuję swojego człowieka, który miałby ich na oku. Może byś zaprosił Grace? Spędzilibyście miłe wieczór na koszt firmy.

Rozdział dwunasty

Berchtesgaden

— Lepiej bym się czuł, mając tych drani przed sobą, zamiast za — oświadczył ponuro Wilhelm Canaris, siedzący z tyłu służbowego mercedesa, który po siwej, betonowej drodze mknął do szesnastowiecznego miasteczka Berchtesgaden.

Vogel obejrzał się i zerknął przez tylne okno. Za nimi, w drugim wozie, siedzieli Heinrich Himmler oraz Walter Schellenberg. Odwrócił głowę i przez szybę samochodu popatrzył na okolicę. Śnieg padał na malownicze miasteczko. Vogel był w kiepskim nastroju, toteż pomyślał, że wygląda to jak kiczowata pocztówka. „Przyjedź do pięknego Berchtesgaden! Domu führera!“. Złościło go, że w tak krytycznym momencie wywleczono ich z Tirpitz Ufer.

Dlaczego nie może zostać w Berlinie, jak my wszyscy? Siedzi zagrzebany albo w swoim Wilczym Szańcu w Kętrzynie, albo na szczycie Adlerhorst w Bawarii — pomyślał.

Postanowił wyciągnąć przynajmniej jedną korzyść z tej podróży: zamierzał zjeść kolację z Gertrudą i córkami i przenocować u teściów. Mieszkały u matki Gertrudy, jakieś dwie godziny drogi od Berchtesgaden. Boże, kiedy ostatni raz je widział? Jeden dzień w Boże Narodzenie. Dwa dni w październiku ubiegłego roku. Trude swoim dźwięcznym, figlarnym głosem obiecała mu na kolację pieczeń wieprzową i ziemniaki z kapustą, obiecała, że w nocy, kiedy już dzieci i rodzice zasną, ułożą się przy kominku, a ona zrobi cudowne rzeczy z jego ciałem. Trude zawsze lubiła właśnie tak się kochać, z dreszczykiem obawy, czy ktoś ich nie przyłapie. Taka atmosfera zawsze ją podniecała, cofała

o dwadzieścia lat, kiedy Vogel jeszcze studiował w Lipsku. Vogla to już dawno przestało bawić.

Wszystko to jej wina — specjalnie to zrobiła, za karę, że ją wysłał do Anglii. „Patrz na mnie i przypominaj sobie następnym razem, kiedy będziesz się kochał z żoną”.

Boże, dlaczego teraz mi to przyszło do głowy? — myślał Vogel. Udało mu się ukryć te uczucia przed Gertrudą, tak samo jak wszystko inne. Nie urodził się kłamcą, ale doskonale opanował tę sztukę. Gertruda nadal sądziła, że jest radcą prawnym Canarisa. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że kieruje supertajną siatką szpiegowską w Wielkiej Brytanii. Jak zwykle oszukał też żonę co do celu swej podróży. Trude żyła w przekonaniu, że mąż towarzyszy Canarisowi w jednej z rutynowych inspekcji, nie że jedzie na górę Kehlstein, żeby wprowadzić Hitlera w plany aliantów inwazji na Francję. Vogel obawiał się, że rzuciłaby go, gdyby dowiedziała się prawdy. Zbyt wiele razy ją oszukał, od zbyt dawna okłamywał. Nigdy więcej by mu nie zaufała. Często myślał, że łatwiej by mu przyszło powiedzieć jej o Annie, niż się przyznać, że szpieguje dla Hitlera.

Canaris karmił psy sucharami. Vogel zerknął na niego i odwrócił wzrok. Czy to naprawdę możliwe? Czy ten mężczyzna, który wyrwał go z prawa i uczynił najlepszym szpiegiem Abwehry, rzeczywiście jest zdrajcą? Niewątpliwie Canaris nie ukrywał swej pogardy do nazistów. Świadczyła o tym odmowa wstąpienia do partii, nieustanne sarkastyczne uwagi pod adresem Hitlera. A czy ta pogarda sięgnęła aż zdrady? Jeśli Canaris jest zdrajcą, może to mieć nieobliczalne skutki dla siatek Abwehry w Anglii; Canaris mógł zdradzić wszystko.

Jeśli Canaris jest zdrajcą — pomyślał Vogel — to dlaczego większość ich siatek w Anglii funkcjonuje? To się

nie trzyma kupy. Gdyby Canaris wyspał agentów, Anglicy natychmiast by ich zwinęli. Sam fakt, że decydująca większość niemieckich agentów wysłanych do Wielkiej Brytanii nadal pracuje, można uznać za dowód, że Canaris nie zdradził Niemiec.

Teoretycznie siatce Vogla nie groziła zdrada. Zgodnie z ich umową, Canaris miał bardzo ogólnikowe pojęcie o Łańcuchu V. Agenci Vogla nie kontaktowali się z innymi szpiegami. Opracowano dla nich odrębne kody radiowe, procedury spotkań i linie finansowania. Vogel zaś trzymał się z dala od Hamburga, ośrodka kontroli angielskich siatek. Pamiętał tych idiotów, których Canaris i jego podwładni wysłali do Anglii, zwłaszcza latem czterdziestego roku, kiedy inwazja na Wielką Brytanię zdawała się przesądzona i Canaris zapomniiał nawet o minimalnej ostrożności. Agenci byli słabo wyszkoleni i słabo zaopatrzeni. Vogel wiedział, że niektórzy dostali tylko po dwieście funtów — żalosne grosze — ponieważ

Abwehra i sztab generalny sadzili, że Wielka Brytania padnie równie łatwo jak Polska i Francja. Większość tych szpiegów to skończeni kretyni, jak choćby Karl Becker, zboczeniec, żarłok, który szukał w szpiegostwie pieniędzy i przygody. Vogel do tej pory nie pojmował, jakim cudem Becker jeszcze nie wpadł. On sam nie lubił przygód. Nie ufał nikomu, kto sam z siebie chciał udać się za linię wroga i szpiegować; tylko głupiec mógłby o czymś takim marzyć. A głupcy nie nadają się na agentów. Vogel szukał tylko ludzi obdarzonych charakterem oraz inteligencją. Resztę: motywację, przygotowanie, gotowość do posłużenia się przemocą, załatwiał on sam.

W miarę jak pięli się krętą Kehlsteinstrasse, temperatura spadała. Silnik samochodu rzeził, koła tańczyły na śliskiej nawierzchni. Po pewnym czasie

kierowca zatrzymał się przed olbrzymimi wrotami z brązu u stóp góry Kehlstein. Grupa esesmanów przeprowadziła błyskawiczną rewizję, po czym naciśnięciem guzika otworzono wrota. Samochód zostawił za sobą wirujące płatki śniegu i zanurzył się w długi tunel. Marmurowe ściany oświetlone były ozdobnymi latarniami z brązu.

Słynna winda Hitlera już na nich czekała. Wyłożona miękkim dywanem, wyposażona w skórzane fotele i aparaty telefoniczne, przypominała raczej pokój hotelowy. Canaris z Voglem weszli pierwsi. Canaris usiadł i natychmiast zapalił papierosa, tak że gdy pojawili się Himmler z Schellenbergiem, wewnątrz było pełno dymu. Czterech mężczyzn siedziało w milczeniu, każdy wpatrzony w przestrzeń, podczas gdy winda przenosiła ich do Obersalzberg, ponad pięć tysięcy metrów nad Berchtesgaden. Rozdrażniony dymem papierosowym Himmler podniósł do ust dłoń w rękawiczce i delikatnie zakaszłał.

Voglowi trzeszczało w uszach od szybkiej zmiany wysokości. Patrzył na trzech mężczyzn, którzy wraz z nim jechali na górę, trzech najpotężniejszych oficerów wywiadu Trzeciej Rzeszy — hodowcę drobiu, zboczeńca i nadętego admirała, który mógł być i zdrajcą. W rękach tych ludzi spoczywała przyszłość Niemiec.

Boże, miej nas w swej opiece — pomyślał Vogel.

Olbrzymie byczysko, esesman o nordyckim typie urody, pełniący rolę osobistego ochroniarza Hitlera, wprowadził ich do pokoju. Vogla, zwykle dość obojętnego na uroki natury, zdumiało piękno krajobrazu rozciągającego się za oknem. W dole widać było dzwonnice i wzgórze Salzburga, rodzinnego miasta Mozarta. Nieopodal wznosił się

Unterberg, góra, na której cesarz Fryderyk oczekiwał słynnego wezwania, by powstał i odbudował chwałę Niemiec. Sam pokój był olbrzymi, a Voglowi w głowie się kręciło od wysokości, dopóki nie dotarł do foteli przy kominku. Zajął miejsce w rogu rustykalnej kanapy i wzrokiem przebiegał po ścianach, na których wisiały wielkie oleje i arrasy. Vogel podziwiał kolekcję führera — akt, najprawdopodobniej namalowany przez Tycjana, krajobraz Spitzwega, rzymskie ruiny Panniniego. Do tego popiersie Wagnera i duży zegar, zwieńczony brązowym orłem. Kelner bez słowa nalał kawy dla gości i herbaty dla Hitlera. W chwilę później drzwi się otworzyły i do salonu wkroczył Hitler. Canaris* jak zwykle, podniósł się ostatni. Führer ruchem dłoni kazał gościom usiąść, przy czym sam nie usiadł, żeby móc krążyć.

— Kapitanie Vogel — zaczął bez wstępów — o ile mi wiadomo, pański agent w Londynie zdobył kolejne bezcenne informacje.

— Tak uważamy, *mein Führer*.

— W takim razie proszę nie trzymać tego dłużej w tajemnicy. Pod baczny wejrzeniem esesmana Vogel otworzył teczkę.

— Nasz agent ukradł następny ważny dokument. Są tu bliższe szczegóły operacji *Mulberry*. — Vogel się zawahał.

— W tym momencie ze znacznie większym prawdopodobieństwem możemy przewidzieć, jaką rolę *Mulberry* odegra w inwazji.

Hitler skinął głową.

— Proszę kontynuować, kapitanie.

— Na podstawie najnowszych dokumentów sądzimy, że operacja *Mulberry* polega na stworzeniu bazy przeciwlotniczej. Zostanie ona umieszczona wzdłuż francuskiego wybrzeża, żeby chronić siły nieprzyjaciela

przed Luftwaffe podczas pierwszych, krytycznych godzin inwazji. — Vogel ponownie sięgnął do teczki. — W oparciu o szkice ze zdobytych dokumentów nasi specjaliści opracowali plan całego przedsięwzięcia.

Położył plan na stole. Schellenberg i Himmler oglądali go z zainteresowaniem. Hitler odszedł i patrzył przez okna na góry. Uważał, że w Berghof, wysoko ponad wszystkim, najlepiej mu się myśli.

— I gdzież, pańskim zdaniem, wróg umieści te jednostki przeciwlotnicze, kapitanie? — spytał.

— Ze skradzionych planów nie wynika, gdzie wróg zamierza umieścić *Mulberry* — odparł Vogel — ale na podstawie innych raportów zgromadzonych przez Abwehre nasuwałby się logiczny wniosek, że *Mulberry* przeznaczono do Calais.

— A co z pańską teorią o sztucznym porcie w Normandii?

— Okazała się — Vogel zawiesił głos, szukając właściwego słowa — przedwczesna, *mein Führer*. Za szybko wysnułem wnioski. Wydałem werdykt przed zgromadzeniem dostatecznej ilości dowodów. Z wykształcenia jestem prawnikiem, *mein Führer*, więc proszę mi darować tę przenośnię.

— Nie, kapitanie Vogel, uważam, że za pierwszym razem trafił pan w samo sedno. Moim zdaniem *Mulberry* to rzeczywiście sztuczny port. I jest przeznaczony do Normandii. — Hitler stanął twarzą do słuchaczy. — To dokładnie w stylu Churchilla, tego szaleńca! Przekombinowane, bezsensowne urządzenie, które zdradza nam jego intencje, gdyż mówi nam, gdzie on i jego amerykańscy przyjaciele zamierzają uderzyć! Uważa siebie za geniusza! Wielkiego stratega! Ale tam, gdzie chodzi o kwestie militarne, okazuje się zwykłym głupcem!

Wystarczy spytać duchy biednych chłopców, których poprowadził na rzeź w Dardanelach. Nie, kapitanie, miał pan rację za pierwszym razem. To sztuczny port i ma się znaleźć w Normandii. Wiem o tym. — Hitler uderzył się w tors. — Czuję to tutaj.

Walter Schellenberg odrzchnął.

— *Mein Führer*, dysponujemy innymi dowodami, które potwierdzają informacje kapitana Vogla.

— Proszę je przedstawić, *Herr Brigadenführer*.

— Dwa dni temu w Lizbonie przesłuchałem jednego z naszych własnych agentów w Anglii.

Chryste Panie, znowu to samo — pomyślał Vogel. Schellenberg wyciągnął dokument z teczki.

— To notatka służbowa, napisana przez funkcjonariusza MI— 5, niejakiego Alfreda Vicary'ego. Została przyjęta przez kogoś o inicjałach BB i przekazana Churchillowi oraz Eisenhowerowi. W piśmie tym Vicary ostrzega, że bezpieczeństwo kraju jest zagrożone i należy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. Vicary ostrzega też, że wszyscy oficerowie wojsk alianckich powinni bardzo uważać na kontakty z kobietami. Pana szpieg w Londynie... to kobieta, prawda, kapitanie Vogel?

— Mogę to zobaczyć? — spytał Vogel. Schellenberg podał mu pismo.

— Alfred Vicary — powtórzył Hitler. — Dlaczego to nazwisko brzmi znajomo?

— Vicary to przyjaciel Churchilla — wyjaśnił Canaris. — Należał do garstki ludzi, którzy w latach trzydziestych przyznawali mu rację. W maju czterdziestego roku, po mianowaniu na premiera, Churchill wciągnął Vicary'ego do MI— 5.

— Tak, teraz sobie przypominam. Czy to nie on w latach trzydziestych pisywał te obrzydliwe artykuły o

socjalizmie narodowym?

I każde jego słowo się sprawdziło — dodał w duchu Canaris. — Tak, to on — odparł głośno.

— A kto kryje się pod inicjałami BB?

— Basil Boothby. Kieruje jednym z wydziałów MI— 5. Hitler znowu przemierzał pokój, lecz teraz wolniej. Spokój milczących Alp zawsze działał na niego wyciszające.

— Vogel, Schellenberg i Canaris, wszyscy trzech daliście się przekonać. Ale ja nie.

— Sprawy przybrały interesujący bieg, nieprawdaż, *Herr Reichsführer*?

Zamieć minęła. Hitler przyglądał się znikającemu na zachodzie słońcu, które oblewało wierzchołki Alp fioletowaworóżową poświatą. Wszyscy, z wyjątkiem Himmlera, już poszli.

— Najpierw kapitan Vogel mówi mi, że operacja *Mulberry* to sztuczny port, następnie że to konstrukcja przeciwlotnicza.

— Bardzo interesujące, *mein Führer*. Mam swoje teorie na ten temat.

Hitler odwrócił się od okna.

— Mianowicie?

— Pierwsza: mówi prawdę. Otrzymał nowe informacje, którym ufa, i rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

— Możliwe. Dalej?

— Druga: informacje, które przedstawił, są od początku do końca sfabrykowane i Kurt Vogel, podobnie jak jego zwierzchnik Wilhelm Canaris, to zdrajca dążący do zniszczenia Führera i Niemiec.

Hitler zaplótł ramiona i oparł się o ścianę.

— Dlaczego mieliby nas oszukiwać w kwestii inwazji?

— Jeśli inwazja nieprzyjaciela we Francji się powiedzie, Niemcy uznają, że przegrali wojnę, a wtedy Canaris z resztą szumowin ze *Schwarze Kapelle* rzucą się na nas i nas zniszczą. Jeśli konspiratorom uda się przejąć władzę, będą błagać o pokój i Niemcy skończą jak po pierwszej wojnie: wykastrowane, słabe, jako żebrak Europy, żyjący z ochłapów z pańskich stołów Anglii, Francji i Ameryki. — Himmler zawiesił głos. — A także bolszewików, *mein Führer*.

Oczy Hitlera zapłonęły, jakby nie mógł znieść myśli o Niemcach żyjących pod rosyjskim butem.

— Nie możemy do tego dopuścić! — zawołał i bacznie przyjrzał się Himmlerowi. — Po pańskiej minie widzę, że pozostała jeszcze inna teoria, *Herr Reichsführer*.

— Tak, *mein Führer*.

— Jaka?

— Vogel wierzy, że przedstawia prawdziwe informacje. Ale pije z zatrutego źródła.

Hitlera to zafrapowało.

— Proszę kontynuować, *Herr Reichsführer*.

— *Mein Führer*, nigdy nie ukrywałem moich uczuć względem admirała Canarisa. Uważam go za zdrajcę. Wiem, że kontaktuje się z brytyjskimi i amerykańskimi agentami. Jeśli moje obawy okażą się słuszne, czyż nie nasuwałby się logiczny wniosek, że sprzedał niemieckie siatki w Wielkiej Brytanii? I czyż nie nasuwałby się logiczny wniosek, że informacje od angielskich szpiegów Canarisa też nie są prawdziwe? A gdyby kapitan Vogel odkrył prawdę i przez Canarisa, który chce ratować własną skórę, został teraz zmuszony do milczenia?

Hitler podjął swą wędrówkę po salonie.

— Jak zwykle błyskotliwe rozumowanie, *Herr*

Reichsführer. Tylko panu mogę zaufać.

— Proszę pamiętać, *mein Führer*, kłamstwo to prawda, tyle że na wspak. Wystarczy przysunąć do niego lustro, a prawda spojrzy panu prosto w oczy.

— Widzę już, że ma pan plan.

— Owszem, *mein Führer*, a kluczem do niego jest Kurt Vogel. Vogel dostarczy nam za jednym zamachem tajemnicy inwazji oraz ostatecznego dowodu na zdradę Canarisa.

— Vogel sprawił na mnie wrażenie inteligentnego oficera.

— Przed wojną uważano go za jednego z najwybitniejszych prawników, jakiego wydały Niemcy. Ale musimy pamiętać, że zatrudnił go osobiście Canaris. Dlatego też wątpiłbym w jego lojalność. Trzeba będzie bardzo ostrożnie z nim to rozegrać.

— A to już pańska specjalność, czyż nie tak, *Herr Reichsführer!* Himmler posłał mu swój uśmiech, od którego przechodziły ciarki.

— Zgadza się, *mein Führer*.

Kiedy Vogel przyjechał, dom tonął w ciemnościach. Gwałtowna zamieć wydłużyła podróż z dwóch do czterech godzin. Wsiadł z samochodu i wyjął z bagażnika niewielką torbę. Odesłał kierowcę; wcześniej zarezerwował mu pokój w gospodzie w mieście.

Trude stała w otwartych drzwiach, zaplótłszy ramiona dla ochrony przed zimnem. Wyglądała nieprzyzwoicie zdrowo: jasna cera zaróżowiona od mrozu, ciemne włosy rozjaśnione przez górskie słońce. Miała na sobie gruby sweter narciarski, wełniane spodnie i solidne buty. Mimo tego obszernego ubrania Vogel na pierwszy rzut oka

zauważył, że musiała dużo przebywać na dworze i zachowywała figurę.

— Boże, Kurt, została z ciebie skóra i kości! — zawołała, kiedy ją objął. — Czy w Berlinie jest aż tak źle?

Wszyscy już byli w łóżkach. Dziewczynki spały w pokoju na górze. Podczas gdy Trude kręciła się przy kolacji, Vogel poszedł do nich zajrzeć. W pokoju dziewcząt panował chłód. Nicole przeniosła się do Lizbet. W mroku trudno było odróżnić, gdzie zaczynała się jedna, a kończyła druga. Pochylił się nad córkami wsłuchany w ich oddechy i sycił się ich aromatem: zapachem włosów, mydła, wonią rozgrzanych ciał przebijającą przez koszule nocne. Trude zawsze uważała to za dziwactwo, ale Vogel nad wszystko w świecie kochał zapach córek.

Talerz z jedzeniem i kieliszek wina czekały na niego na dole. Trude już dawno zjadła kolację, więc teraz tylko siedziała i gawędziła, podczas gdy on rozkoszował się pieczoną wieprzowiną z ziemniakami. Zdziwił go własny apetyt. Skończył, żona nałożyła mu dokładkę. Zmusił się, by jeść wolniej. Trude mówiła o rodzicach, dziewczynkach i o tym, jak do wioski przyjechał Wehrmacht i zabrali ostatnich mężczyzn i chłopców ze szkoły. Dziękowała Bogu, że mieli dwie córki i żadnego syna. Nie pytała o podróż, a on sam nie poruszał tego tematu.

Kiedy się nasycił, sprzątnęła ze stołu. Przygotowała mu namiastkę kawy i właśnie pochylała się nad kuchnią, nalewając ją do filiżanki na spodku, kiedy rozległo się ciche pukanie. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi, ze zdumieniem wpatrując się w czarno odzianą postać, stojącą w progu.

— O Boże! — jęknęła, wypuszczając z rąk filiżankę i spodek, które roztrzaskały się u jej stóp.

— Ciągłe nie mieści mi się w głowie, że Heinrich Himmler przestąpił próg tego domu — mówiła bezdźwięcznie, jakby rozmawiała z samą sobą.

Stała przy kominku w ich sypialni, wyprostowana, z założonymi rękami. W słabym świetle ognia Vogel widział jej wilgotną twarz. Drżała.

— W pierwszym momencie wydawało mi się, że śnię. Potem, że przyszedł wszystkich nas aresztować. I wreszcie do mnie dotarło: Heinrich Himmler zjawił się w moim domu, bo musiał omówić to i owo z moim mężem.

Odwróciła się od ognia i popatrzyła na Vogla.

— Dlaczego, Kurt? Powiedz, że nie pracujesz dla niego. Powiedz, że nie jesteś jednym z katów Himmlera. Powiedz, nawet jeśli to kłamstwo.

— Nie pracuję dla Heinricha Himmlera.

— Kim był ten drugi?

— Nazywa się Walter Schellenberg.

— Co robi? Vogel jej wyjaśnił.

— A co ty robisz? I nie mów, że jesteś tylko prawnikiem Canarisa.

— Przed wojną szukałem wyjątkowych ludzi. Szkoliłem ich i wysłałem do Anglii jako szpiegów.

Trude przyjęła tę wiadomość, jakby już dawno to podejrzewała.

— Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

— Nie mogłem nikomu tego wyznać, nawet tobie. Okłamywałem cię, żeby cię chronić. Nie z żadnego innego powodu.

— Gdzie byłeś dzisiaj?

Nie miało sensu więcej ją oszukiwać.

— Byłem w Berchtesgaden na spotkaniu z Hitlerem.

— Boże Wszechmogący — wymamrotała, kręcąc

głową. — I w czym jeszcze mnie oszukałeś, Kurcie Vogel?

— Okłamywałem cię tylko w tym, co dotyczyło mojej pracy. Wyraz jej twarzy mówił, że mu nie wierzy.

— Heinrich Himmler w tym domu. Co się z tobą stało, Kurt? Miałeś zostać wielkim prawnikiem. Drugim Hermanem Hellerem, może nawet zasiadać w Sądzie Najwyższym. Kochałeś prawo.

— Nie ma już prawa w Niemczech, Trude. Jest tylko Hitler.

— Czego chciał Himmler? Dlaczego przyszedł do ciebie w środku nocy?

— Chce, żebym mu pomógł zabić przyjaciela.

— Mam nadzieję, że odmówiłeś. Vogel spojrzał jej prosto w oczy.

— Jeśli nie pomogę, zabije mnie. A potem ciebie i dziewczęta. Zabije nas wszystkich, Trude.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział pierwszy

Londyn,

— To samo co zawsze, Alfredzie. Przez trzy godziny bawiła się z naszymi ludźmi w kotka i myszkę, po czym wróciła do siebie.

— Nonsens, Harry. Albo się spotyka z agentem, albo gdzieś podrzuca materiały.

— Jeśli nawet, to myśmy tego nie zauważyli. Znowu.

— Cholera!

Vicary przypalił papierosa od niedopałka wcześniejszego. Sam się sobą brzydził. Fakt, że pali, jest wystarczająco okropny, ale żeby zapalać jednego papierosa od drugiego! Niedopuszczalne. Wszystko przez to napięcie, związane z akcją. Weszli w trzeci tydzień operacji. Pozwolił Catherine Blake sfotografować cztery porcje materiałów *Kettledrum*. Czterokrotnie wywlokła obserwatorów na długie pielgrzymki po Londynie i ani razu nie udało im się zauważyć, jak się pozbywa towaru. Vicary siedział jak na szpilkach. Im dłużej trwa operacja, tym większe prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Obserwatorzy padali ze zmęczenia, Peter Jordan zaczynał się buntować.

— A może zabieramy się do tego od złej strony — powiedział Vicary.

— To znaczy?

— Śledzimy ją, licząc, że zauważymy, jak się pozbywa dokumentów. Tymczasem czy nie lepiej zmienić taktykę i rozejrzeć się za agentem, który je odbiera?

— Ale jakim sposobem? Nie wiemy, kto to ani jak wygląda.

— Czy aby na pewno? Ilekroć Catherine gdzieś idzie, my jej towarzyszymy. My i Ginger Bradshaw. Zrobił fury

zdjęć. Nasz człowiek musi się pojawić na którymś z nich.

— Niewykluczone. Z pewnością warto spróbować.

Po dziesięciu minutach Harry wrócił z grubą stertą zdjęć.

— Dokładnie sto pięćdziesiąt fotografii, Alfredzie.

Vicary siadł przy biurku i włożył okulary. Brał każde zdjęcie i długo mu się przyglądał, szukając twarzy, ubrań, podejrzanych gestów — czegokolwiek. Przekleństwo niemal fotograficznej pamięci pomagało mu utrwaląc każdy z obrazów w mózgu. Harry pił herbatę i cicho krążył po gabinecie.

Po dwóch godzinach Vicary'emu wydało się, że znalazł coś.

— Spójrz, Harry, tu jest na Leicester Square. A tu znowu się pojawia przed Euston Station. Może to zbieg okoliczności. Może to dwóch różnych mężczyzn. Ale wątpię.

— A niech to licho!

Harry przyjrzał się mężczyźnie na zdjęciach: drobny, ciemnowłosy, szeroki w barach, przeciętnie ubrany. Żaden szczegół jego wyglądu nie przykuwał uwagi — idealny kandydat do pracy w terenie.

Vicary zgarnął pozostałe zdjęcia i podzielił je na dwie kupki.

— Zaczynij go szukać, Harry. Tylko jego. Nikogo innego. Póltorej godziny później Harry wychwycił go jeszcze na zdjęciu zrobionym na Trafalgar Square — to ujęcie okazało się najlepsze.

— Trzeba by go jakoś ochrzcić — powiedział Vicary.

— Pasuje do niego Rudolf.

— Zgoda. Od tej pory będzie Rudolfem.

Rozdział drugi

Hampton Sands, Norfolk

W tym samym czasie Horst Neumann pedałował na rowerze z gospodarstwa Doghertych do wioski. Miał na sobie gruby golf, wełnianą kurtkę, nogawki spodni wsunął w ciepłe kalosze. Dzień był jasny i słoneczny. Puszyste białe chmurki, popychane przez silny północny wiatr, płynęły po ciemnoniebieskim niebie. Ich cienie przemykały po łąkach i stokach, potem znikwały nad plażą. Ostatni przyzwoity dzień na dłuższy czas. Zapowiadano pogorszenie pogody na wschodzie kraju, zacznie się to jutro w południe i potrwa wiele dni. Neumann chciał się wyrwać na kilka godzin z domu, skoro już trafiła się okazja. Musiał pomyśleć. Wiatr silniej szarpnął, omal nie przewracając roweru toczącego się po wąskiej drodze. Neumann opuścił głowę i zaczął mocniej naciskać pedały. Obejrzał się przez ramię. Dogherty się poddał. Zsiadł z roweru i prowadził go z ponurą miną.

Neumann udał, że tego nie zauważył, i jechał dalej. Pochylony nad kierownicą ostro piał się pod górę. Dotarłszy na szczyt, potoczył się na dół. Droga była twarda po nocnym przymrozku i rower tak głośno gruchotał na wądołach, że Neumann się bał, czy nie trzaśnie mu przednie koło. Wiatr ucichł, w dole pojawiła się wioska. Neumann minął most i zatrzymał się po drugiej stronie. Położył rower w wysokiej trawie przy drodze i usiadł obok. Wystawił twarz na słońce. Mimo chłodu promienie ogrzewały mu policzki. Nad jego głową cicho szybowało stado mew. Przymknął powieki i wsłuchał się w szum morza. Uderzyła go idiotyczna myśl: będzie tęsknił za tą wioską, gdy nadejdzie pora powrotu.

Otworzył oczy i na wzniesieniu dostrzegł Dogherty'ego, który zdjął czapkę, otarł czoło i pomachał.

— Odsapnij, Sean! — zawołał Neumann i pokazał na słońce, tłumacząc, dlaczego mu się nie spieszy.

Dogherty wdrapał się na rower i ruszył w dół. Neumann obserwował go, potem odwrócił się w stronę morza. Wiadomość, którą dziś wczesnym rankiem otrzymał od Vogla, nie dawała mu spokoju. Starał się o niej nie myśleć, ale dłużej już nie mógł. Hamburg przekazał mu zaszyfrowane polecenie: ma zaopiekować się Catherine Blake w Londynie. A więc ma ją śledzić, żeby sprawdzić, czyjej z kolei nie śledzi przeciwnik. Mogło to oznaczać wszystko. Że Vogel chce się upewnić, czy informacje przekazywane przez Catherine są dobre. Albo że podejrzewa, iż druga strona może nią manipulować. Jeśli tak, to on, Neumann, wchodzi w sam środek wyjątkowo niebezpiecznej sytuacji. Jeśli Catherine znajduje się pod obserwacją, a i on zacznie ją śledzić, będzie szedł ramię w ramię z funkcjonariuszami MI— 5, wyszkolonymi w wyłapywaniu takich „pomocników”. Może wleźć prosto w pułapkę.

Niech cię szlag, Vogel — pomyślał. W co ty grasz?

A jeśli Catherine rzeczywiście śledzą Anglicy? Może zrobić dwie rzeczy. W miarę możliwości skontaktować się przez radio z Voglem i zażądać pozwolenia na wyciągnięcie jej z Anglii. Gdyby zaś nie starczyło czasu, skorzystać z wcześniejszych uprawnień do działania na własną rękę.

Dogherty przetoczył się przez mostek i zatrzymał obok Neumanna. Duża chmura przesłoniła słońce. Neumann zadrżał z zimna. Wstał i razem ruszyli do wioski, każdy prowadząc swój rower. Wiatr się rozhulał, wiał między nadkruszonymi pomnikami na cmentarzu. Neumann podniósł kołnierz kurtki.

— Słuchaj, Sean, istnieje prawdopodobieństwo, że niedługo stąd wyjadę, i to w pośpiechu.

Dogherty popatrzył na Neumanna. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać. Potem znów spojrział przed siebie.

— Powiedz mi o łodzi — powiedział Neumann.

— Na początku wojny Berlin polecił mi przygotować trasę ucieczki przez wybrzeże w hrabstwie Lincoln, tak żeby agent mógł się dostać do U— boota czekającego dziesięć mil od brzegu. Jegomość nazywa się Jack Kincaid. Ma niewielki kuter w miejscowości Cleethorpes, u ujścia rzeki Humber. Widziałem tę łódź. Ledwo się trzyma, inaczej dawno by ją skonfiskowała marynarka, ale wystarczy.

— A Kincaid? Ile wie?

— Myśli, że handluje na czarnym rynku. Kincaid jest zamieszany w mnóstwo podejrzanych interesów, ale chyba nie poszedłby na współpracę z Abwehrą. Zapłaciłem mu sto funtów i powiedziałem, żeby w każdej chwili był gotów do roboty, w dzień i w nocy.

— Skontaktuj się z nim dzisiaj — polecił Neumann. — Powiedz, że może niedługo się zjawimy.

Dogherty skinął głową.

— Nie powinienem ci tego proponować, ale i tak to zrobię. Chcę, żebyście zastanowili się z Mary, czyby nie uciec razem ze mną.

Dogherty zaśmiał się pod wąsem.

— I cóż takiego mam robić w przeklętym Berlinie?

— Po pierwsze żyć. Zostawiliśmy za dużo śladów. Anglicy nie są głupi. Znajdą cię. A wtedy trafisz prosto na szubienicę.

— Już wcześniej się nad tym zastanawiałem. Wielu wspaniałych ludzi oddało życie dla sprawy. Lepszych ode

mnie. Więc i ja nie boję się oddać swego.

— Piękne przemówienie, Sean. Ale nie bądź głupcem. Moim zdaniem postawiłeś na złego konia. Nie umrzesz dla sprawy, umrzesz, bo szpiegowaleś na rzecz wroga, hitlerowskich Niemiec. Hitlera i jego przyjaciół Irlandia guzik obchodzi. A udzielanie im teraz pomocy nie przyczyni się do wyzwolenia Północnej Irlandii spod brytyjskiej okupacji. Ani teraz, ani nigdy. Rozumiesz mnie?

Dogherty milczał.

— I jeszcze nad czymś powinieneś się zastanowić. Ty może jesteś gotów poświęcić życie, ale co z Mary?

Dogherty spojrzał na niego ostro.

— Jak to?

— Mary wie, że współpracujesz z Abwehrą, i wie, że jestem szpiegiem. Jeśli Brytyjczycy to odkryją, na pewno nie będą zachwyceni. Trafi do więzienia na bardzo długo, i to przy dużym szczęściu. A jeśli szczęście jej nie dopisze, powiesz ją razem z tobą.

Irlandczyk machnął ręką.

— Nie tkną Mary. Nie miała z tym nic wspólnego.

— Oni to nazywają współwiną, Sean. Mary jest współwinna twojego szpiegostwa.

Sean przez chwilę szedł w milczeniu, przetrawiając słowa Neumanna.

— A co, u licha, miałbym robić w Niemczech? — odezwał się w końcu. — Nie chcę jechać do Niemiec.

— Vogel może zorganizować przerzut do innego państwa. Do Portugalii albo Hiszpanii. Może nawet udałoby nam się z powrotem przetransportować cię do Irlandii.

— Mary się stąd nie ruszy. Nie zostawi Hampton Sands. Gdybym miał uciekać, musiałbym jechać sam i

zostawić ją. Musiałaby sama stawić czoło cholernym Anglikom.

Dotarli do pubu. Neumann oparł rower o ścianę, to samo zrobił Dogherty.

— Daj mi czas do namysłu — rzekł. — Porozmawiam dziś z Mary i jutro rano ci odpowiem.

Weszli do środka. Było pusto, tylko właściciel stał za barem, wycierając szklanki. W kominku płonął ogień. Neumann i Dogherty zdjęli kurtki i powiesili je na wieszaku obok drzwi, potem siedli przy stole nieopodal kominka. W karcie widniało dziś jedno danie: zapiekanka z wieprzowiny. Zamówili dwie porcje i dwa kufle piwa. Przy ogniu było straszliwie gorąco. Neumann zdjął sweter. Po chwili właściciel przyniósł zapiekanki i zamówili jeszcze po piwie. Dziś rano Neumann pomagał Seanowi naprawiać płot, i teraz konał z głodu. Oderwał wzrok od talerza, dopiero kiedy otworzyły się drzwi i do pubu wszedł rosły mężczyzna. Horst widział go już w wiosce i wiedział kto to. Ojciec Jenny, Martin Colville.

Colville zamówił whisky i został przy barze. Jedząc, Neumann co chwila zerkał na potężne chłopisko. Czarna grzywa wpadała Martinowi do oczu, w czarnej brodzie pojawiły się siwe pasemka. Kurtkę miał brudną, cuchnęła smarem. Olbrzymie dłonie były spękane, wiecznie przybrudzone. Jednym haustem pochłonął pierwszą szklankę whisky i zamówił drugą. Neumann dokończył zapiekankę i zapalił papierosa.

Colville wychylił drugą whisky i zmierzył go wzrokiem.

— Trzymaj się z dala od mojej córki — odezwał się. — W wiosce gadają, że ostatnio widziano was razem i wcale mi się to nie podoba.

— Nie wtrącaj się do tego, koleś — syknął Dogherty przez zaciśnięte zęby.

— Jenny i ja spotykamy się, bo jesteśmy przyjaciółmi
— powiedział Neumann. — Nic poza tym.

— I myślisz, że w to uwierzę! Chcesz się jej dostać pod spódnicę. Otóż nie! Jenny nie jest z takich.

— Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, co sobie myślisz.

— Zniosłem, jak się trzymała tego Irlandczyka i jego żony.

Ale z takim typkiem jak ty się nie pogodzę. Nic z ciebie dobrego. A jeśli jeszcze raz usłyszę, że się spotkaliście — Colville pogroził Neumannowi palcem — dopadnę cię.

— Kiwnij głową, uśmiechnij się i będzie koniec sprawy
— szepnął Dogherty.

— Jenny chodzi do Seana i Mary, bo oni się o nią troszczą. Dają jej spokojny, miły dom. Czego o tobie nie da się powiedzieć.

— Dom Jenny niech cię nie obchodzi. Nie wściubiaj nosa w nie swoje sprawy. A jeśli masz odrobinę oleju w głowie, będziesz się, kurwa, trzymał z dala od małej !

Neumann zgniótł papierosa. Dogherty miał rację. Powinien był siedzieć i trzymać gębę na kłódkę. Tylko tego mu teraz brakuje, żeby wdać się w bójkę z tubylcem. Popatrzył na Colville'a. Znał ten typ ludzi. Łajdus całe życie terroryzował wszystkich, także i swoją córkę. Neumann marzył, żeby mu utrzyć nosa.

Pokażę mu, co to *znaczy* dostać lanie — pomyślał. Może wtedy przestanie bić Jenny.

— I co zrobisz, uderzysz mnie? — spytał. — To twoja odpowiedź na wszystko? Jeśli tylko zdarzy się coś, co ci nie odpowiada, bijesz. Dlatego Jenny spędza tyle czasu u Doghertych. Dlatego z tobą nie wytrzyma.

Twarz Colville'a stężała.

— A ty kim, kurwa, jesteś? Nie wierzę w twoją

historyjkę. — Paroma susami przemierzył pub, chwycił stół i odrzucił go z drogi. — Jesteś mój. Och, z rozkoszą rozkwaszę ci gębę.

Neumann wstał z miejsca.

— Szczęściarz ze mnie — powiedział.

Grupka wieśniaków, czując, że zanosi się na bójkę, otoczyła obu mężczyzn. Colville posłał morderczy prawy sierpowy, przed którym Neumann bez trudu się uchylił. Colville zadał jeszcze dwa ciosy, Neumann uniknął ich, odrobinę odchylając głowę, pięściami zasłaniając twarz, lecz nie odrywając wzroku od przeciwnika. Koncentrował się na obronie. Gdyby zbliżył się do Colville'a na tyle, by móc uderzyć, ten mógłby go chwycić w swoje olbrzymie łapska i już nie wypuścić. Musi czekać, aż tamten popełni błąd. Wtedy zaatakuje i jak najszybciej zakończy całą sprawę.

Colville posłał całą serię wściekłych ciosów. Już się zasapał i zmęczył. Wyciągnął ręce, rozpędził się i zaatakował jak byk.

Neumann błyskawicznie się odsunął i podstawił mu nogę. Colville z głuchym łoskotem runął twarzą na ziemię. Ledwo zaczął się dźwigać, Neumann szybko wkroczył do akcji i dwa razy kopnął go w twarz. Colville podniósł ciężkie ramię, przyjmując na nie trzeciego kopniaka i jakoś się dźwignął. Krew płynęła mu ze złamanego nosa i ust.

— Dość już dostałeś, Martin — przemówił Neumann.
— Dajmy temu spokój i wróćmy do środka.

Colville nie odpowiedział. Ruszył naprzód, osłonił się lewą ręką, a prawą wymierzył potężny cios, który wylądował na kości policzkowej Neumanna, rozrywając ciało. Niemiec miał wrażenie, że ktoś go zdzielił młotem. W

głowie mu huczało, łzy napłynęły do oczu, nic nie widział. Potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, i przypomniał mu się Paryż: jak leżał w brudnej uliczce za kafejką, jego krew spływała rynsztokiem, a esesmani kopali go, okładali pięściami, kolbami od pistoletów, wszystkim, co im wpadło pod rękę.

Colville zadał kolejny morderczy cios. Neumann przykucnął, zrobił unik i wymierzył złośliwego kopniaka w jego prawe kolano. Colville zawył z bólu. Neumann błyskawicznie kopnął jeszcze trzy razy; Colville'a sparaliżowało. Neumann podejrzewał, że zmiażdżył mu rzepkę. Przeraził go także — Colville najwyraźniej nigdy jeszcze nie spotkał się z kimś walczącym tak jak on.

Uznał walkę za zakończoną i właśnie ruszał z powrotem do pubu, kiedy Colville przeniósł cały ciężar ciała na zdrową nogę i rzucił się na niego. Zaskoczony Neumann nie zdążył się uchylić. Colville runął nań i pchnął go na ścianę. Neumann miał wrażenie, że go przygniotła rozpędzona ciężarówka. Próbował złapać dech. Colville rąbnął go z całej siły głową pod brodę. Neumann przygryzł sobie język i poczuł w ustach krew.

Zanim Colville zdążył jeszcze raz rąbnąć, Neumann wymierzył mu kolanem cios w krocze. Colville zwinął się z bólu, jęcząc. Neumann znów podniósł kolano, tym razem trafił w twarz i złamał mu kość.

Pod Colville'em ugięły się kolana i opadł półprzytomny.

— Nie wstawaj, Martin — powiedział Neumann. — Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, to zostań tu, gdzie jesteś.

W tej samej chwili usłyszał pisk. Podniósł wzrok i zobaczył pędzącą ku nim Jenny.

Tej nocy Neumann nie mógł zasnąć. Zdrzemnął się na chwilę, ale ból go obudził. Teraz leżał bez ruchu, wsłuchany w uderzenia wiatru w bok domu. Z oddali dobiegał huk fal

rozbijających się o brzeg. Nie wiedział, która jest godzina. Dźwignął się na łokciu i jęcząc z bólu sięgnął po zegarek, który leżał na szafce nocnej. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki. Dochodziła północ.

Opadł na poduszkę i zapatrzył się w sufit. Bójka z Martinem Colville'em to fatalny błąd. Mógł wzbudzić podejrzenia i narazić na szwank całą operację. I zranił Jenny. Przed pubem darła się na niego i okładała go pięściami, wściekła, że skrzywdził jej ojca. Chciał dać lajdakowi nauczkę, tymczasem wszystko obróciło się przeciwko niemu. Teraz, leżąc w łóżku i wsłuchując się w nierówne podmuchy wiatru, zastanawiał się, czy nad całą operacją nie wisi fatum. Przypomnił sobie, co powiedziała Catherine w czasie ich spotkania na wrzosowiskach w Hampstead: „Coś się popsulo. Boję się, że mój kamuflaż długo nie wytrzyma”. Przypomnił sobie rozkaz Vogla, żeby śledzić Catherine. I nie wiedział, które z nich — Vogel, Catherine czy on sam, a może wszyscy troje po kolei — już popełniło niewybaczalne błędy.

Neumann zbadał swoje obrażenia. Bolało go całe ciało. Posiniaczona, poobijana klatka piersiowa kłuła przy każdym oddechu, ale chyba żebra były całe. Język miał opuchnięty i przy każdym ruchu czuł rozcięcie. Podniósł rękę i dotknął policzka. Mary zrobiła, co mogła, żeby zasklepić ranę bez szwów — wizyta u lekarza w ogóle nie wchodziła w rachubę. Upewnił się, czy opatrunek się nie przesunął. Nawet to delikatne muśnięcie wystarczyło, żeby policzek zapulsował boleśnie.

Przymknął oczy i próbował zasnąć. Już przysypiał, kiedy na podeście za drzwiami usłyszał kroki. Instynktownie sięgnął po mauzera. Kolejne stąpienie, skrzypienie podłogi. Podniósł broń i wymierzył w drzwi. Odgłos naciskanej klamki.

Gdyby to była MI— 5 — pomyślał — na pewno nie zadawaliby sobie trudu, żeby się cicho zakradać do mojej sypialni. Ale jeśli to nie MI— 5 ani nie policja, to kto?

Drzwi się uchylily i w szparze pojawiła się niewielka postać. W słabej smudze światła wpadającego z korytarza Neumann zobaczył Jenny Colville. Bezszelestnie odłożył mauzera na podłogę przy łóżku i szepnął:

— Co ty tu robisz?

— Przyszłam się upewnić, czy nic ci nie jest.

— Czy Sean i Mary wiedzą, że tu jesteś?

— Nie. Wślizgnęłam się bez pukania. — Usiadła na brzegu wąskiego łóżka. — Jak się czujesz?

— Bywało gorzej. Twój ojciec potrafi sprawić człowiekowi łomot. Ale ty o tym wiesz najlepiej.

W ciemnościach wyciągnęła rękę i musnęła jego twarz.

— Powinieneś pójść do lekarza. To rozcięcie na policzku wyglądało paskudnie.

— Mary świetnie się spisała. Jenny się uśmiechnęła.

— Nabrała wprawy przy Seanie. Mówiła, że za jego młodych lat sobota się dla niego nie liczyła, jeśli nie skończyła się solidną bójką w pubie.

— Jak się czuje twój ojciec? Chyba uderzyłem go o jeden raz za dużo.

— Wydobrzeje. Och, twarz wygląda paskudnie. Ale on nigdy nie był szczególnie przystojny.

— Przepraszam, Jenny. Zachowałem się idiotycznie. Powiniennem się wykazać większym rozsądkiem. Po prostu zignorować go.

— Właściciel pubu mówił, że to ojciec zaczął. Zasłużył sobie na to. Zbierało mu się już od dawna.

— Już się na mnie nie gniewasz?

— Nie. Nikt jeszcze nie stanął w mojej obronie. Postąpiłeś jak bohater. Mój ojciec jest silny jak tur. Mógł

cię zabić. — Zsunęła dłoń z jego twarzy i powiodła nią po torsie. — Gdzie się nauczyłeś tak bić?

— W wojsku.

— To było przerażające. Boże, ależ ty jesteś cały w bliznach.

— Prowadziłem nadzwyczaj bujne życie. Przysunęła się do niego.

— Kim jesteś, Jamesie Porterze? I co robisz w Hampton Sands?

— Zjawiłem się tu, żeby cię chronić.

— Jesteś moim rycerzem na białym koniu?

— Coś w tym rodzaju.

Jenny gwałtownie się wyprostowała i zdjęła przez głowę sweter.

— Jenny, co ty właściwie...

— Ciii, obudzisz Mary.

— Nie możesz tu zostać.

— Minęła północ. Chyba nie wygonisz mnie na dwór w taką szarugę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zdjęła kalosze i spodnie. Weszła do łóżka i wtuliła się w niego.

— Jeśli Mary cię tu zastanie, zabije mnie — powiedział Neumann.

— Przecież nie boisz się Mary?

— Z twoim ojcem sobie poradzę. Ale Mary to całkiem inna historia.

Pocałowała go w policzek.

— Dobranoc — powiedziała.

Po kilku minutach jej oddech się wyrównał. Neumann przytulił głowę do jej policzka i po chwili on również zasnął.

Rozdział trzeci

Berlin

Lancastery nadleciały o drugiej nad ranem. Vogel, który drzemał na połowce w gabinecie, wstał i podszedł do okna. Berlin drżał pod uderzeniami bomb. Rozchylił zasłony i wyjrzał. Samochód jeszcze stał — duży czarny wóz, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Tkwił tam od ubiegłego popołudnia. Vogel wiedział, że siedzi w nim co najmniej trzech mężczyzn. Wiedział też, że silnik pracuje, bo z rury wydechowej unosił się obłok dymu marznący w zimnym powietrzu. Dusza profesjonalisty burzyła się w nim na widok takiej partackiej roboty. Palić, chociaż się wie, że papieros będzie się żarzył w ciemnościach. Włączyć silnik, żeby nie zmarznąć, choć najgłupszy amatorzyna zauważy spaliny. Ale cóż, gestapo nie musiało się szczególnie przejmować rzemiosłem i zawodowstwem. Podstawą ich działalności był terror i brutalna siła. Ciosy młotem.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Himmlerem w Bawarii. Musiał przyznać, że w teorii Himmlera tkwiło ziarnko rozsądku. Fakt, że większość niemieckich siatek wywiadowczych w Anglii funkcjonowała, nie świadczył o lojalności Canarisa wobec führera. Przeciwnie, dowodził jego zdrady. Skoro szef Abwehry jest zdrajcą, po co zawracać sobie głowę publicznymi aresztowaniami i egzekucjami jego szpiegów w Wielkiej Brytanii. Może zamiast tego ich wykorzystać i wraz z Canarisem próbować faszerować Hitlera fałszywymi informacjami?

Vogel pomyślał, że to całkiem prawdopodobny scenariusz. Ale oszustwo na taką skalę nie mieściło mu się w głowie. Wszyscy niemieccy agenci musieliby się znajdować w więzieniu albo przejść na stronę wroga. Musiano by

zaangażować w akcję setki brytyjskich oficerów wywiadu, którzy by opracowywali fałszywe raporty, nadawane potem do Hamburga. Czy taka mistyfikacja jest możliwa? Olbrzymie i ryzykowne przedsięwzięcie, ale — uznał w końcu Vogel — możliwe.

Koncepcja genialna, lecz Vogel dostrzegał w niej jeden, za to ogromny mankament. Rzecz wymagałaby całkowitego przejścia niemieckich siatek wywiadowczych w Wielkiej Brytanii. Musiano by schwytać agentów co do jednego — przeciągnąć na swoją stronę albo zamknąć, by nie mogli już działać. Gdyby poza pajęczyną MI— 5 znalazł się choć jeden człowiek i dostarczyłby prawdziwy raport, Abwehra mogłaby zwąchać pismo nosem. Na podstawie raportu tego jednego człowieka mogłaby domyślić się, że pozostałe informacje są wyssane z palca. A jeśli wszystkie źródła wskazują na Calais jako punkt ataku, Abwehra mogłaby dojść do wniosku, że prawdą jest coś zgoła odwrotnego. Wróg szykuje się do inwazji na Normandię.

Jak to Himmler ujął? „Kłamstwo to prawda, tyle że na wspak. Wystarczy przysunąć do niego lustro, a prawda spojrzy panu prosto w oczy”.

Już niedługo pozna odpowiedź. Jeśli Neumann odkryje, że Catherine jest śledzona, on, Vogel, zlekceważy przekazywane przez nią informacje, uzna je za zasłonę dymną stworzoną przez angielski wywiad, za element dezorientacji.

Odwrócił się od okna i położył na łóżku polowym. Przeszył go lodowaty dreszcz. Może i zdobędzie dowody, że brytyjski wywiad dokonał mistyfikacji na ogromną skalę. A to z kolei wyraźnie by wskazywało, że admirał Wilhelm Canaris, szef niemieckiego wywiadu wojskowego, jest zdrajcą. Himmler z pewnością uznałby to za niepodważalny dowód. Za taką obrazę pozostaje jedna

kara: struna od fortepianu wokół szyi, powolna, straszliwa śmierć przez uduszenie, utrwalona na taśmie filmowej, żeby Hitler mógł się nią rozkoszować.

I co będzie, jeśli rzeczywiście znajdzie dowody potwierdzające angielską mistyfikację? Wehrmacht ze swoimi jednostkami pancernymi będzie czekał na aliantów w planowanym miejscu inwazji. Wróg zostanie zmiążdżony. Niemcy zwyciężą i naziści jeszcze przez pokolenia będą władać w Niemczech i Europie.

„Nie ma już prawa w Niemczech, Trude. Jest tylko Hitler”.

Vogel przymknął oczy i próbował zasnąć. Na próżno. Dwie zupełnie różne części jego natury toczyły walkę — Vogel manipulator i szpieg zmagał się z Voglem wyznawcą rządów prawa. Niewyobrażalnie kusila go perspektywa zdemaskowania intrygi

Anglików, przechytrzenia brytyjskiego przeciwnika i zniszczenia ich gierki. Równocześnie jednak przerażenie budziła w nim myśl, co takie zwycięstwo mogłoby przynieść. Udowodniłoby podstęp Anglików, zniszczyło jego przyjaciela Canarisa, zapewniło Niemcom zwycięstwo, na zawsze umocniło władzę nazistów.

Leżał wsłuchany w warkot bombowców.

„Powiedz, że dla niego nie pracujesz, Kurt”. Teraz już pracuję, Trude — pomyślał Vogel. — Teraz już tak.

Rozdział czwarty

Londyn

— Witaj, Alfredzie.

— Witaj, Helen.

Uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek.

— Och, jak cudownie znowu cię widzieć — powiedziała.

— Ciebie też.

Wsunęła mu rękę pod ramię i tak jak to robiła niegdyś, schowała dłoń w jego kieszeni. Zawrócili i bez słowa ruszyli ścieżką parku St James's. Vicary'emu ta cisza nie przeszkadzała. Przeciwnie, świetnie się z nią czuł. Sto lat temu między innymi po tym poznał, że kocha Helen — po tym, jak się czuł, kiedy milczeli. Lubił towarzystwo Helen, gdy rozmawiali, śmiali się, ale równie mocno je lubił, gdy się nie odzywała. Przepadał za chwilami, kiedy siedzieli cicho na werandzie jej domu, spacerowali w lesie czy leżeli nad jeziorem. Sama bliskość jej ciała albo splecione dłonie — to mu wystarczało.

Popołudnie było parne i gorące — posmak sierpnia w środku lutego — niebo ciemne, wzburzone. Wiatr kołysał drzewami, marszczył tafłę sadzawki. Stado kaczek chlupotało w miejscu, jak przykute kotwicami.

Vicary po raz pierwszy uważniej się przyjrzał towarzyszce. Ładnie się starzała. Pod wieloma względami wypiękniała. Była wysoka, prosto się trzymała, odrobinę nadwagi ładnie ukrywał starannie skrojony kostium. Włosy, które niegdyś nosiła rozpuszczone z przedziałkiem na środku, teraz czesała w kok. Na głowie miała szary kapelusz.

Vicary pozwolił sobie zatrzymać wzrok na jej twarzy.

Nos, dawniej nieco za duży w stosunku do twarzy, teraz idealnie do niej pasował. Policzki z wiekiem się zapadły, wyraźniej uwidaczniając kości policzkowe. Helen odwróciła się i spostrzegła, że Vicary jej się przygląda. Uśmiechnęła się do niego, ale uśmiech nie rozjaśnił oczu. Krył się w nich odległy smutek, jakby niedawno zmarł jej ktoś bliski.

Vicary pierwszy przerwał ciszę. Oderwał spojrzenie od jej twarzy.

— Przepraszam za lunch, Helen. W pracy wyskoczyło coś nagłego i nie mogłem się wyrwać ani cię zawiadomić.

— Nie przejmuj się, Alfredzie. Po prostu tkwiłam przy stoliku w „Connaught” i ululałam się na smutno.

Vicary popatrzył na nią zaskoczony.

— Przekomarzam się z tobą. Ale nie będę kryła, że byłam rozczarowana. Długo się zbierałam na odwagę, żeby się z tobą spotkać. Wtedy tak okropnie się zachowałam... — Urwała, nie kończąc myśli.

Owszem, to prawda, Helen — pomyślał Vicary.

— Było, minęło — odezwał się na głos. — Jakim cudem mnie znalazłaś?

Dwadzieścia minut temu zadzwoniła do niego do biura. Podnosząc słuchawkę, spodziewał się wszystkiego, ale nie jej głosu. Boothby'ego, który wzywa go na górę na kolejne przedstawienie; Harry'ego z informacją, że Catherine Blake znowu kogoś zabiła strzałem w twarz; Petera Jordana, który mu mówi, żeby się odpierniczył, bo on więcej się z tą kobietą nie spotka. Na dźwięk głosu Helen omal się nie udławił.

— Witaj, kochany, to ja — odezwała się, jak każda dobra agentka, nie podając imienia. — Spotkasz się ze mną? Dzwonię z budki naprzeciwko twojej pracy. Och, proszę, Alfredzie.

— Ojciec przyjaźni się z dyrektorem generalnym — wyjaśniała teraz. — A David przyjaźni się z Basilem Boothbym. Już od jakiegoś czasu wiem, że cię wciągnęli.

— Twój ojciec, David i Basil Boothby. Co jeden to bardziej przeze mnie ulubiony.

— Nie przejmuj się, Alfredzie, nie rozmawiają w kółko o tobie.

— Dzięki Bogu choć za to! Ścisnęła jego dłoń.

— Jakim cudem wylądowałaś w tej branży?

Vicary jej opowiedział. O tym, jak przed wojną zaprzyjaźnił się z Churchillem. Jak znalazł się w kręgu doradców Churchilla w Chartwell. Jak Churchill go dopadł w owo majowe popołudnie 1940.

— Naprawdę siedział wtedy w wannie? — zawołała Helen.

Vicary skinął głową, uśmiechając się na to wspomnienie.

— I jak premier się prezentuje nago?

— Jest bardzo różowy. I wzbudza trwogę. Do końca dnia nie mogłem przestać nucić „Rule Britannia”.

Helen parsknęła śmiechem.

— To musi być strasznie podniecająca praca.

— Czasami. Ale potrafi być też niewyobrażalnie nudna i monotonna.

— Czy kusi cię nieraz, żeby komuś wychlapać wszystkie te tajemnice, które znasz?

— Helen!

— Kusi cię? — nalegała.

— Nie, oczywiście, że nie.

— A mnie tak — odparła, odwracając wzrok. Po chwili znowu na niego spojrzała. — Wyglądasz wspaniale, Alfredzie. Jesteś bardzo przystojny. Ta cholerna wojna najwyraźniej ci służy.

— Dziękuję.

— Choć muszę wyznać, że brak mi brązowej wełny i tweedu. Teraz cały toniesz w szarościach, tak samo jak oni wszyscy.

— To obowiązkowy strój w Whitehall. Przywykłem do niego. Poza tym podoba mi się odmiana. Ale będę zadowolony, kiedy to wszystko się skończy i znowu wrócę na uniwersytet, gdzie moje miejsce.

Sam nie wierzył, że te słowa padły z jego ust. W pewnym momencie traktował MI— 5 jak swoje wybawienie. Teraz jednak wiedział, że to z całą pewnością nieprawda. Dobrze mu się pracowało w MI— 5, ożył w atmosferze napięcia, długich godzin pracy, rejwachu w kantine, potyczek z Boothbym, w towarzystwie grupki oddanych amatorów, takich jak on, lubujących się w tajemnicach. Kiedyś nawet przemyślał, czyby nie poprosić o zatrzymanie go w MI— 5 po zakończeniu wojny. Ale to by nie było to samo — bez groźby zagłady narodowej wiszącej nad nimi niczym miecz Damoklesa.

I jeszcze coś. Choć jego inteligencja doskonale go predysponowała do pracy w wywiadzie, sama natura tej instytucji budziła w nim wstręt. Urodził się historykiem. Z charakteru i wykształcenia dążył do odkrywania prawdy. Wywiad zaś polegał na oszustwie i dezorientacji. Na zdradzie. Celach uświęcających środki. Wbijaniu przeciwnikowi noża w plecy — a w razie konieczności nawet wbijaniu noża w plecy przyjacielowi. Sam nie do końca wiedział, czy podoba mu się ten człowiek, jakim się stał.

— A przy okazji, co słyhać u Davida? — spytał. Helen ciężko westchnęła.

— David to David — stwierdziła, jakby to wszystko wyjaśniało. — Wygnał mnie na wieś, a sam siedzi w

Londynie. Dorwał zlecenie i robi coś dla Admiralicji. Odwiedzam go raz na parę tygodni. Woli, kiedy mnie nie ma. Wtedy swobodnie może oddawać się swoim ulubionym zajęciom.

Zażenowany szczerością Helen Vicary odwrócił wzrok. David Lindsay słynął nie tylko z ogromnego bogactwa i urody, ale także z uwodzenia kobiet.

Nic dziwnego, że zaprzyjaźnił się z Boothbym — pomyślał.

— Nie musisz udawać ignorancji, Alfredzie. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy wiedzą o Davidzie i jego ulubionej rozrywce. Przyzwyczyłam się do tego. David lubi kobiety, a one jego. To dość czysty układ.

— Dlaczego go nie rzucisz?

— Och, Alfredzie.

Machnięciem dłoni w rękawiczce uporała się z tą kwestią.

— A czy ty masz jeszcze kogoś?

— Chodzi ci o mężczyzn? Potaknął.

— Spróbowałam raz, ale trafiłam na złego kandydata. To był David, tyle że w nieco innym wydaniu. Poza tym dwadzieścia pięć lat temu złożyłam przysięgę w kościele parafialnym i najwyraźniej nie potrafię jej złamać.

— Szkoda że nie myślisz podobnie o przysiędze, którą złożyłaś mnie — odparł Vicary i natychmiast pożałował goryczy, która zabrzmiała w jego głosie.

Ale Helen spojrzała na niego, zamrugła, odpędzając łzy.

— Czasem ja też tego żałuję. No, powiedziałam to na głos. O Boże, jak to nieangielsko z mojej strony. Proszę, wybaczyć. To pewnie wina tych cholernych Amerykanów, którzy tu się tak rozpanoszyli.

Vicary poczuł, że się czerwieni.

— Nadal się spotykasz z Alice Simpson? — spytała Helen.

— A jakim cudem dowiedziałaś się o Alice Simpson?

— Wiem o wszystkich twoich kobietach, Alfredzie. Jest bardzo ładna. Nawet te jej cholerne książki mi się podobają.

— Rozpłynęła się. Wmawiałem sobie, że to wina wojny, mojej pracy. Ale tak naprawdę to po prostu nie była tobą. Więc pozwoliłem jej się rozplątać. Tak jak pozostałym.

— Och, niech cię лихо porwie, Alfredzie Vicary! Musiałeś to powiedzieć?

— Taka jest prawda. Zresztą, właśnie to chciałaś usłyszeć. Tylko w tym celu mnie odnalazłaś.

— Nie, wolałabym usłyszeć, że jesteś szczęśliwy. — Jej oczy zwilgotniały. — Nie chciałam się dowiedzieć, że zrujnowałam ci życie.

— Nie pochlebiaj sobie, Helen. Nie zrujnowałaś mi życia. Nie jestem nieszczęśliwy. Po prostu nie znalazłem w sercu dość miejsca na kogoś innego. Trudno mi zaufać drugiemu człowiekowi. Pewnie tobie powinienem za to podziękować.

— Rozejm. Proszę, ogłośmy zawieszenie broni. Nie chciałam, żebyśmy podjęli naszą ostatnią rozmowę. Po prostu pragnęłam spędzić z tobą trochę czasu. Boże, muszę się czegoś napić. Zabierzesz mnie w jakieś przyjemne miejsce i wlejesz we mnie butelkę wina, kochanie?

Poszli do „Duke'a”. O tej porze było tam jeszcze pustawo. Posadzono ich przy stoliku w kącie. Vicary cały czas oczekiwał, że zjawi się jakiś przyjaciel Davida i ich rozpozna, ale nikt im nie przeszkodził. Przeprosił Helen na chwilę i zadzwonił do Harry'ego, żeby wiedział, gdzie go szukać. Kiedy wrócił, na stole stało wiaderko z lodem, a w nim butelka koszmarnie drogiego szampana.

— Nie przejmuj się, kochanie — uspokoiła Helen. — David funduje.

Usiadł i błyskawicznie wypili połowę zawartości butelki. Rozmawiali o książkach Vicary'ego i o dzieciach Helen. A nawet jeszcze trochę o Davidzie. Vicary nie odrywał wzroku od Helen. Ten smutek goszczący w jej oczach, ból nieudanego małżeństwa z Davidem w dziwny sposób sprawiały, że stawała mu się jeszcze bliższa. Wyciągnęła rękę i przykryła nią jego dłoń. Poczuł, jak po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat serce mocniej mu bije w piersi.

— Czy czasem o nim myślisz, Alfredzie?

— O czym?

— Tamtym poranku.

— Helen, o czym ty...

— Na Boga, Alfredzie, czasem potrafisz być niewyobrażalnie tępy. O ranku, kiedy przyszedłem do twojego łóżka i po raz pierwszy wykorzystałem twoje ciało.

Vicary dopił szampana i nalał im obojgu do kieliszków.

— Nie... Właściwie nie — odparł.

— Na Boga, Alfredzie Vicary, ty wcale nie potrafisz kłamać. Jak to godzisz ze swoją najnowszą pracą?

— Niech ci będzie. Tak. Myślę o tym.

Kiedy ostatni raz? — spytał się w duchu. Tamtego ranka w Kencie, gdy ułożył komunikat dla stworzonego przez siebie agenta o pseudonimie Przepiórka.

— Przyłapuję się na tym, że przypominam sobie ten ranek w najmniej odpowiednich chwilach.

— Wiesz, oszukałam Davida. Zawsze mu mówiłam, że był pierwszy. Ale cieszę się, że to byłeś ty. — Bawiła się stopą kieliszka i patrzyła w okno. — To poszło tak szybko, chwila, może dwie. Ale kiedy teraz to wspominam, ciągnie się godzinami.

— Tak. Wiem, co masz na myśli. Zerknęła na niego.

— Nadal masz ten dom w Chelsea?

— Podobno tak. Nie byłem w nim od czterdziestego roku — dodał żartobliwie.

Odwróciła się od okna i spojrzała mu prosto w oczy. Pochyliła się i szepnęła:

— Chciałabym, żebyś mnie teraz tam zabrał i kochał się ze mną w swoim łóżku.

— Ja też bym chciał, Helen. Ale tylko znowu złamałabyś mi serce. A w moim wieku chyba już drugi raz bym się nie pozbierał.

Z twarzy Helen zniknął wszelki wyraz, a gdy w końcu przemówiła, jej głos był bezdźwięczny.

— Na Boga, Alfredzie, od kiedy stałeś się takim skończonym draniem?

Słowa zabrzmiały dziwnie znajomo. Przypomniał sobie, że to samo powiedział Boothby, biorąc go pod rękę po przesłuchaniu Petera Jordana.

Między nimi pojawił się cień. Przemknął po jej twarzy, tak że pomroczyła, i zniknął. Helen siedziała cicho, nieruchomo. Oczy jej zwilgotniały. Mruganiem powiek znowu powstrzymała łzy i odzyskała panowanie nad sobą. Vicary czuł się jak skończony idiota. Wszystko to za daleko się posunęło, wymknęło spod kontroli. Zrobił głupstwo, spotykając się z nią. Nic dobrego z tego nie mogło wyniknąć. Cisza ciążyła im teraz jak głaz. Automatycznie zaczął się obmacywać po kieszeniach w poszukiwaniu okularów i próbował wymyślić jakiś pretekst, by skończyć to spotkanie. Helen wyczuła jego nastrój. Nie odrywając wzroku od szyby, powiedziała:

— Za długo cię przetrzymuję. Wiem, że powinieneś wracać do pracy.

— Tak, naprawdę powinienem. Przepraszam.

— Nie daj im się uwieść — mówiła nadal do okna Helen. — Kiedy skończy się wojna, pozbądź się tych paskudnych szarych garniturów i wracaj do domu, do książek. Taki mi się bardziej podobałeś.

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył. Pochylił się, żeby ją pocałować w policzek, ale Helen przyciągnęła go do siebie i zaplótłszy mu ręce na karku, lekko pocałowała w usta. Uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że zmienisz zdanie. I to szybko.

— Całkiem niewykluczone.

— Dobrze.

— Do widzenia, Helen.

— Do widzenia, Alfredzie. Wzięła go za rękę.

— I jeszcze coś chcę ci powiedzieć. Niezależnie od tego, co robisz, nie ufaj Basilowi Boothby'emu, kochanie. To trucizna. Nigdy, przenigdy, nie stawaj plecami do niego.

Wtedy sobie przypomniał, co powiedziała o kochanku, który ją zdradził. „To był David, tyle że w innym wydaniu”. Nie, Helen — pomyślał. — To był Boothby.

Szedł. Gdyby mógł, biegłby. Szedł bezmyślnie, bez celu. Szedł, dopóki szrama na kolanie nie zaczęła piec żywym ogniem. Szedł, dopóki jego kaszel palacza omal nie rozszarpał mu płuc. Nagie gałęzie drzew w Green Parku kołysały się na wietrze, ich szum przypominał wodospad. Wiatr szarpał rozpiętym płaszczem, prawie go z niego zrywając. Vicary schwycił go pod szyję, a poły rozwiały się jak peleryna. Ciemności spowiły miasto niczym gruby welon. W mroku wpadł na jakiegoś hałaśliwego Amerykanina.

— Ej, jak leziesz, Angolu!

— Przepraszam, bardzo przepraszam — bąknął

Vicary i natychmiast tego pożałował. W końcu to jeszcze mój kraj, do cholery.

Czuł się jak zahipnotyzowany, jakby poruszał się nie z własnej woli. Nagle przypomniał sobie szpital w Sussex, gdzie leczył się z ran. I chłopca, który dostał w kręgosłup i nie mógł kontrolować ruchów rąk i nóg. Jak opisywał dziwną martwość, kiedy lekarze poruszali jego kończynami.

Boże, Helen, jak mogłaś? Boothby! Boże, Helen!

Przed oczami migaly mu przerażające wizje tych dwojga splecionych w uścisku. Zacisnął powieki, próbując wymazać ten obraz.

Cholera jasna! Cholera jasna! Każdy, byle nie Basil Boothby!

Zdumiewające, jak oto w niesamowity sposób jedna część jego życia nałożyła się na drugą. Helen i Boothby — absurdalne. Zbyt absurdalne, żeby się nad tym zastanawiać. Ale prawdziwe, to nie ulegało wątpliwości.

Gdzie doszedł? Poczul zapach rzeki, ruszył ku niej. Victoria Embankment. Holowniki wlokące barki w górę rzeki. Przygaszone światła, odległe trąbienie syreny mgłowej. Usłyszał mężczyznę, który jęczał z rozkoszy, i w pierwszej chwili sądził, że to znowu jego wyobraźnia. Spojrzał w lewo i w mroku zauważył zarys sylwetki dziwki wsuwającej ręce w rozporek żołnierza.

Och, dobry Boże! Przepraszam!

Znowu szedł. Miał ochotę wpaść do gabinetu Boothby'ego i zdzielić go w nos. Przypomniał sobie gabaryty zwierzchnika oraz pogłoski o jego umiejętnościach walki wręcz i uznał, że to by się równało samobójstwu. Miał ochotę wrócić do „Duke'a”, znaleźć Helen, wziąć ją do domu i nie myśleć o konsekwencjach. I wtedy — jak zwykle — przez głowę zaczęły mu przemykać

obrazy związane ze sprawą. Pusta teczka Vogla. Karl Becker w swojej wilgotnej celi. „Powiedziałem Boothby'emu”. Zmasakrowana twarz Rose Morely. Ucieczka Grace Clarendon z przybytku Boothby'ego. Pelikan. Hawke, chłopak Boothby'ego z Oksfordu. Nękało go dziwaczne poczucie, że jest wykorzystywany.

Czy i ja jestem takim Hawke'em? — pomyślał.

Gdzie teraz się znalazł? Northumberland Avenue. Zwolnił tempo, wsłuchując się w przyjemny szum popołudniowego ruchu ulicy. Podniósł wzrok i zobaczył ładną młodą kobietę, niecierpliwie przyglądającą się mijającym ją samochodom. To była Grace Clarendon — wszędzie by poznał tę masę jasnych włosów i krwistoczerwone wargi. Do krawężnika podjechał duży granatowy number. Boothby'ego. Drzwiczki się otworzyły i Grace wsiadła do środka. Samochód włączył się do ruchu. Vicary odwrócił głowę i patrzył w drugą stronę, kiedy wóz go mijał.

Vicary jechał na West Halkin Street. Zapadła noc, a wraz z nią przyszła ulewa przypominająca wiosenną burzę. Vicary przetarł okno i wyjrzał na ulicę. Londyńczycy tłumnie biegli chodnikami, jak cywile uciekający przed nadciągającą armią — skuleni pod płaszczami przeciwdeszczowymi i parasolkami, z których część przekreślił wiatr, ze słabymi latarkami z trudem rozjaśniającymi wilgotny mrok. Vicary rozważał dziwny splot okoliczności, dzięki któremu siedzi w rządowym samochodzie, a nie biegnie tam, na chodniku, razem z innymi. Nagle przypomniał sobie o Helen i zastanawiał się, gdzie też ona może teraz być. Miał nadzieję, że w jakimś bezpiecznym i suchym miejscu. Pomyślał o Grace

Clarendon wsiadającej do limuzyny Boothby'ego. Co, u licha, ona tam robiła? Czy odpowiedź jest oczywista? Czy Grace sypia równocześnie z Boothbym i z Harrym? A może to coś znacznie groźniejszego? W pamięci odtworzył tamte wykrzyczane w gniewie słowa, które podsłuchał pod drzwiami gabinetu Boothby'ego: „Nie zrobisz mi tego! Łajdak! Skończony drań!”.

Powiedz mi, do czego cię zmusił, Grace — pomyślał Vicary. — Powiedz, bo ja w żaden sposób się nie domyśle.

Samochód zatrzymał się pod jego drzwiami. Vicary wysiadł i zasłoniwszy się teczką przed ulewą, wbiegł do środka. Panował tu rozgardiasz, jak w jakimś teatrze, który szykuje się do niepewnej premiery. Vicary zdążył polubić tę atmosferę — hałaśliwe rozmowy obserwatorów przygotowujących się do nocy na ulicy, trzask technika, upewnającego się czy otrzymuje dobry sygnał z mikrofonów w mieszkaniu Jordana, zapachy z kuchni.

Najwyraźniej wygląd Vicary'ego musiał świadczyć o napięciu, bo nikt się do niego nie odezwał, gdy mijał zatłoczony pokój i ruszył na górę do biblioteki. Zdjął płaszcz i zawiesił go na haku na drzwiach. Odłożył teczkę na biurko. Potem wyszedł do Petera Jordana, którego zastał stojącego przed lustrem. Wkładał mundur.

Jeśli obserwatorzy pilnują technicznej strony przedstawienia, to Jordan jest jego gwiazdą, a ten mundur kostiumem — pomyślał.

Uważnie popatrzył na komandora. Chyba niewygodnie się czuł w mundurze, tak jak on sam w muszce, gdy raz na dziesięć lat ją wyciągał, próbując sobie przypomnieć, jak się to wiąże. Odchrząknął, by dać znać o swojej obecności. Jordan odwrócił głowę, przez chwilę się mu przyglądał, po czym zajął się swoim odbiciem w lustrze.

— Kiedy to się skończy? — spytał.

Stało się to już częścią ich wieczornych spotkań. Codziennie, zanim Vicary wysłał Jordana na randkę z Catherine Blake, z teczką pełną materiałów *Kettledrum*, Jordan zadawał to samo pytanie. Vicary zwykle udawał, że nie słyszy. Ale dziś odparł:

— Właściwie to niewykluczone, że całkiem niedługo. Jordan popatrzył zaskoczony, potem spojrział na puste krzesło.

— Proszę usiąść, wygląda pan fatalnie. Kiedy ostatni raz pan spał?

— Chyba w maju czterdziestego roku — odrzekł Vicary, zajmując miejsce.

— Zapewne nie może mi pan powiedzieć, dlaczego to już niedługo się skończy.

Vicary wolno potrząsnął głową.

— Niestety nie.

— Tak też myślałem.

— A czy to ma dla pana jakieś znaczenie?

— Właściwie nie.

Jordan skończył się ubierać. Zapalił papierosa i usiadł naprzeciwko Vicary'ego.

— Czy wolno mi zadawać pytania?

— To zależy wyłącznie od pytań. Jordan uśmiechnął się mile.

— Nie mam cienia wątpliwości, że nie jest pan zawodowym oficerem wywiadu. Czym się pan zajmował przed wojną?

— Wykładałem historię Europy na Uniwersytecie Londyńskim. Jemu samemu zabrzmiało to dziwacznie, jakby czytał czyjś życiorys. Wydawało się to tak dawno — dwa życia temu.

— Jak to się stało, że zaczął pan pracować dla MI— 5? Vicary zawahał się, uznał, że nie łamie żadnego przepisu

bezpieczeństwa, i opowiedział Jordanowi, jak to się stało.

— Lubi pan swoje zajęcie?

— Czasem. Ale bywa niekiedy, że go nienawidzę i nie mogę się doczekać powrotu za mury uczelni.

— Jak kiedy?

— Jak teraz — odparł bezdźwięcznie Vicary.

Jordan nie zareagował. Tak jakby rozumiał, że żaden oficer wywiadu, nawet najbardziej zepsuty, nie chlubiłby się taką operacją.

— Żonaty?

— Nie.

— W ogóle nie miał pan żony?

— Nie.

— Dlaczego?

Vicary pomyślał, że czasem Bóg ma wyjątkowo niesmaczne poczucie humoru. Trzy godziny temu odpowiadał na to samo pytanie kobiecie, która знаła odpowiedź. A teraz jego agent uderza w tę samą cholerną nutę.

— Widać nigdy nie trafiłem na odpowiednią kobietę — uśmiechnął się ze znużeniem.

Jordan mierzył go wzrokiem. Vicary czuł na sobie jego spojrzenie i niezbyt mu to odpowiadało. Przywykł do innych układów, i z Jordanem, i z niemieckimi szpiegami, których kontrolował. Vicary zadawał pytania. Vicary otwierał śluzy uczuć i szarpał zabliznione rany, póki nie zaczynały krwawić. Vicary szukał słabych punktów i wbijał ostrze. Podejrzewał, że właśnie dlatego tak dobrze się nadawał do takich misji. Mógł zaglądać do życia innych ludzi i wykorzystywać ich słabostki, nie naruszając przy tym swoich. Pomyślał o Karlu Beckerze w jego więziennym ubraniu. Uświadomił sobie, że lubi sprawować kontrolę, manipulować, oszukiwać, ciągnąć za sznurki.

Czy stałem się taki dlatego, że dwadzieścia pięć lat temu Helen mnie rzuciła? — pomyślał.

Wyciągnął z kieszeni paczkę playersów i bezmyślnie zapalił papierosa.

Jordan oparł łokieć o poręcz fotela, a brodę na dłoni. Spod ściągniętych brwi przyglądał się Vicary'emu, jakby ten był chwiejnym mostem, który lada chwila może się zawalić.

— A moim zdaniem kiedyś spotkał pan odpowiednią kobietę, tyle że ona nie odwzajemniła uczucia.

— Mówilem...

— Ach, więc jednak trafiłem. Vicary wydmuchnął obłok dymu.

— Jest pan inteligentny. Od początku o tym wiedziałem.

— Jak się nazywała?

— Nazywała się Helen.

— Co się stało?

— Przykro mi, Peter.

— Widuje się pan z nią jeszcze?

— Nie — odparł Vicary, kręcąc głową.

— Żałuje pan?

Vicary przypomniał sobie słowa Helen: „Nie chciałam się dowiedzieć, że zrujnowałam ci życie”. Czy zrujnowała jego życie? Chciałby móc sobie odpowiedzieć, że nie. Jak większość kawalerów, chętnie w duchu powtarzał, że prawdziwy z niego szczęściarz, nie obciążony żoną i dziećmi. Nikt nie wkraczał w jego świat i pracę, przed nikim nie musiał odpowiadać. Pieniądze wydawał, na co chciał. Dom umeblował wedle swego smaku, nie musiał się przejmować, że ktoś będzie mu grzebał w papierach albo prywatnych rzeczach. Tymczasem tak naprawdę był samotny — czasem straszliwie samotny. Tymczasem tak

naprawdę chciałby móc z kimś dzielić się swymi zwycięstwami i klęskami. I pragnął, żeby ktoś dzielił się z nim swoimi. Ilekroć obiektywnie przyglądał się swemu życiu, widział, że czegoś w nim brak: śmiechu, czułości, odrobiny hałasu, a czasem i nieporządku. Żył połowicznie. Połowiczne życie, połowiczny dom, połowiczny człowiek.

Czy żałuję?

— Tak, żałuję jednego — odezwał się, zaskoczony że wypowiada te słowa na głos. — Żałuję, bo przez to, że się nie ożeniłem, pozbawiłem się dzieci. Zawsze sądziłem, że bycie rodzicem to coś wspaniałego. I chyba, mimo wszelkich moich wad i niedostatków, umiałbym być dobrym ojcem.

W półmroku po twarzy Jordana przemknął uśmiech.

— Syn jest dla mnie całym światem. Łączy mnie z przeszłością i pozwala zerknąć w przyszłość. Tylko on mi pozostał. Jedyna prawdziwa rzecz po odejściu Margaret. Catherine była kłamstwem. — Przerwał, wpatrując się w dogasającego papierosa. — Nie mogę się doczekać, kiedy to się skończy, żeby móc do niego wrócić. Cały czas się zastanawiam, jak mu odpowiem na jego pytanie. „Tatusiu, co robiłeś w czasie wojny?”. I co, do cholery, mam mu wtedy powiedzieć?

— Prawdę. Że był pan utalentowanym inżynierem i że pomógł pan nam zbudować urządzenie, dzięki któremu zwyciężyliśmy.

— Ale to nie jest prawda.

Coś w głosie Jordana kazało Vicary'emu baczniej mu się przyjrzeć.

Co z tego nie jest prawdą? — pomyślał.

— Nie pogniewa się pan, jeśli to ja zadam panu teraz kilka pytań? — spytał wreszcie.

— Sądziłem, że może pan pytać o wszystko, co zechce.

Z moją zgodą i bez.

— Inne okoliczności, inny powód pytań. — **Wal pan.**

— **Kochał ją pan?**

— **Widział ją pan kiedyś?**

Vicary uświadomił sobie, że nigdy jej nie widział. Tylko na zdjęciach. Jordan mówił dalej:

— Tak, kochałem ją. Była piękną, inteligentną, czarującą kobietą i, jak się okazuje, również wyjątkowo utalentowaną aktorką. I może mi pan wierzyć lub nie, ale wydawało mi się, że stałaby się dobrą matką dla mojego syna.

— **Nadal ją pan kocha? Jordan odwrócił wzrok.**

— **Kocham tego kogoś, za kogo ją brałem. Nie kocham tej kobiety, którą, jak mi mówicie, ona jest. Coś we mnie niemal wierzy, że to wszystko jakiś żart. Przypuszczam, że właśnie to nas obu łączy.**

— **Mianowicie?**

— **Że zakochaliśmy się w nieodpowiednich kobietach.**

Vicary się zaśmiał. Spojrzał na zegarek.

— **Robi się późno.**

— **Tak — odparł Jordan.**

Vicary wstał i poprowadził Jordana do biblioteki. Otworzył teczkę i wyjął stertę dokumentów. Podał je Jordanowi, który włożył plik do swojej walizeczki. Stali w niezręcznym milczeniu. Przerwał je Vicary.

— **Przepraszam. Gdyby dało się to zrobić inaczej, zrobiłbym. Ale nie ma innego wyjścia. Przynajmniej na razie.**

Jordan nie odpowiedział.

— **Jedno mi nie daje spokoju od chwili pana przesłuchania. Dlaczego nie pamiętał pan nazwisk mężczyzn, którzy jako pierwsi zjawili się u pana w sprawie operacji *Mulberry*!**

— Tamtego tygodnia spotkałem się z mnóstwem osób. Połowy ich nie pamiętam.

— Twierdził pan, że jeden był Anglikiem.

— Tak.

— A nie nazywał się przypadkiem Brum?

— Nie, nie nazywał się Brum — odparł bez wahania Jordan. — To bym raczej zapamiętał. No, na mnie chyba już czas.

Jordan ruszył do drzwi.

— Chciałem pana jeszcze o coś spytać. Jordan się odwrócił.

— Mianowicie?

— Jest pan Peterem Jordanem, prawda?

— A co to, u licha, za pytanie?

— Całkiem proste. Czy jest pan Peterem Jordanem?

— Oczywiście, że jestem Peterem Jordanem. Wie pan co, profesorze? Trochę snu dobrze by panu zrobiło.

Rozdział piąty

Londyn

Clive Roach siedział przy oknie kafejki naprzeciwko mieszkania Catherine Blake. Kelnerka przyniosła mu zamówioną herbatę i bułkę, a on natychmiast położył na stoliku monety. Nawyk zawodowy. Roach zwykle opuszczał lokale w pośpiechu. Ostatnie, czego sobie życzył, to zwracać na siebie uwagę. Sączył kawę i bez przekonania przerzucał gazetę. Właściwie nie interesowała go jej zawartość. Znacznie bardziej interesowały go drzwi po drugiej stronie ulicy. Deszcz się rozpadał na dobre. Nie miał szczególnej ochoty wychodzić na taką pogodę. Tego aspektu swojej pracy nie lubił — nieustannego narażania się na paskudną pogodę. Nie zliczyłby już przeziębień i katarów, które przez to złapał.

Przed wojną wykładał w szkole dla chłopców w zapadłej dziurze. W 1939 roku postanowił zaciągnąć się do wojska. Nie nadawał się na idealnego żołnierza: chudy, o ziemistej cerze, przerzedzonych włosach, dość słabym głose. Gdzież mu tam do oficera. Czekać na komisję poborową, zauważył, że obserwuje go dwóch jegomościów w garniturach. Zauważył też, że zażądali jego akt i przeglądali je z wielkim zainteresowaniem. Po kilku minutach wyciągnęli go z kolejki, powiedzieli, że są z wywiadu wojskowego, i zaproponowali pracę.

Roach lubił obserwować. Miał to we krwi, błyskawicznie zapamiętywał też nazwiska i twarze. Och, zdawał sobie sprawę, że nie otrzyma medali za bohaterską walkę na polu bitwy, a po wojnie nie będzie mógł snuć w pubie długich opowieści kombatanckich. Ale wykonywał ważne zadania i dobrze się spisywał w tym zawodzie. Jadł

bulkę i myślał o Catherine Blake. Od 1939 roku śledził wielu niemieckich szpiegów, ale tamci nie sięgali jej do pięt. Prawdziwa profesjonalistka. Raz go wykiwała, ale po-przysiągł sobie, że to się więcej nie powtórzy.

Skończył bulkę i dopił herbatę. Zerknął znad stolika i zauważył, że Catherine wychodzi z domu. Podziwiał jej rzemiosło. Zawsze na moment się zatrzymywała, wykonując jakąś prozaiczną czynność, a równocześnie rozglądając się po ulicy i upewniając, czy nikt jej nie śledzi. Dziś mordowała się z parasolem, jakby jej się popsuł.

Jest pani bardzo dobra, panno Blake — pomyślał Roach. Ale ja jestem lepszy.

Patrzył, jak Catherine w końcu otwiera parasol i rusza. Roach wstał, włożył płaszcz i ruszył za nią.

Horst Neumann obudził się, kiedy pociąg telepał się przez północno— wschodnie przedmieścia Londynu. Zerknął na zegarek: wpół do jedenastej. Na Liverpool Station powinni byli dojechać o dziesiątej dwadzieścia trzy. Cud, że pociąg się spóźnił zaledwie o kilka minut. Ziewnął, przeciągnął się i wyprostował. Popatrzył przez okno na bure wiktoriańskie kamienice czynszowe, które mijali. Umorusane dzieciaki machały przejeżdżającemu pociągowi. Neumann odmachał im, czując się idiotycznie angielsko. W przedziale siedziało jeszcze troje pasażerów: dwóch żołnierzy i młoda kobieta w ubraniu robotnicy, która z troską zmarszczyła brwi na widok jego obandażowanej twarzy. Teraz powiódł po nich wszystkich wzrokiem. Zawsze się bał, czy nie mówił przez sen, choć przez ostatnie parę nocy śnił w języku angielskim. Odchylił głowę i znowu przymknął oczy. Boże, ależ był zmęczony. Pobudka o piątej, z wioski wyjechali o szóstej, żeby Sean

mógł go podrzucić do Hunstanton na pociąg do Londynu o 7.12.

Ubiegłej nocy źle spał. To przez rany i obecność Jenny Colville w łóżku. Obudziła go przed świtem, wymknęła się z domu Doghertych, żeby w strugach deszczu i ciemnościach wrócić rowerem do domu. Neumann miał nadzieję, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Miał nadzieję, że Martin na nią nie czekał. Głupio postąpił, zgadzając się, żeby z nim spędziła noc. Myślał o tym, jak się będzie czuła, kiedy on zniknie. Nie napisze, nie odezwie się ani słowem. Martwił się. Co by czuła, gdyby kiedykolwiek odkryła prawdę: że nie nazywał się James Porter i nie był rannym brytyjskim żołnierzem, który w ich wiosce szukał spokoju i wytchnienia. Że naprawdę nazywał się Horst Neumann i był odznaczonym niemieckim spadochroniarzem, który zjawiał się w Anglii, by szpiegować, i oszukał ją w najgorszy z możliwych sposób. Tylko w jednym jej nie oszukał. Lubił ją. Nie tak, jak by sobie życzyła, ale naprawdę leżało mu na sercu jej dobro.

Pociąg przyhamował, zbliżając się do Liverpool Street. Neumann wstał, włożył ciepłą kurtkę i wyszedł z przedziału. W korytarzu był ścisk. Wraz z innymi pasażerami przesuwiał się do wyjścia. Ktoś przed nim otworzył drzwi i Neumann wyskoczył z toczącego się pociągu. Dał bilet konduktorowi i przeszedł na stację metra. Tam kupił bilet do Tempie i złapał najbliższą kolejkę. Już po kilku minutach szedł na górę po schodach i kierował się na północ, do Strandu.

Catherine Blake wzięła taksówkę do Charing Cross. Punkt spotkania mieli wyznaczony niedaleko, przed sklepem na Strandzie. Zapłaciła kierowcy i rozłożyła

parasol. Ruszyła przed siebie. Zatrzymała się przy budce telefonicznej, podniosła słuchawkę i udawała, że dzwoni. Spojrzała przez ramię. Intensywny deszcz ograniczał widoczność, ale nie zauważyła towarzystwa. Odwiesiła słuchawkę, wyszła z budki i dalej szła StranDEM w kierunku wschodnim.

Clive Roach wymknął się z tyłu służbowej furgonetki i śledził Catherine idącą StranDEM. W czasie krótkiej przejażdżki zrzucił płaszcz i kapelusz i przebrał się w ciemnozielony sztormiak i wełnianą czapkę. Całkowicie się przeistoczył — z urzędnika w robotnika. Obserwował, jak Catherine Blake zatrzymuje się w budce i udaje, że dzwoni. On stanął przy stoisku z prasą. Przeglądając tytuły, przywołał przed oczy twarz agenta, którego profesor Vicary ochrzcił imieniem Rudolf. Roach otrzymał proste zadanie. Śledzić Catherine Blake, dopóki nie przekaze materiału Rudolfowi, a wtedy ruszyć za nim. Podniósł wzrok w chwili, gdy Catherine odwieszała słuchawkę i wychodziła z budki. Wtopił się w tłum i ruszył za nią.

Neumann zauważył Catherine zmierzającą w jego kierunku. Stanął przy sklepie, omiatając wzrokiem twarze i ubrania przechodniów na chodniku. Kiedy się zbliżyła, odwrócił się od witryny i ruszył w jej stronę. Kontakt trwał krótko, sekundę, może dwie. Ale wystarczyło, żeby negatyw znalazł się w dłoni Neumanna. Wsunął go do kieszeni. Catherine szybko poszła dalej i zniknęła w tłumie. Neumann zrobił kilka kroków, zapamiętując twarze. Potem nagle się zatrzymał przy innej witrynie, odwrócił się i dyskretnie ruszył za Catherine.

**Clive Roach namierzył Rudolfa i zauważył wymianę.
Spryciarze z was, co? — pomyślał.**

Widział, jak Rudolf się zatrzymuje, odwraca i idzie w tym samym kierunku, co Catherine Blake. Od 1939 roku Roach napatrzył się dość na spotkania niemieckich agentów, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby jeden potem śledził drugiego. Zwykle każde ruszało w swoją drogę. Roach podniósł kołnierz kurtki i ostrożnie podążył ich śladem.

Catherine Blake szła na wschód Strandem, potem Victoria Embankment. Właśnie wtedy zauważyła za sobą Neumanna. W pierwszej chwili ogarnął ją gniew. Wedle podstawowych instrukcji mieli się rozdzielać — i to szybko — po przekazaniu materiału. Neumann znał te zasady i do tej pory stosował się do nich bez zarzutu.

Więc dlaczego teraz za mną idzie?

Widać Vogel mu kazał.

Ale dlaczego? Nasuwały jej się dwa wyjaśnienia: przestał jej ufać i chciał się upewnić, dokąd idzie, albo chce sprawdzić, czy druga strona jej nie śledzi. Zatrzymała się nad Tamizą, obejrzała i zerknęła na ulicę. Neumann nie próbował się ukryć. Catherine ruszyła dalej.

Przypomniała sobie niezliczone wykłady w tajnej szkole szpiegów w Bawarii. Vogel nazywał to opieką — kiedy jeden z agentów śledzi drugiego, by się upewnić, czy tamten nie jest pod obserwacją. Zastanawiała się, dlaczego Vogel zdecydował się na taki ruch właśnie teraz. Może chciał sprawdzić, czy przekazywane przez nią informacje są dobre i wykluczyć możliwość, że służby brytyjskie wpadły na jej ślad. Na samą myśl o drugiej możliwości przeszły ją ciarki. Neumann idzie za nią, gdyż Vogel podejrzewa, że już znalazła się pod obserwacją MI— 5.

Jeszcze raz się zatrzymała i popatrzyła na rzekę,

zmuszając się do zachowania spokoju. Jasnego myślenia. Odwróciła się i powiodła wzrokiem po bulwarze. Neumann nadal tam był. Starał się unikać jej spojrzenia, to nie ulegało wątpliwości. Wpatrywał się to w rzekę, to w ulicę, wszędzie, byle nie patrzeć na nią.

Odwróciła się i podjęła marszrutę. Serce dudniło jej w piersi. Doszła do stacji metra Blackfriars, zniknęła w środku, kupiła bilet do Victorii. Neumann zrobił to samo, tyle że bilet kupił do South Kensington, następnego przystanku.

Szybko ruszyła na peron. Neumann kupił gazetę i podążył jej śladem. Stała, czekając na pociąg. Neumann trzymał się o parę metrów od niej. Czytał gazetę. Kiedy kolejka podjechała, Catherine poczekała, aż drzwi się otworzą, i wsiadła. Neumann wszedł do tego samego wagonu, ale w inne drzwi.

Usiadła. Neumann stał na drugim końcu wagonu. Catherine nie podobała się jego mina. Spuściła wzrok, otworzyła torebkę i zajrzała do środka — portfel z pieniędzmi, sztylet, naładowany mauzer z tłumikiem i dodatkową amunicją. Zatrzasnęła torebkę i czekała na następny ruch Neumanna.

Przez dwie godziny Neumann krążył za nią po West Endzie, od Kensingtonu do Chelsea, z Chelsea do Brompton, z Brompton do Belgravii, z Belgravii do Mayfair. Kiedy dotarli do Berkeley Square, zyskał już pewność. Tamci byli dobrzy — cholernie dobrzy — ale czas i jego wytrwałość zrobiły swoje: zabrakło im pomysłowości i musieli popełnić błąd. To ten mężczyzna w płaszczu, który idzie kilkanaście metrów za nim. Przed pięcioma minutami Neumann miał okazję dokładnie przyjrzeć się jego twarzy.

To był ten sam człowiek, którego widział niecałe trzy godziny temu na Strandzie, kiedy odbierał filmy od Catherine, tyle że wtedy facet nosił zielony sztormiak i wełnianą czapkę.

Neumann poczuł się przeraźliwie samotny. Przeżył wszystko, co w tej wojnie najgorsze: Polskę, Rosję, Krete, ale żadne z umiejętności, dzięki którym wtedy przetrwał, tutaj mu się nie przydadzą. Pomyślał o człowieku za sobą — znużonym, bladym, pewnie bardzo słabym. Gdyby zechciał, mógłby go w każdej chwili zabić. Ale w tej grze nie obowiązywały tamte reguły. Nie mógł wezwać posiłków, nie mógł liczyć na wsparcie towarzyszy. Szedł dalej, zaskoczony własnym spokojem.

Idą za nami od wielu godzin — pomyślał. Czemu nas nie aresztują?

Wydawało mu się, że zna odpowiedź. Widać chcą się dowiedzieć jeszcze więcej. Gdzie podrzuca film? Gdzie mieszka? Czy w siatce są jeszcze jacyś agenci? Dopóki nie udzieli tamtym odpowiedzi na te pytania, jemu i Catherine nic nie grozi. To niewiele, lecz jeśli sprytnie rzecz rozegra, może uda mu się stworzyć im obojgu okazję do ucieczki.

Neumann przyspieszył. Kilkanaście metrów przed nim Catherine skręciła w Bond Street. Zatrzymała się, żeby przywołać taksówkę. Neumann wydłużył krok, przeszedł w trucht.

— Catherine! — zawołał. — Wielkie nieba, toż od wieków cię nie widziałem! Co u ciebie słyhać?

Zerknęła, na jej twarzy mignęło przerażenie. Neumann wziął ją pod rękę.

— Musimy pogadać — ciągnął Neumann. — Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie nadrobilibyśmy zaległości.

Niespodziewany ruch Neumanna runął na punkt dowodzenia na West Halkin Street z siłą tysiącfuntovej bomby. Basil Boothby krążył po gabinecie i zdenerwowany odbywał telefoniczną konferencję z dyrektorem generalnym. Ten z kolei był w kontakcie z Komitetem Dwadzieścia i sztabem premiera w jego podziemnej kwaterze. Vicary spowił się w otoczkę spokoju i z brodą opartą na pięściach wpatrywał się w ścianę. Boothby cisnął słuchawkę.

— Komitet Dwadzieścia mówi, żeby pozwolić im działać — oznajmił.

— To mi się nie podoba — odparł Vicary, nie odrywając wzroku od ściany. — Najwyraźniej zauważyli obstawę. A teraz konferują, co z tym fantem zrobić.

— Nie możemy być tego pewni. Vicary spojrzał na przelożonego.

— Do tej pory nie zauważyliśmy, żeby się spotykała z innym agentem. A teraz ni z tego, ni z owego, siedzi sobie w kawiarence na Mayfair i popija herbatkę z Rudolfem?

— Obserwujemy ją dopiero od niedawna. Równie dobrze mogła się tak z nim regularnie spotykać.

— Coś tu nie gra. Podejrzewam, że wypatrzyli ogon. Co więcej, moim zdaniem Rudolf się za nim rozglądał. Właśnie dlatego ruszył za Catherine po spotkaniu na Strandzie.

— Komitet Dwadzieścia podjął decyzję. Powiedzieli, że mamy im pozwolić działać, więc zostawimy ich w spokoju.

— Jeśli zauważyli naszych ludzi, nie ma sensu pozwalać im działać. Rudolf nie podrzuci materiału i będzie się trzymał z dala od pozostałych agentów. Ze śledzenia ich teraz nie wyniknie nic dobrego. Gra się skończyła, sir Basilu.

— Co pan radzi?

— Wkroczyć do akcji. Aresztować, kiedy będą wychodzić z kawiarni.

Boothby popatrzył na Vicary'ego, jakby ten wygłosił herezję.

— Czyżby pana strach obleciał, Alfredzie?

— Co pan ma na myśli?

— Zaczniemy od tego, że to był pana pomysł. Pan na niego wpadł, pan go sprzedał premierowi. Dyrektor generalny go podpisał, Komitet Dwadzieścia zatwierdził. Od tygodni grupa oficerów dniami i nocami haruje, żeby wyprodukować materiały do teczki Jordana. A pan teraz po prostu każe zwinąć akcję, ot tak — Boothby tak głośno pstryknął palcami, że zabrzmiało to jak wystrzał — bo coś się panu nie uwidziało.

— Nic mi się nie uwidziało, sir Basilu. Wystarczy zajrzeć to tych cholernych raportów. Wszystko tam jest czarno na białym.

Boothby znowu krążył po gabinecie, zaplótłszy ręce na plecach, z głową lekko wysuniętą, jakby nasłuchiwał z dala nieprzyjemnych odgłosów.

— Powiedzą, że się nadawał do gry z radiem, ale do gry z prawdziwymi agentami zabrakło mu odwagi. Tak o panu powiedzą, kiedy będzie po wszystkim. „Choć czego właściwie mogliśmy się spodziewać. W końcu to amator. Mądrała z uniwersytetu, który starał się pomóc ojczyźnie w niebezpieczeństwie, a po wszystkim odszedł w zapomnienie. Był dobry, bardzo dobry, ale zabrakło mu jaj do gry o naprawdę wysoką stawkę”. Rzeczywiście chce pan, żeby tak pana podsumowali? Jeśli tak, to niech pan bierze telefon i powie dyrektorowi, że powinniśmy zwinąć całą akcję.

Vicary wpatrywał się w generała. Boothby, szef

agentów. Boothby, patrycjuszowski spokój nawet w największych opalach. Zastanawiał się, dlaczego zwierzchnik próbuje szantażem zmusić go do kontynuowania akcji, choć nawet ślepy by zauważył, że są spaleni.

— To koniec — odparł głucho. — Namierzyli obstawę. Siedzą, planując kolejny ruch. Catherine Blake wie, że ją wykorzystaliśmy, powiadomi o tym Kurta Vogla. A on z kolei wydedukuje, że *Mulberry* to przeciwieństwo tego, co mu wmówiliśmy. A wtedy już po nas.

— Są wszędzie — mówił Neumann. — Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, dziewczyna w kolejce do autobusu i ten jegomość, który wszedł do drogerii po drugiej stronie placu. Wykorzystywali różne twarze, różne kombinacje, różne przebrania. Ale idą za nami od Strandu.

Kelnerka podała herbatę. Catherine odczekała, aż odejdzie, dopiero wtedy się odezwała:

— Czy Vogel kazał ci mnie śledzić?

— Tak.

— Pewnie ci nie wyjaśnił dlaczego? Neumann potrząsnął głową.

Catherine wzięła swoją herbatę. Ręka jej drżała, drugą przytrzymała filiżankę i zmusiła się do wypicia.

— Co ci się stało w policzek?

— Miałem kłopoty w wiosce. Nic poważnego. Catherine przyjrzała mu się podejrzliwie i spytała:

— Dlaczego nas nie aresztowali?

— Z wielu powodów. Pewnie od bardzo dawna wiedzą o tobie. Najprawdopodobniej również od bardzo dawna cię śledzą. Jeśli tak, to wszystkie informacje, jakie zdobyłaś od komandora Jordana, to nieprawda, zasłona, od początku do końca utkana przez Brytyjczyków. A myśmy się okazali tak mili, że te informacje przekazywaliśmy prosto do

Berlina.

Odstawiła filiżankę. Popatrzyła na ulicę i znowu na Neumanna, zmuszając się, by nie spojrzeć na obserwatorów.

— Jeśli Jordan współpracuje z brytyjskim wywiadem, to możemy założyć, że wszystkie dokumenty z jego teczki są fałszywe. Umieszczali w niej to, co chcieli. Informacje mające zmylić Abwehre co do alianckich planów inwazji. — Zmusiła się do uśmiechu. — Możliwe że właśnie daliśmy się nabrać na spreparowaną wersję inwazji.

— Obawiam się, że masz rację. Ale pojawia się kolejny problem. Musimy o tym powiedzieć Voglowi osobiście. Trzeba założyć, że kanał przez ambasadę portugalską jest spalony. A także, że nie możemy posługiwać się naszymi nadajnikami. Vogel przypuszcza, że wszystkie stare szyfry Abwehry już złamano. Dlatego tak rzadko korzysta z radia. Jeśli przekazemy Voglowi to, co odkryliśmy, przez radio, Brytyjczycy też się o tym dowiedzą.

Catherine zapaliła papierosa; nadal nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Przede wszystkim była wściekła na siebie. Od lat tyle trudu wkładała w upewnianie się, czy przeciwnik jej nie śledzi. A teraz, gdy to się stało, nawet tego nie zauważyła.

— Jakim cudem wydostaniemy się z Londynu?

— Pozostało nam parę rzeczy, które możemy obrócić na swoją korzyść. Po pierwsze to. — Neumann postukał się w kieszeń, w której trzymał film. — Mogę się mylić, ale nie sądzę, żeby mnie wcześniej śledzili. Vogel dobrze mnie wyszkolił, a zachowywałem ogromną ostrożność. Nie przypuszczam, żeby wiedzieli, jak przekazuję materiały Portugalczykom: gdzie, czy i jakie mamy umówione sygnały. Poza tym jestem pewny, że mnie nie śledzili do Hampton Sands. Wioska jest tak mała, że natychmiast bym

się zorientował. Nie wiedzą, gdzie mieszkam i czy współpracuję jeszcze z jakimiś agentami. Standardowa procedura to znaleźć całą siatkę i dopiero wtedy wszystkich zwinąć. Tak gestapo postępuje z ruchem oporu we Francji i tak MI— 5 zrobiłaby w Londynie.

— Brzmi dość logicznie. Co proponujesz?

— Spotykasz się dziś z Jordanem?

— Tak.

— O której?

— O siódmej, na kolacji.

— Doskonale — odparł Neumann. — Oto, co masz zrobić. Przez następne pięć minut wyjaśnił jej szczegóły swego planu ucieczki. Catherine słuchała uważnie, nie odrywając od niego wzroku i opierając się pokusie spojrzenia na obserwatorów, którzy czekali przed kawiarnią. Na zakończenie Neumann powiedział:

— Cokolwiek będziesz robić, staraj się, żeby to nie było nic niezwykłego. Nic, co by wzbudziło w nich podejrzenia, że wiesz o obstawie. Bez przerwy krąż. Rób zakupy, wybierz się do kina, bądź na widoku. Dopóki nie podrzucę filmu, nic ci nie grozi. A gdy nadejdzie pora, wróć do siebie i zabierz radio. Będę o piątej, punktualnie o piątej, wejść kuchennymi drzwiami. Zrozumiałaś?

Catherine potaknęła.

— Jest tylko jeden problem — powiedział Neumann.

— Masz jakiś pomysł, gdzie mógłbym się dorwać do samochodu i dużych ilości paliwa?

Roześmiała się wbrew sobie.

— Tak się składa, że znam idealne miejsce. Ale nie radziłabym się na mnie powoływać.

Neumann wyszedł z kawiarni pierwszy. Przez pół

godziny błąkał się po Mayfair w towarzystwie co najmniej dwóch ludzi — tego w sztormiaku i tego w płaszczu przeciwdeszczowym.

Deszcz rozpadał się na dobre, wiał silny wiatr. Neumann przemarzył na kość, był zmęczony. Musiał gdzieś odpocząć, *znaleźć* miejsce, żeby się ogrzać, usiąść i mieć oko na swoich kumpli: Sztormiaka i Płaszczyka. Skierował się na Portman Square. Miał wyrzuty sumienia, że wciąga w to dziewczynę, ale po wszystkim ją przesłuchają i zorientują się, że o niczym nie wiedziała.

Zatrzymał się przed księgarnią i zajrzał przez okno. Sara stała na drabince, ciemne włosy miała ściągnięte w skromny koczek. Lekko zastukał w szybę, żeby jej nie przestraszyć. Obejrzała się i jej twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech. Odłożyła książki i entuzjastycznym machaniem ręki zaprosiła go do środka.

— O Boże! Strasznie wyglądasz! — krzyknęła, ledwo na niego spojrzała. — Co ci się stało?

Neumann się zawahał. Uświadomił sobie, że zapomniał przygotować historyjkę, skąd się wziął opatrunek na jego twarzy. Wybąkał coś o potknięciu się w ciemnościach, a Sara najwyraźniej kupiła tę bajkę. Pomogła mu zdjąć płaszcz i powiesiła ubranie na kaloryferze. Przesiedział z nią dwie godziny, pomagając rozkładać nowe książki na półki. Pili razem herbatę w kawiarni podczas jej przerwy. Zauważył, jak starzy obserwatorzy odchodzą i zastępują ich nowi. Dostrzegł czarną furgonetkę na rogu i założył, że ludzie na przednim siedzeniu to nieprzyjaciel.

O wpół do piątej, kiedy zmierzchało i nad miastem zapadł mrok, zdjął płaszcz z grzejnika. Sara wykrzywiła się żałościwie, wzięła go za rękę i zaprowadziła do magazynu. Tam oparła się o ścianę, przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

— Nie wiem o tobie zgoła nic, Jamesie Porterze, ale bardzo cię polubiłam. Jest w tobie jakiś smutek, który mi się podoba.

Neumann wyszedł ze świadomością, że nigdy więcej się z nią nie spotka. Z Portman Square skierował się na północ do stacji metra Baker Street. Pilnowało go co najmniej dwóch ludzi i czarna furgonetka. Wszedł na stację, kupił bilet do Charing Cross, po czym złapał najbliższą kolejkę. W Charing Cross przesiadł się i ruszył na Euston. W obstawie dwóch mężczyzn przeszedł tunel łączący stację metra z koleją. Czekał piętnaście minut pod okienkiem i kupił bilet do Liverpoolu. Nim dotarł na peron, pociąg już stał. W wagonie siedziało sporo ludzi. Szukał przedziału z jednym wolnym miejscem. W końcu znalazł taki, otworzył drzwi i usiadł.

Spojrzał na zegarek: trzy minuty do odjazdu. Korytarz coraz bardziej się zapełniał. Często się zdarzało, że pechowi podróżni musieli całą podróż przestać albo przesiedzieć na korytarzu.

Neumann wstał i bąknąwszy coś o chorym żołądku, wysunął się z przedziału. Skierował się do toalety na końcu wagonu. Zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Stukając drugi raz, obejrzał się przez ramię. Mężczyźni, który wsiadł za nim do pociągu, przesłonili widok pasażerowie na korytarzu.

Doskonale. Pociąg ruszył. Neumann czekał przed toaletą, podczas gdy pociąg wolno się rozpędzał. Już teraz nabral prędkości, którą większość ludzi uznałaby za zbyt niebezpieczną, by ryzykować skok. Odczekał jeszcze kilka sekund, przepchnął się do drzwi, otworzył je i wyskoczył na peron.

Wylądował gładko, przebiegł parę kroków i wyhamował do szybkiego marszu. Podniósł wzrok w chwili,

gdy rozdrażniony konduktor zatrząskiwał drzwi. Szybko ruszył do wyjścia i zniknął w mroku.

Na Euston Road było tłoczno od samochodów. Zatrzymał taksówkę i wskoczył do środka. Podał kierowcy adres na East Endzie i ułożył się wygodnie na siedzeniu.

Rozdział szósty

Hampton Sands, Norfolk

Mary Dogherty czekała samotnie w domu. Zawsze uważała dom za czarujące miejsce: ciepłe, jasne, przestronne. Teraz jednak czuła się w nim klaustrofobicznie, jak w grobowcu. Krążyła niespokojnie. Na dworze szalał zapowiadany od jakiegoś czasu potężny sztorm. Deszcz siekł w okna, aż szyby dźwięczały. Wiatr dał, zawodził w drzewach. Mary usłyszała trzask spadającej dachówki.

Seana nie było, pojechał na stację do Hunstanton odebrać Neumanna z pociągu. Mary odwróciła się od okna i znowu zaczęła krążyć. Strzępki ich porannej rozmowy raz po raz przelatywały jej przez głowę jak melodia z zaciętej płyty: „łódź podwodna do Francji... jakiś czas zatrzymam się w Berlinie... potem przerzut do innego państwa... wrócę do Irlandii... przyjedź tam do mnie, gdy skończy się wojna...”.

Ciągle to do niej nie docierało. Jakby słuchała rozmowy obcych, oglądała film albo czytała to w książce. Nie mieściło jej się to w głowie: Sean Dogherty, zapity rolnik z wybrzeża Norfolk, i sympatyk IRA, popłynie U— bootem do Niemiec. Pomyślała, że to zapewne logiczne uwieńczenie jego szpiegowskiej działalności. Była idiotką, licząc, że po wojnie wszystko wróci do normy. Mamiła się. Co zrobią władze? „Zwyczajnie powiedz, że nic o tym nie wiedziałaś, Mary”. A jeśli jej nie uwierzą? Co się wtedy stanie? Jak długo mogłaby mieszkać w wiosce, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że Sean szpiegował? Wypędzono by ją z Norfolk. I z każdej angielskiej wioski, w której próbowałaby osiąść. Musiałaby porzucić Hampton Sands. Musiałaby porzucić Jenny

Colville. Wrócić do Irlandii, do zabiedzonej wsi, z której się wyrwała przed trzydziestu laty. Jej rodzina nadal tam mieszkała, przyjęliby ją.

Na samą myśl o tym Mary przebiegł dreszcz. Ale nie będzie miała wyboru — nie, kiedy wszyscy się dowiedzą, że Sean pracował dla Niemców.

Rozplakała się.

Bodajby cię licho porwało, Seanie Dogherty! — pomyślała. Jak mogłeś być takim cholernym głupcem?

Wróciła do okna. Na drodze od strony wioski dostrzegła słabe światełko przedzierające się przez ulewę. Po chwili widziała już błyszczący, mokry sztormiak i niewyraźny zarys rowerzysty — ktoś pochylony, z rozstawionymi łokciami, zmagal się z wiatrem. To była Jenny Colville. Zeskoczyła przy bramie i poprowadziła rower ścieżką. Mary otworzyła drzwi. Wiatr szalał, deszcz i zimny powiew wdarł się do środka. Mary wciągnęła dziewczynę, pomogła jej zdjąć mokrą kurtkę i czapkę.

— Na miłość boską, Jenny, co robisz na dworze w taką pogodę?

— Och, Mary, jest cudownie. Tak wietrznie, tak wspaniale.

— Najwyraźniej postradałaś zmysły, dziecino. Usiądź przy ogniu. Zaparzę herbaty.

Jenny ogrzewała się przy kominku.

— Gdzie jest James? — spytała.

— Nie ma go — odkrzyknęła Mary z kuchni. — Wyjechał gdzieś z Seanem.

— Och — odparła Jenny. W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. — A kiedy wróci?

Mary zastygła na chwilę. Wróciła do saloniku i przyjrzała się dziewczynie.

— A skąd to nagle zainteresowanie Jamesem?

— Po prostu chciałam się z nim spotkać. Przywitać się. Trochę porozmawiać. To wszystko.

— Wszystko? Co, u licha, w ciebie wstąpiło, Jenny?

— Lubię go, Mary. Bardzo go lubię. A on mnie. Lubisz go, a on ciebie? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Wiem, Mary, uwierz mi. Nie pytaj skąd, ale wiem. Mary chwyciła ją za ramiona.

— Posłuchaj, Jenny. — Potrząsnęła dziewczyną. — Słuchasz mnie?

— Tak, Mary. To boli!

— Trzymaj się od niego z daleka. Zapomnij o nim. On nie nadaje się dla ciebie.

Jenny zaczęła płakać.

— Nie mogę o nim zapomnieć, Mary. Kocham go. On też mnie kocha. Wiem, że kocha.

— Jenny, on cię nie kocha. Nie każ mi tego teraz tłumaczyć, bo nie mogę, kochanie. To dobry człowiek, ale nie jest tym, za kogo się podaje. Zapomnij o nim. Wybij go sobie z głowy. Musisz mi zaufać, maleńka. On nie jest dla ciebie.

Jenny wyrwała się z uścisku Mary, cofnęła się i wytarła łzy.

— On jest dla mnie, Mary. Kocham go. Od tak dawna kiesz się z Seanem, że zapomniałaś, co znaczy miłość.

To mówiąc złapała ubranie i wypadła z domu, z hukiem trzaskając drzwiami. Mary podbiegła do okna i patrzyła, jak Jenny pedałuje przez zawieruchę.

Deszcz siekł Jenny po twarzy, kiedy wracała do wioski. Obiecała sobie, że więcej nie będzie płakać, ale nie była w stanie dotrzymać słowa. Łzy mieszały się z deszczem i płynęły po twarzy. Wszystkie domy były szczelnie

pozamykane, nawet sklep i pub, wszystkie okna zasłonięte okiennicami. Latarka z koszyka słabym, żółtawym promieniem oświetlała trasę. Jenny widziała tylko smuzkę drogi. Minęła wioskę i ruszyła do siebie.

Rozsadzała ją złość na Mary. Jak ona może stawać między nią a Jamesem? I co miała znaczyć ta jej uwaga? „Nie jest tym, za kogo się podaje”. Była też wściekła na siebie. Męczyły ją wyrzuty sumienia za słowa, które rzuciła na odchodnym. Nigdy przedtem się nie kłóciła. Rano, kiedy wszystko się uspokoi, wróci i przeprosi.

W oddali majaczył na ciemnym niebie zarys jej domu. Przy furtce zeskoczyła z roweru, zaprowadziła go pod ścianę. Ojciec stanął w drzwiach, wycierając ręce w szmatę. Twarz miał jeszcze opuchniętą po bójce. Jenny próbowała go ominąć, ale złapał ją i w żelaznym uchwycie zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Znowu z nim byłaś?

— Nie, tato. — Krzyknęła z bólu. — Puść, to mnie boli. Zamachnął się, jego brzydką, obrzmiałą twarz wykrzywiała wściekłość.

— Gadaj prawdę, Jenny! Znowu się z nim spotkałaś?

— Nie, przysięgam! — zawołała, zasłaniając się ramieniem przed ciosem, który mógł spaść w każdej chwili. — Błagam, tato, nie bij mnie. Mówię prawdę!

Martin Colville rozluźnił uścisk.

— Wejdz do środka i zrób *mi* kolację.

Sam sobie ugotuj swoją cholerną kolację! — chciała wrzasnąć, ale wiedziała, czym by się to skończyło.

Popatrzyła na niego i przez moment żałowała, że James go nie zabił.

To już ostatni raz. Ostatni — obiecała sobie w duchu. Weszła do domu, zdjęła przemoczoną kurtkę, powiesiła ją na haku w kuchni i zajęła się szykowaniem kolacji.

Rozdział siódmy

Londyn

Już w chwili gdy Rudolf wszedł do zatłoczonego wagonu, Clive Roach wiedział, że nie jest dobrze. Jakoś sobie poradzi, dopóki agent będzie siedział w przedziale. Ale jeśli wyjdzie do toalety, wagonu restauracyjnego albo w ogóle do drugiego wagonu, zaczną się kłopoty. Przejście było zapchane, część pasażerów stała, część siedziała, próbując się przespać. Przechodzenie przez pociąg to mordęga. Trzeba się przepychać, wciskać, nieustannie powtarzać: „Przepraszam, bardzo przepraszam”. Trudno w takiej sytuacji kogoś dyskretnie śledzić, a podążanie za dobrym agentem staje się praktycznie niemożliwe. To zaś, o czym Roach już zdążył się przekonać, wskazywało, że Rudolf był dobry.

Roach nabral podjęrzeń, gdy Rudolf wyszedł z przedziału, trzymając się za brzuch, chociaż pociąg jeszcze stał na peronie przy Euston, i zaczął się przepychać przez zatłoczony korytarz. Rudolf był niski, więc jego głowa szybko zniknęła w morzu głów innych pasażerów. Roach przesunął się kilka kroków do przodu, wśród narzekań i stęknęć współpodróżnych. Nie chciał się zbytnio zbliżyć do Rudolfa, który wielokrotnie dziś sprawdzał swoje tyły i mógł zauważyć jego twarz. Dzięki wymogom zaciemnienia w korytarzu panował półmrok, pogłębiony jeszcze dymem papierosowym. Roach trzymał się w cieniu i patrzył, jak Rudolf dwukrotnie stuka do toalety. Tuż obok przepychał się inny pasażer. Na parę sekund zasłonił mu widok. Kiedy Roach ponownie spojrział w tamtą stronę, Rudolfa nie było.

Roach wytrzymał na stanowisku trzy minuty, nie spuszczać wzroku z drzwi toalety. Podszedł jakiś

mężczyzna, zapukał, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

W mózgu Roacha zabrzmiał sygnał alarmowy.

Przedarł się przez ciżbę, zatrzymał przed ubikacją i załomotał do drzwi.

— Poczekaj na swoją kolej jak każdy inny — rozległ się głos ze środka.

— Otwierać, akcja policji.

Po kilku sekundach mężczyzna otworzył drzwi, zapinając rozporek. Roach zajrzał do środka, żeby się upewnić, czy nie ma tam Rudolfa.

Szlag by to!

Otworzył na oścież drzwi między wagonami. W drugim wagonie również panował półmrok i ścisk, wszędzie snuł się dym papierosowy. Nie znajdzie Rudolfa, chyba że przeszuka cały pociąg, przedział po przedziale.

Jakim cudem tak szybko zniknął?

Najszybciej jak się dało przeszedł do pierwszego wagonu, znalazł konduktora, staruszka w druciakach, ze szpotawą stopą. Roach wyciągnął zdjęcie Rudolfa i podsunął kolejarzowi pod nos.

— Widział gdzieś pan tego człowieka?

— Niski jegomość?

— Tak — odparł Roach, ostatecznie się załamując. Niech to szlag! Niech to szlag!

— Wskoczył z pociągu, kiedy ruszaliśmy z Euston. Miał szczęście, że sobie nie złamał giry.

— Chryste? Dlaczego pan nic nie powiedział? — Uświadomił sobie, jak idiotycznie musiała zabrzmieć ta uwaga. Z wysiłkiem się opanował. — Gdzie jest najbliższy przystanek?

— W Watford.

— Za ile?

— Jakieś pół godziny.

— Za długo. Muszę wysiąść z pociągu już teraz.

Roach wyciągnął rękę, szarpnął hamulec bezpieczeństwa. Pociąg natychmiast zwolnił i zaczął hamować.

Stary konduktor przyjrzał mu się, jego oczka szybko mrugały za okularami.

— Nie jest pan zwykłym policjantem, prawda?

Roach nic nie odpowiedział; pociąg właśnie się zatrzymał. Otworzył drzwi, zeskokczył na torowisko i zniknął w ciemnościach.

Neumann zapłacił taksówkarzowi w pobliżu magazynu Pope'a i przeszedł ostatni odcinek na piechotę. Przełożył mauzera zza paska spodni na pierś, do kieszeni kurtki, i podniósł kołnierz, chroniąc się przed deszczem. Pierwszy akt przebiegł bez zakłóceń. Zmyłka w pociągu poszła idealnie. Neumann był pewny, że od stacji Euston nikt już go nie śledził. To znaczyło jedno: Płaszczyk, mężczyzna, który pilnował go w pociągu, prawie na pewno właśnie jedzie z Londynu w stronę Liverpoolu. Ale nie jest kretynem. Wkrótce się zorientuje, że Neumann nie wrócił do przedziału i *zacznie* poszukiwania. Może pytać. Jego ucieczka nie przeszła nie zauważona: konduktor widział, jak skakał z pociągu. Gdy Płaszczyk uświadomi sobie, że Neumann zbiegł z pociągu, wysiądzie na najbliższym przystanku i zadzwoni do szefów w Londynie. Neumann zdawał sobie sprawę, że dysponuje bardzo niewielką przestrzenią. Musi działać szybko.

W magazynie panowały ciemności, wyglądał na opuszczony. Neumann nacisnął dzwonek i czekał. Nikt nie odpowiedział. Zadzwonił jeszcze raz i tym razem z drugiej

strony dobiegł go odgłos czyichś kroków. Po chwili drzwi się uchyliły i pojawił się w nich ciemnowłosy olbrzym w skórzanym płaszczu.

— Czego?

— Chciałbym się zobaczyć z panem Pope'em — odezwał się uprzejmie Neumann. — Potrzebuję kilku rzeczy i powiedziano mi, że właśnie tu powinienem się udać.

— Pana Pope'a nie ma, a my wycofaliśmy się z interesu, więc się odwal.

Chciał zamknąć drzwi, lecz Neumann wsunął stopę w szparę.

— Przepraszam, ale to naprawdę pilne. Może jednak by mi pan pomógł.

Olbrzym mierzył Neumanna wzrokiem, na jego twarzy malowała się niepewność. Najwyraźniej próbował pogodzić akcent Anglika z dobrej rodziny z kurtczyną i opatrunkiem na twarzy.

— Chyba nie dosłyszałeś, co mówiłem — powtórzył. — Wycofaliśmy się z interesu. Zwinęliśmy budę. — Złapał Neumanna za ramię. — A teraz spierdalaj.

Neumann rąbnął go w jabłko Adama, potem wyciągnął mauzera i strzelił mu w nogę. Mężczyzna runął na ziemię, na przemian wyjąc z bólu i próbując schwytać oddech. Neumann wszedł do środka i zamknął bramę. Magazyn wyglądał dokładnie tak, jak go opisała Catherine: furgonetki, samochody, motocykle, zwały czarnorynkowego jedzenia i liczne kanistry paliwa.

Pochylił się nad rannym.

— Rusz się, a strzele jeszcze raz, tyle że tym razem nie w stopę. Zrozumiano?

Olbrzym jęknął.

Neumann wybrał czarną furgonetkę, otworzył drzwiczki i uruchomił silnik. Złapał dwa kanistry paliwa i

wrzucił na tył samochodu. Po namyśle jednak uznał, że czeka ich bardzo długa podróż, więc załadował jeszcze dwa. Wsiadł do szoferki, podjechał do bramy, wyszedł i otworzył ją.

Zanim zniknął, przyklęknął przy rannym i poradził:

— Na twoim miejscu udałbym się natychmiast do szpitala. Tamten popatrzył na niego. Nic nie rozumiał.

— Kim ty, do cholery, jesteś?

Neumann uśmiechnął się, wiedząc, że prawda brzmi zbyt absurdalnie, żeby osilek uwierzył.

— Jestem niemieckim szpiegiem, uciekającym przed MI— 5.

— Taa... A ja, kurwa, samym Adolfem Hitlerem. Neumann wspiął się do szoferki i ruszył.

Harry Dalton zdarł z reflektorów osłony i niebezpiecznie szybko mknął do zachodniej dzielnicy Londynu. Sekcja transportu zaoferowała mu wytrawnego kierowcę, ale on wołał sam prowadzić. Jak szalony przedzierał się przez sznur samochodów, nie zdejmując ręki z klaksonu. Obok niego siedział Vicary, trzymając się deski rozdzielczej. Wycieraczki na próżno próbowały oczyścić szybę z wody. Skręcając w Cromwell Road, Harry tak ostro przyspieszył, że tył samochodu wpadł w poślizg na wilgotnym poboczu. Policjant dalej lawirował wśród samochodów, potem skręcił na południe, w Earl's Court Road. Wjechał w boczną uliczkę, pomknął wąską drogą, raz gwałtownie skręcając, żeby nie wpaść na pojemnik ze śmieciami, a drugi raz, żeby nie rozjechać kota. Kiedy znaleźli się na tyłach budynku, z całej siły nadepnął na hamulec. Samochód gwałtownie się zatrzymał.

Harry i Vicary wypadli z wozu, kuchennymi drzwiami

wbiegli do środka i dudniąc na schodach popędzili na piąte piętro, gdzie mieścił się punkt obserwacyjny. Nie zwracając uwagi na przenikliwy ból przeszywający mu kolano, Vicary dotrzymywał kroku Harry'emu.

Gdyby Boothby pozwolił mi ich aresztować parę godzin temu, nie wpadlibyśmy teraz w to bagno.

Wszystko się waliło.

Agent, którego ochrzcili Rudolfem, właśnie wyskoczył z pociągu na dworcu Euston i rozpląnął się w mieście. Vicary musiał założyć, że próbuje uciec z kraju. W tych okolicznościach nie pozostało mu nic innego, jak aresztować Catherine Blake. Musiał ją zamknąć i śmiertelnie przerazić. Wtedy może powie, gdzie zniknął Rudolf, jak zamierzał uciec z kraju, czy są w to wplątani inni agenci i gdzie Rudolf trzyma radio.

Vicary nie był optymistą. Instynkt mówił mu, że ta kobieta nie pójdzie na współpracę, nawet wobec perspektywy szubienicy. A wystarczy, że będzie grać na zwłokę, dając Rudolfowi czas na ucieczkę. Jeśli to jej się uda, Abwehra zdobędzie dowody pozwalające się domyślać, że brytyjski wywiad prowadził szeroko zakrojoną akcję dezorientacji. Konsekwencji lepiej nie rozważać. Cały trud włożony w operację *Fortitude* pójdzie na marne. Niemcy się domyśla, że alianci zamierzają atakować Normandię. Inwazję trzeba będzie odłożyć, zmienić cały plan, inaczej skończy się jatką. Hitler dalej będzie żelazną ręką trzymał Europę. Jego ofiarą padną kolejne niezliczone rzesze ludzi. A wszystko dlatego że operacja Vicary'ego zakończyła się fiaskiem. Teraz mieli już tylko jedną szansę: aresztować Catherine Blake, zmusić ją do mówienia i zatrzymać Rudolfa, zanim ucieknie z kraju albo skorzysta z radia.

Harry pchnął drzwi mieszkania, w którym ulokowano

punkt obserwacyjny, i weszli do środka. Zasłonki były podniesione, w pokoju nie paliło się żadne światło. Vicary usiłował rozróżnić sylwetki stojące nieruchomo, w różnych pozach, niczym posągi w ciemnym ogrodzie: dwóch wycieńczonych obserwatorów tkwiło przy oknie, szóstka spiętych funkcjonariuszy wydziału specjalnego przylepiła się do ściany. Ich szef nazywał się Carter. Był to rosły mężczyzna o grubym karku i piegowatej skórze. W kącie wydatnych ust dyndał mu papieros, zgaszony ze względów bezpieczeństwa. Kiedy Harry przedstawił Vicary'ego, Carter mocno uściskał mu rękę, po czym zaprowadził do okna, by go zapoznać z przebiegiem akcji. Wygasły popiół spadał z papierosa, kiedy mówił.

— Wejdziemy frontowymi drzwiami — tłumaczył. W jego głosie słyhać było ślad akcentu z północy. — Równocześnie zablokujemy ulicę z obu końców i dwóch naszych ludzi osłoni tylne wejście. Kiedy znajdziemy się w środku, nie będzie miała dokąd uciec.

— Najważniejsze, żebyście ją wzięli żywcem — powiedział Vicary. — Martwa nic nam nie da.

— Harry wspominał, że dobrze sobie radzi z bronią.

— Zgadza się. Mamy powody przypuszczać, że jest uzbrojona w pistolet i nie zawaha się przed jego użyciem.

— Zgarniemy ją tak szybko, że nawet się nie zorientuje. Jesteśmy gotowi, czekamy tylko na rozkaz.

Vicary odwrócił się od okna i podszedł do aparatu. Wykręcił numer wydziału i czekał, aż telefonistka połączy go z gabinetem Boothby'ego.

— Ludzie z wydziału specjalnego czekają na nasz rozkaz — powiedział, kiedy generał się zgłosił. — Mamy już zgodę?

— Nie. Komitet Dwadzieścia nadal obraduje. A bez ich zgody nie możemy przystąpić do akcji. Oni teraz trzymają

wszystko w garści.

— O Boże! Może ktoś by wyjaśnił Komitetowi Dwadzieścia, że akurat na czasie to nam nie zbywa. Jeśli chcemy mieć choć cień szansy dopadnięcia Rudolfa, musimy wiedzieć, dokąd jedzie.

— Rozumiem pana dylemat — uspokajał sir Basil.

Pana dylemat. Mój dylemat, sir Bąsilu? — pomyślał Vicary.

— Kiedy podejmą decyzję? — spytał na głos.

— W każdej chwili. Natychmiast do pana oddzwonię. Vicary odłożył słuchawkę i krążył po ciemnym pokoju. Podeszedł do jednego z obserwatorów.

— Jak długo jest w środku? — Mniej więcej od kwadransa.

— Od kwadransa? Dlaczego tak długo krążyła po mieście? To mi się nie podoba.

Zadzwoił telefon. Vicary rzucił się do aparatu i przycisnął słuchawkę do ucha.

— Mamy zgodę Komitetu Dwadzieścia — odezwał się Basil Boothby. — Bierz ją, Alfredzie. I powodzenia.

Vicary cisnął słuchawkę na widelki.

— Do roboty, panowie. — Popatrzył na Harry'ego. — Żywa. Potrzebna nam żywa.

Harry z ponurą miną skinął głową i wyszedł na czele funkcjonariuszy wydziału specjalnego. Vicary słuchał echa kroków, ginącego na schodach. Po chwili zauważył czubki ich głów, gdy wynurzyli się z budynku i skierowali na drugą stronę ulicy, do mieszkania Catherine Blake.

Horst Neumann zaparkował samochód w bocznej uliczce w pobliżu mieszkania Catherine. Wsiadł i cicho zamknął drzwiczki. Szybkim krokiem ruszył chodnikiem,

trzymając ręce głęboko w kieszeniach, w jednej ściskając uchwyt mauzera.

Ulica tonęła w nieprzeniknionych ciemnościach. Dotarł do rumowiska, które niegdyś było tarasem mieszkania. Szedł po omacku, czuł pod rękami kawałki drewna, cegły i powyginane rynny. Gruzowisko kończyło się prawie dwumetrową ścianą. Po drugiej stronie muru znajdował się ogród — Neumann widział go z okna pokoju Catherine. Szarpnął furtkę. Zamknięta na rygiel. Będzie musiał ją otworzyć od drugiej strony.

Oparł ręce na murze, wybił się i podciągnął. Znalazłszy się na górze, przerzucił nogę na drugą stronę i zawisł tak na parę sekund, patrząc w dół. Nie widział stąd ziemi. Mógł spaść na wszystko: śpiącego psa, rząd pojemników na śmiecie, które zagrzechoczą, gdy na nich wyląduje. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie włączyć latarki, ale to mogło zwrócić na niego uwagę. Zsunął się ze ściany i wylądował na ziemi. Nie było tu żadnych psów ani pojemników na śmiecie, tylko jakieś cierniste krzaki, o które podrapał sobie twarz i poszarpał kurtkę.

Wyplątał się z chaszczy i odsunął rygiel. Przeszedł do tylnych drzwi. Nacisnął klamkę — zamknięte. W drzwiach była szyba. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął pistolet i uderzył nim w okienko na dole z lewej strony. Trzask pękającego szkła rozległ się wyjątkowo głośno. Wsunął rękę przez dziurę, przekręcił klucz, otworzył drzwi i szybko przeszedł korytarzem na schody.

Dotarł do mieszkania Catherine i cicho zapukał. Zza drzwi rozległ się jej głos: — Kto tam?

— Ja.

Otworzyła. Neumann wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi. Catherine była ubrana w spodnie, sweter i skórzaną kurtkę. Radio walizkowe stało obok niej na

podłodze. Neumann popatrzył na nią. Twarz miała popielatą z przerażenia.

— Może to moja wyobraźnia — powiedziała — ale na dole chyba coś się szykuje. Na ulicy widziałam kręcących się mężczyzn i ludzi w samochodach.

W mieszkaniu panował mrok, tylko w salonie paliła się lampka. Neumann paroma susami przemierzył pokój i zgasił światło. Podeszedł do okna, podniósł brzeg grubej zasłony, wyjrzał. Ulicą jeździły samochody i w ich słabym świetle zauważył czterech ludzi, którzy wypadli z budynku naprzeciwko i kierowali się do ich kamienicy.

Odwrócił się i wyszarpnął z kieszeni mauzera.

— Idą po nas. Łap radio i biegnij ze mną na dół. Już!

Harry Dalton z impetem otworzył drzwi frontowe i wszedł do środka. Za nim funkcjonariusze wydziału specjalnego. Zapalił światło na klatce schodowej w chwili, gdy Catherine Blake wypadła tylnymi drzwiami. Na ramieniu dyndało jej radio.

Horst Neumann kopniakiem otworzył tylne drzwi i biegł przez ogród, kiedy z budynku dobiegł go krzyk. Pędził w mroku z mauzerem w wyciągniętej dłoni. Furtka przed nim się otworzyła i stanął w niej mężczyzna. Neumann dostrzegł wymierzony pistolet, usłyszał wezwanie: „Stój!”. Biegając, dwukrotnie strzelił. Pierwsza kula trafiła tamtego w ramię z takim impetem, że się obrócił. Druga przeszła mu kręgosłup, zabijając na miejscu.

W furtce wyrósł drugi człowiek, układając się do strzału. Neumann nacisnął spust. Mauzer podskoczył mu w dłoni i prawie bezgłośnie, z głuchym trzaskiem wystrzelił. Głowa mężczyzny eksplodowała.

Neumann przebiegł przez furtkę, przeskakując nad

ciałami i rozejrzał się w mroku. Za domem nie było nikogo więcej. Obejrzał się i zobaczył tuż za sobą Catherine pędzącą z radiem. Ścigało ją trzech mężczyzn. Podniósł broń i strzelił w ciemność. Usłyszał krzyki dwóch ludzi. Catherine dalej biegła.

Odwrócił się i ruszył przez gruzowisko w stronę furgonetki.

Harry'emu kule świstały koło głowy. Usłyszał krzyki funkcjonariuszy za sobą. Catherine była tuż przed nim. Pędził przez mrok z wyciągniętymi rękami. Uświadomił sobie, że uciekinierzy mają nad nim przewagę: był sam i nie uzbrojony. Mógł się zatrzymać i spróbować zabrać broń któregoś z rannych, potem gonić tę dwójkę i zabić oboje. Ale prawdopodobnie Rudolf by skorzystał z okazji i zabił jego. Może odpuścić, wrócić do budynku i zaalarmować ludzi z punktu obserwacyjnego? Ale wtedy Catherine Blake i Rudolf odjadą w siną dal, trzeba będzie od początku zacząć cholerne poszukiwania, a tymczasem oni skorzystają z radia, ostrzegą Berlin, a my przegramy pieprzoną wojnę, niech to szlag!

Radio!

Może nie dopadnę ich teraz, ale mogę przynajmniej na jakiś czas odciąć ich od Berlina — pomyślał.

Rzucił się w mrok, w gardle rodził mu się krzyk. Oboma rękami chwycił walizkę i próbował ją wyrwać Catherine, ale ona się odwróciła i zdumiewająco mocno szarpnęła. Podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył jej twarz: czerwoną, wykrzywioną z przerażenia, brzydką z gniewu. Spróbował jeszcze raz, ale trzymała rączkę skrzynki w żelaznym uścisku. Wykrzyczała prawdziwe imię Rudolfa. Brzmiało jak Worst.

Wtedy Harry usłyszał suchy trzask. Słyszał go już nieraz przed wojną na ulicach wschodniego Londynu. Dźwięk otwieranego noża. Widział, jak kobieta bierze zamach, by dźgnąć go prosto w gardło. Gdyby podniósł rękę, osłoniłby się przed ciosem. Ale wtedy ona zdołałaby wyrwać radio. Nie puszczając skrzynki, próbował się uchylić, przekręcić głowę. Czubek noża drasnął go w policzek. Poczł pęknięcie skóry. Ból przyszedł po sekundzie — rozdzierający, jakby ktoś rozpalonym żelazem przejechał mu po policzku. Wrzasnął, ale przywarł do walizki. Kobieta jeszcze raz podniosła ramię, tym razem wbijając mu ostrze sztyletu w ramię. Ponownie zawył z bólu przez zaciśnięte zęby, ale ręce nie zwolniły uścisku. Jakby stanowiły odrębną część jego ciała. Nic, żaden ból nie zmusił go do wypuszczenia radia.

— Dzielny z ciebie człowiek, żeby umierać dla radia — powiedziała, puszczając walizkę.

Odwróciła się i znikła w mroku.

Harry leżał na wilgotnej ziemi. Podniósł rękę do twarzy i zrobiło mu się niedobrze, gdy namacał ciepłą kość podbródka. Tracił przytomność, ból odpływał. Usłyszał jęki rannych funkcjonariuszy wydziału specjalnego. Zamknął oczy. Poczł, że ktoś przyciska coś do jego twarzy. Uchyliwszy powieki, zobaczył pochylonego nad sobą Alfreda Vicary'ego.

— Mówilem ci, żebyś uważał, Harry.

— Zabrała radio?

— Nie. Nie dałeś jej.

— Uciekli?

— Tak, ale ich ścigamy.

Wtedy Harry'ego znienacka dopadł ból. Zaczł się trząść, czuł się, jakby lada chwila miał z wymiotować. Nagle twarz Vicary'ego się rozmyła i Harry zemdlał.

Rozdział ósmy

Londyn

Godzinę po rzezi w Earl's Court Alfred Vicary zarządził największą obławę w historii Zjednoczonego Królestwa. Wszystkie posterunki policji w kraju — od Penzance po Dover, od Portsmouth po Inverness — otrzymały rysopisy zbiegów. Vicary rozesłał kurierów na motocyklach, którzy porozwozili zdjęcia szpiegów do miast, miasteczek i wiosek w okolicach Londynu. Większość funkcjonariuszy zaangażowanych w poszukiwania poinformowano, że uciekinierów podejrzewa się o dokonanie od 1938 roku czterech morderstw. Jedynie garstkę najwyższych oficerów dyskretnie powiadomiono, że chodzi tu o kwestię bezpieczeństwa najwyższej wagi, tak ważną, że sam premier osobiście śledzi przebieg akcji.

Londyńska policja zareagowała błyskawicznie i piętnaście minut od ogłoszenia alarmu Vicary'ego na największych trasach wylotowych ze stolicy były już blokady. Vicary starał się przewidzieć każdą możliwą trasę ucieczki. MI— 5 wraz z żandarmerią kolejową przeszukiwały największe stacje. Obsługa promów do Irlandii również otrzymała rysopis podejrzanych.

Następnie Vicary skontaktował się z BBC i zażądał rozmowy z redaktorem odpowiedzialnym. Główne wydanie wiadomości o dziewiątej wieczór rozpoczęła informacja o strzelaninie w Earl's Court, na skutek której śmierć poniosło dwóch policjantów, a trzech zostało rannych. Podano rysopis Catherine Blake i Rudolfa, a na koniec numer telefonu, pod który może dzwonić każdy, kto zauważył coś podejrzanego. Po pięciu minutach rozdzwoniły się telefony. Maszynistki spisywały każdą rozmowę i

przekazywały ją Vicary'emu. Większość kartek wylądowała od razu w koszu. Parę wiadomości postanowiono sprawdzić. Żadna nie przyniosła znaczącego przełomu.

Teraz Vicary skoncentrował się na trasach ucieczki, z których tylko szpieg mógłby skorzystać. Połączył się z RAF—em i poprosił, żeby rozglądali się za lekkimi samolotami. Zwrócił się z prośbą do Admiralicji, by zwracano baczną uwagę na wszelkie U—booty zbliżające się do wybrzeża. Zaalarmował służby przybrzeżne i kazał wypatrywać niewielkich jednostek wypływających w morze. Zadzwoił do radiotelegrafistów ze stacji nasłuchu, żeby wyjątkowo uważnie wylapywali wszelkie podejrzanym transmisje radiowe.

Wstał od biurka i po raz pierwszy od dwóch godzin wyszedł z gabinetu. Punkt dowodzenia przy West Halkin Street opustoszał, członkowie jego ekipy powoli wracali na St James's Street. Siedzieli przed gabinetem i wyglądali jak ofiary kataklizmu: mokrzy, wyczerpani, pokonani. Clive Roach trzymał się na uboczu, tkwił na krześle ze spuszczoną głową i założonymi rękami. Co chwila podchodził do niego któryś z kolegów, kładł mu rękę na ramieniu, szeptał do ucha słowa pociechy i cicho się odsuwał. Peter Jordan krążył po pokoju. Tony Blair wpatrywał się w niego ponuro. Jedynym dźwiękiem był klekot dalekopisów i głosy telefonistek.

Ciszę przerwało w parę minut później pojawienie się Harry'ego Daltona. Wkroczył o dziewiątej do pomieszczenia, z zabandażowaną ręką i twarzą. Wszyscy wstali, stłoczyli się wokół niego.

- Dobra robota, Harry, staruszk...
- ...Zasłużyłeś na medal...
- ...Utrzymałeś nas w grze, Harry...

— ...Gdyby nie ty, byłoby po wszystkim... Vicary zaciągnął go do gabinetu.

— Nie powinienes aby leżeć i odpoczywać?

— Taa, ale wolalem być z wami.

— Bardzo boli?

— Ćmi. Dali mi coś przeciwbólowego.

— I nadal nie wiesz, jak byś się zachował pod ostrzałem na polu bitwy?

Harry zmusił się do słabego uśmiechu, spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Coś drgnęło? — spytał, szybko zmieniając temat. Vicary potrząsnął głową.

— Co już zrobiłeś?

Vicary zapoznał go z sytuacją.

— Trzeba mieć tupet, żeby tak po nią wrócić i zabrać ją nam sprzed nosa. Kawał twardziela z tego Rudolfa, trzeba mu to przyznać. Jak zareagował Boothby?

— Tak jak się należało spodziewać. Siedzi teraz na górze z dyrektorem generalnym. Pewnie planują moją egzekucję. Mamy cały czas połączenie z kwaterą premiera. Stary dostaje na bieżąco raporty. Szkoda, że nie mogę mu przekazać żadnych dobrych wieści.

— Przewidziałeś wszelkie możliwe rozwiązania. Teraz pozostało ci tylko siedzieć i czekać. Tamci muszą wykonać jakiś ruch. A kiedy wykonają, dopadniemy ich.

— Chciałbym mieć twój optymizm.

Harry skrzywił się z bólu. Nagle wydał się bardzo zmęczony.

— Pójdę się gdzieś położyć na chwilę. Wolno ruszył do drzwi.

— Czy Grace Clarendon ma dziś dyżur? — spytał Vicary.

— Tak, chyba tak. Zadzwoił telefon.

— Natychmiast proszę się zgłosić na górze, Alfredzie — odezwał się Basil Boothby.

Nad gabinetem generała płonęło zielone światło. Vicary wszedł do środka. Boothby krążył po pokoju i palił papierosa za papierosem. Był bez marynarki, kamizelkę rozpiął, rozluźnił krawat. Gniewnym machnięciem ręki wskazał Vicary'emu krzesło.

— Niech pan usiądzie, Alfredzie — przemówił. — No cóż, dziś w całym Londynie mało kto zazna snu: na Grosvenor Square, w kwaterze Eisenhowera w Hayes Lodge, w podziemiach premiera. Wszyscy czekają na jedną informację. Czy Hitler wie, że to Normandia? Czy inwazja skończyła się, nim się zdążyła zacząć?

— Sam pan wie, że nie sposób teraz tego sprawdzić.

— Na Boga! — Boothby zgniótł papierosa i natychmiast zapalił kolejnego. — Dwóch funkcjonariuszy wydziału specjalnego nie żyje, dwóch rannych. Dzięki Bogu za Harry'ego.

— Jest właśnie na dole. Z pewnością chciałby to usłyszeć od pana osobiście.

— Nie mamy czasu na pogawędkę, Alfredzie. Musimy ich złapać, i to jak najszybciej. Nie muszę panu tłumaczyć, o co idzie gra.

— Nie, nie musi pan, sir Basilu.

— Premier życzy sobie, by go informować co pół godziny. Czy mogę mu przekazać coś nowego?

— Niestety nie. Przewidzieliśmy i zabezpieczyliśmy wszystkie trasy ucieczki. Chciałbym móc z całą pewnością stwierdzić, że ich złapiemy, ale nie można lekceważyć przeciwnika. Już wielokrotnie nam udowodnili, że są dobrzy.

Boothby podjął wędrówkę po gabinecie.

— Dwóch zabitych, trzech rannych i na wolności

dwóch szpiegów posiadających informacje, dzięki którym mogą obnażyć naszą mistyfikację. Nie ulega wątpliwości, że to największa katastrofa w dziejach naszego wydziału.

— Wydział specjalny skierował siły, które uważał za wystarczające do aresztowania Catherine Blake. Najwyraźniej się pomylili.

Boothby się zatrzymał i zmierzył Vicary'ego lodowatym wzrokiem.

— Niech pan nie próbuje zwać winy na wydział specjalny, Alfredzie. Pan tam dowodził. Ten aspekt akcji *Kettledrum* należał do pana.

— Zdaję sobie z tego sprawę, sir Basilu.

— To dobrze, bo kiedy już będzie po wszystkim, zostanie pan poddany przesłuchaniu przez komisję wewnętrzną i wątpię, by pana poczynania oceniono pozytywnie.

Vicary wstał.

— Czy to już wszystko, sir Basilu? — Tak.

Vicary odwrócił się i ruszył do drzwi.

Odległe zawodzenie syren alarmowych rozległo się, kiedy Vicary schodził na dół do archiwum. Pomieszczenia tonęły w półmroku, paliło się tylko kilka świateł. Vicary jak zwykle zwrócił uwagę na zapach: pleśniejący papier, kurz, wilgoć i lekka woń obrzydliwego tytoniu Nicholasa Jago. Zerknął w stronę oszklonego kantoru kierownika archiwum. Światło zgaszone, drzwi porządnie zamknięte. Dobiegło go gniewne stukanie obcasów, charakterystyczne dla szybkiego, zdecydowanego marszu Grace Clarendon. Jej blond włosy mignęły za półkami i zniknęły. Ruszył za nią do jednego z bocznych pomieszczeń i od wejścia wołał, żeby jej nie wystraszyć. Odwróciła się, obrzuciła go wrogim

spojrzeniem zielonych oczu, po czym z powrotem pochyliła się nad aktami, jakby go tu nie było.

— Czy przyszedł tu pan służbowo, profesorze Vicary?
— spytała. — Bo jeśli nie, będę musiała pana prosić o opuszczenie archiwum. Dość już miałam przez pana problemów. Jeśli ktoś mnie przyłapie na rozmowie z panem, będę mogła się uznać za szczęściarę, jeśli dostanę pracę w straży i będę pilnować, czy cholerni obywatele stosują się do przepisów zaciemnienia.

— Muszę zajrzeć do teczki, Grace.

— Zna pan regulamin, profesorze. Należy wypełnić zapotrzebowanie. Jeśli zostanie uznane, dostanie pan akta.

— Na sprawdzenie tych akt, które chcę zobaczyć, nie dostanę zgody.

— W takim razie nie może pan ich zobaczyć. — Jej głos zabrzmiał chłodno i wyniośle. — Taki jest regulamin.

Sądząc po drzeniu ziemi, pierwsze bomby spadły pod drugiej stronie rzeki. Po chwili rozległo się szczykanie dział przeciwlotniczych w parku. Vicary usłyszał warkot niemieckich bombowców. Grace przerwała pracę i podniosła wzrok. W pobliżu spadł grad bomb — o wiele za blisko, bo cały budynek się zatrzęsł i teczki pospadały z półek. Grace spojrziała na bałagan i jęknęła:

— Cholera jasna!

— Wiem, że Boothby zmusza cię do robienia rzeczy niezgodnych z twoim sumieniem. Słyszałem waszą kłótnię w gabinecie, wczoraj wieczorem widziałem, jak wsiadałaś do jego samochodu przy Northumberland Avenue. I nie mów mi, że to tylko romans, bo wiem, że kochasz Harry'ego.

Vicary zauważył, że zielone oczy zasnęła mgielka; teczka zadrżała jej w dłoni.

— To, cholera, twoja wina! — warknęła. — Gdybyś

mu nie powiedział o aktach Vogla, nie wpadłabym w to łajno.

— Do czego cię zmusza? Zawahała się.

— Proszę już iść, profesorze. Proszę.

— Nie zostawię cię, dopóki mi nie powiesz, czego od ciebie chciał Boothby.

— Niech cię szlag, Vicary, chciał, żebym na ciebie donosiła! I na Harry'ego! — Zmusiła się do cichszego mówienia. — Wszystko, z czego zwierzył mi się Harry w łóżku czy gdziekolwiek, miałam przekazywać Boothby'emu.

— I co mu mówiłaś?

— Wszystko, co Harry mówił o sprawie i postępach w śledztwie. A także o tym, czego szukałeś w archiwum. — Wzięła z wózka parę teczek i zaczęła je porządkować. — Słyszałam, że Harry uczestniczył w tej jatce w Earl's Court.

— To prawda. Co więcej, został bohaterem dnia.

— Stało mu się coś? Vicary potaknął.

— Jest na górze. Lekarze nie mogli go utrzymać w łóżku.

— Pewnie zrobił coś głupiego, prawda? Próbował się wykazać. Boże, jakież z niego czasem głupi, uparty kretyn.

— Grace, muszę zobaczyć pewną teczkę. Po zakończeniu tej sprawy Boothby chce mnie wylać. Po prostu muszę się dowiedzieć, dlaczego.

Przyjrzała mu się z powagą. — Nie żartujesz, prawda?

— Niestety nie.

Przez chwilę przypatrywała mu się bez słowa. Budynek drżał od spadających w pobliżu bomb.

— Co to za akta?

— Operacja o nazwie *Kettledrum*. Zaskoczona Grace zmarszczyła brwi.

— Czy to nie jest kryptonim waszej akcji?

- Tak.
- Chwileczkę. Chcesz, żebym nadstawiała karku dla akt sprawy, którą ty sam prowadzisz?
- Coś w tym rodzaju. Tyle że szukaj jej pod innym nazwiskiem.
- Jakim?
- Vicary popatrzył prosto w jej zielone oczy i bezgłośnie wyszeptał:
- B.B.

- Wróciła po pięciu minutach z pustymi okładkami.
- Operacja *Kettledrum* — oświadczyła. — Zakończona.
- Gdzie zawartość?
- Albo zniszczona, albo u oficera prowadzącego.
- Kiedy ją rozpoczęto? — spytał Vicary. Grace spojrziała na metryczkę, potem na profesora.
- Dziwne — powiedziała. — Z metryczki wynika, że operację *Kettledrum* rozpoczęto w październiku czterdziestego trzeciego roku.

Rozdział dziewiąty

Hrabstwo Cambridge, Anglia

Zanim Scotland Yard zareagował na apel Alfreda Vicary'ego o zablokowanie dróg, Horst Neumann opuścił Londyn i pędził na północ trasą A 10. O furgonetkę najwyraźniej dbano. Wyciągała przynajmniej dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, silnik gładko pracował. Na oponach nadal zostały przyzwoite bieżniki i zdumiewająco dobrze sobie radziły na śliskiej drodze. I samochód miał jeszcze jedną przydatną cechę: czarna furgonetka nie odróżniała się od innych wozów transportowych na drodze. Ponieważ racjonowanie benzyny całkowicie uniemożliwiało osobom prywatnym podróże, każdy, kto poruszał się o tej porze pojazdem osobowym, byłby zatrzymany przez policję i przesłuchany.

Droga wiodła prosto, głównie po równinnym terenie. Pochylony nad kierownicą Neumann usiłował przeniknąć mrok poza słabym światłem ocienionych reflektorów. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie zdjąć osłon, ale uznał to za zbyt ryzykowne. Mknęli przez wioski o dziwacznych nazwach: Puckeridge, Buntingford. Wszystkie tonęły w ciemnościach, nie płonęło ani jedno światło, na ulicach żywego ducha. Jakby cofnięto zegar o dwa tysiące lat. Neumann wcale by się nie zdziwił, gdyby nad brzegami Camu zauważył rzymskie legiony.

Kolejne wioski — Melbourn, Foxton, Newton, Hauxton. W czasie przygotowań w podberlińskim obozie Vogla Neumann godzinami studiował mapy kartograficzne Wielkiej Brytanii. Podejrzewał, że zna drogi i ścieżki wschodniej Anglii równie dobrze jak przeciętny Anglik, a może nawet lepiej.

Melbourn, Foxton, Newton, Hauxton.

Zbliżają się do Cambridge.

W Cambridge mogą być problemy. MI— 5 na pewno zaalarmowała policję w miastach i większych miejscowościach. Neumann uznał, że policja w wioskach i osadach nie stanowi większego zagrożenia. Policjanci poruszali się pieszo albo na rowerach, rzadko dysponowali samochodami, a łączność była fatalna, mogli więc jeszcze nie otrzymać informacji o zbiegłych szpiegach. Neumann tak szybko mknął przez zaciemnione wioski, że policjant mógł go nawet nie zauważyć. Inaczej rzecz się miała z miastami w rodzaju Cambridge. MI— 5 pewnie zawiadomiła policję w Cambridge, a ta dysponowała wystarczającymi siłami, by zorganizować blokadę większych dróg, na przykład A 10. Mieli samochody, mogli wszcząć pościg. Neumann znał tutejsze trasy, nieźle prowadził, ale nie mógł się równać z doświadczonym funkcjonariuszem lokalnej policji.

Przed Cambridge skręcił w boczną drogę. Objechał wzgórze Gog Magog i okrążył miasto od wschodu, nadal kierując się na północ. Nawet w ciemnościach dostrzegł dzwonnice college'ów King i St John. Przejechali wioskę Horningsea, przetoczyli się po moście i znaleźli się w Waterbeach, wiosce leżącej przy trasie A 10. Wolno krążył po uliczkach, póki nie znalazł głównej. Nie widniał na niej żaden znak, ale musiała to być już A 10. Jego przypuszczenia okazały się trafne i po chwili pędzili po pustkowiach Fens.

Szybko łykali kolejne kilometry. Deszcz trochę się uspokoił, ale na pustych równinach, gdzie nic nie stało wiatrowi na przeszkodzie, rozhulał się on na dobre i szarpał furgonetką, jakby to była dziecinna zabawka. Droga prowadziła nad brzegami rzeki Great Ouse, potem przez

Southery Fens. Minęli miejscowości Southery i Hilgay. Następnym większym miastem było Downham Market, mniejsze od Cambridge, ale zapewne posiadające własny duży posterunek policji i przez to niebezpieczne. Neumann powtórzył ten sam manewr, co wcześniej, skręcając w boczną drogę i objeżdżając miasto, a na północy wracając na trasę A 10.

Jeszcze dziesięć mil i dotarli do King's Lynn, dużego portu i największego miasta na wybrzeżu Norfolk. Horst ponownie uciekł z A 10 i wybrał węższą drogę, okalającą miasto od wschodu.

Okazała się fatalna, wyboista, miejscami nawet jednokierunkowa. Teren był górzysty i zarośnięty lasem. Neumann zatrzymał się i wlał do baku dwa kanistry benzyny. Pogoda pogarszała się w miarę zbliżania do wybrzeża. Czasem Neumann czuł się, jakby szedł piechotą. Bał się, że popełnił błąd, zbacając z głównej trasy, że zachowywał nadmierną ostrożność. Po ponad godzinie trudnej jazdy dotarli na wybrzeże.

Minęli Hampton Sands, most na rzece, i wreszcie Neumann mógł przyspieszyć. Ogarnęła go ulga — w końcu znajome okolice. W oddali pojawił się dom Doghertych. Skręcił na drogę dojazdową. Zobaczył, jak otwierają się drzwi. Zaczęła ku nim sunąć płonąca lampa naftowa. To szedł Sean Dogherty w sztormiaku, ze strzelbą przerzuconą przez ramię.

Sean Dogherty nie zaniepokoił się, kiedy Neumann nie przyjechał do Hunstanton południowym pociągiem. Wcześniej go ostrzegł, że może zostać dłużej w Londynie. Dogherty postanowił poczekać na wieczorny pociąg. Ze stacji udał się do pobliskiego pubu. Zamówił zapiekankę z

ziemniakami i marchwią, popił ją dwoma kufłami piwa. Potem wyszedł pospacerować na molo. Przed wojną Hunstanton był uczęszczanym kurortem, gdyż dzięki swemu położeniu zapewniał spektakularne zachody słońca. Dziś większość hoteli świeciła pustkami, wyglądały ponuro w strugach siekącego deszczu. Zachód słońca ograniczył się do paru szarych promieni, które przedarły się przez burzowe chmury. Sean Dogherty wrócił z mola na stację w porze przyjazdu wieczornego pociągu. Stał na peronie, paląc i obserwując garstkę wysiadających pasażerów. Kiedy nie zobaczył wśród nich Neumanna, ogarnął go niepokój.

W drodze do Hampton Sands przypominał sobie słowa Neumanna z początku tygodnia: ostrzegwał, że operacja niedługo może dobiec końca i będzie wracać z Anglii do Berlina.

Ale dlaczego go nie było w tym cholernym pociągu? — zachodził w głowę Dogherty.

Przyjechał do domu. Siedząca przy kominku Mary zmierzyła go wzrokiem i zniknęła na górze. Dogherty włączył radio. Wieczne wiadomości przykuły jego uwagę. W całym kraju prowadzono poszukiwania dwójki morderców, którzy późnym popołudniem w dzielnicy Londynu znanej jako Earl's Court wdali się w strzelaninę z policją.

Sean nastawił głośniej radio, żeby posłuchać rysopisu poszukiwanych. Pierwszym, ku jego zaskoczeniu, okazała się kobieta. Rysopis zaś drugiego napastnika idealnie pasował do Horsta Neumanna.

Wyłączył radio. Czy to możliwe, że dwoje podejrzanych z Earl's Court to Neumann i druga agentka? Czy uciekali teraz przed MI— 5 i połową brytyjskiej policji? Czy kierowali się do Hampton Sands? A może go zostawia?

I wtedy w jego głowie zaświtała myśl: czy Brytyjczycy wiedzą, że ja też jestem szpiegiem?

Poszedł na górę, wrzucił do niewielkiej torby zmianę bielizny i wrócił na dół. Udał się do stajni, znalazł strzelbę i naładował ją.

Wróciwszy do domu, siadł w oknie i czekał. Już prawie stracił nadzieję, kiedy zobaczył przyciemnione światła samochodu, kierujące się w stronę podwórka. A kiedy wóz skręcił na drogę dojazdową, był już pewny, że to Neumann siedzi za kierownicą. Towarzyszyła mu kobieta.

Dogherty wstał, włożył sztormiak. Zapalił lampę naftową, wziął broń i wyszedł w deszcz.

Martin Colville przyglądał się swojej twarzy w lustrze: złamany nos, podbite oko, opuchnięte usta, guz z prawej strony.

Przemaszerował do kuchni i wlał do szklanki ostatnie bezcenne krople whisky. Coś w Martinie Colville'u ostrzegało go, że jegomość nazwiskiem James Porter śmierdzi. Nie wierzył, że to ranny brytyjski żołnierz. Nie wierzył, że to stary znajomy Seana Dogherty'ego. Nie wierzył, że zjawił się z Hampton Sands w celu zażywania morskiego powietrza.

Nikt jeszcze mnie tak nie urządził i temu kurdupłowi nie ujdzie to na sucho — pomyślał dotykając obolałej twarzy.

Jednym haustem wypił whisky, postawił pustą szklankę i butelkę w zlewie. Na dworze usłyszał warkot samochodu. Podeszedł do drzwi i wyjrzał. Drogą przemknęła furgonetka. Dostrzegł za kierownicą Jamesa Portera, a obok niego jakąś kobietę.

Zamknął drzwi.

Co on, u licha, robi? Żeby gdzieś jeździć w taką noc? I skąd wytrzasnął samochód?

Postanowił osobiście to zbadać. Przeszedł do pokoju i zabrał znad kominka starą dwunastostrzałową strzelbę. Naboje leżały w szufladzie w kuchni. Wysunął ją i grzebał w bałaganie, póki nie znalazł pudełka. Wyszedł na dwór i wsiadł na rower.

Po chwili pedałował przez deszcz ze strzelbą na kierownicy, zdążając w stronę gospodarstwa Doghertych.

Do sypialni Jenny Colville dobiegł skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. Potem warkot samochodu, niezwykajna rzecz o tej porze nocy. A kiedy ponownie usłyszała, jak drzwi się otwierają i zamykają, ogarnął ją niepokój. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozchyliła

zasłonę i zobaczyła ojca na rowerze. Zniknął w mroku.

Zabębniła w szybę, ale na próżno. Martin się rozplątał w ciemnościach.

Jenny miała na sobie tylko flanelową koszulę. Zdjęła ją, wskoczyła w spodnie i sweter, potem zbiegła na dół. Kalosze stały przy drzwiach. Wkładając je, zauważyła, że strzelba, która zwykle wisiała nad kominkiem, zniknęła. Zajrzała do kuchni: szuflada, w której trzymali naboje, była otwarta. Szybko narzuciła kurtkę i wyszła na dwór.

Szukała po omacku, póki nie trafiła na swój rower oparty o ścianę. Wyprowadziła go na ścieżkę, wskoczyła na siodelko i ruszyła śladem ojca w stronę domu Doghertych, a w głowie kołatała jej jedna myśl: Proszę, Boże, daj mi go powstrzymać, nim ktoś dzisiaj zginie.

Sean Dogherty otworzył wrota stodoły i wprowadził ich do środka. Zdjął czapkę, rozpiął kurtkę, po czym przyjrzał się Neumannowi i kobiecie.

— Sean Dogherty, Catherine Blake. Sean kiedyś wodził się z paczką o nazwie Irlandzka Armia Republikańska, ale wypożyczyliśmy go na czas wojny. Catherine też pracuje dla Kurta Vogla. Mieszkała w Anglii, w głębokiej konspiracji, od trzydziestego ósmego roku.

Catherine dziwnie się czuła, słysząc tak otwartą wypowiedź o swoim pochodzeniu i roli. Po latach skrywania tożsamości, po tylu środkach ostrożności, po ciągłym niepokoju, nie mieściło jej się w głowie, że konspiracja właśnie się kończy.

Dogherty popatrzył na Catherine, potem na Neumanna.

— BBC ciągle podaje komunikaty o strzelaninie w Earl's Court. Przypuszczam, że to wasza robota?

Neumann potaknął.

— Ale to nie byli zwykli policjanci. Moim zdaniem MI—5 i wydział specjalny. Co mówią w radio?

— Zabiliście dwóch i ranili trzech. Szukają was w całym kraju, proszą społeczeństwo o pomoc. W tej chwili prawdopodobnie połowa ludzi szuka was po krzakach. Cud, że udało się wam dotrzeć aż tutaj.

— Omijaliśmy duże miasta. Jak widać, okazało się to skuteczne. Na drogach nie zauważyliśmy policji.

— Cóż, długo się to nie utrzyma. Tego możecie być pewni. Neumann zerknął na zegarek. Parę minut po północy. Wziął od Seana latarnię i postawił ją na stole. Wyjął z szafki radio i włączył je.

— Łódź podwodna patroluje Morze Północne. Jak otrzymają nasz sygnał, przesunie się dokładnie na dziesięć mil na wschód od Spurn Head i będzie tam czekać do szóstej rano. Jeśli się nie zjawimy, odpłynie na morze i będzie czekać do kolejnego sygnału.

— A jak właściwie przemierzemy te dziesięć mil na wschód od Spurn Head? — odezwała się Catherine.

Dogherty wysunął się naprzód.

— Pomoże nam mój znajomy, Jack Kincaid. Ma niewielki kuter w porcie u ujścia Humber. — Wyciągnął przedwojenną, dokładną mapę. — Kuter stoi tu. — Palcem dźgnął w mapę. — W Cleethorpes. To jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów w górę. Czeka nas ciężka jazda, przy takiej pogodzie jak dziś, a do tego przy zaciemnieniu. Kincaid mieszka nad warsztatem na przystani. Spodziewa się nas.

Neumann skinął głową.

— Mamy sześć godzin, jeśli zaraz wyruszymy. Powinniśmy zdążyć. Następne spotkanie z łodzią podwodną będzie za trzy dni. Nie uśmiecha mi się myśl o ukrywaniu się tak długo, kiedy każdy policjant w Anglii przetrząsa

okolicę, rozglądając się za nami. Moim zdaniem musimy uciekać zaraz.

Catherine przytaknęła. Neumann nałożył słuchawki i ustawił radio na odpowiednią częstotliwość. Wystukał hasło i czekał na odpowiedź. Po paru sekundach radiotelegrafista z U— boota kazał mu kontynuować. Neumann głęboko zaczerpnął tchu i starannie wystukał wiadomość, po czym rozłączył się i zgasił radio.

— Zostało tylko jedno — odezwał się do Dogherty'ego.
— Jedziecie z nami?

— Rozmawiałem z Mary. Zgadza się ze mną. Ja jadę z wami do Niemiec, potem Vogel i jego kumple pomogą mi się dostać do Irlandii. Kiedy już tam będę, Mary do mnie dołączy. Mam tam przyjaciół i rodzinę, zajmą się nami, póki się nie osiedlimy. Poradzimy sobie.

— I jak Mary to znosi?

Twarz Dogherty'ego stwardniała, na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Neumann zdał sobie sprawę, że Sean może już więcej nie zobaczyć Mary. Wziął latarnię, położył rękę na ramieniu Irlandczyka.

— Ruszajmy — powiedział.

Martin Colville dostrzegł światło w stodole u Dogherty'ego. Zsunął się z siodełka, ciężko dysząc. Zostawił rower przy drodze, cicho przeszedł przez łąkę i kucnął przy ścianie. Mimo szumu deszczu próbował zrozumieć, o czym tamci rozmawiają.

Nie do wiary.

Sean Dogherty pracuje dla nazistów! Mężczyzna podający się za Jamesa Portera to niemiecki szpieg! Siatka niemieckich szpiegów w samym środku Hampton Sands!

Nastawiał uszu, żeby lepiej słyszeć. Zamierzają jechać

wybrzeżem na północ, do hrabstwa Lincoln, a stamtąd popłynąć statkiem na morze, gdzie czeka na nich U—boot. Serce zaczęło mu się tłuc w piersi jak szalone. Zmusił się do spokoju i jasnego myślenia.

Mógł zrobić dwie rzeczy: pojechać do wioski i zawiadomić policję albo wpaść do stodoły i osobiście ich ująć. Każde z tych rozwiązań miało dobre i złe strony. Jeśli ruszy po posiłki, Dogherty i jego przyjaciele zapewne odjadą. Na wybrzeżu Norfolk było niewiele policji, na pewno za mało na zorganizowanie pościgu. Zaatakować samemu? Mają nad nim liczebną przewagę. Widział, że Sean ściska strzelbę, tamci pewnie też są uzbrojeni. Ale wykorzysta atut zaskoczenia.

Jeszcze z innego powodu bardziej mu odpowiadało drugie rozwiązanie: z prawdziwą przyjemnością wyrówna porachunki z Niemcem ukrywającym się pod nazwiskiem James Porter. Colville wiedział, że musi działać, i to szybko. Otworzył pudełko, wyjął dwa naboje i załadował je do lufy. Nigdy przedtem nie mierzył do niczego groźniejszego niż kuropatwa czy bażant. Zastanawiał się, czy nie zabraknie mu odwagi, żeby strzelić do człowieka.

Wstał i ruszył do wejścia.

Jenny pedałowała, aż nogi ją piekły. Minęła wioskę, potem kościół, cmentarz i most. Wiał wiatr, szumiało morze. Deszcz siekł ją po twarzy, wiatr omal jej nie przewrócił.

Zauważyła rower ojca w trawie przy drodze i zatrzymała się obok. Dlaczego go tu zostawił? Dlaczego nie podjechał do domu?

Wydawało jej się, że zna odpowiedź. Próbuje się zakraść, żeby nikt go nie zauważył.

W tej samej chwili ze stodoły Seana dobiegł huk wystrzału. Jenny wrzasnęła i zeskoczyła z roweru, upuszczając go obok roweru ojca. Popędziła przez łąkę.

Proszę, Boże, oby tylko nie zginął. Oby tylko nie zginął.

Rozdział dziesiąty

Scarborough, Anglia

Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Hampton Court Charlotta Endicott wjechała rowerem na mały wyżwirowany placyk koło stacji nasłuchu w Scarborough. Podróż z jej kwatery w zatłoczonym pensjonacie w mieście była okropna. Bez przerwy musiała się zmagać z wiatrem i deszczem. Przemoczona i przemarznięta zsiadła z roweru i postawiła go obok wielu innych, tkwiących w rzędzie.

Wiatr szalał, zawodził wśród trzech olbrzymich anten umieszczonych na klifach nad Morzem Północnym. Charlotta Endicott spojrzała na nie — wyraźnie się kołysały — i przebiegła przez placyk. Dopadła baraku, otworzyła drzwi i schowała się w środku, zanim wiatr je za nią zatrzaskał.

Miała parę minut do rozpoczęcia zmiany. Zdjęła przemoczony płaszcz, rozwiązała zjudwestkę i cisnęła je na chwiejący się wieszak w kącie. W baraku panował chłód, hulały przeciągi, lecz zbudowano go nie dla wygody, lecz do pracy. Ale przynajmniej była kantyna. Charlotta weszła tam, usiadła przy stoliku i zapaliła papierosa. Paskudna rzecz, wiedziała, ale skoro wykonuje męski zawód, to może sobie pozwolić na męskie nałogi. Poza tym podobała się sobie z papierosem: wyglądała seksownie, wyrafinowanie, na więcej niż swoje dwadzieścia trzy lata. Poza tym uzależniła się od tego obrzydlistwa. Wykonywała stresującą pracę, harowała w najdziwniejszych godzinach, a życie w Scarborough była przeraźliwie nudne. A mimo to cieszyła się każdą spędzoną tu chwilą.

Tylko raz szczerze nienawidziła swojej pracy: w czasie bitwy o Anglię. Podczas długich, straszliwych walk

powietrznych funkcjonariuszki WRNS w Scarborough słuchały pogawędek brytyjskich i niemieckich pilotów. Raz Charlotta słyszała jakiegoś młodziutkiego Anglika, który był z bólu i wzywał matki, gdy jego zestrzelony spitfire spadał do morza. Kiedy łączność się urwała, Charlotta wybiegła na podwórze i zwymiotowała. Cieszyła się, że te dni już minęły.

Spojrzała na zegar. Dochodziła północ. Pora siadać do pracy. Wstała i wygładziła wilgotny mundur. Ostatni raz zaciągnęła się papierosem — w jej klitce nie wolno było palić — potem zgasła go w małej metalowej popielniczce, pełnej petów. Wyszła z kantyny i skierowała się do pomieszczeń radiooperatorów. Machnęła przepustką strażnikowi. Baczenie ją obejrzał, choć widział ją już setki razy, po czym oddał przepustkę, nieco zbyt promiennie się uśmiechając. Charlotta wiedziała, że jest ładna, ale to nie było miejsce na podrywki. Pchnęła drzwi, weszła do pomieszczenia i usiadła przy swoim stanowisku.

Przeszył ją leciutki dreszczyk — jak zwykle.

Przez chwilę wpatrywała się w podświetlone gałki RCA AR— 88, superheterodynowego radioodbiornika, w końcu nałożyła słuchawki. Dzięki zamontowanym w RCA specjalnym kryształom mogła kontrolować wszystkie niemieckie komunikaty nadawane alfabetem Morse'a w całej północnej Europie. Nastawiła odbiornik na częstotliwości, które dzisiejszej nocy miała sprawdzać, i czekała.

Niemieccy radiotelegrafiści najszybciej na świecie nadawali sygnały Morse'a. Charlotta potrafiła natychmiast rozpoznać niektórych z nich po specyficznym sposobie stukania. Ona i jej koleżanki nawet ich ochrzciły: Wagner, Beethoven, Zeppelin.

Nie musiała długo czekać na pierwszy sygnał.

Parę minut po północy w słuchawkach rozległ się komunikat Morse'a, nadany nie znaną jej ręką, w miernym tempie, wolno, z wahaniem.

Amator — uznała. Ktoś rzadko korzystający z radia. Z pewnością żaden z zawodowców z BdU czy Kriegsmarine.

Szybko uruchomiła oscylograf — urządzenie, dzięki któremu uzyskiwało się radiowe „odciski palców” sygnału, nazywane Tina — i błyskawicznie zanotowała na kartce wiadomość. Kiedy amator skończył, Charlotta usłyszała na tej samej częstotliwości kolejną „wypowiedź”. Tej nie nadawał amator; Charlotta i jej koleżanki zdążyły już poznać nadawcę. Nazywały go Frycem. Był radiotelegrafistą z U— boota. Szybko zanotowała i jego komunikat.

Po Frycu odezwał się amator swoim łamanym Morse'em i zapadła cisza. Charlotta zdjęła słuchawki, wyrwała wydruk z oscylografu i przemaszerowała przez pokój. Zazwyczaj przekazywała transkrypcję nadanych informacji kurierowi, który przewoził je do Bletchley Park, gdzie je rozszyfrowywano. Ta jednak rozmowa była inna — poznała to po pracy radiotelegrafistów: Fryca z U— boota i amatora z bliżej nie określonego miejsca. Podejrzewała, że wie, o co chodzi, ale będzie musiała się diabelnie postarać, żeby przekonać szefa. Stawiła się u kierownika nocnej zmiany, bladego, wyczerpanego mężczyzny nazwiskiem Lowe. Rzuciła mu na biurko transkrypcję i wydruk oscylografu. Podniósł wzrok i patrzył na nią zaskoczony.

— Możliwe, że sobie to ubzdurałam — odezwała się Charlotta, starając się nadać głosowi zdecydowany ton — ale zdaje mi się, że właśnie podsłuchałam, jak niemiecki szpieg kontaktuje się z U— bootem na wybrzeżu.

Kapitanleutnant Max Hoffman nigdy nie zdołał przywyknąć do smrodu U— boota zbyt długo przebywającego w zanurzeniu: mieszanki potu, moczu, oleju napędowego, ziemniaków i nasienia. Jego nozdrza nie wytrzymały tego zaduchu, więc wołał trzymać straż na galerijce wystającej nad wodą wieżyczki, niż siedzieć w środku.

Stojąc w kiosku U— 509, czuł pod stopami drżenie elektrycznych silników, gdy zataczali nudne kręgi dwadzieścia mil od brytyjskiej linii brzegowej. W łodzi unosiła się mgielka pary wodnej, otaczając aureolą lampy. Wszystkie przedmioty były lepkie i zimne. Hoffman chętnie sobie wyobrażał, że to poranna rosa, ale jedno spojrzenie na zatłoczony, klaustrofobiczny świat, w którym mieszkał, natychmiast rozwiewało te złudzenia.

Nudziło go jego zadanie: tkwić tygodniami przy brytyjskim wybrzeżu, bez końca czekając na kogoś ze szpiegów Canarisa. Z załogi Hoffmana tylko pierwszy oficer znał prawdziwy cel ich misji. Reszta zapewne się tego domyślała, ponieważ nie wykonywali żadnych patroli. Cóż, mogło być gorzej. Jeśli wziąć pod uwagę przerażającą statystykę strat — prawie dziewięćdziesiąt procent U— bootów — Hoffman i jego załoga mogli się uważać za diabelnych szczęśliwców, przeżywszy do tej pory.

W kiosku pojawił się pierwszy oficer. Na jego twarzy malowała się powaga, w dłoni ścisnął kartkę. Hoffman spojrzał na podwładnego, przygnębiony myślą, że on sam zapewne wygląda równie fatalnie: zapadnięte oczy i policzki, ziemista cera marynarza łodzi podwodnej, niechlujna broda, ponieważ zbyt mało mieli świeżej wody, by ją marnować na golenie.

— Nasz człowiek w Wielkiej Brytanii wreszcie się

wynurzył — odezwał się pierwszy oficer. — Zabiera się do domu jeszcze dzisiejszej nocy.

Hoffman uśmiechnął się i pomyślał: nareszcie. Weźmiemy go i wrócimy do Francji, gdzie czeka na nas przyzwoite jedzenie i czysta pościel.

— Jaka jest najświeższa prognoza pogody? — spytał.

— Nie najlepsza, *Herr Kaleu* — odparł pierwszy oficer, używając zwyczajowego skrótu od Kapitanleutnant. — Ulewne deszcze, wiatr północno— zachodni, trzydzieści mil na godzinę, morze dziesięć do dwunastu.

— Rany boskie! A ten pewnie przyplynie jakąś łupiną, o ile dopisze nam szczęście. Zorganizuj przyjęcie powitalne i przygotuj się do wynurzenia. Niech telegrafista powiadomi BdU o naszych planach. Ustaw kurs na miejsce spotkania. Wynurzamy się całkowicie. Gównu mnie obchodzi pogoda. — Hoffman się skrzywił. — Dłużej nie zniosę tego smrodu.

— Tak jest, *Herr Kaleu*.

Pierwszy oficer wykrzyczał serię rozkazów, powtórzonych jak echo przez załogę. Po dwóch minutach U— 509 wynurzył się ze wzburzonych wód Morza Północnego.

System oficjalnie nosił nazwę wykrywacza kierunku ultradźwięków, ale wszyscy, którzy się nim posługiwali, nazywali go Huff Duff. Opierał się na zasadzie triangulacji. Radiowe „odciski palców” odtworzone przez oscylograf w Scarborough pomagały zidentyfikować rodzaj nadajnika oraz jego zasięg. Jeśli stacje nasłuchu w Flowerdown i Islandii również uruchomiły oscylografy, dzięki tym trzem zapisom można było określić linie graniczne — nazywane cięciami — a te z kolei pozwalały ustalić położenie

nadajnika. Czasem Huff Duff z dokładnością do piętnastu kilometrów określał położenie radionadajnika. Zwykle system był znacznie mniej dokładny, promień wynosił od pięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu kilometrów.

Lowe nie pomyślał, że Charlotta Endicott coś sobie ubzdurała. Co więcej, uważał, że mogła natrafić na niezwykle ważną informację. Dziś wieczorem major Vicary z MI— 5 rozesłał do wszystkich stacji nasłuchu wiadomość, żeby właśnie na coś takiego zwrócili szczególną uwagę.

Przez następne kilka minut Lowe rozmawiał ze swoimi kolegami z Flowerdown i Islandii, próbując ustalić położenie radionadajnika. Niestety kontakt był krótki, a ustalenia niezbyt precyzyjne. Prawdę powiedziawszy, Lowe mógł tylko zawęzić położenie do sporej części wschodniej Anglii — Norfolk, większości Suffolk, hrabstw Cambridge oraz Lincoln. Pewnie wiele to nie da, ale zawsze coś.

Lowe grzebał w papierach na biurku, w końcu znalazł numer Vicary'ego w Londynie i sięgnął po zieloną słuchawkę.

Warunki atmosferyczne nad północną Europą praktycznie uniemożliwiały wszelki kontakt radiowy między Wyspami Brytyjskimi a Berlinem. Dlatego też centrum radiowe Abwehry mieściło się w piwnicy dużej rezydencji na obrzeżach Hamburga, w Wohldorf, około dwustu kilometrów na północ od stolicy Niemiec.

Pięć minut po tym, jak radiooperator z U— 509 przesłał wiadomość do BdU w północnej Francji, oficer dyżurny BdU przekazał krótką informację do Hamburga. Służbę w Hamburgu pełnił właśnie weteran Abwehry, kapitan Schmidt. Zarejestrował komunikat, połączył się poprzez linię specjalną z kwaterą Abwehry w Berlinie i

poinformował porucznika Wenera Ulbrichta o rozwoju wypadków. Następnie opuścił rezydencję i udał się do pobliskiego hotelu, gdzie zamówił rozmowę z Berlinem. Nie chciał dzwonić z naszpikowanych podsłuchem linii Abwehry, gdyż numer, który podał telefonistce, był numerem gabinetu brigadenführera Waltera Schellenberga przy Prinz Albrechtstrasse. Pech chciał, że Schellenberg odkrył niepiękny romans Schmidta z szesnastolatkiem. W obawie przed skandalem Schmidt ochoczo zgodził się współpracować z Schellenbergiem. Uzyskawszy połączenie, rozmawiał z jednym z licznych asystentów Schellenberga — generał wybrał się dziś na uroczystą kolację — i przekazał wiadomości.

Kurt Vogel wyjątkowo postanowił spędzić wieczór w mieszkanku niedaleko Tirpitz Ufer. Ulbricht zadzwonił tam do niego z informacją, że Horst Neumann skontaktował się z łodzią podwodną i wraca. Po pięciu minutach Vogel wychodził już z mieszkania i maszerował w strugach deszczu do Tirpitz Ufer.

W tym samym momencie Walter Schellenberg zatelefonował do biura, pytając o najświeższe informacje, i dowiedział się o rozwoju sytuacji w Wielkiej Brytanii. Skontaktował się z reichsführerem Heinrichem Himmlerem i przekazał wiadomość. Himmler

kazał mu natychmiast wracać na Prinz Albrechtstrasse — zanosilo się na długą noc i przyda mu się towarzystwo. Tak się złożyło, że Schellenberg i Vogel dokładnie w tej samej chwili dotarli do swoich gabinetów i rozpoczęli oczekiwanie.

Miejsce inwazji aliantów na Francję.

Życie admirała Canarisa.

Wszystko to zależało od słowa pary szpiegów uciekających przed MI— 5.

Rozdział jedenasty

Hampton Sands, Norfolk

Martin Colville kolbą pchnął wrota stodoły. Neumann, ciągle jeszcze pochylony nad radiem, usłyszał hałas. W chwili gdy Colville wszedł do środka, sięgnął po mauzera. Colville ustawił się, opuścił strzelbę i wypalił: Neumann zrobił unik, rzucając się na podłogę i przetaczając. Huk wystrzału w niewielkim pomieszczeniu brzmiał ogłuszająco. Radio się rozpadło.

Colville po raz drugi wycelował w Neumanna. Neumann, podparty na łokciach, wyciągał mauzera. Sean Dogherty wysunął się do przodu i wrzeszczał na Colville'a, żeby przestał. Colville wymierzył w niego i pociągnął za spust. Kula trafiła Dogherty'ego w pierś, wyleciał w powietrze i opadł na ziemię jak szmaciana kukła. Runął na plecy, krew tryskała z olbrzymiej rany na torsie. Zmarł w kilka sekund.

Neumann strzelił i trafił Colville'a w ramię, ten zawirował. Tymczasem Catherine zdążyła wyciągnąć swoją broń i trzymając ją w obu dłoniach wymierzyła w głowę Colville'a. Padły dwa szybkie strzały, przygłuszone tłumikiem. Czaszka Colville'a się rozprysła i zanim jego ciało padło na klepisko obok trupa Dogherty'ego, już nie żył.

Mary Dogherty drzemała niespokojnie w sypialni na górze, kiedy usłyszała pierwszy huk wystrzału. Wyprostowała się na łóżku i gdy drugi strzał rozdarł powietrze, zsunęła nogi na podłogę. Zrzuciła kołdrę i popędziła na dół.

W domu panował mrok, w saloniku i kuchni nie było nikogo. Wybiegła na dwór. Deszcz siekł ją po twarzy. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie flanelową koszulę nocną. Teraz słychać było tylko szum wiatru i morza. Spojrzała w ciemność przez ogród i zauważyła jakąś czarną furgonetkę. Odwróciła się — w stodole się świeciło.

— Sean! — krzyknęła i pobiegła w tamtą stronę.

Pędziła boso po zimnej, mokrej ziemi. Raz za razem wykrzykiwała imię męża. Strumień światła padał z wejścia do stodoły, przy wrotach leżało pudełko z nabojami.

Stała w drzwiach, zachłysnęła się. Krzyk uwiązał jej w gardle. Parę metrów od niej leżało ciało Martina Colville'a. Nie miał części głowy, wokół rozprysły się kawałki mózgu. Zrobiło jej się niedobrze.

Dopiero potem zwróciła uwagę na drugie ciało. Mężczyzna leżał na plecach, z rozrzuconymi ramionami. Nogi miał podkurczone, jakby spał, twarz zalaną krwią. Przez krótką chwilę Mary łudziła się, że to nie jej mąż. Potem przyjrzała się starym kaloszom i sztormiakowi. To był on.

Krzyk uwięziony w gardle wreszcie się wydostał.

— Och, Sean! — zawołała. — O Boże, Sean! Coś ty zrobił? Podniósłszy wzrok, dostrzegła Horsta Neumanna z pistoletem w dłoni, pochylonego nad ciałem Seana. Tuż za nim stała kobieta, mierząc z mauzera prosto w jej czaszkę.

— Ty to zrobiłeś? — wrzasnęła na Neumanna. — Ty? Ty?

— Nie, to Colville — odparł Neumann. — Wpadł tutaj, strzelając do wszystkiego. Sean wszedł mu pod kulę. Przykro mi, Mary.

— Nie, Horst, może i Martin pociągnął za spust, ale ty jesteś winny śmierci Seana. Nie oszukuj się. Ty i twoi

przyjaciele z Berlina. To wyście go zabili!

Neumann milczał. Podeszedł do Catherine, która nadal mierzyła w głowę Mary. Przytrzymał broń i łagodnie opuścił ją na dół.

Jenny Colville podeszła do stodołki z boku, tak by jej nie zauważyli. Przykucnęła przy ścianie, deszcz siekł o jej sztormiak, a ona słuchała rozmowy dorosłych.

Dobiegł ją głos mężczyzny, którego знаła jako Jamesa Portera, choć Mary zwróciła się do niego jakoś inaczej. Mors, czy coś takiego.

„Nie, to Colville. Wpadł tutaj, strzelając do wszystkiego. Sean wszedł mu pod kulę. Przykro mi, Mary.”

Potem usłyszała głos Mary. Podniósł się do pisku i drżał z rozpaczy i bólu.

„Ty jesteś winien jego śmierci... Ty i twoi przyjaciele z Berlina”.

Czekała na głos ojca. Czekała na głos Seana. Nic. Wtedy zrozumiała, że obaj nie żyją.

„Ty i twoi przyjaciele z Berlina”.

O czym ty mówisz, Mary? — pomyślała Jenny.

Nagle wszystko się ułożyło w jedną całość, jakby dopasowała brakujący element układanki: Sean tamtej nocy na plaży, nagle pojawienie się Jamesa Portera, ostrzeżenie Mary dzisiaj po południu: „Nie jest tym, za kogo się podaje. On nie jest dla ciebie”.

Wtedy Jenny nie rozumiała, co Mary próbuje jej powiedzieć, ale teraz wydawało jej się, że wie. Mężczyzna, którego znała pod nazwiskiem Jamesa Portera, to niemiecki szpieg. A to oznaczało, że Sean również współpracował z Niemcami. Ojciec widać odkrył prawdę i rzucił im to w twarz. A teraz leży martwy na klepisku

stodoły.

Chciała krzyczeć. Po jej policzkach spływały gorące łzy. Podniosła ręce do ust, by zdławić szloch. Pokochała go, a on ją oszukał, wykorzystał ją, był niemieckim szpiegiem i najprawdopodobniej właśnie zabił jej ojca.

W stodole coś się poruszyło. Ktoś cichym głosem rzucał polecenia, których Jenny nie rozumiała. Słyszała głos niemieckiego szpiega, potem odpowiedź kobiety, ale to nie był głos Mary. Potem zauważyła szpiega, który wyłonił się ze stodoły i z latarką w ręku ruszył podjazdem. Kierował się do rowerów. Jeśli je znajdzie, domyśli się, że i ona tu jest.

A wtedy zacznie jej szukać.

Zmusiła się, żeby oddychać powoli i miarowo, żeby jasno myśleć.

Miotaly nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony bała się, robiło jej się niedobrze na myśl o ciałach ojca i Seana. Ale przede wszystkim ogarniał ją gniew. Oszukano ją i zdradzono. Teraz narastało w niej tylko jedno przemożne pragnienie: chciała dopaść tych ludzi, chciała, by ponieśli karę.

Ale zdawała sobie też sprawę, że nic z tego, jeśli Niemiec ją znajdzie.

Co robić? Może spróbować pobiec do wioski. W zajeździe i w pubie były telefony. Skontaktuje się z policją, policjanci przyjadą i aresztują tych ludzi.

Ale to właśnie w wiosce szpiedzy przede wszystkim będą jej szukać. Od Doghertych wiodła tam tylko jedna droga: przez most, obok kościoła. Jenny wiedziała, że błyskawicznie by ją dopadli.

Rozważyła drugą możliwość. Oni niedługo wyjadą. W końcu dopiero co zabili dwóch ludzi. A ona może się na jakiś czas ukryć, odczekać i dopiero wtedy zawiadomić

policję.

A jeśli wezmą ze sobą Mary? — pomyślała.

Dla Mary będzie lepiej, jeśli ona będzie na wolności i spróbuje zorganizować odsiecz.

Jenny obserwowała szpiega, który zbliżał się do drogi. Dostrzegła światło latarki omiatające łąkę. Przez chwilę zatrzymało się na czymś, potem skierowało w jej stronę.

Głośno wciągnęła powietrze. Znalazł jej rower. Wstała i zaczęła biec.

Horst Neumann zauważył dwa rowery leżące na trawie przy drodze. Skierował latarkę w stronę łąki, ale słaba żarówka oświetliła tylko przestrzeń w promieniu kilku metrów. Podniósł rowery, ujął za kierownice i poprowadził w stronę domu. Zostawił je za stodołą Doghertych, tak by nie było ich widać z drogi.

Jenny gdzieś tu musi się ukrywać. Próbował sobie wyobrazić, co się stało. Jej ojciec wypada z domu ze strzelbą. Jenny jedzie za nim i już po wszystkim dociera do gospodarstwa Doghertych. Domyślił się, że gdzieś się schowała i czeka, aż wyjadą. Przypuszczał, że wie gdzie.

Przez chwilę chciał zostawić dziewczynę w spokoju. Ale Jenny jest inteligentna. Zawiadomi policję. Policja zablokuje wszystkie drogi wokół Hampton Sands. I bez tego trudno im będzie dotrzeć na czas na wybrzeże w Lincoln. Pozostawić Jenny na wolności, dać jej szansę powiadomienia policji to dodatkowo skomplikować ich plany.

Neumann wszedł do stodoły. Catherine przykryła ciała starymi workami. Mary siedziała na stołku, trzęsąc się jak osika. Niemiec unikał jej wzroku.

— Mamy problem — odezwał się, ruchem ręki

wskazując ciało Martina Colville'a. — Znalazłem rower jego córki. Zapewne dziewczyna gdzieś tu jest i wie, co się stało. Zapewne będzie też próbowała ściągnąć pomoc.

— Więc idź i ją znajdź — rozkazała Catherine. Neumann skinął głową.

— Zabierz Mary do domu. Zwiąż ją, zaknebluj. Domyślam się, gdzie Jenny mogła się schować.

Wyszedł na dwór i w strugach deszczu podbiegł do ciężarówki. Uruchomił silnik, zawrócił i ruszył w stronę plaży.

Catherine skończyła przywiązywać Mary do drewnianego krzesła w kuchni. Przedarła na pół ścierkę, jedną część zwinęła i wepchnęła kobiecie do ust, drugą mocno obwiązała wokół głowy. Gdyby to od niej zależało, zabiłaby Mary. Nie lubiła zostawiać za sobą śladów. Lecz Neumann najwyraźniej czuł się jakoś z tą kobietą związany. Zresztą, pewnie upłynie wiele godzin, zanim ktoś ją znajdzie. Gospodarstwo leżało na uboczu, prawie dwa kilometry od wioski. Niewykluczone że dopiero jutro czy pojutrze ktoś dostrzeże nieobecność Seana, Colville'a i dziewczyny. Mimo to instynkt samozachowawczy szeptał jej, że najlepiej by było teraz ją zabić i mieć sprawę z głowy. Neumann niczego by się nie dowiedział.

Ostatni raz sprawdziła węzły. Potem z kieszeni wyjęła mauzera. Wzięła go do ręki, położyła wskazujący palec na spuście i przytknęła lufę do skroni Mary. Kobieta nawet nie drgnęła, wpatrywała się prosto w Catherine.

— Pamiętaj, Jenny jedzie z nami — ~ odezwała się Catherine. — Jeśli powiesz policji, dowiemy się o tym. I zabijemy małą. Rozumiesz, co powiedziałam, Mary?

Mary potaknęła. Catherine ujęła lufę pistoletu, zamachnęła się nim i uderzyła związaną w głowę. Mary osunęła się nieprzytomna, krew splywała jej po włosach do

oczu. Catherine tkwiła przy dogasającym ogniu, czekając na Neumanna i dziewczynę, czekając na podróż do domu.

Rozdział dwunasty

Londyn

W tej samej chwili taksówka zatrzymała się przy niskiej, porośniętej bluszczem stróżówce pod Łukiem Admiralicji. Drzwi się otworzyły i na deszcz wyszedł drobny, raczej brzydki mężczyzna, ciężko opierając się na lasce. Nie zwracał sobie głowy parasolem. Od wejścia, którego pilnował strażnik Marynarki Królewskiej, dzieliło go parę kroków. Strażnik zaszutował, brzydał nie odpowiedział na pozdrowienie, bo musiałby przelożyć laskę do lewej ręki — zbyt męczące zadanie. Zresztą, choć minęło pięć lat, odkąd wcielono go do Królewskiej Marynarki Wojennej, Arthur Braithwaite nadal nie zdołał przywyknąć do obyczajów i tradycji wojskowego życia.

Zasadniczo Braithwaite rozpoczynał służbę dopiero za godzinę, ale, jak to miał w zwyczaju, zjawił się w cytadeli wcześniej, żeby dać sobie czas na przygotowanie do pracy. Braithwaite, od dzieciństwa kulejący na jedną nogę, wiedział, że aby odnosić sukcesy, zawsze musi być przygotowany lepiej niż pozostali. Ten wysiłek popłacał.

Do pomieszczenia służb wykrywania jednostek podwodnych schodziło się krętymi, wąskimi schodami — niełatwe zadanie dla kaleki. Braithwaite minął główne pomieszczenie nawigacyjne i przez strzeżone drzwi wszedł do swojego lokum.

Energia i podniecenie panujące w pokoju jak zwykle natychmiast go wciągnęły. Ściany bez okien były pomalowane na kremowo. Wisiały na nich mapy, wykresy i zdjęcia U—bootów oraz ich załóg. Przy stolikach pracowali oficerowie i maszynistki. Na środku leżała olbrzymia mapa Północnego Atlantyku, na której kolorowe

szpilki oznaczały położenie każdego okrętu wojennego, frachtowca i jednostki podwodnej od Morza Bałtyckiego po przylądek Cod.

Na jednej ze ścian królowało duże zdjęcie admirała Karla Dönitza, dowódcy Kriegsmarine. Braithwaite, jak co rano, puścił do niego oko i powiedział:

— Dzień dobry, *Herr Admiral*.

Potem pchnął drzwi swej odgradzonej szklaną ścianą niży, zdjął płaszcz i usiadł przy biurku.

Sięgnął po plik rozszyfrowanych komunikatów, które codziennie na niego czekały.

Gdzież temu do trzydziestego dziewiątego roku! — pomyślał z nostalgią.

W 1939 roku obronił dyplomy prawa i psychologii na uniwersytetach Cambridge i Yale, po czym zaczął się zastanawiać, jak by je wykorzystać. Gdy wybuchła wojna, postanowił zużytkować płynną znajomość niemieckiego i na ochotnika zgłosił się do przesłuchiwania niemieckich jeńców. Wywarł tak doskonałe wrażenie na zwierzchnikach, że zaproponowano mu przeniesienie do cytadeli, gdzie w punkcie kulminacyjnym bitwy o Anglię, jako cywil— ochotnik, otrzymał zadanie wykrywania łodzi podwodnych. Intelpekt i oddanie Braithwaite'a wyróżniały go wśród innych pracowników. Rzucił się do pracy, zgłaszał na dodatkowe dyżury i przeczytał wszystkie książki dotyczące historii i taktyki niemieckiej marynarki wojennej. Obdarzony niemal niezawodną pamięcią, zapoznał się z życiorysami wszystkich kapitanów niemieckich łodzi podwodnych. W ciągu kilku miesięcy nauczył się w zdumiewający sposób przewidywać ruchy U— bootów. Nic z tego nie przeszło nie zauważone. Wyznaczono go na tymczasowego dowódcę i uczyniono odpowiedzialnym za kontrolę ruchów okrętów

podwodnych — niezwykle awans dla kogoś, kto nie ukończył Dartmouth Naval College.

Jego asystent zastukał w szklane drzwi i czekał, aż Braithwaite skinie na niego. Dopiero wtedy wszedł.

— Dzień dobry, komendancie — przywitał się, stawiając na biurku tacę z herbatą i biskwitami.

— Dzień dobry, Patrick.

— Dzięki fatalnej pogodzie słaby dzisiaj mieliśmy ruch. Żaden U— boot się nie wynurzył. Sztorm odsunął się od zachodniego wybrzeża, hula sobie na wschodzie, od Yorku po Suffolk.

Braithwaite skinął głową, adiutant wyszedł. Pierwsze informacje nie przyniosły nic nadzwyczajnego: przechwycono rutynowe pogawędki między U— bootami a BdU. Dopiero piąta zwróciła jego uwagę. Był to alarm ogłoszony przez majora Alfreda Vicary'ego z Ministerstwa Wojny. Władze poszukiwały dwóch osób, mężczyzny i kobiety, którzy mogą próbować opuścić Wielką Brytanię. Braithwaite uśmiechnął się na to ostrożne sformułowanie. Niewątpliwie ten cały Vicary jest z MI— 5, a ta parka to pewnie niemieccy agenci, którzy musieli solidnie nabroić, inaczej tekst nie trafiłby na jego biurko. Odłożył alarm Vicary'ego na bok i dalej czytał.

Przejrzawszy następne rutynowe doniesienia, Braithwaite trafił na kolejną rzecz, która go zainteresowała. Funkcjonariuszka WRNS ze stacji nasłuchu w Scarborough przechwyciła połączenie, które jej zdaniem dokonało się między U— bootem a nadawcą w Anglii. Huff Duff oszacował, że nadajnik mógł się znajdować gdzieś na wschodnim wybrzeżu — między hrabstwem Lincoln a Suffolk. Braithwaite położył tę notkę na boku, przy alarmie Vicary'ego.

Podniósł się, przekuśtykał do głównego pomieszczenia i

zatrzymał się przy mapie Północnego Atlantyku. Dwóch pracowników przesuwało kolorowe szpilki, zaznaczając ostatnie ruchy okrętów. Braithwaite zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Z poważną miną wbił wzrok w wody wokół wschodniej Anglii.

Po chwili odezwał się cicho:

— Patrick, przynieś mi dokumentację U— 509.

Rozdział trzynasty

Hampton Sands, Norfolk

Jenny dobiegła do sosnowego zagajnika u stóp wydm i padła wyczerpana. Biegła instynktownie, jak spłoszone zwierzę. Trzymała się z dala od drogi, kluczyła po łąkach, moczarach. Nie zliczyłaby, ile razy upadła w błoto. Teraz cuchnęła gnijącą pod— ściółką i morzem. Twarz, siekana przez deszcz i wiatr, paliła jak spoliczkowana. Kurtka ciążyła na ramionach, jakby ważyła sto funtów. W kaloszach chlupotała woda, stopy jej przemarzły na kość. Przypomniła sobie, że wybiegła z domu bez skarpetek. Upadła na czworaki, z trudem chwytając powietrze. Gardło jej płonęło, czuła w ustach piach.

Odczekała chwilę, póki oddech jej się nie uspokoił, z wysiłkiem się dźwignęła i weszła do zagajnika. Panował nieprzenikniony mrok, więc szła z wyciągniętymi rękami, jak ślepiec błądzący po nie znanej mu okolicy. Przeklinała się w duchu, że nie wzięła latarki.

Poprzez szum wiatru usłyszała łoskot fal rozbijających się o falochrony i skrzek ptaków. Drzewa układały się w znajomy wzór. Jenny poruszała się już pewnie, jakby chodziła w ciemnościach po własnym domu.

Drzewa się rozstąpiły; dotarła do swojej kryjówki.

Wślizgnęła się w zagłębienie i oparła o skałę. Nad jej głową wiatr zamiatał czubkami sosen, ale ona była osłonięta przed najgorszymi podmuchami. Najchętniej rozpaliby ognisko, lecz dym byłoby widać z daleka. Wygrzebała spod igliwia skrzynię, wyjęła wełniany koc i dokładnie się nim owinęła.

Rozgrzała się trochę. Wtedy zaczęła płakać. Zastanawiała się, jak długo powinna odczekać, zanim ruszy

po pomoc. Dziesięć minut? Dwadzieścia? Pół godziny? Zastanawiała się, czy Mary będzie jeszcze w domu, kiedy wróci. Zastanawiała się, czy nie stanie jej się krzywda. Przed oczami zamajaczyła jej koszmarna wizja ciała ojca. Potrząsnęła głową, próbując odgonić ten obraz. Zadrżała i szczelniej otuliła się kocem.

Trzydzieści minut. Odczeka trzydzieści minut. Wtedy wyjdzie z kryjówki i będzie mogła bezpiecznie wrócić.

Neumann zostawił samochód na końcu drogi, chwycił latarkę z siedzenia obok i wysiadł. Szybko szedł między drzewami. Wspiął się na wydmy i zsunął na dół. Dotarłszy na plażę, zgasił latarkę i ruszył w stronę wody. Kiedy znalazł się na równym, twardym piasku, zaczął biec truchtem, z pochyloną głową, żeby osłonić się przed wiatrem.

Przypomniał sobie ranek, kiedy tak biegł i zobaczył Jenny wynurzającą się z wydm. Wyglądała wtedy, jakby tam przespala noc. Nie miał wątpliwości, że gdzieś tutaj urządziła sobie kryjówkę, w której mogła się schronić, kiedy w domu nie sposób było wytrzymać. Teraz jest przerażona, samotna, ucieka. Jak dziecko ukryje się tam, gdzie czuje się najbezpieczniej. Neumann dobiegł do miejsca, które służyło mu wtedy za wymyśloną metę, zatrzymał się i podszedł do wydm.

Po drugiej stronie zapalił latarkę, znalazł wydeptaną ścieżkę. Dotarł do małego zagłębienia, osłoniętego przed wiatrem przez drzewa i parę dużych kamieni. Skierował tam latarkę. Strumień światła padł prosto na twarz Jenny Colville.

— Jak naprawdę się nazywasz? — spytała Jenny, gdy jechali do farmy Doghertych.

— Naprawdę nazywam się porucznik Horst Neumann.

— Gdzie tak dobrze nauczyłeś się angielskiego?

— Mój ojciec był Anglikiem, urodziłem się w Londynie. Po jego śmierci matka przeniosła się z powrotem do Niemiec.

— Jesteś niemieckim szpiegiem?

— Tak jakby.

— Co się stało z Seanem i moim ojcem?

— Nadawaliśmy przez radio w stodole Seana, kiedy wpadł twój ojciec. Sean chciał go powstrzymać i twój ojciec go zabił. Catherine i ja zastrzeliliśmy twojego ojca. Wybacz, Jenny. To wszystko działo się tak szybko.

— Zamknij się! Nie chcę, żebyś mnie przeproszał! Neumann milczał.

— Co będzie teraz?

— Pojedziemy na północ, do ujścia Humber. Tam wsiądziemy na łódź i popłyniemy na morze, gdzie czeka na nas U—boot.

— Mam nadzieję, że cię złapią. I że cię zabiją.

— To bardzo możliwe.

— Jesteś skończonym łajdakiem! Dlaczego wdałeś się w bójkę z ojcem o mnie?

— Bo bardzo cię lubię, Jenny. W pozostałych sprawach kłamałem, ale to jest prawda. A teraz rób dokładnie to, co ci powiem, a nic złego ci się nie stanie. Rozumiesz mnie?

Jenny skinęła głową. Neumann skręcił do domu Doghertych. Drzwi się otworzyły i na dwór wyszła Catherine. Zbliżyła się do furgonetki i zajrzała do szoferki. Popatrzyła na Jenny, potem na Neumanna i odezwała się po niemiecku:

— Zwiąż ją i wrzuć na tył. Zabieramy ją z sobą. Nigdy

nie wiadomo, zakładnik zawsze może się przydać.

Neumann pokręcił głową i odparł również po niemiecku:

— Zostawmy ją tutaj. Do niczego nam się nie przyda, a może się jej coś stać.

— Czyżbyś zapomniał, kto tu jest starszy rangą, poruczniku?

— Nie, majorze — odparł Neumann, nie kryjąc sarkazmu.

— To dobrze. A teraz zwiąż ją i zabierajmy się z tej cholernej nory.

Neumann wrócił do stodoły po sznur. *Znalazł go, wziął latarnię i ruszył do wyjścia. Po raz ostatni spojrzął na ciało Seana Dogherty'ego przykryte workiem. Nic nie mógł na to poradzić, ale czuł się odpowiedzialny za łańcuch wydarzeń, który doprowadził do śmierci Irlandczyka. Gdyby nie walczył z Martinem, ten nie zjawiłby się dzisiaj ze strzelbą. Sean jechałby wraz z nimi do Niemiec, a nie leżał na klepisku z rozoraną klatką piersiową. Horst zdmuchnął lampę i wyszedł, zamykając za sobą wrota.*

Jenny nie stawiała oporu ani nie odezwała się słowem. Neumann związał jej ręce z przodu, żeby było jej wygodniej siedzieć. Upewnił się, czy sznur nie wrzyna się w ciało dziewczyny. Potem skrępował jej nogi. Skończywszy, przeniósł ją na tył, otworzył drzwi samochodu i włożył do środka.

Dolał do baku benzyny i rzucił pusty kanister w trawę.

Na trasie między domem a wioską nie było śladu *życia*. Najwyraźniej nikt w Hampton Sands nie usłyszał strzelaniny. Neumann przejechał przez most, minął kościół i pomknął ciemną ulicą. Wszędzie panował spokój, jakby

mieszkańców ewakuowano.

**Catherine siedziała obok niego, w milczeniu ładując
mauzera.**

**Neumann dodał gazu i wioska Hampton Sands została
za nimi.**

Rozdział czternasty

Londyn

Czekając na dokumenty U— 509, Arthur Braithwaite utkwiał wzrok w mapie. Właściwie nie potrzebował tych akt — sądził, że wie wszystko, co powinien, o dowódcy tej łodzi podwodnej i mógłby z pamięci wyrecytować każdy jej ruch. Chciał tylko sprawdzić parę rzeczy, nim zadzwoni do MI— 5.

Ruchy U— 509 od tygodni nie dawały mu spokoju. Okręt najwyraźniej krążył sobie po Morzu Północnym, nie zmierzając w żadnym określonym kierunku, często przez dłuższy czas nie kontaktując się z BdU. A gdy już się zgłosił, zameldował, że zajmuje pozycję w okolicach Spurn Head, w pobliżu brytyjskiego wybrzeża. Zarejestrowano go też na zdjęciach lotniczych w okolicach południowej Norwegii. Nie wynurzał się, nie atakował floty wojennej ani handlowej aliantów.

Po prostu kręcisz się tak bez celu, kapitanleutnancie Hoffmanie — pomyślał Braithwaite. — Cóż, ja ci nie wierzę.

Podniósł wzrok na ponurą twarz Dönitza i mruknął:

— Po co byś miał tak marnować dobry statek i świetną załogę? W chwilę potem zjawił się asystent z teczką.

— Proszę, komendancie.

Braithwaite nie wziął akt, tylko z pamięci zaczął recytować zawartość.

— O ile dobrze pamiętam, dowódca nazywa się Max Hoffman.

— Zgadza się.

— Krzyż rycerski w czterdziestym drugim, rok później liście dębu.

— Przypięte przez samego führera.

— I teraz ważny szczegół. O ile mnie pamięć nie myli, przed wojną przez krótki okres współpracował z Abwehrą.

Adiutant przerzucił kartki.

— Tak, znalazłem, komendancie. W latach trzydzięci osiem, trzydzięci dziewięć Hoffmana oddelegowano do kwatery Abwehry w Berlinie. Po wybuchu wojny z powrotem przeniesiono go do Kriegsmarine i powierzono dowództwo U— 509.

Braithwaite znowu wpatrywał się w mapę Północnego Atlantyku.

— Patrick, gdybyś chciał wyciągnąć z Wielkiej Brytanii ważnego szpiega, nie chciałbyś, żeby to twój stary druh się nim zaopiekował?

— Owszem, komendancie.

— Dzwon do Vicary'ego z MI— 5. Chyba musimy sobie pogawędzić.

Rozdział piętnasty

Londyn

Alfred Vicary stał przed wysoką na prawie dwa metry mapą Wysp Brytyjskich, pałac papierosa za papierosem, pijąc obrzydliwą herbatę i myśląc: teraz wiem, jak musi się czuć Adolf Hitler. Dzięki telefonowi od komandora Lowe'a ze Scarborough można było spokojnie założyć, że szpiedzy próbują wymknąć się z Anglii na pokładzie U—boota. Vicary'emu pozostał tylko jeden drobny, a zarazem poważny problem. Miał bardzo słabe pojęcie kiedy, a jeszcze słabsze gdzie to nastąpi.

Zakładał, że uciekinierzy muszą się dostać na okręt podwodny przed świtem. U—boot nie mógł ryzykować pozostania na powierzchni w pobliżu wybrzeża po wschodzie słońca. Niewykluczone, że U—boot chciałby wysłać po szpiegów gumową tratwę — tak Abwehra przysłała wielu szpiegów do Anglii — lecz Vicary wątpił, żeby zdecydowali się na taką próbę przy obecnym sztormie. Kradzież łodzi nie jest taka prosta, jakby się mogło wydawać. Królewska Marynarka Wojenna położyła rękę na prawie wszystkim, co mogło pływać. Połów ryb na Morzu Północnym znacznie się zmniejszył, ponieważ nadzwyczaj pilnie strzeżono wód przybrzeżnych. Parze uciekających szpiegów trudno będzie znaleźć przyzwoity środek transportu, w dodatku szybko, i to podczas sztormu oraz zaciemnienia.

Może już mają łódź?

Bardziej nagląca kwestia to gdzie. Z którego miejsca wybrzeża wyruszyliby na morze? Vicary wpatrywał się w mapę. Nasłuch nie zdołał ustalić dokładnego położenia nadajnika. On — sztuka dla sztuki — wybierze sam środek

dużego obszaru, który mu podano. Powiódł palcem po mapie i zatrzymał się na wybrzeżu Norfolk.

Tak, to idealnie się nadaje. Vicary znał rozkład jazdy. Szpieg mógł się ukrywać w jednej z przybrzeżnych wiosek, a w ciągu zaledwie trzech godzin dojechać do Londynu dzięki regularnym połączeniom kolejowym z Hunstanton.

Vicary przyjął, że uciekinierzy mają dobry samochód i mnóstwo benzyny. Już znacznie się oddalili od Londynu, a ponieważ policja dokładnie patrolowała kolej, był prawie pewny, że nie posłużyli się pociągiem.

Jak daleko mogą pojechać z wybrzeża Norfolk, zanim wsiądą na łódź i wypłyną na morze?

U— boot zapewne nie zbliży się do brzegu bardziej niż na pięć mil. Pokonanie pięciu mil na morzu zajmie szpiegom co najmniej godzinę. Jeśli U— boot wynurzy się o świcie, będą musieli dopłynąć na miejsce najpóźniej o szóstej. Komunikat nadali o dziesiątej wieczór. To potencjalnie osiem godzin podróży samochodem. Jak daleko by dojechali? Z poprawką na pogodę, zaciemnienie i fatalny stan dróg, około stu pięćdziesięciu, dwustu pięćdziesięciu kilometrów.

Pokonany znowu spojrzął na mapę. To nadal olbrzymie połacie wybrzeża, od ujścia Tamizy na południu po estuarium Humber na północy. Nie sposób obstawić całego tego obszaru. Roi się tam od malutkich portów, wiosek rybackich, przystani. Vicary poprosił lokalne siły policyjne o skierowanie jak największej liczby ludzi do obserwacji wybrzeża. Służba przybrzeżna RAF zgodziła się rozpocząć o świcie lotnicze patrole wybrzeża, ale obawiał się, że wtedy będzie za późno. Korwety Marynarki Wojennej rozglądały się za niewielkimi jednostkami pływającymi, choć w deszczową, pochmurną noc szansę wypatrzenia czegokolwiek równały się zeru. Bez kolejnego tropu —

drugiego przechwyconego sygnału radiowego czy jakiejś wpadki — niewielkie są szanse na dopadnięcie szpiegów.

Zadzwoił telefon.

— Vicary.

— Mówi Arthur Braithwaite ze służby wykrywania jednostek podwodnych. Zastąpiłem pańską informację, gdy przyszedłem na służbę, i sądzę, że będziemy mogli wam udzielić znacznej pomocy.

— Wedle służby wykrywania jednostek podwodnych U— 509 już od paru tygodni krąży w okolicach wybrzeża Lincoln — wprowadził Vicary Boothby'ego w sytuację, gdy ten zszedł na dół i przyłączył się do profesorskiego czuwania przy mapie. — Jeśli

skierujemy ludzi i sprzęt do hrabstwa Lincoln, jest szansa, że złapiemy naszą dwójkę.

— To bardzo duże terytorium. Vicary znowu przyglądał się mapie.

— Jakie miasto w tamtych okolicach jest największe?

— Chyba Grimsby.

— Jak pan sądzi, ile czasu mi trzeba, żeby tam dojechać?

— Sekcja transportu mogłaby panu zorganizować wóz, ale podróż trwałaby całe godziny.

Vicary się skrzywił. Sekcja transportowa miała właśnie do tych celów parę bardzo szybkich samochodów. W gotowości zawsze czuwali świetni kierowcy, którzy specjalizowali się w rajdach. Przed wojną niektórzy nawet uczestniczyli w zawodowych wyścigach. Ci kierowcy jednak, choć doskonali, jego zdaniem za bardzo szaleli. Pamiętał noc, kiedy łapał szpiega na kornwalijskiej plaży. Pamiętał, jak trząśnięcie na tyle podrasowanego rovera,

mknącego przez zaciemnione miasta i modlił się, żeby w ogóle dożyć aresztowania.

— A samolot? — spytał.

— Jestem przekonany, że mógłbym panu zorganizować jakiś samolot. W okolicy Grimsby jest niewielka baza lotnicza. Mogliby pana tam podrzucić za jakąś godzinę, urządziłby pan tam sobie punkt dowodzenia. Ale wyglądał pan ostatnio przez okno? To koszmar na latanie.

— Zdaję sobie sprawę, ale jestem pewny, że lepiej sobie poradzę, na miejscu dowodząc akcją. — Vicary odwrócił się od mapy i popatrzył na Boothby'ego. — I wpadłem na jeszcze jeden pomysł. Gdybyśmy zdążyli ich dopaść, zanim przekażą wiadomość do Berlina, może zdołałbym ich wyręczyć.

— Wymyślić jakieś wytłumaczenie decyzji ucieczki z Londynu, która umocniłaby przekonanie Niemców o prawdziwości *Kettledrum*!

— Zgadza się.

— Dobra myśl, Alfredzie.

— Chciałbym zabrać ze sobą paru ludzi: Roacha, Daltona, jeśli da radę.

Boothby się zawahał.

— Moim zdaniem powinien pan wziąć jeszcze kogoś.

— Kogo?

— Petera Jordana.

— Jordana!

— Spójrzmy na to od innej strony. Jeśli Catherine Blake oszukała i wykorzystwała Jordana, to czy nie chciałby tam jechać i widzieć jej upadek? Ja z pewnością bym chciał. Na jego miejscu o niczym innym bym nie marzył, jak żeby pozwolono mi pociągnąć za spust. I Niemcy też muszą w to uwierzyć. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby uwierzyli w autentyczność ich przekazu o *Kettledrum*.

Vicary pomyślał o pustej teczce w archiwum. Ponownie zadzwonił telefon.

— Vicary.

Zgłosiła się jedna z telefonistek.

— Profesorze Vicary, dzwoni nadinspektor Perkin z policji w King's Lynn w Norfolk. Mówi, że to pilne.

— Proszę łączyć.

Hampton Sands było zbyt małą, zbyt odludną i spokojną wioską, żeby ustanawiać tam odrębny posterunek. Posterunek był w Brancaster wspólny dla Hampton Sands, Holme, Thornton, Titchwell. Kierował nim konstabl Thomasson, weteran, który od ostatniej wojny pracował w Norfolk. Thomasson mieszkał w budynku policji w Brancaster, a ze względu na swój zawód posiadał własny telefon.

Przed godziną telefon zadzwonił, budząc Thomassona, jego żonę oraz setera Ragsa. Głos z drugiej strony należał do nadinspektora Perkinsa z King's Lynn. Nadinspektor poinformował Thomassona o pilnym telefonie z Ministerstwa Wojny w Londynie: proszono oddziały policyjne o poszukiwanie dwójki zbiegów podejrzanych o morderstwo.

W dwie minuty po rozmowie ze zwierzchnikiem Thomasson już wynurzał się z mieszkania w niebieskiej pelerynie przeciwdeszczowej i zjudwestce zawiązanej pod brodą, dzierżąc termos słodkiej herbaty, którą pospiesznie przygotowała mu Judith. Wyprowadził z szopy rower i ruszył na patrol. Rags, który zawsze towarzyszył mu w wyprawach, truchtał przy rowerze.

Thomasson miał pięćdziesiątkę z górą. Nigdy nie palił, rzadko pił, a po trzydziestu latach krążenia na rowerze po

wybrzeżu Norfolk był sprawny i bardzo silny. Umięśnione nogi bez wysiłku kręciły pedałami i konstabl szybko objechał ciężkim stalowym rowerem uliczki Brancaster. Tak jak przypuszczał, panował tam niezmacony spokój. Mógł zapukać do paru drzwi, obudzić kilka osób, ale znał wszystkich mieszkańców i wiedział, że żaden z nich by nie ukrywał zbiegłych morderców. Skontrolował ciche uliczki i ruszył drogą do następnej wioski, Hampton Sands.

Gospodarstwo Colville'a leżało jakieś pół kilometra za wioską. Wszyscy znali historię Martina Colville'a. Rzuciła go żona, pił, i z tego, co zarobił z trudem się utrzymywał. Thomasson wiedział, że Colville zbyt surowo traktuje swoją córkę Jenny. Wiedział też, że Jenny mnóstwo czasu spędza na wydmach. Natknął się na jej rzeczy, kiedy jeden z mieszkańców skarżył się na włóczęgów mieszkających na plaży. Zatrzymał się, poświecił latarką w stronę domostwa Colville'a. Dom tonął w mroku, z komina nie unosił się dym.

Thomasson poprowadził rower do drzwi i zastukał. Nikt nie odpowiedział. Podejrzewając, że Colville zapił się albo stracił przytomność, zapukał ponownie, już mocniej. Cisza. Pchnął drzwi i zajrzał do środka. W domu było ciemno. Zawołał Colville'a. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszedł i ruszył w stronę Hampton Sands.

W wiosce, podobnie jak wcześniej w Brancaster, panował spokój i ciemności. Thomasson przepedałował przez ulicę, minął pub, sklepik, kościół. Przetoczył się po moście. Sean i Mary Dogherty mieszkali z półtora kilometra dalej. Thomasson wiedział, że Jenny praktycznie się do nich przeprowadziła. Bardzo prawdopodobne, że u nich nocuje. Ale gdzie się podział Martin?

Ciężko się tam jechało, droga była nierówna, wyboista. W mroku słyszał kłapanie łąp Ragsa i jego rytmiczny

oddech. Wreszcie zamajaczyło przed nim gospodarstwo Doghertych. Skreślił na drózkę dojazdową, zatrzymał się i omiótł latarką okolicę.

Coś na łące przykuło jego uwagę. Jeszcze raz skierował tam strumień światła i — proszę — znowu to samo. Zanurzył się w wilgotną łąkę i sięgnął po porzucony przedmiot. Był to pusty kanister. Thomasson powąchał — benzyna. Przechylił go do góry dnem. Ze środka wypłynęła strużka paliwa.

Rags pobiegł przed nim w stronę domu Doghertych. Konstabl dojrzał na podwórku rozsypującą się furgonetkę Seana. Potem zauważył dwa rowery w trawie przy stodole. Podeszedł do drzwi i zastukał: Tak samo jak u Colville'a, nikt nie odpowiedział.

Nie zwracał sobie głowy powtórным stukaniem. To, co do tej pory zobaczył, wystarczająco go zaniepokoiło. Pchnął drzwi.

— Halo! — krzyknął.

Usłyszał dziwny dźwięk: stłumione stękanie. W smudze światła latarki ujrzał Mary Dogherty przywiązaną do krzesła i zakneblowaną.

Podbiegł do niej, pies ujadł jak wściekły. Szybko rozwiązał knebel.

— Mary! Co, na miłość boską, tu się stało? Mary histerycznie chwytła powietrze.

— Sean... Martin... nie żyją... stodoła... szpiedzy... łódź podwodna... Jenny!

— Vicary przy telefonie.

— Nadinspektor Perkin z policji w King's Lynn.

— Co macie?

— Dwa trupy, roztrzęsioną kobietę i zaginioną

dziewczyne.

— Boże! Zaczynjcie od początku.

— Po pańskim telefonie rozesłałem posterunkowych na patrole. Jeden z nich, Thomasson, obsługuje parę wiosek w północnej części wybrzeża Norfolk. Natknął się na prawdziwe bagno.

— Mówcie dalej.

— Stało się to w wiosce Hampton Sands. Nie znajdzie jej pan, chyba że na bardzo szczegółowej mapie. Ma pan? Trzeba znaleźć Hunstanton, stamtąd ciągnąć palcem na wschód wzdłuż wybrzeża, aż się trafi na Hampton Sands.

— Jest.

Wioska leżała prawie w tym samym punkcie, gdzie wedle założeń Vicary'ego mógł się znajdować nadajnik.

— W stodole na farmie, tuż za Hampton Sands, Thomasson znalazł dwa ciała. Obie ofiary to tutejsi mieszkańcy, Martin Colville i Sean Dogherty. Dogherty był Irlandczykiem. Thomasson zastał jego żonę w domu, związaną i zakneblowaną. Uderzono ją czymś w głowę, a kiedy Thomasson ją znalazł, była w stanie hysterii. Jej opowieść brzmiała zupełnie niewiarygodnie.

— Mnie nic nie zaskoczy, nadinspektorze. Proszę kontynuować.

— Pani Dogherty twierdzi, że jej mąż od początku wojny współpracował z Niemcami. Nigdy nie działał aktywnie w IRA, ale był z nią związany. Pani Dogherty zeznała też, że parę tygodni temu Niemcy zrzucili na plażę agenta nazwiskiem Horst Neumann i jej mąż go do siebie przyjął. Agent zamieszkał u nich i regularnie podróżował do Londynu.

— Co się stało dzisiejszej nocy?

— Nie wie dokładnie. Usłyszała strzały, wybiegła do stodoły i znalazła ciała. Ten Neumann jej powiedział, że

Colville ich przyłapał i wtedy zaczęła się strzelanina.

— **Czy z Neumannem była kobieta?**

— **Tak.**

— **A co z tą zaginioną dziewczyną?**

— **To córka Colville'a, Jenny. Nie ma jej w domu, jej rower znaleziono u Doghertych. Thomasson przypuszcza, że przyjechała za ojcem, była świadkiem strzelaniny albo tego, co się wydarzyło potem, i uciekła. Mary obawia się, że Niemiec znalazł dziewczynę i zabrał ze sobą.**

— **Czy wie, dokąd się udali?**

— **Nie, ale mówi, że jadą furgonetką, najprawdopodobniej czarną.**

— **Gdzie ona teraz jest?**

— **W swoim domu.**

— **Gdzie jest konstabl Thomasson?**

— **Czeka przy telefonie w pubie w Hampton Sands.**

— **Czy w domu albo stodole zauważył radio?**

— **Chwileczkę, zaraz go spytam.**

Vicary słyszał przytłumiony głos Perkina, który powtarzał pytanie.

— **Powiada, że w stodole widział urządzenie, możliwe że nadajnik.**

— **Jak wyglądało?**

— **Walizka, a w niej coś, co przypominało radio. Trafiała w to kula.**

— **Kto jeszcze o tym wie?**

— **Ja, Thomasson i pewnie właściciel pubu. Podejrzewam, że wisi Thomassonowi nad głową.**

— **Macie nikomu ani słowem nie wspominać o tym, co się dziś wydarzyło u Doghertych. W raporcie żadnej wzmianki o niemieckich szpiegach! Chodzi o kwestie bezpieczeństwa najwyższej wagi. Jasno się wyraziłem, nadinspektorze?**

— Tak.

— Przyślę do Norfolk moją ekipę. Na razie zostawcie Mary Dogherty w spokoju, a ciała dokładnie tak, jak były.

— Tak jest.

Vicary znowu patrzył na mapę.

— Jeszcze coś, nadinspektorze. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że podejrzani mogą się kierować dokładnie w pańską stronę. Sądzymy, że zdążają na wybrzeże w hrabstwie Lincoln.

— Ściągnąłem już moich wszystkich ludzi. Blokujemy główne trasy.

— Informujcie nas na bieżąco o wszystkim. I powodzenia. Vicary odłożył słuchawkę i spojrzał na Boothby'ego.

— Zabili dwóch mężczyzn, najprawdopodobniej mają zakładniczkę i jadą na wybrzeże hrabstwa Lincoln. — Vicary uśmiechnął się złowieszczo. — Wygląda też na to, że właśnie stracili drugi nadajnik.

Rozdział szesnasty

Hrabstwo Lincoln, Anglia

Dwie godziny po wyjeździe z Hampton Sands, Horst Neumann i Catherine Blake zaczęli się obawiać, czy zdążą na spotkanie z łodzią podwodną. Opuszczając wybrzeże Norfolk, Neumann zmienił trasę: skierował się na wzgórza w głębi lądu, a potem wybrał wąziutką drogę wiodącą przez wrzosowiska i zaciemnione wioski. Okrążył King's Lynn od południowego wschodu, przemknął przez maleńkie osady, po czym przekroczył rzekę Great Ouse w wiosce Wighenall St Germans.

Podróż przez południowe obrzeża Wash była koszmarem. Wichura znad Morza Północnego szalała na moczarach i groblach. Deszcz przybrał na sile. Czasem chlustał niemilosiernie, zalewał szyby. Neumann pokonywał kilometr za kilometrem, z całej siły ściskając kierownicę, skulony nad nią, i zmagając się z wiatrem, mknął po równinnym terenie. Czasem miał wrażenie, że płyną w próżni.

Siedząca obok Catherine przy świetle latarki czytała starą szczegółową mapę Dogherty'ego. Rozmawiali po niemiecku, żeby Jenny nie zrozumiała. Neumanna zaskoczyła niemczyzna agentki: bezdźwięczna, pozbawiona jakiegokolwiek regionalnego akcentu. Taki niemiecki może być drugim albo trzecim językiem. Takim niemieckim posługuje się ktoś, kto od bardzo dawna go nie używał.

Na podstawie wskazówek Catherine Neumann planował trasę.

Kuter miał na nich czekać w Cleethorpes, miejscowości w pobliżu portu Grimsby i ujścia Humber. Kiedy wreszcie wyrwą się z okolic zatoki Wash, nie będzie na drodze

większych miast. Z mapy wynikało, że była tam dobra szosa — A 16. Prowadziła w głąb lądu i biegła u stóp Lincolnshire Wolds, potem wzdłuż rzeki. Na wszelki wypadek Neumann założył, że stało się najgorsze:

Mary znaleziono, zaalarmowano MI— 5 i wszystkie większe drogi na wybrzeżu zostaną zablokowane. Postanowił jechać trasą A 16 do połowy drogi dzielącej ich od Cleethorpes, a potem skręcić w bok, wybierać mniej uczęszczane szlaki, a równocześnie zbliżać się do wybrzeża.

Boston leżał w pobliżu zachodniej części zatoki Wash. Było to ostatnie duże miasto między nimi a ujściem Humber. Neumann zjechał z głównej trasy, przemknął bocznymi uliczkami i na północy miasta wrócił na A 16. Dodał gazu i pchał samochód przez zawieruchę.

Catherine zgasła latarkę i patrzyła na strugi deszczu błyszczące w słabym świetle reflektorów.

— Jak teraz tam jest, w Berlinie? Neumann nie odrywał wzroku do szosy.

— Istny raj. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi, ciężko pracujemy w fabrykach, wygrażamy amerykańskim i brytyjskim bombowcom, i wszyscy kochają führera.

— Brzmi to jak żywcem wzięte z filmu propagandowego Goeb— belsa.

— Rzeczywistość nie jest tak różowa. W Berlinie jest fatalnie. Za dnia nadlatują Amerykanie swoimi B— 29, w nocy Anglicy lancasterami i halifaksami. Bywają dni, że człowiek ma wrażenie, jakby naloty ani na chwilę się nie kończyły. Prawie całe śródmieście Berlina zamieniło się w gruzy.

— Przeżyłam naloty w Londynie i muszę z bólem stwierdzić, że Niemcy zasłużyli sobie na to, co teraz u nich robią Amerykanie i Brytyjczycy. Niemcy jako pierwsi wciągnęli do wojny ludność cywilną. Trudno mi teraz łać

ślozy, bo Berlin zmienia się w ruinę.

— Mówisz jak Brytyjka.

— Jestem w połowie Brytyjka. Moja matka była Angielką. Od sześciu lat wśród nich mieszkam. W takiej sytuacji nietrudno zapomnieć, po czyjej jest się stronie. Ale powiedz mi więcej o Berlinie.

— Ci, którym pieniądze albo znajomości pozwalają, żyją dość dobrze. Ci bez pieniędzy i znajomości gorzej. Rosjanie nieźle nam dają w kość na wschodzie. Podejrzewam, że połowa berlińczyków liczy na powodzenie inwazji na zachodzie, bo dzięki niej Amerykanie dotrą do Berlina przed Ruskimi.

— Typowo po niemiecku. Najpierw wybierają psychopatę, dają mu pełnię władzy, a potem płaczą, bo doprowadził ich na skraj ruiny.

Neumann parsknął śmiechem.

— Skoro posiadasz tak niezwykłą przenikliwość umysłu, to czemu, u licha, zgłosiłaś się na szpiega?

— A kto powiedział, że się zgłosiłam?

Przemknęli przez dwie wioski — najpierw Stickney, potem Stickford. W szoferce zapachniało dymem z kominów. Gdzieś zaszczekał pies, potem drugi. Horst sięgnął do kieszeni, wyjął papierosy i poczęstował Catherine. Zapaliła dwa, jeden zatrzymując dla siebie, drugi oddała jemu.

— Mogłabyś mi to wytłumaczyć?

Czy mogłabym? — zastanowiła się. Bardzo dziwnie się czuła, po tylu latach w ogóle mówiąc po niemiecku. Przez ostatnie sześć lat ukrywała najmniejszy okrucieństwo o sobie. Wręcz stała się kimś innym, wymazując każdy rys swojej osobowości i przeszłości. Gdy zdarzało jej się myśleć o tym, kim była przed Hitlerem i wojną, odnosiła wrażenie, że to dotyczy kogoś zupełnie innego.

„Anna Katarina von Steiner zginęła w nieszczęśliwym wypadku samochodowym pod Berlinem”.

— Cóż, nie można powiedzieć, żebym sama udała się do najbliższej siedziby Abwehry — przemówiła wreszcie. — Ale podejrzewam, że nikt w ten sposób tam nie podejmuje pracy, prawda? Zawsze to ONI po ciebie przychodzą. W moim wypadku NIMI był Kurt Vogel.

Opowiedziała mu, jak to się stało — jemu jako pierwszemu. Dzieje tamtego lata w Hiszpanii, po wybuchu wojny domowej. Wakacje w *estancia* Marii. Romans z ojcem dziewczyny.

— Trzeba mieć moje szczęście, żeby typek okazał się faszystą, który wyszukuje kandydatów dla Abwehry. Sprzedaje mnie Voglowi, Vogel się po mnie zgłasza.

— Więc dlaczego po prostu nie odmówiłaś?

— A dlaczego nikt z nas nie odmówił? W moim wypadku zagroził, że zniszczy najcenniejszą rzecz w moim życiu: ojca. Właśnie to robi dobry oficer wywiadu. Przenika cię. Poznaje każdą twoją myśl, każde uczucie. Wie, co kochasz i czego się lękasz. A potem to wykorzystuje, żeby cię zmusić do robienia tego, co oni rozkażą.

Przez chwilę paliła w ciszy, patrząc przez szybę na kolejną mijaną wioskę.

— Vogel wiedział, że jako dziecko mieszkałam w Londynie, doskonale znałam angielski, umiałam się posługiwać bronią i...

Chwila milczenia. Neumann nie naciskał. Czekał z zapartym tchem.

— Wiedział, że mój typ osobowości predysponuje mnie do zadania, które planował. Mieszkałam w Wielkiej Brytanii prawie sześć lat, zupełnie sama, praktycznie pozbawiona łączności z ludźmi z mojej strony: bez

przyjaciół, bez rodziny, bez kontaktu z innymi agentami, bez niczego. To zadanie było gorsze niż więzienie. Nie zliczę, ile razy marzyłam, by wrócić do Berlina i zabić Vogla, posługując się którymś z tych cudownych sposobów, których on i jego przyjaciele mnie nauczyli.

— Jak się dostałaś do Anglii? Powiedziała mu, do czego zmusił ją Vogel.

— Chryste Panie — mruknął Neumann.

— Zupełnie w stylu gestapo, prawda? Przez następny miesiąc budowałam swoją nową tożsamość. Potem przyczaiłam się i czekałam. Mieliśmy z Voglem sposób komunikowania się przez radio, który nie wymagał korzystania z pseudonimów. Więc Brytyjczycy mnie nie szukali. Vogel wiedział, że jestem bezpieczna, w gotowości, czekam tylko na sygnał. I w końcu kretyń daje mi tylko jedno zadanie i posyła prosto w ramiona MI— 5. — Zaśmiała się cicho. — O Boże, wierzyć mi się nie chce, że wreszcie wracam. Nie myślałam, że jeszcze zobaczę Niemcy.

— Nie wyglądasz na szczególnie uszczęśliwioną powrotem do ojczyzny.

— Ojczyzny? Trudno mi myśleć o Niemczech jako ojczyźnie. Trudno mi myśleć o sobie jako o Niemce. W swoim cudownym kurorciku w Bawarii Vogel skutecznie to ze mnie wymazał.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Spotkać się z Voglem, upewnić się, że ojciec żyje, potem odebrać zapłatę i zniknąć. Vogel może dla mnie stworzyć kolejne wcielenie. Mogę się podszyć pod jakieś pięć narodowości. Właśnie temu zawdzięczam, że trafiłam do tej gry. Bo to przecież gra. Jedna wielka gra.

— Gdzie pojedziesz?

— Do Hiszpanii — odparła. — Tam, gdzie to wszystko

się zaczęło.

— Opowiedz mi o tym — poprosił Neumann. — Muszę pomyśleć o czymś poza tą przeklętą drogą.

— *Estancia* leży u stóp Pirenejów. Rano polujemy, po południu przejażdżka konna w góry. Jest tam cudowny strumień z głębokimi, chłodnymi zatokami, nad którymi spędzamy całe popołudnia,

pijąc lodowate białe wino i rozkoszując się zapachem eukaliptusa. Zawsze, gdy samotność stawała się nie do zniesienia, wspominałam te chwile. Czasem wydawało mi się, że oszaleję.

— To musi być cudowne miejsce. Jeśli będziesz potrzebowała stajennego, daj mi znać.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Byłeś cudowny. Gdybanie ty... — Zawahała się. — Boże, wolę sobie nie wyobrazać.

— Nie mówmy o tym. Miło mi, że się do czegoś przydałem. Nie chciałbym ci podcinać skrzydeł, ale jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

— Wierz mi, zdaję sobie z tego sprawę.

Dopaliła papierosa, uchyliła szybę i wyrzuciła niedopałek. Wylądował na drodze, rozpryskując kaskady ogników. Catherine oparła się wygodniej i przymknęła oczy. Za długo trzymała się na nogach dzięki adrenalinie i strachowi. Dopadło ją zmęczenie. Ruch samochodu ukołysał ją do płytkiego snu.

— Vogel nie podał mi twojego prawdziwego nazwiska — powiedział Neumann. — Jak się nazywasz?

— Naprawdę nazywam się Anna Katarina von Steiner — odparła sennie. — Ale wolałabym, żebyś nadal do mnie mówił Catherine. Wiesz, Vogel zabił Annę, zanim ją wysłał do Anglii. Obawiam się, że Anny już nie ma. Umarła.

Kiedy Neumann znowu się odezwał, jego głos płynął z

daleka, jakby z końca głębokiego tunelu.

— Jak to się stało, że tak piękna i inteligentna kobieta jak Anna Katarina von Steiner skończyła tutaj, jako szpieg?

— Bardzo trafne pytanie — przyznała.

W tej samej chwili zmęczenie zmogło ją ostatecznie i zasnęła.

Sen to dziś już jedyne wspomnienie po tamtym; dawno temu świadomie usunęła to z myśli. Teraz widzi tylko urywki scen, skradzione okrawki. Czasem patrzy ze swojego punktu widzenia, czasem sen każe jej się temu przyglądać jak postronnemu obserwatorowi.

Dziś przeżywa to osobiście.

Leży nad jeziorem. Papa pozwala jej tam chodzić samej. Wie, że nie zbliży się do wody — jest za zimna, by w niej pływać — wie, że lubi być sama i wspominać matkę.

Jest jesień. Przyniosła koc. Na wysokiej trawie nad brzegiem jeziora została wilgoć po porannym deszczu. Wiatr kołysze drzewami. Kilka kamyków odpada od skały i głośno toczy się nad jej głową. Ona patrzy na liście łagodnie sfruwające na dół niczym miniaturowe balony z nagrzanym powietrzem i osiadające na powierzchni jeziora.

Właśnie wtedy, śledząc wzrokiem opadające liście, dostrzega na drugim brzegu jeziora mężczyznę, który stoi wśród drzew.

Mężczyzna długo tkwi bez ruchu, przyglądając się Annie, potem rusza w jej stronę. Jest ubrany w wysokie buty i płaszcz do kolan. Pod prawą pachą ściska złożoną strzelbę. Włosy i brodę ma niechlujne, oczy przekrwione i wilgotne. W miarę jak się zbliża, Anna widzi coraz wyraźniej, że coś mu wisi u paska. To dwa zakrwawione zające. Dyndając, wydają się

dziwacznie długie i chude.

Papa zna określenie na takich ludzi: kłusownicy. Wdzierają się na cudzą ziemię i zabijają zwierzęta: jelenie, zające i bażanty. Zabawne słowo: kłusownicy. Kojarzy się z końmi. Myśli o tym słowie i dlatego się uśmiecha, kiedy mężczyzna się zbliża.

Kłusownik pyta, czy może przy niej usiąść. Odpowiada, że tak.

Przykuca i kładzie broń w trawie.

— Jesteś tu sama? — pyta.

— Tak. Mój tato mi pozwala. — A gdzie teraz jest?

— W domu.

— I nie przyjdzie tutaj?

— Nie.

— Pokażę ci coś — mówi. — Coś, dzięki czemu wspaniale się poczujesz.

Oczy ma teraz bardzo wilgotne. Uśmiecha się, odsłaniając czarne, popsute zęby. Annę dopiero teraz ogarnia strach. Chce wstać, ale kłusownik chwytą ją za ramiona i zmusza, by się położyła na kocu. Chce krzyknąć, ale on zasłania jej usta olbrzymią owłosioną dłonią. Nagle kładzie się na niej. Paraliżuje ją sam jego ciężar. Szarpie za sukienkę, zdziera z niej bieliznę.

Nigdy w życiu nic jej tak nie bolało. Ma wrażenie, że rozdziera się na pół. Napastnik przyszpila jej rękę nad głowę, drugą dłonią zasłania jej usta, żeby nikt nie usłyszał krzyku. Anna czuje na udzie jeszcze ciepłe ciała zające. Twarz kłusownika się wykrzywia, jakby coś go zakłuło i wszystko kończy się równie szybko, jak się zaczęło.

Teraz mówi do niej. — Widziałaś zające? Widziałaś, co z nimi zrobiłem?

Próbuje skinąć głową, ale ręka na ustach tak mocno naciska, że nie może się poruszyć.

— *Jeśli kiedykolwiek powiesz komuś, co tu się stało, to samo zrobię z tobą. A potem z twoim ojcem. Zastrzeżę was oboje i powieszę sobie wasze głowy przy pasku. Słyszałaś mnie, mala ?*

Anna zaczyna płakać.

— *Jesteś bardzo złą dziewczynką — mówi kłusownik. — O, tak, teraz to widzę. Chyba nawet ci się to spodobało.*

I robi jej to znowu.

Coś nią szarpie. Nigdy przedtem tak to jej się nie śniło. Ktoś ją woła.

— *Catherine, Catherine, obudź się!*

Dlaczego woła na mnie Catherine? Nazywam się Anna...
Horst Neumann jeszcze raz z całej siły nią potrząsnął i krzyknął:

— *Catherine, do licha! Obudź się! Mamy problemy!*

Rozdział siedemnasty

Hrabstwo Lincoln, Anglia

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy lysander przedarł się przez grube chmury i potoczył po małym lądowisku bazy RAF pod Grimsby. Alfred Vicary nigdy przedtem nie latał i nie zamierzał rychło powtarzać tego doświadczenia. Zawierucha szarpała samolotem, a gdy wreszcie dotoczyli się do małego baraku, Vicary ucieszył się jak jeszcze nigdy na widok żadnego miejsca.

Pilot wyłączył silnik, jego towarzysz otworzył drzwi. Vicary, Harry Dalton, Clive Roach i Peter Jordan szybko wyszli na zewnątrz. Czekają na nich dwóch ludzi, młody oficer RAF— u o szerokich barach i masywny mężczyzna w podniszczonym płaszczu.

Lotnik wyciągnął rękę i przedstawił sobie towarzystwo:

— Dowódca eskadry, Edmund Hughes. To nadinspektor Roger Lockwood, szef policji hrabstwa Lincoln. Wejdźcie do baraku. Warunki są tam prymitywne, ale przynajmniej nie zmokniecie. Przygotowaliśmy tam dla was prowizoryczny punkt dowodzenia.

Weszli do środka.

— Podejrzewam, że nawet się nie umywa do waszych przyjemnych lokali w Londynie — powiedział oficer RAF— u.

— Toby się pan zdziwił — odparł Vicary.

Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu z widokiem na lotnisko. Na ścianie wisiała dokładna mapa hrabstwa Lincoln, naprzeciwko niej stało biurko, a na nim kilka podniszczonych aparatów telefonicznych.

— Doskonale. To nam wystarczy — zapewnił Vicary.

— Dysponujemy radiem i dalekopisem — podjął Hughes. — Możemy nawet zdobyć dla was herbatę i kanapki z serem. Chyba wam się przydadzą, wyglądacie na skonanych.

— Dziękuję. Mamy za sobą ciężki dzień.

Hughes wyszedł, nadinspektor Lockwood wysunął się naprzód.

— Na wszystkich głównych drogach stąd do zatoki Wash ustawiliśmy naszych ludzi — oświadczył, grubym palcem stukając w mapę. — W najmniejszych wioskach mamy tylko posterunkowych na rowerach, więc wiele nie działają, nawet jeśli namierzą tę parę. Im bliżej jednak wybrzeża, sieć się zaciska. Blokady tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Moi najlepsi funkcjonariusze, wozy patrolowe, furgonetki, broń.

— Doskonale. A co z samym wybrzeżem?

— Na każdej przystani i doku na Lincolnshire i

Humber ustawiłem patrole. Jeśli tamci spróbują ukraść łódź, będę o tym wiedział.

— A otwarte plaże?

— To już inna sprawa. Nie dysponuję nieograniczonymi zasobami. Mnóstwo doskonałych policjantów podkradło mi wojsko, jak zresztą każdemu. Znam te wody. Sam amatorsko pływam. Ale nie chciałbym dzisiejszej nocy wypływać na morze w łodzi, która może odbić od gołej plaży.

— Pogoda może się okazać naszym największym sojusznikiem.

— Tak. I jeszcze jedno, majorze Vicary. Czy nadal mamy udawać, że próbujemy schwytać dwójkę zwykłych rzezimieszków?

— Owszem, nadinspektorze, jak najbardziej.

Skrzyżowanie A 16 i podporządkowanej drogi znajdowało się na obrzeżach miasta Louth. Neumann zamierzał tam właśnie zjechać z A 16, skrócić w bok, a potem jeszcze węższą drogą skierować się na północ, do Cleethorpes. Pojawił się jednak problem. Na skrzyżowaniu stała połowa policji z Louth. Neumann widział co najmniej czterech policjantów. Kiedy podjechali, oświetlono latarkami samochód i kazano im się zatrzymać.

Catherine już się ocknęła.

— Co się dzieje? — spytała.

— Obawiam się, że koniec wycieczki — odparł Neumann, hamując. — Najwyraźniej na nas czekali. Nie uda się ich zagadać.

Catherine sięgnęła po broń.

— A kto mówi o zagadywaniu?

Jeden z posterunkowych wysunął się naprzód ze

strzelbą i zastukał w okno od strony Neumanna. Neumann odkręcił szybę.

— Dobry wieczór. Jakież problemy?

— Byłby pan łaskaw wysiąść?

— Nie, nie byłbym łaskaw. Jest późno, jestem zmęczony, leje deszcz, a ja chcę wreszcie dobrnąć na miejsce.

— To znaczy gdzie?

— Do Kingston — odparł Neumann, choć widział, że policjant nie wierzy ani jednemu jego słowu.

Drugi funkcjonariusz wyrósł przy oknie od strony Catherine. Dwóch pozostałych zajęło stanowiska z tyłu furgonetki.

Policjant otworzył drzwiczki, wymierzył ze strzelby prosto w twarz Niemca i powiedział:

— Dobra. Rączki do góry, tak żebym je widział, i wysiadka z samochodu. Grzeczniutko, powoli.

Jenny Colville siedziała z tyłu związana i zakneblowana. Nadgarstki ją bolały. Tak samo kark i plecy. Od jak dawna siedzi na podłodze furgonetki? Od dwóch godzin? Trzech? Może czterech? Kiedy samochód zwolnił, pozwoliła sobie na przebłysk nadziei.

Może to zaraz się skończy i wrócę do Hampton Sands, a tam będą czekać Mary, Sean i tato i wszystko będzie tak jak dawniej, zanim on się zjawił, to zaś okaże się złym snem i...

Przerwała ten ciąg myśli. Lepiej być realistką. Myśleć o tym, co rzeczywiście może się stać.

Obserwowała parę w szoferce. Długo cicho rozmawiali po niemiecku, wreszcie kobieta zasnęła, a teraz Neumann szarpie ją i próbuje obudzić. Na drodze przed samochodem dostrzegła światła, poruszające się smugi światła. Latarki.

Policjanci trzymaliby latarki w czasie blokady dróg — pomyślała. Czy to możliwe? Czy wiedzieli, że tych dwoje to szpiedzy i że ją porwali? Czy jej szukali?

Furgonetka się zatrzymała. Jenny zauważyła z przodu dwóch policjantów, poza tym usłyszała kroki przynajmniej dwóch, którzy stanęli z tyłu. Dobiegło ją stukanie do okna szoferki. Widziała, jak Neumann opuszcza szybę. W rękę trzymał broń. Spojrzała na kobietę. Ona też ścisnęła pistolet.

Jenny usłyszała odgłos otwierania drzwi, głos policjanta, który kazał im wysiadać. Wiedziała, co teraz się stanie. Zamiast wysiąść, zaczęła strzelać. Policjanci zginą, a ona znowu zostanie z nimi sama.

Musiała ostrzec tych ludzi.

Ale jak?

Nie mogła się odezwać, bo Neumann za mocno ją zakneblował.

Pozostało jej tylko jedno.

Podniosła nogi i z całej siły kopnęła w bok samochodu.

Nawet jeśli akcja Jenny nie przyniosła pożądanego skutku, to przynajmniej jednemu z policjantów — temu, który stał najbliżej Catherine Blake — zapewniła łaskawszą śmierć. Kiedy odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegł hałas, Catherine podniosła mauzera i strzeliła. Doskonały tłumik tak przygłuszył huk wystrzału, że pistolet wydał z siebie tylko zdławione pyknięcie. Kula rozbiła okno, trafiła posterunkowego w bok głowy i przeszła mózg. Martwy osunął się na błotnistą drogę.

Jako drugi zginął funkcjonariusz od strony Neumanna, choć nie jego strzał go zabił. Neumann prawą ręką wytrącił policjantowi strzelbę. Catherine odwróciła się i strzeliła

przez otwarte drzwi. Kula przeszła na wylot głowę policjanta. Runął na drogę.

Neumann wyskoczył z samochodu i wylądował na ziemi. Jeden z policjantów, którzy ochraniali tył, wystrzelił. Kula świsnęła Neumannowi nad głową i roztrzaskała uchyloną szybę. Neumann błyskawicznie raz za razem nacisnął spust. Pierwsza kula trafiła funkcjonariusza w ramię, aż zawirował. Druga przeszła mu serce.

Catherine wysiadła z samochodu i pistoletem, który trzymała w wyciągniętych rękach, mierzyła w mrok. Po drugiej stronie furgonetki Neumann robił to samo, leżąc na brzuchu. Oboje tkwili bez ruchu, czekając.

Czwarty policjant uznał, że najlepiej ruszać po pomoc. Odwrócił się i popędził w noc. Zrobił kilka kroków i znalazł się w zasięgu strzału Neumanna. Ten ostrożnie wycelował i dwukrotnie pociągnął za spust. Tupot ucichł, strzelba zagrzecotała o pobocze i ostatni z czterech mężczyzn padł martwy na moką szosę.

Neumann ściągnął ciała i złożył je obok furgonetki. Catherine otworzyła drzwiczki z tyłu. Jenny z szeroko otwartymi z przerażenia oczami osłoniła głowę ramionami. Catherine uniosła mauzera i zdzieliła nim dziewczynę. Nad okiem Jenny otworzyła się głęboka rana.

— Jeśli nie chcesz skończyć jak tamci, nie próbuj więcej takich sztuczek — syknęła agentka.

Neumann podniósł Jenny i położył ją na poboczu. Następnie wraz z Catherine wrzucił ciała policjantów na tył samochodu. Na ten pomysł wpadł w ostatniej chwili: policjanci dotarli tu służbową furgonetką; stała kilka metrów dalej, na poboczu drogi. Ukryje ciała i skradziony wóz w drzewach i przesiądą się do policyjnej furgonetki.

Mogą upłynąć długie godziny, zanim zjawi się tu jakiś inny policjant i zauważy, że tamci zniknęli. O tej porze on i Catherine będą już płynęli U— bootem do Niemiec.

Położył Jenny z tyłu policyjnej furgonetki. Catherine wskoczyła na miejsce kierowcy i uruchomiła silnik. Neumann wsiadł do samochodu z ciałami. Zawrócił i skręcił, potem pomknął drogą. Catherine za nim. Starał się nie myśleć o czterech trupach tuż za plecami.

Po dwóch minutach skręcił w boczny trakt. Dwieście metrów dalej wyłączył silnik. Wsiadł i wrócił do Catherine. Zanim do niej dotarł, zdążyła już zawrócić i przesiąść się na miejsce pasażera. Wdrapał się do szoferki, zatrzasnął drzwi i odjechali.

Wrócili do miejsca wcześniejszej blokady i tak jak przedtem planowali, skręcili w boczną drogę. Wedle mapy od trasy wzdłuż wybrzeża dzieliło ich około piętnastu kilometrów, a potem ze trzydzieści do Cleethorpes. Neumann dodał gazu i zmusił furgonetkę do ostrej jazdy. Po raz pierwszy od chwili, gdy zauważył w Londynie agentów MI— 5, dopuścił do siebie myśl, że może jednak uda im się dotrzeć na miejsce.

Alfred Vicary krążył po baraku w bazie RAF— u na obrzeżach Grimsby. Harry Dalton i Peter Jordan siedzieli przy biurku, paląc. Nadinspektor przycupnął przy nich i układał wzory z zapalek.

— To mi się nie podoba — odezwał się Vicary. — Ktoś już powinien był ich zauważyć.

— Wszystkie główne drogi są zablokowane — powiedział Harry. — Musieli się przedrzeć przez jakąś blokadę.

— A może jednak tędy nie jadą. Może gdzieś w swoim

rozumowaniu popełniłem straszliwy błąd. Może ruszyli na południe od Hampton Sands. Może ten sygnał do U— boota miał nas zmylić i właśnie płyną promem do Irlandii.

— Jadą tutaj.

— Może gdzieś się przyczaili i przeczekują. Może zadekowali się w kolejnej wioszczynie, czekają, aż wszystko się rozejdzie po kościach, i dopiero wtedy zdecydują się na ruch.

— Zawiadomili łódź podwodną. Muszą jechać.

— Niczego nie muszą. Niewykluczone, że zauważyli blokady i dodatkowe siły policyjne i postanowili poczekać. Później skontaktują się z okrętem i przy najbliższej okazji, jak już sprawa przycichnie, spróbują jeszcze raz.

— Zapominasz o jednym drobiazgu. Nie mają radia.

— To nam się wydaje, że nie mają. Ty zabrałeś im jedno, Thomasson znalazł zniszczony odbiornik w Hampton Sands. Ale nie wiemy, czy nie mają trzeciego.

— My nic pewnego nie wiemy, Alfredzie. Możemy tylko spekulować.

Vicary przemierzał pokój i patrząc na telefon, myślał: Dzwon, do cholery, dzwon!

Zdesperowany, pragnąc się czegokolwiek dowiedzieć, podniósł słuchawkę i kazał się połączyć ze służbą wykrywania jednostek podwodnych. Kiedy wreszcie zgłosił się Arthur Braithwaite, jego głos brzmiał jak z tuby.

— Coś nowego? — spytał Vicary.

— Rozmawiałem z Królewską Marynarką Wojenną i okoliczną strażą przybrzeżną. Marynarka wysłała w morze parę korwet, jak my to nazywamy, numer siedemset czterdzieści pięć i sto dwadzieścia osiem. Za godzinę ruszą ze Spurn Head i natychmiast rozpoczną poszukiwania. Straż przybrzeżna kontroluje sytuację bliżej brzegu. Jak tylko się przejaśni, RAF wysłała samoloty.

— To znaczy o której?

— Koło siódmej rano. Może nieco później, ze względu na gęste chmury.

— Może być już za późno.

— Wcześniejsze wysłanie nic nam nie da. Potrzebują światła, żeby cokolwiek zobaczyć. W tej chwili byliby jak ślepi. Ale mam jedną dobrą wiadomość. Tuż przed świtem spodziewamy się poprawy pogody. Zachmurzenie się utrzyma, ale deszcz się uspokoi i wiatr ucichnie. To ułatwi akcję poszukiwawczą.

— Bo ja wiem, czy to taka dobra wiadomość. Liczyliśmy na to, że sztorm zablokuje ich na wybrzeżu. A przy lepszej pogodzie agentom i U—bootowi też będzie się łatwiej poruszać.

— Słuszna uwaga.

— Proszę poinstruować marynarkę i RAF, żeby prowadzili poszukiwania jak najdyskretniej. Wiem, że może przesadzam, ale postarajcie się, żeby to wyglądało na rutynową akcję. I niech wszyscy uważają, co mówią przez radio. Niemcy też nas słuchają. Przykro mi, że nie mogę wyrażać się jaśniej.

— Rozumiem. Przekażę im.

— Dziękuję.

— I proszę spróbować się odprężyć, majorze Vicary. Jeśli pańscy szpiedzy będą próbowali dzisiaj się dostać na tę łódź, dopadniemy ich.

Posterunkowi Gardner i Sullivan jechali ramie w ramie na rowerach pustymi ulicami Louth. Garner rosły, otyły i w średnim wieku, Sullivan chudy, sprawny, niespełna dwudziestoletni. Nadinspektor Lockwood kazał im jechać do blokady na południu miasta i zmienić dwóch kolegów.

— Dlaczego londyńscy kryminaliści — wyrzekł Gardner — dziwnym trafem zawsze zjawiają się tu w środku sztormu, możesz mi powiedzieć?

Sullivana rozsadzało podniecenie. To była jego pierwsza obława. Dziś także po raz pierwszy otrzymał broń, trzydziestoletni karabin z magazynu broni wisiał mu na ramieniu.

Po pięciu minutach dotarli na skrzyżowanie, gdzie mieli zmienić kolegów. Nie zastali nikogo. Gardner stanął, nie schodząc z roweru. Sullivan odłożył rower, wyciągnął latarkę i omiół strumieniem światła teren. Najpierw zauważył ślady kół, potem rozgniecione szkło.

— Tutaj! Szybko! — krzyknął.

Gardner zsiadł z roweru i podszedł do miejsca, w którym stał kolega.

— Chryste Panie!

— Spójrz na ślady. Dwa samochody. Jeden ich, drugi nasz. Jak zawracali, ubłócili koła na poboczu. Zostawili nam ładny trop.

— Tak. Ty sprawdź, dokąd on prowadzi. Ja wracam na komendę zawiadomić Lockwooda. I, na miłość boską, uważaj na siebie.

Sullivan jechał drogą, oświetlając sobie trasę latarką i obserwując coraz mniej wyraźne ślady. Około stu metrów od miejsca blokady trop się urywał. Przejechał jeszcze kilkaset metrów, rozglądając się za policyjną furgonetką.

Popedałował jeszcze trochę i wreszcie zauważył ślady innych kół. Wyglądały inaczej. Im dalej jechał, tym stawały się wyraźniejsze. Niewątpliwie samochód nadjechał z innego kierunku.

Znalazł punkt, w którym ślady się zaczynały i natknął

się na małą ścieżkę wśród drzew. Oświetlił ją latarką i zauważył świeże odciski kół samochodu. Skierował strumień światła w las, ale latarka była za słaba i nie przeniknęła ciemności. Przyjrzał się dróżce. Za bardzo rozjechana i błotnista, żeby się tam zapuszczać na rowerze. Zsiadł, oparł rower o drzewo i ruszył w głąb dróżki.

Po dwóch minutach natknął się na furgonetkę. Zawołał. Nikt nie odpowiedział. Baczniej przyjrzał się pojazdowi. To nie był wóz policyjny. Miał londyńską rejestrację, poza tym nie ta marka. Sullivan pomалу zbliżał się do samochodu. Obszedł go od przodu, od strony pasażera i skierował strumień światła do szoferki. Siedzenia były puste. Oświetlił tył.

I wtedy zobaczył ciała.

Sullivan zostawił samochód w lesie i wrócił do Louth, pedałując z całej siły. Dotarłszy na posterunek, szybko skontaktował się z nadinspektorem Lockwoodem w bazie RAF— u.

— Wszyscy czterej nie żyli — wydyszał. — Leżeli na tyle furgonetki, ale nie ich. Uciekinierzy najwyraźniej zabrali wóz policyjny. Sądząc po śladach na drodze, wydaje mi się, że zawrócili do Louth.

— Gdzie są teraz ciała? — spytał Lockwood.

— Zostawiłem je w lesie.

— Wróć tam i czekaj, aż nadejdzie pomoc.

— Tak jest, panie nadinspektorze. Lockwood odłożył słuchawkę.

— Czterech zabitych. O Boże!

— Przykro mi, nadinspektorze. Tyle jeśli chodzi o moje teorie, jakoby się przyczaili. Nie ulega wątpliwości, że są tutaj i że mogą posunąć się do wszystkiego, żeby uciec,

skoro zabili z zimną krwią czterech ludzi.

— Mamy nowy problem. Jadą wozem policyjnym. Rozesłanie wiadomości do wszystkich policjantów, którzy blokują drogi, trochę potrwa. Tymczasem pańscy szpiedzy niebezpiecznie zbliżają się do wybrzeża. — Lockwood podszedł do mapy. — Louth jest tutaj, odrobinę na południe od nas. Mogą sobie wybrać każdą dowolną drogę do morza.

— Niech pan przegrupuje swoich ludzi. Przerzuci wszystkich na odcinek między Louth a nami.

— Owszem, ale to potrwa. A pańska parka ma nad nami przewagę.

— Jeszcze coś — rzucił Vicary. — Niech pan najdyskretniej, jak się da, sprowadzi tutaj ciała tych policjantów. Kiedy to się skończy, możliwe, że trzeba będzie wymyślić inny powód ich śmierci.

— A co mam powiedzieć ich rodzinom? — warknął Lockwood, wypadając z baraku.

Vicary sięgnął po słuchawkę. Telefonistka połączyła go z siedzibą MI— 5 w Londynie. Odebrała pracownica. Vicary poprosił o połączenie z Boothbym.

— Halo, sir Basilu. Obawiam się, że mamy tu naprawdę poważny problem.

Silny wiatr przyniósł deszcz nad Cleethorpes. Neumann zwolnił i skręcił w uliczkę zabudowaną warsztatami i magazynami. Zatrzymał się i zgasił silnik. Do świtu pozostało niewiele czasu. W słabym świetle widział zarys niewielkiej przystani, przy której na ciemnej wodzie kołysały się liczne kutry i statki. Dwukrotnie przejeżdżali blokady, ale dzięki samochodowi, którym się poruszali, przepuszczano ich, nie sprawdzając.

Mieszkanie Jacka Kincaida miało się mieścić nad pierwszym warsztatem. Drewniane schody, prowadzące do drzwi na piętrze, biegły na zewnątrz. Neumann wszedł na nie i wyciągnął mauzera, gdy zbliżył się do wejścia. Zapukał cicho. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Zamek ustąpił. Uchylił drzwi i wszedł do środka.

Natychmiast uderzył go w nos smród: gnijące śmiecie, stęchłe papierosy, nie myte ciała, a nad tym wszystkim alkohol. Przekreślił kontakt, ale lampa nie zabłysła. Wyjął z kieszeni latarkę. W strumieniu światła zobaczył sylwetkę rosnącego mężczyzny śpiącego na gołym materacu. Przeszedł przez zaśmiecony pokój i szturchnął mężczyznę nogą.

— Ty jesteś Jack Kincaid?

— Ja, a bo co?

— Nazywam się James Porter. Miałeś mnie przetransportować swoim kutrem.

— A tak, tak.

Kincaid bezskutecznie próbował się podnieść. Neumann błysnął mu latarką w twarz. Kincaid liczył sobie co najmniej sześćdziesiąt lat, a na jego pobrużdżonym obliczu było widać ślady picia.

— Trochę zapiliśmy, co, Jack? — spytał Horst.

— Troszeczkę.

— Który to twój kuter?

— „Camilla”.

— A gdzie dokładnie jest przycumowany?

— Na końcu nabrzeża. Nie sposób nie zauważyć. Kincaid znowu odpływał w niebyt.

— Nie pogniewasz się, jeśli go na trochę pożyczę, prawda, Jack? Kincaid nie odpowiedział, tylko głośno zachrapał.

— Wielkie dzięki, Jack.

Neumann wyszedł i wsiadł do samochodu.

— Nasz kapitan nie jest w stanie nas odtransportować.

Zapity w trupa.

— Kuter?

— „Camilla”. Na końcu nabrzeża.

— Mamy tu jeszcze coś.

— Co?

— Zaraz sam się przekonasz.

Neumann spojrział na policjanta, który pojawił się na horyzoncie.

— Widocznie obstawili całe wybrzeże — powiedział.

— Wielka szkoda. Kolejna niepotrzebna ofiara.

— No to załatwmy to. Dzisiejszej nocy zabiłem więcej ludzi niż w całej mojej karierze spadochroniarza.

— A jak myślisz, po co Vogel cię tu wysłał? Neumann nie odpowiedział.

— Co robimy z Jenny?

— Zabieramy ją ze sobą.

— Zostawmy ją tutaj. Na nic już nam się nie przyda.

— Nieprawda. Jeśli ją znajdą, za dużo im powie. Poza tym jak będą wiedzieć, że mamy na pokładzie zakładnika, dwa razy się zastanowią, zanim zaczną strzelać.

— Jeśli myślisz, że nie będą do nas strzelać, bo mamy na pokładzie Brytyjkę, to się grubo mylisz. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę. Jak będą musieli, zabiją nas wszystkich.

— To niech zabijają. Zabieramy dziewczynę. Kiedy dotrzemy do łodzi, zostawimy ją na kutrze. Brytyjczycy ją uratują i nic jej się nie stanie.

Neumann zrozumiał, że traci czas, próbując przekonać Catherine, która obejrzała się i odezwała po angielsku do Jenny:

— Żadnych bohaterskich wyczynów. Rusz się, a strzele

ci w twarz.

Neumann pokręcił głową. Uruchomił silnik i ruszył w stronę nabrzeża.

Policjant patrolujący port usłyszał warkot samochodu, zatrzymał się i spojrzał w tamtym kierunku. W jego stronę zmierzała policyjna furgonetka. Wydało mu się to dziwne, bo zmiennik miał przyjść dopiero o ósmej. Patrzył, jak wóz się zatrzymuje i wysiada z niego dwoje ludzi. W ciemnościach usiłował rozpoznać sylwetki, ale dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie policjanci. Kobieta i mężczyzna, bardzo prawdopodobne że właśnie ci uciekinierzy!

Serce mu stanęło w gardle. Był uzbrojony jedynie w przedwojenny rewolwer, który często się zacinał. Kobieta szła w jego kierunku. Szybko podniosła ramię, coś błysnęło prawie bezgłośnie, tylko z głuchym pyknięciem. Funkcjonariusz poczuł, jak kula uderza go w pierś. Stracił równowagę.

Ostatnie, co zapamiętał, to wyciągające się ku niemu brudne wody Humber.

Ian McMann był rybakiem, który wierzył, że czysta celtycka krew, płynąca w jego żyłach, daje mu siły, których zwykli śmiertelnicy nie posiadają. Sześćdziesiąt lat życia spędził nad Morzem Północnym i twierdził, jakoby słyszał ostrzeżenia przed wypłynięciem na wodę. Twierdził, jakoby widział unoszące się nad portami i przystaniami duchy marynarzy, którzy zginęli na morzu. Twierdził, jakoby odróżniał przekłete statki i nigdy się do nich nie zbliżał. Wszyscy w Cleethorpes wierzyli w to, ale po cichu szeptali, że Ian McMann za wiele nocy spędzał na morzu.

McMann wstał jak zwykle o piątej, choć prognozy

zapowiadały pogodę, która zatrzyma dziś w porcie wszystkie statki. Jadł swoją owsiankę w kuchni, kiedy z nabrzeża dobiegł go jakiś hałas.

Deszcz zagłuszał wszelkie odgłosy, ale McMann przysiągłby, że słyszał, jak coś albo ktoś wpada do wody. Wiedział, że na dworze jest policjant — wczoraj wieczorem zaprosił go na herbatę i kawałek ciasta — i wiedział również, dlaczego. Policja szukała dwójki morderców z Londynu. McMann domyślał się, że nie chodzi o zwyczajnych rzezimieszków. Mieszkał w Cleethorpes od dwudziestu lat i nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby tutejsza policja strzegła nadbrzeża.

Z kuchennego okna domku McManna rozciągał się doskonały widok na port i ujście rzeki. Marynarz wstał, rozchylił zasłony i wyjrzał. Po policjancie ani śladu. Narzucił sztormiak i zjudwestkę, wziął ze stolika przy drzwiach latarkę i wyszedł na dwór.

Zapalił latarkę i ruszył do przystani. Nagle usłyszał charczenie i warkot uruchamianego silnika. Przyspieszył kroku, żeby zobaczyć, który to statek. „Camilla”, kuter Jacka Kincaida.

Zgłupiał, żeby wypływać w taką pogodę? — pomyślał.

Ruszył biegiem, wołając:

— Jack! Jack! Zatrzymaj się! Dokąd się wybierasz?

I wtedy uświadomił sobie, że człowiek, który odcumowuje „Camille” i wskakuje na pokład, to nie Jack Kincaid. Ktoś kradnie Jackowi łódź. McMann rozejrzał się za policjantem, ale nadal go nie było. Człowiek wszedł do sterówki, przyspieszył i „Camilla” odpłynęła od brzegu.

McMann popędził w tamtą stronę.

— Ej, ty! Wracaj! — ryknął.

W tej samej chwili z kabiny wyszła druga osoba. McMann zobaczył błysk ognia, ale nie usłyszał strzału.

Kula świsnęła mu niebezpiecznie blisko głowy. Padł na ziemię obok pustych beczek. Jeszcze dwa strzały uderzyły w nadbrzeże i wszystko ucichło.

Kiedy wstał, „Camilla” kierowała się na morze.

Dopiero wtedy McMann zauważył, że coś pływa w oleistej wodzie zatoki.

— Chyba powinien pan sam tego posłuchać, majorze. Vicary odebrał słuchawkę Lockwoodowi. Na linii był Ian McMann z Cleethorpes.

— Zaczynaj od początku, Ian — powiedział nadinspektor.

— Dwoje ludzi właśnie ukradło kuter Jacka Kincaida i płyną na otwarte morze.

— Boże! — krzyknął Vicary. — Skąd dzwonicie?

— Z Cleethorpes.

Vicary zmrużył oczy, patrząc na mapę.

— Cleethorpes? Nie mieliśmy tam nikogo?

— Mieliście — odparł McMann. — Właśnie pływa po wodzie z kulą w sercu.

Vicary zaklął pod nosem i spytał:

— Ilu ludzi tam było?

— Widziałem co najmniej dwoje.

— Mężczyznę i kobietę?

— Stałem za daleko i było za ciemno. Zresztą, kiedy zaczęli strzelać, padłem na ziemię.

— Nie było z nimi dziewczyny? — Nie widziałem.

Vicary zakrył dłonią mikrofon.

— Może jest jeszcze w furgonetce. Poślijcie tam kogoś jak najszybciej.

Lockwood skinął głową. Vicary odsłonił mikrofon.

— Powiedzcie coś więcej o tej skradzionej łodzi.

— „Camilla” to kuter. Jest w kiepskim stanie. Nie chciałbym być na jego pokładzie w taką zawieruchę.

— Ostatnie pytanie: czy na „Camilli” jest radio?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Dzięki Bogu! — pomyślał Vicary.

— Dziękuję za pomoc — dorzucił głośno. Odłożył słuchawkę. Lockwood stał przed mapą.

— Cóż, dobra wiadomość, to że wiemy dokładnie, gdzie są. Zanim wypłyną na pełne morze, muszą się prześlizgnąć przez ujście Humber. To tylko pół mili od portu. Nie zdołamy ich zatrzymać. Ale niech no marynarka pchnie te korwety do Spurn Head, a ci łajdacy za nic im się nie wymkną. Na takiej łajbie nie mają szans.

— Lepiej bym się czuł, gdybyśmy mogli skombinować własny statek.

— Właściwie to dałoby się załatwić.

— Naprawdę?

— Główna komenda hrabstwa Lincoln trzyma na rzece niewielką policyjną łódź, „Rebeke”. Jest teraz w Grimsby. Nie nadaje się na pełne morze, ale tu sobie poradzi. Poza tym płynie nieco szybciej niż zdezelowany kuter. Jeśli natychmiast wyruszymy, powinniśmy niedługo tamtych dopaść.

— Czy na „Rebece” jest radio?

— Owszem. Będziemy mogli się z panem kontaktować.

— Jak z uzbrojeniem?

— Mogę wziąć parę starych strzelb z magazynu policyjnego w Grimsby. Powinny starczyć.

— Teraz potrzebna tylko załoga. Niech pan weźmie moich ludzi. Ja tu zostanę, żeby utrzymywać łączność z Londynem. Przy takiej pogodzie jak dziś, ostatnia rzecz, która wam potrzebna na pokładzie, to ja.

Lockwood zmusił się do uśmiechu, klepnął Vicary'ego

po plecach i wyszedł. Za nim ruszyli Clive Roach, Harry Dalton i Peter Jordan. Vicary sięgnął po słuchawkę, żeby przekazać wiadomości Boothby'emu w Londynie.

Neumann trzymał się toru między bojami, kiedy „Camilla” rozcinała wzburzone wody ujścia Humber. Kuter miał jakieś dwadzieścia metrów długości, był szeroki i nadzwyczaj by mu się przydało malowanie. Pod pokładem znajdowała się niewielka kajuta, w której Neumann ukrył Jenny. Catherine stała obok niego przy sterze. Na wschodzie niebo zaczynało się rozjaśniać. Deszcz bębnił o szyby. Po prawej widzieli fale rozbijające się o Spurn Head. Latarnia była zgaszona. Kompas był wmontowany obok steru w desce. Neumann ustawił kurs na wschód, otworzył przepustnicę i wypłynął na morze.

Rozdział osiemnasty

Morze Północne, okolice Spurn Head

U— 509 trzymał się tuż pod powierzchnią wody. Była piąta trzydzieści, kapitanleutnant Max Hoffman patrzył przez peryskop i popijał herbatę. Oczy go szczypały od całonocnego wypatrywania celu na czarnym morzu. Bolała go głowa. Potrzebował paru godzin snu.

Pierwszy oficer podszedł do kiosku.

— Za trzydzieści minut zamykamy właz, *Herr Kaleu*.

— Wiem, która jest godzina, pierwszy.

— Nie otrzymaliśmy kolejnych informacji od agentów Abwehry, *Herr Kaleu*. Chyba musimy wziąć pod uwagę możliwość, że zostali schwytani albo zabici.

— Rozważyłem tę możliwość, pierwszy.

— Niedługo zrobi się jasno, *Herr Kaleu*.

— Owszem, zwykle o tej porze mamy do czynienia z takim zjawiskiem. Nawet w Wielkiej Brytanii, pierwszy.

— Chciałem tylko zwrócić uwagę, że dłuższe trzymanie się tak blisko angielskiego wybrzeża, staje się niebezpieczne. Za płytko tu, żeby się zanurzyć i uciec Brytyjczykom.

— Doskonale zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw związanych z tą sytuacją, pierwszy. Ale zostaniemy tu, w umówionym punkcie, dopóki nie zamknie się włazu. A nawet dłużej, jeśli uznam, że nadal nic nam nie grozi.

— Ale, *Herr Kaleu*...

— Wysłali komunikat radiowy i zawiadomili o swoim przybyciu. Musimy założyć, że płyną skradzioną łodzią, niewykluczone, że w ogóle się nie nadająca do żeglugi. Musimy również przyjąć, że są wyczerpani, może nawet ranni. Będziemy tu czekać, aż się zjawią, albo aż nie będą

miał cienia wątpliwości, że nie dotrą. Czy to jasne?

— Tak jest, *Herr Kaleu*. Pierwszy oficer odszedł. Co za upierdliwy gnojek — pomyślał Hoffman.

„Rebeka” miała jakieś osiem metrów, była płytka, miała silnik i niewielką przybudówkę, w której z trudem mogło stanąć obok siebie dwoje ludzi. Lockwood uprzedził telefonicznie port, więc gdy się zjawili, silnik już chodził.

Na pokład wsiadło czterech mężczyzn: nadinspektor, Harry, Jordan i Roach. Chłopak portowy rozwiązał ostatnią cumę i Lockwood wyprowadził łódź do kanału.

Maksymalnie otworzył przepustnicę. Silnik zahuczał, smukły dziób wysunął się nad wodą i rozcinał pomarszczone fale. Na wschodzie noc ustępowała miejsca dniu. Z prawej widać było sylwetkę latarni na Spurn Head. Przed sobą mieli puste morze.

Harry schylił się, dorwał radio i przywołał Vicary'ego w Grims— by, by go powiadomić, że zaczęli pościg.

Pięć mil na wschód od „Rebeki” korweta numer 745 manewrowała na wzburzonym morzu po skomplikowanej ścieżce. Kapitan i jego pierwszy oficer stali na mostku z lornetkami przy oczach, próbując przeniknąć zasłonę deszczu. Na próżno. Do ciemności i ulewy doszła mgła, jeszcze bardziej ograniczając widoczność. W takich warunkach mogliby przepłynąć sto metrów od U— boota i go nie zauważyć. Kapitan podszedł do mapy, gdzie nawigator zaznaczał najnowsze zmiany kursu. Na rozkaz kapitana korweta wykonała skręt o dziewięćdziesiąt stopni, kierując się na otwarte morze. Kapitan polecił radiooperatorowi, by powiadomił służbę wykrywania o ich

nowym kursie.

W Londynie Arthur Braithwaite stał przy stole z mapą, ciężko wsparty na lasce. Poleciał, żeby wszelkie komunikaty marynarki i RAF— u natychmiast lądowały na jego biurku. Wiedział, że przy takiej pogodzie i świetle istnieją nikiel szansę wypatrzenia U— boota, nawet gdyby się w pełni wynurzył. Jeśli zaś okręt kryje się tuż pod powierzchnią, jest to praktycznie niemożliwe.

Adiutant podał mu najnowsze raporty. Korweta numer 745 właśnie zmieniła kurs i kieruje się na wschód. Druga, numer 128, znajduje się dwie mile dalej i płynie na południe. Braithwaite pochylił się nad stołem, przymknął oczy i usiłował sobie wyobrazić poszukiwania.

Bodaj cię licho, Maksie Hoffmanie! — pomyślał. Gdzie, do cholery, się podziewasz?

„Camilla”, choć Horst Neumann nie zdawał sobie z tego sprawy, znajdowała się dokładnie siedem mil na wschód od Spurn Head. Pogoda się pogarszała z minuty na minutę. Deszcz lał jak z cebra, siekąc w okna sterówki i zasłaniając widok. Wiatr i prąd — oba północne — nieustannie spychały kuter z kursu. Korzystając z kompasu, Neumann usiłował utrzymać kierunek wschodni.

Największy problem był z morzem. Od pół godziny regularnie powtarzał się ten sam przerażający rytm: kuter wspinał się na falę, przez chwilę kołysał się na jej szczycie, a potem zapadał się w następną. W dole zawsze wydawało się, że zaraz ich pochłonie szarozielony wąwóz wodorostów. Pokład nieustannie zalewała woda. Neumann nie czuł już nóg. Po raz pierwszy spojrział w dół i zobaczył, że tkwi

powyżej kostek w lodowatej wodzie.

A mimo to jakiś cudem ciągle jeszcze mieli szczęście. Kuter przyjmował najgorsze ataki morza. Dochodziło wprost do szóstej. Trzydzieści minut do zamknięcia wjazdu i odpłynięcia U—boota. Neumann mógł utrzymać kuter na stałym kursie i był prawie pewny, że zmierzają we właściwym kierunku. I nigdzie nie widział pogoni.

Pozostawał jeden problem: brak radia. Radio Catherine stracili w Londynie, a strzał Martina Colville'a zniszczył drugie. Neumann liczył, że na kutrze znajdą radio, ale okazało się, że nie był w nie wyposażony. Czyli w żaden sposób nie zdołają się skontaktować z łodzią podwodną.

W takiej sytuacji mógł zrobić już tylko jedno: włączyć światła.

Podjmował ryzyko, ale niezbędne. Tylko w ten sposób U—boot będzie wiedział, że się stawili na spotkanie — jeśli ich zobaczy. A zobaczy „Camille” wyłącznie wtedy, gdy będzie oświetlona. Lecz jeśli zauważy ich U—boot, to może ich również wypatrzeć każdy brytyjski okręt wojenny i łódź straży przybrzeżnej.

Neumann szacował, że od miejsca spotkania dzieli ich parę mil. Odczekał jeszcze pięć minut, potem sięgnął do włącznika i „Camilla” rozgorzała światłem.

Jenny Colville pochyliła się nad wiadrem i po raz trzeci wymiotowała. Zastanawiała się, czy w jej wnętrzościach coś jeszcze zostało. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz coś miała w ustach. Wieczorem nie zjadła kolacji, bo była wściekła na ojca, nie ruszyła też lunchu. Może śniadanie, ale i to najwyżej biskwita z herbatą.

Żołądek znowu jej się skurczył, ale tym razem nic nie poszło. Jenny całe życie spędziła nad morzem, lecz na łodzi była tylko raz: podczas jednodniowego rejsu po zatoce

Wash z ojcem szkolnej przyjaciółki. I nigdy nie doświadczyła tego, co teraz.

Choroba morska całkowicie ją sparaliżowała. Chciała umrzeć. Marzyła o świeżym powietrzu. Nieustanne kołysanie i szarpanie statku bezlitośnie nią miotało. Ręce i nogi miała poobijane. I jeszcze ten hałas — ciągły, ogłuszający warkot i huk silnika kutra.

Jakby był tuż pod nią.

Niczego bardziej nie pragnęła, jak wydostać się stąd i znaleźć na ziemi. Raz za razem powtarzała sobie, że jeśli przeżyje tę noc, jej noga nigdy więcej nie postanie na łodzi, nigdy. I wtedy zaświtała jej myśl: co się stanie, kiedy tamci dotrą do swego punktu przeznaczenia? Przecież nie zamierzają płynąć tym gruchotem aż do Niemiec. Pewnie czeka na nich jakiś okręt. I co wtedy? Czy znowu ją zabiorą, czy też zostawią ją samą na kutrze? A jeśli ją zostawią, możliwe że nikt jej nie znajdzie. Przy takiej pogodzie jak dziś, zginie samotna na Morzu Północnym.

Kuter ześliznął się po grzbiecie kolejnej olbrzymiej fali. Jenny poleciała naprzód, rąbnęła głową o ścianę.

Po obu stronach były iluminatory. Związanymi rękami starła mgielkę z szyby po prawej stronie. Morze wyglądało przerażająco — kotłowanina potężnych zielonych mas wody.

I jeszcze coś. Woda obok się zagotowała i coś czarnego, błyszczącego przecięło ją od dołu. Przez chwilę nic nie było widać, w końcu jakaś wielka szara rzecz — niczym morski potwór z bajki — wynurzyła się na powierzchnię, ociekając wodą.

Kapitanleutnant Max Hoffman, znudzony trzymaniem się o dziesięć mil od brzegu, postanowił zaryzykować i

przemknąć o milę, dwie bliżej lądu. Czekał, aż w peryskopie pojawi się znak ośmiu mil i wtedy nagle zauważył światła niewielkiego kutra. Kazał się wynurzyć i w dwie minuty stał na mostku w strugach deszczu, wciągając w płuca czyste powietrze i spoglądając przez lornetkę.

W pierwszym momencie Neumann pomyślał, że mu się zwidziało. Widział to przez moment, tylko mu mignęło, zanim fala cisnęła kuter w dół. Zaląła ich woda i na chwilę wszystko zniknęło mu z oczu.

Dziób zarył głęboko w morze, jak szpadel w ziemię, i przez parę sekund cały pokład dziobowy tonął w wodzie. Ale jakimś cudem kuter znowu się wydzwignął na powierzchnię i wspiął na kolejną falę. Teraz z kolei widoczność utrudniały strumienie deszczu.

Kuter zanurzył się i raz jeszcze wynurzył. I kiedy „Camilla” kołysała się na grzbiecie potężnej fali, Horst Neumann dostrzegł charakterystyczną sylwetkę niemieckiego U—boota.

To Peter Jordan stojący na rufie „Rebeki” jako pierwszy zauważył U—boota. Drugi, po paru sekundach, spostrzegł go Lockwood, a po chwili zobaczyli również i światła „Camilli” o jakieś czterysta metrów na prawo od niemieckiej łodzi. Lockwood gwałtownie skreślił „Rebekę” w lewo, ustawiając kurs prosto na „Camille”, po czym podniósł słuchawkę radia.

Vicary chwycił słuchawkę otwartej linii telefonicznej ze służbą wykrywania jednostek podwodnych.

— Komendancie Braithwaite, jest pan tam?

— Tak, jestem, słyszałem całą rozmowę.

— No i?

— Zdaje się, że mamy poważny problem. Korweta 745 jest milę na południe od U— boota. Powiadomiłem kapitana i właśnie płynie na miejsce. Ale jeśli „Camille” rzeczywiście od łodzi dzieli tylko czterysta metrów, ona dostanie się tam pierwsza.

— Cholera!

— Ale ma pan asa w rękawie, majorze Vicary. „Rebekę”. Radziłbym z niego skorzystać. Pańscy ludzie mogą spróbować zatrzymać kuter, póki nie zjawi się korweta.

Vicary odłożył słuchawkę i połączył się z „Rebeką”.

— Nadinspektorze Lockwood, tu Grimsby, odbiór.

— Lockwood przy nadajniku, odbiór.

— Nadinspektorze, proszę uważnie słuchać. Odsiecz jest w drodze, ale tymczasem musi pan staranować kuter.

Wszyscy to słyszeli — Lockwood, Harry, Roach i Jordan — bo wszyscy tłoczyli się w sterówce, chroniąc się przed zawieruchą.

Przekrzykując wiatr i ryk silników „Rebeki”, Lockwood wrzasnął:

— Czy on postradał zmysły?

— Nie — odparł Harry. — Jest zdesperowany. Czy zdążymy? — Jasne. Tyle że znajdziemy się wprost na celownikach dział pokładowych tego U— boota.

Bez słowa powiedli po sobie wzrokiem. W końcu Lockwood zadysponował:

— W szafce za wami są kapoki. I wyjmijcie karabiny. Coś mi mówi, że się nam przydadzą.

Lockwood obejrzał się na morze i wypatrzył „Camille”. Odrobinę skorygował kurs i maksymalnie otworzył przepustnicę.

Z mostka U— 509 Max Hoffman spostrzegł szybko zbliżającą się „Rebekę”.

— Mamy towarzystwo, pierwszy. Łódź cywilna, czterech mężczyzn na pokładzie.

— Widzę ich, *Herr Kaleu*.

— Sądząc po tempie i kursie to raczej druga strona. — Wygląda na to, że są nie uzbrojeni, *Herr Kaleu*.

— Tak. Poślij im strzał ostrzegawczy. Mierzcie w dziób. Nie chcę niepotrzebnego rozlewu krwi. Jeśli nie ustąpią, celuj prosto w łódź. Ale na wysokości wody, pierwszy, nie w kabinę.

— Tak jest, *Herr Kaleu* — trzasnął obcasami pierwszy oficer.

Hoffman słyszał wykrzyczane rozkazy i po trzydziestu sekundach z przedniego działka pokładowego U— 509 wyleciał pocisk, mierząc w dziób „Rebeki”.

Choć U— booty rzadko się wdawały w artyleryjskie potyczki nad wodą, dziesięcioipółcentymetrowy pocisk mógł wyrządzić nieodwracalne szkody nawet większym jednostkom pływającym. Pierwszy wpadł do wody daleko od dzioba „Rebeki”. Następny, wystrzelony po dziesięciu sekundach, trafił znacznie bliżej.

— Moim zdaniem to już ostatnie ostrzeżenie — krzyknął Lockwood, oglądając się na Harry'ego. — Następny pocisk zmiecie nas z pokładu. Ty decyduj, ale martwi nikomu się nie przydamy.

— Zawracać! — krzyknął Harry.

Lockwood ostrym szarpnięciem w lewo zawrócił „Rebekę” i zatoczył krąg. Harry patrzył na U— boota.

„Camille” dzieliło od niego dwieście metrów i coraz bardziej się zbliżała. Byli całkowicie bezradni.

Niech to szlag! — pomyślał. Gdzie ta korweta?

Potem wziął słuchawkę i powiedział, że w żaden sposób nie zdołają zatrzymać szpiegów.

Jenny usłyszała huk działa na U— boocie i w iluminatorze mignął jej pocisk, sunący nad wodą ku drugiej łodzi.

Dzięki Bogu! — przemknęło jej przez głowę. — Jednak nie jestem sama.

Ale U— boot ponownie wystrzelił i zobaczyła, że tamta łódź zawraca. Znowu straciła nadzieję.

Zapanowała nad sobą i pomyślała: to niemieccy agenci. Dzisiejszej nocy zabili mojego ojca i sześciu innych ludzi, a w dodatku ujdzie im to płazem. Muszę im jakoś przeszkodzić.

Co jednak zrobić? Była sama, ręce i nogi miała skrępowane. Może spróbować się uwolnić, wymknąć na pokład i czymś w nich walnąć. Ale jak zobaczą, bez wahania ją zabiją. Może podpalić kuter? Ale wtedy będzie uwięziona w ogniu i dymie, i tylko ona zginie.

Myśl, Jenny, myśl!

Trudno zebrać myśli przy nieustannym huku silnika. Hałas doprowadzał ją do szału.

I wtedy ją olśniło: tak, mam!

Gdyby jakimś cudem udało jej się unieruchomić silnik, chociaż na chwilę. To by coś dało. Skoro ściga ich jedna łódź, mogą się pojawić i inne. Może większe, które by dały radę odpowiedzieć na ogień niemieckiej łodzi podwodnej.

Huk był tak straszny, że silnik chyba się znajdował tuż pod nią. Jenny dźwignęła się na nogi i odsunęła zwinięte

liny i brezent, na którym siedziała. Tak, znalazła: kłapa w podłodze. Jakoś ją otworzyła i natychmiast zalał ją łoskot i żar silnika.

Przyjrzała mu się. Nie знаła się na silnikach. Kiedyś Sean próbował jej wytłumaczyć, co naprawiał w swoim aucie. W jego gruchocie wiecznie coś się psuło, ale o co wtedy chodziło? Coś z przewodami paliwowymi i pompką paliwową. Ten silnik na pewno różnił się od silnika samochodu Seana. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: każdy silnik potrzebuje paliwa. Wystarczy odciąć dopływ, a zgaśnie.

Tylko jak? Bacznie przyjrzała się urządzeniu. Górą bieгло mnóstwo linek, które łączyły się w jednym miejscu przy silniku. Czy to właśnie przewody paliwowe? Czy tam dochodziły do pompki?

Rozejrzała się. Potrzeba jej narzędzi. Rybacy zawsze mają narzędzia. W końcu, co by się stało, gdyby silnik padł na środku morza? W głębi pomieszczenia wypatrzyła skrzynkę i poczołgała się w jej stronę. Zerknęła przez iluminator. U— boot przesłaniał widok. Są już bardzo blisko. Zobaczyła też drugą łódź. Odpływała. Otworzyła skrzynkę i znalazła w niej mnóstwo wysmarowanych, brudnych narzędzi.

Wyjęła jakoś nożyce i duży młotek.

Wzięła do ręki nożyce, ostrzem do nadgarstków i zaczęła rozcinać więzy. Minutę zajęło jej uwolnienie rąk. Rozcięła sznur wokół nóg.

Przeczolgała się z powrotem ku kłapie maszynowni.

Sięgnęła po młot i rąbnęła w pierwszą linkę. Pękła, wyciekła z niej ropa. Szybko waliła w kolejne linki, dopóki wszystkich nie uszkodziła.

Silnik zgasł.

Dopiero kiedy silnik ucichł, Jenny usłyszała huk morza i ryk wiatru. Zamknęła klapę nad uszkodzonym silnikiem i usiadła. Młotek położyła pod ręką.

Wiedziała, że lada chwila Neumann albo kobieta zjawi się na dole sprawdzić, co się stało. I wtedy zobaczą, że Jenny uszkodziła silnik.

Drzwi się rozwarły i do kajuty wpadł Neumann. Twarz miał wykrzywioną, tak samo jak tamtego ranka, kiedy go widziała biegnącego po plaży. Popatrzył na nią, zauważył, że wyswobodziła rękę.

— Jenny ! Coś ty zrobiła? — krzyknął.

Pozbawiony mocy kuter bezradnie kołysał się na wodzie.

Neumann schylił się i podniósł klapę.

Jenny chwyciła młotek i dźwignęła się na kolana. Zamachnęła się i z całej siły grzmotnęła w tył czaszki klęczącego. Runął na podłogę, krew popłynęła z rany.

Jenny odwróciła się i zwymiotowała.

Kapitanleutnant Max Hoffman dostrzegł, że „Camilla” unosi się bezsilnie na wzburzonym morzu i natychmiast się domyślił, że zepsuł się silnik. Wiedział, że musi działać błyskawicznie. Bez silnika kuter w każdej chwili mógł się przewrócić. Może nawet zatonać. Jeśli agenci wpadną do lodowatego Morza Północnego, zginą w ciągu paru minut.

— Pierwszy! Skieruj nas do kutra i przygotuj się do przyjęcia pasażerów.

— Tak jest, *Kerr Kaleu!*

Hoffman poczuł pod stopami drzenie silników U—boota, kiedy okręt pomалу ruszał naprzód.

Jenny bała się, że go zabiła. Przez chwilę leżał bez

ruchu, potem drgnął i wstał z wysiłkiem. Chwiał się na nogach. Bez trudu mogłaby jeszcze raz uderzyć go młotkiem, ale zabrakło jej odwagi i chęci. Był bezradny, opierał się o ścianę. Krew płynęła z rany, kapłała na twarz, szyję. Wyciągnął rękę i otarł krew z oczu.

— Zostań tutaj — polecił. — Jeśli wyjdiesz na pokład, ona cię zabije. Zrób, co ci każę, Jenny.

Neumann wygrzebał się na górę, do sterówki. Catherine spojrzała na niego zaniepokojona.

— Upadłem i uderzyłem się w głowę, kiedy łodzią zarzuciło. Silnik padł.

Przy sterze leżała latarka. Wziął ją i wyszedł na pokład. Skierował światło na sterzącą wieżę U— boota i nadał sygnał: „Na pomoc”. Łódź podwodna zbliżała się do nich w żółwym tempie. Odwrócił się i dał znak Catherine, żeby podeszła do niego na dziób. Deszcz splukał mu krew z twarzy. Wystawił ją na siekanie ulewy i pomachał do U— boota.

Catherine stanęła obok. Ciągłe to do niej nie docierało. Jeszcze wczoraj po południu siedzieli w kawiarence przy Mayfair, otoczeni przez agentów MI— 5, a oto lada moment stanie się cud: wejdą na pokład U— boota i odpłyną. Sześć długich, przeraźliwie samotnych lat wreszcie dobiega końca. Nie wierzyła, że dożyje tej chwili. Nigdy nie śmiała nawet o niej marzyć. Wszystko w niej pękło. Pисnęła głośno, radośnie jak dziecko i tak jak Neumann wystawiła twarz na deszcz, machając do U— boota.

Stalowy dziób U— boota dotknął dziobu „Camilli”. Na pokład łodzi podwodnej wygrzebał się komitet powitalny, szli w ich stronę. Catherine zarzuciła Neumannowi ręce na szyję i z całej siły go uściskała.

Udało się nam — powiedziała. — Udało. Wracamy do

domu.

Harry Dalton ze sterówki „Rebeki” opisywał tę scenę Vicary'emu w Grirnsby. Vicary z kolei opisywał ją Arthurowi Braithwaite'owi przez radio.

— Niech to szlag, komendancie! Gdzie ta korweta?

— Tuż— tuż. Nie widzicie jej przez deszcz.

— To niech pan powie coś kapitanowi! Moi ludzie nie zdołają ich zatrzymać.

— Co mam rozkazać kapitanowi?

— Niech strzela w statek i zabije szpiegów.

— Majorze Vicary, czy mam panu przypomnieć, że na pokładzie jest niewinna dziewczyna?

— Niech mi Bóg daruje te słowa, ale w tym momencie naprawdę nie możemy się nią przejmować. Proszę wydać rozkaz kapitanowi korwety. Niech strzela do „Camilli” wszystkim, co ma.

— Tak jest.

Vicary odłożył słuchawkę. Boże, ależ ze mnie się zrobił łajdak — pomyślał.

Wiatr na moment rozgonił zasłonę deszczu i mgły. Z mostka korwety 745 kapitan dostrzegł U— 509, a sto pięćdziesiąt metrów od jego dzioba „Camille”. Przez lornetkę widział parę stojącą na pokładzie „Camilli” i marynarzy z łodzi podwodnej, szykujących się do jej przyjęcia. Wydał rozkaz, by strzelać. Po kilku sekundach zajazgotały działka korwety.

Neumann usłyszał strzały. Pierwsze pociski przeleciały im nad głowami. Kolejne zagrzechotały o bok U— boota. Marynarze padli na pokład, by uniknąć ognia. Tu, na

dziobie „Camilli” nie było się gdzie schować. Pociski dosięgły Catherine. Jej ciało rozerwało się na strzępy, czaszka się rozprysnęła.

Neumann czołgał się w stronę U— boota. Pierwszy pocisk urwał mu nogę w kolanie. Wrzasnął, ale pełznął dalej. Drugi przeszył mu kręgosłup. Nie poczuł nic. Ostatni trafił w głowę i otoczyła go ciemność.

Max Hoffman, który obserwował tę jatkę z kiosku, wydał rozkaz pierwszemu oficerowi — jak najszybciej się zanurzyć. Po kilku sekundach U— 509 opuszczał scenę wydarzeń. Wkrótce skrył się pod powierzchnią Morza Północnego i zniknął.

Samotna „Camilla” dryfowała po morzu. Jej pokład był zalany krwią.

Na pokładzie „Rebeki” zapanowała euforia. Czterej mężczyźni ściskali się, widząc jak U— boot zawraca i odpływa pełną parą. Harry skontaktował się z Vicarym i przekazał mu wieści. Vicary wykonał dwa telefony; pierwszy, dziękczynny, do Arthura Braithwaite'a, drugi do sir Basila Boothby'ego, by poinformować go, że wreszcie jest po wszystkim.

Jenny Colville poczuła, że „Camilla” drży. Padła na brzuch i zasłoniła rękami głowę. Strzelanina ucichła równie szybko, jak się zaczęła. Potem słyszała, jak U— boot odpływa, wreszcie dochodził do niej tylko szum morza. Leżała, zbyt przerażona, by się ruszać. Czuła, jak łódź miota się na falach. Domyślała się, że to ma związek z zepsutym silnikiem. Bez jego mocy kuter został wydany na pastwę fal. Musi wstać, wyjść na pokład i dać znać innym łodziom, że tu jest i żyje.

Dźwignęła się na nogi i natychmiast kołysanie pchnęło

ją na ścianę. Znowu wstała. W końcu jakoś wygrzebała się na pokład. Szalał wiatr, siekł deszcz. Kutrem ciskało we wszystkie strony: w górę, na dół, do przodu, do tyłu, z boku na bok. Jenny ledwo się trzymała na nogach. Spojrzała na dziób i zobaczyła oba ciała zmasakrowane, zmienione w papkę. Pokład był różowy od krwi. Zrobiło jej się niedobrze, odwróciła wzrok. W oddali dostrzegła U—boota, który zniknął pod powierzchnią. Z drugiej strony nadpływał niewielki, szary okręt wojenny. Druga łódź — ta, którą wcześniej zauważyła przez iluminator — pędziła w jej kierunku.

Zamachała ręką, krzyknęła i zaczęła płakać. Chciała im powiedzieć, że to jej zasługa. To ona uszkodziła silnik, tak że kuter stanął i szpiedzy nie dostali się na U—boota. Rozsadzała ją niezmierna, szaleńcza duma.

„Camilla” znalazła się właśnie na grzbiecie gigantycznej fali. Kiedy woda przepływała pod dnem, potężne uderzenie z lewej strony przechyliło łódź, która prawie natychmiast wyprostowała się i położyła na prawej burcie, a siła uderzenia zepchnęła Jenny w wodę.

Nigdy w życiu nie czuła takiego zimna: straszliwego, przenikliwego, paraliżującego. Próbowwała zaczerpnąć tchu, lecz zachłysnęła się morską wodą i zalała ją fala. Krztusząc się i dławiąc, jakoś wydostała się na powierzchnię i nabrała odrobinę powietrza, nim znowu przygniotło ją morze. Teraz spadała, tonęła powoli, przyjemnie, bez wysiłku. Nie było jej już zimno. Nic nie czuła, nic nie widziała. Tylko nieprzeniknione ciemności.

Pierwsza dotarła do niej „Rebeka”. Lockwood i Roach stali w sterówce, Harry i Peter Jordan na dziobie. Harry przywiązał sznur do koła ratunkowego, zaczepił o listwę na

dziobie i rzucił koło za pokład. Widział, jak Jenny drugi raz na moment się wynurza i niknie pod wodą. I więcej nic. Zniknęła. Lockwood ostro pchał „Rebekę” naprzód; dopiero na parę metrów od „Camilli” gwałtownie zatrzymał łódź, aż pokład zadrżał.

Jordan przechylił się nad dziobem, rozglądając się za dziewczyną. Raptem się wyprostował i bez słowa wskoczył do wody.

— Jordan jest za burzą! — krzyknął Harry do Lockwooda. — Nie zbliżaj się!

Jordan się wynurzył i zdjął kapok.

— Co ty wyprawiasz? — ryknął Harry.

— Z tym cholerstwem nie mogę się głębiej zanurzyć! Nabral powietrza do płuc i chyba na minutę zniknął pod wodą.

Morze uderzało o burtę „Camilli”, tak że kołysała się na boki, zbliżając się do „Rebeki”. Harry obejrzał się przez ramię i machnął do Lockwooda w sterówce.

— Cofnij się trochę. „Camilla” idzie prosto na nas! Wreszcie Jordan wynurzył się z Jenny. Była nieprzytomna, głowa zwisała jej bezwładnie. Jordan odwiązał linę od koła ratunkowego i oplótł nią klatkę piersiową Jenny. Podniesionym do góry kciukiem zasygnalizował Harry'emu, żeby holował dziewczynę. Kiedy znalazła się przy burcie „Rebeki”, Clive Roach pomógł Harry'emu wciągnąć ją na pokład.

Jordan zmagał się z żywiołem, zalewały go lodowate fale, tracił siły. Harry błyskawicznie odwiązał linę i właśnie rzucał ją ku niemu, gdy „Camilla” wreszcie przewróciła się do góry dnem i wciągnęła Petera Jordana pod siebie.

Rozdział dziewiętnasty

Berlin, kwiecień 1944

Kurt Vogel grzał siedzenie w luksusowo urządzonej poczekalni Waltera Schellenberga, przyglądając się grupce młodych asystentów, którzy pospiesznie to wchodzili do gabinetu szefa, to z niego wychodzili. Jasnówłosi, niebieskoocy, wyglądali, jakby zeskoczyli prosto z nazistowskich plakatów propagandowych. Minęły trzy godziny, od kiedy Schellenberg wezwał Vogla na pilną konsultację w kwestii „tego niefortunnego przedsięwzięcia brytyjskiego”, jak zwykł określać nieudaną akcję Vogla. Kapitanowi czekanie nie przeszkadzało, i tak nie miał nic innego do roboty. Od kiedy zdjęto Canarisa i Abwehre przejęło SS, niemiecki wywiad wojskowy stał się jak okręt bez sternika — i to w chwili, gdy Hitler najbardziej go potrzebował. Pomieszczenia przy Tirpitz Ufer zaczęły przypominać starzejący się kurort po sezonie. Morale bardzo spadło, wielu oficerów zgłaszało się na wschodni front.

Vogel miał inne plany.

Wszedł jeden z adiutantów Schellenberga, dźgnął oskarżycielsko palcem w stronę Vogla i bez słowa skinął, żeby wszedł. Gabinet był wielki niczym gotycka katedra, obwieszony wspaniałymi płótnami olejnymi i kobiercami. Zaniedbane legowisko Lisa przy Tirpitz nawet się do niego nie umywało. Przez wysokie okna wpadało słońce. Vogel zerknął na dwór. Pożary po rannym nalocie dopalały się wzdłuż Unter den Linden, popiół fruwał nad Tiergarten niby czarny śnieg.

Schellenberg uśmiechnął się serdecznie, wylewnie uścisnął kościstą dłoń Vogla, gestem zaprosił, by usiadł.

Vogel wiedział o pistoletach maszynowych pod biurkiem brigadenführera, więc tkwił bez ruchu, na wszelki wypadek trzymając dłonie na widoku. Drzwi się zamknęły i zostali sami. Vogel czuł, jak Schellenberg pożera go wzrokiem.

Choć Schellenberg wraz z Himmlerem od lat spiskowali przeciwko Canarisowi, dopiero łańcuch nieszczęśliwych wydarzeń ostatecznie obalił Szczwanego Lisa: fakt, że nie przewidział, iż Argentyna zerwie wszelkie związki z Niemcami; utrata newralgicznego punktu gromadzenia informacji Abwehry w hiszpańskim Maroku; wpadki licznych ważnych oficerów Abwehry w Turcji, Casablance, Lizbonie i Sztokholmie. Lecz kroplą, która przepelniła czarę, stała się klęska londyńskiej operacji Vogla. Dwoje agentów Abwehry — Horst Neumann i Catherine Blake — zginęło na oczach załogi U— boota, nie zdążywszy przekazać informacji o powodach decyzji ucieczki z Anglii, co pozwoliłoby Voglowi ocenić autentyczność informacji o operacji *Mulberry*, wykradanych przez Catherine Blake. Na wieść o tym Hitler wpadł w szal. Natychmiast zdymisjonował Canarisa, a Abwehre wraz z jej szesnastoma tysiącami agentów przekazał w ręce Schellenberga.

Vogel jakimś cudem ocalał. Schellenberg i Himmler podejrzewali, że to Canaris był źródłem klęski. Vogel, podobnie jak Catherine Blake i Horst Neumann, stał się niewinną ofiarą knowań Szczwanego Lisa.

Sam Kurt miał inną teorię. Podejrzewał, że wszystkie dokumenty skradzione przez Catherine Blake spreparował brytyjski wywiad. Jego zdaniem ona i Neumann próbowali uciec z Anglii, kiedy Neumann zorientował się, że MI— 5 śledzi agentkę. Uważał, że operacja *Mulberry* to nie jednostki przeciwlotnicze przeznaczone do Pas— de— Calais, lecz sztuczny port, który zostanie zbudowany przy

plażach Normandii. Sądził też, że pozostałym agentom z Wielkiej Brytanii nie wolno ufać; że wpadli w ręce Anglików, którzy zmusili ich do współpracy, niewykluczone, że już na samym początku wojny.

Brakowało mu jednak dowodów na potwierdzenie tej tezy — a jako znakomity prawnik nie zamierzał rzucać oskarżeń, których nie mógł dowieść. Poza tym nawet gdyby posiadał dowody, chyba nie złożyłby ich w ręce typów pokroju Schellenberga czy Himmlera.

Zadzwoił jeden z telefonów na biurku Schellenberga. Ten musiał odebrać. Warknął i przez następne pięć minut ostrożnie rozmawiał szyfrem, podczas gdy Vogel czekał. Śnieżyca z popiołów ustała. Ruiny Berlina oświetlało pogodne kwietniowe słońce. Potłuczone szkło błyszczało jak kryształki lodu.

Pozostanie w Abwehrze i współpraca z nowymi władzami miała swoje zalety. Vogel po cichu wyekspediował Gertrudę,

Nicole i Lizbet z Bawarii do Szwajcarii. Jak przystało na porządnego oficera wywiadu, sfinansował akcję w super skomplikowany sposób, przelewając oszczędności z tajnych kont Abwehry na osobiste konto żony w Szwajcarii, a następnie całą tę wymianę pokrywając własnymi pieniędzmi zgromadzonymi w Niemczech. Wysłał z kraju dość pieniędzy, by przez pierwsze lata po wojnie mogli żyć dostatnio. W dodatku trzymał w zanadrzu jedną kartę: wiadomość, za którą — był tego pewny — Brytyjczycy i Amerykanie chętnie zapłacą pieniędzmi i ochroną.

Schellenberg skończył rozmowę i skrzywił się, jakby go bolał żołądek.

— Więc — zagaił — po co pana tu dziś zaprosiłem, kapitanie Vogel? Bardzo frapujące wieści dotarły do nas z Londynu.

— Doprawdy? — Vogel podniósł brwi.

— Tak. Nasze źródło w MI— 5 przekazało nadzwyczaj interesujące wiadomości.

Schellenberg zamasztył ruchem ujął jakiś świstek i podał go Voglowi.

Cóż za subtelna manipulacja — pomyślał Vogel, czytając. Skończywszy, położył kartkę na biurku.

— To rzecz wyjątkowa, żeby MI— 5 podjęła kroki dyscyplinarne przeciwko osobistemu przyjacielowi i zaufanemu współpracownikowi Winstona Churchilla. A moje źródło jest czyste jak lza. Osobiście rekrutowałem tego agenta. To nie żadne ścierwo Canarisa. Moim zdaniem ta informacja potwierdza prawdziwość dokumentów skradzionych przez pańską agentkę, kapitanie.

— Tak, najwyraźniej ma pan rację, *Herr Brigadenführer*.

— Natychmiast należy o tym powiadomić führera. Dziś wieczorem spotyka się w Berchtesgaden z japońskim ambasadorem, by omówić przygotowania do inwazji. Jestem przekonany, że będzie chciał przekazać mu tę informację.

Vogel skinął głową.

— Za godzinę wylatuję z Tempelhof. Chciałbym, żeby pan udał się ze mną i osobiście przekazał raport führerowi. W końcu to była pańska operacja. Poza tym wódz najwyraźniej pana polubił. Czekaj pana świetlana przyszłość, kapitanie Vogel.

— Dziękuję za propozycję, *Herr Brigadenführer*, ale sądzę, że to pan winien przekazać mu tę wiadomość.

— Jest pan pewny, kapitanie?

— Jak najbardziej, *Herr Brigadenführer*.

Rozdział dwudziesty

Oyster Bay, Long Island

Wreszcie prawdziwie wiosenny dzień — ciepłe słońce, lekki wiatr od zatoki. Wczoraj było zimno i mokro. Dorothy Lauterbach obawiała się, że pogoda zrujnuje uroczystości pogrzebowe. Zadbala, by we wszystkich kominkach położono drwa, i kazała przygotować morze gorącej kawy dla gości. Ale przed południem słońce rozpędziło ostatnie chmury i wyspa tonęła w blasku. Dorothy błyskawicznie przeniosła uroczystość żałobną z domu na trawnik z widokiem na zatokę.

Shepherd Ramsey przywiózł z Londynu rzeczy Jordana: ubrania, książki, listy, osobiste notatki, których nie zabrały służby bezpieczeństwa. W samolocie lecącym nad Atlantykiem Ramsey przerzucał kartki, upewniając się, czy nie ma tam wzmianki o kobiecie, z którą Peter się spotykał w Londynie przed śmiercią.

Na symbolicznym pogrzebie pojawiło się mnóstwo ludzi. Ponieważ nie było ciała, postawiono tylko płytę przy grobie Margaret. Stawili się wszyscy pracownicy banku Brattona, prawie wszyscy pracownicy Northeast Bridge Company i większość śmietanki Long Island: Blakemore'owie, Branderbergowie, Carlisle'owie, Duttonowie, Robinsonowie, Tetlingerowie. Billy stał przy Jane, ona zaś wspierała się na ramieniu Walkera Hardegena. Bratton odebrał od przedstawiciela marynarki wojennej flagę. Wiatr otrząsał kwiaty z drzew, płatki sływały na tłum, niby confetti. Jeden człowiek — wysoki, chudy mężczyzna — trzymał się na uboczu, ręce założył na plecy, schylił głowę z poszanowaniem. Miał na sobie szary dwurzędowy garnitur, odrobinę za ciężki na taki ciepły

wiosenny dzień.

Wśród obecnych znalazł go jedynie Walker Hardegen. I to też tylko z pseudonimu, tak idiotycznego, że Walkerowi zawsze chciało się śmiać, kiedy się nim posługiwał.

Był to jego oficer prowadzący, a używał pseudonimu Brum.

Shepherd Ramsey przywiózł list od człowieka w Londynie. Podczas przyjęcia Dorothy i Bratton wymknęły się do biblioteki, żeby go przeczytać. Najpierw zrobiła to Dorothy. Trzymała kartkę w drżących dłoniach. Postarzała się, postarzała i posiwiała. Grudniowy upadek na oblodzonych schodach mieszkania na Manhattanie zakończył się złamaniem kości biodrowej. Teraz kulą, przez co straciła swoją wcześniejszą energię. Kiedy skończyła lekturę, jej oczy zwilgotniały, ale nie rozplakała się. Dorothy we wszystkim zachowywała umiar. Podała list Brattonowi, który płakał, czytając.

Drogi Billy,

Piszę ten Ust z ogromnym bólem. Bardzo krótko miałem przyjemność pracować z twoim Tatą, ale uważam go za jednego z najwybitniejszych ludzi, z jakimi się zetknąłem. Był zaangażowany w jedną z najważniejszych operacji tej wojny. Jednak możliwe, że ze względów bezpieczeństwa nigdy dokładnie się nie dowiesz, co robił.

O jednym mogę Cię zapewnić: dzięki Jego pracy ocaleją niezliczone setki ludzi, a narody Europy raz na zawsze pokonają Hitlera i nazistów. Twój ojciec naprawdę oddał swe życie, by inni mogli żyć. Był wielkim bohaterem.

Lecz żadne jego osiągnięcia nie przynosiły mu takiej radości i dumy jak Ty, Billy. Kiedy o Tobie mówił, jego twarz się rozpromieniała. W jego oczach pojawiał się blask, na ustach uśmiech — choćby był najbardziej zmęczony. Nigdy nie miałem szczęścia mieć syna. Słuchając, jak Twój ojciec o Tobie mówi, uświadamiałem sobie, ile straciłem.

Z wyrazami oddania Alfred Vicary

Bratton oddał list Dorothy. Złożyła go, wsunęła do koperty i umieściła w najwyższej szufladzie biurka męża. Podeszła do okna i wyjrzała na dwór.

Wszyscy jedli, pili, najwyraźniej świetnie się bawiąc. Na uboczu, na trawie obok przystani siedzieli Billy, Jane i Walker. Jane połączyło z Walkerem coś więcej niż przyjaźń. Zaczęli się spotykać nie tylko towarzysko, a Jane wręcz przebąkiwała coś o małżeństwie.

Czyż to nie byłoby cudownie? — pomyślała Dorothy. Billy w końcu miałby prawdziwą rodzinę.

W ten sposób zamknęłoby się koło. Jak ładnie. To przynosiło pociechę. Zrobiło się ciepło, wkrótce nadejdzie lato. Mieszkańcy *zaczną* wracać do letnich domów, będą przyjęcia.

Życie idzie naprzód — powiedziała sobie w duchu. — Peter i Margaret odeszli, ale życie niewątpliwie idzie naprzód.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Hrabstwo Gloucester, Anglia; wrzesień 1944

Nawet Alfreda Vicary'ego zaskoczyło tempo, w jakim udało mu się wypaść z obiegu. Oficjalnie nazywało się to zawieszeniem na czas dochodzenia komisji wewnętrznej. Wiedział, że w ten zawołowany sposób się go wylewa.

Jakby na złość sobie poszedł za radą Basila Boothby'ego i schronił się w domu ciotki Matyldy — nigdy nie oswoił się z myślą, że dom teraz należy do niego — żeby się pozbierać. Pierwsze dni wygnania były straszne. Brakowało mu atmosfery MI— 5, obrzydliwej nory, którą nazywał gabinetem, a nawet połówki. Zupełnie nie mógł porządnie zasnąć i winił za to podwójne łóże Matyldy — za miękkie, za dużo miejsca, by się zmagać z bolesnymi myślami. W rzadkim przebłysku geniuszu udał się do sklepu w wiosce, gdzie zaopatrzył się w łóżko polowe. Rozstawił je w bawialni przy kominku — dziwaczne miejsce, przyznawał, ale nie zamierzał przyjmować gości. Od tej nocy sypiał już przyzwoiciej.

Przeszedł długi okres bezruchu. Ale wiosną, kiedy się ociepliło, skierował całą nie wykorzystaną energię na nowy dom. Wywiadowcy, którzy z rzadka go odwiedzali, z przerażeniem patrzyli, jak Vicary rzuca się na ogród, uzbrojony w sekator, sierp i okulary. Ze zdumieniem przyglądali się, jak odmalowuje mieszkanie. Mnóstwo czasu poświęcono ożywionym dyskusjom nad wyborem koloru — nieskazitelnej bieli. Czy to znaczy, że nastrój mu się poprawia, czy też robi z domu szpital i szykuje się do dłuższego w nim pobytu?

Okoliczni mieszkańcy również się niepokoiли o sąsiada. Poole ze sklepu wielobranżowego zdiagnozował nastrój

Vicary'ego jako żalobę.

— Niemożliwe — odparł Plenderleith ze sklepu ogrodniczego, który udzielał Vicary'emu wskazówek, co zrobić z ogrodem. — Nigdy nie był żonaty ani w nikim zakochany.

Panna Lazenby ze sklepu odzieżowego oświadczyła, że żaden z nich nie ma racji.

— Biedaczysko kona z miłości, ślepy by zauważył. A wybranka najwyraźniej nie odwzajemnia tych uczuć.

Nawet gdyby Vicary wiedział o tej dyspucie, nie zdołałby jej rozstrzygnąć, gdyż tak samo jak ci, którzy go obserwowali, nie wiedział, co właściwie go gnębi. Rektor jego dawnego wydziału na Uniwersytecie Londyńskim napisał do niego. Dobiegły go słuchy, że Vicary już nie pracuje w Ministerstwie Wojny, więc zastanawiał się, kiedy profesor chciałby wrócić. Vicary przedarł list i spalił go w kominku.

W Londynie nic na niego nie czekało — tylko złe wspomnienia — więc trzymał się z dala od stolicy. Pojechał tam tylko raz, pewnego ranka w pierwszym tygodniu czerwca, kiedy sir Basil Boothby wezwał go, żeby się zapoznał z wynikami badań komisji wewnętrznej.

— Witaj, Alfredzie! — zawołał sir Basil, kiedy Vicary'ego wpuszczono do jego gabinetu.

Pokój tonął w pomarańczowym blasku. Boothby stał dokładnie na środku, jakby chciał zachować możliwość ruchu we wszystkie strony. Miał na sobie doskonale skrojony szary garnitur i wydał się Vicary'emu wyższy niż dawniej. Na zgrabnej kanapie siedział dyrektor generalny. Dłonie splótł jak do modlitwy, wzrok wbił we wzór na perskim dywanie. Boothby wyciągnął rękę i podążył do

Vicary'ego. Na jego twarzy błędził dziwny uśmieszek i Vicary nie wiedział, czy generał chce go uścisnąć, czy uderzyć. I nie wiedział, czego bardziej się boi.

Tymczasem Boothby uścisnął mu rękę — odrobinę za czule — i położył wielkie łapsko na jego ramieniu. Dłoń miał rozpaloną i wilgotną, jakby właśnie skończył grę w tenisa. Sam podał Vicary'emu herbatę i gawędził, kiedy ten dopalał papierosa. Potem ceremonialnie wyjął z szuflady końcowy raport komisji i położył go na stoliku. Vicary bał się na niego spojrzeć.

Boothby z satysfakcją wyjaśnił Vicary'emu, że nie wolno mu czytać pełnych akt jego własnego przypadku. Dostał tylko okrojoną, jednostronicową wersję. Vicary trzymał kartkę w obu dłoniach, mocno ją naprężając, żeby nie drżała. Tekst burzył w nim krew, ale dyskusja i tak by już nic nie dała. Wręczył raport Boothby'emu, podał mu rękę, potem podał rękę dyrektorowi generalnemu i wyszedł.

Ruszył na dół. Ktoś inny rezydował w jego gabinecie. Znalazł Harry'ego z paskudną blizną na brodzie. Vicary nie przepadał za długimi pożegnaniem. Powiedział Harry'emu, że go wylano, podziękował mu za wszystko i odszedł.

Na dworze znowu padało, było zimno jak na czerwiec. Szef działu transportu zaproponował Vicary'emu samochód. Odmówił grzecznie. Rozłożył parasol i w strugach ulewnego deszczu odpłynął w stronę Chelsea.

Tę noc spędził w swoim londyńskim mieszkaniu. Obudził się o świcie. Deszcz bębnił w szyby. Był szósty czerwca. Włączył radio, żeby posłuchać wiadomości, i dowiedział się o rozpoczęciu inwazji.

W południe wyszedł, spodziewając się tłumów na ulicach, nerwowych pogawędek, ale Londyn nagle

opustoszał. Mało kto odważył się wyjść do sklepu, niektórzy modlili się w kościołach. Taksówki krążyły po pustych ulicach, szukając klientów.

Vicary obserwował zajętych swoimi sprawami londyńczyków. Chciał do nich podbiec, potrząsnąć i zawołać: „Nie wiecie, co się dzieje? Nie wiecie, ile trudu to kosztowało? Do jakich sprytnych i podstępnych sztuczek musieliśmy się uciec, by tamtych zmylić? Nie wiecie, jak oni w końcu mnie potraktowali?”.

Zjadł kolację w narożnym pubie i słuchał kolejnych biuletynów radiowych. Tej nocy, znowu sam, wysłuchał orędzia króla do narodu i położył się spać. Rano wziął taksówkę do Paddington i pierwszym pociągami wrócił do domu.

Stopniowo, gdzieś koło lata, jego dni powoli zaczęły nabierać kształtu.

Wstawał wcześnie i czytał do lunchu, który jadał w pubie: zapiekanke jarzynową, piwo i mięso, jeśli było w karcie. Z pubu ruszał na spacer, który codziennie sobie narzucał, po ścieżkach wokół miasteczka. Z dnia na dzień ćmiący ból ustępował z jego zrujnowanego kolana, tak że w sierpniu przechadzki wydłużyły się do dziesięciu kilometrów. Rzucił papierosy, zmienił je na fajkę. Rytuał palenia fajki — nabijanie, czyszczenie, zapalanie, ponowne zapalanie — idealnie pasował do jego obecnego życia.

Sam nie wiedział, kiedy właściwie to się stało, którego dnia to zniknęło z jego świadomości: ciasny gabinet, terkot dalekopisów, obrzydliwe jedzenie z kantyny, idiotyczne słownictwo: podwójne X... *Mulberry*... *Phoenix*... *Kettledrum*. Nawet Helen odsunęła się w bezpieczny, zamknięty kąt pamięci, z którego już nie mogła zrobić mu

krzywdy. Alice Simpson zaczęła go odwiedzać w weekendy, spędziła z nim nawet cały tydzień na początku sierpnia.

Pod koniec lata ogarnęła go lekka melancholia, charakterystyczna dla mieszkańców wsi, gdy odchodzą ciepłe dni. Był cudowny zmierzch, horyzont płonął różnymi odcieniami fioletu i czerwieni, w powietrzu czuło się zwiastuny jesiennego chłodu. Pierwiosnki i dzwonki dawno przekwitły. Vicary przypomniał sobie podobny wieczór sprzed lat, kiedy Brendan Evans uczył go jeździć na motocyklu. Nie ochłodziło się na tyle, by rozpałać w kominku, ale ze swojego pagórka widział dym z kominów i czuł ostry zapach palonego świeżego drewna.

Wtedy właśnie go olśniło. Zobaczył to — niczym rozwiązanie jakiegoś szachowego problemu — rozłożone na pagórkach. Widział linie ataku, przygotowania, mistyfikację. Nic nie było tym, na co wyglądało.

Pobiegł do domu, zadzwonił do biura i poprosił o połączenie z Boothbym. Dopiero wtedy sobie uświadomił, że jest późno, a do tego piątek — dla niego dni tygodnia już dawno przestały się różnić. Mimo to jakimś cudem Boothby nadal siedział w gabinecie i sam odebrał telefon.

Vicary się przedstawił. Boothby wyraził nie skrywaną radość, że zadzwonił. Vicary zapewnił, że czuje się doskonale.

— Chcę z panem porozmawiać — przeszedł do rzeczy.
— *O Kettledrum.*

Po drugiej stronie zapadła cisza, ale Vicary wiedział, że Boothby nie przerwał połączenia, bo słyszał, jak się wierci w fotelu.

— Pan już tu nie może się zjawić, Alfredzie. Został pan *persona non grata*. Z tego wniosek, że ja będę musiał odwiedzić pana.

— Świetnie. I niech pan nie udaje, że nie wie, jak mnie

znaleźć, bo widzę pana obserwatorów, którzy mnie pilnują.

— Jutro w południe — zdecydował Boothby i odłożył słuchawkę.

Boothby przyjechał punktualnie w południe w służbowym humberze, ubrany, jak na wieś przystało, w tweedy, koszulę bez krawata i wygodny sweter. W nocy padało. Vicary wygrzebał z piwnicy drugą parę kaloszy i niby dwaj starzy druhowie ruszyli na obchód po łąkach, na których pasły się ostrzyżone owce. Boothby raczył go plotkami z wydziału, a Vicary z dużym wysiłkiem udawał zainteresowanie.

Po pewnym czasie zatrzymał się i zapatrzył w przestrzeń.

— Nic z tego nie było prawdziwe — powiedział. — Jordan, Catherine Blake, wszystko od początku było ustawione.

— Niezupełnie tak, Alfredzie — uśmiechnął się uwodzicielsko Boothby. — Ale jest pan blisko.

Odwrócił się i ruszył dalej, jego wysoka sylwetka rysowała się pionowo na linii horyzontu. Zatrzymał się i ruchem ręki przywołał towarzysza. Vicary dogonił go, utykając i obmacując kieszenie w poszukiwaniu okularów.

— Sam charakter operacji *Mulberry* rodził problemy — zaczął bez wstępów Boothby. — Było w nią zaangażowanych dziesięć tysięcy ludzi. Oczywiście, większość nie miała pojęcia, nad czym pracuje. Mimo to istniało olbrzymie niebezpieczeństwo potencjalnych przecieków. Elementy były tak duże, że musiano je wylewać na otwartych przestrzeniach. Betoniarnie porozrzucano po całym kraju, ale część konstrukcji budowano nawet w londyńskich dokach. Ledwie nam powiedziano o tym

przedsięwzięciu, wiedzieliśmy, że mamy problemy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy sfotografują to z powietrza. Wiedzieliśmy, że jeden porządny szpieg, który by się pokręcił po placu budowy, domyśliłby się, co zamierzamy. Wysłaliśmy naszego człowieka do Selsey, żeby sprawdzić stan bezpieczeństwa. Zdażył wypić herbatkę z jednym z pracowników, zanim ktoś był uprzejmy go wylegitymować.

Boothby zaśmiał się pod nosem. Vicary bacznie go obserwował. Zniknęła pompa, nieustannie wiercenie się. Sir Basil był spokojny, opanowany i miły. Vicary pomyślał, że gdyby się poznali w innych okolicznościach, mógłby go nawet polubić. Ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, że od początku nie doceniał inteligencji generała. Uderzyła go też ta liczba mnoga: my, nam. Boothby należał do paczki. Vicary'emu pozwolono na ułamek sekundy wetknąć w nią nos.

— Największy problem leżał w tym, że bloki *Mulberry* zdradzały nasze intencje — podjął Boothby. — Gdyby Niemcy odkryli, że budujemy sztuczny port, bardzo szybko mogliby dojść do wniosku, że zamierzamy uniknąć silnie strzeżonych portów Pas— de— Calais i uderzyć na Normandie. Rozmiary i niemożność ukrycia przedsięwzięcia kazały nam założyć, że Niemcy w pewnym momencie odkryją, co knujemy. Pozostawało nam tylko samym ukraść dla nich tajemnicę *Mulberry* i spróbować przejąć prowadzenie w grze. — Popatrzył na Vicary'ego. — No, dobra, Alfredzie, wal. Chcę wiedzieć, co pan sam wydedukował.

— Walker Hardegen — odparł Vicary. — Moim zdaniem wszystko zaczęło się od Walkera Hardegena.

— Bardzo dobrze, Alfredzie. Ale jak?

— Walker Hardegen był bogatym bankierem i

biznesmenem, ultrapravicowcem, antykomunistą, zapewne również po trosze i antysemitą. Należał do Bluszczowej Ligi, znał połowę ludzi z Waszyngtonu. Chodził z nimi do szkoły. Pod tym względem Amerykanie tak bardzo się od nas nie różnią. Interesy często sprowadzały go do Berlina. A jeśli mężczyźni pokroju Hardegena jechali do Berlina, bywali w ambasadach na kolacjach i rautach. Tam spotykali się z prezesami największych niemieckich spółek, największymi nazistowskimi oficjelami. Hardegen doskonale znał niemiecki. Zapewne podziwiał niektóre decyzje nazistów. Uważał, że Hitler i jego zwolennicy stanowią niezbędny bufor, oddzielający Europę od bolszewików. Prawdopodobnie podczas którejś z takich wizyt wpadł w oko komuś z Abwehry albo SD.

— Brawo, Alfredzie. Gwoli ścisłości, to była Abwehra, a człowiek, który zwrócił uwagę na Hardegena, nazywał się Paul Müller i odpowiadał za działalność Abwehry w Ameryce.

— Zgoda. Müller go wciągnął. Och, pewnie nie wyłożył kart na stół. Zapewniał, że Hardegen nie będzie pracował dla nazistów. Pomoże jedynie w walce z międzynarodowym komunizmem. Oczekiwał od niego informacji na temat produkcji przemysłowej Stanów, nastrojów w Waszyngtonie, takich rzeczy. Hardegen się zgodził i tak został agentem. Mam tylko jedno pytanie. Czy Hardegen już wtedy współpracował z amerykańskim wywiadem?

— Nie — odparł Boothby z uśmiechem. — Proszę pamiętać, że jest jeszcze stosunkowo wcześnie, dopiero tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy. Amerykanie wtedy jeszcze nie rozpracowali reguł gry. Ale zdawali sobie sprawę, że Abwehra działa w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Nowym Jorku. Rok wcześniej w teczce

niemieckiego szpiega, niejakiego Nikolausa Rittera, wywędrowały ze Stanów szkice przyrządów celowniczych. Roosevelt kazał Hooverowi zgnieść szpiegów. W trzydziestym dziewiątym sfotografowano Hardegena, jak spotkał się w Nowym Jorku ze znanym im agentem Abwehry. Po dwóch miesiącach przyłapali go w Panamie na spotkaniu z kolejnym agentem. Hoover chciał go aresztować i postawić pod sąd. Boże, ależ ci Amerykanie prymitywnie grają! Na szczęście wtedy istniał już w Nowym Jorku oddział MI— 6. Wkroczyła do akcji i przekonała Hoovera, że Hardegen bardziej nam się przyda, dalej prowadząc grę, niż siedząc w więziennej celi.

— Kto nim kierował? Któryś z naszych czy Amerykanie?

— Właściwie to było połączone przedsięwzięcie. Za pośrednictwem Hardegena przesyłaliśmy Niemcom stale dostawy świetnych materiałów, naprawdę palce lizać. Akcje Hardegena w Berlinie rosły. Równocześnie każdy aspekt życia Walkera Hardegena wzięto pod lupę, w tym także kontakty z rodziną Lauterbachów oraz genialnym inżynierem Peterem Jordanem.

— Więc w czterdziestym trzecim roku, kiedy podjęto decyzję o skierowaniu ataku przez kanał La Manche na Normandię przy użyciu sztucznego portu, angielski i amerykański wywiad skontaktował się z Peterem Jordanem i zaprosił go do współpracy.

— Tak. Dokładniej w październiku czterdziestego trzeciego roku.

— Jordan nadawał się idealnie — podjął Vicary. — Właśnie takiego inżyniera potrzebowano do przedsięwzięcia. Był powszechnie znany i ceniony w środowisku. Niemcy musieli tylko pofatygować się do biblioteki i przeczytać jego imponujący życiorys. A dzięki

śmierci żony stawał się łatwiej dostępny. Dlatego pod koniec czterdziestego trzeciego roku kazaliście Hardegenowi spotkać się z oficerem prowadzącym i powiedzieć mu o Peterze Jordanie. Co zdradziliście Niemcom?

— Tylko to, że Jordan ma pracować nad jakimś dużym przedsięwzięciem budowlanym związanym z inwazją. Wspomnieliśmy też o jego sytuacji rodzinnej, która, jak to ująłeś, ułatwiała do niego dostęp. Abwehra połknęła haczyk. Müller sprzedał to Canarisowi, a ten z kolei przekazał Voglowi.

— Więc wszystko to było skomplikowaną mistyfikacją, która służyła wepchnięciu Abwehrze sfalszowanych dokumentów. A Peter Jordan stał się przysłowiowym kozłem ofiarnym.

— Właśnie. Pierwsze dokumenty były celowo nijakie. Dawało się je w różny sposób interpretować. Phoenixy to elementy sztucznego portu, ale równie dobrze konstrukcji przeciwlotniczej. Chcieliśmy, żeby Niemcy się głowili, sprzeczali, skakali sobie do oczu. Pamiętasz szanownego Sun Tzu?

— Podkop się pod wroga, przekup go, posiej ziarno niezgody między jego dowódcami.

— Ni mniej, ni więcej. Chcieliśmy pogłębić animozje między SD a Abwehrą. Ale równocześnie nie chcieliśmy zbyt łatwo im życie. Stopniowo dzięki dokumentom *Kettledrum* otrzymali wyraźny obraz i obraz ten bezpośrednio przekazano Hitlerowi.

— Ale po co było zadawać sobie tyle trudu? Dlaczego nie wykorzystano któregoś już przeciągniętego agenta? Po co angażowano prawdziwego inżyniera? A czy nie lepiej było po prostu stworzyć jakiegoś wyimaginowanego?

— Z dwóch powodów — wyjaśnił Boothby. — Po

pierwsze, to byłoby zbyt łatwe. Chcieliśmy, żeby się nad tym biedzili. Chcieliśmy subtelnie wpływać na ich rozumowanie. Niech sądzą, że to oni postanowili wziąć na cel Jordana. Przypomnij sobie biblię oficera kontrolującego podwójnego agenta: informacje łatwo zdobyte rzuca się w ką. Tutaj istniał cały łańcuszek: od Hardegena do Müllera, od Müllera do Canarisa, od Canarisa do Vogla i wreszcie od Vogla do Catherine Blake.

— Imponujące — przyznał Vicary. — A drugi powód?

— Drugi powód był taki, że pod koniec czterdziestego trzeciego roku zdaliśmy sobie sprawę, że nie wykryliśmy wszystkich szpiegów działających w Anglii. Dowiedzieliśmy się o Kurcie Voglu, dowiedzieliśmy się o jego siatce. I że jeden z jego agentów to kobieta. Ale pojawił się poważny problem. Vogel tak głęboko zakopał swoich agentów w Wielkiej Brytanii, że aby ich namierzyć, musieliśmy ich sprowokować do działania. Zwróć uwagę: operacja *Bodyguard* lada moment miała ruszyć pełną parą. Zamierzaliśmy zasypać Niemców lawiną fałszywych dokumentów. Ale nie czuliśmy się bezpieczni ze świadomością, że w kraju mieszkają i działają agenci. Musieliśmy wyłapać wszystkich, co do jednego. Bez tego nie mogliśmy zyskać pewności, że Niemcy nie otrzymują informacji sprzecznych z tym, czym ich pasjemy w ramach operacji *Bodyguard*.

— Jak odkryliście siatkę Vogla?

— Powiedziano nam o niej.

— Kto?

Boothby przeszedł parę kroków w milczeniu, wpatrując się w zabłocone czubki kaloszy.

— Powiedział nam o niej Wilhelm Canaris — odrzekł wreszcie.

— Canaris?

— No, przez jednego ze swoich emisariuszy. Późnym latem czterdziestego trzeciego roku. Ta wiadomość cię pewnie zaskoczy, ale Canaris stał na czele *Schwarze Kapelle*. Chciał, żeby Menzies oraz wywiad pomogli mu w obaleniu Hitlera i zakończeniu wojny. W geście dobrej woli powiedział Menziesowi o istnieniu siatki Vogla. Menzies powiadomił służby specjalne i wspólnie stworzyliśmy plan pod nazwą *Kettledrum*.

— Główny szpieg Hitlera zdrajcą. Niezwykłe. A pan, oczywiście, o wszystkim wiedział. Już tamtego wieczoru, kiedy zlecił mi pan zadanie. Te skrawki prawdy o inwazji i planach dezinformacji... Miały zapewnić moją ślepa lojalność. Zmotywować mnie, manipulować mną.

— Niestety tak, to prawda.

— Czyli operacja miała dwa cele: zmylić Niemców w sprawie *Mulberry* i równocześnie uaktywnić agentów Vogla, żebyśmy mogli ich zneutralizować.

— Zgadza się. I jeszcze coś. Rzucić Canarisowi linę, żeby do czasu inwazji odwlec jego egzekucję. Ostatnie, czego sobie życzyliśmy, to żeby Schellenberg z Himmlerem przejęli Abwehre. Całkowicie ją omotaliśmy i manipulowaliśmy nią. Wiedzieliśmy, że jeśli Schellenberg dorwie się do steru, podważy wszystko, co zrobił Canaris. Ten punkt, jak widać, nam się nie udał. Canarisa zdymisjonowano i Schellenberg jednak przejął Abwehre.

— To dlaczego wraz z upadkiem Canarisa nie runęła siatka podwójnych szpiegów i operacja *Bodyguard*?

— Och, Schellenbergowi bardziej zależało na umacnianiu swego imperium niż posyłaniu kolejnych szpiegów do Anglii. Pochłonęła go potężna biurokratyczna reorganizacja — zmiana stołków, akta przechodzą z rąk do rąk. Doświadczeni oficerowie, lojalni wobec Canarisa, poszli za burtę, a ich miejsce zajęło świeże mięso, lojalne

wobec SS i partii. W tym czasie wszyscy oficerowie prowadzący starali się, jak mogli, udowodnić, że ich agenci w Wielkiej Brytanii są autentyczni i skutecznie działają. To proste, dla tych oficerów była to kwestia życia lub śmierci. Gdyby się przyznali, że ich agentów kontrolował angielski wywiad, wyruszyliby pierwszym pociągiem na wschodni front albo i gorzej.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, Vicary przetrwał to, co usłyszał. W głowie mu szumiało. Tysiące pytań cisnęło mu się na usta. Bał się, że lada chwila Boothby się zaskorupi. Odkładając na bok rozpalone emocje, ułożył pytania według ciężaru gatunkowego. Chmura przesłoniła słońce, zrobiło się chłodno.

— Czy wszystko poszło zgodnie z planem? — spytał Vicary.

— Tak, wszystko poszło idealnie.

— A co z tym komunikatem lorda Haw— Haw?

Vicary sam go słyszał, gdy siedział w bawialni domeczku Matyldy, i przeszył go wtedy lodowaty dreszcz. „Doskonale wiemy, co zamierzacie zrobić z tymi betonowymi blokami. Sądzicie, że je zatopicie u naszych brzegów przed atakiem. Cóż, pomożemy wam, chłopcy...”.

— Wywołał panikę wśród najwyższego dowództwa aliantów. Przynajmniej tak to wyglądało — dodał zarozumiale Boothby. — Bardzo niewielka grupka oficerów wiedziała o operacji *Kettledrum* i oni zdawali sobie sprawę, że to ostatni akt przedstawienia. Eisenhower skontaktował się z Waszyngtonem i zażądał pięćdziesięciu łodzi do ratowania załóg, w razie gdyby *Mulberry* zatopiono w czasie transportu przez La Manche. Dopilnowaliśmy, żeby do Niemców ten kablogram też dotarł. Tate, nasz podwójny agent posiadający fikcyjne źródło w SHAEF, przekazał jego tekst swojemu oficerowi prowadzącemu w

Abwehrze. Po paru tygodniach japoński ambasador objechał wybrzeża, obejrzał fortyfikacje i rozmawiał z Rundstedtem. Rundstedt powiedział mu o istnieniu *Mulberry* i wyjaśnił, że agent Abwehry odkrył, iż są to wieże z działami przeciwlotniczymi. Ambasador przekazał tę informację swoim mocodawcom w Tokio. Wiadomość tę, podobnie jak pozostałe, przechwycono i rozszyfrowano. W tym momencie wiedzieliśmy już, że operacja *Kettledrum* się powiodła.

— Kto kierował całością akcji?

— Nie uwierzysz, MI— 6. Oni ją rozpoczęli, oni ją wymyślili, więc pozwoliliśmy im nią kierować.

— Kto w departamencie o tym wiedział?

— Ja, dyrektor generalny i szef Komitetu Dwadzieścia.

— Kto był oficerem prowadzącym? Boothby spojrział na Vicary'ego.

— Brum, oczywiście.

— Kto to jest Brum?

— Brum to po prostu Brum, Alfredzie.

— Jednej rzeczy ciągle nie rozumiem. Dlaczego musieliście oszukać oficera bezpośrednio wyznaczonego do akcji?

Boothby uśmiechnął się ze znużeniem, jakby na wspomnienie czegoś niezbyt miłego. Z rżyska poderwały się bażanty i pofrunęły ku szarawemu niebu. Boothby zatrzymał się i popatrzył na chmury.

— Chyba zanosi się na deszcz — powiedział. — Lepiej się zbierajmy.

Zawrócili i ruszyli z powrotem.

— Oszukaliśmy pana, Alfredzie, bo chcieliśmy, żeby dla drugiej strony to wyglądało jak najbardziej autentycznie. Chcieliśmy, żeby pan podejmował te same kroki, jakie podjąłby pan wtedy, gdyby to była prawdziwa

akcja. Poza tym nie musiał pan wiedzieć, że Jordan cały czas dla nas pracuje. To nie było konieczne.

— Wielki Boże! — wybuchnął Vicary. — Więc wykorzystał pan mnie jak każdego innego agenta. Manipulowaliście mną.

— Można i tak to ująć.

— Ale dlaczego właśnie ja? Dlaczego nie ktoś inny?

— Bo pan, tak samo jak Peter Jordan, idealnie się nadawał.

— Mógłby mi to pan wyjaśnić?

— Wybraliśmy pana, ponieważ jest pan inteligentny, pomysłowy i w normalnej sytuacji nieźle dałby im pan w kość. Na Boga, toż omal nie przejrzał pan całej maskarady, gdy operacja była w toku. Wybraliśmy pana też, ponieważ tarcia między nami stały się niemal przysłowiowe. — Boothby zawiesił głos i zmierzył Vicary'ego wzrokiem. — Nie można powiedzieć, żeby wykazał się pan dyskrecją w okazywaniu wobec pracowników swej niechęci względem mojej osoby. Ale przede wszystkim wybraliśmy pana dlatego, że przyjaźnił się pan z premierem, a Abwehra o tym wiedziała.

— A kiedy mnie wylaliście, powiadomiliście o tym Niemców przez Hawke'a i Pelikana. Liczyliście, że poświęcenie osobistego przyjaciela Winstona Churchilla ostatecznie przekona Niemców o prawdziwości dokumentów *Kettledrum*.

— Właśnie, to było wpisane w scenariusz. I doskonale się sprawdziło.

— Churchill o tym wiedział?

— Tak, wiedział. I osobiście zaakceptował. Stary przyjaciel pana zdradził. Och, ten nasz Winston! On lubi takie gierki. Gdyby nie był premierem, zatrudniłbym go na oficera wywiadu. Wydaje mi się, że wręcz mu się to

podobało. Podobno kazanko, którym pana uraczył w podziemnej kwaterze, to był prawdziwy majstersztyk.

— Dranie — mruknął Vicary. — Łajdacy, manipulatorzy. Choć cóż, chyba powinienem się uznać za szczęściarza. Mogłem zginąć, jak tamci. Boże! Zdaje pan sobie sprawę, ilu ludzi zginęło przez tę waszą gierkę? Pope, jego dziewczyna, Rose Morely, dwóch ludzi z wydziału specjalnego na Earl's Court, czterech policjantów w Louth, jeden w Cleethorpes, Sean Dogherty, Martin Colville.

— Zapomniał pan wymienić Pétera Jordana.

— Na miłość boską, zabił pan własnego agenta.

— Nie, Alfredzie, to pan go zabił. Pan go w końcu wysłał na tamten kuter. Przyznam, że nawet mi się to spodobało. Człowiek, którego beztroska omal nas nie kosztowała przegranej wojny, ginie, ratując życie dziewczynki, i w ten sposób okupuje swe winy. Tak by to przedstawił Hollywood. I to właśnie, zdaniem Niemców, się stało. Zresztą, ci zabici to nic w porównaniu z rzezią, jaka by się dokonała w Normandii, gdyby Rommel tam na nas czekał.

— Czy wszystko sprowadza się do winien i ma? Tak to pan traktuje? Jak jedną olbrzymią płachtę księgowości? Cieszę się, że się stamtąd wyrwałem! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Nie, jeśli to *oznacza* zniżanie się do takich postępów. Boże, takich jak pan już dawno powinno się było spalić na stosie.

Wspięli się na ostatni pagórek. Przed nimi, w oddali, widniał dom Vicary'ego. Winorośl posadzona przez Matyldę opiekuńczo otulała kamienny murek. Vicary chciał tam wrócić, trzasnąć drzwiami, usiąść przy ogniu i więcej o tym nie myśleć. Zdawał sobie sprawę, że teraz to niemożliwe. Marzył, by się pozbyć Boothby'ego. Przyspieszył kroku i tak gwałtownie ruszył w dół, że omal

się nie przewrócił. Długonogi, umięśniony Boothby usiłował dotrzymać mu kroku.

— Wcale pan tak nie myśli, prawda, Alfredzie? Lubił pan to. Dał się pan uwieść tej grze. Podobało się panu manipulowanie i oszustwo. Uniwersytet chce pana z powrotem przyjąć, a pan nie jest pewny, czy chce wrócić, bo uświadomił pan sobie, że wszystko, w co pan wierzył, to kłamstwo, mój świat zaś, ten świat, jest prawdziwy.

— Pan i pana świat nie jesteście prawdziwi. Sam nie wiem, jacy jesteście, ale z pewnością nie jesteście prawdziwi.

— Może pan sobie gadać, lecz ja wiem, jak strasznie pan za tym tęskni. Nasza praca staje się jak kochanka. Czasem za nią nie przepadasz. I przy niej siebie też niezbyt lubisz. Chwile, kiedy dobrze się czujesz, szybko ulatują. Lecz jeśli próbujesz ją porzucić, coś cię z powrotem do niej ciągnie.

— Obawiam się, że ta metafora do mnie nie trafiła, sir Basilu.

— I znowu to samo. Udaje pan, że jest ponad nami, lepszy. A ja sądziłem, że w końcu pan zmadrzeł. Potrzebuje pan ludzi takich jak my. Kraj nas potrzebuje.

Przeszli przez furtkę i na podjazd. Żwir chrzęścił im pod nogami.

Vicary'emu przypomniało się popołudnie, kiedy wezwano go do Chartwell i zaangażowano do MI— 5. Przypomniał sobie poranek w podziemnej kwaterze Churchilla i jego słowa: „Musisz odrzucić resztki moralności, odłożyć na bok wszelkie ludzkie uczucia, jakie jeszcze żywisz, i robić tylko to, co prowadzi do zwycięstwa”.

Wreszcie ktoś był z nim szczery, nawet jeśli wówczas kłamał.

Zatrzymali się przy samochodzie Boothby'ego.

— Zrozumie pan, jeśli nie zaproszę pana na herbatę — przemówił Vicary. — Chciałbym pójść zmyć z rąk krew.

— Na tym polega całe piękno tej sprawy, Alfredzie. — Boothby podniósł obie dłonie, żeby Vicary mógł im się przyjrzeć. — Na moich rękach też jest krew. Ale ani ja jej nie widzę, ani nikt inny. To sekretne plamy.

Boothby otworzył drzwiczki, silnik zawarczał.

— Kto to jest Brum? — po raz ostatni spytał Vicary. Twarz generała pociemniała, jakby przesłoniła ją chmura.

— Brum to Brendan Evans, pana stary przyjaciel z Cambridge. Powiedział nam o sztuczce, dzięki której w czasie pierwszej wojny dostał się pan do wywiadu. Powiedział też o pana wypadku we Francji. Wiedzieliśmy, co panem kieruje, co pana motywuje. Musieliśmy. W końcu manipulowaliśmy panem.

Vicary'ego zaczęła boleć głowa.

— Mam jeszcze jedno pytanie.

— Chce pan wiedzieć, czy Helen była w to wciągnięta, czy też przyszła do pana z własnej woli.

Vicary znieruchomiał, czekając na odpowiedź.

— Czemu jej pan nie poszuka i sam nie spyta?

Po czym Boothby zniknął w samochodzie i odjechał.

Rozdział dwudziesty drugi

Londyn, maj 1945

Tego wieczoru o szóstej Lillian Walford odchrząknęła, lekko zastukała do drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź. Profesor był na miejscu, siedział przy oknie z widokiem na Gordon Square — drobna figurka pochylona nad starym rękopisem.

— Pójdę już, jeśli nie jestem panu potrzebna, profesorze — odezwała się, rozpoczynając rytuał zamykania książek i porządkowania papierów, który nieodmiennie towarzyszył ich piątkowym wieczornym rozmowom.

— Nie, poradzę sobie, dziękuję.

A mimo wszystko bardzo w to wątpię, profesorze — pomyślała, spoglądając na niego. Coś się w nim zmieniło. Och, nigdy nie był gadatliwy. Nigdy sam nie zagaił rozmowy, jeśli się go nie zmusiło. Ale teraz stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie, biedaczysko. I wbrew jej oczekiwaniom, w miarę upływu czasu to się pogłębiało, zamiast ustępować. Po wydziale krążyły plotki, czcze spekulacje. Niektórzy twierdzili, jakoby wysłał ludzi na śmierć albo kazał zabijać. Trudno sobie wyobrazić, żeby profesor robił coś takiego, choć musiała przyznać, że to ma jakiś sens. Coś sprawiło, że złożył ślub milczenia.

— Powinien pan niedługo wyjść, jeśli chce pan zdążyć na pociąg.

— Pomyślałem, że może zostanę na weekend w Londynie — odrzekł, nie odrywając wzroku od tekstu. — Chcę się przekonać, jak teraz wygląda nocą, kiedy wreszcie znowu płoną światła.

— O, mam nadzieję, że nigdy więcej się nie powtórzy to

obrzydliwe zaciemnienie.

— Coś mi mówi, że nie musi się pani o to niepokoić.

Z haka na drzwiach zdjęła jego płaszcz przeciwdeszczowy i powiesiła go na oparciu krzesła obok biurka. Vicary odłożył ołówek i spojrzał na sekretarkę. Jej reakcja oboje ich zaskoczyła. Ręka kobiety sama wyciągnęła się ku jego policzkowi, instynktownie, jakby chciała pocieszyć skaleczone dziecko.

— Dobrze się pan czuje, profesorze?

Szarpnął się i znowu utkwił spojrzenie w rękopisie.

— Tak, doskonale — zapewnił.

Coś dziwnego zabrzmiało w jego głosie, jakaś nuta, której Lillian Walford nigdy przedtem nie słyszała. Potem mruknął coś pod nosem, jakby: „Nigdy jeszcze tak świetnie”.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

— Miłego weekendu — powiedziała.

— Właśnie takiego się spodziewam, dziękuję.

— Dobranoc, profesorze Vicary.

— Dobranoc, panno Walford.

Wieczór był ciepły. Zanim Vicary doszedł do Leicester Square, zdjęł płaszcz i przerzucił go sobie przez ramię. Zapadał zmierzch, światła Londynu powoli się zapalały. Nie do wiary! Żeby Lillian Walford tak go głaskała! Zawsze uważał się za wytrawnego obludnika. Ciekawiło go, czy to się rzuca w oczy.

Przespacerował się przez Hyde Park. Po lewej stronie grupa Amerykanów grała w piłkę, korzystając z resztek dziennego światła. Po prawej Brytyjczycy rozgrywali hałaśliwy mecz rugby z Kanadyjczykami. Vicary minął miejsce, *gdzie* zaledwie parę dni temu tkwiło działo

przeciwlotnicze. Zniknęło. Zostały tylko worki z piaskiem, niczym kamienie starożytnych ruin.

Zanurzył się w Belgravię i instynktownie skierował w stronę domu Helen.

„Mam nadzieję, że zmienisz zdanie. I to szybko”.

Podniesiono grube zasłony, dom gorzał światłem. Gościli u siebie dwie pary. David miał na sobie mundur. Helen wisiała u jego ramienia. Vicary zastanawiał się, jak długo tkwił, obserwując ich, obserwując ją. Ku swemu zaskoczeniu — a może raczej uldze — stwierdził, że nic do niej nie czuje. Jej duch w końcu odszedł. Tym razem na dobre.

Ruszył dalej. Z King's Road skręcił w Sloane Square, a stamtąd w ciche uliczki Chelsea. Spojrzał na zegarek. Jeszcze zdąży na pociąg. Złapał taksówkę, wskoczył do środka, i kazał się zawieźć na stację Paddington. Spuścił szybę, by poczuć na policzkach ciepłe powietrze. Po raz pierwszy od miesiąca ogarnęło go coś bliskiego zadowoleniu, może ucieszenie.

Z budki na stacji zadzwonił do Alice Simpson. Zgodziła się nazajutrz przyjechać do niego na wieś. Odwiesił słuchawkę i musiał pobiec do pociągu. W wagonie panował tłok, ale znalazł miejsce przy oknie w przedziale, w którym siedziały dwie kobiety i żołnierz — właściwie jeszcze chłopiec — z laską.

Vicary przyjrzał mu się i dostrzegł emblematy Drugiego Regimentu Wschodniego Jorku. Czyli chłopak był w Normandii — dokładniej na plaży Sword — i miał szczęście, że przeżył. W pierwszych minutach inwazji ten regiment poniósł znaczne straty.

Żołnierz zauważył, że Vicary go obserwuje, i zmusił się do słabego uśmiechu.

— Pamiątka z Normandii. Ledwo zszedłem z pokładu.

— Podniósł laskę. — Lekarze mówią, że będę musiał jej używać do końca życia. A pan jak się nabawił swojej rany? Dlaczego pan kuleje?

— Pierwsza wojna, Francja — odparł Vicary w zamyśleniu.

— A w tę pana wciągnęli? Vicary potaknął.

— Papierkowa robota w bardzo nudnym wydziale Ministerstwa Wojny. Naprawdę nic wielkiego.

Po chwili chłopak zasnął. Raz na mijanych polach Vicary'emu przez ułamek sekundy zamajaczyła jej twarz, uśmiechała się do niego. Później twarz Boothby'ego. A potem, gdy zapadł mrok, towarzyszyło mu w milczeniu własne odbicie w oknie.